RAFAŁ A.

ZIEMKIEWICZ

CZAS WRZESZCZĄCYCH STARUSZKÓW

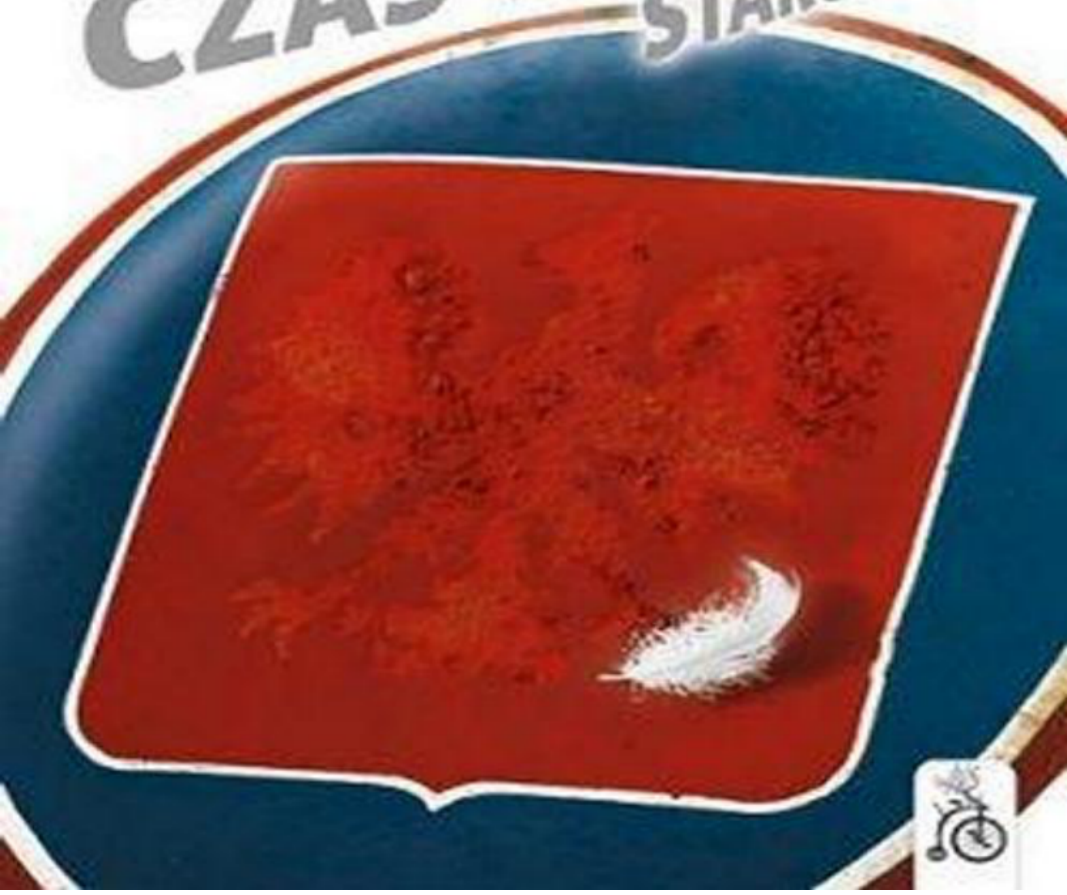

Rafal A. Ziemkiewicz

Czas wrzeszczacych staruszkow

2008

Wydanie polskie Data wydania:

2008

Koncepcja ilustracji okladkowej: Pawel Baldauf

Ilustracja oraz projekt okladki: Pawel Zareba

Wydawca: Fabryka Slow sp. z o.o. www.fabryka.pl e-mail: biuro@fabryka.pl

ISBN: 978-83-7574-012-7

Wydanie elektroniczne:

Trident eBooks

Oni maja subiektywne przekonanie, ze bardzo dobrze panstwu i spoleczenstwu sluza… Kusza ich nie tylko wysokie stanowiska. To jest ambicja innego typu. Chca odgrywac wielka role w polityce, przejsc do historii jako wybitne jednostki. Pod pewnymi wzgledami jest to bardziej niszczace od checi zajmowania stanowisk.

Jaroslaw Kaczynski

o przywodcach Unii Demokratycznej, 1993

Zyli w przeswiadczeniu, ze sa jedyna sila, ktora moze zniszczyc Uklad i naprawic Polske. Z takim przekonaniem uwaza sie, ze mozna uzywac wszystkich srodkow do realizacji szczytnego celu. Cel uswieca srodki.

Kazimierz Marcinkiewicz

o przywodcach PiS, 2008

O mediach i politykach, czyli cos w rodzaju wstepu

W jednej z moich ulubionych ksiazek, 451? Fahrenheita Raya Bradbury'ego – cudownej opowiesci o tym, jak krucha jest nasza wolnosc i jak latwo sie jej wyrzekamy w imie wygody – powiesciowy szwarccharakter, kapitan Beatty, perswaduje glownemu bohaterowi: "Jesli nie chcesz, by czlowiek byl nieszczesliwy z powodu polityki, nie pokazuj mu dwoch stron zagadnienia. Po co go denerwowac? Pokaz mu tylko jedna strone. A jeszcze lepiej nie pokazuj mu zadnej". Jesli kapitan Beatty ma racje, to typowy polski inteligent zyje w stanie upojnego wrecz szczescia. Zawsze wie, gdzie jest dobro, a gdzie zlo, a jesli nawet na chwile sie zgubi, wystarczy, ze wezmie do reki ulubiona gazete albo ulubiony tygodnik, zerknie w ulubiona telewizje czy wreszcie wlaczy ulubione radio – gdzie jako komentatorzy udzielaja sie zwykle te same osoby, ktorych teksty moze czytac w gazecie i tygodniku. Oczywiscie dowiaduje sie z nich i o tym, ze jest takze jakas druga strona. Ze sa ludzie, ktorzy mysla inaczej od niego, ktorzy nie szanuja oczywistych, powszechnie uznanych autorytetow i kwestionuja oczywiste, powszechnie podzielane prawdy. Dowiaduje sie tez, ze to sa ludzie zli i brzydcy. Zreszta przewaznie sa to ludzie niewyksztalceni, ze wsi i malych osrodkow, starsi. Typowy polski inteligent przez uprzejmosc nie sformuluje tego tak brutalnie, ale i nie zaprzeczy – bo przeciez nie sposob – ze wspomniani ludzie sa po prostu mniej wartosciowi. Nie daja sobie rady na wolnym rynku, nie potrafia sprostac wyzwaniom transformacji wymagajacej zaradnosci, pracowitosci oraz dobrego wyksztalcenia. Stad trawi ich zlosc, frustracja znajdujaca ujscie w nienawisci do lepiej wyksztalconych i lepiej

sobie radzacych. A na tym zeruja populisci.

Populisci nie maja ani uczciwych zamiarow, ani godziwych racji. Populisci po prostu chca zle – najpewniej rowniez z powodow psychologicznych, bo sa to takze ludzie mali, nikczemni, zadni wladzy czy wrecz paranoicy, ktorzy uroili sobie jakichs wrogow, jakis Uklad, ktory w ogole nie istnieje i nigdy nie istnial, i w imie walki z owym urojonym zagrozeniem pragna na wszystkim polozyc lape, a to, na czym wskutek swych oczywistych ograniczen umyslowych lapy polozyc nie moga, chca zniszczyc.

Po populistach i ich poplecznikach mozna sie spodziewac tylko tego, co najgorsze. Burza demokracje, osmieszaja nas i kompromituja w oczach cywilizowanego swiata. Dziela i sklocaja spoleczenstwo. Typowego polskiego inteligenta, uosabiajacego wszystko, co w Polsce najlepsze, nazwali "wyksztalciuchem". Czy trzeba wiecej dowodow?!

Ludzie zyjacy w nakreslonym powyzej swiecie maja liczne powody do lekow i zmartwien. Media, z ktorych czerpia cala swa wiedze o rzeczywistosci, bynajmniej nie kryja, ze swiat ten stale jest zagrozony przez ciemne moce i trzeba nieustajaco zwierac szeregi i wzmagac czujnosc w jego obronie. Ale na swoj sposob nalezec do tego swiata to szczescie. Po pierwsze, jest sie po stronie tych pod kazdym wzgledem lepszych i ladniejszych, a to bardzo przyjemne uczucie wiedziec, ze sie jest lepszym, ladniejszym i po wlasciwej stronie. Po drugie, mozna w ogole zwolnic sie z wszelkiego trudu zwiazanego z poznawaniem faktow, z wyrabianiem sobie wlasnego zdania, z wszelkich owych przykrych obowiazkow, jakie – wedle zasady noblesse oblige, szlachectwo zobowiazuje – wiazaly sie z tradycyjnym inteligenckim etosem.

Jedno i drugie jest szalenie wazne dla tego, co modnie nazywa sie dzis "jakoscia zycia". To drugie nawet wazniejsze. Dawny, przedwojenny inteligent okropnie sie musial meczyc i przejmowac, dzielil wlos na czworo i wciaz sobie zadawal pytanie, kto ma slusznosc. Wezmy takiego Giedroycia i jego Autobiografie na cztery rece, zwlaszcza czesc dotyczaca jego wyborow przedwojennych – ilez tam "ale" i "jednak", ilez moralnych zgryzow, rozdarc. Maj 1926: bronic przed zamachowcami rzadu – bo to legalny, demokratyczny rzad Polski; czy tez wesprzec Pilsudskiego, ktory niesie szanse wyrwania panstwa z impasu partyjniactwa i niemocy? Proces brzeski – potepic, zerwac z

sanacja, bo przeciez to, czego sie dopuscila, to najoczywistszy bandytyzm i zlamanie podstawowych ludzkich praw; czy jednak przyjac do wiadomosci, ze zlamanie sila opozycji powodowane bylo koniecznoscia zachowania sterownosci panstwa, niezbednej, by Polska w ogole mogla marzyc o przeciwstawieniu sie czyhajacym na nia straszliwym zagrozeniom?

Rozterki, problemy – jeszcze po latach opowiadajacy o nich Giedroyc nie wydaje sie do konca pewny, czy postepowal slusznie, czuje potrzebe wytlumaczenia sie i przedstawienia wszystkich "za" i "przeciw", ktorymi sie wtedy kierowal. A przeciez nie byl jedyny. Co musial czuc Eugeniusz Kwiatkowski, wybierajac miedzy osobista lojalnoscia i wiernoscia wyznawanej idei a mozliwoscia realizacji swych wielkich planow rozwoju Polski? A Grabski?

Dobrze, dajmy spokoj nieboszczykom, ksiazka nie o nich. Wazne, ze wspolczesny inteligent w przeciwienstwie do tych, na ktorych etos sie powoluje, meczyc sie nie musi wcale. Wystarczy, ze dumnie nazwie sie "wyksztalciuchem", potwierdzajac tym zarazem i swoje intelektualne szlachectwo, i martyrologie, i ze entuzjastycznie przyjmuje do wiadomosci wszystko, co w danej chwili podaja mu do wierzenia wlasciwe, inteligenckie autorytety i wlasciwe media. Nawet jesli dzis mowia mu one cos zupelnie innego, niz mowily wczoraj, a jutro powiedza cos jeszcze innego. Szczesciarz.

****

No wlasnie, a co mu mowia te wlasciwe media?

To bardzo wazna sprawa – jesli porownamy polskie media z zachodnimi, rzuca sie w oczy niezwykle charakterystyczna roznica. W zachodnich dominuje informacja i analiza. Obowiazuje "zasada pieciu w" – kto, co, gdzie, kiedy, dlaczego (po angielsku: who, what, where, when, why). U nas owe piec "w", elementarz sformulowania niusa, schodzi na bok wobec zadania wazniejszego. Gwiazdom naszego dziennikarstwa (a pod tym pojeciem rozumiem i prominentne osoby, i cale redakcje) nie dosc informowac – chca byc arbitrami w dwoch zasadniczych kwestiach: etyki i estetyki. Poinformowaniu czytelnika, sluchacza

i widza koniecznie towarzyszyc musi udzielenie zasadniczej wskazowki, kto w danym wydarzeniu reprezentuje slusznosc i elegancje, a kto slusznosci nie ma i zachowuje sie odrazajaco.

Nazwalem kiedys ten dziwaczny model dziennikarstwa, rozpanoszony u nas zwlaszcza w dziedzinie komentarza politycznego, moralistyka towarzyszaca (przez analogie do "krytyki towarzyszacej", jak okresla sie wysilek recenzentow sledzacych rynek ksiegarski i na biezaco usilujacych oddzielac na nim ziarno od plew). Zachodni komentator, nawet najbardziej nieprzychylny, powiedzmy, prezydentowi Sarkozy'emu, krytykujac takie czy inne jego posuniecie polityczne, pozostanie przy jezyku polityki. Napisze, ze prezydent popelnia blad, ze zle ocenil sytuacje, ze jego posuniecie przyniesie takie albo inne szkody. Ale raczej nie przyjdzie mu do glowy napisac, ze Sarkozy postapil brzydko, ze przynosi Francji wstyd, ze to, co zrobil, to hanba i podlosc.

Co innego w Polsce. Kto ciekawy, niech wykona prosty test. Prosze w archiwum internetowym "Gazety Wyborczej" i, dla porownania, ktorejs z opiniotworczych gazet zachodnich wrzucic jako slowo klucz jedno z pojec wartosciujacych etycznie albo estetycznie – dajmy na to, wlasnie owa "podlosc". Okaze sie, ze dla komentatorow zachodnich takie kryterium oceniania polityki praktycznie nie istnieje, u nas natomiast jest przywolywane znacznie chetniej niz pojecia z natury do polityki przynalezne.

Polityka to nic innego niz technologia walki o wladze, a scena polityczna to miejsce, gdzie scieraja sie z jednej strony idee i wizje przyszlosci, z drugiej – grupowe interesy, gdzie protagonisci walcza o mozliwosc zrealizowania swoich zamiarow, a obstawiajace to jednego, to drugiego lobbies zalatwiaja swoje sprawy. Pewnie, ze jesli ktos sie uprze, moze wyroznic wsrod bohaterow tych zmagan ludzi bardziej lub mniej przyzwoitych. Podobnie jak mozna w taki sposob oceniac pilkarzy – na pewno da sie wsrod nich wskazac ludzi, ktorzy prywatnie sa bardziej godni szacunku, i takich, ktorzy nan raczej nie zasluguja. Tylko ze dla przebiegu gry, dla wyniku meczu i dla samej Pilki nie ma to wiekszego znaczenia. Wiec kwestia przyzwoitosci pilkarzy, czy tez jej braku, pozostaje poza uwaga dziennikarzy sportowych. Co najwyzej, kiedy jakis slawny zawodnik urznie sie albo da przylapac z prostytutka, jest to jednodniowa sensacja dla tabloidow.

Podobnie z polityka: jest to gra i pojecie przyzwoitosci slabo sie

jej ima. Jesli juz, to korelacja jest negatywna – polityk pozbawiony moralnych hamulcow jest dzieki temu skuteczniejszy, podczas gdy czlowiek przyzwoity przewaznie konczy w polityce jak Marek Jurek czy Ryszard Bugaj. Nie jest to stuprocentowa prawidlowosc, nie twierdze bynajmniej, ze wszyscy politycy to ludzie nikczemni ani ze tylko nikczemnosc pozwala osiagnac w tej dziedzinie sukces; ale nie ulega watpliwosci, ze brak moralnych "przesadow" to dla polityka taki sam atut jak dla koszykarza wysoki wzrost.

Komentowanie polityki z pozycji moralisty to zasadniczo robota glupiego. Co wynika z faktu, ze wieloletni premier Wielkiej Brytanii Tony Blair przez piec lat wodzil swojego zastepce, Gordona Browna, za nos, stale pacyfikujac go obietnica, ze juz wkrotce przekaze mu schede po sobie, i stale w ostatniej chwili wystawiajac go do wiatru? Tylko tyle, ze Blair okazal sie bardziej wytrawnym politycznym graczem od Browna. Z punktu widzenia zwyklej ludzkiej przyzwoitosci robiac rywala w konia, zachowywal sie bez watpienia brzydko. Ale, bo ja wiem, dla Wielkiej Brytanii pewnie bylo lepiej, ze przez piec lat bardzo trudnych, pelnych wazkich wyzwan w polityce miedzynarodowej ster panstwowej nawy pozostawal w rekach cwaniaka, niz mialby byc w rekach naiwniaka.

Takie przyklady mozna by mnozyc. Wspomniany juz Sarkozy nie zrobilby kariery, gdyby w odpowiedniej chwili nie zdradzil umiejetnie i nie wystawil do wiatru swego mentora i protektora George'a Pompidou, wykorzystujac moment, gdy tamten znalazl sie byl w szpitalu. I nie zostalby prezydentem swojego kraju, gdyby potem, rowniez w odpowiedniej chwili, nie zwrocil sie przeciwko swemu kolejnemu dobrodziejowi, Jacques'owi Chiracowi. Angela Merkel nic by nie osiagnela, gdyby nie umiala bezwzglednie i skutecznie wyeliminowac konkurentow do partyjnego przywodztwa. Zaden Anglik, Francuz czy Niemiec nie bedzie sie na tym skupial; dla jego oceny kazdej z przywolanych postaci wazne jest, co ktora z nich zrobila dla kraju.

Brutalnie to ujmujac – polityka mozemy nazywac uczciwym, kiedy nie bierze lapowek albo, jak Helmut Kohl, w calosci oddaje je do lewej kasy swojej partii. Ale o codziennych, potocznych kryteriach przyzwoitosci, takich, jakie stosujemy w zyciu prywatnym, w ogole lepiej w ocenie ludzi wykonujacych ten zawod zapomniec. Bez talentu do intryg, bez braku skrupulow w eliminowaniu rywali, w rozgrywaniu ludzi, podpuszczaniu ich i oszukiwaniu nie ma czego w tym fachu szukac. I kiedy slysze, ze

powinienem glosowac na taka akurat partie, bo tworza ja ludzie przyzwoici, a nie na inna, bo w tamtej sa ludzie nieprzyzwoici, to nie wiem, czy sie smiac z naiwnosci osoby te farmazony wyglaszajacej, czy zzymac, ze dopuszcza sie tak grubego intelektualnego naduzycia.

Pije oczywiscie do bardzo konkretnego wydarzenia z przelomowej dla najnowszych dziejow Polski kampanii wyborczej – do goracego zaangazowania Wladyslawa Bartoszewskiego po stronie Platformy Obywatelskiej, przeciwko Prawu i Sprawiedliwosci. Bartoszewski jest oczywiscie postacia nietuzinkowa: byly wiezien Auschwitz i powstaniec warszawski, dzialacz antykomunistycznej opozycji, w PRL byl wieziony, przesladowany i na rozne sposoby sekowany – uniemozliwiono mu na przyklad obrone pracy magisterskiej. (Nawiasem, fakt, iz formalnie w rozumieniu polskiego prawa Bartoszewski nie jest nie tylko profesorem, ale nawet magistrem, z jednej strony stanowi przedmiot niezdrowej demaskatorskiej ekscytacji, a z drugiej tabu. Przyznam, ze zupelnie nie rozumiem – dla mnie to, iz takiego czlowieka jak Bartoszewski mozemy tytulowac profesorem tylko dzieki jego pracy na uczelni zagranicznej, jest jeszcze jednym oskarzeniem systemu peerelowskiego i niczym wiecej). Do momentu wspomnianej kampanii pozostawal Bartoszewski jednym z ostatnich w Polsce ludzi, w ktorych mozna bylo widziec Autorytet we wlasciwym sensie tego slowa, a wiec bezstronnego arbitra, nieprobujacego swej Cnoty zamienic na zadna inna walute, oceniajacego sprawy nie wedlug wlasnych interesow czy urazow, a wylacznie wedlug wartosci wyzszych. Powiem od razu, ze w moim przekonaniu swoim wyborczym zaangazowaniem te pozycje utracil. Nie dlatego, ze sie zaangazowal w kampanii po stronie konkretnej partii, ale z uwagi na sposob, w jaki to zrobil.

Sposob skadinad bardzo w duchu, w jakim znaczna czesc mediow przedstawia w Polsce polityke od kilkunastu lat. A przedstawia ja jako starcie sil Swiatla i Ciemnosci. Jako zderzenie jednoznacznego Dobra z jednoznacznym Zlem, czy wlasnie, ujmujac to nieco mniej patetycznie, przyzwoitosci z jej brakiem. Skoro pan Bartoszewski rozczarowal sie do braci Kaczynskich, a mial ku temu powody solidne, acz natury raczej osobistej – to oglosil, ze druga strona jest ponad wszelka krytyka, jest po prostu Dobrem, przyzwoitoscia wcielona. I zareczyl za nia calym swoim wspanialym zyciorysem.

Niezbyt madrze, moim skromnym zdaniem. Bo zareczyl przeciez za partie i za polityka. Za polityka, ktory na przyklad niecale dwa

lata wczesniej wysiudal z premierowania Kazimierza Marcinkiewicza prosta zagrywka. Kiedy owczesny premier poprosil Tuska, wowczas przywodce opozycji, o poufne spotkanie, ten przystal na propozycje i natychmiast po cichu poinformowal o terminie i miejscu owego spotkania dziennikarzy. Sprawa zostala naglosniona i, jak nalezalo sie spodziewac, pobudzila do dzialania prezesa partii, ktora desygnowala Marcinkiewicza na szefa panstwa, czyli Jaroslawa Kaczynskiego. Kaczynski nie ufal Marcinkiewiczowi juz wczesniej, ale sklonny byl jeszcze przez czas jakis godzic sie z jego premierowaniem. Tuskowi bylo to nie na reke, wiec rozegral sprawe tak, jak rozegral. W polityce, rzec mozna, normalka – niemalo podobnych intryg i intryzek trzeba bylo namotac, by wyeliminowac dwoch pozostalych z trojki zalozycieli Platformy Obywatelskiej, a potem jeszcze Zyte Gilowska i Jana Rokite.

Co to ma wspolnego z przyzwoitoscia? Czy tak prywatnie czlowieka, ktory sie z nami poufnie umawia, zapewniajac o swej dyskrecji, i natychmiast celowo rozpowszechnia, czego sie dowiedzial, bo oto dalismy mu okazje do zdyskredytowania siebie, Wladyslaw Bartoszewski naprawde uwaza za wzorzec przyzwoitosci?

Wspomniane wydarzenie – to znaczy wyeliminowanie Marcinkiewicza z funkcji premiera – postawilo Jaroslawa Kaczynskiego w trudnym polozeniu, bo dotychczasowy premier okazal sie wielkim talentem w dziedzinie pijaru i zamiast, jak pewnie sie spodziewano, "zuzyc sie" na piastowanym stanowisku, dorobil sie na nim ogromnej popularnosci. Jako taki mogl po usunieciu z funkcji stworzyc powazne zagrozenie dla prezesa PiS. Kaczynski poradzil sobie jednak genialnym w swym cynizmie manewrem. Zaproponowal Marcinkiewiczowi kierowanie Narodowym Bankiem Polskim, a byly premier naiwnie dal sie wpuscic i zamiast co predzej oznajmic publicznie, ze nie czuje sie godny, zaczal z punktu wystepowac w roli przyszlego prezesa. Oczywiscie osmieszono go blyskawicznie, wykazujac, ze jako nauczyciel fizyki z Gorzowa nie ma do tej funkcji wymaganych kwalifikacji. Marcinkiewicz pewnie liczyl sie, ze zostanie z tej strony zaatakowany, ale chyba skalkulowal, ze ranga prezesa NBP jest tego warta i ze mu sie to oplaci – zwlaszcza ze mogl sie bronic, wskazujac, ze odkad zarzucil prace pedagogiczna, zajmowal sie pare lat publicznymi finansami w komisji sejmowej i kierowal paroma sporymi przedsiewzieciami, w tym calym panstwem. Nie zauwazyl, iz w wypadku prezesury NBP o wymogu doswiadczenia na kierowniczym stanowisku w bankowosci mowi

wyraznie ustawa. Tymczasem prezes PiS w decydujacym momencie rozlozyl rece i zamiast trwac przy swej nominacji, oznajmil: no coz, wyznaczylem Marcinkiewicza, ale tylko jako kandydata, a rozstrzyga konkurs, skoro zas ustawowe kryteria wyraznie go dyskwalifikuja, to co ja poradze, sorry, Winnetou… Ciekawe, ze sam Marcinkiewicz, w tak krotkim czasie dwukrotnie publicznie upokorzony i wystrychniety na dudka, a po drodze jeszcze zanotowawszy przegrana w wyborach na prezydenta Warszawy, nie wszedl w poze pokrzywdzonego i obrazonego na caly swiat, jak niedlugo pozniej po wykiwaniu przez Tuska mial sie zachowac Kaczynski – zacisnal zeby, przyswoil otrzymana lekcje i wycofal sie do Londynu. Skad zreszta, gdy przyszla sposobnosc, skorzystal z okazji, zeby sie na Kaczynskim zemscic. W goracym okresie sporow o legalnosc prowokacji CBA przeciwko Lepperowi, w chwili najwiekszego nasilenia oskarzen wobec Kaczynskiego, ze stosuje wobec wszystkich nielegalna policyjna inwigilacje, Marcinkiewicz nagle wyznal dziennikarzom, ze wie na pewno, iz takze on jako premier byl podsluchiwany i sledzony przez specsluzby.

Wspomniana wyzej wyborcza przegrana Kaczynskiego z Tuskiem – pozostanmy jeszcze przez chwile przy tajnikach politycznej kuchni – w znacznym stopniu byla wynikiem przegranej przez tego pierwszego telewizyjnej debaty W debacie tej Tusk sprawil wrazenie kompetentnego, bo mowil rzeczowo, konkretnie i spokojnie, a Kaczynski wrecz przeciwnie, poniewaz platal watki, nie miescil sie w czasie i w ogole wyraznie byl rozbity. Przyczyna tego stanu rzeczy dla nikogo, kto sie sprawa interesowal, nie jest tajemnica – sztab Tuska bezwzglednie wykorzystal blad przeciwnikow, jakim byla zgoda na obecnosc w studio publicznosci. Co prawda zgodnie z zawarta umowa publicznosc mogla jedynie nagradzac owacja swoich liderow, a nie wolno bylo jej tupac, gwizdac badz w inny sposob okazywac dezaprobaty liderowi przeciwnikow. Ale sztab Platformy slusznie zalozyl, ze kiedy juz cala sprawa znajdzie sie na wizji, nikt nie zdola umowy wyegzekwowac, wymagaloby to przeciez zerwania debaty, na co zaden z prowadzacych ja dziennikarzy sie nie odwazy. Usadzona wiec Kaczynskiemu za plecami druzyna, zapewne odpowiednio do tego dobrana i przeszkolona, bezustannie wybijala go z rytmu tupaniem, buczeniem i obelzywymi okrzykami.

Az dziwne, ze tak wytrawny gracz jak Kaczynski dal sie nabrac na tak prosty numer, bedacy przeciez w pewnym sensie powtorka z innej, rowniez decydujacej dla wyniku wyborow debaty, jaka w

roku 1995 stoczyli miedzy soba Lech Walesa i Aleksander Kwasniewski. Ten drugi przed wlaczeniem kamer kilkoma celowymi nietaktami wkurzyl Walese na maksa i wyprowadzil go z rownowagi, a potem, juz podczas transmisji, lamiac bezczelnie ustalenia pomiedzy komitetami wyborczymi (bo w takich debatach ustala sie najdrobniejsze szczegoly – na przyklad ten, ze przez caly czas obaj uczestnicy pozostana na swoich miejscach), podszedl do Walesy z wyciagnieta reka. No i udalo sie, Walesa wybuchnal, nakrzyczal na Kwasniewskiego, ze ten "ani me, ani be, ani kukuryku" i ze moze mu podac co najwyzej noge. Efekt zostal osiagniety, historyczny przywodca Solidarnosci wyszedl na agresywnego chamusia, w kontrascie do ugrzecznionego przywodcy lewicy, i sondaze, dotad dla Walesy zyczliwe, nazajutrz sie odwrocily.

Nieladne zagranie? Pewnie. Bic ludzi w twarz tez jest nieladnie, a kto bedzie robil z tego zarzut zawodowemu bokserowi?

Nawiasem mowiac, krotko po wyborach "spin-doktor" Platformy udzielil wywiadu w "Wyborczej", zdradzajac rozmaite szczegoly kampanii; Donald Tusk, pytany o to, uznal ow wywiad za przejaw samowoli wspolpracownika. Akurat. Marketingowiec, ktory by sobie pozwolil gadac o szczegolach kampanii bez wiedzy i zgody zleceniodawcy, bylby skonczony – ludzie tej branzy doskonale wiedza, ze ich przyszlosc zalezy od umiejetnosci trzymania sie w cieniu i zachowywania dyskrecji. W istocie wspomniany wywiad, w ktorym generalnie malo co zostalo powiedziane, sluzyl wylacznie ogloszeniu "sensacji", jakoby Jaroslaw Kaczynski wypadl w debacie zle, bo na poczatku nie mogl otworzyc etui z okularami i to go tak wybilo z rownowagi, ze potem mu sie wszystko poplatalo. Musze przyznac, ze podczas calego mojego kilkunastoletniego dziennikarzenia rzadko zdarzalo mi sie czytac cos rownie glupiego – coz, w politycznej kuchni kitu uzywa sie rownie rutynowo jak normalnej soli. Sam fakt jednak, ze posunieto sie do rownie glupiego klamstewka, wydaje sie symptomatyczny; zagranie podczas debaty, choc skuteczne, na tyle nie przystawalo do wyborczego wizerunku Platformy, iz postanowiono bajeczka o zatrzasnietych okularach nieco zneutralizowac wymowe faktow.

Zeby nie bylo nieporozumien – nie trafilo na niewiniatko. Osobiscie pamietam Kaczynskiego z polowy lat dziewiecdziesiatych, z czasow oslawionego procesu "integrowania prawicy", w ktorym bralem pewien udzial jako zaangazowany wowczas w polityke naiwny mlodzian, wierzacy, ze

liderom wszystkich uczestniczacych w tym prawicowych partyjek, pomiedzy ktorymi trudno bylo przeciez wskazac jakies znaczace roznice programowe, naprawde chodzi choc troche o Polske i o Sprawe – podczas gdy kazdemu z nich chodzilo o to, zeby wydudkac rywali i zdobyc samemu pozycje tego jedynego, na ktorego caly, obliczany na jedna trzecia, w porywach do polowy Polakow, prawicowy elektorat bedzie zmuszony zaglosowac, chocby zaciskajac przy tym zeby. Prawicowi wyborcy oczekiwali wtedy polaczenia roznych prawicowych partyjek w jedna, wielonurtowa – na ksztalt amerykanskiej Partii Republikanskiej czy brytyjskich Konserwatystow – partie, w ktorej mogliby ze soba wspolpracowac liderzy odpowiadajacy roznym rodzajom prawicowej wrazliwosci, od Korwina po Olszewskiego. Prawicowi politycy natomiast zakladali wszyscy, ze "zjednoczenie" prawicy rozegrac sie musi tak, jak kilka lat wczesniej dokonalo sie "zjednoczenie" ruchu ludowego – po prostu jeden z pieciu peeseli zepchnal pozostale w niebyt. Tamto "zjednoczenie" poszlo szybko i dzis malo kto o nim pamieta, bo peerelowskie ZSL dzieki posiadanemu majatkowi zdecydowanie dominowalo nad posolidarnosciowa konkurencja; w wypadku prawicy sily byly mniej wiecej wyrownane, wiec "integracja" ciagnela sie w nieskonczonosc. A poniewaz oczekiwanie wyborcow bylo takie, jakie bylo, zaden z jej uczestnikow nie mogl otwarcie powiedziec prawdy – ze tak czy owak, nie zamierza z rywalami wspolpracowac, tylko ich wykonczyc. Wrecz przeciwnie; kazdy z nich staral sie pokazac jako ten, ktory najszczerzej pragnie zjednoczenia, najwiecej jest gotow oddac i poswiecic, tylko wlasnie ci pozostali z egoistycznych pobudek nie wychodza mu naprzeciw.

Przypominam sobie, jak to rozgrywal owczesny szef Porozumienia Centrum. Swego czasu na przyklad rzucono pomysl, by szefowie prawicowych partyjek zjechali sie w pewnym dworku za miastem, przedyskutowali pomysl konkretnego wspoldzialania, w istocie chyba calkiem niezly, i potem wspolnie go oglosili jako jednolite stanowisko zaaprobowane przez wszystkich. Kaczynski tak jak pozostali przyjal zaproszenie i w czasie, gdy inni jechali jak glupi na spotkanie, zwolal szybko konferencje prasowa, na ktorej oglosil zaproponowany plan jako swoja wlasna daleko idaca propozycje dla innych liderow prawicy. Gdy wyprowadzeni w pole rywale dotarli na miejsce, telewizja juz mowila o nowej inicjatywnie prezesa PC, a prawicowa czesc wyborcow klela pozostalych, ze nie chca sie do tak swietnej inicjatywy przylaczyc. "Z Kaczorem to nie wiadomo,

czy go lepiej cierpiec w namiocie, czy wyrzucic", skomentowal to pozniej jeden z wykiwanych. "Bo jak sie go wpusci do namiotu, to w nim nasika, a jak sie go wyrzuci, bedzie uganial dookola i obrywal sznurki".

Owo pozorowanie dzialan "zjednoczeniowych", uwienczone nieslawnym Konwentem Swietej Katarzyny, do dzisiaj przywolywane bywa przez komentatorow jako symbol politycznej nieudolnosci. Niesluszne; jak napisalem wyzej, kompletna jalowosc "integracyjnych" inicjatyw wynikala nie z nieudolnosci, ale z faktu, ze wszyscy ich uczestnicy nie mieli na prawdziwa integracje najmniejszej ochoty, udawali wiec i czekali na odpowiedni moment – a kazdy mial tu, jak sie mawialo u mnie na wsi, swoje wlasne wyrachowanie. Jan Olszewski czekal na wybory prezydenckie, liczac na swa charyzme i legende "nocnej zmiany". Ostatecznie okazalo sie zreszta, ze mial racje, tylko ze gdy odniosl wzgledny sukces – siedem procent glosow – ktory wystarczyl, zeby uczynic go niekwestionowanym liderem oczekiwanej przez wyborcow Wielkiej Prawicy, to kompletnie go zmarnowal. Jaroslaw Kaczynski zas wyciagnal wnioski ze wspomnianego przed chwila starcia ZSL z malymi posolidarnosciowymi peeselami i uznal, ze ostatecznie zbuduje polska prawice ten, kto bedzie mial odpowiednie zaplecze finansowe. Dlatego w przeciwienstwie do innych centroprawicowcow wykazal sie zapobiegliwoscia, tworzac za panstwowe pieniadze spolke "Telegraf" i Fundacje Prasowa Solidarnosci. Prawa przy tym nie zlamal, ale zrobil dokladnie to, co w tym samym czasie robili postkomunisci i udecja, choc na mniejsza skale. Atakowany pytaniami, jak moze jednoczesnie krytykowac uwlaszczanie nomenklatury i korzystac z jego wzorcow, odpowiadal w tym mniej wiecej duchu, ze jak sie chce wygrac, to trzeba grac w to samo co rywale. Zreszta zacytujmy: "Nam [Porozumieniu Centrum] postawilo sie alternatywe: albo stojcie z tuba na rogu ulicy, jesli was bedzie stac na tube, i sobie krzyczcie, co chcecie; albo jesli chcecie stworzyc tutaj jakas realna sile spoleczna, do ktorej potrzebne sa pieniadze, to wezcie wode w usta, mowcie, ze wszystko jest OK, nie ma zadnych czerwonych, zadnej nomenklatury. Otoz my taki wybor odrzucamy". Dodajmy, ze w tym politycznym cynizmie rzeczywiscie okazal sie Kaczynski od swych prawicowych rywali madrzejszy: ostatecznie wszak do stworzenia "realnej sily spolecznej" na prawicy doszlo nie poprzez polaczenie licznych pretendujacych do tego osrodkow, ale w drodze eliminacji przez jeden z nich pozostalych, i rzeczywiscie, zadecydowalo wlasnie

posiadane zaplecze finansowe i organizacyjne. Tyle tylko, ze o ile ze swa fundacja mogl sie Kaczynski kusic o zdominowanie Olszewskiego, Macierewicza czy Parysa, to w chwili gdy w sprawe wdal sie zwiazek zawodowy "Solidarnosc", zasilany kasa na zasadach ustawowych, okazal sie wobec niego takim samym golcem, jak cala reszta. Istotne dla jego politycznego zyciorysu jest to, ze wolal wowczas zdezawuowac cala swiezo powstala zjednoczona prawice (to on wszak nazwal ja TKM-em; nie rozwijam skrotu, bo kazdy wie, co on oznacza) i pojsc w odstawke, niz przyjac przegrana do wiadomosci i zadowolic sie rola jednego z liderow AWS, z formalnym tytulem jej wiceprzewodniczacego (bo taka propozycje otrzymal od Mariana Krzaklewskiego), ale bez mozliwosci decydowania o zasadniczych dla formacji sprawach. Mimo iz ta odstawka mogla okazac sie definitywna polityczna smiercia. Na to sie przeciez zanosilo i tak by sie stalo, gdyby Jerzy Buzek nie uczynil Lecha Kaczynskiego ministrem sprawiedliwosci, dajac mu w ten sposob szanse na zdobycie popularnosci haslami zdecydowanej walki z przestepczoscia, a jego bratu podstawe do powrotu na scene polityczna. Zeby nie stracic z oczu, na czym polega skuteczna polityka, zauwazmy przy tym, ze aby te szanse wykorzystac, Lech Kaczynski musial spelnic jeden warunek – w trudnej dla Buzka chwili odwdzieczyc sie za doznane mu dobrodziejstwo wbiciem noza w plecy. I zrobil to, najpierw z hukiem odchodzac z rzadu, a potem wspoltworzac z bratem PiS, co oznaczalo pozbawienie oslabionej AWS szans na ponowne wejscie do sejmu.

W tym samym czasie Tusk wraz z Plazynskim i Olechowskim, wowczas jeszcze uwazany za najslabszego w tym triumwiracie, bardzo podobnym manewrem wbicia noza w plecy odeslal w polityczny niebyt Unie Wolnosci. Tak ksztaltowala sie scena, na ktorej mialo odbyc sie przedstawienie pod tytulem Czwarta Rzeczpospolita. I jest to osobna historia. Ciekawa, ale naprawde niemajaca nic wspolnego z przyzwoitoscia, i to po zadnej ze stron.

Kanclerz Bismarck powiedzial kiedys, ze prosty czlowiek nie powinien wiedziec dwoch rzeczy – jak sie robi kielbase i jak sie robi polityke. Ja od kilkunastu lat obserwuje to drugie i poniewaz dieta wegetarianska jest dla mnie zbyt niewazka, o robieniu kielbasy naprawde nie chce wiedziec nic. Nazwe polityka dobrym, jesli przekonam sie, ze wszystkich owych brudnych sztuczek, ktore sa przypisane do jego zawodu, uzywa on nie dla dogodzenia wlasnej rzyci, ale po to, aby zrealizowac jakas wizje, jakis dobry dla kraju i dla ludzi pomysl, ze, krotko mowiac, nie traci z oczu

jakiegos wyzszego dobra. W koncu marszalek Pilsudski tez mial na sumieniu sporo brudu, z polityczna zbrodnia – zamordowaniem generala Zagorskiego – wlacznie, i Polska mu wybaczyla, uznajac, ze bylo to pro publico bono, nie dla korzysci prywatnych.

Ale jesli ktos chce uzywac w opisie polityki argumentow moralnych, jesli chce mi wciskac swoich faworytow nie jako skuteczniejszych i bardziej w sumie dla ojczyzny pozytecznych, ale jako tych Etycznych walczacych z tymi Nieetycznymi, to na to moge powiedziec tylko jedno, krotko, cytatem z pisarza, ktory wychowal cale pokolenia Polakow: "Warciscie siebie nawzajem, wy i hultajstwo". Nie dam sie robic w konia i innym tez odradzam.

****

Wszyscy – mam nadzieje – znaja przeslawny wiersz Zbigniewa Herberta Potega smaku. Wiersz kanoniczny dla sprzeciwu przeciwko peerelowi, wywodzacy ow sprzeciw z obrzydzenia "wnuczetami Aurory" i ich retoryka "nazbyt parciana" – "lancuchy tautologii, pare pojec jak cepy, dialektyka oprawcow, zadnej dystynkcji w rozumowaniu – skladnia pozbawiona urokow koniunktiwu". W jakiejs karykaturalnej, spoczwarzonej formie emocje tego wiersza zostaly spozytkowane przez formacje, ktora zwyklem nazywac michnikowszczyzna. Estetyka, ktora w niewoli byla pomocna zyciu, w wolnej Polsce okazala sie bardzo pomocna politycznej propagandzie. Jak wiele innych chorob, tak i choroba niszczaca polska debate publiczna miala poczatki bardzo piekne, a nawet wzniosle.

Bo to rozplenienie sie w debacie publicznej moralistyki towarzyszacej, to uporczywe skupianie uwagi obywateli na stylu polityki, zamiast na jej tresci, jest jedna z glownych przyczyn – i zarazem jednym z glownych objawow – dla ktorych polska polityka ulegla kompletnemu skretynieniu.

Dla utrzymywania naszego opisanego tu szczesciarza w poczuciu szczescia jest to skretynienie niezwykle wygodne. Dla dziennikarzy, ktorym szczesciarz ufa, takze. Bo gdy ktos chce powaznie zajmowac sie polityka – a prawdziwy inteligent powinien sie nia zajmowac, poniewaz od polityki zbyt wiele

zalezy, aby pozwalac sobie na luksus jej ignorowania – musi poznawac racje i argumenty i wazyc je. Na ogolna ocene takiego czy innego polityka, takiej czy innej formacji wplywa mnostwo konkretnych spraw. Kwestii gospodarczych i spolecznych, uwarunkowan polityki miedzynarodowej, koniunktur i dekoniunktur. By toczyc spor o polityke, a tym bardziej by te polityke ludziom z pozycji komentatora objasniac, trzeba liznac troche ekonomii, troche prawa, wiedziec co nieco o obowiazujacych traktatach, o ponadpanstwowych organizacjach i tak dalej.

Etyka i estetyka natomiast nie podlegaja rzeczowej weryfikacji. Nie sposob tu czegokolwiek ustalic ponad wszelka watpliwosc. Zeby przedstawic polityczna gre w jej calym skomplikowaniu, trzeba odgadnac, kto w co gra, ocenic, jakie ma szanse, jakie sa mozliwe warianty rozwoju sytuacji, co z tego moze wyniknac. I nawet nie ma sie po calej tej pracy szansy na wyrazista pointe. Bo zawsze sie okazuje, ze i ta strona, i tamta maja swoje racje, ze ostateczna ocena zalezy od tego, ktora z nich trafnie odczytala rzeczywistosc, a przeciez jaka ta rzeczywistosc jest, diabli tak naprawde wiedza, z jako taka pewnoscia bedzie sie mozna tego dowiedziec dopiero z podrecznika historii wydanego za pol wieku, a i wtedy jeszcze beda sie o te czy inne szczegoly toczyly zazarte spory.

Jesli natomiast przewerksluje sie cala sprawe na kwestie, kto reprezentuje tu wartosci, a kto niskie pobudki, kto niesie w sobie majestat intelektualnych salonow, a kto jest zaplutym kurduplem, wszystko sprowadza sie do kwestii zaufania. Argument zostaje zastapiony przez autorytet. Dlaczego dobrzy sa nie tamci, a wlasnie ci? Bo po ich stronie opowiadaja sie pan A – bohater podziemia, pan B – wybitny naukowiec, i pan C – wielki artysta.

Rzecza od zawsze mnie nurtujaca jest, dlaczego polska inteligencja w swej masie tak ochoczo to kupuje. Czy tylko poprzez swa umyslowa ociezalosc, owo intelektualne lenistwo i brak smialosci myslenia, na ktore swego czasu zzymali sie i Norwid, i Dmowski, i Brzozowski, i Giedroyc, i Pruszynski, i nie zliczyc ilu jeszcze innych naszych wielkich? Czy to tylko efekt marnej jakosci naszych elit, przetrzebionych Katyniem i Palmirami i poddanych polwieczu peerelowskiej demoralizacji?

Przyczyn jest pewnie wiele. O jednej z istotniejszych, a zarazem najmniej wstydliwej juz wlasciwie napisalem, przywolujac wiersz Herberta. To dziedzictwo antykomunistycznej opozycji, ktorej

spor z rezimem nie odbywal sie przeciez wokol spraw praktycznych, wobec konkretnych politycznych problemow czy wyzwan – toczyl sie wlasnie na plaszczyznie obrony przyzwoitosci przed rozpanoszonym lajdactwem. Ogromna wiekszosc z tych, ktorzy poswiecali sie dla Solidarnosci lub wczesniej jeszcze dla KOR, ROPCiO czy KPN, nie liczyla na sukces, nie zastanawiala sie wcale, czy sa socjalistami, czy liberalami, chadekami albo konserwatystami. Nie podejmowali sporu politycznego, choc w zalganym jezyku oficjalnym tych czasow wlasnie o "polityke" ich oskarzano. Oni po prostu chcieli byc po stronie bitych przeciwko tym, ktorzy bija, po stronie nekanych i wyrzucanych z pracy, obdzieranych z godnosci, ponizanych.

To sie stalo szczegolnie wyrazne po stanie wojennym, kiedy juz przeciez nikt, kto mial odrobine oleju w glowie, na czele z samymi funkcjonariuszami PZPR, LWP i MSW, nie wierzyl za grosz w Marksa, Engelsa i Lenina. Wiadomo bylo po prostu, ze w peerelu, aby zrobic kariere, trzeba zostac swinia, i sami karierowicze mieli swiadomosc, ze w imie lepszego zycia, domu, samochodu i mozliwosci wyjazdow za granice dokonali takiego wlasnie wyboru. Dlatego potem w wolnej Polsce bardzo wielu z nich marzylo o tym, aby do zdobytego dzieki zeswinieniu sie majatku moc jeszcze dolaczyc, tytulem ukoronowania kariery, swego rodzaju "odswiniajacy certyfikat" – zostac przez slawnego dzialacza podziemia pochwalonym na lamach i dopuszczonym do wspolnego picia wodki. Te ich potrzebe doskonale wyczul Adam Michnik, czyniac z bruderszaftow z takimi wlasnie swiniami glowny sposob realizacji swoich politycznych celow – pisalem juz o tym, nie chce sie powtarzac. Dla naszej obecnej rozmowy wazne jest tylko przypomnienie owczesnej sytuacji psychologicznej:

"Oni" mieli wladze, pieniadze, palki i czolgi – lecz "my" mielismy moralna wyzszosc; tak to powszechnie postrzegano.

Ale potem Solidarnosc w zderzeniu z prawdziwa polityka rozprysla sie w kawalki, jak magiczne zwierciadlo Krolowej Sniegu – i kazdy z jej dziedzicow, ktorym sie te kawalki dostaly, uznal, ze owa moralna wyzszosc dziedziczy. Cala, a przynajmniej wieksza jej czesc. O to wlasnie stoczona zostala fatalna w skutkach "wojna na gorze", o to szlo w najglebszym planie sporu pomiedzy zwolennikami lustracji i dekomunizacji z jednej, a calkowitego zapomnienia bylym komunistom ich przewin z drugiej strony. A ten spor wciaz przeciez w znacznym stopniu

organizuje polska polityke i w jeszcze wiekszym klotnie o idee, choc coraz liczniejsza jest grupa wyborcow, ktorym wydaje sie on rownie odlegly, jak klotnie "Bialych" z "Czerwonymi" w powstaniu styczniowym.

Pamiec materialu: Polacy przez wiele pokolen nie znali polityki. Samo pojecie oznaczalo przez wiele lat tyle, co sprzeciw, co upominanie sie o wartosci, o uczciwosc. ("Tylko nie zajmujcie sie polityka!", przestrzegal komuch literatow, ksiezy czy dzialaczy spolecznych przed ujmowaniem sie za czyjas krzywda). To powoduje zywy do dzis odruch dopatrywania sie w polityce walki Dobra ze Zlem, ktora ona wcale nie jest. Czesciej juz bywa starciem roznie rozumianego Dobra, z ktorych kazde wyklucza jakiekolwiek inne. To zreszta strasznie niebezpieczna sytuacja. Stanislaw Lem opisal w swojej Wizji lokalnej planete Encje, gdzie dwie potezne intencje Dobra starly sie z taka moca, ze kamien na kamieniu nie pozostal. Czasem wydaje mi sie, ze byla to prorocza wizja, co musi nastapic po nieuchronnie nadchodzacym ostatecznym rozsypaniu sie (powiesc pochodzi z konca lat osiemdziesiatych) peerelu.

W kazdym razie uporczywe wtlaczanie politycznej gry w paradygmat wojny Dobra ze Zlem, w jakis sposob porownywalnej z walka, jaka toczono w PRL z obca, narzucona nam przemoca wladza, wynika nie tylko z lenistwa pracownikow mediow i ich swiadomej stronniczosci – w znacznym stopniu jest ono takze wymuszane przez czytelnikow, sluchaczy i widzow. Doskonale ujawnia sie to na rozmaitych forach internetowych, umozliwiajacych odbiorcom dopisywanie do wiadomosci badz tekstu dziennikarskiego swoich komentarzy. Rzadko tam zagladam, poniewaz nie jest to w najmniejszym stopniu ksztalcace, ale ilekroc zajrze, jakies dwie trzecie dopiskow okazuje sie poswiecone ustalaniu, czy autor jest za, czy przeciw. W przypadku ostatnich dwoch lat jest to glownie ustalanie, czy jest za PiS, czy przeciwko PiS.

***

Prosty przyklad, co wynika ze zdominowania debaty publicznej przez moralistyke towarzyszaca. Ogladam sobie dnia pewnego telewizje, gdzie wystepuje akurat pewna bardzo opiniotworcza publicystka lewicy (oczywiscie, poza mna nikt jej nigdy tak nie nazwie – choc jesli gdziekolwiek pojawie sie ja, Semka, Wildstein czy Karnowski, to mowy nie ma, aby nie pojawilo sie okreslenie "dziennikarz prawicowy". Po prostu w paradygmacie wyznaczonym przez michnikowszczyzne dziennikarze dziela sie nie na prawicowych i lewicowych, ale na prawicowych i normalnych). Dyskusja, jakich w mediach setki: Kaczor zly, demokracja zagrozona, Giertych zly, demokracja zagrozona, Lepper… – i ot, nagle przerywam co tam akurat robie i zaczynam ogladac uwazniej – Lepper, oznajmia nieoczekiwanie pani redaktor, to jedyne pozytywne zaskoczenie tego rzadu. Bo, okazuje sie, w rzadzie pelnym dyletantow to jedyny prawdziwy fachowiec, no i przy wszystkich, oczywiscie, zastrzezeniach, jakie istnieja, trzeba przyznac, ze jako minister rolnictwa sprawdza sie on bardzo dobrze.

Pani redaktor oglasza te fachowosc Leppera tonem nieznoszacym sprzeciwu, jako rzecz oczywista, i to mnie specjalnie nie dziwi, bo wszystkie opinie zwykla wyglaszac w taki sposob, taki po prostu ma styl. Jej rozmowcy nie protestuja i to juz troche dziwne jest, bo choc z jednej strony mozna zrozumiec, iz maja nawyk zgadzania sie z opiniotworcza publicystka, to z drugiej samo slowo "Lepper" dzialalo na nich zawsze jak czerwona plachta na byka.

Panstwo byc moze juz nie pamietaja, poniewaz wyrokiem wyborcow osobnik ow zniknal z naszej sceny politycznej i tym samym przestal budzic emocje, ale w chwili, ktorej moja opowiesc dotyczy, przewodniczacy Samoobrony od lat robi za szwarccharaktera, uosobienie populizmu, chamstwa, agresji; zreszta jak dotad wszystko to pracowalo na jego korzysc. Lepper to cwany prymityw, ktorego obecnosc na scenie politycznej jest gigantyczna kompromitacja, polityczny bandyta z setka procesow na karku, no, nie ma co rozwijac, po prostu dno. Przy czym odkad dogadal sie z Kaczynskim i wszedl do jego rzadu, stal sie potworem niejako do kwadratu. Ale tez wlasnie od tego momentu jego wizerunek w mediach stal sie jeszcze czarniejszy, by tym

wyrazniej narodowi pokazane zostalo, do jakiego stopnia zawarcie koalicji z kims takim jest dla Kaczynskiego niezmywalna hanba.

A tu nagle publicystka arcysalonowej "Polityki", wyznaczajacej kierunki myslenia postpeerelowskiego establishmentu, zdejmuje z niego cale to smierdzace odium i oglasza jedynym fachowcem w "tym" rzadzie?

Dodam jeszcze jedno: opinie te wyglasza dziennikarka, ktora trudno lubic, lecz ktorej nie sposob odmowic, ze zwykle jest w sprawach, jakie porusza, bardzo kompetentna, zna doskonale odnosne ustawy, obsady konkretnych stanowisk, stan prac nad taka czy inna zmiana w legislacji. A ja nie bede udawal, ze sie jakos szczegolnie znam na rolnictwie, ale pewna orientacje, chocby z racji rozmow z sasiadami, mam – i wiem doskonale, ze twierdzenie, jakoby Lepper sprawdzal sie na stanowisku ministra rolnictwa, to bzdura wierutna. Przeciwnie, facet rozbija sie po kraju karawana limuzyn, zeby przed kamerami popisywac sie wspolczuciem dla dotknietych susza rolnikow, i bardzo sprawnie usadza swoich ludzi na synekurach w ministerstwie i podleglych mu agencjach. Ale ministerstwo zawala jedna sprawe po drugiej, w roznych waznych dla rolnikow procedurach panuje zamieszanie, nie sa dotrzymywane unijne terminy na przygotowanie rozmaitych papierow, od ktorych zaleza obiecane doplaty – jesli dotad sie to nie zawalilo, to dlatego, ze szef Samoobrony rzadzi resortem od kilku miesiecy i urzednicza praca pozostaje w rekach ludzi pracujacych tam od dawna. Tylko ze wlasnie kilka tygodni temu Lepper wzial sie za ich usuwanie i zastepowanie kompletnie pozbawionymi niezbednych kwalifikacji dzialaczami Samoobrony. Mozna powiedziec, ze jedynym jasnym punktem Lepperowego ministrowania byla jego wizyta w Brukseli, a i tam caly sukces polegal na tym, ze z Lepperem rozmawiano jak z kazdym innym, mimo dyskretnych sugestii z kraju, ze byloby fajnie, gdyby Europa jakos go spostponowala. Tak czy owak, dzialo sie to juz kes czasu wczesniej i wtedy nikt Leppera nie chwalil, bo w ogole od lat pochwalenie Leppera za cokolwiek jest w mediach nie do pomyslenia.

Dziwne, bardzo dziwne, pomyslalem sobie, doswiadczajac zblizonego podekscytowania, jakie opisywal u siebie sp. Kisiel (bez porownywania sie z Mistrzem, bron Boze), gdy zauwazal, ze w "Trybunie Ludu" zmieniono kolejnosc nazwisk czlonkow politbiura pod jakims oficjalnym wystapieniem.

Mija dzien lub dwa i oto redakcyjny kolega wspomnianej przed chwila publicystki, rowniez bardzo opiniotworczy, oznajmia w swoim programie, a potem na pismie, "co on poradzi", ze "Lepper to jedyny sympatyczny facet w tym rzadzie". Juz nie mowimy o fachowosci, ale – wbrew wszystkiemu, co od lat miescilo sie w niezbedniku "czlowieka rozumnego i na pewnym poziomie" – chlopski watazka, ktory kariere zrobil dzieki bluzgom i biciu komornikow, otoczony przez typow jeszcze bardziej szemranych niz on sam, staje sie czlowiekiem, nawet nie zeby "stosunkowo sympatycznym" na tle innych czlonkow rzadu, lecz po prostu wrecz fajnym facetem. Czesc, Jedrek, zapraszamy na salony – wchodz smialo.

"Gdy cos wydarzy sie, to wnet kojarzy sie". Zaczynam wylapywac kolejne podobne w tonie wypowiedzi w telewizji i radiu, juz nie plynace z tak opiniotworczych ust, jednak brzeczace w codziennym szumie informacyjnym dosc zauwazalnie. Utwierdzam sie we wrazeniu, ze cos sie wyraznie zmienia – Lepper juz nie jest taki zly, z potwora, z ktorym jakikolwiek zwiazek jest hanba, zmienia sie stopniowo w polityka kontrowersyjnego.

Przeczucie mnie oczywiscie nie zawodzi – po kilku dniach koalicja rzadowa, nie dogadawszy sie co do budzetu, rozpada sie przy akompaniamencie dzikiej awantury, Kaczynski nazywa Leppera "warcholem", ten mu sie rewanzuje "chamem". A tydzien pozniej telewizja TVN pokazuje nagranie ukryta kamera, na ktorym Renata Beger "wkreca" ministra Lipinskiego. Poslanka obiecuje mu, ze w zamian za stanowiska dla siebie i znajomych gotowa jest wystapic z Samoobrony i wspoltworzyc nowy klub parlamentarny, ktory wesprze rzad, a minister, o ktorym wszyscy wiedza, ze nalezy do grona bliskich wspolpracownikow Kaczynskiego, ogolnikowo wyraza zainteresowanie, stwierdzajac "mamy duzo stanowisk". W ciagu nastepnych godzin telewizja TVN24 zaczyna przypominac telewizje Bukareszt w dziesiec minut po zdobyciu jej przez powstancow obalajacych rezim Caucescu: politycy, eksperci, autorytety krzycza, ze dokonalo sie moralne bankructwo IV Rzeczpospolitej, ze siegnelismy dna, ze ujawniono "korupcje polityczna" (jakby nie bylo wiadome, moze nie kazdemu dziecku, ale kazdemu dziennikarzowi na pewno, ze takie dyskusje o tym, komu przypadnie jaki stolek, to chleb codzienny polityki, zwlaszcza naszej) – ze, jednym slowem, przyszedl czas na powolanie rzadu jednosci narodowej, koalicji wszystkich partii w sejmie poza PiS, w celu odsuniecia Kaczynskich od wladzy. A spod sejmu reporterzy donosza, ze ludnosc Warszawy

spontanicznie buduje miasteczko namiotowe, na wzor kijowskiego Majdanu, i zamierza demonstrowac tak dlugo, az owa koalicja sie nie zawiaze.

Logika tej sytuacji jest taka, ze Lepper, dotychczasowy szwarccharakter, musi sie teraz nadac na koalicjanta Tuskowi; wymaga to, rzecz oczywista, niezwyklej wizerunkowej wolty, bo przeciez przez kilka ostatnich miesiecy i PO, i wiodace media atakowaly Kaczynskiego za to wlasnie, ze biorac Leppera do rzadu, zrobil rzecz absolutnie niewybaczalna. W tej sytuacji stwierdzenia o pozytywnym zaskoczeniu Lepperem, jego fachowosci i w ogole, ze jest fajnym facetem, zaczynaja byc wreszcie zrozumiale.

Nie chodzi mi w tej chwili o to, skad opiniotworczy dziennikarze wiedzieli, kiedy przyjdzie zmieniac wizerunek chlopskiego watazki czy wrecz bandziora na moze kontrowersyjnego, ale powaznego sojusznika "ludzi rozumnych" w dziele ratowania polskiej demokracji; takie rzeczy wisza w powietrzu. Ale chodzi o sama te zmiane w opisywaniu Leppera. Jeszcze niedawno byl on synonimem wszelkiej podlosci, buractwa i populizmu, uosobieniem zla i brzydoty do tego stopnia, ze prominentny dziennikarz wyznawal na lamach "Tygodnika Powszechnego", ze w ogole go Lepper nie obchodzi i ze nie powinno sie mu poswiecac zadnej uwagi. Bylo to wyznanie niezwykle smieszne, poniewaz czlowiek, ktory z nim wystapil, byl wowczas szefem informacji radia RMF – trudno wrecz o bardziej dobitny dowod kompletnego popaprania naszych salonow, niz gdy czlowiek na takim stanowisku twierdzi, ze nie powinno sie zauwazac polityka, bylo nie bylo, reprezentujacego ponad milion wyborcow, szefa trzeciego co do wielkosci klubu parlamentarnego oraz wicepremiera, bo jest brzydki.

Teraz zas Lepper z wcielonego diabla staje sie aniolkiem. W jego cieniu zas podobna metamorfoze przechodzi pani Beger. Dotad prezentowana jako prymitywna wsiowa baba (po wszystkich redakcjach kraza "empegi" z jej wypowiedziami o sekretarzu generalnym ONZ "panu Ananie Kofanie" czy o "rywingate" – czytanej fonetycznie) wysmiewana za seksualny apetyt niewspolmierny do atrakcyjnosci (jak wyzej z "mam w oczach kurwiki" i "kocham seks jak kon owies") i pietnowana za sfalszowanie podpisow pod swymi listami wyborczymi – nagle w kazdym programie i na kazdych lamach zaczyna robic za bohaterke walki o czystosc w polskiej polityce.

Ale to nie koniec. Po kolejnych kilku dniach okazuje sie, ze proklamowana rewolucja jakos nie zdolala przeniesc sie z mediow na ulice, "miasteczko namiotowe" pod sejmem okazalo sie skladac z jednego tylko namiotu, i to postawionego tam nie przez spontaniczna ludnosc, a przez lewicowa partyjna mlodziezowke, Tusk nie dal sie wrobic w zaden wspolny z SLD, Lepperem i Giertychem "rzad ocalenia narodowego", a w koncu ku ogolnemu zaskoczeniu "warchol" z "chamem" nieoczekiwanie gladko sie pogodzili, koalicja rzadowa zostala odtworzona i wszystko wrocilo do stanu poprzedniego.

W mediach rowniez – to znaczy Lepper znowu zaczal byc cwanym chamem, z ktorym wspolrzadzenie hanbi, a Beger posmiewiskiem i falszerzem podpisow. I nikomu z dziennikarskiego Dobrego Towarzystwa juz ani razu nie wyrwalo sie, ze Lepper to fajny facet i dobry fachowiec od rolnictwa… Do czasu kolejnego przesilenia, czyli tak zwanej afery gruntowej, i nastepnego, tym razem definitywnego rozpadu koalicji – gdy znowu ta sama medialna orkiestra usilowala wymusic na Tusku, by zamiast godzic sie na wczesniejsze wybory, stworzyl "rzad ocalenia narodowego" z Lepperem, Giertychem i Olejniczakiem, przynajmniej na czas potrzebny specjalnie w tym celu utworzonym sejmowym komisjom sledczym do definitywnego zniszczenia "partii braci Kaczynskich".

Z tym ze wowczas glownymi beneficjentami cudownej poprawy wizerunku staja sie z kolei Giertych – dotad obrzydliwy endek i groteskowy ciemniak, chcacy w lekturach szkolnych zastapic nieslusznego Gombrowicza slusznym Dobraczynskim – oraz byly minister spraw wewnetrznych i byly prokurator krajowy Janusz Kaczmarek, wczesniej uosabiajacy Orwellowskie zlo "panstwa prokuratorow" stworzonego przez PiS.

Duzo by przypominac – mysle, ze jeszcze Panstwo pamietaja i te, i inne przedziwne wolty dziennikarskich moralistow. Walesa, Pawlak, Niesiolowski, Sikorski, Marcinkiewicz – lista tych, ktorzy niegdys byli pogardzanymi oszolomami i zagrozeniem dla Polski, a po zmianie politycznych barw nagle stali sie obiektem zachwytu, jest dluga. Przypadek Ludwika Dorna, "trzeciego blizniaka", rownie znienawidzonego jak dwaj pierwsi, nad ktorym po rozstaniu z dotychczasowym szefem wylano caly wodospad krokodylich lez jako nad znakomitym i fachowym politykiem, pokazuje, ze ta droga jest otwarta dla kazdego i moze nawet sam Lech Kaczynski doczekalby sie rozgrzeszenia i beatyfikacji, gdyby sie stanowczo odcial od brata i naopowiadal o jego

politycznej paranoi oraz totalitarnych ciagotach. Rzecz przeciez dotyczy nie tylko oceny osob. Miedzynarodowy szczyt w Davos byl co roku relacjonowany jako niezwykle wazne, byc moze najwazniejsze spotkanie miedzynarodowe, poniewaz co roku jezdzil tam Aleksander Kwasniewski. Gdy potem nie wybral sie tam ani Jaroslaw, ani Lech Kaczynscy, znaczenie szczytu wydawalo sie jeszcze wieksze, a nieobecnosc na nim – kolejnym dowodem skrajnej nieodpowiedzialnosci i nieprofesjonalizmu rzadzacych Polska blizniakow. Ale wystarczylo, ze rok pozniej nie pojechal do Davos premier Tusk i ze Radoslaw Sikorski, juz jako jego minister, rzucil w wiodacej na rynku urabiania opinii telewizji "nie przesadzajmy z tym Davos" – by natychmiast wszyscy przestali z Davos przesadzac; ot, takie sobie spotkanko, jakich wiele, u nas w Krynicy wcale nie jest mniej ciekawie.

Cala ksiazke mozna takimi przykladami wypelnic i wbrew pozorom nie bylaby to ksiazka o Kaczynskich; bylaby to ksiazka o totalnej wzglednosci kryteriow stosowanych w moralistyce towarzyszacej. Bo walki politycznej nie da sie pogodzic z moralizatorstwem. Polityka z natury zaklada zmienne sojusze, a moralnosc, wiadomo, kieruje sie niezmiennymi wartosciami – tak, tak, nie, nie. Jesli usiluje sie jedno z drugim pogodzic, tym, co musi ucierpiec, sa owe wartosci. Caly czas po roku 1989 to – pisalem o tym znacznie szerzej w Michnikowszczyznie – czas totalnego zinstrumentalizowania wartosci. I media, i politycy za nic nie przyznaja sie do swych rzeczywistych interesow i powiazan, swych prawdziwych celow, a juz zwlaszcza tych najwazniejszych, wiazacych sie z potrzebami wlasnej sitwy. Wszyscy za to deklaruja, ze idzie im o Demokracje, Wolnosc, Polske, a najbardziej o "zwykla ludzka przyzwoitosc". Przy czym, tak sie sklada, owe najwyzsze wartosci sa zawsze tam, gdzie w danej chwili byc powinny, a jesli uklad sie zmienia, to z dnia na dzien to, co wczoraj bylo biale, staje sie czarne i malo tego, okazuje sie, ze zawsze bylo czarne, za co recza swa niezlomna przyzwoitoscia najbardziej szacowne Autorytety Moralne. A jesli przypadkiem trafi sie czlowiek na tyle nikczemny i "chory z nienawisci", aby ich nieomylnosc podwazyc, podnosza nieopisany wrzask oburzenia.

Mowiac najkrocej, cytatem, ktory w poprzednich pokoleniach znany byl kazdemu (lecz w obecnych politycznie poprawnych czasach nie wiem, w najnowszej ekranizacji W pustyni i w puszczy juz go nie ma) – zlo jest wtedy, jak ktos Kalemu ukrasc krowy, a dobro wtedy, jak to Kali je ukrasc.

Do tego wlasnie – do najczystszego "kalizmu" – sprowadza sie cala nasza publiczna debata i codzienny informacyjny szum wytwarzany przez mass media jest tego najlepszym dowodem.

Tak, tak, juz slysze te oburzone uwagi histerycznych antykaczystow, jesli ktorys przemogl obrzydzenie i doczytal az dotad – a Kaczynscy to co? Kaczynscy to niby lepsi? No, przyznaj, ty tam, ze wy tez!

Wzdycham ciezko z niechecia, ale – Panstwo wybacza – czytelnik jest czytelnik, zaplacil za swoj egzemplarz i z tej racji nalezy mu sie z mojej strony niezbedne minimum szacunku. Wiec odpowiadam: szanowny czytelniku, czy tez czytelniczko, fakt, ze domagasz sie takich deklaracji, jest najlepszym dowodem, iz Ty tez ulegles (uleglas) zatruciu kalizmem naszym codziennym, o co zreszta trudno miec zal, bo jak tu nie ulec, kiedy cos jest czlowiekowi saczone od lat, dzien w dzien. Tak, pisze wyraznie o polskiej polityce i o polskiej debacie publicznej, a nie o "Gazecie Wyborczej" i politykach PO. Jesli te ostatnie sa komus bliskie, to nie powod, zeby zachowywac sie jak w starym, peerelowskim kawale o zwiedzaniu przez prezydenta USA fabryki na Zeraniu, gdzie, kiedy ze zdumieniem zauwaza: ale w tych samochodach nie ma silnikow! (bo w ramach propagandy sukcesu przyspieszono w taki sposob pokazowy montaz na tasmie), odpowiedz brzmi: a u was bija Murzynow!

Po prostu na razie piszemy o mediach, a media sa, jakie sa. Prosze cierpliwie czytac dalej, poniewaz inaczej wydatek na ksiazke sie nie zamortyzuje.

***

Skorzystam z okazji, jaka daje ta dygresja, i poniewaz wszystko, co dotad napisalem, to wciaz dopiero wstep do wlasciwej tresci tej ksiazki, pozwole sobie zaapelowac wprost: Drodzy czytelnicy, nie dajcie sie wpuszczac w kanal ("nie idzcie ta droga", jak by to powiedzial byly prezydent). Nie dajcie sie wpisac w histerie, w ktorej kazdy musi sie opowiedziec albo za Kaczorem, albo za Donaldem. Nawet jesli na wyborczej kartce nie ma chwilowo zadnej innej opcji do zakreslenia, dobrze jest wiedziec, o co naprawde tu chodzi, zamiast ulegac trzesiaczce, ze nie wolno

dopuscic do wygranej tamtego, bo wtedy wszystko runie i krowy przestana dawac mleko, a urzedy wojewodzkie paszporty. To, co klebi sie na powierzchni telewizyjnych dziennikow i pierwszych stronach gazet, to przewaznie pic, big brader i cyrk organizowany przez pijarowcow. Plwajmy na te skorupe i zstapmy do glebi.

Jest niewiele rzeczy, co do ktorych nabralem w zyciu tak glebokiej pewnosci jak co do tego, ze byc za albo przeciw jakiejs partii albo jakiemus politykowi po prostu nie warto. Ta sama partia moze miec w jednych kwestiach racje, a w innych uprawiac szkodliwa demagogie. Ten sam czlowiek moze miec swoje wady i swoje zalety. Ten sam polityk w pewnych okresach swej dzialalnosci dobrze sie swej ojczyznie przyslugiwac, a w innych wyrzadzac jej wielkie szkody. I zwykle tak wlasnie bywa. Nie pytajcie mnie, powtarzam do znuzenia na rozmaitych spotkaniach, czy ja jestem za Balcerowiczem, czy przeciw. Jestem za wolnoscia gospodarcza, za stabilnoscia finansow panstwa, za niezaleznoscia banku centralnego. Nie meczcie mnie pytaniami, czy jestem za Tuskiem, czy za Kaczynskim. Czasem za jednym, czasem za drugim – zalezy w jakiej sprawie. Stay on issue, not on person, jak niezwykle prosto ujal pewien Amerykanin, z ktorym przed laty rozmawialem. Popieraj sprawy, a nie osoby.

Banaly? Z cala pewnoscia. Ale nie u nas. U nas rzecz tak banalna jak polityka zamieniono w starcie Hutu i Tutsich – rozpisze sie na ten temat w dalszych rozdzialach. Musisz byc po jednej ze stron. Po prostu nie miesci sie w glowie, ze mozna nie byc po zadnej. Jesli nie opowiesz sie wystarczajaco wyraznie, za kim jestes, i tak zostaniesz przeszeregowany w mysl zasady: kto nie z nami, ten przeciw nam. Jesli ktos nie chce sie przylaczyc do choru, ze Balcerowicz zniszczyl Polske, to jest wrogiem Polski, liberalem, a pewnie i masonem, to oczywiste. Jesli ktos wysmiewa przestrogi rozwrzeszczanych autorytetow, ze Kaczynski dzieli ludzi, zagraza demokracji i na dodatek przypomina jednoczesnie Gomulke, Putina i Mugabe, to musi byc moherem, to tez oczywiste.

Ludzie od kapitana Beatty ego, z wyboru zainteresowani tylko jedna strona zagadnienia, sa z tym szczesliwi – ale dla otoczenia i dla Polski sa rownie uciazliwi i destrukcyjni jak puszczona w szkode trzoda. Bo polskie problemy nie sprowadzaja sie do zagrozenia populizmem i dla uczynienia naszej niepodleglosci trwala oraz zapewnienia narodowi mozliwosci dlugotrwalego cywilizacyjnego rozwoju trzeba zrobic znacznie wiecej, niz

odsunac od jakiegokolwiek wplywu na panstwo ludzi "starszych, gorzej wyksztalconych i z malych osrodkow", a usadzic w gabinetach gladkich elegancikow, chwalonych przez zachodnie i rodzime osrodki opiniotworcze.

Nie jest zadna debata publiczna starcie – mowiac haslowo – zastepow Michnika z zastepami Rydzyka. Warciscie siebie nawzajem, wy i hultajstwo, powtorze jednym i drugim. Bo wyznawcy Michnika i wyznawcy Rydzyka to pozytyw i negatyw tej samej fotografii, pokazujacej umyslowy zastoj i niedojrzalosc polskiej inteligencji. Tak jak jedni kipia szczesciem, ze sa madrzejsi, nowoczesniejsi i bardziej europejscy, podczas gdy druga strone zaludnia ciemnota, kierujaca sie wylacznie frustracja i zawiscia wobec lepszych od siebie – tak drudzy plawia sie w przekonaniu, ze oni jedni sa prawdziwymi Polakami, prawymi dziedzicami tysiacletnich bojow o niepodleglosc, a kazdy, kto nie daje sie zagonic do ich szykow, to sluga szatanskiego spisku przeciwko ojczyznie i wierze. Wiec ze starcia miedzy jednymi a drugimi nie moze wyniknac nic poza lomotem.

Na szczescie pomiedzy jednymi oraz drugimi istnieje sporo i coraz wiecej ludzi gotowych zmierzyc sie z tym nieszczesciem, jakim jest poznanie nie tylko jednej, a wszystkich stron zagadnienia. Ktorzy nie chca byc bezmyslnymi zolnierzami tej czy innej partii, ale majacymi wlasne zdanie obywatelami, kierujacymi sie w podejmowanych wyborach wlasnym zdaniem i wlasna ocena, gdzie lezy wspolne dobro. Chyle przed nimi czola takze dlatego, ze to z nich wlasnie zyje. Z tych, ktorzy, mowie to z duma, wykupili piecdziesieciotysieczne naklady Polactwa i Michnikowszczyzny. Bynajmniej nie oczekuje, zebyscie Panstwo moje rozwazania z tamtych ksiazek i z tej traktowali tak, jak czytelnicy "Gazety Wyborczej" slowa Michnika, a czytelnicy "Naszego Dziennika" – Ojca Dyrektora. Jedyne, czego oczekuje, to zgody w kwestii: ze Polska nie jest czarno-biala, a problemy, jakie ma, nie dadza sie opedzic propagandowymi formulkami. Moze i nie daje to szczescia, o ktorym mowil kapitan Beatty, ale pozwala powaznie sie nad Polska zastanowic. A to pierwszy krok niezbedny, zeby cos dla kraju zrobic.

Nie mialem zamiaru pisac zadnej historii III RP w odcinkach, choc troche tak wyszlo. W Polactwie przedstawilem Panstwu swoja odpowiedz na pytanie, dlaczego tak, a nie inaczej – generalnie zle – przedstawia sie kondycja polskiego spoleczenstwa. W Michnikowszczyznie skupilem sie, zadajac sobie to samo pytanie, na pewnej czesci inteligencji, ktora dala

sie uwiesc i poprowadzic na manowce czlowiekowi, ktory jezyk moralistyki i legende bohatera opozycji zaprzagl do realizacji swej politycznej wizji – z fatalnym skutkiem, albowiem wizja ta okazala sie absolutnie chybiona, czego niezbitym dowodem i zarazem ostatecznym jej bankructwem byla afera Rywina. Afera, ktora zadecydowala o wyborczym zwyciestwie PiS i PO, dwoch partii, ktore obiecywaly Polakom wspolnie oczyscic Polske z postkomunistycznych patologii, przebudowac ja – zastapic Rywinland panstwem uczciwym, zamienic uciskajacego obywateli biurokratycznego molocha w strukture wobec nich sluzebna. A jesli do ich wyniku doliczyc Samoobrone i LPR, to jasno widac, ze ponad osiemdziesiat procent obecnych przy urnach wyborcow zaglosowalo wowczas za radykalna, skokowa zmiana, za zdecydowanym odrzuceniem panstwa poczetego z ugody Okraglego Stolu.

W tym wlasnie momencie, na roku 2005, konczyl sie opis Polski w Michnikowszczyznie.

***

Czas wrzeszczacych staruszkow to moja proba podsumowania tego, co z owczesnymi nadziejami zrobiono pozniej – czyli ostatnich dwoch lat. Tak jak Michnikowszczyzna byla w pewnym stopniu ksiazka o Adamie Michniku, tak w niniejszym tekscie nie da sie nie poswiecic stosunkowo najwiecej miejsca Jaroslawowi Kaczynskiemu i jego krytykom, a troche tez Donaldowi Tuskowi. Ale znowu mniej mi tu chodzi o postaci, nietuzinkowe przeciez, a bardziej o mechanizmy. Szukam odpowiedzi na pytanie, dlaczego tak, a nie inaczej, czy byla szansa na lepiej, a jesli byla, kto ja zmarnowal i gdzie tkwil blad. Czy znajduje odpowiedzi wlasciwe – to juz nalezy do Panstwa oceny. Tak czy owak, moje odpowiedzi i tak beda najlepsze z dostepnych na naszym, nazwijmy to, rynku idei – nie dlatego, ze takie dobre, tylko dlatego, ze innych nie ma.

Wiem, ze to pobrzmiewa nieznosnym samochwalstwem, ale niech Panstwo ocenia sami. Zanim zdazylem po 21 pazdziernika przemyslec sobie sprawy, naszkicowac konspekt, powyciagac z teczek i ulozyc w odpowiednim porzadku wycinki prasowe, na ksiegarskich polkach lezaly juz trzy ksiazki podsumowujace dwuletnie rzady PiS, sygnowane nazwiskami czterech znanych

dziennikarzy (w jednym wypadku wystepujacych jako spolka autorska). Mam wrazenie, ze zadna z tych ksiazek niczego nie wyjasnila, a zaden z autorow nie wyszedl poza role dobosza na politycznej wojence. Po czesci dlatego, ze poszli na latwizne i po prostu pozbierali w jednym tomie swoje prasowe komentarze ze wspomnianych dwoch lat, nie silac sie na zadna refleksje, choc wynik wyborow, w sposob oczywisty stanowiacy jakas wyrazna cezure, sklania do proby podsumowania, co wyszlo i co zostalo z tej zapowiadanej przed poprzednimi wyborami rewolucji i z obiecanej wowczas IV Rzeczpospolitej. A po czesci dlatego, ze wspomniani autorzy ani do takiej refleksji nie byli zdolni, ani im na niej nie zalezalo. Nie po to pisali te swoje biezace komentarze, ktore potem zebrali w formie ksiazkowej, zeby denerwowac ludzi pokazywaniem im roznych stron zagadnienia, tylko po to, zeby ich utwierdzic w przekonaniu, ze Kaczynski-jest-straszny i nawet jesli przegral, nie wolno spoczac, poki sie go do reszty nie ukatrupi i nie przebije dla wszelkiej pewnosci osikowym kolkiem.

Mozna i tak. Ja nie mam smialosci proponowac Panstwu, byscie wydawali swoje pieniadze na zsypane do kupy teksty wczesniej drukowane w gazetach, ktore, jak to teksty gazetowe, musialy byc dorazne, niepoglebione i po czasie trudno ulozyc z nich spojna logicznie calosc. Choc zebranie ich w jednym miejscu, z datami publikacji, bardzo by dobrze posluzylo osadzeniu rozmaitych pyskaczy insynuujacych mi, jakobym uprawial "dziennikarstwo rezimowe" albo jakobym po ostatnich wyborach zmienil zdanie. Gdyby ktos byl ciekaw, wszystkie moje teksty sa dostepne w internetowych archiwach, nie mowiac o bibliotekach. Bodaj z zadnego bym sie dzis nie wycofal – w paru miejscach sie pomylilem, ale glupstwa nie palnalem nigdzie.

Pozwole tu sobie na pewna osobista dygresje – moze i bez sensu w kontekscie omawianych powaznych spraw, ale w koncu to wstep do mojej ksiazki, wlasnej, rodzonej, mam wiec w nim prawo do odrobiny nachalnego autobiografizmu. Otoz zapamietalem z dziecinstwa bande tepawych dryblasow terroryzujacych szkole i w ramach tego swojego ulubionego zajecia wymuszajacych na nas, malolatach, deklaracje: za kim jestes, za Gornikiem czy za Legia?

Mlodszym czytelnikom nalezy sie informacja, ze Legia Warszawa i Gornik Zabrze to byly takie druzyny pilki noznej; nie wiem, czy jeszcze istnieja, ale wtedy uchodzily za najlepsze i walczyly o pierwsze miejsce w lidze, a ich kibice toczyli ze soba

swieta wojne, jak to kibole. Mieszkalem w Warszawie, konkretnie: na Woli, wiec wiadomo, jakiej odpowiedzi na powyzsze pytanie oczekiwano. Mimo to odpowiadalem zawsze, ze jestem za Gornikiem.

Szczerze mowiac, mialem tego Gornika – przepraszam za slowo – gleboko w dupie, podobnie zreszta jak i Legie, i cala w ogole pilke kopana (co mi zreszta zostalo). Po prostu nie lubilem tych dryblasow i nie mialem najmniejszego zamiaru im sie podlizywac. Prawde mowiac, to wspomnienie zagubilo sie w zakamarkach mojej pamieci. Wychynelo z nich dopiero w ostatnich dwoch latach, gdy w srodowisku dziennikarskim ujawnila sie grupa mocno zideologizowanych gwiazdorow oczekujacych od kazdego deklaracji "jestes przeciwko Kaczorom, jak wszyscy?", a wobec jej odmowy probujacych mniej lub bardziej chamskiego ostracyzmu wobec "rezimowca", "PiS-maka" czy "pisiora", w najelegantszej formie "dziennikarza dyspozycyjnego wobec wladzy".

Bloto, zwlaszcza rzucane w popularnych mediach, przykleja sie do celu, byc moze ktos z Panstwa przed siegnieciem po Czas wrzeszczacych staruszkow tyle akurat wlasnie o mnie slyszal. Szkoda mi czasu na uzeranie sie z epitetami roznych niezaslugujacych na uwage person, ale gwoli scislosci informuje takich czytelnikow, ze to nieprawda.

We wstepie do tej akurat ksiazki nie od rzeczy bedzie zaznaczyc, ze odkad zrezygnowalem z zaszczytu czlonkostwa w UPR, nie zdarzalo mi sie deklarowac jako zwolennik ktorejkolwiek z dostepnych na politycznym rynku partii ani zadnego z liderow, choc oczywiscie, jak kazdy obywatel, znalazlszy sie przy wyborczej urnie, na kogos w koncu musialem sie decydowac. Z racji tych decyzji moge sie zadeklarowac jako jedna z tak zwanych sierot po POPiS-ie. Skoro do obiecywanej przez obie strony koalicji nie doszlo, a Tusk z Kaczynskim rzucili sie sobie do gardel, ktorykolwiek wygrywal, bylem w polowie wygrany, w polowie przegrany. Problem z obydwoma politykami mialem z grubsza taki, ze kiedy sluchalem Kaczynskiego, wiedzialem, czego on chce, i nawet mi to w znacznej czesci odpowiadalo, ale obawialem sie, do czego gotow sie przy realizacji swoich zamiarow posunac. Kiedy sluchalem Tuska, to wiedzialem, ze ten sie do niczego strasznego nie posunie, ale czego wlasciwie chce poza tym, zebysmy wreszcie i jemu dali porzadzic, zrozumiec nie moglem. Cieszylem sie, ze PiS zlikwiduje przynajmniej te najgrubsze z patologii Rywinlandu, obawiajac sie, ze przy okazji

sporo popsuje w gospodarce. Zarowno nadzieje, jak i obawy okazaly sie grubo przesadzone. O Platformie mysle w tej chwili odwrotnie, ale licze sie z kolejnym zawodem; na razie powstrzymam sie od prorokowania.

Bycie sierota po niedoszlej koalicji PO-PiS uchronilo mnie przed owymi siegajacymi histerii emocjami, ktorym poddalo sie wielu innych komentatorow i ktore nalozyly sie na wieloletni nawyk uprawiania moralistyki towarzyszacej z najgorszym dla naszej debaty publicznej skutkiem. Na dwuletnie rzady PiS i na koalicje tej partii z Samoobrona i LPR patrzylem, w przeciwienstwie do rozhisteryzowanych warszawki i krakowka, bez szczegolnych obaw, ale i z przekonaniem, ze niewiele dobrego z tego wyjdzie. Jakos wolny bylem od przerazenia, ze dalsze rzady Kaczynskiego wypchna nas z Europy i zamienia Polske w policyjny rezim, jak i ze dojscie do wladzy Tuska to bedzie nowy 13 grudnia oraz powrot do PRL. Mialem to wszystko – i mam nadal – za zenujace bzdurzenie i skutek tkniecia znacznej czesci opiniotworczych elit malpim rozumem. I doskonale wiem, skad sie to wzielo.

Ale nie bede udawac, ze sam jestem wolny od wszelkich emocji. Trudno mi w opisie ledwie co minionych wydarzen zdobyc sie na stuprocentowy chlod i dystans. Dlatego przyznaje sie do swoich emocji od razu, na wstepie, zebyscie Panstwo mogli na nie wziac, wedle swego uznania, odpowiednia poprawke.

W kazdym razie przynajmniej sie staram. Ta ksiazka moze jest przenikliwa i madra, a moze chybiona i glupia, oceniajcie sami, ale ta ksiazka nie jest po to, aby kogokolwiek agitowac. Ona jest po to, zebyscie Panstwo zobaczyli polityczna gre, prowadzacych ja graczy i tych, ktorzy za nimi stoja – a przede wszystkim po to, zebyscie za nimi wszystkimi zobaczyli to, co mnie boli i co Panstwa, wbrew zasadzie Beatty'ego, tez bolec powinno.

To znaczy – Polske.

Polski kisiel, czyli wielka niemoznosc

No to od Polski zacznijmy. Od tego, co w niespelna dwa dziesieciolecia po odzyskaniu niepodleglosci jest jej problemem numer jeden.

Czyli od tego, ze zyc tutaj to jakby plywac w basenie napelnionym kisielem. Niby w zasadzie plywa sie tak, jak w

basenie ze zwykla woda, tylko kazdy ruch kosztuje wiecej wysilku. Jesli czlowiek nie ma innego wyboru – przywyka, do tego stopnia, ze przestaje w ogole zwracac uwage na ciagly opor i nie dziwi sie wlasnemu zmeczeniu. Do momentu, az na chwile znajdzie sie w wodzie albo choc tylko popatrzy, jak sobie radza ludzie, ktorzy po prostu plywaja i nie musza sie bezustannie zmagac.

Taka chwila olsnienia jest dla Polaka zetkniecie sie z Zachodem. Nagle uswiadamia sobie, ile czasu, nerwow i wysilku traci kazdego dnia na rzeczy, ktore dla ludzi zyjacych w kraju cywilizowanym sa tak oczywiste, ze w ogole ich nie zauwazaja, podobnie jak czlowiek zdrowy nie zauwaza, ze oddycha. I zaczyna sie zastanawiac, ile moglby w zyciu osiagnac, gdyby nie marnowal wiekszosci sil na samo zycie.

Im wiecej stykamy sie z Zachodem, im wiecej wyjezdzamy i wracamy, tym lepiej sobie z tego zdajemy sprawe. To jedna z przyczyn, dla ktorych bylem zawsze bardzo zdecydowanym zwolennikiem wstapienia do Unii Europejskiej, mimo wszystkich zastrzezen, jakie musi miec do tego koszmarnego skadinad biurotworu liberal, nie wspominajac juz o tych, jakie ma do niego narodowiec. Pewnie, ze to wejscie ma swoje ciemne strony – jedna z nich jest "drenaz mozgow", opuszczanie kraju przez najzdolniejszych i najbardziej przedsiebiorczych mlodych Polakow, ktorym Zachod oferuje duzo lepsze mozliwosci rozwoju. W perspektywie dluzszego czasu nie musi on jednak miec az tak wielkich rozmiarow, jak sie to dzis wydaje. W miare umacniania sie zlotego do euro sytuacja na rynku pracy wymuszac bedzie na krajowych pracodawcach lepsza oferte finansowa i Polakowi po studiach przestanie sie oplacac praca w Londynie na zmywaku; podobnie bedzie z wykwalifikowanymi pracownikami fizycznymi w rodzaju dekarzy czy fryzjerow. Oczywiscie, nie miejmy zludzen, nie uchronimy sie przed utrata pewnej grupy najlepszych – sami Anglicy obliczaja, ze co roku opuszcza Wyspy okolo czterdziestu tysiecy najzdolniejszych absolwentow ich wyzszych uczelni, ktorzy znajduja atrakcyjna prace w USA. To cena, jaka kraje gorzej rozwiniete placa za swoj niedorozwoj w warunkach globalizacji, i placilibysmy ja takze, nie bedac w Unii.

Ale dzis wyjazd to nie emigracja. Przeniesc sie w poszukiwaniu pracy z Warszawy do Dublina coraz mniej sie rozni od wyjazdu z Radomia do Warszawy. Nie traci sie kontaktu z zostawiona tutaj rodzina, nie ma zadnych przeszkod, by wrocic, jesli znajdzie sie w kraju lepsze warunki. Polsce oplaca sie ponosic ten koszt. Jej

obywatele zapoznaja sie w ten sposob z innym, lepszym zyciem, a tylko rozbudzenie w nich tesknoty za takim zyciem jest w stanie pokonac sile spolecznej inercji, ktora wiezi nas w tym nieszczesnym polskim kisielu.

To kwestia jakosci zycia, niskiej jakosci zycia, ujawniajacej sie na kazdym poziomie – od spraw zupelnie trywialnych po zasadnicze. Zacznijmy od drobiazgow: peknie ci rura w mieszkaniu, marnujesz kilka dni na uzeranie sie z "fachowcem", ktory umowi sie i nie przyjdzie, potem przyjdzie pijany, rozpieprzy pol mieszkania i zniknie na tydzien. Masz ochote kupic nowy mebel, to nie mozesz po prostu wejsc do sklepu i go kupic, oni mebel dopiero dla ciebie zamowia, a po miesiacu, kiedy przywioza, okaze sie, ze obicie jest w innym kolorze, niz byc mialo, bo sie komus nie chcialo dopilnowac, i znowu musisz sie nauzerac, wyawanturowac i odczekac kolejny miesiac. Prawdziwa katastrofa zaczyna sie, kiedy trzeba zalatwic cos w urzedzie – a trzeba zalatwiac co chwila, bo nawet wybicie we wlasnym domu dziury w scianie wymaga przedstawienia projektu zaaprobowanego przez architekta z uprawnieniami i uzyskania pod nim takiego samego kompletu zezwolen, jakby sie stawialo drapacz chmur. Nie daj Boze, jesli komus przyszla fantazja stawiac sobie dom. To oznacza jakies wypisy z ewidencji gruntow, jakies zgody na przylaczenie gazu i pradu, dziesiatki okazji, zeby byc czolganym przez odnosnych czynownikow, ktorzy czasem oczywiscie sa ludzmi normalnymi i nie chca nam szkodzic – ale czasem sa bezczelnymi lapownikami, ktorym po prostu musisz dac, czego zazadaja (nie zawsze w formie banalnej lapowki – niekiedy chodzi na przyklad o zatrudnienie odpowiedniego kierownika budowy czy inspektora nadzoru budowlanego), bo wymecza cie i wykoncza nie do wytrzymania. A i to wszystko jeszcze nic wobec tego, co przezyc musisz, gdy strzeli ci do glowy zalozyc wlasna firme. Cale tygodnie zdobywania rozmaitych kretynskich zgod, zezwolen i rejestracji, wypelniania kwitow, potem ponad czterdziesci nekajacych cie przy kazdej okazji kontroli, nonsensowne przepisy podatkowe i zasada pelnej uznaniowosci w ich interpretowaniu – bo co innego odpiszesz od VAT-u w Lomzy, a co innego w Ciechanowie. Chcesz czy nie chcesz, musisz z dziesiatkami osob dobrze zyc, uczestniczyc w wymianie przyslug.

A juz zupelnie fatalnie sie robi, kiedy masz ambicje, aby cos osiagnac, do czegos dojsc, mowiac wprost – zeby zrobic kariere…

Zatrzymajmy sie na chwile, zeby nieco sprawy uporzadkowac. Mowie tu z pozoru o rzeczach zupelnie roznych – o marnej jakosci rozmaitych uslug swiadczonych Polakowi i sprzedawanych mu produktow, o klopotach z biurokracja, a zaraz mowic bede o trudnosci z normalnym rozwojem zawodowym i realizowaniem swoich aspiracji wedle zasady "niech zwycieza najlepszy". Z pozoru rozne sprawy. Wszystkie jednak daja sie sprowadzic do wspolnego mianownika – wszystkie maja jedna i te sama przyczyne.

Dlaczego jestesmy zle obslugiwani w sklepach i musimy uzerac sie o rzeczy, za ktore zaplacilismy i ktore sie nam naleza? Bo polski pracownik generalnie nie czuje sie zmuszony starac. Przeciez go nie wyleja. To by byla straszliwa krzywda "czlowieka prostego", za ktorym zaraz ujeliby sie politycy, zwiazki zawodowe, autorytety i opinia publiczna. Czlowiek jest najwazniejszy, nie jakies tam wskazniki ekonomiczne – innymi slowy, czy sie stoi, czy sie lezy, sie nalezy. Prawie kazda grupa zawodowa ma w Polsce swoje przywileje i bardzo ich pilnuje – niech jej tylko sprobuja cos ruszyc, zaraz bedzie strajk. Swoje trzeba obronic, chocby przyszlo pol Polski zdemolowac.

Starac sie nie musi nie tylko pracownik. Pracodawcy takze nic do tego nie zmusza. Mowi sie, ze nastal wolny rynek, ze przeciez jest konkurencja – ale to prawda tylko z grubsza. Nasz teoretycznie wolny rynek w praktyce jest regulowany taka iloscia zezwolen czy koncesji i nadzorowany przez tyle instytucji kontrolnych, ze na utrzymanie sie na nim firmy zadowolenie konsumentow ma wplyw bardziej niz znikomy. I znowu: jakakolwiek proba zmiany rozbija sie o skuteczny lobbing zainteresowanych podtrzymywaniem istniejacego stanu rzeczy, tak aby mechanizm rynkowy jak najbardziej stlumic, zminimalizowac niebezpieczenstwo, ze ktos z ulicy nagle zacznie robic konkurencje i tych, z ktorych konsumenci badz klienci sa niezadowoleni, pusci z torbami.

Dlaczego jestesmy tak wrednie traktowani przez administracje roznych szczebli? Bo ona takze jest grupa zawodowa zazdrosnie strzegaca swoich przywilejow. Najwazniejszym z nich jest prawo do uznaniowego podejmowania decyzji. W krajach zachodnich urzednik to ludzka maszynka dzialajaca od-do, zobowiazana wypelniac okreslone procedury. Jesli zjawia sie petent spelniajacy takie a takie, wyszczegolnione warunki, to nalezy mu wydac takie a takie zezwolenie w takim a takim terminie. Niewywiazanie sie z obowiazkow sluzbowych jest karane.

W naszym kregu kulturowym natomiast urzednik to Bog i car. On moze jakas decyzje wydac, ale nie musi. On orzeka, jak chce, i nikt, nawet minister, nic mu nie moze nakazac – choc moze jego decyzje zmienic, o czym dalej. Na nie dosc pokornych petentow ma od groma i troche sposobow, a niemal kazda ustawa daje mu nastepne. Ot, jeden z niezliczonych przykladow – ustawa o zamowieniach publicznych, zgodnie z ktora urzednik moze wykluczyc z przetargu o zamowienie firme, ktora "nie spelnia warunku niezbednego zaufania". A kto ocenia, czy firma spelnia ten warunek? On. A przed kim sie z tego musi tlumaczyc? Przed nikim. Wiec jesli przypadkiem jestes, bratku, przedsiebiorca i chcesz zarobic, to musisz z nim dobrze zyc.

Prowokacja CBA w ministerstwie rolnictwa, ktora wstrzasnela polska polityka, doprowadzila do upadku rzadu, przyspieszonych wyborow i utraty wladzy przez PiS, byla analizowana w mediach na wszelkie mozliwe sposoby, zastanawiano sie, kto uprzedzil Leppera i dlaczego nie dotarla do niego gotowa juz walizka z pieniedzmi. Deliberowano tygodniami, czy funkcjonariusze panstwowi moga podpuszczac obywatela do popelnienia przestepstwa i czy nie powinni aby byc za to ukarani (w innych krajach jakos nie maja tego typu problemow – akurat gdy bylem w USA, ktoras z tamtejszych sluzb wykonala podobny numer: poprzebierali sie za szejkow i zaoferowali jakiemus kongresmanowi gigantyczna lapowke za zalatwienie im czegos tam, a gdy sie zgodzil, zrobili mu "usmiechnij sie, jestes w ukrytej kamerze" – i nikt, cholera, w zadnym medium nie mial najmniejszych watpliwosci, ze to kongresman jest swinia, a nie tajni agenci, ktorzy go tak zalatwili). Nie zwrocono zupelnie uwagi na rzecz najbardziej, moim zdaniem, uderzajaca. Prowokacja CBA, jak pamietamy, dotyczyla "odrolnienia" kawalka ziemi pod Mragowem, tak aby zamiast sadzic tam buraki czy inne pszenzyto, wlasciciel mogl na przyklad postawic motel i kosic grube pieniadze. Jeden podpis na kwitku, ze niniejszym dana dzialka przestaje byc rolna, a staje sie budowlana, powoduje z reguly wielokrotny wzrost jej ceny, jest wiec wart grube miliony – rzecz oczywista, ze jak Polska dluga i szeroka wielu ludzi walczy z pokusa, by z owych zyskow to i owo wladnemu taki podpis zlozyc odpalic, aby zyskac jego przychylnosc. Tym bardziej ze przepisy, kiedy sie takie odrolnienie nalezy, a kiedy nie, sa, jak to w Polsce, dosc niejasne i mozna je naginac na wszystkie strony. Podstawiajac rzekomego biznesmena ubiegajacego sie o odrolnienie fikcyjnej dzialki, CBA poszlo wiec utartym tropem. Co jednak wzbudzic powinno zdumienie, a nie wzbudzilo – oto

okazalo sie, ze w Polsce o zmianie urzedowej klasyfikacji jakiegos malego kawalka ziemi na, z przeproszeniem mieszkancow pieknej skadinad ziemi mragowskiej, kompletnym zadupiu decyduje osobiscie minister rolnictwa. Czy doprawdy nikt nie podziela mojej opinii, ze jest to chore? Ze minister nie powinien sie zajmowac duperelami, ktore jesli juz w ogole musza istniec (bo, miedzy nami, caly ten balagan z roznicowaniem ziemi na orna i budowlana jest absurdem rodzacym wylacznie zamet i korupcje), to powinny pozostawac w gestii urzedu gminy?

Otoz w kraju normalnym, cywilizowanym, gdyby taki przepis – to znaczy o tym odrolnianiu – tam istnial, rzecz wygladalaby tak. Petent zglasza sie do miejscowego urzednika, powiedzmy, mera, mer sprawdza w przepisach, czy sprawa spelnia kryteria do decyzji pozytywnej, czy odmownej, i decyzje podejmuje – a jesli petent jest z decyzji niezadowolony, przysluguje mu prawo odwolania sie do sadu. Do sadu, a nie do urzednika stojacego ponad merem w hierarchii podleglosci sluzbowych! Chocby niezadowolony z decyzji facet dotarl ze skarga do premiera lub prezydenta republiki, ci beda mogli tylko rozlozyc szeroko rece i powiedziec: a coz ja moge, przeciez sa przepisy i zgodnie z nimi ta sprawa nie wchodzi w moje kompetencje!

System istniejacy w Polsce dopuszcza, ze urzednik moze sie mylic, ale instancja odwolawcza czyni jego zwierzchnika. Po czesci dlatego, ze sad musi orzekac na jakiejs podstawie, a jaka tu podstawa, gdy wszystko jest metne i niejasne – po czesci zas dlatego, ze u nas sie nie wierzy w system, w procedury prawne, u nas sie wierzy w czlowieka. No wiec idzie facet do czlowieka i zalatwia sprawe – jak z czlowiekiem.

Zreszta skoro przy tym jestem… Znam taka gmine pod Warszawa, ktora kilkanascie lat temu zrobila sie miejscem modnym i w rolniczym dawniej terenie jeden po drugim, najpierw przy przelotowej drodze, potem coraz bardziej w glab pol, zaczely na niej wyrastac mniej lub bardziej okazale "miastowe" wille. W tej chwili wlasciwie od dawna juz wsi tam nie ma, gdzieniegdzie widac jeszcze jakis zagon kapusty albo chlopa koszacego trawe, ale generalnie normalne "suburbium". To znaczy nie do konca normalne – przypadkiem mialem powod zajrzec do papierow w urzedzie gminy i stwierdzic, ze wszystkie dzialki, na ktorych stoja owe piekne domy, sa oficjalnie nadal dzialkami rolnymi.

Jakie to ma znaczenie? Dla wlasciciela niewielkie, chyba ze chcialby wziac pod zastaw dzialki kredyt bankowy – wtedy dowie

sie, ze bank ziemi ornej jako hipoteki nie przyjmuje i musi przyniesc z gminy kwit o odrolnieniu albo pozyczac od mafii (Boze moj, biurokracja w polskich niby to "komercyjnych" bankach, ich zwyczaj traktowania kazdego klienta jak jeszcze nieprzylapanego zlodzieja oraz gorliwosc, z jaka napedzaja klientow "pozyczkodawcom" z Pruszkowa czy Wolomina, to osobny rozdzial w naszej kisielowej epopei… I znowu w poszukiwaniu przyczyn dojdziemy nieuchronnie do sposobu, w jaki "uregulowano" rynek, czy raczej nibyrynek uslug bankowych; oczywiscie w trosce o nas, klientow, zeby uchronic nas przed niebezpieczenstwami "dzikiego kapitalizmu"). Jednak formalnie rzecz biorac, na zadnej z tych dzialek wlasciciel nie mial prawa niczego zbudowac, a urzad – nie mial prawa mu na to zezwolic. Na dzialce rolnej mozna, owszem, zbudowac tak zwane siedlisko, ale tylko wtedy, gdy ma ona iles tam hektarow – a te, jak to w zabudowie pod miastem, mialy po jakies tysiac metrow, gora dwa. A gdyby kto pytal – ja zapytalem z czystej ciekawosci – to nie dalo sie tych dzialek odrolnic, bo gmina nie ma "planu zagospodarowania przestrzennego". Gmina teoretycznie musi go miec, bo na podstawie owego planu podejmuje sie rozne wazne dla obywateli decyzje, ale polowa albo i wiecej gmin w Polsce planu nie ma, bo co to znaczy – musi? Kto niby zmusza, co niby komu zrobia, jak go nie ma?

Mowiac krotko, wlasciwie byloby za co wszystkich urzednikow gminy, i to z ostatnich kilkunastu lat, z punktu wsadzic do pudla. Powie ktos – ale o co chodzi, ze jakies tam biurokratyczne procedury nie zostaly dopelnione? No chyba dobrze, ze je olali? Co, mieli nie pozwolic tych wszystkich domow zbudowac? Widzicie Panstwo, niby tak, jednakze jest w tym jeden haczyk. Otoz jesli sie trafi – teoretycznie, nie wiem, czy w tej akurat gminie sie trafil, nie podaje jej nazwy, zreszta sytuacja wydaje mi sie dla Polski typowa – jesli sie trafi ktos, kto z jakiegos powodu sie urzednikom gminy nie spodoba, to domu nie postawi. Bo nie wolno – bij glowa w mur, takie jest prawo. A ze obok stoja? Obok to obok, a tobie zezwolenia nie damy. No i co teraz zrobisz, jak nas przekonasz?

Znam taki wypadek – pewna spoldzielnia mieszkaniowa chciala postawic kamienice posrod innych kamienic, a odmowila dania lapowki. I wtedy sie okazalo, ze, niestety, miejsce, w ktorym chce budowac, lezy w otulinie Lasu Kabackiego. Dokola jak okiem siegnac dachy, dachy i dachy, ale prawo znaczy w Polsce prawo… czasami. Spoldzielnia lapowki nie dala, zbankrutowala. Przejezdzalem tamtedy niedawno; plac niedoszlej budowy nadal

swieci zasmiecona lacha pomiedzy domami, niczym lysina. Przyroda zostala ochroniona.

Czasem naprawde nie moge wyjsc z podziwu nad pomyslowoscia kolejnych regulacji, ktore ulatwiaja takie numery. Oczywiscie, wszystkie one sluza szlachetnym celom. Ochronie polskiej ziemi ornej, przyrody (jak wyzej). Albo walce z alkoholizmem… Znajomy, ktory otworzyl restauracje, nie chcial dac lapowki, wiec nie dostal koncesji, bo za blisko do szkoly i kosciola. Miedzy nim a kosciolem stalo juz po kilka lokali z wyszynkiem, wiec i on poszedl po rozum do glowy, zalatwil sprawe i koncesje dostal. W koncu w samym sejmie, ktory wszystkie te madrosci uchwala, tez mozna sobie w szyje dac, choc jest tam kaplica, a po przeciwnej stronie ulicy szkola podstawowa.

Te przyklady "walki z alkoholem" juz kiedys opisywalem, siegnijmy wiec po swiezutki. Jak raz w lutym 2008 roku Panstwowa Agencja Rozwiazywania Problemow Alkoholowych przypomniala sobie ustawe obowiazujaca od lat, gdzie jest napisane, ze sprzedawca musi sprawdzic, czy osoba nabywajaca alkohol jest pelnoletnia i trzezwa. A przez Internet sprawdzic tego nie sposob. Wiec urzednicy z PARP-y nagle zaczeli straszyc sadem, grozic i zamykac internetowe sklepy z alkoholem.

Sam kupuje alkohol przez Internet, bo to wygodne dla kogos, kto nie gustuje w zwyklej siwusze, tylko szuka jakiejs konkretnej marki. No i znacznie tansze. Az szkoda mi sil i czasu na tlumaczenie, ze te milion, dwa miliony obywateli, ktore wedle statystyk upijaja sie codziennie, nie kupuja jaboli przez Siec. Nie wierze w glupote urzednikow, wierze w ich interesownosc. Akcja PARP-y przeciwko polskim sklepom internetowym akurat zbiegla sie, tak jakos przypadkiem, z wejsciem w zycie – od 1 marca 2008 – eurodyrektywy otwierajacej dla sprzedazy wysylkowej wszystkie kraje wspolnoty. Ktos widocznie zalozyl sobie sklepik na serwerze niemieckim i prosta metoda, pozyskawszy dla szlachetnej sprawy walki z alkoholizmem stosowny urzad, wykosil konkurencje… Oczywiscie mozna dodac taki drobiazg, ze kiedy juz sieciowy handel alkoholem calkowicie przeniesie sie na serwery w innych krajach Unii, to i podatki, zawszec kwota warta uwagi, przeniosa sie do tamtejszych urzedow skarbowych. Tak jak swego czasu zakaz sprowadzania z Zachodu uszkodzonych samochodow przeniosl zyski i podatki warsztatow zyjacych z tego naprawiania na druga strone Odry. Kraj bogaty, stac go na to.

Z jednej strony mamy wiec totalna swobode i uznaniowosc w wydawaniu decyzji. A z drugiej wyzsza instancja moze sie wtracac w decyzje nizszej i zmieniac je rownie wedle swojego widzimisie, jak wedle takiegoz widzimisie zostaly one podjete.

Na przyklad podatki – co innego, jak juz wspomnialem, odpiszesz od VAT-u w Lomzy, co innego w Ciechanowie. Bo przepisy sa tak skonstruowane, ze diabel sie w tym nie polapie, a organem uprawnionym do ich interpretacji jest naczelnik urzedu skarbowego. Kazdy na swoim terenie. Stad charakterystyczne polskie zjawisko, niemajace chyba nigdzie w Europie odpowiednika, jakim jest obfitosc firm zarejestrowanych w zupelnie innym miejscu, niz prowadza dzialalnosc. Firma buduje domy w Opatowie, a cala ksiegowosc rozlicza w Przeworsku, i to nikogo nie dziwi. Z jakiejs przyczyny wlasciciel woli sie pare razy w miesiacu tluc kawal drogi (w czasie, gdy moglby sie zajmowac czyms pozytecznym – to wlasnie nazywam plywaniem w kisielu), niz isc z rozliczeniami tam, gdzie mu najblizej. Kazdy wie dlaczego.

Ale to jeszcze drobiazg. Najwazniejsze jest to, ze kazdy naczelnik urzedu skarbowego wladny jest swoja wlasna interpretacje w ktoryms momencie zmienic. I wtedy do przedsiebiorcy przychodzi pismo, ze zdaniem urzedu piec lat temu podatnik odpisal od podatku cos, czego odpisywac nie powinien, w zwiazku z czym winny jest tyle a tyle milionow zaleglego podatku wraz z odsetkami do zaplacenia natychmiast. W taki wlasnie sposob wykonczono Romana Kluske, ale tez dziesiatki innych. Oczywiscie, decyzje urzedu mozna zaskarzyc do sadu, ale to nie zwalnia od obowiazku natychmiastowej zaplaty. To znaczy – firma zostaje zniszczona, a jesli wlasciciel po kilku latach udowodni wreszcie, ze byl absolutnie w porzadku i z zadnymi milionami nie zalegal, to wyplaci mu sie odszkodowanie z budzetu panstwa, a urzednik, ktory zawinil, nie poniesie zadnej odpowiedzialnosci, bodaj zeby nawet czysto symbolicznej, w postaci ustnej nagany. Zgnoil czlowieka? Mial do tego prawo. Mogl, frajer, zyc z nim dobrze, a nie sie stawiac.

Czekajcie Panstwo, to wciaz nie koniec. Poniewaz w kraju, w ktorym panuje taka urzednicza samowola, trudno doprawdy robic uczciwe interesy, organizacje przedsiebiorcow podjely starania o pewne uporzadkowanie tych spraw. Nikt nawet nie domagal sie wprowadzenia zasady, ktora obowiazuje w krajach zachodnich, ze jesli panstwo z wlasnej winy nie zglosi sie w odpowiednim czasie

po jakis nalezny mu podatek czy oplate, to pozniej juz sie owych pieniedzy nie pobiera. Usilowano wywalczyc cos innego – zasade, aby w calym kraju obowiazywaly jednolite interpretacje przepisow podatkowych. To znaczy aby minister finansow mial prawo oglaszac interpretacje, ktora wszyscy nizszego szczebla sludzy fiskusa beda zobowiazani szanowac. To sie nie udalo – nadal minister moze oglosic i nawet zedrzec przy tym oglaszaniu gardlo, ze to a to wolno od podatku odliczyc, a jesli szef wojewodzkiego urzedu powie podatnikowi, ze ma pana ministra gdzies, i naliczy podatek po swojemu, podatnik musi grzecznie bulic.

Chyba ze uda sie do ministerstwa i tam zdola jakos sprawe zalatwic – ale o tym za chwile.

Probowano tez zalatwic cos, co wydawaloby sie jeszcze bardziej oczywiste. Ze jesli podatnik nie ma pewnosci, ile i od czego nalezy sie z jego strony podatku, moze sie zglosic do urzedu skarbowego i uzyskac tam wiazaca interpretacje. Wiazaca, co znaczy, ze jesli urzad powie podatnikowi, ze ma postapic tak i tak, to nie przysle mu po kilku latach wezwania do uregulowania zaleglych milionow wraz z odsetkami, bo wlasnie uznal, ze jednak podatnik powinien byl postapic inaczej.

Powiem od razu, ze to tez sie nie udalo i teraz, w roku 2008, nadal wszystko jest po staremu. Obywatel moze oczywiscie isc do urzedu skarbowego i zapytac, czy powinien zaplacic tak, czy tak. Urzad moze go zbyc dumnym milczeniem, moze tez odpowiedziec, a potem wlepic kare za to, ze postapil tak wlasnie, jak mu urzad kazal. Najuczciwiej byloby, gdyby odpowiedzial – rob, jak chcesz, i tak w kazdej chwili mozemy ci sie dobrac do skory, jesli nie bedziesz z nami dobrze zyl.

W takim wlasnie kraju zyjemy. Nie wiedzieli Panstwo? Trzymajcie sie, to dopiero pierwszy rozdzial!

Charakterystyczny jest sposob, w jaki wspomniane wyzej skromne proby pewnego ograniczenia urzedniczej samowoli sie skonczyly. Otoz gdy formowano "rzad fachowcow" Marka Belki, do stanowiska ministra finansow wysunieto Miroslawa Gronickiego. Liberala, ktory o koniecznosci uporzadkowania kwestii interpretacji podatkowej mowil bardzo glosno i stanowczo, ba, oglosil, ze wprowadzenie zasady jednolitej i wiazacej interpretacji uwaza za swoje podstawowe zadanie.

Musza Panstwo wiedziec, ze ja sprawom opisanym powyzej poswiecilem jako dziennikarz sporo uwagi, piszac o nich z obsesyjnym uporem i wrazeniem, ze tluke glowa o mur. I nigdy wczesniej nie spotkalem sie, zeby polityk, a juz zwlaszcza kandydat na ministra finansow, publicznie zauwazyl, ze jest taki problem, ze strasznie zle wplywa on na nasza gospodarke i zycie publiczne, ze wymaga rozwiazania i – ba! – ze on wlasnie te sprawe zalatwi. A tu nagle trafia sie taki gosc. Rzecz jasna, zatarlem rece i natezajac uwage, czekalem, co z tego wyjdzie.

Co wyszlo – nie chce sie wyrazac. Wystarczylo kilka dni po objeciu urzedu, zeby panu Gronickiemu rura zmiekla. Spytany publicznie o swoje zapowiedzi, wyjasnil metnie, ze sie, niestety, nie da. Rozmawial z urzednikami swojego resortu, no i ci mu wytlumaczyli, ze, niestety, tak musi zostac, jak jest. Bo inaczej byloby niezgodnie z konstytucyjnym ladem prawnym, panujacym w naszym panstwie.

Oczywiscie, stracilem potem serce do dalszego sledzenia dzialalnosci pana ministra. Jesli do zalatwienia jakiejkolwiek sprawy potrzebowal on zgody swoich urzednikow, to mozna bylo byc spokojnym, ze nic nie zmieni – przeciez to nikt inny, ale wlasnie owi urzednicy sa glownymi beneficjentami panujacego balaganu. Panu ministrowi zapewne udalo sie zgodzic slupki w panstwowym bilansie rocznym, bo skoro to on slucha podwladnych, a nie podwladni jego, co ma innego do roboty, niz bilansowac slupki?

Niemniej odnotujmy jego nazwisko – nic nie zrobil, ale przynajmniej powiedzial. Zaden inny minister finansow ani zaden w ogole polityk nie zajaknal sie o problemie jednym slowem. Jesli juz w ogole mowi sie cos o ulzeniu doli drobnych przedsiebiorcow, to jak mantra wraca haslo "jednego okienka". Zeby niby mozna bylo zarejestrowac firme w jednym okienku, zamiast jak teraz tracic czas na bieganie od urzedu do urzedu. Skadinad i owo nieszczesne "jedno okienko" jak dotad okazuje sie ponad sily Rzeczypospolitej i wszystkich jej kolejnych reformatorow, ale gdyby nawet, to co niby, u diabla ciezkiego, przedsiebiorcy po "jednym okienku", gdy ma na lbie owych mandarynow od podatkow, od wszystkich tych zgod i zezwolen, a do tego jeszcze czterdziesci inspekcji, z ktorymi – z kazda! – musi dobrze zyc, poniewaz kazda moze mu wejsc w dowolnej chwili do firmy i bez dania racji, tak po prostu w ramach czynnosci kontrolnych, calkowicie ja sparalizowac na dowolnie dlugi okres?

No, ale przeciez nie tylko urzednicy – dajmy na to, skarbowi, skoro akurat o nich wlasnie sie rozpisalem – maja swoje srodowiskowe interesy, od ktorych upilnowania zalezy ich sila, zarobki i wplywy. Politycy takze maja swoje kastowe interesy i tez ich pilnuja.

Jak wspomnialem, jesli ktos nie czuje sie usatysfakcjonowany decyzja wlasciwego dla swego miejsca naczelnika urzedu skarbowego, ma dwie drogi. Moze isc do sadu, wydac pieniadze, zmarnowac kupe czasu i juz po kilku zaledwie latach uzyskac moralna satysfakcje w postaci wyroku, ktory mozna sobie oprawic w ramki, powiesic na scianie i kontemplowac albo okazywac potomnym. Moze tez isc do jego zwierzchnikow. Pokrzywdzil nas miejscowy kacyk, idziemy po sprawiedliwosc do jego suwerena – zgodnie z zelazna logika feudalizmu. W praktyce znaczy to raczej, ze jesli znamy suwerena, to na jego wasala mozemy gwizdac (bo przeciez chudopacholek, ktorego byle kto moze pokrzywdzic, do suwerena ze swoja skarga dopuszczony nie zostanie) – ale mniejsza juz o szczegoly.

Otoz w III RP od jej zarania obowiazuje zasada, ze minister finansow moze wedle swego uwazania zwolnic z placenia podatkow kazda osobe fizyczna i prawna – to znaczy kazdego obywatela RP i kazda zarejestrowana na jej terenie firme. Minister nie musi wyjasniac, jakimi kryteriami sie kieruje, nie jest skrepowany zadnymi zasadami. Nie musi nawet ujawniac faktu, ze takiemu to a takiemu czy tej a tej firmie umorzyl tyle to a tyle milionow naleznosci podatkowych, bo tak mu sie podobalo. Nawet wrecz nie moze, bo od pewnego czasu obowiazuje u nas ustawa o ochronie danych osobowych, trzeba przyznac, ze napisana w taki sposob, jakby jej glownym celem byla ochrona przed gniewem opinii publicznej wszelkiego rodzaju aferzystow, cwaniaczkow, kapusiow i innego najbardziej szemranego elementu.

Mowie – minister, ale oczywiscie minister rzadko ma na to czas, sprawami tego rodzaju zajmuja sie jego podwladni, a on tylko podpisuje i przystawia pieczatke… Co ja gadam, nic nie podpisuje, przeciez w ministerstwie wybrani pracownicy maja tak zwane faksymilki, ktorych przylozenie rownowazne jest z wlasnorecznym podpisem szefa.

Upodabnia to Polske do krajow w rodzaju Konga i, prawde mowiac, juz na pierwszy rzut oka jest sprzeczne z dyrektywami unijnymi, bo przeciez umorzenie podatkow to pomoc publiczna, a

zasady udzielania pomocy publicznej sa w Unii uregulowane dosc szczegolowo. Wychodzac z tego zalozenia, mialem naiwna nadzieje, ze nasze wejscie do UE zmusi politykow, zeby wreszcie z tym zawstydzajacym reliktem peerelu, a zarazem nieprzepartym zaproszeniem do korupcji, cos zrobili. W tym punkcie okazalem sie naiwny. Unia, owszem, wiele na naszych politykach wymusila, ale tu akurat jakos obronili oni stary stan rzeczy (byc moze Unia po prostu odpuscila, widzac, jak bardzo ta sprawa jest dla miejscowych wazna?). Sprawa owych umorzen podatkowych to jedna z takich rzeczy, o ktorych pisalem i mowilem – przeciez tylko jako jeden z wielu – od lat, i nigdy zaden z politykow, z lewa czy prawa, nawet sie o niej nie zajaknal. Jedynym wyjatkiem byl Leszek Balcerowicz, ktory jako minister finansow w rzadzie AWS-UW obiecal… no nie, nie przesadzajmy, nie likwidacje mozliwosci zwalniania przez ministerstwo z podatkow. Obiecal tylko, ze bedzie co roku publikowal liste, komu i na jaka sume w danym roku podatki umorzono (bo jest to informacja scisle tajna, chroniona ustawowo, tak samo jak informacja o tym, ktorego z bandziorow na tyle nierozgarnietych, ze dali sie skazac, raczyl po swemu uznaniu uwolnic od kary pan prezydent). I na tej zapowiedzi sie skonczylo – nigdy potem do sprawy nie wrocil. Widocznie podwladni przekonali go, jak pozniej Gronickiego, ze i to byloby sprzeczne z konstytucyjnym ladem prawnym III RP.

Za rzadow PiS sprawa wrocila w sposob nad wyraz spektakularny – i zarazem tak charakterystyczny, ze osobiscie sklonny jestem w niej widziec doskonaly symbol owych rzadow i tego, czym szumnie obiecywana IV Rzeczpospolita okazala sie w praktyce. Oto pewnego dnia ubrani w kominiarki funkcjonariusze CBS wyprowadzili z gmachu ministerstwa finansow siedmiu wysokich urzednikow tegoz resortu skutych kajdankami. Wlasnie za umarzanie podatkow rozmaitym aferzystom i mafiosom. Z udzielonych prasie informacji wynikalo, ze siodemka zatrzymanych zasiedziala sie byla w resorcie od czasow niepamietnych, jeden bodaj nawet jeszcze od czasow peerelu, i ze od rownie niepamietnych czasow prowadzila swoj proceder. Wskazywano rowniez, ze wsrod beneficjentow ich dzialalnosci znalezli sie miedzy innymi przywodcy mafii pruszkowskiej oraz byly senator, a zarazem udzielny wladca sporego ksiestwa w okolicach Pily, Henryk Stoklosa.

No i co? No i pstro, a myslalby kto, ze cos – jak to spiewala przed laty znana szansonistka. Wyprowadzono ich w kajdankach, z wszelkimi szykanami, pokazano wszem wobec, jak sobie wladza radzi z aferzystami, a potem sie wszystko jakos, jak zwykle,

rozeszlo po kosciach. Za Stoklosa rozeslano list gonczy, ale szefowi CBS na dwa tygodnie ten list zawieruszyl sie w papierach… i znalazl sie, dopiero gdy zainteresowany zniknal juz z kraju – a czlowiek, ktorego w oczekiwaniu na nakaz aresztowania sledzili jego podwladni, okazal sie ucharakteryzowanym na Stoklose jego szoferem. Mniej spektakularnie, lecz jeszcze bardziej skutecznie czmychnal tez za granice drugi podejrzany "biznesmen", Rudolf Skowronski. Wiec te dwa watki sledztwa umarly smiercia naturalna, a o innych nic nie wiadomo. Mozliwe, ze wszystkich siedmiu skorumpowanych urzednikow dawno juz wypuszczono. Mozliwe, ze jeszcze nie, ale tez pewnie w koncu wyjda – jak nie przymierzajac Marek Dochnal, ktorego zeznan przez ponad trzy lata prokuratury jakos nie byly w stanie ani odrzucic, ani przekuc w jakikolwiek konkretny akt oskarzenia.

Co jest najwazniejsze i dlaczego te sprawe podnosze do rangi symbolu ostatnich dwoch lat, czy, jak chca te dwa lata nazywac niektorzy, IV Rzeczypospolitej – tych siedmiu, owszem, aresztowano, ale nikt sie nawet nie zajaknal o zmianie przepisow, ktore umozliwialy im przez wiele lat zwalnianie roznych szemranych typow z placenia podatkow w zamian za, jak to sie nazywa w prawniczym zargonie, korzysci majatkowe. Miejsce siedmiu aresztowanych zajelo siedmiu innych, ktorzy nadal maja prawo udzielac takich zwolnien i zapewne nadal ich udzielaja. Komu? Nie wiadomo. Tajemnica. Ustawa o ochronie danych osobowych.

Nasuwa sie brzydkie podejrzenie, ze urzednikow zaobraczkowano nie tyle za sam fakt swiadczenia wyzej opisanej uslugi mafiosom, co za swiadczenie jej na wlasna reke i nie tym, ktorym nalezalo.

Pisze: symbol rzadow PiS, bo PiS obiecywalo to i owo w Rywinlandzie zmienic, obiecywalo Nowe Panstwo, ktorego odmiennosc od poprzedniego zaznaczac miala zmiana numerka porzadkowego – ale przeciez w tym wlasnie problem, ze w tej sprawie postapiono dokladnie tak samo, jak to w III RP bylo standardem. Wezmy jedna tylko sprawe, z roku 1992. Wprowadzenie przez Adama Glapinskiego, ministra w rzadzie Jana Olszewskiego, koncesji na obrot paliwem podawane bylo jako jeden z glownych powodow, dla ktorych obalenie owczesnego rzadu stalo sie absolutnie konieczne. Kolejna premier, Hanna Suchocka, na etapie tworzenia koalicji uzyla owych koncesji jako argumentu, dlaczego Glapinski nie moze

wejsc w sklad jej rzadu (co pozwolilo w ogole wywalic z niego PC, skadinad gotowe w tym gabinecie uczestniczyc), a usluzna Suchockiej "Gazeta Wyborcza" rozpetala krotkotrwala histerie, ze takie koncesje to powrot peerelu i jego nakazowo-rozdzielczej gospodarki, cios w wolny rynek i tak dalej. Krotkotrwala, bo potem, gdy juz Suchocka objela wladze, sprawa gwaltownie przycichla i koncesje pozostaly. Okazalo sie, ze grzechem Glapinskiego bylo nie samo wprowadzenie koncesji na intratny handel paliwami, tylko odmowienie udzielenia takowej Aleksandrowi Gawronikowi. Gdy ten blad naprawiono, koncesje okazaly sie OK.

Udawalbym glupszego, niz jestem, gdybym sie dziwil, ze politycy nie chca takich spraw zmieniac ani nawet publicznie dostrzegac ich istnienia. Ja wiem i Panstwo sie domyslaja, ale dla porzadku objasnijmy to.

Politycy, jak wiemy, grupuja sie w partie. Partia, podmiot demokracji parlamentarnej, zwlaszcza w jej wydaniu europejskim, to w teorii zgromadzenie ludzi, ktorych laczy idea i chec wspolnej pracy na rzecz jej wcielenia w zycie.

W praktyce, niestety, wyszlo nam to troche inaczej. W praktyce partia to zgromadzenie ludzi nawzajem sobie pomagajacych w zdobywaniu wladzy i zajmowaniu stanowisk. Jak kazda wlasciwie struktura w Polsce, rzadzi sie ona zasadami feudalnymi. Na czele stoi przywodca, jakby krol, otoczony najblizszymi wspolpracownikami niczym dworem oraz szefami roznych partyjnych struktur niczym rada koronna. O ile sklad dworu zalezy calkowicie od decyzji wladcy, do rozmaitych komitetow naczelnych czy zarzadow moga dostawac sie takze ludzie od niego niezalezni, a nawet mu niechetni, choc oczywiscie kazdy prezes stara sie do tego nie dopuscic. Na okolicznosc opisywania wewnetrznych tarc w SLD u schylku rzadow Leszka Millera przyjelo sie owych pomniejszych partyjnych przywodcow nazywac baronami, co bardzo trafnie wskazuje mechanizm ich funkcjonowania.

W klasycznym feudalizmie, jak pamietamy, baronowie byli to bezposredni wasale wladcy, zobowiazani wobec niego do posluszenstwa, ale silni poparciem swoich wasali, ktorzy z kolei nie musieli sluchac nikogo poza swoim bezposrednim suwerenem. Wytwarzalo to pewna rownowage – baron niby musial byc posluszny, ale i krol musial sie z nim liczyc, bo jesli sie zbuntowal, szeregowi rycerze sluchali raczej jego niz krola. Z

prostej przyczyny zreszta: krol rezydowal gdzies tam wysoko, a oni byli winni wdziecznosc temu, komu bezposrednio zawdzieczali swoje wlosci.

Poniewaz struktura feudalna na tym wlasnie sie trzyma – na rozdawaniu wlosci. W wypadku partii politycznej owe wlosci to glownie stanowiska. Rzadko w samej partii, choc i tu – budzetowe pieniadze przeznaczone na utrzymanie poselskich i senatorskich biur trafiaja w przewazajacej mierze do krewnych i znajomkow parlamentarzystow. Glownie jednak chodzi o stanowiska w administracji centralnej i lokalnej, w samorzadach, w spolkach skarbu panstwa i miejskich lub gminnych. Ogromna pula posad w naszym kraju pozostaje w dyspozycji politykow roznych szczebli – od posad ministerialnych, ze szczegolnym uwzglednieniem ponad wszelkie pojecie rozmnozonych tak zwanych gabinetow politycznych, az po takie, jak etat kierownika gminnego osrodka pomocy spolecznej, domu kultury czy basenu. Przyszedl mi do glowy akurat basen, bo, rzecz anegdotyczna, kiedy w Warszawie zmienila sie swego czasu rzadzaca miastem koalicja (z AWS-UW na SLD z PO, to znaczy te sama UW, tylko po drodze na PO przemianowana), fala zmian objela nawet szefow basenow. Wtedy jeszcze wydawalo sie to na tyle groteskowe, ze odnotowano rzecz w prasie – dzis nikomu by sie nie chcialo, bo to normalka.

Tak jak sila dawnych krolow zalezala od tego, ile ktory mial na swe zawolanie kopii, a to z kolei od tego, ile ktory z rycerzy posiadal wlok ziemi i chlopow do ich uprawy, tak sila obecnych partii zalezy od liczby nalezacych do niej urzednikow i radnych roznych szczebli, a to znowu od tego, ile partia moze komu zalatwic. Ale i odwrotnie – im wiecej swoich na stanowiskach, tym wiecej z kolei moze z tego miec partia i tym wiecej mozna pozyskac klientow zobowiazanych do odwdzieczenia sie jej. Jest wiec w najlepiej rozumianym interesie calej klasy politycznej, bez wzgledu, kto sie deklaruje jako lewica, kto jako prawica, ciagle mnozenie liczby synekur, ktorych rozdawaniem prezes i jego baronowie moga przyciagac do siebie rozmaite srodowiska; a mowiac bardziej bezceremonialnie, rozmaite sitwy.

Prosze zakonotowac powyzsze zdanie – na razie ten watek zostawiam na boku, lecz bedzie on mial znaczenie.

Z pozoru troche to przypomina normalna, cywilizowana demokracje. Wszak o to w niej chodzi, aby struktury partyjne obecne byly wszedzie, od najnizszego poziomu do najwyzszego. Aby w kazdej gminie miec partyjne kolo rekomendujace ludzi do

zajmowania waznych dla tej gminy stanowisk – bo rekomendacja waznej, ogolnokrajowej partii to argument dla wyborcow.

Ale to tylko pozor. W zdrowej demokracji partie wyrastaja z dolu – i rosna do gory, do struktur parlamentarnych. U nas powstawaly na gorze i schodzily w dol w poszukiwaniu lupow. Dobitnym tego znakiem jest ewolucja samorzadowej ordynacji wyborczej – konsekwentnie zmienianej w III RP w takim kierunku, aby nawet w najmniejszej gminie uniemozliwic skuteczne kandydowanie niezaleznym spolecznikom i sparalizowac dzialanie spontanicznych lokalnych inicjatyw, jesli ich uczestnicy nie zgodza sie zostac dokooptowani do ogolnokrajowej partyjnej struktury. Kto tego nie rozumie, tego wytnie z konkurencji proporcjonalna zasada wyborow, progi procentowe, sposob liczenia glosow czy zapisy regulujace sposob zglaszania kandydatow.

W partiach niemieckich jest po pol miliona aktywnych czlonkow, w naszych po kilkanascie, kilkadziesiat tysiecy, przy czym w chwili gdy partia przestaje byc wazna i dawac nadzieje osobistych korzysci, czlonkowie owi potrafia sie rozbiec w blyskawicznym tempie i rownie blyskawicznie pojawic sie w nowych ugrupowaniach. Szeregi SLD – absolutnego rekordzisty pod wzgledem liczebnosci wydanych legitymacji, glownie dzieki odziedziczeniu wiernego, acz cokolwiek steranego wiekiem aktywu po PZPR oraz zapisaniu hurmem czlonkow rozmaitych stowarzyszen dzialkowcow, nauczycieli itp. – w kilka tygodni po spektakularnej katastrofie rzadow Leszka Millera stopnialy, wedle informacji samej partii, o jakies sto tysiecy ludzi, czyli o dwie trzecie. Uwazam te liczbe za przesadzona; niemniej sama proporcja wydaje mi sie wiarygodna. Mysle, ze w istocie liczba wychodzcow stanowila jakies piecdziesiat tysiecy. Mysle tak dlatego, ze wedle rozmaitych danych mniej wiecej tyle wlasnie chetnych zglosilo sie w owym czasie do partii idacych w gore – do Samoobrony, Platformy Obywatelskiej, Prawa i Sprawiedliwosci. Z perspektywy Warszawy transfer z SLD do PiS moze sie wydawac karkolomna wolta, ale w Polsce gminnej takie sprawy wygladaja inaczej.

Malo ktory Polak interesuje sie lokalna polityka na tyle, by wiedziec, kto w jego gminie jest z nadania jakiej partii. Sadze jednak, ze ci, ktorzy sie w tym orientuja, przyznaja mi racje. Partyjne doly znajduja sie w stanie ciaglego ruchu, bedacego odzwierciedleniem zmieniajacych sie sympatii politycznych ogolu spoleczenstwa. Sledze z dziennikarskich powodow walke

pewnego stowarzyszenia z lokalnym kacykiem w jednej z gmin podwarszawskich. Kacyk przez wiele lat byl nie do ugryzienia, bo stanowil miejscowa podpore PSL. Az nagle dnia pewnego stal sie czolowa postacia miejscowego PiS. I nadal byl nie do ugryzienia. Nie sprawdzalem jeszcze, czy po ostatnich wyborach wrocil do PSL, czy moze przesiadl sie na Platforme; w sumie co to za roznica. Sadzcie Panstwo sami, podlug wlasnych doswiadczen, czy to przyklad typowy, czy nie. Moim zdaniem, sposobem traktowania samorzadow tak zwana klasa polityczna skutecznie korumpuje i pacyfikuje rzesze niezainteresowanych jej grami ludzi, z ktorych w przeciwnym razie moglaby sie dla niej zrodzic konkurencja. Albo musza sie umoczyc, albo zrezygnowac ze swoich aspiracji. Wspolpracowalem swego czasu z amerykanska fundacja wspierajaca dzialania samorzadow. Jej polski szef wynajdowal dziesiatki zupelnie fantastycznych przykladow udanych, najzupelniej oddolnych inicjatyw lokalnych spolecznosci. Szybko zauwazylem, ze wszystkie one maja jedna wspolna ceche – wszystkie mialy miejsce w gminach na tyle malych, ze ich wladze lokalne wybierane byly nie wedlug ordynacji proporcjonalnej, ale zwyczajnie, wiekszoscia glosow. Niestety, po paru latach Amerykanie uznali, ze Polska osiagnela juz normalnosc, pomocy nie potrzebuje i fundacja przeniosla swa dzialalnosc na Ukraine i Balkany. A rok pozniej kolejna zmiana ordynacji przesunela prog proporcjonalnosci wyborow w dol, obejmujac nimi takze mniejsze gminy.

Po co Polak zapisuje sie do partii? Po to, zeby zapewnic sobie posade. Zapewne w jakiejs czesci takie postrzeganie partii politycznych wynika z "pamieci materialu". Bo przez dziesieciolecia do partii zapisywalo sie po to, zeby cos z tego miec, awansowac, zrobic kariere, a jak sie juz ktos zapisal, to pilnie sie rozgladal, pod kogo sie "podwiesic", kto moze pociagnac do gory i kiedy "podwieszenie" zmienic, bo dotychczasowy patron "leci w dol". To przyzwyczajenia, ktore nielatwo znikaja, a w kazdym razie nie znikna tylko dlatego, ze ogloszono demokracje i partii zamiast jednej zrobilo sie wiele; obstawia sie je tak samo, jak w PZPR i jej "stronnictwach sojuszniczych" obstawialo sie nieformalne koterie.

Ale trzeba zauwazyc, ze w podobny sposob degenerowala sie demokracja liberalna w niektorych krajach zachodnich. W takich jak Belgia, Wlochy czy Austria partie staly sie kartelami zawlaszczajacymi ogromna czesc strefy publicznej i dzielacymi ja pomiedzy swoich. Przyjaciel przez wiele lat zyjacy w Austrii mowil mi ze smiechem, ze "tu nawet babcie klozetowe w ratuszu musza

byc albo chadeczkami, albo socjaldemokratkami" i bez legitymacji ktorejs z partii nie ma co marzyc o jakiejkolwiek posadzie w budzetowce. Efektem takiego partyjnego rozbioru sfery publicznej bylo koniec koncow przelamanie oligopolu glownych partii przez jakichs populistow, drastycznie lamiacych kanony politycznej poprawnosci i gloszacych hasla nazistowskie, rasistowskie i jakie tam jeszcze mogly przyprawic (i zwykle przyprawialy) establishment o zbiorowy zawal serca. Ta fala zdaje sie w chwili obecnej odplywac – Europa wyciagnela z niej wnioski i w takiej na przyklad Francji Sarkozy kompletnie zmarginalizowal Le Pena, jeszcze kilka lat temu straszacego tamtejsze salony po nocach. Nawiasem mowiac, te doswiadczenia zachodnioeuropejskie czesto rzutowane sa w prosty sposob na Polske i kaza interpretowac sukcesy Andrzeja Leppera jako przejaw dzialania tych samych mechanizmow, ktore stworzyly sile Frontu Narodowego, Ligi Polnocnej czy Bloku Flamandzkiego. Moim zdaniem, istnieje tu pewne podobienstwo – zwlaszcza emocja swoistego buntu wyborcow przeciwko panstwu widzianemu jako struktura wroga i bez reszty zawlaszczona przez establishment. Ale istota zjawiska Samoobrony jest jednak inna. W Ameryce, gdzie nie ma innych wyborow niz wiekszosciowe w okregach jednomandatowych, gdzie nawet najslawniejszy spiker Kongresu, zeby moc prowadzic jakakolwiek dzialalnosc, musi przede wszystkim zdobyc i przez dlugi czas utrzymac zaufanie wyborcow ze swojego okregu, mawia sie, ze nie ma innej polityki niz lokalna, a gminne (czy raczej parafialne, bo tak zwykle zwie sie w USA najmniejsza jednostka samorzadowa) struktury partyjne okresla sie mianem grassroots – doslownie, "korzenie trawy". Ta nazwa podkresla cos, co dla Amerykanina jest oczywiste – ze demokracja wyrasta od dolu, ze wladza federalna jest emanacja lokalnej. Jesli ktos uzna, ze symbole i nazwy to za malo, by takiej tezy dowiesc, niech spojrzy na frekwencje wyborcza. W Stanach jest ona tym wyzsza, im bardziej lokalne sa wybory. Najwyzsza, siegajaca dziewiecdziesieciu procent – w wyborach do rad szkolnych (tak, bo w USA szkoly publiczne sa naprawde publiczne, a nie, jak u nas, stanowe; bo zarzadzaja nimi nie zadne zakichane ministerstwa czy kuratoria, ale wlasnie rady nadzorcze wybierane w bezposrednich wyborach przez rodzicow). Kiedy w USA laczy sie wybory lokalne z prezydenckimi, to po to, zeby zwiekszyc frekwencje w tych drugich, i zazwyczaj to dziala – jesli juz ktos fatyguje sie do urny rozstrzygnac wazne, dotyczace go bezposrednio sprawy wlasnej parafii, przy okazji moze wypowiedziec sie w kwestii tak ezoterycznej jak ta, kto bedzie prezydentem USA.

W Polsce jest dokladnie odwrotnie. Frekwencja w wyborach do parlamentu jest z reguly oplakana – kiedy ostatnio przekroczyla piecdziesiat procent, bito w bebny i deto w fanfary, jakby Bog wie co sie zdarzylo. Choc i tak jest duzo, duzo wieksza niz w wyborach do rad gmin. Przecietny Polak, odwrotnie niz Amerykanin, wie, jak sie nazywa i z jakiej partii pochodzi premier i prezydent – ale z wymienieniem nazwiska burmistrza ma duzy klopot, chyba ze przypadkiem cos u niego musial ostatnio zalatwiac.

Wynika to z prostego faktu – u nas partie nie wyrastaja z gmin. Nawet jesli dany dzialacz pochodzi z tego akurat terenu, nie jest bynajmniej przedstawicielem swej gminy w strukturze ogolnopolskiej. Jest delegatem struktury ogolnopolskiej na swoja gmine. Wynika to z ustawodawstwa, ktore politycy stworzyli tak, aby sprzyjalo ono wladzy partyjnych bossow i ich dworow nad politycznymi przedsiebiorstwami, przeznaczonymi do zdobywania wladzy i czerpania z niej zyskow – tym bowiem wlasnie jest w Polsce partia polityczna. Wynika tez z tego ustawodawstwa, ze zwyciezcy kazdych kolejnych wyborow, oczywiscie wygrywajacy zawsze obietnica, ze beda inni, skoncza z rzadami kolesiow, zawlaszczaniem panstwa i tak dalej, rzucaja sie na Polske jak na zdobycz, z zajadloscia czyszczac stanowiska z pokonanych wrogow i obsadzajac je swoimi; chyba ze, oczywiscie, osoba stanowisko zajmujaca w pore zmienila podwieszenie, przechodzac na strone przyszlych zwyciezcow (w jezyku ostatnich lat nazywa sie to "politycznym transferem"). A gdzie tylko mozna, tam zwyciezcy staraja sie dla swoich stronnikow stworzyc nowe latyfundia.

Polska polityka nader rzadko daje sie opisac jako starcie idei, programow czy wizji. Pomiedzy dwoma partiami, ktore po dlugiej walce i stopniowym redukowaniu liczby protagonistow zdominowaly te gre, do tego stopnia nie da sie wskazac zadnej istotnej programowej roznicy, ze komentatorzy zmuszeni byli zwekslowac cala uwage na "styl" uprawiania polityki. Polgebkiem przyznaje sie w ten sposob, ze pod owym stylem zadnej wartej uwagi tresci znalezc nie sposob. Ogolne nastawienie partii, czy to bardziej prorynkowe, czy bardziej prosocjalne, ich retoryka, bardziej tradycjonalistyczna albo postepowo-europejska, nie wynika z przemyslen liderow lub tym bardziej jakiegos "intelektualnego zaplecza", ktore ogranicza sie tylko do nazwisk i twarzy sluzacych ewentualnemu pokazywaniu sie w telewizji. Wynika z prostego zagospodarowania oczekiwan dajacych sie socjologicznie wyroznic grup elektoratu. Gdy partia sie rozwija,

siega po kolejne grupy i zmienia retoryke oraz obietnice odpowiednio do ich oczekiwan; gdy dostanie po lapach, wraca do swego zelaznego elektoratu i znowu mowi to, co ten wlasnie elektorat chce slyszec, a co poza nim niekoniecznie jest akceptowane.

Polskiej polityce ton nadaje walka nie idei, ale sitw i koterii, ktore przez ostatnie kilkanascie lat w ramach stopniowej ewolucji sceny politycznej grupowaly sie w coraz wieksze struktury, male sitwy stopniowo wchlaniane i pozerane przez wieksze, mniej cwane przez cwansze, mniej sprawni w intrygach przywodcy podporzadkowywani przez sprawniejszych albo, jesli sie nie chcieli podporzadkowac, wyrzucani przez nich poza boisko – az osiagnelismy stan obecny, stan z poczatku roku 2008: dwie partie duze i dwie male, ktorym juz w oczy zaglada widmo marginalizacji i wchloniecia przez te dwie pierwsze.

Na razie przerwe w tym miejscu opis naszej polityki, bo przyjdzie na to czas pozniej, po uswiadomieniu sobie dokladnie, z czego polityka ta wyrasta i jakim podlega uwarunkowaniom. Na razie chcialem tylko cos Panstwu uswiadomic. Rzecz skadinad nie nowa, bo nawet jesli ktos nigdy takiej diagnozy nie slyszal, to intuicyjnie od dawna przeczuwal, ze tak to wlasnie jest – ale rzecz bardzo wazna. Otoz politycy, klasa polityczna, jak sie to przyjelo nazywac w mediach, sa w naszym kraju jedna z wielu branz i choc zra sie miedzy soba i ublizaja jeden drugiemu, wyrywajac sobie z rak narzedzia sprawowania wladzy, takze i oni maja poczucie swego grupowego interesu.

Ta wspolnota interesow dotyczy nie tylko spraw prostych, jak przywileje materialne. Nie zazdroszcze poslom wysokich diet – prosze bardzo, niech biora te kilkanascie tysiecy miesiecznie. Ryczalty na prowadzenie biur wydaja mi sie wrecz za male, choc sposob ich wydawania powinien podlegac scislejszej kontroli. Jednak niektore przywileje, jakie sobie uchwalili parlamentarzysci, sa po prostu bezczelnym skokiem na kase. Wybieramy posla i senatora na okreslona kadencje – na cztery lata. Wiec jakim prawem po zakonczeniu owej kadencji dostaje on wielotysieczna odprawe, wzorowana na odprawach zwalnianych pracownikow na umowach na czas nieokreslony? Dlaczego maja parlamentarzysci prawo do praktycznie nieoprocentowanych pozyczek z funduszu socjalnego, o innych przywilejach nie wspominajac? Ale niech tam, pies ich tracal, w skali wydatkow panstwa to drobne grosze.

W walce o swe "branzowe" interesy wyrzadzili politycy Polsce duzo wieksze szkody Po pierwsze, uchwalili i wpisali do Konstytucji RP (dzieki czemu do zmiany tego fatalnego przepisu trzeba teraz zebrac dwie trzecie Zgromadzenia Narodowego – rzecz niewyobrazalna), iz wybory musza sie w Polsce odbywac wedlug ordynacji proporcjonalnej. Po drugie, w pelnej zgodzie postkomuny z postsolidarnoscia, liberalow z ludowcami, lewicy z prawica i oszolomow z salonem uchwalili oni prawo o finansowaniu partii politycznych, przyznajace partyjnym centralom grube miliony z budzetu panstwa w proporcji do liczby glosow zebranych w wyborach. Jedno i drugie w znakomitym stopniu chroni szefow politycznych karteli przed tym, co jest najwieksza bolaczka ich zawodu: kaprysnymi wyrokami wyborcow. Rola tych ostatnich – to znaczy nasza rola, prosze Panstwa – sprowadzona zostala do uczestnictwa w plebiscycie, w ktorym zaglosowac mozemy na jeden z zaoferowanych nam szyldow. Na nazwe i na firmujaca ja postac medialna – politycznego lidera, ktorego znamy z telewizji.

Ale co sie pod ta nazwa kryje – na to juz wplywu nie mamy. Wejdzie do sejmu ten, kogo centrala umiescila na liscie na "mandatowym" miejscu. A centrala umiesci na takim miejscu tego, kto jest centrali posluszny. W systemie wiekszosciowym deputowany zalezy od swoich wyborcow. Jesli szef partii ma inne zdanie niz wyborcy, to kazdy deputowany idzie za glosem wyborcow, bo inaczej go wiecej nie wybiora. W systemie proporcjonalnym deputowany musi byc lojalny wobec prezesa. Jesli podskoczy prezesowi, to wiecej sie na "mandatowym" miejscu listy nie znajdzie i bedzie skonczony. A jesli prezes go lubi, to chocby taki posel do szczetu obrzydl ludziom w swoim okregu, najwyzej przesunie go na mandatowe miejsce gdzie indziej, gdzie nikt go nie zna. To zreszta przyklad teoretyczny, bo przeciez w Polsce naprawde malo ktory wyborca rozpoznaje szeregowych poslow, nawet tych, przy ktorych postawil w wyborach krzyzyk. Ci poslowie to jedynie wieszaki na glosy, ludzie, za ktorych posrednictwem glosuje sie per procura na Kaczynskiego, Tuska, Pawlaka albo Olejniczaka.

Dodajmy, ze prezes nie tylko uklada listy wyborcze. Prezes takze dzieli miliony naplywajace do partyjnego skarbca z budzetu. To z kolei uwolnilo politykow od zmory poczatku lat dziewiecdziesiatych, czyli tego, ze kazdy niezadowolony w partii mogl w kazdej chwili zalozyc wlasna partie, zabierajac ze soba czesc elektoratu. Teraz, owszem, moze sobie zalozyc – bez kasy nikomu nie zagrozi. To prawda, ze rozdrobnienie sceny

politycznej w poczatku lat dziewiecdziesiatych bylo dla polskiej demokracji okolicznoscia bardzo zla. Tyle ze te jej mlodziencza chorobe wyleczono lekarstwem gorszym od niej samej. Polska demokracja przypomina knajpe, w ktorej mozesz wybrac, co chcesz, ale tylko z tego, co jest w karcie, a w karcie sa dwa dania, oba niesmaczne, i dwie jeszcze bardziej niesmaczne przystawki. A jak ci sie nie podoba, masz alternatywe – nie jesc w ogole.

Skutki takiego ksztaltu sceny politycznej zasluguja na bardziej rozbudowana analize, przyjdzie na to w porzadku naszej rozmowy odpowiedni czas. Na razie wystarczy, ze przekonalem Panstwa – mam taka nadzieje – iz politycy, klasa polityczna, to jeszcze jedna w Polsce branza kierujaca sie swoim grupowym interesem. I tam, gdzie upatruje ten interes, nie liczy sie z niczym innym, nie dba o dobro ogolu, kraju ani w ogole nic. Aby partia rosla w sile i zagarniala coraz to nowe wlosci, prezes musi miec czym wynagradzac wiernych sobie wasali, a wasale musza miec suwerena, ktory wydrze dla nich wiecej niz inni i lepiej od konkurentow ochroni. Przywodzenie partii to jak przywodzenie wilczemu stadu – byle idealista, naiwny inteligencik, nie da sobie z tym rady. Nam, wyborcom, polityk kojarzy sie z wystepami w telewizji i na rozmaitych trybunach, z podpisywaniem rozporzadzen. Ale podstawowa praca polityka to wspinanie sie w hierarchii partyjnej badz, jesli sie juz wspial – utrzymywanie sie w niej. Rozgrywanie dziesiatek zebran, wygrywanie glosowan, rozprowadzanie swoich ludzi, podsrywanie, z przeproszeniem, konkurentow i unikanie zastawianych przez nich pulapek.

Wrocmy jeszcze do sprawy owych skandalicznych zwolnien podatkowych, ktore sobie po uwazaniu rozdawac moze ministerstwo finansow, owej uznaniowosci w podejmowaniu waznych dla obywatela decyzji, owych mozliwosci zgnojenia kazdego upatrzonego obywatela naliczonym z glupia frant po latach podatkiem. Z punktu widzenia ogolu, interesow kraju, zdrowego rozsadku wszystko jest horrendalna bzdura.

A z punktu widzenia ludzi, w ktorych rekach te narzedzia spoczywaja?

To przeciez podstawa ich potegi. Tak jest wygodnie. Dzieki mozliwosci uznaniowego zwalniania z podatkow, dzieki mozliwosci zmieniania przez przelozonego decyzji podwladnego wladza jest wazna. Partia moze, zdobywszy wladze, odwdzieczyc sie swoim sponsorom, swoim stronnikom i pozyskac kolejnych klientow. A ci z kolei, ludzie wskazani przez partie do istotnych

funkcji, moga czerpac z tych funkcji profity. Oczywiscie, ja nie generalizuje, nie twierdze, ze wszyscy czerpia. Ale kto chce – ten moze. Urzednik spetany procedurami, jak na Zachodzie, bylby po prostu malym facecikiem odwalajacym robote od-do za pensyjke. Urzednik obdarzony prawem dowolnego interpretowania przepisow, oczywiscie nie jakis tam drobny referent, ale ten na waznym, obsadzanym z klucza politycznego stanowisku, to, jako sie juz rzeklo, Bog i car i kto chce czegokolwiek, musi sie z nim ulozyc. A jesli taki urzednik ma nieco wiecej tupetu, niz stanowi przecietna, to moze wrecz wymuszac na ludziach rozmaite daniny i haracze, pod kara takiego uprzykrzenia im zycia, ze popamietaja. Byle tylko nie narazil sie potezniejszemu od siebie, byle umial ulozyc sobie, wedle zasady wzajemnej wymiany przyslug, stosunki z ludzmi z powiatu, wojewodztwa i samej centrali.

Gdziekolwiek w Polsce siegniemy, na kazdym szczeblu znajdziemy to samo: feudalny mechanizm "podwieszen", uzupelniony zasada wojskowej "fali". Wszedzie mamy splatane ze soba jak robaki w sklepie akwarystycznym sitwy i koterie – pozostaniemy przy tej kwestii w nastepnym rozdziale, tu wystarczy tylko stwierdzic, ze i mechanizm polityki nie mogl byc inny. Wazne jest, zeby pamietac, ze mechanizm ten bynajmniej nie przestaje dzialac na poziomie partii, to znaczy nie jest tak, ze partia polityczna jest juz jedna, niepodzielna koteria. Ona takze jest splotem pomniejszych ukladow i ukladzikow walczacych o laski prezesa. W krajach, gdzie polityka idzie z dolu do gory, dzialacze pragnacy robic kariere zmuszeni sa w jakis sposob konkurowac ze soba, bo awansuje ten, ktory bedzie mial wieksze osiagniecia. W Polsce ten mechanizm dziala z roku na rok coraz slabiej. Znam wiele sytuacji, gdy wlasnie czlowiek z osiagnieciami, zdolny samorzadowiec albo organizator sprawnej kampanii wyborczej jest w swej organizacji partyjnej odsuwany na bok albo wrecz zostaje z niej wypchniety, bo trzeba zrobic miejsce dla kogos, kto nalezy do rodziny lub grona znajomych dzialacza majacego blizej do ucha prezesa lub jednego z zaufanych prezesa. Skoro do partii idzie sie po, jak nazwano to w mediach, konfitury, a szafarzem tych konfitur jest prezes, to wszystko, co zywe, ustawia sie pod oko prezesa i stara zadowolic jego wlasnie, a nie wyborcow – owszem, to sprawia, ze co jedna, dwie kadencje partie obumieraja i powstaja na ich miejscu nowe, zreszta przewaznie z tego samego ludzkiego materialu, lecz nawet jesli szeregowi dzialacze maja taka swiadomosc, to nie widza mozliwosci, by cos zmienic. Ten mechanizm "holowania" po partyjnej strukturze przez dzialacza wysokiego szczebla swoich

zaufanych na szczebel sredni, a przez nich znowu wciagania do partii swoich zaufanych dzialaczy regionalnych szczegolnie silnie dziala tam, gdzie szczegolnie wazne jako kryterium kariery jest osobiste zaufanie prezesa – w ostatnich latach wiec zdecydowanie mocno zaznaczylo sie w Prawie i Sprawiedliwosci. I osobiscie sadze, ze przysporzylo tej partii wiecej strat niz wskazywana przez wszystkich jej dzialaczy jako glowna przyczyna utraty popularnosci medialna nagonka.

Kapitan Beatty mowil: czlowiek, ktory potrafi rozlozyc i zlozyc z powrotem telescianke, a w dzisiejszych czasach potrafi to kazdy, jest duzo szczesliwszy od takiego, ktory probuje zmierzyc wszechswiat, bo tego sie nie da zmierzyc i czlowiek tylko czuje sie potem podle. Jesli chca Panstwo spelnic obywatelski obowiazek interesowania sie sprawami publicznymi, a mimo to pozostac szczesliwymi – to prosze, podniecajcie sie tym, czy ladny Donald pokona brzydkiego Kaczora, czy odwrotnie; czy Polska rzadzi nienawisc, czy Uklad; ekscytujcie sie zagrozeniem dla demokracji, stylem polityki i nie protestujcie, gdy sie wam wmawia, ze najwazniejsze polskie problemy to populizm, dzielenie ludzi i takie tam. W koncu, powiedzmy sobie szczerze, w wiekszosci do poruszania sie w kisielu przywyklismy. Naucza madrosc, ze, niestety, sa uklady, a na uklady nie ma rady. Nauczylismy sie dobrze zyc z ludzmi, z ktorymi trzeba dobrze zyc, zeby zyc. Kierownik urzedu skarbowego ma bratanice szukajaca dobrze platnej i niemeczacej posady? Pomoz mu rozwiazac ten problem, on pomoze tobie uniknac problemu z podatkami. Trzeba miec zatwierdzony projekt modernizacji domu? To od razu spytaj w gminie, czy moga polecic jakiegos dobrego architekta, ktory ci ten projekt przygotuje, spytaj, czy nie znaja jakiegos dobrego inspektora nadzoru budowlanego, i poradz sie, kogo najlepiej wziac na kierownika budowy. Wszyscy beda zadowoleni. W koncu sam nie jestes architektem czy inspektorem, co cie to obchodzi – a jesli sam nagle walniesz nosem w jakas szklana sciane, bo przypadkiem nie masz dobrego ukladu, zeby zrobic cos, co bys chcial, to albo sobie ten uklad wyrob, albo jedz na Zachod, tam spytaja tylko, co potrafisz, a nie kogo znasz.

Ale jesli gotowi sa Panstwo poczuc sie podle, to lecmy dalej z ta ksiazka.

Zrobmy sobie mianowicie pewne cwiczenie z wyobrazni.

Wyobrazmy sobie, ze oto trafia sie polityk idealny. Maz stanu.

Fachowy, bezinteresowny, nieprzekupny, zapatrzony wylacznie w polskie interesy, no, kurcze, taki jak z tej telenoweli dla wyksztalciuchow, ktora leciala swego czasu na Polsacie. Polityk, ktory chce dotknac sedna polskich problemow, chce zmienic kraj, naprawde go zmodernizowac – a to znaczy, miedzy innymi, polozyc kres samowoli czynownikow, polikwidowac pola do naduzyc, zastapic mandarynski system przejrzysta struktura nowoczesnego panstwa kapitalistycznego, w ktorym to, jak sie czlowiekowi wiedzie, zalezy wylacznie od jego talentow, wyksztalcenia, pracowitosci i innych przymiotow, a jesli jeszcze od czegos innego, to od zwyklego ludzkiego fartu – ale w najmniejszym stopniu nie od tego, "kto go rodzil", kogo zna, czyim jest kolesiem, komu sie przysluzyl i pod kogo podwiesil. Slowem, naprawde chce, jak to sie nazywa w jezyku naszej debaty publicznej, "zlikwidowac patologie".

Wyobrazacie sobie Panstwo kogos takiego? Ja bez problemu. Ludzi uczciwych i szlachetnych nie brak, rodza sie w kazdym spoleczenstwie, tak jak w kazdym rodza sie szubrawcy, zboczency, mistycy, poeci i tak dalej. To kwestia rozkladu statystycznego. Los narodow nie od tego zalezy, jakich ludzi wydaja na swiat, bo wszystkie wydaja i dobrych, i zlych – los narodow zalezy od tego, jakie szanse daja jednym i drugim.

Wiec wyobrazamy go sobie – polityka, przywodce idealnego, reformatora i patriote, takiego, na ktorego chcialoby sie bez chwili wahania glosowac.

Co musi on zrobic, zeby swe zamiary zrealizowac? Panstwo powiedza – zdobyc poparcie wyborcow… Nie calkiem. Zanim w ogole bedzie mogl sie do nas, wyborcow, o poparcie zwrocic – oczywiscie, udzielilibysmy mu go bez wahania! – musi stanac na czele partii, struktury organizujacej mu polityczne zaplecze, szykujacej wybory, prowadzacej kampanie. Struktury zlozonej z ludzi, ktorzy uczestnicza w niej dla konkretnych korzysci.

Wyobrazcie wiec sobie Panstwo, jak zdobywa ich poparcie, mowiac: kochani, wszystkim nam chodzi wylacznie o dobro Polski, wiec sami rozumiecie, ze jesli bedziecie mnie popierac i jesli zdobedziemy w kraju wladze, to zabiore wam wszystkie mozliwosci krecenia lodow, utne wszelkie boki, pozbawie was wplywow, pozbawie mozliwosci czolgania przed soba petentow i wyduszania z nich lapowek…

Juz sobie to Panstwo wyobrazili? I dalszy ciag tez? Swietnie.

Dziekuje.

No, wiec tak mniej wiecej rysuje sie skala trudnosci. Uleczyc Polske z gnebiacych ja patologii moga tylko ci wlasnie, ktorzy z owych patologii korzystaja i sa najbardziej zainteresowani nie tylko ich utrzymaniem, ale ciaglym poglebianiem.

Zadanie na miare namowienia rozkochanych w swej zlotej wolnosci szlachciurow, aby dla dobra wspolnego wyrzekli sie stanowych przywilejow i liberum veto.

To wcale nie jest zadanie niewykonalne! Przeciez – spojrzmy w nasza historie – praca calego pokolenia, od ksiedza Konarskiego po Kollataja, to sie wlasnie kiedys udalo. Bylo cos takiego, co sie nazywalo Konstytucja 3 maja. Reforma niereformowalnego, po prostu jakis historyczny cud. Ze ten cud zdarzyl sie za pozno i Polski nie uratowal? Ale mogl. Gdyby krolem nie byl taki akurat zalosny, pozbawiony wielkosci i odwagi soliter, gdyby reformatorzy nie popelnili w goraczce bledow, gdyby sie nagle nie byla odwinela w sposob dla nas najbardziej niekorzystny sytuacja miedzynarodowa…

Cytujac kapitana Beatty'ego, troszke przesadzilem. Mowimy o zadaniu trudnym, ale nie o zmierzeniu wszechswiata. Na pewno z dnia na dzien nie zrobi sie z Polski Ameryki. Ale krok po kroku, powoli, mozna sie do amerykanskich wzorcow zblizac.

Nie mowimy tu o zmierzeniu wszechswiata, mowimy o zmianie rodzacego patologie systemu. Choroba, na ktora cierpimy, nie jest zadna kara boza, zadna klatwa czy nieprzezwyciezalna fatalnoscia; jest wynikiem cywilizacyjnego niedorozwoju Wschodu, ktory nas przez pol wieku kolonizowal, w stosunku do Zachodu, do ktorego wolelibysmy przynalezec. Zachod w roznym stopniu, choc nie tak bardzo jak my, na chorobe te cierpi takze. Przeciez nie przypadkiem przywolywalem tu Austrie, Wlochy czy Belgie z jednej, a USA z drugiej strony.

Kto mnie zna, ten sie nie zdziwi, ze widze zwiazek pomiedzy skala chorobowych patologii a czyms, co zwyklo sie nazywac socjalizmem. Choc zwiazek ten nie jest latwy do wskazania, bo takie, dajmy na to, kraje skandynawskie wydaja sie zdrowsze od poludniowych, mimo ze na oko socjalizmu jest w nich wiecej (ale – zadziwie Panstwa – choc to temat na inna ksiazke, potrafie udowodnic, ze tak naprawde miedzy systemem skandynawskim a amerykanskim istnieje mnostwo podobienstw i umieszczanie tych

krajow na przeciwstawnych biegunach, ze niby tu – dziki kapitalizm, a tu – sprawiedliwosc spoleczna, to wiecej niz uproszczenie), to jednak jest.

Nie mowimy wiec o wymierzeniu kosmosu, mowimy o zmianie systemu politycznego. Mniejszej niz przemiana peerelowskiego zamordyzmu w kulawa, ale jednak demokracje III Rzeczpospolitej.

Przekonalem Panstwa? Nie? Mam nadzieje, ze tylko na razie. Dobrze, prosze wiec, na razie tylko zalozmy, ze mam racje, po prostu dla potrzeb logiki dalszego wywodu. Zalozmy, ze mam racje, iz taki wlasnie, a nie inny jest polski problem numer jeden i taka jest przyczyna, dla ktorej meczymy sie we wlasnym kraju i dla ktorej wiekszosc naszej mlodziezy o niczym nie marzy bardziej, niz zeby sie stad wyrwac raz na zawsze.

Jesli tak, to zgodzimy sie, ze kryterium, wedle ktorego powinnismy oceniac politykow, nie jest zaden tam styl, to, czy sa usmiechnieci, czy nadasani, czy recza za nich Autorytety, czy tez judza motloch przeciwko swiatlym elitom, czy pieknie mowia o milosci, czy dziela spoleczenstwo i tak dalej, i caly ten szajs, ktorego pelny jest eter i gazety lub czasopisma. Owym kryterium jest to, czy nas swoimi rzadami choc odrobine zblizaja do takiej Polski, ktora bedzie sluzyla swoim obywatelom – czy wciagaja glebiej w taka, ktora sluzy rozmaitym sitwom.

Mysle, ze sie co do tego zgadzamy. Wiec idzmy dalej – prosze za mna.

Rzeczpospolita Samoobronna

Dla kogo jest fabryka? Dla tych, ktorzy kupuja jej produkty. Dla konsumentow. To pod ich gust trzeba projektowac produkty i z mysla o ich kieszeniach starac sie o jak najlepsza technologie, organizacje pracy, oszczednosc energii i materialow. Inaczej firma nie ma zyskow i wlasciciel oraz pracownicy ida z torbami.

Rzecz niby oczywista, ale jestem dziwnie spokojny, ze w naszym kraju zdecydowana wiekszosc rodakow, zaskoczona takim pytaniem, odpowiedzialaby, ze fabryka jest dla swoich pracownikow. Ze sensem jej istnienia jest, aby to im wlasnie zapewnic prace (to znaczy zarobek), dobre warunki, wygode i bezpieczenstwo socjalne. Tak samo Polak pytany o szkole jako sens jej istnienia wskazalby nie uczniow, a nauczycieli, o szpital zas nie chorych, a lekarzy i pielegniarki. I tak dalej. Konsekwencja

nakazywalaby tym, ktorzy tak twierdza, zgodzic sie, ze w takim razie panstwo jest nie dla obywateli, lecz dla rzadzacych nim politykow i urzednikow przez nich nominowanych. Ale choc politycy w istocie zwykli zasade te realizowac w praktyce, to otwarcie nikt sie na bycie az tak logicznym i konsekwentnym nie zdobywa.

No coz – sila przyzwyczajenia. W kraju, ktory nazwe normalnym, a wiec w kraju wolnorynkowym, czlowiek jest przede wszystkim klientem, konsumentem, nabywca, ktorego wszyscy dokola staraja sie sklonic, by wydal swoje pieniadze na akurat to albo tamto. Poddanych peerelu nie trzeba bylo do kupowania czegokolwiek namawiac, szczesliwi byli, jesli akurat cos "rzucili" do sklepow i owo cos udalo sie tam "upolowac" albo "wystac". Poddanych peerelu uczono, ze sa przede wszystkim pracownikami. Podstawowa jednostka organizacji spolecznej mial byc w teorii socjalistyczny zaklad pracy. Najlepiej wielki kombinat. Kombinat funkcjonujacy jak paternalistyczna feudalna wlosc, gdzie postawiony na czele nomenklaturowy dyrektor, z przydanymi mu pomocnikami w osobach sekretarza organizacji partyjnej i przewodniczacego zwiazkow, nie tylko organizowal wspolny trud panszczyznianych, ale i ich czas wolny, dbajac o wszelkie potrzeby swych poddanych. Zobowiazania kombinatu wobec pracownika nie ograniczaly sie bynajmniej do wyplaty pieniedzy. Zreszta coz po pieniadzach, jesli nie ma za nie czego kupic? Kombinat w socjalistycznej teorii zapewniac mial i zakladowe mieszkanie, i posilek w zakladowej stolowce, i dzialalnosc kulturalno-oswiatowa w zakladowej swietlicy, zlobek i przedszkole, wczasy we wlasnych osrodkach wczasowych – co tylko dusza zamarzy. Takze, co w realnym socjalizmie bylo najwazniejsze, mozliwosc zakupu deficytowych towarow w przyzakladowym sklepie albo za wydawane przez zaklad talony. A deficytowe bylo w peerelu wlasciwie wszystko, od przyslowiowego sznurka do snopowiazalek i papieru toaletowego, poprzez wedliny, buty, ubrania, pralki, szafki, az po samochod. O mieszkaniach nie wspominajac.

Kto nie pamieta sam, niech zapyta mamy albo taty. Kupienie czegos – rzecz w kraju normalnym oczywista, masz pieniadze, to kupujesz – stalo sie przywilejem.

To wazne dla naszej obecnej sytuacji. Realny socjalizm chronicznie nie mial pieniedzy. A poniewaz sprawowal nad swymi poddanymi (nie przypadkiem uzywam konsekwentnie tego

wlasnie slowa) wladze nieporownywalna z ta, jaka ma panstwo demokratyczne nad swym obywatelem, mial mozliwosc obdarowywania przywilejami. Obdarowywal nimi i wybrane osoby, i cale grupy. Im bardziej sie sypal i im mniej mial pieniedzy, tym bardziej z tej mozliwosci korzystal na przeroznych poziomach. Jesli w kraju normalnym brakuje jakiejs firmie ludzi do pracy, to kusi wiekszymi zarobkami. W peerelu nie wystarczalo na takie zachety budzetu, sztywno wyznaczanego przy biurku planisty w odleglej centrali, a i nie wywieralyby one wielkiego wrazenia, skoro atrakcyjne towary, jako sie rzeklo, wymagaly nie tylko pieniedzy, ale i zalatwienia. Na dodatek roznicowanie zarobkow klocilo sie z oficjalna ideologia.

Ofiarowywano wiec rozmaite przywileje. Powiedzmy, deputat weglowy – tone opalu rocznie. Dwie zmiany mundurowe. Prawo do bezplatnych przejazdow koleja. Cieple gacie, rekawice i pare gumofilcow. Dodatkowe dwa miesiace urlopu, sklep z niedostepnymi innym luksusami i mozliwosc przejscia o piec lat wczesniej na emeryture. Obdarowywano przywilejami cale zawody, miejscowosci, az system ten skretynial do granic mozliwosci. Przypomina mi sie z mlodosci scena z "Dziennika telewizyjnego", relacjonujacego, jak to w ramach walki z bolaczkami na teren wlokacej sie latami budowy nowego gmachu Biblioteki Narodowej udal sie towarzysz Przymanowski. Wyciagniety przed kamere zestresowany dyrektorzyna tlumaczyl sie, ze opoznienia wynikaja z trudnosci w znalezieniu pracownikow, na co zatroskany partyjny literat skrobnal sie w zadumie po orderach (w mundurze byl, a jakze) i strzelil pomyslem, zeby robotnikom, ktorzy przyjda pracowac na tej szczegolnie waznej budowie, przyznawac talony na ksiazki. Wiele z tego wszystkiego zostalo przeniesione do wolnej Polski. Oczywiscie, nie mysle tu o wyplacaniu pensji w fabryce zapalek zapalkami, a w fabryce armatur uszczelkami do kranow (skadinad jedno i drugie bylo swego czasu znacznie bardziej pozadane niz gotowka), tylko o owych branzowych przywilejach. Gornicy maja wczesniejsze emerytury, nauczyciele krotszy czas pracy i status "mianowanego", wiekszosc inteligentow placi podatek dochodowy tylko od piecdziesieciu procent tego, co zarobi w formie honorariow, rolnicy zas nie placa w ogole zadnego poza symbolicznym podatkiem rolnym, i tak dalej. Proba zniesienia jakiegokolwiek przywileju spotyka sie z bardzo ostra reakcja zainteresowanego srodowiska, zreszta zrozumiala, bo dlaczego odbierac akurat tym, a nie innym – co jednak znaczace, z ta reakcja solidaryzuja sie wszyscy, wlasnie w mysl przekonania, ze

jak tamtym odbiora ich przywileje, to sie potem dobiora do naszych. Wolna Polska nie tylko wiec nie zdolala nikogo zrownac, ale i zupelnie peerelowska moda wprowadzila jeszcze przywileje nowe – na przyklad zwalniajac chlopow z placenia skladki zdrowotnej i znacznie redukujac emerytalna albo umozliwiajac adwokatom i innym wykonawcom wolnych zawodow rozliczanie sie wedle podatku liniowego.

Jak w znanej wszystkim milosnikom fantastyki powiesci Strugackich, gdzie jeden rod mial od pieciu pokolen przywilej noszenia na kapeluszu trzech bialych pior, inny podawania krolowi chusty do otarcia czola, a jeszcze inny pozostawania w obecnosci krola w nakryciu glowy. Oczywiscie, Strugaccy tych groteskowych przywilejow nie wymyslali, tak rzeczywiscie w feudalizmie bywalo. Feudalizm jest nierozlaczny od rozdawania przez suwerena przywilejow, a feudalizm pojawial sie w tej mojej gawedzie o naszym kraju wczesniej, pojawia teraz i pojawiac bedzie nadal zupelnie nie przypadkiem – bez przypominania go nie sposob bowiem zrozumiec istoty realnego socjalizmu, ustroju, ktory wedle bredzenia marksistowskich melamedow stanowic mial jakis nowy, kolejny etap w rozwoju ludzkosci, a w istocie cofal historie o cala epoke.

Z narodow poddanych socjalistycznemu neofeudalizmowi Polacy chyba jako jedyni zdobyli sie na bardzo szczegolna reakcje obronna. Byla nia Solidarnosc. Nie mysle w tej chwili o nazwanej tak organizacji, bedacej, trudno wlasciwie powiedziec, czym bardziej: narodowym ruchem sprzeciwu, partia, wielka organizacja spoleczna – zwiazkiem zawodowym chyba akurat najmniej. Nie mysle nawet o odwadze strajkow i wszelkich innych form oporu. Mysle o idei. Idei naprawde genialnej w swej prostocie.

Idea Solidarnosci – owocem obronienia przez Polske swej katolickiej duszy – bylo odrzucenie wlasnie tego, co stanowilo istote "realnego socjalizmu": tego zatomizowania, podzielenia, podrobienia poddanego mu spoleczenstwa na element klasowo sluszny i wrogi, na branze strategiczne i niewazne, na centrale i teren, na grupy pozwracane przeciwko sobie rozmaitymi przywilejami i powinnosciami. Polacy odpowiedzieli na to wszystko marzeniem – marzeniem wcielanym w zycie – o Polsce, w ktorej sa tylko i wylacznie Polacy. (Tylko prosze bez zadnych zlosliwych skojarzen z "Polska dla Polakow"; nie bylo to marzenie o etnicznym oczyszczeniu wspolnoty, a o jej zgodnym oporze przeciwko okupantowi). To znaczy marzeniem o takiej Polsce, w

ktorej kazdy jest tylko – i az – obywatelem swojego kraju, bioracym odpowiedzialnosc za los wszystkich swoich wspolobywateli. Jak w biblijnym "nie masz Zyda ani Greka" w tej Polsce mialo nie byc robotnika, chlopa i "inteligenta pracujacego", wlokniarki, profesora, inzyniera i gornika strzalowego, robotnika rolnego, kreslarza, taksowkarza i tak dalej; od granicy do granicy, od morza do gor mielismy byc My. Zjednoczeni jedna swieta sprawa – obrona swej godnosci, oporem przeciwko obcej, bandyckiej, narzuconej nam przemoca wladzy. Polska Solidarna.

Przepiekne marzenie, ktore przez dlugi czas zachowywalo moc inspirowania ludzi aktywnych w zyciu publicznym – choc oczywiscie, jak to marzenie, byla to wizja nie z tego swiata i w zderzeniu z wolnoscia ostac sie nie mogla.

Ale tez nie musiala zostac podeptana az tak bardzo, jak to sie stalo w rzeczywistosci.

Bo co w istocie jest najwieksza kleska panstwa, ktore nazwalo sie III Rzeczpospolita? Calkowite skompromitowanie tego marzenia, odrzucenie go i zastapienie idealu Polski Solidarnej jego przeciwienstwem – Polska Samoobronna.

Zaraz wytlumacze, co rozumiem pod ta druga nazwa. Prosze jej w kazdym razie nie rozumiec wasko, tylko w kontekscie Andrzeja Leppera. Lepper, polski Zyrinowski, polityk cwany i obdarzony dobrym spolecznym sluchem, wyczul oczywiscie doskonale zmiane ogolnego klimatu i koniunkture i wymyslajac dla swego ruchu taka wlasnie nazwe, otarl sie o genialnosc. Ale ow ruch wpisal sie jedynie w ogolna, narastajaca przez lata tendencje, ogarniajaca bynajmniej nie tylko spoleczne doly, nie tylko zadluzonych rolnikow, czy, jak ich nazywa lewica, "wykluczonych w procesie transformacji ustrojowej". Polska Samoobronna w nie mniejszym stopniu zbudowana zostala takze przez tych, ktorzy byli owej transformacji ustrojowej niewatpliwymi beneficjentami. Bodaj silniej jeszcze niz wsrod pobuntowanego przez polskiego Zyrinowskiego chlopstwa zaznaczyla sie i wsrod inteligenckich elit, i wsrod rodzacej sie po roku 1989, do dzis nie do konca ukształtowanej, ale odgrywajacej w spoleczenstwie coraz wieksza role warstwie, ktora nazwalby "profesjonalistami" – o tych spolecznych podzialach Rzeczpospolitej III/IV zreszta w innym miejscu.

Co szczegolnie przykre, w znacznym stopniu budowana byla Polska Samoobronna pod przewrotnie uzywanymi haslami Polski Solidarnej. Rzekoma "spoleczna sprawiedliwosc", jak to nazywala lewica, czy tez "spoleczna solidarnosc", jak wolala mowic prawica (uzywam tych umownych pojec z cala swiadomoscia ich niestosownosci, bo jakiz tam, w rzeczy samej, prawicowiec z Olszewskiego albo lewicowiec z Kaczmarka), w praktyce okazala sie niemal od pierwszych chwil wolnej Polski, i z czasem coraz bardziej, szczegolna forma spolecznego darwinizmu. Kto jest w stanie rzadowi zagrozic, przestraszyc go, obrzucic srubami, ten dostanie nie tylko, "co mu sie nalezy", ale i znacznie wiecej, na koszt ogolu. A slabi niech zdychaja – moze i wszystkim sie nalezy, ale wiadomo, ze dla wszystkich nie wystarczy.

W momencie gdy komunisci wycofali sie na z gory upatrzone pozycje, a wladza pochodzaca z nadania Ruskich zastapiona zostala wladza wybrana w drodze plebiscytu, zapanowala niepewnosc – a poczucie niepewnosci zawsze sklania, zeby, tak jak zaniepokojony slimak chowa sie do skorupy, wycofac sie ze spraw wielkich w male i bliskie. Chrzanic tam narod, niepodleglosc i co tam jeszcze, wazna jest nasza wlasna micha, nasz zaklad, nasza pozycja. Komunisci przez wiele lat usilowali skupic uwage Polakow na "bolaczkach", czyli codziennych skutkach generalnych zalozen ustrojowych, odwodzac jednoczesnie od jakiegokolwiek zainteresowania tym, co owe "bolaczki" powodowalo. Paradoksalnie, ten sposob myslenia stopniowo wzial gore wlasnie w wolnej Polsce. Wiele sie na to skladalo. Poczucie utraty bezpieczenstwa. Intelektualna niemoznosc ogarniecia zachodzacych zmian – ludzka potrzeba zrozumienia tego, co sie dzieje, chocby wedlug najbardziej prymitywnego strychulca, bywa niedoceniana, a jest w istocie nie mniej istotnym elementem pozadanego przez kazda ludzka istote komfortu, jak zaspokojenie potrzeb materialnych. Rozczarowanie bylymi herosami opozycji, ktorzy szybko pokazali sie z najgorszej strony, jako ludzie klotliwi, malostkowi i interesowni. Zgubna w skutkach filozofia transformacji jako wspolnego spisku wtajemniczonych elit, ktora w spoleczenstwie i jego aktywnosci kazala widziec zagrozenie dla powodzenia trudnych i niemajacych zadnej alternatywy posuniec waskiej grupy reformatorow. Plynace z niej postrzeganie przez spoleczenstwo polityki jako czegos kompletnie wrogiego prostemu, normalnemu czlowiekowi, a panstwa jako struktury opanowanej przez wyobcowana ze spoleczenstwa kaste, zwana z braku lepszego okreslenia "elitami politycznymi"; struktury, ktora zamiast obywatelowi sluzyc,

wyzyskuje go i przesladuje. A przede wszystkim – plynaca z tej filozofii praktyka uprawiania polityki i konkretne prawne uwarunkowania, ktore sprawily, ze z roku na rok taki oglad byl coraz bardziej uzasadniony i coraz bardziej odpowiadal prawdzie.

Polska zbudowana przy Okraglym Stole, III Rzeczpospolita, nie stala sie dla Polakow wspolnym domem – i bez generalnych zmian ustrojowych nie stanie sie nim, chocby Adam Michnik wyglosil jeszcze piecdziesiat plomiennych wykladow w jej obronie, a jego gazeta wreczyla Geremkowi, Mazowieckiemu, Kwasniewskiemu po nie wiem ile kolejnych nagrod i honorowych tytulow. Wytworzony w peerelu podzial My – Oni pozostal, choc Oni sie zmienili.

Polska Solidarna pierzchla jak sen jaki zloty; Polska Samoobronna byla oczywista, instynktownie sie narzucajaca odpowiedzia na jej znikniecie. Jestes chlopem – mysl o swoich chlopskich interesach, o cenie zywca i doplacie "do litry mleka", walcz o wyrwanie dotacji i glosuj na tych, ktorzy ci je obiecuja. Jestes gornikiem – patrz wyzej. Jestes prawnikiem, naukowcem… tu tez dziala ten sam mechanizm, na razie prosze uwierzyc na slowo, bo o tak zwanej inteligencji trzeba tu bedzie napisac obszerniej. W kazdym razie – zasada stalo sie, zeby kazdy trzymal swoje, rwal swoje w swoja strone i bronil swego. To wlasnie nazywam Polska Samoobronna.

Oczywiscie, ludzki umysl tak jest zbudowany, ze wszystko stara sie ubrac w pozory szlachetnosci. Szczerosc, z jaka byly przewodniczacy sekretariatu gornictwa NSZZ "Solidarnosc" przyznal kiedys, ze jemu placa za to, zeby jak najwiecej umial zalatwic dla gornikow, a wszystko inne go nie interesuje, stanowi rzadkosc. Z jednej strony przemozny instynkt kaze rwac swoje i nie ogladac sie na zadne Dobro Wspolne, z drugiej powszechnie podzielny system wartosci poucza, ze dobrze jest podporzadkowywac sie wlasnie Dobru Wspolnemu. Nietrudno sobie z tym poradzic: wystarczy twierdzic, a najlepiej szczerze uwierzyc, ze wlasnie rwanie dla siebie jest owym Wspolnym Dobrem, ze walka o wydojenie z budzetu panstwa kasy dla swojej grupy zawodowej to walka o wolnosc Polski, i juz.

Oswietlam na razie te strone Polski Samoobronnej – siermiezna, chlopsko-robotnicza, bo w poczatkach swej dziennikarskiej, a po trosze i politycznej drogi przygladalem jej sie bardziej uwaznie niz stronie przeciwnej. Tak wyszlo, ze bedac konserwatysta z przekonan i wrogiem michnikowszczyzny z

odruchu sumienia, patrzec musialem na miotanie sie niedobitkow Polski Solidarnej, ktorzy chcieli obalac Okragly Stol w imie oczyszczenia Polski z komunizmu, rozbicia przeniesionych z peerelu paramafijnych powiazan, rozliczenia zbrodni stanu wojennego i obrony przed penetracja postsowieckich sluzb, a stopniowo trafiali pod komende jakichs szemranych typkow z komisji zakladowych, ktorzy Polska, Janem Pawlem II i spoleczna nauka Kosciola wycierali sobie geby przy zalatwianiu zwiazkowych i branzowych interesow, a z czasem zupelnie juz bezwstydnie prywatnych geszeftow. Frazeologiczny automatyzm wpycha tu pod pioro zbitke "cynicznie wycierali sobie geby", ale z reka na sercu trudno mi stwierdzic, ile w tym bylo cynizmu, a ile umiejetnosci wmowienia sobie, ze interes nasz, zwiazkowy, na przyklad w postaci podtrzymania wegetacji deficytowych galezi gospodarki albo zapewnienia astronomicznych odpraw i gwarancji dozywotniego zatrudnienia pracownikom firm energetycznych (firmy te sa monopolistami, a wiec moga dowolnie zwiekszac swoje koszty, obywatele beda musieli za to zaplacic) – to w istocie interes narodu i panstwa. A wiec rwac czerwone sukno Rzeczypospolitej, jak to wzniosle ujmowal Sienkiewicz, czyli tez, jak prosciej to samo okreslal Szpot, dojac ja, spelniamy nasza patriotyczna powinnosc.

W kazdym razie polska prawica, slaba, rozbita, wyniszczona w peerelu pod kazdym wzgledem, przegrala nie tylko w politycznym starciu z postkomuna i starciu intelektualnym z michnikowszczyzna, ale i w poszukiwaniu swej bazy spolecznej – z instynktem samoobronnym, w swej istocie antypanstwowym i antynarodowym, a tak sie smiesznie sklada, ze w miare uplywu czasu coraz silniej opanowujacym zwiazek o historycznej nazwie "Solidarnosc". Dobitnym znakiem tej przegranej byl los spolecznego projektu konstytucji, "poprawionego" przez zwiazkowych srubokretow w taki sposob, ze ow dokument, wokol ktorego mialy skupic sie starania o wyzwolenie Polski z PRL-bis, stal sie karta przywilejow zawodowego zwiazkowca. Mysle tu nawet nie tyle o samym losie projektu, pod ktorym probowala centroprawica bez powodzenia zebrac miliony podpisow, co o pokornym milczeniu, w jakim narzucone przez zwiazkowcow zmiany przyjeli jego tworcy. Ostatecznym zas ukoronowaniem opisywanego tu zjawiska staly sie rzady AWS i marginalizacja polityki prawicowej wzgledem tego, co Jaroslaw Kaczynski okreslil mianem TKM. Nie bede rozwijal skrotu, bo zna go w Polsce kazdy. Nie kazdy wie, co to jest inflacja, malo kto, czym sie rozni liberalizm od konserwatyzmu i socjaldemokracji, ale co

znaczy TKM, wie kazdy, moze z wyjatkiem takich, co nie wiedza juz naprawde nic a nic.

Tak wiec czesciej ogladalem te z nazwy prawicowa, a z istoty zwiazkowo-roszczeniowa twarz III RP – a jej druga twarz nie byla wcale lepsza. Jesli prawicowcy, w poszukiwaniu sily na przemian to antyszambrujacy u biskupow, to znowu zalecajacy sie do zwiazkowcow i komplementujacy zdrowe sily robotniczo-chlopskie w ich slusznej walce o prawa narodu przeciwko Balcerowiczowi i miedzynarodowym spiskom bankierow, stopniowo potrafili samym sobie wmowic, ze interesem narodu jest zaspokajanie przez panstwo roszczen grup zawodowych – to znowu rownie slabi i rownie zagubieni w sytuacji politycy liberalni i intelektualisci uwiedzeni przez michnikowszczyzne z podobnymi sukcesami wmawiali sobie, ze nadrzednym interesem spolecznym jest pilnowanie interesow uwlaszczonej nomenklatury oraz wszelkiego rodzaju cwaniaczkow utuczonych na ustrojowych patologiach III Rzeczpospolitej. Obrona owych patologii zostala podniesiona do rangi nawet juz nie racji stanu, ale racji jeszcze wazniejszej, historycznej, cywilizacyjnej zgola – bo zejscie z jedynie slusznej sciezki transformacji mialo nieuchronnie sprowadzic na Polske katastrofe. Bozkiem stalo sie okraglostolowe status quo: z ustrojowa zasada nierownosci szans, z aparatem scigania przeniknietym niechecia do szukania i likwidowania oczywistych patologii, z zamilczeniem wszelkich przeszlych podlosci i tolerancja dla roznego rodzaju nieformalnych powiazan, czyniacych na znacznych obszarach kompletna fikcja zarowno demokracje, jak i wolny rynek.

Oczywiscie, nikt tego glosno nie nazywal po imieniu, a i po cichu wielu powaznych, zdawaloby sie, ludzi kurczowo zamykalo oczy badz powtarzalo mantry o nieuchronnych kosztach transformacji.

Dzisiaj trudno mi zrozumiec te wiare, bardzo zywa zwlaszcza u zarania transformacji, ze jesli sie biznesmenom z esbeckim rodowodem, cwaniakom z nomenklatury i wszelkiej masci cinkciarzom, wzbogaconym w peerelu na styku dyktatury i podziemia przestepczego, pozwoli swobodnie bogacic na sposob przez nich samych wybrany, to stana sie oni klasa srednia, naturalna ostoja demokracji i wolnego rynku. Na zdrowy rozum trudno o cos bardziej oczywistego niz to, ze ktos, komu pozwolono bezkarnie ukrasc milion, w nastepnym ruchu bedzie sie staral ukrasc dziesiec – oczywiscie tymi samymi metodami, jakimi zdobyl ten pierwszy, bo dlaczegozby je zmieniac, skoro

okazaly sie skuteczne? Ze zainwestuje ow pierwszy milion nie w uczciwa przedsiebiorczosc, bo niby po co, ale w wyrobienie sobie jeszcze lepszych ukladow i dojsc. Czyli w korumpowanie urzednikow panstwowych oraz deprawowanie politycznych i samorzadowych elit. I ze zbrojny w swe miliony i wplywy, w powiazania i podwieszenia, z kapitalem ludzi, ktorych zobowiazal sobie do wdziecznosci, bez wiekszej obawy przekraczac bedzie w obie strony granice – w Polsce bardzo cienka – pomiedzy legalnym biznesem a zwyklym przestepstwem. Wiara, ze wykreowane w taki sposob elity stana sie sprzymierzencem budowy zdrowego, demokratycznego i wolnorynkowego panstwa, byla rownie bezsensowna, jak wiara, ze mozna budowe takiego panstwa oprzec na gorniczych strajkach i rolniczych blokadach.

Nieszczescie III Rzeczpospolitej polegalo na tym, ze usilowano ja zbudowac bez zadnej wielkiej idei. Przeciwnie – budowano ja, dyskredytujac na wszelki wypadek wszystkie idee, bo ludzie, ktorzy w tym krytycznym momencie znalezli sie u sterow wladzy i w centrach opiniotworczych, skoro swoja wlasna wiare stracili, kazdej innej bali sie smiertelnie. Naczytali sie o Robespierre'ach i Dantonach, o Kominternie i wielkich czystkach i, jak to czesto bywa, od nadmiaru erudycji zglupieli w stopniu uniemozliwiajacym odroznienie rzeczywistosci od swych teoretycznych konstruktow ("fakty teoriom bowiem przecza, a to jest karygodna rzecza", pisal Mistrz Szpotanski). Ludzie, ktorzy wiele sil wlozyli w walke ze zniewoleniem, zupelnie nie rozumieli, dlaczego Polakom udalo sie to zniewolenie przetrwac, owszem, w oplakanej moralnej kondycji, ale jednak w stanie lepszym niz wiekszosc innych podbitych narodow. Nie rozumieli, ze zadecydowaly o tym potezne zyciowe instynkty, ktorych komunisci mimo wymordowania setek tysiecy najlepszych Polakow nigdy nie zdolali dobic. A mianowicie: instynkt narodowej wspolnoty i pamieci oraz instynkt religijnej odmiennosci od okupantow.

Zapewne racje maja ci, ktorzy twierdza, ze ustrojowa transformacja nie mogla sie odbyc bezbolesnie. Jednak medycyna zna srodki usmierzajace bol, niekiedy do stopnia pozwalajacego, na przyklad sportowcom, dla wyczynu nadrywac sobie sciegna i miesnie. W polityce takim srodkiem usmierzajacym jest idea, ktora ludziom cierpiacym niewygody daje poczucie sensu ponoszonych wyrzeczen. Prosze uwierzyc na slowo albo samemu zweryfikowac w pracach historykow, ze spadek poziomu zycia naszych przodkow w czasie wojny polsko-bolszewickiej, powstan w Wielkopolsce i na Slasku i w ogole

odbudowywania naszej panstwowosci po rozbiorach byl nieporownanie bardziej bolesny od cierpien pracownikow, ktorych zarobki ograniczyl oslawiony "popiwek" Balcerowicza. Mimo to potrafili sie ci pierwsi wykazac na rzecz ojczyzny ogromnym poswieceniem i ofiarnoscia.

Budowniczowie III RP beztrosko zrezygnowali z potencjalu, ktory moglby wyzwolic w spoleczenstwie nie mniejszy entuzjazm i ofiarnosc. Mit Solidarnosci, mit zwyciestwa narodu nad zniewoleniem, sila ludowego, spajajacego swa obrzedowoscia wielkie masy katolicyzmu, wzmocniona jeszcze niewiarygodnym darem historii, jakim byl pontyfikat polskiego papieza… Wszystko to, jako sie rzeklo, uznano w otoczeniu Walesy za zagrozenie, a nie szanse. Jesli z odrodzenia Polski w roku 1918 ludzie odpowiedzialni za ksztalt III RP byli gotowi wziac jakakolwiek nauke, to gotowosc ta ograniczyla sie wylacznie do zabojstwa Narutowicza. Jako pewnik przyjeto, ze jakiekolwiek ozywienie narodowych i religijnych uczuc musi doprowadzic do budowy "panstwa wyznaniowego" oraz masowego wieszania komunistow, a potem liberalow, Zydow, intelektualistow i w ogole wszystkich, ktorzy by sie chcieli przeciwstawic nieuchronnie ogarniajacemu kraj faszyzmowi.

Skracajac ten watek – tak jak w ekonomii znane jest pojecie "schladzania" gospodarki, tak u zarania III RP jej posolidarnosciowa elita przywodcza zajeta byla glownie "schladzaniem" ewentualnych narodowych emocji. Ewentualnych, bo i bez tego moment rozpadu peerelu przypadl akurat w najnizszym punkcie sinusoidy spolecznych nastrojow, u dna apatii, w jaka wtracil Polakow upadek nadziei zwiazanych z Sierpniem. Antoni Dudek okreslil to, co stalo sie w latach 1988-1990 mianem "reglamentowanej rewolucji". Byc moze nalezaloby mowic wrecz o "niedoszlej rewolucji". Bo pomysl porozumienia elit i syntezy "sil reformatorskich z obu stron historycznego podzialu" zrodzil sie przeciez ze swiadomosci grup skupionych zarowno wokol Jaruzelskiego, jak i wokol Walesy, ze niedopuszczenie do rewolucji jest ich wspolnym interesem. I wlasnie ten wspolny interes stal sie podstawa porozumienia.

Reformatorzy w swych wspomnieniach do znudzenia przypominaja, z iloma protestami i strajkami musieli sie uzerac, z jakim oporem przyjmowane byly ich reformy. Pobrzmiewa w tych wyznaniach tlumiony ton pretensji do ciemnego ludu, ktory nie rozumial, ze to, co go spotyka, jest konieczne, historycznie nieuchronne i w przyszlosci wyjdzie mu na dobre. Przyznajmy, ze

ta pretensja nie jest artykulowana z przesadna sila; niedojrzalosc ludu do reform jest traktowana raczej jako cos oczywistego. Przekonanie, iz istnieje przepasc miedzy inteligencka elita, ktora wie wszystko, a reszta, ktora po prostu nigdy niczego nie zrozumie i w ogole gadac z nia nie warto, stanowi od poczatku lat dziewiecdziesiatych fundament postrzegania swiata przez owa elite, z mozgami uformowanymi przez michnikowszczyzne; bedzie o tym w innym miejscu.

Na razie zadajmy tylko pytanie – a dlaczegoz to chlopi nie mieli blokowac drogi pod Mlawa, dlaczego robotnicy mieli nie wystrajkowywac sobie rekompensat za malejaca sile nabywcza pensji, a gornicy nie demolowac stolicy cyklicznymi najazdami? W imie czego? Pragmatyzmu podniesionego przez media III RP do rangi najwyzszej zasady rzadzacej swiatem? Reform, ktore to slowko obrocono tyle razy i na tyle sposobow, ze nikt juz nie jest w stanie powiedziec, co wlasciwie mialo oznaczac? Juz po paru miesiacach najprostszy nawet czlowiek widzial, ze owe reformy sluza przede wszystkim tym, ktorzy wtracili Polske w jej zalosny stan, i roznego rodzaju cwaniakom. Do solidarnosciowego rzadu, do Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego plynely z licznych ogniw Solidarnosci i z Komitetow Obywatelskich setki, tysiace alarmujacych doniesien o rozkradaniu przez nomenklature panstwowego mienia, o mniej lub bardziej finezyjnych kantach organizowanych przez dotychczasowych sekretarzy, komendantow i wojewodow. Wszystkie te sygnaly wpadaly w proznie. Funkcjonariusze peerelowskiego aparatu i bezpieki byli jedyna grupa spoleczna, ktorej nowy rzad byl zdeterminowany w zaden sposob sie nie narazic. Nie wolno bylo im przeszkadzac w rozkradaniu Polski, bo z owego szabru mial sie zrodzic kapitalizm i klasa srednia. Nie wolno bylo wypominac im popelnionych zbrodni ani tego, ze to oni wlasnie wtracili Polske w nedze i gospodarczy upadek, bo to mogloby prowokowac w spoleczenstwie nastroje odwetowe i rewolucyjne. Oficjalnie motywowano te polityke honorem, koniecznoscia dotrzymywania zobowiazan (wobec narodu czlonkowie Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Walesie do zadnych zobowiazan sie nie poczuwali, w kazdym razie uwazali je za mniej istotne od obietnic zlozonych komunistom). Motywacja prawdziwa i slabo ukrywana byl po prostu strach przed nimi. Tak jak z jednej strony smiertelnie bali sie reformatorzy rozbuchania na fali zwyciestwa patriotycznych czy narodowych emocji, tak z drugiej bardziej jeszcze bali sie, ze komunisci zerwa zawarty uklad. Trudno to dzis pojac, ale ludzie, ktorzy, wydawaloby sie, powinni czerwonych dobrze znac, nie

potrafili zrozumiec, ze gdyby komunisci rzeczywiscie mogli porozumienie Okraglego Stolu zerwac, to zrobiliby to bez chwili wahania, tak jak bez cienia wyrzutow zerwali porozumienia sierpniowe. Ba, ze gdyby nie mieli noza na gardle i nie musieli, nigdy by w ogole zadnych porozumien nie zawierali. A wiec ze ich ustepliwosc nie jest zadna zakichana laska, zadnym przejawem dobrej woli, tylko oznaka smiertelnego kryzysu, i znaczy tyle, ze trzeba wlasnie naciskac, trzeba dobic zdychajaca bestie, poki czas, zamiast pozwolic jej sie odkarmic i wrocic do sil!

To, co w oczach protagonistow owczesnych wydarzen jawilo sie jako misterna gra, prosty Polak widzial jako wielka orgie krzyczacej niesprawiedliwosci. Nie ma co udawac, ze z polwiecza sowieckiej kolonizacji kulturowej i okupacji wyszli Polacy bez skazy. Wyszli bardzo zdemoralizowani, tak jak staloby sie to z kazda zbiorowoscia, moze i tak mniej, niz nalezaloby sie spodziewac – a to dzieki niezniszczonemu Kosciolowi i nie do konca utraconej pamieci, ktore przynajmniej w pewnym stopniu utrzymaly nas w pionie, sprawiajac, ze nawet gdy sie swinilismy, to zostalo nam chociaz marzenie o niebyciu swiniami. Ale sposob wyjscia z komunizmu, ow sposob, z ktorego zdaniem apologetow III RP winnismy byc, z uwagi na jego bezkrwawosc, dumni jako z ogromnego historycznego osiagniecia, byl dla tego, co staromodnie nazwiemy tu moralnoscia publiczna, ciosem ciezszym niz wszystkie komunistyczne represje.

Bo czego sie spodziewac po okupantach, po komunistach i sowieckich naslancach, mniej wiecej narod wiedzial. Natomiast po wolnej Polsce i po przywodcach Solidarnosci spodziewal sie prawosci, przywrocenia zapomnianych znaczen slowom takim jak "uczciwosc" lub "sprawiedliwosc". Tymczasem stalo sie dokladnie odwrotnie. W zyciu duchowym wolnego juz kraju zapanowala moda na pelne wzgardy odwrocenie sie od wlasnej przeszlosci badz na wynajdowanie jej ciemnych stron (Jedwabne) z calkowitym pominieciem nie tylko wlasnej martyrologii i bohaterstwa, ale nawet okolicznosci lagodzacych. Trudno o cos bardziej znaczacego niz to, ze dopiero w kilkanascie lat po odzyskaniu wolnosci, po roku 2000, doczekala sie Polska takich pierwszych jaskolek, jak Muzeum Powstania Warszawskiego czy film o zbrodni w Katyniu, ten ostatni zreszta okupiony powierzeniem projektu czlowiekowi nieszczegolnie do niego predestynowanemu, ale zapewniajacemu immunitet ze strony salonow michnikowszczyzny. Wczesniej krolowal "panswinizm", ucielesniony w urbanowym "Nie" i bohaterach masowej wyobrazni a la Pasikowski, z ich zyciowymi madrosciami w stylu

"nie mow mi, kurwa, co jest dobre, a co zle" albo "wszystko na swiecie to gowno, z wyjatkiem moczu".

W codziennej zas zyciowej krzataninie nie mogla pozostac bez wplywu otrzymana w roku 1989 pogladowa lekcja, ze ten, kto nie wyrywa swojego, nie wymusza prawem i lewem, w rzyci majac wszystkich innych, ten jest zwyklym frajerem i za kare po tej rzyci dostaje. Przyznajmy, ze nie wszyscy pojeli to od razu. Lekarze i personel medyczny na przyklad potrzebowali jeszcze dobrych dziesieciu lat, zeby jako zbiorowosc wyzbyc sie moralnego odruchu niepozwalajacego poczatkowo w imie placowych roszczen brac za zakladnikow pacjentow i ryzykowac ich zyciem i zdrowiem. Ale w koncu im sie udalo i od tego czasu ich sytuacja na tle innych branz zaczela sie stopniowo poprawiac.

****

Fatalna spuscizna peerelu, wielka demoralizacja "zapasci semantycznej" po Okraglym Stole – to rzeczy niewatpliwe, lecz przeciez mozna siegnac jeszcze glebiej. W pamietnikach z czasow II Rzeczpospolitej, kraju przeciez pod kazdym prawie wzgledem stojacego moralnie wyzej od Polski wspolczesnej, jak refren pojawia sie watek tego, co wowczas nazywano "protekcja". Po protekcji dostawalo sie stanowiska rzadowe i sluzbowe przydzialy, po protekcji przyjmowano do szkol i rozdawano wojskowe szarze, bez protekcji, jesli wierzyc niektorym wspomnieniom, w tych czasach, kiedy to skadinad pojecia honoru i przyzwoitosci mialy jeszcze znaczenie, kroku sie nie dalo zrobic. Pewien – wowczas – kadet wspomina szefa podchorazowki, ktory walke z protekcjami, uwazanymi przez niego za zgube dla Polski, postawil sobie za cel i publicznie upokarzal protegowanych, oglaszajac na apelu: "Ciocia podchorazego X i hrabina Y uprosily pulkownika Z o protegowanie go do Poznania, no to ja po protekcji przydzielam podchorazego do Baranowicz…". Do legendy przeszly listy generala Wieniawy Dlugoszowskiego, nieustannie meczonego o protekcyjne przyslugi: "Kaza mi tu protegowac jakiegos idiote, ja go w ogole nie znam, robcie z nim, co uwazacie". Kto chce, niech szuka – moze i jest w tych wspomnieniach przesada, ale wolno przypuszczac, ze na jednego takiego Don Kichota przypadaly dziesiatki akceptujacych i stosujacych reguly gry. Zreszta we

wspomnieniach ludzi zaangazowanych wowczas w sluzbe panstwowa znalezc mozna wiele nieeksponowanych, ale jednoznacznych potwierdzen, ze osobiste polecenie, przynaleznosc do grupy, koterii bylo rozstrzygajacym czynnikiem w karierze, nie tylko w tych obszarach, gdzie podobne mechanizmy zaznaczaja sie wszedzie, ale i na srednich szczeblach spolecznej drabiny.

Sadze, ze dotykamy tu od innej strony problemu, o ktorym wspominalem swego czasu w Polactwie – problemu ukradzionego nam wieku XIX. Nie mielismy kiedy wytworzyc mechanizmow rzadzacych nowoczesnymi zachodnimi spoleczenstwami demokratycznymi doby industrialnej i postindustrialnej. Weszlismy w wiek XX wprost z panskich dworow i folwarcznych czworakow, spoleczne wiezi i mechanizmy ksztaltujac nie w normalnym dzialaniu na rzecz wspolnego dobra, dorabianiu sie i tworzeniu dobrobytu, ale w staniu kantem, stawianiu oporu i rzucaniu sie na ofiarny stos. Niezbyt przystaje to doswiadczenie do umiejetnosci budowania normalnego zycia.

Kazdy zna slowo "mafia", do tego stopnia, ze uzywajac go, nie zastanawia sie nad nim specjalnie. Ale co to wlasciwie jest mafia? Jesli sie zastanowic, jest to przeniesienie do wspolczesnego spoleczenstwa mechanizmow z glebokiej przeszlosci, mozna rzec nawet, ze pierwotnych. W chwilach niepewnosci, zagrozenia czy tez po prostu chaosu odzywa sie instynkt kazacy szukac wspolnoty. Pierwsza, ktora sie narzuca, jest wspolnota krwi – ciazymy ku rodzinie, czujemy sie zobowiazani pomagac swoim krewnym i tego samego oczekujemy po nich. To przeciez pierwotna, plemienna wiez, od ktorej w ogole zaczyna sie historia czlowieka jako istoty spolecznej. Dalszy rozwoj to poszerzanie plemienia ponad wspolnote bliskiego pokrewienstwa, o zobowiazanych rozmaitymi przyslugami czy poleconych przez wspolnych przyjaciol. Trzeba bylo wielu wiekow, aby wiezy spoleczne siegnely dalej, aby drogi awansu zostaly otwarte dla ludzi, ktorych nic nie laczy z kregami decydenckimi, ktorzy wspinaja sie po spolecznej drabinie po prostu dzieki swoim zdolnosciom, umiejetnosciom i talentom. Jako sie rzeklo – ten wielki przelom przyniosl cywilizacji europejskiej wiek XIX, rewolucja przemyslowa i kapitalizm, z filozoficzna podbudowa liberalizmu i utylitaryzmu. Owocem bylo uruchomienie pokladow ludzkiej przedsiebiorczosci i bezprzykladny, niedostepny zadnej innej z ziemskich cywilizacji rozwoj cywilizacyjny. Ten przelom byl dzielem cywilizacji, ktora zwyklismy nazywac zachodnia lub europejska – kiedys mowiono tez o cywilizacji bialego czlowieka,

ale dzis uwaza sie to za okreslenie o konotacjach rasistowskich. Idea rownych szans, rownego startu jest gleboko obca Wschodowi, ktory uwaza za cos po prostu oczywistego oraz normalnego i systemowa korupcje, i to, ze pozycje spoleczna oraz zawodowa czlowieka wyznaczaja jego koneksje rodzinne oraz znajomosci, przynaleznosc do okreslonego nieformalnego kregu ludzi wplywowych (Chinczycy nazywaja taki krag krewnych-i-przyjaciol "Guang Xi"). Nie talenty, nie pracowitosc, nie ambicje, ale wlasnie to sie liczy – kogo znasz, z kim jestes skumplowany i spokrewniony. U Sowietow kursuje taki zart: Czy syn pulkownika moze zostac generalem? Nie moze. A dlaczego? Bo general tez ma syna.

Ten zart doskonale pasuje i do peerelu, i do tego peerelu-bis, ktory na podstawie zastapienia jednej partii przez kilka, urzadzania plebiscytow wyborczych oraz nakrycia Orlu Bialemu glowy korona przechrzczono na III Rzeczpospolita. Bo przeciez, choc tak bardzo lubimy podkreslac swa przynaleznosc do Zachodu i nawet udalo nam sie uzyskac poswiadczenie tego faktu w postaci czlonkostwa w Unii Europejskiej i NATO, to przez z gora dwiescie lat bylismy kolonizowani przez Wschod. Nie moglo to pozostac – i nie pozostalo – bez wplywu.

Polska wspolczesna wciaz ma problem ze stworzeniem systemu, w ktorym – jak to wymarzyli tworcy amerykanskiej Deklaracji niepodleglosci – kazdy moze bez przeszkod realizowac swe aspiracje i talenty. Ale tez: Polska wciaz jeszcze nie wyrzekla sie marzenia, ze to jej sie w koncu uda. I to jest miara zarowno naszego cywilizacyjnego zacofania, jak i historycznego wyzwania, jakie przed nami jako narodem stoi.

****

I tutaj wracam juz do glownej mysli tego rozdzialu. Na takiej, a nie innej sciezce transformacji, przy takim stanie spoleczenstwa nie bylo innych sil, na ktorych mogla sie oprzec polska polityka, niz roznego rodzaju mniejsze i wieksze grupy interesu. Lud, ktory roil sie poczciwym obroncom "praw pracowniczych", rozpadl sie na branze i srodowiska, ciagnace kazde w swoja strone. Narod, sniacy sie rownie poczciwym patriotom, po dziesiecioleciach peerelowskiej deprawacji i zaaplikowanym mu na jej zakonczenie

popisowym triumfie bezwstydu i cynizmu zatracil instynkt wspolnoty, poza najprostszymi emocjonalnymi identyfikacjami w rodzaju demonstracji uwielbienia dla papieza Polaka. A klasa srednia, na ktora liczyli liberalni reformatorzy, nawet nie miala szansy powstac wskutek postepujacego zdominowania gospodarki przez oligarchie; rzecz charakterystyczna, ze media owych lat zwykly pojecia "rodzaca sie klasa srednia" uzywac w relacjach z bankietowych wystepow ludzi w rodzaju Niemczyckiego, Staraka czy Kulczyka.

Skoro wygasl, czy tez moze raczej wygaszony zostal impet Solidarnosci, a stalo sie to bardzo szybko, politycznym liderom nie pozostalo nic innego niz manewrowanie pomiedzy grupami interesu. Te zas nie udzielaly swego poparcia za darmo, lecz w zamian za spelnianie ich oczekiwan. Nie wdajac sie w szczegoly, bo trzeba by poswiecic cala ksiazke wyliczaniu kolejnych ustaw i zarzadzen oraz tlumaczeniu, w jaki sposob likwidowaly one w kolejnych dzialach wolnosc i swobode, przekazujac je pod nadzor jakichs srodowiskowych, paramafijnych gremiow – niemal od poczatku lat dziewiecdziesiatych obserwowac mozemy nieustajaca erozje demokracji i wolnego rynku. Elity peerelowskie szybko osiagnely wszystko, co chcialy, i dalsza demokratyzacja, a juz zwlaszcza rozszerzaniem mozliwosci bogacenia sie na wszystkie grupy spoleczne, zainteresowane nie byly. Elity posolidarnosciowe zas bodaj nigdy nie mialy swojej wizji przemian, a jesli ktos takowa mial, nie byl zdolny jej przeforsowac. Od samego poczatku zabraklo w Polsce jakiegokolwiek silnego osrodka wladzy. W calej rozciaglosci powtorzyla Trzecia Rzeczpospolita blad Drugiej; tak jak tamta w obawie przed Pilsudskim zafundowala sobie konstytucje czyniaca niepodobienstwem zmontowanie jakiejkolwiek trwalej wiekszosci parlamentarnej, tak ta w leku juz to przed Walesa, juz to przed "czarnosecinnym potencjalem" tkwiacym w narodzie powolala instytucje panstwowe od zarania sparalizowane i bezradne.

Po latach, wiedzac duzo o Walesie i wielu innych mozliwych wowczas kandydatach do stworzenia silnego osrodka wladzy, mozna sie spierac, czy nie bylo to mimo wszystko mniejszym zlem. Tak czy owak, rozwoj III Rzeczpospolitej odbywal sie wedlug mechanizmow podobnych do tych, jakie rzadzily powojennymi Wlochami, Z ogromna rola mafii, gospodarka obficie podlewana smarowidlem korupcji i swoistym polaczeniem biurokracji z anarchia, to znaczy – z wielka wladza urzedow roznego szczebla nad obywatelem i nad gospodarka, ale i z lagodzaca te wszechwladze (bo zawsze idzie sie jakos dogadac)

bardzo slaba centralna kontrola, nie mowiac juz o kontroli demokratycznej, nad owymi urzedami.

W taki sposob, jak pokazaly wspomniane juz Wlochy i pare innych krajow, panstwo moze sie rozwijac. Rozwijac w tym sensie, ze beda sie poprawiac rozmaite parametry makroekonomiczne, bedzie rosnac PKB i ogolny poziom zamoznosci spoleczenstwa. Ale nie buduje sie w ten sposob panstwa, o jakim wszyscy marzylismy. Powstaje cos blizszego krajom latynoskim, afrykanskim, powiem tutaj – postkolonialnym, niz Ameryce czy Europie. Na kolonialna przeszlosc tych krajow zwracam tu uwage nie przypadkiem, bo podobienstwa miedzy krajami majacymi w swej historii to doswiadczenie – a Polska tez przeciez byla przez wielka czesc swej historii kolonizowana, choc my zwyklismy nazywac to raczej zaborami badz okupacja – sa bardzo powazne i, moim skromnym zdaniem, tlumacza bardzo wiele naszych problemow.

Panstwo postkolonialne jest zarazem i zbyt silne, i zbyt slabe. Zbyt silne, bo wpieprza sie, z przeproszeniem, doslownie we wszystko, wszystko chce koncesjonowac, nadzorowac, regulowac swoimi przepisami i zezwoleniami. I zbyt slabe, bo nie potrafi wywiazac sie nawet z tego, co do panstwa nalezy ponad wszelka watpliwosc. Na przyklad budowa autostrad jest dla wolnej Polski problemem rownie nierozwiazywalnym, jak dla peerelu sznurek do snopowiazalek; ogolna niemoznosc siegnela takiego poziomu, ze w desperacji zaczeto upatrywac nadziei w zbudowaniu ich przez prywatne firmy za prywatne pieniadze, na mocy udzielanych przez panstwo koncesji. Zeby unaocznic skale absurdu, z jakim mamy tu do czynienia, zwroce uwage, ze w Stanach Zjednoczonych, ktorych mieszkancy konsekwentnie i od zawsze podchodza do angazowania sie przez panstwo w gospodarke negatywnie do tego stopnia, ze nawet zabronili tego w konstytucji, w panstwie, w ktorym prywatni przedsiebiorcy zajmuja sie wieloma rzeczami, jakie nam, Europejczykom, wydaja sie naturalna domena rzadu, i w ktorym nie do pomyslenia bylaby panstwowa "pomoc" dla tak licznych galezi gospodarki – owoz nawet tam nikt nigdy nie pomyslal o tym, ze drogi moglyby byc budowane przez prywatnych inwestorow. A jesli ktos pomyslal, to poslano go z ta mysla na bambus. Drogi buduje stan (czyli wlasnie panstwo; nie chce mi sie po raz enty tlumaczyc translatorskiego kretynizmu, ktory ze Zjednoczonych Panstw Ameryki Polnocnej zrobil u nas Stany), czasem rzad federalny, czasem hrabstwo czy zwiazek kilku hrabstw, ale nigdy zadne tam "partnerstwo publiczno-prywatne", na mile cuchnace

lapownictwem najgrubszego kalibru. Prywatna to moze byc droga dojazdowa do czyjegos ranczo albo pola golfowego.

Panstwo polskie, ktore kaze mi sie opowiadac w siedmiu urzedach z pomalowania na weselszy od urzedowego kolor balkonowej balustrady (bo w ten sposob zmieniam samowolnie zatwierdzony decyzja jakiegos wydzialu architektury wyglad elewacji), nie jest w stanie zbudowac paredziesieciu kilometrow porzadnej drogi. Nie potrafi utrzymac w kupie rozsypujacych sie kolei, ktore przez kilkanascie ostatnich lat zdekapitalizowaly sie do tego stopnia, iz techniczna sprawnosc infrastruktury i taborow z czasow, gdy Polska rzadzilo trzech cesarzy, wydaje sie niedoscignionym marzeniem. Nie potrafi zapewnic obywatelom szybkiego i uczciwego rozpatrzenia spraw w sadzie i wyegzekwowania na drodze prawa tego, co sie obywatelowi nalezy. Nie ma pieniedzy dla policjantow, a gdy wysle na zagraniczna misje dwa tysiace zolnierzy zmuszonych prosic sie u sojusznikow o podrzucenie na pozycje bojowa ichnim helikopterem, bo wlasnych nie maja, to odpowiedniemu ministrowi wyrywa sie, ze to "wszystko, na co nas stac".

Slabosilnosc tego panstwa wynika wlasnie z jego podatnosci na naciski zorganizowanych grup interesu. Zadna wladza nie moze sie tu oprzec na jakiejs "milczacej wiekszosci", tak jak mogli sie na niej w swoich reformach oprzec Reagan czy pani Thatcher. Formalnie Polska jest od bez mala dwudziestu lat republika, w rzeczywistosci zas – rzesza. Rzesza malych panstewek, zajetych glownie swoimi partykularnymi interesami. Tyle tylko, ze w przeciwienstwie do przedkajzerowskich Niemiec nie sa to panstewka terytorialne, a korporacyjne. Polska, w ktorej wszystko, co dalej czubka wlasnego nosa, wszystko, czego nie da sie chwycic w garsc i wydoic, zostalo zdezawuowane i osmieszone, zamienila sie w splot sitw. "Sitwo, ojczyzna moja!" – jak to niegdys ujal sp. Lech Terpilowski.

****

Wedlug danych Centrum im. Adama Smitha w roku 2005 bylo w Polsce ponad czterdziesci zawodow, do ktorych dostep ograniczony byl przez samorzady zawodowe. Dotyczy to oczywiscie takich zawodow, bez ktorych za sprawa

obowiazujacych przepisow obywatel nie moze sie obejsc w licznych niemozliwych do uniknięcia sytuacjach. Prawnikow – adwokatow, radcow, notariuszy, komornikow, sedziow. Ale takze architektow, geodetow, inspektorow nadzoru budowlanego, roznego rodzaju rzeczoznawcow. Prawo tych zawodow do ustalania liczby wykonujacych go osob oznacza wiec miedzy innymi prawo dyktowania cen i drenowania kieszeni obywateli, ktorzy z uslug wykonawcow owych czterdziestu zawodow korzystac po prostu musza. W III RP usankcjonowano je osobnym artykulem konstytucji, o ktorego brzmienie ramie w ramie walczyli zgodnie poslowie z krancowo przeciwnych obozow politycznych, polaczeni przynaleznoscia do tych samych zawodowych korporacji, jak Ryszard Kalisz z Romanem Giertychem.

Co prawda wspomniany wyzej artykul – 17. artykul konstytucji – stanowi tylko, iz samorzady zawodowe moga (a nie: musza) istniec i ze sprawuja one piecze (a nie: wylaczna piecze) nad wykonaniem zawodow szczegolnie dla funkcjonowania panstwa istotnych. A jednoczesnie istnieja w tejze samej konstytucji artykuly gwarantujace obywatelom wolnosc podejmowania dzialalnosci gospodarczej i wolnosc zrzeszania sie. Ktoz jednak interpretuje konstytucje? Prawnicy. Trudno o cos bardziej wymownego niz fakt, ze rozpatrujac watpliwosci zwiazane z ustawami majacymi otworzyc zawody prawnicze dla mlodych absolwentow, Trybunal Konstytucyjny powolywal sie wylacznie na ow nieszczesny 17. artykul. Tak jakby w tej samej konstytucji nie istnial artykul 20., gwarantujacy kazdemu obywatelowi swobode dzialalnosci gospodarczej – a przeciez to, co robia korporacje prawnicze, uzalezniajac prawo wykonywania zawodu od uzyskania zgody ich organow samorzadowych, artykul ten narusza w sposob oczywisty. (Bo ze bycie radca prawnym albo adwokatem jest wykonywaniem dzialalnosci gospodarczej, co do tego jedni i drudzy nie mieli najmniejszej watpliwosci, natychmiast korzystajac z udzielonego drobnym przedsiebiorcom przez rzad Leszka Millera prawa do rozliczania sie wedlug jednolitej, liniowej stawki podatku CIT, czyli od dzialalnosci gospodarczej wlasnie). Tak jakby nie istnial w tej samej konstytucji artykul 30., ktory wrecz nakazuje Trybunalowi uchylic przepisy, ktore naruszaja konstytucyjne prawa jakiejs grupy obywateli – a system korporacyjnych aplikacji i egzaminow narusza przeciez prawa calej rzeszy mlodych ludzi do swobodnego wykonywania zawodow, ktorych sie przez dlugie lata studiow uczyli. Oficjalne wyjasnienie sedziow TK brzmialo – Trybunal tylko odpowiada na wniosek, z jakim sie do niego

zwrocono. A korporanci zapytali jedynie o zgodnosc nowych przepisow z artykulem 17., a nie z innymi artykulami konstytucji. Warto zwrocic uwage, ze zupelnie inaczej zachowywal sie ten sam Trybunal w czasie slawnego, brzemiennego w polityczne skutki procedowania nad ustawa lustracyjna, gdzie nie odniosl sie ani do calosci ustawy (bo niemozliwe staloby sie wtedy wydanie wyroku w tak szybkim tempie, aby ustawa nie zdazyla zadzialac, co wlasnie bylo wowczas dla TK najwazniejsze i przewodniczacy Stepien nawet nie probowal tego faktu ukrywac), ani nie ograniczyl sie scisle do wniosku zlozonego przez SLD, ktory, formalnie rzecz biorac, byl podstawa jego prac, tylko wybral wedle wlasnego uznania elementy ustawy, ktorych zgodnosc z konstytucja uznal za warte zbadania. Argumentacja, jakiej uzyl TK, opowiadajac sie przeciwko ustawodawcy, a po stronie korporacji prawniczych, wydaje mi sie wiec, delikatnie mowiac, naciagana.

Oczywiscie, moga Panstwo powiedziec, ze to, co mi sie wydaje, to moja sprawa i zaden argument. Zapewne. Tylko ze krytyke TK (poza przywolaniem ustawy lustracyjnej) cytuje z artykulu profesora Lecha Morawskiego, ktory od dawna twierdzi wprost, ze prawo korporacyjne, dajace roznym naczelnym i okregowym radom tak wielkie mozliwosci limitowania dostepu do zawodu, "nie spelnia testu konstytucyjnego". Oczywiscie, profesor Morawski jest z tej przyczyny traktowany w srodowisku prawnikow tak, jak inny krytyk prawniczego korporacjonizmu, doktor Janusz Kochanowski – czyli jak czarna owca.

No coz: prawo prawem, ale musi wyjsc na nasze. Prosze nie sadzic, ze prawnicy przejawiaja wiekszy szacunek dla prawa niz profani – zaryzykowalbym nawet twierdzenie, ze wrecz przeciwnie, na tej samej zasadzie, na jakiej pszczelarz bezceremonialnie grzebie w ulu, od ktorego zwykly czlowiek na wszelki wypadek odsuwa sie z respektem. Bardzo pouczajacy jest tu casus pewnego adwokata, ktory chcial otworzyc kancelarie we Wroclawiu. Miejscowa rada adwokacka nie zezwolila mu jednak na to, uznajac, ze miasto to jest juz wystarczajaco nasycone adwokatami, i nakazala mu otwarcie kancelarii kawalek dalej, w Olesnicy. Uparty adwokat strawil pare lat na walce o swoje i w koncu, po przejsciu wszystkich instancji, uzyskal wyrok Sadu Najwyzszego, stwierdzajacy, ze rada nie moze mu odmowic prawa prowadzenia dzialalnosci tam, gdzie chce. Wyrok ten jednak nic nie zmienil, poniewaz samorzad adwokacki najnormalniej w swiecie go olal i nadal nie zezwalal krnabrnemu czlowiekowi na prowadzenie dzialalnosci w duzym miescie. Przyznaja Panstwo,

ze to cos nieslychanego – oto ludzie, ktorych misja, wydawaloby sie, jest uczenie innych szacunku dla prawa, i to ich najlepsi przedstawiciele, bo z takich przeciez skladaja sie, wolno domniemywac, organa zawodowego samorzadu, daja bezprzykladny popis, jak mozna miec w rzyci wyrok Sadu Najwyzszego, poniewaz i tak nikt tego wyroku nie wyegzekwuje.

A bez zgody organow samorzadu adwokackiego prowadzic dzialalnosci nie mozna. A z kolei przynaleznosc do owego samorzadu jest obowiazkowa – i tak sie kolko zamyka. W biurze Rzecznika Praw Obywatelskich lezy skarga innego adwokata, ktory zostal pozbawiony prawa do wykonywania zawodu z powodu odmowy placenia skladek. Z tego, co wiem, obecnie przebywa on i pracuje w Anglii.

Coz, w palestrze, tak jak i gdzie indziej, trzeba umiec z ludzmi zyc. Zwlaszcza z tymi, ktorzy zasiadaja w owych okregowych i naczelnych radach. A jak sie nietrudno domyslic, zasiadaja w nich stare repy, powiazane od lat uslugami swiadczonymi sobie wzajemnie i innym liczacym sie osobom. W samym szczycie rozpasania adwokackiego korporacjonizmu, pod koniec lat dziewiecdziesiatych, rady owe tak zanizyly limity aplikacji, ze na cale miasto wojewodzkie zgody na ich rozpoczecie otrzymywalo czasem piec, szesc osob. Wylacznie dzieci adwokatow badz ich zieciowie, bardzo rzadko zdarzalo sie, ze w drodze wyjatku otrzymywal taka zgode syn jakiegos lokalnego notabla, ale doprawdy musial to byc ktos niezwykle wplywowy. A przeciez dostanie sie na aplikacje to tylko poczatek; trzeba jeszcze zdac przed samorzadowa komisja egzamin. Do legendy przeszedl adwokat, ktory gdy przeznaczony do odstrzalu kandydat okazal sie obryty jak korba i nie dal sie zagiac na zadnym z fachowych problemow, przepytal go i uwalil z wedkarstwa. "Dobry adwokat musi miec jakies hobby", wyjasnil potem molestujacym go o ten skandaliczny egzamin dziennikarzom.

Adwokatowi dajemy zarobic nie dlatego, ze mamy taki kaprys. Musimy. Z doswiadczenia dziennikarskiego znam mnostwo spraw, ktore wydawaly sie ludziom oczywiste i jasne jak slonce, a ktore zostaly przegrane, bo przeciwna strona miala adwokata, a ten, po stronie ktorego byla niewatpliwa racja, pozalowal na "papuge". Pozalowal albo po prostu naprawde nie mial. Na sto tysiecy Polakow przypada tylko szescdziesieciu dziewieciu praktykujacych adwokatow i radcow prawnych, co stawia nas zdecydowanie na ostatnim miejscu w Unii Europejskiej, a jesli nie w Europie w ogole, to tylko dlatego, ze szczesliwie nalezy do niej

takze Albania. W Wielkiej Brytanii, dla porownania, jest ich dwustu trzydziestu pieciu. I moze nie od rzeczy jest dodac, ze nigdzie w Europie organizacje prawnicze nie maja prawa wyznaczac limitow, ilu osobom wolno wejsc do zawodow, ani nie sa wladne prowadzic dopuszczajacych do niego egzaminow. Tam, gdzie takie egzaminy istnieja (bo na przyklad we wspomnianej Wielkiej Brytanii wystarczy po prostu ukonczyc studia), prowadzone one sa pod egida panstwa i nie ma zadnego limitu liczbowego wyznaczajacego, ilu osobom wolno do nich przystapic i ile moze je zdac.

Korporanci szermuja argumentem, ze aplikacje i nadzor samorzadu jest niezbedny, aby utrzymac jakosc uslug prawniczych na odpowiednim poziomie i aby nie trafiali do zawodu ludzie nieprzygotowani. Gdyby traktowac ten argument powaznie, nalezaloby rzec – prosze bardzo, ustalmy, jakie chcecie kryteria egzaminacyjne, chocby bardzo wysrubowane: kto je zda, ten zostanie adwokatem albo radca, kto nie zda, poszedl precz. Ale w jaki niby sposob ma wplynac pozytywnie na poziom swiadczonych uslug limit, ze w danym roku wolno do aplikacji przystapic tylko pieciu osobom imiennie wskazanym przez rade?

W oczywisty sposob argument o jakosci swiadczonych uslug to pic na wode; chodzi po prostu o zawyzenie cen. Przy tak niewielkiej podazy uslug prawniczych ci, ktorych do tej zlotej zyly dopuszczono, moga dyktowac stawki, jakie chca. Firmy, a te sa najlepszymi klientami, wlicza to sobie w koszty i w ten czy inny sposob odbija sobie na konsumentach. A klienci indywidualni, no coz, niech placza i placa. Jak juz wspomnialem, kto pozaluje pieniedzy na adwokata, ten bedzie potem musial poniesc koszty znacznie wieksze.

Mowimy tu o sporych pieniadzach. Jesli na przyklad zdarzy sie komus nadepnac na odcisk duzej firmie albo czlowiekowi na tyle bogatemu, ze stac go na wynajecie adwokata (a im wiecej znam roznych przykladow swiadczacych o moralnosci niektorych przedstawicieli polskiej palestry, niekiedy tych bardzo prominentnych, tym czesciej mysle sobie, ze jedyna roznice pomiedzy wynajeciem adwokata a wynajeciem bandziora do mokrej roboty stanowi faktura), i ten ktos wytoczy mu proces, dajmy na to, o znieslawienie – to skuteczna obrona wymagac bedzie, wedlug stawek warszawskich z okresu pisania tej ksiazki, od dziesieciu do trzydziestu tysiecy zlotych. Roznica zalezy od tego, na ile renomowanej kancelarii uzyjemy, ale to sie przeciez przeklada na szanse wygranej, zwlaszcza w wypadku

"pyskowek", ktore naleza akurat do procesow najdrozszych i najtrudniejszych.

Oczywiscie, kiedy uda nam sie z pomoca naszego adwokata udowodnic, ze oskarzenie bylo calkowicie bezpodstawne, i uzyskac jego oddalenie, sad moze skazac powoda na zwrot czesci poniesionych przez nas kosztow, do wysokosci okreslonej bardzo starannie w procentach sredniego wynagrodzenia. Wedlug tych samych stawek, ktore podalem przed chwila, granice stanowi kwota 360 zlotych (slownie: trzystu szescdziesieciu zlotych). Ale pocieszmy sie, w szczegolnych wypadkach sad moze ja nawet podwoic. A to juz bedzie… 720 zlociszy? Jestem magistrem od literek, nie od cyferek, wiec nie dam glowy, czy dokladnie tyle, w kazdym razie mowimy o kwotach po prostu oszalamiajacych.

Dysponujac ta wiedza, latwiej zrozumiec strategie niektorych wielkosci, usilujacych zatykac swym krytykom geby pozwami, jak i te okolicznosc, ze zadzierac z osobami i firmami z wielka kasa (a jak demaskowac afery, nie zadzierajac z nimi?) moga tylko ludzie, za ktorymi tez stoi spora kasa – na co moze pozwolic sobie gazeta wydawana przez miedzynarodowy koncern, to dla lokalnej jest nie do pomyslenia.

Aplikacje sluza zagwarantowaniu wysokiej jakosci uslug prawniczych? Bez kpin. Korporacje bronia co roku dostepu do zawodow prawniczych tysiacom mlodych, absolwentom studiow prawniczych, takze tym najzdolniejszym i majacym najlepsze wyniki w nauce – lecz bez zadnych warunkow wstepnych przyznaja prawo otwarcia kancelarii adwokackiej kazdemu profesorowi prawa, ktory tego zapragnie. Nawet jesli jest to profesor historii prawa i specjalista od dziedziczenia u Galow, ktory kodeks karny ostatni raz w zyciu mial w reku podczas studiow. Latwo to zrozumiec – profesorowie, wladni wydawac rozmaite opinie, sa dla korporacji cennym sojusznikiem. (Podobnie jak sedziowie, ktorzy rowniez maja droge do intratnego zawodu otwarta bez zadnych aplikacji). Gdyby tej zasady wolnego wpisu na liste adwokacka nie bylo, w mediach moglyby sie ukazywac sygnowane tytulami naukowymi publikacje sugerujace, ze zamkniecie zawodow prawniczych nie jest dobre ani zgodne z konstytucja. A tak, szczesliwie, podobne publikacje naleza do rzadkosci. Ba, niech koledzy dziennikarze poswiadcza – uzyskanie opinii uznanego fachowca na takie tematy graniczy z cudem. Prywatnie, owszem, autorytet gotow sie z dziennikarzem podzielic swoim zniesmaczeniem tym, co wyprawiaja "niektorzy",

ale pod nazwiskiem, do publikacji – w zyciu. Co by koledzy powiedzieli?

To zreszta syndrom powszechny. Swojego srodowiska sie nie krytykuje.

Utrzymanie wysokich zarobkow to tylko jedna z przyczyn, dla ktorej cech (bo przeciez nasze korporacje zawodowe nie roznia sie niczym od sredniowiecznych cechow i rownie jak one realizuja logike funkcjonowania feudalnego spoleczenstwa) ogranicza liczbe adeptow i pilnuje, aby nikt nie mogl zrobic jego czlonkom konkurencji. Sprawa druga, byc moze nawet wazniejsza, jest zapewnienie ciaglosci ukladu. Srodowisko, ktore trzyma na czyms lape, chce ja trzymac zawsze.

Rzecz nie tylko w zagwarantowaniu sukcesji rodzinom. Oczywiscie, adwokaci maja dzieci, radcy prawni maja dzieci, sedziowie tez maja dzieci, i nie stanowia pod tym wzgledem zadnego wyjatku. Glosnym echem odbila sie swego czasu w mediach sprawa rekrutacji na Wydzial Prawa w Gdansku, gdzie, jak wykryli reporterzy "Gazety Wyborczej", przyjmowano tych, ktorzy gorzej zdali egzaminy, albo nawet w ogole ich nie zdali, jesli tylko byli dziecmi prawnikow – kosztem zdolniejszych i lepiej wyuczonych, ale niemajacych koneksji rodzinnych. W tej sprawie najbardziej zdumiewajace okazalo sie nie to, ze dochodzilo do szwindli w rekrutacji na prestizowe i dajace szanse na bardzo intratny zawod studia. Szokujace (jesli ktos w naszym kraju jeszcze zachowal zdolnosc bycia zszokowanym) bylo zachowanie przylapanych na tym gdanskich profesorow oraz rozmaitych autorytetow prawniczego swiatka. Nawet z poteznym szklem powiekszajacym w reku nie dalo sie zauwazyc u nich bodaj cienia zawstydzenia, nikt nie zdobyl sie bodaj na bakniecie, ze takie zachowanie jest nie w porzadku. Przeciwnie, ubolewajac, ze doszlo do takiego zdarzenia (wyraznie wiecej bylo w tym ubolewaniu irytacji, ze pracownicy Uniwersytetu Gdanskiego zostali przylapani, niz ze robili to, co robili), podkreslali oni, jak to jest pieknie, kiedy dzieci ida w slady ojcow i dziadkow. Pewien nobliwy senator-adwokat, dufny w swoj niekwestionowany autorytet, w programie telewizyjnym nie probowal nic udawac, klarujac, ze dzieci prawnikow, nawet jesli nie potrafia zdac egzaminu, sa i tak najlepszym materialem do zawodu na tyle szczegolnego, ze ludzie z zewnatrz powinni miec do niego dostep utrudniony, a najlepiej w ogole zamkniety.

No coz – mowimy o najoczywistszych ludzkich instynktach. O

instynkcie dbalosci o swoje potomstwo. Kazdy przeciez chce zapewnic swojemu dziecku to, co najlepsze. W warunkach polskich, nie ma co do tego zadnej watpliwosci, wystarczy przejrzec niezwykle zgodne w tej diagnozie badania opinii publicznej, dobrem najbardziej pozadanym, problemem numer jeden i w ogole sprawa ze wszystkich najwazniejsza jest dobra praca. Jesli ktos przynalezy do elitarnego klubu ludzi doskonale zarabiajacych i cieszacych sie wysoka spoleczna pozycja, to czyz mozna miec do niego pretensje, ze chce, aby jego dziecko, gdy dorosnie, nie mialo gorzej niz on?

To oczywisty ludzki instynkt i ceniony adwokat w takiej na przyklad Ameryce tez bedzie sie staral wykorzystac swoje koneksje, zeby pomoc synowi osiagnac rownie wysoka jak on pozycje, albo nawet jeszcze wyzsza. Roznica jednak jest taka, ze jesli amerykanskiemu adwokatowi przydarzy sie, ze jego syn jest matolem – zdarza sie przeciez i tak – to, niestety, bedzie sie musial z tym pogodzic. Zeby nawet nie wiem jak prosil znajomego szefa renomowanej kancelarii "prosze cie, zatrudnij go" (przyklad teoretyczny, w Ameryce byloby to czyms wiecej niz nietaktem), ten powie "nie moge", i juz. I rzeczywiscie nie bedzie mogl.

Feudalizm oparty jest na mafijnosci i nepotyzmie – na zachowaniach naturalnych. Kapitalizm jest oparty na zachowaniach nienaturalnych. Zyjemy w czasach, kiedy przymiotnikowi "naturalne" nadaje sie znaczenie bardzo pozytywne, ale dobrze jest sie temu nie poddawac – z natury to my wszyscy jestesmy bydlakami i stad sie wlasnie wziela cywilizacja, ze stopniowo zrywalismy ze swymi naturalnymi instynktami w imie wyzszych wartosci. Rownosc szans, mozliwosc swobodnego realizowania swych aspiracji jest taka wlasnie wartoscia, na ktorej opieraja sie kapitalizm i wolny rynek. Wartoscia, ktora w nowoczesnym zachodnim spoleczenstwie jest realizowana i chroniona przez prawo, konstytucje oraz instytucje spoleczne.

W takim nowoczesnym spoleczenstwie prace otrzymuje ten, kto wyda sie pracodawcy kandydatem najbardziej obiecujacym, kto jest po prostu lepszy. U nas ten, kto jest znajomym znajomego prezesa czy dyrektora, Antka kobity szwagra synowicem, albo osoba protegowana przez kogos, kto moze z kolei wyswiadczyc jakas przysluge. Odpowiedzcie sobie Panstwo sami, co jest w Polsce lepszym sposobem zdobycia owego najbardziej pozadanego dobra, jakim jest znakomita praca – wysylac na

prawo i lewo CV i chwalic sie na kolejnych rozmowach kwalifikacyjnych swoimi dyplomami, stazami oraz prestizowymi wyroznieniami czy poszukac dojscia do kogos wplywowego?

Ale tam, gdzie o awansie decyduje to, kim sie jest, a nie kogo sie zna, tkwiaca w ludziach energia wykorzystywana jest ku wspolnemu pozytkowi. Na tym polega cud kapitalizmu, ktory sprawil, ze w ciagu dwoch stuleci Europa i bedaca emanacja tego, co w niej najlepsze, Ameryka Polnocna z gospodarki opartej na rolniczych latyfundiach wspiely sie na poziom komputerow, satelitow i inzynierii genetycznej. Natomiast kraje, ktore nie umieja wykorzystac pracowitosci i przedsiebiorczosci swych wybitnych jednostek, bo nie potrafia uzaleznic spolecznego awansu i powodzenia wlasnie od nich zamiast od urodzenia czy "dojsc" – po prostu sie nie rozwijaja albo rozwijaja w sposob ulomny.

W roku 1945 Kanada wedle wszystkich wskaznikow makroekonomicznych plasowala sie na zblizonym poziomie co Argentyna. Szczerze mowiac, byla nawet krajem nieco ubozszym. Teoretycznie w obu tych krajach panowal ten sam ustroj – wolny rynek, kapitalizm, jakkolwiek go zwac. Ale w Kanadzie ten wolny rynek rzeczywiscie dawal szanse. W Argentynie zas, jak w III RP, syn czlowieka dobrze ustawionego mogl byc pewny, ze pozostanie dobrze ustawiony, a syn zle ustawionego jedyna nadzieje na zyciowy sukces mogl wiazac z tym, ze z jakichs wzgledow ci dobrze ustawieni zechca go do swego grona dokooptowac.

Nie musze chyba wdawac sie w szczegoly, gdzie dzis, po szescdziesieciu latach, jest Kanada, a gdzie uchodzaca niegdys za kraj niezwykle bogaty Argentyna.

Instynkt dominacji tez jest instynktem naturalnym, rownie jak nepotyzm. Istota ludzka pragnie wywyzszenia ponad inne istoty ludzkie. A jesli jest wywyzszona, posiada pewien przywilej i stara sie przekazac ten przywilej swym potomkom. Dlatego ci, ktorzy ciesza sie szczegolnym statusem i maja mozliwosc jego przekazania, staraja sie zakonserwowac status quo. Jesli mi sie to uda, moge miec pewnosc, ze nawet gdyby trafil mi sie syn matol, jakos go ustawie.

A ze starajac sie w imie tego zakonserwowac to, co chore, niesprawiedliwe i spolecznie szkodliwe, dzialam na szkode ogolu i swojego kraju? Mozna na to parsknac smiechem, mozna

wzruszyc ramionami, mozna tez wmowic sobie i uwierzyc (nie jest to trudne), ze interes ogolu jest w tym wlasnie, zeby ludnosc miala uslugi prawnicze na najwyzszym poziomie, a zeby byly one na najwyzszym poziomie, samorzady musza dbac o zachowanie systemu limitow i aplikacji… I tak dalej.

****

Nie wiem, czy w ogole powinienem zamieszczac to zastrzezenie, tak mi sie wydaje oczywiste – ale niech tam, zamieszcze. Nie jest moim zamiarem zwalczanie adwokatow, sedziow, notariuszy, radcow i kogo tam jeszcze. Z tego, co wiem jako dziennikarz, moge z reka na sercu twierdzic, ze odsetek ludzi prawych i ostatnich swin w tych zawodach nie odbiega albo odbiega bardzo nieznacznie od ogolnej normy, wyznaczonej tak zwana krzywa Gaussa, czyli prawem rozkladu statystycznego. Najbardziej krytykowana z korporacji prawniczych grupa, adwokaci, znalazla w sobie tyle zdrowej sily, by bodaj jako jedyna z nich przeprowadzic u siebie lustracje. Choc wedle wiedzy historykow wlasnie palestra obok duchowienstwa, dziennikarzy i sfer artystycznych byla obiektem najsilniejszej inwigilacji oraz najwiekszym zaglebiem ubeckich kapusiow, wiekszosc adwokatow wlasnymi silami zobowiazala swe srodowisko do skladania oswiadczen lustracyjnych; w czasie przewidzianym na ich zlozenie nastapil zreszta gwaltowny exodus adwokatow do korporacji radcow prawnych, ktora zlustrowac sie nie dala. Trzeba to docenic.

Problem nie polega na tym, ze adwokaci czy sedziowie sa zli. W kazdym stadzie trafiaja sie parszywe owce. Problem polega na tym, ze jesli parszywa owca trafi sie w systemie normalnym, wolnorynkowym, to mechanizmy konkurencji same usuna i ja, i takich, ktorzy probowaliby drania kryc. Gdy natomiast trafi sie w systemie korporacyjnym, to ma swietne mozliwosci nie tylko uchronienia sie przed kara, ale wrecz zniszczenia tych, ktorzy ja zdemaskuja.

W systemie korporacyjnym wiec to wlasnie parszywe owce nadaja srodowisku ton i wyznaczaja jego poziom – tak jak na wycieczce w gory szybkosc calej grupy wyznacza ten, ktory lezie najwolniej. Korporacyjny instynkt nakazuje bronic swojego,

zwierac szeregi wokol zaatakowanego; nie beda obcy pluc nam w twarz, nie beda wyrywac nikogo z naszych szeregow! Za swinstwa swini odpowiedzialnosc bierze na siebie solidarnie cale srodowisko zawodowe. Wszystko, nawet zdrowy rozsadek, musi ustapic przed owym odruchem, ktory nazywam tu odruchem samoobronnym.

Batalia sie toczy, najbardziej skandaliczne przejawy prawniczego korporacjonizmu udalo sie nieco utemperowac, uchylono drzwi do zawodu mlodym, ustanawiajac ministerialna kontrole nad egzaminami i mozliwosci obejscia aplikacji. Dzieki tym zmianom w roku 2006 na sciezke prowadzaca do adwokatury czy radcostwa dostalo sie az piec tysiecy mlodych adeptow – jesli tylu ich bedzie co roku i wszyscy zdadza wymagane egzaminy, to poziom nasycenia rynku uslugami prawniczymi obecnych Niemiec (gdzie plasuje sie on w sredniej europejskiej) osiagniemy juz za pietnascie lat.

Ale generalna batalia jak na razie zostala przez korporacje prawnicze wygrana, po czesci dzieki pomocy wspomnianego juz Trybunalu Konstytucyjnego, a po czesci dzieki strategicznej decyzji podjetej po zdobyciu wladzy przez Donalda Tuska, aby dla kupienia sobie swietego spokoju oddac wszystkie decyzje dotyczace srodowiska prawniczego liderom tegoz srodowiska. Pierwsza decyzja, jaka podjal nowy minister sprawiedliwosci, profesor i praktykujacy adwokat Zbigniew Cwiakalski, jeszcze przed uruchomieniem "odziobrzajacych" czystek w prokuraturach, bylo uwalenie projektu ustawy o warunkach swiadczenia zawodow prawniczych i o licencjach prawniczych. Trudno o bardziej znaczacy poczatek urzedowania.

Czemu zaczalem te porachunki od prawnikow? Bo to w panstwie demokratycznym grupa szczegolnie wazna. Jesli to srodowisko ulega patologiom, skutki mozna porownac z tymi, jakie dla organizmu czlowieka niesie zwyrodnienie kregoslupa. Panstwo nowoczesne nie jest w stanie funkcjonowac bez sprawnie egzekwowanego prawa, prawa, ktore slepe jest na to, czy sadzi plebejusza czy arystokrate, ktore widzi tylko przypadki i nie uwzglednia zadnych okolicznosci poza tymi, jakie sa wazne dla sprawy.

Ale peerel nie byl panstwem demokratycznym, tylko rezimem, w ktorym wymiar sprawiedliwosci traktowany byl jako czesc rozbudowanego aparatu represji. Wewnatrz srodowiska

prawniczego byli tacy, ktorym udawalo sie obronic niezaleznosc. I byli ludzie szczegolnie dyspozycyjni, wyznaczani przez rezim do prowadzenia procesow politycznych. Nietrudno sie domyslic, ze to ci drudzy, cieszac sie wsparciem wladzy, rozdawali w srodowisku karty. I tak pozostalo do dzis. Mechanizmy samorzadu zawodowego zostaly wykorzystane do ochrony tego, co socjologia nazywa "brudna wspolnota", a co potocznie mozna by nazwac "zmowa umoczonych". Zaden z sedziow, ktorzy w peerelu wydawali wyroki na zamowienie rezimu, wyroki lamiace owczesne prawo (nikt nigdy nie posunal sie do zadania, aby rozliczac zbrodnie komunistyczne wedlug prawa dzialajacego wstecz czy ustanawianego przez jakies "trybunaly rewolucyjne", jak to wielokrotnie klamliwie powtarzala michnikowszczyzna – zbrodnie komunistyczne byly w wiekszosci zbrodniami takze w swietle prawa owczesnego i do ich rozliczenia nigdy nie bylo zadnych przeszkod formalnych, zabraklo tylko checi) – owoz zaden z sedziow, ktorzy sie wowczas sprzeniewierzyli prawu i swemu powolaniu, nawet w sposob tak jaskrawy jak orzekanie drakonskich wyrokow na mocy dekretu o stanie wojennym jeszcze przed jego formalnym ogloszeniem, nigdy nie zostal przez sady dyscyplinarne samorzadu sedziowskiego pociagniety do odpowiedzialnosci, ba, nigdy nie zostal nawet oskarzony.

A kiedy oskarzenie takie pojawilo sie ze strony prokuratorow Instytutu Pamieci Narodowej (chodzilo wlasnie o owe wyroki wydawane na mocy "prawa" ogloszonego jedynie w dzienniku telewizyjnym), Sad Najwyzszy wydal specjalna uchwale, ktora sedziow stanu wojennego uczynila niepodlegajacymi odpowiedzialnosci za owczesna dzialalnosc z zasady. Logika tej uchwaly jest tak pokretna, ze trudno za nia nadazyc, ale generalnie uznal Sad Najwyzszy, ze sedziowie wowczas orzekajacy nie dzialali w panstwie praworzadnym, wiec i od nich samych nie mozna wymagac praworzadnosci. Wpis do Ksiegi Guinnessa gwarantowany.

A mowiac powaznie, trudno o bardziej dobitne ukoronowanie panujacej wsrod sedziow, jak i w wielu innych srodowiskach zawodowych zasady – do upadlego, wbrew wszystkiemu, bronimy swoich. Zasady charakterystycznej dla funkcjonowania wszelkiego rodzaju "brudnych wspolnot", czyli, mowiac mniej naukowo, gangow.

Ukoronowanie, bo ta haniebna dla polskiego wymiaru sprawiedliwosci uchwala Sadu Najwyzszego nie wziela sie znikad. Z taka sama zajadloscia bronili torunscy sedziowie swojego

kolegi, ktorego przylapano na biesiadowaniu z mafiosami, ktorych potem na sali sadowej uniewinnial wbrew oczywistym dowodom. Z taka sama zajadloscia cale srodowisko stanelo murem po stronie grupy sedziow z Bialegostoku, ktorzy kupczyli wyrokami za lapowki. Mozna z tej skwapliwosci wnosic, ze nieczyste sumienie jest udzialem znacznej czesci osob ferujacych wyroki w imieniu Rzeczypospolitej Polskiej.

I sa powody tak uwazac. Wielokrotnie stykalem sie z ludzmi szukajacymi rozpaczliwie sprawiedliwosci. Nie bylem w stanie im pomoc. Kazda z takich osob, przychodzacych na spotkania autorskie albo do redakcji, dzwoniacych, przysylajacych listy grubo wypchane kserokopiami kolejnych wezwan, pism i orzeczen, wymagalaby co najmniej kilku dni na samo zapoznanie sie ze sprawa i wstepna ocene, czy rzeczywiscie mamy do czynienia ze skandalem, czy z pieniactwem. Staralem sie przekazywac takie sprawy kolegom zajmujacym sie dziennikarstwem sledczym, ale wiem, ze i oni nie mieli na to czasu, bo z reguly podobne tematy nie sa dla mediow wdzieczne. (Media zas, prosze wybaczyc szczerosc, zainteresowane sa ogladalnoscia i nakladami, a nie walka z bezprawiem – owszem, gdy w afere umoczony jest znany polityk, mozemy to wziac, ale kogo obchodzi, ze w Parzeczycach miejscowa szajka przy wspoludziale sedziego sadu rejonowego, policjanta i, dajmy na to, szefa izby skarbowej dokonala tak zwanego rozboju w bialy dzien na prostym obywatelu? Gorzej nawet, takie interwencyjne materialy wrecz gazecie szkodza, bo opowiadanie historii bez happy endu, historii pokazujacych, ze zyjemy w panstwie, gdzie podlosc nie znajduje kary, a wrecz przeciwnie, poplaca, czytelnika irytuje i zniecheca do tytulu). Niekiedy jednak racje takich ludzi, liczacych na naglosnienie ich sprawy w mediach, wydawaly mi sie oczywiste, a orzeczenia sadow tak kuriozalne, ze mozna je wytlumaczyc tylko i wylacznie korupcja.

Pisalem o zignorowaniu wyroku Sadu Najwyzszego przez samorzad adwokacki. Wezmy przyklad bardzo glosnego procesu, jaki wytoczyl Lech Walesa Krzysztofowi Wyszkowskiemu za publiczne stwierdzenie tego ostatniego, iz historyczny przywodca Solidarnosci byl agentem SB o kryptonimie "Bolek". W wielkim skrocie wygladalo to tak: Walesa powolal sie na fakt, ze byl juz lustrowany na uzytek kampanii prezydenckiej i oczyszczono go wowczas z podejrzen. Wyszkowski przypomnial, ze Walese oczyszczono dlatego, iz Sad Lustracyjny nie mogl orzekac na podstawie kopii dokumentow, oryginalow zas nie otrzymal; nie otrzymal ich dlatego, ze swego czasu zostaly one z gdanskiej

delegatury UOP zabrane w sposob nielegalny przez Mieczyslawa Wachowskiego, powolujacego sie na wole prezydenta, i od tego momentu ich los jest nieznany. Ponadto oznajmil Wyszkowski, ze posiada dowody na agenturalna przeszlosc Walesy i skoro zostal przez niego pozwany, chce je zaprezentowac.

Sad oznajmil na to, ze nie jest ciekaw zadnych dowodow Wyszkowskiego. Skoro Walesa juz raz byl lustrowany, to w zupelnosci to wystarczy i Wyszkowski ma przeprosic. Wyszkowski odwolal sie, sad wyzszej instancji zachowal sie tak samo, az w koncu sprawa dotarla do Sadu Najwyzszego. A ten – o dziwo – uznal, ze Wyszkowskiego nalezy wysluchac i pozwolic mu przedstawic swoje dowody. Z tym zaleceniem odeslal sprawe do ponownego rozpatrzenia do tego samego sadu rejonowego, w ktorym wszystko sie zaczelo.

I co wowczas zrobili tamtejsi sedziowie? Mowiac brzydko, demonstracyjnie olali zalecenie Sadu Najwyzszego i po raz kolejny orzekli to samo: Wyszkowski niech sobie swoje dowody schowa, sad nie jest ich w najmniejszym nawet stopniu ciekaw, Walesa byl juz lustrowany i kazdy, kto to podwaza, ma go przepraszac.

Pytalem o opinie w tej kwestii kilku renomowanych prawnikow; wszyscy zglupieli. Zignorowanie przez sad rejonowy jasno sformulowanego zalecenia Sadu Najwyzszego jest czyms tak nieslychanym i tak nieoczekiwanym, ze nie przewidziano na te okolicznosc zadnej procedury. Teoretycznie sedzia, ktory cos takiego zrobil, powinna sie zajac sedziowska dyscyplinarka, ale kaktus mi na reku wyrosnie, jesli sie tak stanie. A ze sprawa zasadniczo mozna zrobic tylko jedno – przekazac ja do innego sadu. I o to zreszta z pewnoscia sedziom z Gdanska chodzilo. Tylko juz widze, jak ktorykolwiek z ich kolegow da sobie wtrynic taki goracy kartofel!

Bo, oczywiscie, sedziego z Gdanska, ktory sie w ten sposob wywinal, mozna jakos zrozumiec i usprawiedliwic. Mozna go zrozumiec tym bardziej, im wiecej sie wie o sprawie TW "Bolek" i losie papierow, ktore sprawa ta po sobie pozostawila. Od wielu miesiecy szykuja do druku ksiazke wyjasniajaca te sprawe historycy IPN; od wielu miesiecy, a wlasciwie lat, poniewaz robota jest koronkowa, zmudna, gdyz podstawowe akta sprawy za czasow Walesy zniknely (pulkownik Hodysz, ktory jako szef gdanskiej delegatury UOP odmawial ich wydania, zostal przez owczesnego prezydenta usuniety, zreszta z arcyhaniebnym

uzasadnieniem; nawiazujac do faktu, iz w latach osiemdziesiatych Hodysz, wowczas major SB, wspolpracowal z podziemna Solidarnoscia, za co zostal aresztowany i osadzony, Walesa oswiadczyl, iz "raz zdradzil, moze zdradzic znowu") – historycy skazani zostali na ich rekonstruowanie na podstawie tego, co "przechodzilo" w konkretnych sprawach. Wedlug mojej wiedzy nie ma juz pytania, kim byl agent o pseudonimie "Bolek", zarejestrowany w 1970, zdjety z ewidencji w 1974. Sa tylko dwa inne pytania. Pierwsze, zasadnicze dla oceny biegu polskiej transformacji, czy ow agent nie byl potem w jakis sposob szantazowany swa przeszloscia, badz tez czy nie miala ona jakiegos dalszego ciagu; i drugie, istotne dla higieny naszego zycia publicznego: kto i kiedy odwazy sie publicznie oglosic prawde, narazajac sie na wszystkie tego konsekwencje. Czy mozna sie dziwic, ze w kazdym razie nie chce byc tym kims jakis tam skromny sedzia z Wybrzeza? W imie czego mialby sie tego podejmowac?

Ale to dygresja dotyczaca wypadku szczegolnego, gdy sedziowie zostali tak przycisnieci sytuacja, ze musieli zagrac na chama. Z reguly jesli sedziowie nie chca orzekac, moga tego uniknac w sposob bardziej subtelny. A nie chca, bo watpliwosc – w imie czego sie narazac, oraz pokusa, by zastosowac spychotechnike, w kraju tak zdemoralizowanym jak nasz sa powszechne. Dobrym przykladem sadowej obstrukcji z najwyzszej polki jest rozprawa przeciwko "domniemanym" sprawcom masakry na Wybrzezu w grudniu 1970. Zadanie sadu jest jasne: ustalic, kto wydal rozkaz uzycia broni. Krag podejrzanych zas – stosunkowo waski. A wsrod nich ludzie tacy, jak Wojciech Jaruzelski i inni "nietykalni".

Jak sobie z tym zadaniem radzi sad? Bardzo sprytnie. Uznal za stosowne przesluchac kilka tysiecy swiadkow, wszystkich zyjacych jeszcze ludzi, ktorzy brali udzial w ulicznych starciach. Zeznania tych ludzi sa juz dawno spisane, doskonale znane, mozna je znalezc w archiwach historycznych. Doskonale wiadomo, co maja oni do powiedzenia, jak i to, ze nie maja i nie moga miec zadnej wiedzy, ktora przyczynilaby sie do wykonania postawionego przed sadem zadania. Stalem na rogu jednej ulicy, potem pobieglem w druga, zaczeli strzelac od strony trzeciej, zobaczylem, jak przewraca sie czlowiek przede mna… Zaden z tych swiadkow pojecia nie ma, jak wygladaly mechanizmy owczesnej wladzy, kto komu rozkazywal i jak te rozkazy brzmialy. Wiec po co sad od wielu lat zajmuje sie wysluchiwaniem tych nic do rzeczy niewnoszacych opowiesci? Gdy zadalem publicznie to

pytanie, usluzna "Gazeta Wyborcza" pospieszyla z wyjasnieniem, ze widocznie sedzia, by ustalic przebieg wydarzen, musi wiedziec, kto z ktorej strony otworzyl ogien. Guzik tam prawda: gdyby sedzia rzeczywiscie potrzebowal tu jakiejs konkretnej informacji, znalazlby ja bez trudu – jako sie rzeklo, wszystkie te swiadectwa sa spisane, zebrane i wydrukowane. I co najwyzej, chcac miec rzecz stwierdzona pod przysiega, wezwalby konkretnych pare osob. Ale przesluchiwac kilka tysiecy swiadkow, po omacku szukajac w ich wypowiedziach nie wiadomo czego? To moze miec tylko jeden cel – przewleczenie sprawy tak dlugo, az podsadni powymieraja. I cel ten czesciowo udalo sie zrealizowac, to znaczy podsadni trzymaja sie swietnie (a bo to im w wolnej Polsce czegokolwiek do szczescia brakuje?), ale zaniemogl jeden z sedziow i, prosze sobie wyobrazic, caly proces i wszystkie przesluchania trzeba bedzie zaczynac od poczatku!

Tak sobie kpi w zywe oczy z prawa sad, uosabiajacy majestat Rzeczypospolitej, w sprawie niezwykle waznej, relacjonowanej przez media. Czegoz chciec od sadow orzekajacych w drobnych sprawach obywateli? Ze ktos tam komus jest w oczywisty sposob winien pieniadze, a sedzia wydaje wyrok – znam taki przypadek – owszem, roszczenie jest zasadne, ale dluznik placic nie musi. Choc dluznik nawet nie ukrywa, iz dzieki licznym dokonanym wyludzeniom ma sie jak przyslowiowy paczek w masle. Sady sa przeciez zawalone robota, kolejna sprawa ciagnie sie latami, na jednego sedziego przypadaja codziennie do czytania tony akt, personelu pomocniczego nie ma, bo komu by sie chcialo za takie grosze tyrac, pensyjki zalosne, na dodatek, jesli sedzia czy asesor mlody, musi robic i za siebie, i za szanownych prezesow, poniewaz, jak wszedzie w Polsce, tak i tutaj stosunki pomiedzy zwierzchnikiem a mlodym pracownikiem regulowane sa zasadami wojskowej "fali". Mozna doprawdy zrozumiec, ze sedzia sie do jakiejs sprawy nie przylozy, inna zalatwi tak, jak mu podszepna starsi koledzy, od ktorych zalezy wszak jego awans, a za jeszcze inna po prostu wezmie w lape.

Tak samo jak mozna zrozumiec lekarza, ktory bierze koperte, i policjanta, i kazdego wlasciwie. Trzeba przeciez jakos zyc. Poklady polskiej wyrozumialosci dla kazdego takiego zachowania sa ogromne. A juz zwlaszcza niewyczerpane sa poklady wyrozumialosci wobec "naszych", z naszej paczki, z naszego zawodu, naszej korporacji. Sedzia moze byc najgorsza swinia, lecz jesli wyjdzie to na jaw, inni sedziowie stana na uszach, zeby go wybronic. Adwokat moze przewlekac sprawy najbardziej podlymi sztuczkami, nie stawiac sie na rozprawy i kpic w zywe

oczy z kodeksow regulujacych jego zawod, ale nawet jesli jakas zewnetrzna sila zmusi samorzad adwokacki do uruchomienia przeciwko niemu procedury dyscyplinarnej, mozna byc spokojnym, ze wlos mu z glowy nie spadnie. Gdy pewien rektor gdanskiej uczelni, skadinad lider buntu przeciwko lustracji, zdemaskowany zostal jako esbecki kapus, senat uczelni niemal aklamacja – bodaj dziewiecdziesiecioma glosami przeciwko trzem – udzielil mu w specjalnej uchwale pelnego poparcia.

Sedziowie, naukowcy, prawnicy bez cienia wstydu kieruja sie instynktem samoobronnym. Nie ma mowy o zadnym oczyszczaniu sie srodowisk z ludzi niegodnych, wrecz przeciwnie, kazdego przylapanego, chocby byl najgorszym lajdakiem, srodowisko musi solidarnie bronic. Jedyne, co moze czlowieka uczynic parszywa owca w stadzie – to zlamanie srodowiskowego nakazu omerty. W jednym ze slaskich szpitali kilka lat temu wybuchl skandal, gdy okazalo sie, ze ordynator za pieniadze wystawial bandytom zaswiadczenia o fikcyjnych chorobach, pozwalajace wykrecic sie z procesow albo uniknac uciazliwosci odbywania zasadzonej kary (sadzac po statystyce, wedlug ktorej mamy najbardziej chorowitych przestepcow na swiecie, takim zrodlem zarobku nie gardzi niejeden szanowany w srodowisku profesor). Ale to nie ten ordynator zostal przez srodowisko lekarskie poddany ostracyzmowi – przeciwnie, ze wszystkich stron spieszono ku niemu z wyrazami solidarnosci i zapewnieniami, ze w tej trudnej chwili wszyscy, drodzy przyjacielu, jestesmy z toba; zupelnie tak samo, jak na wyprzodki spiesza przyjaciele i srodowiskowe autorytety wyrazac swa solidarnosc z kazdym zdemaskowanym konfidentem bezpieki.

Ostracyzmowi poddany zostal lekarz, ktorego zeznania pograzyly pozostajacego na uslugach mafii profesora. To jemu nie podawano potem reki i to on nie mogl znalezc w Polsce pracy. "Sypnac" psom swojego, i to lamiac przy tym nakaz posluszenstwa wobec szefa? Takiej podwojnej zbrodni zaden gang nie przebacza.

Trzeba sie trzymac razem. Na palcach jednej reki policzyc mozna wypadki, gdy za bledy lekarskie, nawet tak grube jak pozostawienie operowanemu pacjentowi w brzuchu chusty albo narzedzia, ponosi ktokolwiek odpowiedzialnosc (i najczesciej sa to podatnicy). Dzieje sie tak, poniewaz sad wyrokowac moze wylacznie na podstawie opinii bieglych, a biegli, koledzy po fachu pozwanego, z zasady wystawiaja mu laurke. W krajach zachodnich nie ma tego problemu, bo przewaznie obowiazuja tam

tak zwane procedury medyczne. Po prostu, majac chorego z takimi a takimi objawami, lekarz jest zobowiazany zrobic to i to, takie a takie badania, zabiegi i podac takie a takie leki. Nie jest to, oczywiscie, instrukcja obslugi pacjenta, bo kazdy wypadek jest inny, tylko ramowe zabezpieczenie przed popelnieniem jakiegos zasadniczego bledu. Przy ewentualnym sporze sadowym sprawa jest prosta – jesli okazuje sie, ze lekarz nie dopelnil procedury, odpowiada za to, jesli sie jej trzymal, uznaje sie, ze zrobil, co mogl, i sklada wine na los. W Polsce oczywiscie o wprowadzeniu procedur mowi sie od lat kilkunastu i na mowieniu sie konczy, bo krecace nasza medycyna lobby ordynatorsko-profesorskie nie chce o tym slyszec. Tak samo jak wlasnie to lobby uniemozliwia jakakolwiek powazna reforme systemu uslug medycznych. Reforma taka, aby zadzialala, musi bowiem obejmowac przynajmniej czesciowa prywatyzacje oraz uruchomienie mechanizmu konkurencji miedzy lecznicami, a to by zburzylo ordynatorskie eldorado. My sobie mozemy do woli na zapasc sluzby zdrowia narzekac, moga narzekac mlodzi lekarze, owe "koty", ktorych jeszcze nie dopuszczono do konfitur, ale jesli spojrzec na to oczyma kogos, kto tak dlugo terminowal, az sie dochapal – jaki inny system da mu pozycje udzielnego ksiecia na panstwowym szpitalu i sprzecie?

Podam przyklad sily instynktu samoobronnego, ktory ociera sie o absurd, ale jest wlasnie w tym absurdzie typowy. Znajomy rezyser realizowal biograficzny film o Wladyslawie Broniewskim. Poeta ow, o czym polonisci wiedza, w pewnym momencie swego zycia zostal na polecenie towarzysza Bermana porwany z domu, wpakowany do karetki i zapakowany do "psychuszki". Bez zadnych badan, bez medycznego uzasadnienia, na zasadach czysto bandyckich. Uczestniczyl w owym bandytyzmie owczesny ordynator wariatkowa, ulubieniec wladzy i sowieckich wizytatorow. I oto okazalo sie, ze w piecdziesiat lat po owych wydarzeniach liderzy zawodowych organizacji psychiatrow doslownie stawali na glowie, aby stalinowskiego profesora wybielic, aby uniemozliwic dostep do archiwow; nastepca stalinisty na ordynatorskim stolcu bronil go wbrew wszelkim faktom, a straznicy psychiatrycznych tajemnic posuwali sie wrecz do pogrozek pod adresem rezysera, jesli "bedzie opluwal ich srodowisko". A przeciez rzecz dotyczyla podlosci popelnionych przez czlowieka dawno juz niezyjacego, przed ponad pol wiekiem!

Coz dopiero, gdy ktos probuje dociec dranstw swiezszych – tych na przyklad, ktore kryja archiwa bezpieki zdeponowane w IPN? O antylustracyjnej histerii, jaka ogarnela srodowiska, ktore

"Gazeta Wyborcza" (wlasnie ona, a nie Ludwik Dorn) ochrzcila mianem "wyksztalciuchow", przyjdzie napisac przy okazji omawiania zachowan tegoz wlasnie srodowiska – rowniez stanowiacego swoista korporacje. Ale nie ulega watpliwosci, ze sila i zasieg tej histerii to jeszcze jeden dowod na sile nawyku myslenia w kategoriach interesow swojej grupy. Sama idea lustracji odrzucana jest bowiem jako naruszenie najswietszego dogmatu srodowiska: dogmatu niezmiennosci i nienaruszalnosci hierarchii. Oto na mocy lustracji jakis gowniarz uzyskac ma prawo do rozliczania szacownych profesorow. Prosze zwrocic uwage, jak czesto w antylustracyjnym dyskursie pojawia sie – traktowane jako obelga – stwierdzenie mlodosci lustratorow. "Mlodociani inkwizytorzy z IPN" to juz wrecz ustalona zbitka frazeologiczna. Mysl, ze jakas "ubecka teczka" da trzydziestoletniemu Ziobrze czy Mularczykowi prawo weryfikowania Autorytetow, to po prostu horrendum. W odwrotna strone lustracja juz az tak nie oburza – kiedy profesor Zoll z profesorem Cwiakalskim "zlustrowali" doradce ministra sprawiedliwosci, mimo iz nie posluzyli sie przy tym zadna teczka, ani nawet zadnymi faktami, a wylacznie insynuacja, glosow oburzenia nie bylo slychac.

***

Gdzie szukac ostoi moralnosci? Paru antyklerykalow, o ile i tacy siegaja po moje ksiazki, pewnie parsknie teraz smiechem, ale ja, jako katolik, syn czlowieka poboznego i wyznajacego proste, tradycyjne zasady, sklonny jestem w poszukiwaniu wzorcow uczciwosci zwracac wzrok ku kaplanom. Niestety, w Polsce hierarchia koscielna to tez tylko jeszcze jedna korporacja zawodowa, kierujaca sie ta sama gangsterska moralnoscia i wyznajaca te sama zasade, ze swoich trzeba bronic. Ksiedza pedofila przenosi sie do innej parafii, matki skrzywdzonych dzieci straszac, ze jesli beda rozgadywac, to pojda do piekla, a wiernym tlumaczac, ze to krecacy mediami masoni i liberalowie chca za pomoca podlych oszczerstw zaszkodzic Kosciolowi i ojczyznie. Jesli biskup okaze sie kapusiem albo molestujacym klerykow zboczencem, to inni biskupi stana za nim murem i nawet w sytuacji beznadziejnej, gdy dowody nie pozostawiaja najmniejszej watpliwosci co do jego winy, beda do upadlego isc w zaparte. A czarne owce, w rodzaju ksiedza Isakowicza-Zalewskiego czy ojca

Andrzeja Miszka, beda musialy poniesc konsekwencje zlamania najswietszej zasady wiernosci swojej korporacji.

Wspieraj swoich, to w razie czego oni wespra ciebie. W imie czego wylamywac sie ze srodowiskowej solidarnosci, narazac sie na ostracyzm? Wszystko sklania do wniosku, ze trzeba rwac, co sie da, i nie ogladac sie na innych, poza swojakami, oczywiscie, z ktorymi wspolnie sie rwie. Ten instynkt przewazyl w III RP nad solidarnoscia, nad przyzwoitoscia, patriotyzmem, nad wszystkim.

No bo powiedzmy sobie szczerze, jesli tak robia profesorowie i najwieksze autorytety moralne, jesli elity okazuja sie gangami zajetymi kreceniem lodow i nieskrywajacymi nawet swej glebokiej pogardy dla dobra wspolnego, jesli prawnicy, z najwyzszymi sedziami na czele, demonstracyjnie klada lache na prawo, a biskupi na moralnosc, to w co jeszcze, kurwa, mozna w takim kraju wierzyc?!

…

Przepraszam, unioslem sie.

No, to moze przejdzmy do nastepnego rozdzialu.

Krzeslo Kuronia

Coz poradze – bardziej niz publicysta politycznym czuje sie pisarzem. Publicysta polityczny powinien zaczac ten rozdzial od przypomnienia kariery Jaroslawa Kaczynskiego. Potem powinien sie skupic na pokazaniu, co jest charakterystycznego w jego widzeniu polskich problemow i w sposobie prowadzenia politycznych rozgrywek (kazdy polityk – pisalem juz? – ma w takich sprawach swoj styl, rownie niepowtarzalny jak charakter pisma), pokusic sie o rekonstrukcje faktycznych celow, jakie sobie postawil (niekoniecznie bowiem sa one tozsame z deklarowanymi), a nastepnie sprobowac go rozliczyc z tego, jak owe cele realizowal, czy mu sie to udalo i dlaczego nie.

Nie bede sie uchylal od tych powinnosci publicysty. Ale przyznam szczerze, ze jako pisarza najbardziej mnie interesuja w polityce ludzie. Co nimi powoduje, co sprawia, ze wybieraja taki sposob na zycie, skad czerpia sily i przekonanie do zajmowania sie przez cale lata po czternascie, szesnascie godzin dziennie knuciem, nakrecaniem roznych skomplikowanych kombinacji, majacych zadzialac na trzy, cztery ruchy naprzod? Nie watpie, po

kilkunastu latach obserwowania tej branzy, ze do polityki trafiaja ludzie o szczegolnych osobowosciowych predyspozycjach, ale mimo to bywaja oni bardzo rozni. Sa w tym gronie ludzie nastawieni na materialne korzysci, sa chorobliwie spragnieni wladzy i sa nawiedzeni, majacy swa misje od Boga; sa psychiki proste jak z podrecznika i sa malowniczo popaprane, sa wreszcie osobnicy nudni w swej przewidywalnosci i sa fascynujacy. Jaroslaw Kaczynski nalezy do tych najciekawszych i zarazem najtrudniejszych do rozgryzienia. Stanowi niezwykla mieszanke idealizmu i pragmatyzmu ocierajacego sie o cynizm, a czesto wyraznie granice cynizmu przekraczajacego. Taki ocierajacy sie o cynizm pragmatyzm jest zawodowa choroba politykow, nasilajaca sie z czasem, choc w roznym tempie, zaleznie, czy ktos, jak wiekszosc postkomunistow, idac do polityki, od razu nastawial sie na kariere w aparacie, czy tez, jak ludzi Solidarnosci, wciagnelo go raczej poczucie misji i chec dokonania wielkich rzeczy. Zawodowa choroba politykow jest takze cos, co oni sami zapewne nazwaliby "utrata zludzen co do ludzi". Polityk, zwlaszcza wazny polityczny lider, otoczony jest stale przez lizusow, cwaniakow i pieczeniarzy, z pewna domieszka nawiedzonych. Stopniowo nabiera przekonania, ze, jesli pominac kompletnych wariatow, wszyscy ludzie kieruja sie prostymi do zrozumienia, niskimi motywacjami i kazdego mozna kupic, kazdego podpuscic, z kazdym ubic "dil". Zawodowa choroba politykow jest wreszcie postrzeganie swiata jako swego rodzaju ukladanki, szachownicy, na ktorej uzyskanie zamierzonego ukladu pionow lub ich wymiana na inne staje sie celem samym w sobie.

Wszystkie te zawodowe schorzenia nie ominely Kaczynskiego (umowmy sie na przyszlosc: jesli nie stawiam przy tym nazwisku imienia, to znaczy, ze mowie o Jaroslawie, bo o nim po prostu wiecej jest do powiedzenia; w przeciwnym razie bede zaznaczal, iz mowa o jego bracie) – a jednak zachowuje on od lat cos, co odroznia go od innych polskich politykow, moze poza jednym, ale o tym za chwile. A mianowicie: autentyczna, przemozna pasje. Potrzeba skutecznosci, tak wazna dla polityka, zwlaszcza gdy z czasem polaczy sie z rutyna, sklania raczej, by traktowac wszystko mozliwie beznamietnie, tak jak wytrawny gracz traktuje figury albo karty i rozmaite ich uklady. Kaczynski tymczasem polityke gleboko przezywa i niekiedy nie potrafi ukryc, ze stanowi ona dla niego cos wiecej niz gre – jego misje i powolanie.

Owszem, zdarza sie tworcy i prezesowi PiS chowac urazy i uprzedzenia do kieszeni. Ale zwykle tylko po to, aby w koncu i tak

dac im wyraz, i to czesto na forum oraz w momencie zupelnie nieodpowiednim, ze szkoda dla swojego wizerunku. Widac po prostu, ze choc Kaczynski chcialby uchodzic za zywy komputer, za gracza zimnego i pozbawionego uczuc, to wychodzi mu to marnie; wizerunek powaznego polityka, tak jak go sobie po dyletancku wyobrazil i narzucil (po dyletancku, gdyz niesluchanie doradcow od pijaru i marketingu jest wsrod ludzi jego pokolenia i formacji intelektualnej prawidlowoscia), w medialnej praktyce jest raczej wizerunkiem wypranego z poczucia humoru sztywniaka. Na dodatek sztywniaka nadasanego, bo mimo wyraznych staran Kaczynski zwykle nie potrafi sie powstrzymac od publicznego okazywania irytacji, a nawet od wpadania w zlosc. Charakterystyczne, ze ukrywanie uczuc pozytywnych idzie mu znacznie lepiej.

Ale trudno sie nie irytowac, jesli ma sie wielkie zamierzenia, a co chwila wdeptuje w jakies wstrzymujace ich realizacje duperele. Pod tym wzgledem jest Kaczynski przeciwienstwem Kwasniewskiego, ktory jesli tylko uznalby, ze to dla jego wizerunku korzystne, potrafilby sie promiennie i cieplo usmiechac nawet w momencie, gdy mu wlasnie narobiono na glowe (jesli ten przyklad wydaje sie Panstwu absurdalny, to prosze sobie przypomniec niektore z wizyt bylego prezydenta w Moskwie; mnie sie wydaje, ze sytuacja tak mniej wiecej tam wygladala); blizej Kaczynskiemu raczej do Walesy, z ktorym laczy go to samo poczucie poslannictwa, przeradzajace sie latwo w przekonanie o wlasnej nieomylnosci. Zreszta wzajemna nienawisc, jaka zywia do siebie byly prezydent i jego niegdysiejszy glowny rozgrywajacy, ktoremu w znacznym stopniu swa prezydenture zawdziecza, jest tego podobienstwa przejawem. Ludzie majacy przemozne poczucie slusznosci nie sa po prostu w stanie dlugo ze soba wytrzymac.

Tym z kolei, co Kaczynskiego zasadniczo od Walesy rozni, jest brak osobistej pychy, ktora zreszta bylego prezydenta przywiodla do przedwczesnego upadku. Kaczynski wydaje sie pozbawiony potrzeby upajania sie holdami, chodzenia w glorii zwycieskiego wodza i zbawcy. W zupelnosci wystarczylby mu sukces.

Skoro wspomnialem o Walesie, zatrzymajmy sie jeszcze przy tym porownaniu. Rzecz przedziwna, biorac na zdrowy rozum – ze ktos, kto zrobil tak niewiarygodna kariere, od prostego elektryka do prezydenta i bohatera historycznego, wydaje sie czlowiekiem gleboko niespelnionym. Trudno zgadnac, czego moze mu brakowac, ale wydaje mi sie, ze holdu. Jego prezydentura nie

doczekala sie odpowiedniego, satysfakcjonujacego zwienczenia, swiadczacego o jednoznacznie pozytywnym odbiorze. Przeciwnie, jako prezydent zostal Walesa odrzucony przez Polakow w sposob, ktory musial uznac za upokarzajacy – stad tak dlugo nie mogl sie pogodzic z przegrana ("nie przegralem wyborow, tylko liczenie glosow", powtarzal) i stad w zaden sposob nie potrafi sie znalezc w roli "bylego", wytrzymac mysli, ze jego opinie coraz mniej kogo obchodza i nic juz od nich nie zalezy Mysle, ze przebakujac czasem o "prezydencie Zjednoczonej Europy", zdradza Walesa swe autentyczne marzenie. Waznymi postaciami w europejskiej centrali zostalo przeciez wielu zupelnie przecietnych politykow, ktorzy dla swoich narodow ani tym bardziej dla swiata niczego szczegolnego nie zrobili i od ktorych Walesa, w swoim przekonaniu ten, ktory sam – no, powiedzmy, wespol z Janem Pawlem II – obalil komunizm i Zwiazek Sowiecki, nie czuje sie gorszy. Marzenie o prezydenturze Europy i tak wydaje sie nacechowane pewnym realizmem; prawde mowiac, kiedy czytam wypowiedzi bylego prezydenta, a wypowiada sie on tym czesciej, im mniejsze ma to znaczenie, odnosze wrazenie, ze tak naprawde usatysfakcjonowalaby go nie tyle prezydentura, co korona.

Rozwodze sie, poniewaz mam wrazenie, ze analogiczne narastajace niespelnienie daje sie zauwazyc u Kaczynskiego. Ma ono oczywiscie nieco inna przyczyne, bo, jako sie rzeklo, prezes PiS nie pragnie osobistego wywyzszenia, lecz sukcesu. Istota sprawy w tym, ze zaden sukces nie wyda mu sie wystarczajacy. Byloby takim sukcesem przeksztalcenie panstwa polskiego w idealnie funkcjonujaca maszyne dystrybuujaca wsrod obywateli wszelkiego rodzaju sprawiedliwosc i dobrobyt. Ale takiej urzedniczej maszyny zbudowac sie nie da, bo, z calym szacunkiem dla Kaczynskiego, probowali juz lepsi od niego i gdyby bylo to mozliwe, ktoremus by sie udalo. A nie udalo sie nikomu. Panstwo, jak to mawiaja Amerykanie (oni uzywaja slowa tlumaczonego w slownikach jako "rzad", choc w istocie rozumieja pod nim to wlasnie, co my nazywamy panstwem) – panstwo, owoz, nie jest rozwiazaniem problemow, tylko wlasnie problemem. I zadne "nowe panstwo", "silne panstwo", "sprawne panstwo", "oczyszczone-do-polysku panstwo", czy jak tam jeszcze zechce je Kaczynski nazwac w kolejnym swym programie wyborczym, nie bedzie od tej zasady wyjatkiem. Panstwo to bowiem aparat, biurokracja, a biurokracja ma swoje charakterystyczne zasady funkcjonowania, nie tylko te, ktore opisal Ciril N. Parkinson, ale i znane nam tak dobrze z praktyki –

nepotyzm, spychotechnike, unikanie podejmowania decyzji, feudalna strukture powiazan i "podwieszen". Zdarzaja sie oczywiscie biurokracje sprawniejsze i mniej sprawne, bardziej i mniej fachowe, ale – jak to juz sie tu pisalo – nasza, odziedziczona po peerelu, jest wlasnie malo sprawna i malo fachowa, za to gleboko przerosnieta wyzej wymienionymi patologiami.

Nie mialem i oczywiscie nie bede mial okazji dyskutowac z Kaczynskim na ten temat, ale z jego wypowiedzi publicznych mniej wiecej wyobrazam sobie, jak by zareagowal.

W wariancie bardziej optymistycznym zarzucilby mnie argumentami.

Przede wszystkim, ze nie sposob sobie wyobrazic panstwa bez biurokracji i niektore z tych najlepiej rozwinietych – z Francja czy krajami skandynawskimi na czele – maja armie urzednikow znacznie liczniejsza od naszej, a mimo to funkcjonuja calkiem niezle. Odpowiadam bez trudu: jest cos takiego jak kultura demokratyczna, ktora ksztaltuje sie przez pokolenia i ma wyrazny wplyw na ludzkie zachowania. Kraje zachodniej Europy biurokratyzowaly sie stopniowo, w jakis sposob oddolnie i naturalnie, choc na mocy opisanej przez Parkinsona inercji. I tez ich to nie chronilo przed patologia i stopniowym przeksztalcaniem sie w kaste mandarynska, o coraz silniejszej swiadomosci swoich kastowych interesow. U nas zas biurokracja zawsze, z ledwie dwudziestoletnia przerwa, realizowala interesy kolonizatorow, zwrocona byla wiec przeciwko narodowi. Zawsze byla wroga obywatelowi i zawsze stanowila narzedzie do wymuszania na nim zachowan, na ktore, najogolniej mowiac, nie mial ochoty. To w oczywisty sposob czyni ja znacznie bardziej zamknieta niz w wolnych krajach – nie jest do pomyslenia, zeby urzednik panstwowy czy samorzadowy czul sie u nas sluga petenta, podczas gdy tam urzad wciaz postrzegany jest jako swego rodzaju zaklad uslug dla ludnosci.

Aparat panstwowy funkcjonujacy tak jak nasz rodzi tez – rzecz zrozumiala – opor. Poczciwym Skandynawom, gdy pierwszy raz zetkneli sie na szersza skale z Polakami, trudno bylo uwierzyc, ze mozna tak kombinowac, mataczyc w papierach i oszukiwac, by na przyklad wyludzic zupelnie nienalezne swiadczenia. Ze mozna, powiedzmy, brac zwolnienie lekarskie, bedac zupelnie zdrowym, jako urlop, ktory sie przeciez czlowiekowi w okreslonej liczbie dni na rok nalezy. To, co dla nich jest niepojete – jak mozna

oszukiwac wlasne panstwo, to przeciez tak, jakby sie okradalo samego siebie? – dla nas z kolei jest oczywiste, bo dla nas panstwo wciaz pozostaje struktura wroga. Oczywiste jest to takze dla naszej kasty mandarynskiej, a nawet dla ustawodawcy, bo i prawo, i urzedniczy obyczaj ustawiaja u nas kazdego obywatela na pozycji oszusta i przestepcy, ktoremu tylko przypadkiem jeszcze nie udalo sie niczego udowodnic i ktorego niewatpliwy zamiar dokonania przestepstwa nalezy udaremnic.

Kaczynski powiedzialby zapewne na to, ze demonizuje biurokracje – mnie sie wydaje, ze po prostu mam o niej znacznie trzezwiejszy sad, bo znam administracje publiczna jako obywatel i jako dziennikarz, a nie jako teoretyk.

Nie wykluczam, ze uslyszalbym rowniez argument historyczny – sanacja, Pilsudski, uzdrowienie panstwa i tak dalej. Mam nadzieje, ze w tym momencie zdolalbym sie nie uniesc, tylko spokojnie przywolac fakty dowodzace, iz wyobrazenie o sanacji, jakie ma Kaczynski, jest czysta mitologia. W praktyce panstwo sanacyjne nie rozwiazalo zadnego z problemow, ktorymi pilsudczycy usprawiedliwiali zamach majowy, poza oczywiscie zapewnieniem panstwu na kilkanascie lat pewnej stabilnosci i ciaglosci sprawowania wladzy. Bylo wbrew nazwie panstwem niezdrowym, z rozlegla korupcja i tym, co nazywamy dzis "kolesiostwem", nieradzacym sobie z oblepiajacymi je sitwami.

Nie chce brnac w historyczny spor o sanacje, choc pewien jestem, ze jej mitologia nie wytrzymuje w najmniejszym stopniu konfrontacji z faktami. Tak, wiem, sam kiedys mialem na scianie portret Pilsudskiego (zreszta, jak to sam Marszalek niegdys powiedzial, uwazajcie, panowie, ja nie jestem zaden pilsudczyk, tylko Pilsudski) i sam owych faktow nie przyjmowalem do wiadomosci, ba, gotow bylem za nazbyt natarczywe ich przypominanie przylozyc. Mit polski przedwojennej, tym piekniejszy, im bardziej ja opluwali komunisci, byl nam za peerelu potrzebny jak powietrze do oddychania. Byl podstawa patriotycznej i antykomunistycznej wiary, oczywiscie nie dla wszystkich, ale na pewno dla tych srodowisk, ktore ksztaltowaly Kaczynskich. Mity maja wielkie znaczenie dla narodow, zwlaszcza dla narodow zniewolonych; ale kiedy juz niewola minela, to opieranie na mitach programow politycznych jest pomyslem wyjatkowo zlym.

Kajetan Morawski – co ciekawe, ten cytat przywolal swego czasu Piotr Zaremba, piszac wlasnie o Kaczynskim – opisywal

sanacyjne panstwo jako folwark, po ktorym Marszalek zwykl przechadzac sie na podobienstwo gderliwego dziedzica zagladajacego w rozne katy i przesluchujacego ekonomow. Tego pochwalil, tamtego zbesztal i wyloil kosturem, a jeszcze innego w ogole przegonil i zastapil kims innym. Od siebie powiem: bingo! Jak tam bylo z Pilsudskim, o to sie klocic nie bede, Morawski pewnie wiedzial lepiej (choc z drugiej strony z racji odstawki, w jaka poszedl po zamachu, mogl byc uprzedzony). Ale do Kaczynskiego to wyobrazenie panstwa jako wlosci dogladanych gospodarskim okiem przez troskliwego dziedzica pasuje po prostu idealnie.

To byl wariant optymistyczny – zakladajacy, ze Kaczynski gotow bylby toczyc spor o swe pomysly i argumentowac. Rownie prawdopodobne, a raczej tym bardziej prawdopodobne, im o "pozniejszym" Kaczynskim mowimy, jest, ze rozmowa trwalaby znacznie krocej. Powiedzialby po prostu: pan jest mlody i nie rozumie oczywistych uwarunkowan, pan ulega liberalnej utopii, a moze nawet – pan, pracujac dla gazet nalezacych do kapitalu zagranicznego, w ogole nie powinien sie wypowiadac o polskich sprawach.

Im bowiem Kaczynski wiecej napotyka oporu we wcielaniu swych wizji w zycie, tym bardziej zacina sie w uporze, ze niepowodzeniom winne moze byc wszystko inne, ale na pewno nie popelniony przez niego blad w zalozeniach. Na pewno nie jest Kaczynski jedynym politykiem majacym sklonnosc do takiego reagowania na porazki, lecz to marna pociecha dla spraw, ktorych stal sie on ostatecznie jedynym promotorem na polskiej scenie politycznej.

A przeciez nie wspomnialem jeszcze nawet w tej wyimaginowanej rozmowie o tym, co tyle stron zajelo w poprzednim rozdziale – o Polsce Samoobronnej, o potedze sitw, o odziedziczonym po peerelu panstwie slabosilnym. Do tych wszystkich problemow pomysl "silnego panstwa" ma sie nijak. To znaczy w teorii, byc moze, uzywany chetnie przez PC i PiS postulat "nowego" panstwa brzmi calkiem niezle. Ale w praktyce?

W praktyce stwierdzic trzeba gigantyczny rozziew pomiedzy politycznymi wizjami Kaczynskiego, jego deklarowanymi zamierzeniami i nawet taktycznymi celami – a proponowanymi srodkami, za pomoca ktorych chcial te cele osiagac. Bo to nawet ladnie brzmi – nowe panstwo, sprawne panstwo. Ale w praktyce zmiana starego panstwa w nowe okazuje sie sprowadzac niemal

wylacznie do zmian personalnych. Rozbic Uklad (cokolwiek to slowo znaczy – zostawmy ten problem na pozniej), oczyscic struktury panstwa z postkomunistycznych powiazan, wszystko to w praktyce okazalo sie sprowadzac do jednego: wymienic ludzi.

No dobrze, wymienic.

Ale na kogo?!

Bo gdybyz jeszcze proponowal takie srodki polityk majacy na swym zapleczu sprawna, przygotowywana latami kadre, rzesze absolwentow prestizowych zachodnich uczelni, ksztalconych pod katem wprowadzenia zmian i wiedzacych doskonale, czego chca… W porzadku, przyjmijmy dla potrzeb naszej rozmowy, ze idea "wymienmy kadry w aparacie panstwowym, a wszystko bedzie dobrze" jest idea sluszna. Co w takim razie nalezy robic? Wydaje mi sie oczywiste, ze w takim razie troska sily politycznej wyznajacej taka idee powinno byc przygotowanie tej nowej kadry dla nowego panstwa. Nie tylko gabinetu cieni, ktory w zachodnich partiach jest rutyna, a w Polsce jedynie zabiegiem marketingowym – ale calej rzeszy specjalistow, ktorzy w odpowiednim momencie wejda w struktury panstwa i odpowiednio je przeorganizuja. Taka sila polityczna powinna poswiecic wielka czesc swej energii na znajdowanie mlodych, zdolnych ludzi o przekonaniach jej bliskich, mowiac zgrubnie, patriotycznych i konserwatywnych, a nastepnie na zalatwianie im rozmaitych stypendiow, stazy, zagranicznych studiow.

Byl moment, kiedy chetnych do finansowania mlodym Polakom takich studiow i stazy naprawde nie brakowalo. Zadna z prawicowych, czy jak je tam zwac, konserwatywnych sil politycznych nie wykorzystala mozliwosci, jakie to stwarzalo. Nie dajmy sie zwiesc twierdzeniu, ze po prostu Zachod postawil na michnikowszczyzne. Przypadkiem, dowiedziawszy sie o sprawie przez znajomego znajomych, sam sie na taki staz zalapalem (a skoro zalapalem sie ja, juz po trzydziestce i ledwie potrafiacy sklecic po angielsku dwa zdania, to na pewno dostalyby sie, gdyby mialy taka mozliwosc, dziesiatki innych) i potem w rozmowie z Amerykanami wystapilem do nich z pretensja, ze lista zaproszonych wyglada tak wlasnie, a nie inaczej – niemal sama mlodziezowka UD i KLD, paru ludzi krecacych sie przy postkomunie i doslownie nikogo z prawej strony sceny politycznej, choc fundacja, ktora za tym akurat programem stala, uchodzila za konserwatywna.

Amerykanie przyjeli oskarzenie powaznie i zaczeli sie tlumaczyc – siegajac na dowod nawet po swoje kwity – ze bardzo im zalezy na tym, by zachowac wobec polskich spraw bezstronnosc, by wspierac jednakowo wszystkie strony naszej ksztaltujacej sie dopiero sceny politycznej. I ze owszem, wielokrotnie pisali do wszystkich liczacych sie partii prawicowych, nawet tych, ktore sie nie liczyly, a do niektorych nawet dzwonili, ale, niestety, nigdy nie dostali zadnej odpowiedzi.

W glowie mi sie to nie miescilo, wiec po powrocie do kraju przeprowadzilem tu i tam dyskretne sledztwo. Niestety, przyjaciele z USA mnie nie oszukiwali. I, niestety, sposob, w jaki ich oferta zostala potraktowana, nie wynikal ze zwyklego polskiego balaganu. Po prostu amerykanska oferta trafiala w rece szefow, liderow – a liderzy natychmiast wywalali ja do kosza, zanim taki list wpadl w niepowolane rece. Mlodziez w partii jest po to, zeby kleila plakaty, organizowala szefowi spotkania i sie nie wychylala. Coz za pomysl, wysylac jakiegos gowniarza do Ameryki – jeszcze sie tam naumie, rozbezczelni, i potem, gdy wroci, sam bedzie chcial zostac prezesem. A juz czego jak czego, ale prezesow i kandydatow na prezesow polska prawica miala zdecydowany nadmiar.

Owczesne Porozumienie Centrum nie bylo zadnym wyjatkiem: bylo, jak reszta prawicowej drobnicy, partia od poczatku budowana wokol nieomylnego wodza i coraz bardziej zaciesniajaca wokol niego szeregi. Pytanie, ktore zadalem wyzej – na kogo wymienic tych, ktorzy sa eksponentami postkomunistycznej nomenklatury i sluzb w aparacie panstwowym – dla ludzi zapisujacych sie do partii mialo odpowiedz zrozumiala sama przez sie: na nich. Tak jak wszystkie partie w III RP, partia Kaczynskiego powstawala od gory, nie od dolu. Nie wyrastala z lokalnych inicjatyw, z jakichs stowarzyszen regionalnych, towarzystw ziemianskich czy uniwersytetow robotniczych i ludowych, tak jak w przedwojennej Polsce wyrastaly z samego dolu jej glowne nurty polityczne, endecki, socjalistyczny i ludowy. Bo nic takiego nie bylo, peerel wykonczyl wszelka spontanicznosc, wszelka lokalna inicjatywe, do dzis sie one na znaczaca skale nie odrodzily. Partia Kaczynskiego wyrastala z panstwa (i tu mozna sie rzeczywiscie doszukac pewnego podobienstwa do sanacji, ale, jako sie rzeklo, w owczesnej sytuacji tak samo bylo ze wszystkim, i z UD, i z KLD, i z malymi partiami chadeckimi, i nawet z konkurencyjnymi wobec postkomunistycznego ZSL peeselami). Tworzyl ja czlowiek z otoczenia Walesy, to prawda, ze niepelniacego wtedy zadnej

panstwowej funkcji, ale dla wszystkich bedacego przywodca, ktorego pozycja w ten czy inny sposob zostanie wkrotce sformalizowana. I tak sie zreszta szybko stalo, formowanie PC konczylo sie juz wtedy, gdy Kaczynski byl szefem Biura Bezpieczenstwa Narodowego i partia, ktorej przewodzil, uwazana byla za partie prezydenta. Zapisywali sie do niej ministrowie, sekretarze stanu, wojewodowie i czlonkowie nizszego personelu panstwowego – a takze ci, ktorzy chcieli nimi zostac. Uzylem juz tego okreslenia – partia schodzaca w dol. Z tym ze, podobnie jak inne, nigdy nie zeszla zbyt nisko.

Trzeba przy tym zwrocic uwage, ze w swym pierwszym naborze, jeszcze przez pare lat, PC bylo partia programowo dosc szeroka, majaca w zamierzeniu laczyc nurty: liberalny, chadecki i konserwatywny. Potem stopniowo odpadaly kolejne srodowiska i osoby. Po czesci dlatego – i to lubi Kaczynski podkreslac – ze ci, ktorzy zapisywali sie do partii wladzy, nagle ze zdumieniem zauwazyli, ze sa w partii opozycyjnej, i to w partii, ktora stopniowo sklocila sie na smierc, praktycznie rzecz biorac, ze wszystkimi, moze poza PSL. Ale odpadali rowniez ci, ktorzy wcale nie zamierzali przepraszac sie z Belwederem czy Unia Demokratyczna. Odpadali, poniewaz – i o tym Kaczynski rozmawiac nie lubi – zapowiadane otwarcie bylo fikcja. Rzecz nie tyle w programach – bo PC swa "centrowosc" (trzeba bedzie jeszcze kilku lat, zeby Kaczynski zaczal sie przyznawac do prawicowosci, a tym bardziej starac sie o monopol na nia) rozumialo jako ideologie ogolnie propanstwowa, w co, dopoki jest sie w opozycji, wsadzic mozna zarowno rozwiazania liberalne, jak i socjalne – co w personaliach. Stopniowo okazywalo sie, ze Kaczynski kieruje partia jak rajdowym samochodem, skrecajac raz w te, raz we w te, i nie ma zwyczaju nikomu sie tlumaczyc ani uzalezniac od jakichs kolektywnych cial. Zamiast szerokiego sojuszu, na miare polskiej CDU, stopniowo zamieniala sie wiec jego partia w zakon. Takie okreslenie przylgnelo zreszta do kregu najwierniejszych wspolpracownikow Kaczynskiego, tych, ktorzy nie stracili wiary w slusznosc postepowania prezesa nawet w chwili najwiekszych klesk.

Tak czy owak, PC nie potrzebowalo ludzi deliberujacych nad nauka prezesa, rozwazajacych, czy jest ona sluszna, czy nie, wysuwajacych alternatywne pomysly – potrzebowalo sprawnych dzialaczy wykonujacych powierzone im zadania. Inni albo stopniowo sie zniechecali, albo byli z partii wypychani wedle wyznawanej przez wszystkich kandydatow do przywodztwa nad prawica zasady: nie podoba ci sie moja partia, to zaloz sobie

swoja. Tak zreszta robili, pamietajmy, ze w roku 1995 liczba zawziecie integrujacych sie partii prawicowych przekroczyla trzydziestke.

Polska prawica, wbrew zludzeniu, ktore sama sobie wytworzyla, nie byla skazana na osamotnienie. Miala przyjaciol na Zachodzie, chetnych, by pomoc jej wyszkolic kadry niezbedne do funkcjonowania nowoczesnej partii i do skutecznego sprawowania wladzy po wyborach. Zachodnie partie konserwatywne byly gotowe przeznaczyc na to przyzwoite pieniadze. Nie znajdowaly w Polsce partnerow do rozmowy, a to, co zainwestowaly, musialy z czasem uznac za zmarnowane. Ci, ktorzy chcieli i umieliby z oferowanej pomocy skorzystac, nie mieli w prawicowej polityce nic do powiedzenia; ci, ktorzy nia krecili, nie potrafili w ogole myslec w kategoriach programow, wszelkie kontakty zagraniczne uwazali raczej za podejrzane (bo kto to jest ten facet, kto go zna i moze poswiadczyc, ze to nie jakas prowokacja?), a ich strategie siegaly do najblizszych wyborow i krecily sie wylacznie wokol leninowskiego "kto kogo". Przy czym, jak juz pisalem, chodzilo tu bynajmniej nie o to, czy prawica lewice ani czy "oboz patriotyczny" postkomunistow i ich kolaborantow z UD. Chodzilo o to, kto kogo wlasnie na prawicy, w samym "obozie patriotycznym". Zapanowalo przekonanie – prezes PC glosil je zupelnie otwarcie, nie jedyny – ze istnieja w Polsce naturalne elektoraty, ktore zdania nie zmieniaja, i kluczem do sukcesu jest objecie nad danym elektoratem niepodzielnego panowania. Jest elektorat "partyjno-mundurowy", pare milionow tych, ktorym w peerelu bylo dobrze, wraz z rodzinami i rozna komunistyczna skleroza, ktory zaglosuje na PZPR, jakkolwiek sie ona w danym momencie nazywa – i pies ich tracal. Jest elektorat, niech mu bedzie, inteligencki, czyli budzetowka – milion do dwoch milionow, ktory zawsze pojdzie za "Gazeta Wyborcza" i jej "autorytetami", i tych takze pies tracal. Jest elektorat rolniczy, scisle powiazany interesami z peeselem, i na ten takze nie ma co liczyc.

No i jest elektorat decydujacy, zdrowy-narodowy, elektorat Polakow katolikow, ktory postkomuny nie lubi, bo za bardzo dostal w peerelu w dupe, zeby lubic, a za michnikowszczyzna tez nie pojdzie, obrazany przez nia na kazdym kroku. Elektorat, ktory szuka dla siebie skutecznej reprezentacji, partii laczacej tradycjonalizm i identyfikacje katolicko-narodowa z wiarygodna obietnica przywrocenia w zyciu publicznym uczciwosci oraz elementarnej sprawiedliwosci, ktore w III RP przegraly z "koniecznoscia dziejowa" transformacji.

I ten elektorat trzeba zdobyc.

A zeby go zdobyc – trzeba pozbyc sie konkurentow do roli jedynego jego reprezentanta, jedynego na polskiej scenie politycznej przywodcy Prawego, Patriotycznego i Poboznego.

Prosze, zechca Panstwo zapamietac przedstawione tu podstawy prawicowej polityki – przyda nam sie to do zrozumienia postepowania Jaroslawa Kaczynskiego. Zarowno w latach dziewiecdziesiatych, gdy ze zmiennym szczesciem toczyl zajadla wojne o wyeliminowanie konkurentow na prawicy, jak i po roku 2001, gdy mu sie to udalo (zeby byc scislym – udalo sie to Solidarnosci, po ktorej miejsce hegemona Kaczynski zdolal zajac wskutek rozpadu AWS, umiejetnie zreszta przez niego przyspieszonego).

Na razie tyle na ten temat; ciag dalszy za chwile. Wracam do stwierdzenia, iz pograzona w swych "potepienczych swarach" prawica kompletnie zaprzepascila istniejace szanse na skorzystanie z pomocy Brytyjczykow czy Amerykanow. Osobiscie rozmawialem z czlowiekiem, ktory – majac ku temu, z racji swego dorobku, wszystkie niezbedne mozliwosci, czyli otwarte drzwi i zaufanie odpowiednich osob – probowal zorganizowac Kaczynskiemu spotkania z najbardziej wplywowymi politykami brytyjskiej Partii Konserwatywnej. Prezes – wowczas juz – PiS nie znalazl na to czasu ani checi; tym bardziej nie znajdywal ich, by nawiazac kontakty z zachodnimi partiami, ktorym pod wzgledem ideowym bylo do polskiej prawicy dalej. Trudno sie dziwic, ze potem, kiedy juz objal wraz z bratem wladze w Polsce, postrzegany byl nawet przez potencjalnych sojusznikow w Europie jako, delikatnie mowiac, dzikus, z ktorym w ogole nie da sie sensownie rozmawiac o jakichkolwiek powaznych sprawach, i ktory nie wiadomo jakim cudem zaszedl tak wysoko. Tym bardziej ze wspomniane, najlepiej mi znane fiasko prob wprowadzenia Kaczynskiego i jego partii na salony polityki europejskiej nie bylo jedynym, w Parlamencie Europejskim PiS samo sie skutecznie zmarginalizowalo, zamiast do grupy konserwatywnej, wchodzac do malo powazanej i pozbawionej jakiegokolwiek wplywu koalicji prawicowych outsiderow, no a wykonawcow swej polityki zagranicznej dobral sobie Kaczynski takich, hm… Powiedzmy, takich, do jakich potrafil miec zaufanie.

Wracajac do poczatku lat dziewiecdziesiatych – jedna z owych nieudanych prob wspomozenia polskiej pozal sie Boze prawicy

podjela zwiazana z brytyjskimi konserwatystami grupa Windsor. Jako dzialacz Unii Polityki Realnej wzialem udzial w kilku zorganizowanych przez nia spotkaniach. Opowiadalem juz o tym w poprzedniej ksiazce, ale anegdota tak bardzo tu pasuje, ze jestem zmuszony powtorzyc. Otoz podczas dyskusji o politycznym marketingu oraz organizowaniu pracy partyjnej zabral glos Ludwik Dorn i powiedzial mniej wiecej cos takiego: my w Porozumieniu Centrum mielismy w pewnym momencie problem, bo kiedy bylismy partia rzadzaca, to ludzie zapisywali sie do nas na potege, w ktoryms momencie zrobilo nam sie w partii trzydziesci tysiecy czlonkow i zaczynalismy nad tym tracic kontrole; na szczescie szybko udalo nam sie ich pozbyc.

Nie zapomne wzroku, jakim Anglicy wpatrywali sie w tym momencie w tlumacza, gestykulujacego ze swej kabiny, ze nic nie pomylil, ten czlowiek naprawde to wlasnie powiedzial. Takie bylo wyobrazenie "trzeciego blizniaka" (prawde mowiac, jesli mowimy o wplywie na polityke PC i PiS, to wrecz drugiego, przed Lechem) o partii politycznej – jest to struktura, nad ktora przywodcy nie moga "stracic kontroli".

Te anegdotke rowniez prosilbym zakonotowac sobie w pamieci, bo sie nam przyda.

Staram sie tutaj opisac Kaczynskiego przez podobienstwa, co jest o tyle latwe, ze podobienstwa te lacza go, oczywista sprawa, glownie z ludzmi z tej samej formacji pokoleniowej i umyslowej – mowiac zwiezle, z ludzmi, ktorzy polityki nauczyli sie w podziemiu. Jeden z glownych jej przedstawicieli i zarazem punktow odniesienia dla Kaczynskiego to wymieniony juz Walesa. Drugi… tak, tak, juz slysze ten krzyk o moich rzekomych "obsesjach", boc wiadomo, ze o owym polityku, przez niektorych uwazanym za najskuteczniejszego w III RP, w ogole mowic nie wolno, pod kara okrzykniecia obsesjonatem, wariatem i zawistnikiem – chyba ze na kolanach. Ale tym razem zatkam wam geby, krzykacze, cytatem – cytatem z komentatora, ktorego o jakakolwiek "obsesje Michnika" podejrzewac nie sposob, chyba ze w sensie pozytywnym. Komentatora, ktorego poglady mozna uznac za zblizone do idealnego wzorca michnikowszczyzny, a nawet, mam wrazenie, wrecz ubiegajacego sie o pozycje nastepcy Michnika.

Oto fragmencik z tekstu Jacka Zakowskiego II wojna na gorze, poswieconego opisaniu, jak wielkie zagrozenie dla polskiej demokracji stanowi Jaroslaw Kaczynski:

"Bracia Kaczynscy nie sa politykami jak inni. Zwlaszcza Jaroslaw Kaczynski nie uprawia takiej polityki jak wszyscy. To nie jest ani gracz jak Miller, ani administrator jak Buzek, ani reformator jak Leszek Balcerowicz, ani dyplomata jak Aleksander Kwasniewski. Zapewne jest tym wszystkim po trosze, ale przede wszystkim jest generatorem, nosicielem i egzekutorem politycznych wizji. W III Rzeczpospolitej jego styl politycznego myslenia (ale juz nie metody dzialania) mozna porownywac tylko ze stylem Adama Michnika. Jaroslaw Kaczynski nie uprawia polityki lecz metapolityke. Nie uprawia jej po to, zeby zdobyc wladze, choc wladza jest mu w jakis sposob potrzebna. Nie zdobywa tez wladzy by rzadzic, chociaz mozliwosc rzadzenia sprzyja jego celom… On chce zmienic Polske".

Rzadko sie zgadzam z Zakowskim, lecz w tym wypadku nie sposob sie nie zgodzic (moze poza slowem "tylko" – tu autor wyraznie poswiecil rzeczywistosc dla retoryki, bo dzieje III RP znaja jeszcze co najmniej kilku podobnych "metapolitykow"). Zgadzam sie takze z niewypowiedziana wprost, ale zawarta w przywolywanym tekscie teza, iz wbrew stereotypowi to wlasnie Michnik i Kaczynski, a nie Mazowiecki i Walesa, byli protagonistami "wojny na gorze", tej pierwszej, z roku 1989.

I pozostali najbardziej wplywowymi organizatorami sceny politycznej na obu jej przeciwstawnych krancach przez dlugi czas potem. Faktycznie, kazdy swoimi metodami – ale to oczywiste, ze kazdy uzywa tych narzedzi, jakie sa w jego wypadku najskuteczniejsze. Majac metr szescdziesiat wzrostu, sklonnosc do tycia, fizjologicznie poczciwa twarz i oczy jak paciorki, nie sposob sadzic sie na wiecowego trybuna w typie Walesy. Specjalnego pociagu do piora tez nigdy Kaczynski nie przejawial, napisal pare artykulow do prasy podziemnej i pare wstepniakow do "Tygodnika Solidarnosc", ale potem ograniczyl sie juz tylko do udzielania wywiadow; nawet sejmowe przemowienia woli wyglaszac z glowy niz z kartki. Jego zywiolem i dziedzina, w ktorej przejawial zawsze autentyczny talent, jest, mowiac potocznie, knucie. Wiec trudno oczekiwac, ze bedzie stosowal te same metody, co jego rywal, bedacy urodzonym ideologiem, a graczem marnym.

Z Michnikiem laczy Kaczynskiego wiecej podobienstw niz z Walesa. Ten ostatni wydaje sie czlowiekiem poddanym politycznemu instynktowi, urodzonym taktykiem, ktorego podstawowym tropizmem jest – zwyciezyc w starciu. Oczywiscie, mial jakas ogolna wizje tego, jak powinna Polska po tym

zwyciestwie wygladac, ale nie byl przywiazany do jej szczegolow; gdy bylo to potrzebne do zwyciestwa, potrafil Balcerowicza ostro atakowac, by po paru miesiacach, gdy potrzeby sie zmienily, oddac mu pelna wladze nad gospodarka, ide o zaklad, ze i w pierwszym, i w drugim wypadku niespecjalnie sie interesujac, na czym wlasciwie tak kontrowersyjne reformy Balcerowicza polegaja.

Dwaj pierwsi natomiast znacznie lepiej wiedza, czego chca, a najlepiej – czego nie chca. Te wizje sa krancowo rozbiezne i nie do pogodzenia. To, w czym jeden widzi ideal, do ktorego nalezy dazyc, drugiego napawa lekiem jako najwieksze z czyhajacych na Polske zagrozen – i odwrotnie. Obie wizje Polski sa nie do pogodzenia takze dlatego, ze sa wizjami, mozna rzec, ostatecznymi, czy tez raczej: docelowymi. Nie na kadencje czy dwie, a na zawsze. Uzyte przez Zakowskiego okreslenie "zmienic Polske" nie najlepiej oddaje istote rzeczy, jest po prostu za slabe. Trzeba podkreslic, ze tu chodzi nie o jakas tam zmiane, ale o Wielka Zmiane, o zmiane historyczna. Kaczynski, podobnie jak Michnik, nalezy do tej formacji, dla ktorej polityka stanowi poslannictwo, misje, zadanie na miare historii – nawet jesli nie sposob jej uprawiac inaczej, niz grzeznac w drobiazgach, w zalatwianiu drobnych spraw i interesow, bo wymaga tego technologia zdobywania i sprawowania wladzy, to wszystko jest podporzadkowane Wielkiemu Celowi.

A ludzie majacy Wielki Cel zwykle maja tez silne przekonanie, ze ten Cel daje im szczegolny immunitet – mowiac najprosciej, ze uswieca srodki. W obu wypadkach te prawidlowosc mozemy uznac za spelniona.

No i jeszcze jedno podobienstwo – obaj przywodcy "wojny na gorze" wlasciwie nie zauwazyli, ze juz sie ona skonczyla, ze minelo od niej osiemnascie lat, ze dzieci, ktore urodzily sie w czasie slawnej awantury na posiedzeniu Komitetu Obywatelskiego, weszly juz w pelnoletniosc i ze w ogole przez te osiemnascie lat mnostwo rzeczy sie zmienilo. Oni tymczasem – obaj reprezentujacy typ ludzki doskonale opisany przez Raymonda Chandlera slowami "niczego nie zapomina i niczego sie nie uczy" – wciaz tkwia w postawionych wtedy diagnozach. Jeden chce bronic demokracji zagrozonej przez polski nacjonalizm, drugi panstwa zawlaszczonego przez nadal stanowiacy zwarta i zorganizowana sile komunistyczny aparat nomenklatury i sluzb specjalnych.

***

Pozwolcie Panstwo, ze teraz na chwile cofniemy sie mysla jeszcze dalej, az o trzydziesci lat wstecz. Chce bowiem spelnic obietnice z poczatku rozdzialu – obietnice pokazania Jaroslawa Kaczynskiego w taki sposob, w jaki powinien go zobaczyc nie publicysta polityczny, a pisarz. A zadaniem pisarza jest w takim opisie znalezc scene, moment z zycia swego bohatera na tyle charakterystyczny, aby zawieral sie w nim skrot calej fabuly.

Mam przed oczami taka scene – i gdybym mial pisac o Kaczynskim powiesc albo scenariusz do filmu, bez watpienia od niej bym wlasnie zaczal. Od blahego wydarzenia, opowiedzianego zreszta, i to tez wiele o nim mowi, przez samego Kaczynskiego.

Jest rok 1977, Jaroslaw Kaczynski zostaje po raz pierwszy zaproszony na duze spotkanie KOR, z ktorym od niedawna wspolpracuje. "Przyszedlem, usiadlem przy stole. Otwieraja sie drzwi i wkracza czolowka opozycji: Kuron, Macierewicz, Jan Jozef Lipski itp. Patrze ze zdumieniem, a tu wszyscy, ktorzy siedzieli przy stole, wstaja i przenosza sie pod sciany. Podnioslem sie takze, ale by ustapic miejsca Lipskiemu, ktory byl starszym panem, kolega mojej mamy i czlowiekiem chorym. On jednak usiadl obok, a Kuron, wykorzystujac ten moment, juz wieszal swoja skorzana marynarke na MOIM [podkreslenie – RAZ] krzesle. Ja jednak spokojnie na nim usiadlem i miejsca Kuroniowi nie ustapilem".

Kuron byl czlowiekiem nieco mlodszym od Lipskiego, lecz od Kaczynskiego jednak starszym o cale pietnascie lat – wiec juz chocby z tej tylko przyczyny ustapienie mu miejsca nie byloby ze strony mlodego dzialacza zadnym ponizeniem. Ale nie sposob mierzyc jego zachowania tylko kwestia, kto byl mlodszy, a kto starszy Jacek Kuron, nieobdarzony zadnym formalnym tytulem w rodzaju prezesa czy przewodniczacego Komitetu Obrony Robotnikow, w roku 1977 de facto kims takim jest. Jest juz wlasciwie legenda podziemia, czlowiekiem po kilku odsiadkach; to w jego mieszkaniu stoi telefon, na ktory dzwonia wszyscy proszacy o interwencje w jakiejs sprawie i wszyscy korespondenci zagraniczni. Jacek Kuron jest mentorem, wzorem, autorytetem i czlowiekiem otaczanym ogromnym szacunkiem.

A tu jakis, z przeproszeniem, petak, zaproszony na zebranie KOR po raz pierwszy, laduje sie przed nim na krzeslo i jemu, Kuroniowi, kaze stac. Ten oto, zeby sie nie wyrazic gorzej,

debiutant uwaza, ze nie jest od slawnego Kuronia w niczym gorszy – byl pierwszy, wiec bedzie siedzial, a tamten, skoro pozniej przyszedl, niech stoi.

Sprobujcie sobie Panstwo te scene wyobrazic: oburzenie, pelne zdumienia spojrzenia obecnych, ich zaskoczenie, pochrzakiwania. Kuron dyszacy zwaliscie nad krzeslem, na ktorego oparciu juz zdazyl powiesic marynarke. I mlody Kaczynski udajacy, ze nic nie zauwaza, niezwracajacy uwagi na pelna potepienia cisze i ponaglajace spojrzenia. A moze wrecz trzymajacy sie rekami poprzeczek krzesla, aby nie mozna go bylo z niego wywalic sila?

To juz, oczywiscie, moja wyobraznia, starajaca sie te scene filmowo oprawic w odpowiednie zblizenia i odjazdy kamery. Krzysztof Klopotowski napisal kiedys w wyobrazni swoj film o Michniku i przez niego o polskiej historycznej przemianie (Obywatel Michnik) – wolno i mi zastanawiac sie nad analogicznym nienapisanym scenariuszem Prezes Kaczynski.

Znaczacy jest nie tylko sam fakt, ale powod, dla ktorego w kilkanascie lat pozniej przywoluje te scene sam Kaczynski, oraz sposob, w jaki to robi. Zacytowany fragment pochodzi z ksiazki My Teresy Toranskiej, a towarzyszy rozmowie o jednym z kluczowych punktow politycznej kariery Kaczynskiego. Oto wiadomo juz, ze plan, ulozony przez komunistow i zatwierdzony przez opozycje przy Okraglym Stole, zakladajacy co najmniej czteroletnie rzady koalicji PZPR-ZSL-SD z silna solidarnosciowa opozycja w sejmie i senacie, jest nieaktualny. Obywatelski Klub Parlamentarny zamiast "dlugiego marszu", do ktorego sie szykowal, musi wziac wspolodpowiedzialnosc za wladze. Jeden z glownych pezetpeerowskich strategow, profesor Reykowski, rzuca w prywatnej rozmowie propozycje – premier z opozycji, prezydent z PZPR, co podchwytuje i oglasza na pierwszej stronie swojej gazety Adam Michnik. Wasz prezydent, nasz premier – tylko ze kto ma byc owym prezydentem, nie ma watpliwosci, jedynym i oczywistym kandydatem jest Jaruzelski. Ale kto bedzie "solidarnosciowym" premierem i na jakich silach ma sie oprzec, tworzac gabinet?

Kierownictwo OKP, czyli w pewnym przyblizeniu to samo srodowisko, wywodzace sie z dawnych "komandosow", ktore dominowalo w KOR i w otoczeniu Walesy i na ktorym skupiala sie glowna uwaga zachodnich mediow, takze tych nadajacych z Zachodu po polsku, zdaje sie te sprawe uwazac za oczywista.

Jego przywodca, a wiec i kandydatem na premiera, jest Bronislaw Geremek, a gabinet, ktory stworzy, bedzie sie opieral na postulowanym od dawna sojuszu reformatorskich skrzydel "z obu stron historycznego podzialu". Ale taki pomysl nie uwzglednia zupelnie Lecha Walesy, ktory w tym momencie zaczyna sie orientowac, ze dal swoim doradcom zbyt wiele. Docieraja do niego sygnaly, ze zaczyna byc przez nich uwazany za niepotrzebnego, ze srodowisko Michnika, Geremka i Kuronia dogaduje sie z Kwasniewskim i jemu podobnymi, szykujac sie do wspolnego przejecia wladzy w panstwie i odstawienia "historycznego przywodcy" do Gdanska.

Sytuacja wyglada wiec tak: z jednej strony Walesa przestraszony, ze ludzie, ktorym zaufal bezgranicznie i oddal cala namiestnicza wladze nad firmowanym przez siebie Komitetem, szykuja sie go wysiudac – z drugiej wspomniane srodowisko popadajace w stan, jak to ujal Kaczynski, "silnej rozkoszy", juz widzace na wyciagniecie reki ukoronowanie swych wieloletnich wysilkow i "co najmniej dwanascie lat" swej niczym niezakloconej wladzy (o tym, ze jego srodowisko bylo pewne, iz wezmie pod sztandarem Solidarnosci wladze na co najmniej taki okres, mowil potem Michnik). Przy czym Walesa o tyle mial powody do obaw, a Geremek i jego przyjaciele do triumfu, ze istotnie, wplyw srodowiska tego ostatniego wydaje sie przemozny. Wplyw, oczywiscie, niewynikajacy z zadnych formalnych podleglosci, ale z autorytetu, budowanego latami, po czesci srodkami godziwymi, a po czesci przez intensywny pijar i bezwzgledne wykorzystywanie posiadanych mozliwosci, przede wszystkim kontroli wykorzystania naplywajacej z Zachodu pomocy, do eliminowania rywali w walce o rzad dusz nad opozycja (polityka – business as usual). A polaczenie w tym historycznym momencie owej grupy z dysponujacymi wciaz cala potega materialna i wladza komunistami stworzyloby potege, ktorej przez wiele lat nikt nie bylby w stanie zagrozic.

I w tej krytycznej dla siebie chwili Walesa znajduje odpowiedniego czlowieka – o ktorym wie, ze na pewno nie wejdzie w sojusz z grupa Geremka; dzialacza zasiadajacego wprawdzie we wladzach podziemnego zwiazku i z dorobkiem, ale kompletnie nieznanego, w znacznym stopniu wskutek wspomnianej wyzej skutecznosci przywodcow "opozycji demokratycznej" w zajmowaniu dominujacej pozycji po antypeerelowskiej stronie barykady. I, co najwazniejsze, wrecz genetycznie z nimi pokloconego. Tak wlasnie zaczyna sie kariera pozniejszego przywodcy "moralnej rewolucji", ktora miala dac

Polakom IV Rzeczpospolita, a dala… no, wrocimy jeszcze do tego, co dala.

Nie musze sie wdawac w szczegoly, historia ta – choc sie jeszcze "przedmiot swiezy" nie ulezal i "naoczne swiadki" wciaz zra sie i o fakty, i o interpretacje – jest spisana, mozna i warto sie z nia zapoznac. Chodzi mi, znowu, o moment psychologiczny. Kaczynski oczywiscie spelnia pokladane w nim nadzieje i przygotowuje w imieniu Walesy egzotyczna, ale niweczaca plan grupy Geremka koalicje OKP z ZSL i SD, a na premiera kreuje opierajacego sie temu do ostatniej chwili Tadeusza Mazowieckiego.

Wracam teraz do przywolywanych wspomnien Kaczynskiego zawartych w ksiazce Toranskiej: "Osmielilem sie, nie bedac w tej hierarchii, nie reprezentujac odpowiedniego wedlug nich poziomu, najpierw dac sie mianowac przez Walese jego pelnomocnikiem do rozmow z ZSL-em i SD, a potem zrobic premierem nie tego, kto u nich byl Bogiem i carem. W OKP dostali szalu. Michnik sie na mnie smiertelnie obrazil, smiertelnie, zerwal ze mna kontakty, przestal mi nawet mowic›dzien dobry‹". I teraz: "To taki swiatek, moja droga… z tymi ludzmi sie nie dogadasz, i to nie jest kwestia roznic politycznych, chociaz one istnieja, ale dlatego, ze to jest zamkniete srodowisko… potwornie agresywne wobec kazdego, kto osmiela sie byc albo inny, albo miec wlasne zdanie".

I tu wlasnie, w takim kontekscie, pojawia sie przyklad – cytowana wyzej opowiesc, majaca, zdaniem Kaczynskiego, swiadczyc o zamknieciu srodowiska bylych "komandosow" i panujacych w nim sztywnych hierarchiach, decydujacych nawet o tym, komu wolno siedziec przy stole, a kto ma stac pod sciana. Ale swiadczaca takze, czego on sam, snujac te wspominki, nie umial juz zauwazyc, o Kaczynskim – o czlowieku od samego poczatku majacym ambicje przywodcze, psychologicznie niezdolnym do tego, by uznac, ze jego miejsce jest, chocby tylko na razie, nie przy stole, a pod sciana.

"Tacy oni sa", mowi Kaczynski o tym samym srodowisku w innym wywiadzie, tym razem Teresie Pochwic. "Wszystko, co nie wychodzi z ich grona, jest glupie, szkodliwe i nie do przyjecia". Mozna by podobnymi wypowiedziami wypelnic znaczna czesc objetosci tej ksiazki, tylko nie ma po co.

Czy Kaczynski opisuje srodowisko Geremka, Kuronia i

Michnika prawdziwie? W tym wlasnie cala sprawa, ze tak. Gdyby nie bylo ono takie, gdyby Kaczynski po prostu mscil sie na politycznych konkurentach, rozpowiadajac o nich androny, nie byloby o czym gadac. Bylby ot po prostu paszkwilantem, ktorego mozna zbyc wzruszeniem ramionami. Ale "twardy trzon" opozycji demokratycznej, ten, jak pozwolilem to sobie kiedys nazwac, hard-KOR, rzeczywiscie rysuje sie w swietle wszelkich znanych mi relacji i faktow jako grupa z jednej strony zamknieta i nieufna, z drugiej zas bardzo mocno wewnetrznie zhierarchizowana i od wszystkich przychodzacych z zewnatrz wymagajaca bezwzglednego poddania sie tej jej wewnetrznej hierarchii.

Czy moglo byc inaczej? Srodowisko opozycyjne, z jednej strony represjonowane (bo nie zapominajmy ani na chwile, to wszystko, czym sie korowcy zajmowali, naprawde nie bylo zabawa, i kazdy z nich mogl sie spodziewac, ze w pewnym momencie skonczy jak Pyjas, o takich "drobiazgach", jak ciagle aresztowania, rewizje czy pobicia nawet nie wspominajac), z drugiej narazone na rozmaite prowokacje, penetracje agentury i proby dezintegracji z jej strony; no i, dodajmy, srodowisko zbudowane wokol politycznego lidera o bardzo silnej osobowosci i bardzo konkretnie obmyslonej strategii politycznej, zakladajacej, ze spoleczny nacisk wymusi w koncu na PZPR ustepstwa, a wtedy potrzebna bedzie sprawna, posluszna struktura polityczna, aby maksymalnie wykorzystac historyczna szanse – owoz, srodowisko takie prawdopodobnie nie moglo wygladac inaczej. Ta hierarchizacja, w ktorej jedni maja miejsca przy stole, a drudzy stoja pod scianami, dopoki ci pierwsi ich do stolu nie doprosza, ten swoisty kult, jakim darzyli szeregowi opozycjonisci przywodcow, moze sie komus kojarzyc ze stadem pawianow i wydac smieszny, ale – moim skromnym zdaniem – smiesznym zaczal on byc dopiero wtedy, gdy stal sie reliktem nienormalnosci w normalnych czasach. Bo w latach siedemdziesiatych, osiemdziesiatych wlasnie to zapewnialo zbudowanej wokol Kuronia i jego najwierniejszych uczniow strukturze skutecznosc (w przeciwienstwie do "opozycji niepodleglosciowej", wiecznie sie wtedy klocacej i dzielacej, jak zreszta i potem, juz w III RP). I wlasnie to sprawilo, ze Walesa, w latach osiemdziesiatych bedacy wlasciwie jednoosobowym kierownictwem oporu, nieformalnym, ale sluchanym dyktatorem opozycji przeciwko PZPR i Sowietom, tworzac swoje narzedzia przejmowania wladzy – Komitet Obywatelski przy Lechu Walesie i Obywatelski Klub Parlamentarny – oparl sie wlasnie na karnym i sprawnym jak wojsko hard-KOR-ze. Czego zreszta pozniej przyszlo mu zalowac.

Podobnie jak i wyciagniecia z tylnych szeregow Kaczynskiego oraz zgody na wymyslona przez niego kandydature Mazowieckiego. Zreszta Kaczynski, ktory natychmiast po wykonaniu tej misji zostal z kolei przez Mazowieckiego zaliczony w poczet glownych wrogow ("coz, nie lubia gwiazdy tych, ktorzy je wylansowali"), nie wspominajac juz o tym, jak ulozyly sie jego dalsze stosunki z Walesa, tez mial prawo czuc sie, powiedzmy, zawiedziony. Wszyscy bohaterowie tej bajki nie spelnili nawzajem swoich oczekiwan i stad ten niespotykany – dzis juz nieco wystygly, ale siegnijcie Panstwo, prosze, po gazety z epoki – poziom wzajemnej agresji i nienawisci, graniczacej z berserkerskim szalem.

Czasem zastanawiam sie – to refleksja, ktora przychodzi mi do glowy po paru rozmowach z ludzmi, ktorzy stali sie bohaterami mojej publicystyki i ktorym, delikatnie rzecz ujmujac, fakt ten nie przypadl do gustu – czy nie zagrala tu jeszcze jedna przyczyna. Wydarzenia przelomu 1989/90, historyczna i histeryczna awantura w Komitecie Obywatelskim, kiedy to Walesa chcial Turowiczowi zloic dupe, a Michnik ublizal oponentom od swin, plus cale to pozniejsze, przepraszam za slowo, gowno, jakim oblewali sie nawzajem bohaterowie podziemia – otoz wszystko to mialo przyczyne takze w fakcie, iz rzeczywistosc brutalnie pokazala wtedy opozycyjnym przywodcom, iz sa politykami. Ze wszystkimi tego konsekwencjami. Sa politykami, a wiec walcza o wladze. Walcza nie z komuna, ale ze soba nawzajem, bo taka w danym momencie byla logika polityki, ze wladza czekala tego, kto wyrwie z rak dotychczasowych przyjaciol sztandar i etos. Walcza, bo musza, bo zeby zrealizowac wielkie wizje, a bardziej jeszcze, zeby odsunac od Polski przewidywane zagrozenia, trzeba zdobyc wladze – a z kolei zeby ja zdobyc, trzeba intrygowac, podstawiac nogi, tepic sie nawzajem. Oczywiscie, liderzy podziemia robili to i wczesniej, ale wczesniej sytuacja pozwalala im samym wierzyc, ze robia cos innego, ze nawet jesli puszcza o kims szeptanke albo dadza oddanym sobie ludziom na Zachodzie sygnal: tym a tym nie dawac ani centa i ani jednej puszki farby – to pozostaja krysztalowi, niezbrukani, pozostaja nosicielami Moralnosci walczacej z komunistyczna Niemoralnoscia. A w 1989 i 1990, kiedy juz musieli wziac sie do rozprawy ze soba zupelnie otwarcie, tego zludzenia nie dalo sie zachowac. I byc moze to wlasnie zainteresowanych wkurzylo do tego stopnia, ze wzajemna eksterminacje, ktorej profesjonalni politycy dokonuja na zimno, z usmiechami na twarzach i zachowaniem wszelkich pozorow, oni przeprowadzali z nozami w rekach i krwawa piana na ustach.

Przepraszam, boje sie, ze za czesto wracam do "wojny na gorze" i zaczyna to juz byc dla Panstwa nudne. Mozliwe, ze ulegam emocjom – dla mnie, wowczas czlowieka na tyle mlodego, ze wciaz jeszcze naiwnego, akurat wchodzacego niesmialo w dzialalnosc publiczna, widok uwielbianych do wczoraj bohaterow gryzacych sie o wladze jak psy o kosc byl szokiem niosacym dlugotrwale konsekwencje. Ale bez wzgledu na moje prywatne traumy te wlasnie wydarzenia zadzierzgnely wszystkie wezly i petle, ktorych rozsuplywaniem bedzie sie potem polska polityka zajmowac przez kilkanascie nastepnych lat. Trudno doprawdy pisac o niedoszlej Czwartej Rzeczpospolitej, nie piszac o Trzeciej, i trudno pisac o Kaczynskim, nie piszac o jego podstawowym politycznym doswiadczeniu – doswiadczeniu odrzucenia przez srodowisko, do ktorego aspirowal.

W ksiazce Michala Karnowskiego i Piotra Zaremby Kaczynski mowi, odpowiadajac na ich pytanie, ze nigdy nie byl na imieninach u Kuronia i w ogole nie przypomina sobie zadnej korowskiej imprezy towarzyskiej, ktore, skadinad wiadomo, mialy dla wewnetrznego zycia tego srodowiska wielkie znaczenie. "Nie jestem bywalcem", wyjasnia krotko. Mysle, ze w tych slowach jest znacznie wiecej tresci, niz mozna by sadzic. Facet, ktory na dzien dobry rozsiadl sie na krzesle Kuronia i ani myslal ustapic, mogl w takim towarzystwie byc osoba ledwie tolerowana. Nie mialoby to moze wiekszego znaczenia, gdyby nie fakt – to jest bardzo wazne dla calej sytuacji – ze w istocie byl to facet bardzo utalentowany, o wiele bardziej niz wiekszosc z tych, ktorzy go odrzucili. Wczujcie sie Panstwo w te sytuacje. Czlowiek, ktory najlepiej sie nadaje na przywodce, a przynajmniej jednego z przywodcow grupy, odrzucany przez nia z tego powodu, ze nie pasuje do towarzystwa.

Mam wrazenie, ze to odrzucenie bardziej niz cokolwiek innego zaciazylo na zyciowej drodze Kaczynskiego, nierozerwalnie zwiazanej z polityka. Jak Wokulski starajacy sie wydobyc z piwnicy, przez caly czas bedzie Kaczynski staral sie udowodnic Salonowi Michnika, ze to wlasnie on mial w decydujacym momencie racje. Mowiac potocznie – istotnym motywem jego postepowania stanie sie potrzeba, zeby michnikowszczyznie "pokazac". Bedzie to jedna z rzeczy, ktora sprawi, ze z czasem, po latach, diagnozy Kaczynskiego zaczna sie rozjezdzac z rzeczywistoscia, co ostatecznie doprowadzi go do kleski.

Ale nie psujmy dramaturgii tej fabuly, zanadto pedzac z nia do przodu. Trzeba, dopoki rozmawiamy o psychologicznych

uwarunkowaniach walki o polityczne przywodztwo, zwrocic uwage na jeszcze jedna specyficzna ceche Kaczynskiego. Ceche o tyle ciekawa, ze na zdrowy rozum u polityka calkowicie nie do przyjecia, wlasciwie zupelnie dyskwalifikujaca. Otoz Kaczynski wydaje sie mistrzem swiata w robieniu sobie wrogow. Co ja mowie, robieniu wrogow – w doprowadzaniu ludzi do furii. "Mazowiecki jakiegos szalu dostal na moim punkcie", "i wtedy dostali szalu", "znienawidzili mnie calkowicie" – wiele takich stwierdzen pojawia sie w opowiesciach Kaczynskiego, ale, powiedzmy sobie szczerze, tu juz nie trzeba siegac po historie z poczatkow III RP. Wystarczy przyjrzec sie, co powazni, dystyngowani ludzie potrafili publicznie wyprawiac, jakiej, z przeproszeniem, dostawac malpy ze zlosci na "Kaczorow" – ale tak naprawde na jednego, wlasnie Jaroslawa, bo Lech tego talentu do wprawiania ludzi w szal wydaje sie pozbawiony. Wsciekly ton u komentatorow "Wyborczej" czy "Polityki", ktore od zawsze tepily wszelka prawice, poza oczywiscie calkowicie niegroznymi safandulami w rodzaju Halla czy Wolka, nie dziwi. Ale zajadlosc, ktora w jednym z pierwszych tekstow tego dwulecia pozwolilem sobie nazwac "malpim rozumem", daleko przekroczyla granice naturalnej, jesli tak to mozna ujac, niechec i do zwycieskiego prawicowca, takiej jak nienawisc elit amerykanskich do Busha, wloskich do Berlusconiego czy francuskich do Sarkozy'ego. Z wielu przykladow wydobede na razie jeden – dla mnie osobiscie dosc poruszajacy. Profesor Winiecki, czlowiek, ktorego zawsze znalem jako niezwykle dystyngowanego starszego pana, goscinnego i bardzo milego gospodarza (a do tego w sprawach gospodarki za jednego ze swych mistrzow, choc to nie ma tu akurat wielkiego znaczenia), na tekst Joanny Lichockiej, krytykujacej go w sposob naprawde calkowicie mieszczacy sie w normach dobrego wychowania za wypowiedz, w ktorej opowiadal brytyjskiej gazecie glupstwa o Polsce – rzekomo znajdujacej sie pod rzadami "nacjonal-bolszewickiego" autorytaryzmu – zareagowal wscieklym i obelzywym listem, ktory na dodatek sam natychmiast upowszechnil w Internecie. List byl nie dosc, ze furiacki, to jeszcze mozna zrozumiec, ale byl po prostu krancowo – jak by to ujac, by nie uzyc mocnego slowa – nieuprzejmy, absolutnie nie sprawial wrazenia napisanego przez czlowieka z dobrego towarzystwa i cenionego profesora. Zwlaszcza ze wszystkie zawarte w nim obelgi skierowane byly do kobiety. I bez dlugiego wczytywania sie widac bylo, ze tak naprawde wszystkie one spadly na biedna Joasie niejako przy okazji, jedynie dlatego, ze pracuje w "Rzeczpospolitej", a z kolei grzechem

"Rzeczpospolitej" bylo to, ze pan profesor uznal ja za organ Kaczynskiego.

Oczywiscie, takie przypadki moga sie zdarzyc zawsze – ale pod rzadami Kaczynskiego zdarzaly sie bardzo czesto. "Zrywam z toba znajomosc, jestes pisowska szmata!" – te slowa cytowano w prasie anonimowo, wiec i ja nie ujawnie, jaka to czcigodna persona potrafila w taki sposob potraktowac wieloletniego przyjaciela, gdy ten odwazyl sie stwierdzic, ze idea lustracji dziennikarzy i naukowcow ma uzasadnienie. Zeby zreszta siegnac od samej gory – czyz mozna sobie wyobrazic przypadek bardziej drastyczny niz Wladyslaw Bartoszewski, ktory w roku 2005 popieral kandydature Lecha Kaczynskiego i jeszcze pol roku pozniej, jak wynika z relacji, publicznie bronil jego prezydentury, a po roku omalze z piana na ustach krzyczal o "dyplomatolkach" (to akurat jeszcze do przyjecia, bo dowcipne), "dewiantach" i popierajacym ich "bydle"?

Przyjdzie do tego wrocic – do zrywanych przyjazni i czcigodnych staruszkow, na wzmianke o Kaczynskim zatracajacych cala dystynkcje i zaczynajacych zapluwac sie z nienawisci. Dar wzbudzania tak silnych negatywnych uczuc jest czyms naprawde rzadkim i trudno wskazac drugi podobny przypadek. Moze jeszcze Jan Rokita – polityk najbardziej w III RP tragiczny, bo bodaj najlepiej, kosztem wieloletniej pracy, przygotowany do objecia wladzy i z powodow zupelnie niemerytorycznych pozbawiony szansy pokazania, na co go stac, osobiscie sadze zreszta, ze z wielka strata dla Polski. Moze Leszek Balcerowicz, z podobna jak u Rokity fatalna sklonnoscia, by jesli kogos uwaza za durnia, nie ukrywac tego przed nim. Ale nawet Balcerowicz, przez wiele lat sluzacy za dyzurna wycieraczke, o ktora wycieral sobie jezor kazdy chamus pragnacy zagrac na spolecznym niezadowoleniu i zdobyc pare glosow, nie skupial na sobie i kojarzonej ze soba formacji az takiej furii, jaka w ciagu dwoch lat rzadow spadla na PiS i jego prezesa.

Inna sprawa, ze Kaczynski bez wielkiego trudu nauczyl sie z tym nie tylko zyc, ale i zupelnie niezle te nawale atakow rozgrywac na swoja korzysc. Wyrazna furia, jaka wzbudzal u establishmentu, doskonale uwiarygodniala go w oczach tych, ktorzy sie przez ten establishment czuli sponiewierani i oszukani. Moze sie wydac rzecza zdumiewajaca, ze po dwoch latach rzadow, jeszcze na kilka tygodni przed wyborami, mimo kleski calej politycznej strategii opartej na porozumieniu z Samoobrona i LPR, mimo wszystkich sypiacych sie na niego propagandowych

ciosow, PiS pozostawalo popularne, znacznie bardziej popularne niz jakakolwiek inna partia rzadzaca po tak dlugim okresie rzadow. Natomiast prawdziwe i dlugotrwale zalamanie popularnosci zanotowalo po przegranych wyborach.

Jak to tlumaczyc? Przywolanie faktu, ze za rzadow Kaczynskiego zauwazalnie wzrosla zamoznosc przecietnego Polaka, jego poczucie zadowolenia i bezpieczenstwa, moze wyjasniac zachowanie wysokiej popularnosci pomimo sprawowania wladzy, ale nie wyjasnia jej pozniejszej utraty. Moim zdaniem, ten fenomen wynika stad wlasnie, ze dopoki Kaczynski rzadzil, dopoki postrzegany byl przez tych, na ktorych wsparciu mu zalezalo, jako ofiara nienawisci establishmentu i tym samym pozostawal dla "prostego czlowieka" swojakiem, ciagle po stronie "my", a nie jak wszyscy rzadzacy przed nim po stronie "oni" – dopoty umial swa niepopularnosc rozgrywac i ogrywac. Media, ktore go nie lubily, pokazywaly jako potwora w sposob tak przesadzony, ze az groteskowy; mediom z nim sympatyzujacym wystarczalo punktowac absurdy tych atakow, aby premier jawil sie widzom jako ofiara bezustannych napasci wrednych sil.

Po przegranych wyborach caly ten wizerunek Kaczynski zniweczyl nieprzemyslanymi dasami, agresja, domaganiem sie od Tuska przeprosin – przecietny wyborca nie potrafil zrozumiec, za co wlasciwie, wiec odebral to jako podwazanie wyniku wyborow, a malo czego nienawidzi wyborca tak, jak kwestionowania jego decyzji. W miejsce ofiary ludzie zobaczyli wscieklego frustrata.

Ale to wlasnie caly Kaczynski. Niezdolny do ukladnosci, do udawania kogos, kim nie jest; przekonany, ze slusznosc, ktora w sobie nosi, musi wygrac z politycznym marketingiem, z propaganda mediow i pijarowskimi sztuczkami.

****

W politycznej mowie nienawisci Salonu poczesne miejsce zajelo slowo "frustrat". W pierwszych latach niepodleglosci byla to najczesciej uzywana obelga, moze obok "oszoloma". Frustratami nazwal swych przeciwnikow Adam Michnik juz w marcu 1990, gdy "wojna na gorze" dopiero zaczynala dojrzewac w ukryciu i malo kto zdawal sobie sprawe, co sie szykuje – a potem,

kiedy wykipiala, slowo to zrobilo niewiarygodna kariere w przemowieniach, wywiadach, komentarzach i felietonach. Ci, ktorzy przeciwstawiali sie abolicji dla zbrodni komunistycznych, uwlaszczeniu nomenklatury i pozostawieniu majatku PZPR w rekach SdRP zostali w propagandzie srodowiska jedynie slusznego przedstawieni jako ludzie powodowani frustracja, ze sie nie zalapali na rzadzenie. No co – przemawiala michnikowszczyzna setka gab i pior w swojej gazecie i powtarzajacych wtedy za nia jak za pania matka mediach panstwowych – mysleliscie, ze dzialalnoscia w drugim czy trzecim szeregu opozycji (bo pierwszy szereg stanowilismy my) zarabiacie sobie na przyszle posadki ministrow, ze bedziecie rzadzic? Nic z tego! Wladze przydzielono podlug kompetencji, najlepszym z najlepszych, a nie podlug styropianowych koneksji – i dlatego tu rozrabiacie, dlatego macicie – z FRUSTRACJI! Jako przekaz propagandowy takie ustawienie politycznych przeciwnikow okazalo sie morderczo skuteczne, choc oczywiscie, jesli zastosowac tu normalne, ludzkie kryteria przyzwoitosci, mielismy do czynienia z insynuacja. Wynikajaca zreszta z oczywistej psychologicznej projekcji – wiadomo, ze czlowiek z zasady przypisuje innym uczucia, jakich on sam doswiadcza, wzglednie jakich by doswiadczal na ich miejscu. A czlonkowie hard-KOR-u czuli doskonale, gdyby to ich spotkalo odstawienie od wladzy, wladzy, ktora wedle pielegnowanego latami przekonania nalezala im sie jak psu buda, jak chlopu ziemia, jako po prostu najlepszym z najlepszych i moralnie stojacych ponad wszystkimi innymi (co udowodnili wszak swoimi zyciorysami) – to byliby tym faktem po prostu porazeni. Tylko ze ich to nie spotkalo i spotkac (tak wtedy sadzili) by nie moglo, bo sa swietni, natomiast tamtych, owszem, tamci musza teraz gryzc palce z wscieklosci. Poniewaz ludzie z kregu Geremka, Michnika i Kuronia czuli sie wtedy absolutnymi zwyciezcami, poniewaz byli przeswiadczeni, ze Walesa przegra sromotnie wybory z kandydatem przez nich namaszczonym i szykowali sie na dlugie, niczym niezaklocone rzady, wiec latwo im bylo naigrywac sie z przegranych przeciwnikow i bawic sie mysla, jakaz to musi ich gryzc frustracja. Dopiero potem, gdy polityczna reprezentacja "ludzi rozumnych" zaczela dostawac od wyborcow jednego kopa za drugim, jakos im chec na to przeszla i slowo frustrat niepostrzezenie zniknelo z arsenalu obelg.

Ale i w insynuacjach tkwi niekiedy ziarno prawdy.

Niezrecznie o tym pisac – dziala tu, uczciwszy proporcje, podobny mechanizm jak z oczywistym faktem historycznym, iz w

czerwcu 1941 Stalin szykowal sie pelna para do uderzenia na hitlerowskie Niemcy i zostal uprzedzony zaledwie o kilka tygodni, co wlasnie spowodowalo, ze jego kleska miala tak ogromne rozmiary. Problem w tym, ze tak wlasnie brzmiala teza Goebelsowskiej propagandy – wiec przez wiele dziesiecioleci historycy woleli brac za dobra monete lamance propagandy sowieckiej, niz siegnac po jedyne, oczywiste wyjasnienie wszystkich owczesnych zdarzen, bo zaden z nich nie chcial byc posadzony, ze usprawiedliwia Hitlera. Ja tez nie chcialbym byc posadzony o dolaczanie sie do propagandowych chorow Michnika – ale trzeba pojecie frustracji odczarowac, w imie prawdy.

Frustracja, rozczarowanie, jest przeciez rzecza ludzka i doswiadczana takze przez politykow – bez wzgledu na ich pozycje na scenie politycznej. Latwo zauwazyc jej objawy takze u czolowych przedstawicieli srodowiska, ktore u zarania niepodleglosci tak chetnie kpilo z frustracji wydudkanych prawicowcow, i wiele z jadu, ktorym Geremek, Michnik czy inni zmarginalizowani niegdysiejsi herosi strzykali na Kaczynskich – zwlaszcza w chwili, gdy wydawalo sie, ze sa nie do pokonania, a wydawalo sie tak, przypominam natretnie, jeszcze kilka tygodni przed wyborami 2007 roku – to nic innego, jak wlasnie frustracja ludzi przegranych i odstawionych, w najczystszej formie.

Gdyby ktos chcial teraz z kolei nad nimi sie popastwic, powyciagac co smakowitsze cytaty z wywiadow udzielanych w 2006, 2007 roku roznym Mondom, Stampom i Algemajne Cajtungom i pozestawiac je z ich wlasnymi, starszymi o kilkanascie lat szyderstwami ze sfrustrowanych "popaprancow", to czytelnik mialby sporo zabawy. Ale mnie sie nie chce. Mnie w ogole nie interesuje, ze frustracja jest uwazana za uczucie brzydkie i wstydliwe, i dlatego w porazonych moralistyka towarzyszaca mediach pisze sie o niej niemal wylacznie po to, by kogos zdyskredytowac. Kategorie ladne – brzydkie, powtorze raz jeszcze, w polityce nie maja znaczenia. Jesli mowimy o frustracji, to trzeba powiedziec, ze jej dzialanie zalezy od dawki. W krotkim okresie polaczenie rozczarowania i bezsilnosci (bo tak chyba mozna frustracje zdefiniowac) dodaje politykowi energii i przenikliwosci, dziala, mozna powiedziec, jak polityczna adrenalina.

W wiekszej dawce natomiast, w dluzszym okresie – jest trucizna. Gdyby general Sikorski robil kariere normalna koleja rzeczy i gdzies okolo roku 1932-36 doszedl do najwyzszej pozycji

w panstwie, byc moze bylby jednym z najwiekszych mezow stanu w naszych dziejach. Ale jak wiemy, w roku 1926 jego kariera zostala brutalnie zlamana i na dlugie trzynascie lat ten obiecujacy przywodca poszedl w calkowita odstawke. Przez trzynascie lat mogl tylko pisac ksiazki o przyszlej wojnie (przyjete z wielka uwaga przez teoretykow zagranicznych, w tym niemieckich i rosyjskich, ale w kraju calkowicie zlekcewazone) oraz nasiakac zolcia. I gdy kaprysem losu wreszcie swa szanse na wielkosc otrzymal, okazal sie juz innym czlowiekiem – zamknietym w swych urazach, skupionym na odplacaniu swym dawnym przesladowcom i tym, ktorzy go przed nimi nie bronili, calkowicie niezdolnym do sprostania wyzwaniom, jakie przed nim stanely, i na wszelka probe krytyki, na wszelkie przejawy, ze sobie nie radzi, na narastajacy opor materii reagujacym tylko zapiekla apodyktycznoscia…

Ja wiem, wiem – znowu robie to samo, co w Polactwie z Targowica, odwoluje sie do przykladu historycznego, ktory dla Panstwa wcale nie jest oczywisty, ba, herezje jakies wypowiadam, bo przeciez Sikorski to ikona i legenda, okraszona tajemniczym i do dzis nie wiadomo przez kogo wlasciwie dokonanym na nim mordem (powiem szczerze – ktokolwiek to byl, wyswiadczyl Sikorskiemu wielka przysluge; gdyby pozyl on jeszcze kilka miesiecy, nie mialby najmniejszej szansy wybrnac z twarza z tego pasztetu, w ktory sprawe polska wprowadzil – a tak wszystko, co zle, spadlo na jego nastepcow). No coz, moga mi Panstwo uwierzyc na slowo albo siegnac po zrodla historyczne i samemu moja opinie zweryfikowac, albo po prostu zignorowac powyzszy passus jako zbedny ozdobnik w ksiazce, ktora zasadniczo jest o czym innym. Wyjasnie tylko, ze przywolalem przyklad akurat Sikorskiego nieprzypadkowo, z racji pewnej jego szczegolnej cechy, co do ktorej sporu nie ma – nawet najwieksi sikorszczycy przyznaja, ze general mial fatalna polityke kadrowa, otaczal sie fatalnymi ludzmi i im bardziej byli to ludzie nieodpowiedni, tym gorecej im ufal. Apologeci zreszta uzywaja tego jako argumentu w obronie nieszczesnego premiera i wodza naczelnego, wedle zasady, ze co dobrego, to on, a co zlego, to Kot i inni tacy – pomijajac milczeniem, ze gdyby nie on, towarzystwo to niczego by zepsuc nie moglo. Otoz widac wyraznie, prosze zweryfikowac, ze owa sklonnosc Sikorskiego do eliminowania ze swego otoczenia ludzi wartosciowych narastala, w miare jak coraz wyrazniejsze i bardziej oczywiste stawaly sie skutki popelnianych przez niego bledow. Im bardziej bylo nie tak, jak byc powinno, tym bardziej winni byli ci, ktorzy zglaszali jakies watpliwosci, zamiast

klasc ruki pa szwam i grzecznie wykonywac sluszne polecenia. Tak wlasnie przejawia sie u polityka dzialanie jadu, jakim jest dlugotrwale poczucie niespelnienia, bezsilnosci i skrzywdzenia. Co najgorsze, im ten jad silniej dziala, tym bardziej polityk otoczony jest cwaniakami, ktorzy wiedza, jakim gestem i slowem wkupic sie w laski szefa, i korzystaja z tej wiedzy w swoich celach.

Prosze nie udawac, ze nie wiedza Panstwo, z kim mi sie to skojarzylo, bo i tak nie uwierze. Ale jesli przyklad nadal wydaje Wam sie kontrowersyjny, to zostawmy przyklady i wracajmy do glownego watku.

Wiec trzeba powiedziec – to prawda, wsrod dzialaczy zaliczajacych sie do tej przegranej i wydudkanej po roku 1989 czesci antypeerelowskiej opozycji uczucie frustracji istnialo, choc to nie ono, wbrew propagandowym okrzykom, powodowalo jej dzialaniami. Ale nie byla to frustracja swoim osobistym niespelnieniem – wyjawszy moze Walese. Dla Walesy fakt, ze jakis tam Havel zostal prezydentem, a on, wielki Walesa, pozostaje tylko przewodniczacym zwiazku zawodowego, i malo tego, jakis tam byle Mazowiecki, przez niego osobiscie wydobyty z bibliotecznej stechlizny i wykreowany na wazna postac, poklepuje go protekcjonalnie po ramieniu, zapewniajac publicznie, ze "dla przewodniczacego jednego z glownych zwiazkow zawodowych zawsze znajde czas" – to bylo czyms wiecej niz policzkiem. Ale Walesa nie jest przypadkiem typowym.

Przypadek typowy zawieral sie w prostych slowach – nie tak mialo byc! Nie po to byla Solidarnosc, nie po to strajkowano, drukowano bibule, nizano podziemne struktury, nie po to ludzie byli nekani, wsadzani do wiezien, bici, mordowani przez "nieznanych sprawcow", zeby teraz te same czerwone swinie, ktore zarzadzaly wszystkimi owymi podlosciami, zostawaly glownymi beneficjentami niepodleglosci, zeby komunisci bezkarnie dzielili miedzy siebie banki i fabryki, zeby Jaruzelski brylowal w gazecie wydawanej ze znaczkiem Solidarnosci i robil tam za patriote, a ober ubek Kiszczak, szef calego aparatu czerwonej przemocy, publikowal tamze patetyczne protesty przeciwko rzekomemu przesladowaniu bylych czlonkow PZPR i czynieniu z nich "obywateli drugiej kategorii".

Owszem, to byla frustracja – trudno sie bylo nie frustrowac, widzac, jak dobro jest karane, a zlo wynoszone, jak ofiary

przesladowan traca srodki utrzymania, a bandyci obrastaja w luksusy. Last but not least, trudno bylo ustrzec sie zlej krwi, obserwujac stopien rozkoszy i zadowolenia z siebie tej czesci bylych opozycjonistow, ktorzy dali sie komunistom dokooptowac do establishmentu i publicznie wystepowali w roli ich adwokatow, szermujac argumentem "ja sie nie domagam niczego za moje lata spedzone w wiezieniu" i do urzygu epatujac swa moralna wyzszoscia tych, ktorzy potrafili sie wzniesc ponad podzialy, ponad nienawisc i wybaczyc – w cudzym imieniu, bo akurat samym tym "przebaczaczom" (okreslenie wymyslone przez Piotra Wierzbickiego) zle sie przeciez w III RP nie wiodlo.

Frustracja? Owszem. Uczciwszy proporcje, taka sama, jakiej doznal Jezus, widzac mordy przekupniow nabijajacych sobie portfele w swiatyni Jego Ojca.

Frustracja, roznie artykulowana i roznie wykorzystywana, jest nieodlacznie zwiazana z historia III Rzeczpospolitej – i szczerze mowiac, najmniej warto zajmowac sie nia w skali mikro, to znaczy diagnozowac ja u tego badz innego polityka. Bo akurat w polityce, jak w kazdej grze, gdzie trzeba postawic na karte wszystko, a potem wygrac moze tylko jeden, nie jest frustracja niczym dziwnym. Polska specyfike tego okresu stanowi rozczarowanie calych grup spolecznych, popychajace je do zachowan irracjonalnych i czyniace podatnymi na masowa manipulacje. Przez ostatnie dwa lata medrcy od moralistyki towarzyszacej po kilka razy w tygodniu diagnozowali, ze Kaczynscy zdobyli wladze, poniewaz wpisali sie we frustracje i rozczarowania elektoratu – co w ich jezyku oznaczac mialo, ze ich wladza, jako zdobyta w sposob brzydki, wlasciwie nie jest do konca legalna. Ale przeciez to nic innego, jak frustracja rzadami najszerzej postrzeganego obozu Solidarnosci (a prosty czlowiek nie bardzo sie orientowal w niuansach dzielacych UD od ZChN czy PC, dla niego wszystko to bylo Solidarnoscia) wyniosla do wladzy Kwasniewskiego i Millera. Frustracja polskiego spoleczenstwa byla socjologicznym faktem, podobnie jak istniejace w nim podzialy, i trzeba doprawdy byc salonowym glupkiem, zeby wzorem medialnych moralistow miec do polityka pretensje, ze wzial fakty pod uwage i odpowiedzial na spoleczne nastroje lepiej niz jego rywale.

Wrocmy jednak do Kaczynskiego. Co wydaje mi sie dla calej jego pozniejszej politycznej drogi miec znaczenie zasadnicze, to nie tylko poczucie odrzucenia, ale fakt, iz odrzucenie to spotkalo go akurat w momencie, gdy mial znakomita passe. Tak sie bowiem sklada, ze, czy kto Kaczynskiego lubi czy nie, z

perspektywy minionych osiemnastu lat widac ponad wszelka watpliwosc, ze w toczonych wtedy sporach to on wlasnie mial racje. Przede wszystkim, w przeciwienstwie do Geremka i jego akolitow, Kaczynski prawidlowo odczytal sytuacje. Nie dal sie zwiesc dezinformacyjnym sztuczkom komunistow, majacym przekonac partnerow, ze oferuja oni jakas niezwykla, niepowtarzalna szanse, ktora jesli zostanie zmarnowana, spowoduje powrot PRL pod rzady wciaz poteznych Sowietow i sprzymierzonych z nimi twardoglowych partyjnych dogmatykow. Co wiecej, trafnie odczytal zamiary komunistow – dostrzegl, ze ich celem jest budowa oligarchicznej struktury, ktora zagwarantuje im w formalnie demokratycznym panstwie szczegolne przywileje i wplywy stawiajace ich w praktyce ponad owym panstwem, a wiec czyniace z demokracji pozor. Widzial, ze krzataja sie kolo tego bardzo energicznie, i ze jesli zostawic ich w spokoju, w ciagu roku, dwoch uda im sie ten cel zrealizowac. I wtedy bedzie im mozna, z przeproszeniem, skoczyc na kant.

Wystapil wiec z propozycja, ktora w owej sytuacji byla najlepsza: trzeba komunistow rozbic, dopoki czas. Przepraszam czytelnikow Michnikowszczyzny, w ktorej kwestia ta byla juz wyjasniana, ale tu nie moge sie nie powtorzyc. Aby zrozumiec, w co gral Kaczynski, a w co jego glowni przeciwnicy podczas "wojny na gorze", nie nalezy opierac sie na mediach owego okresu, ani nawet na wspomnieniach samego Kaczynskiego, ktory pewne rzeczy (wlasnie historie PC, a zwlaszcza historie rzadu Olszewskiego) na uzytek swych walk politycznych mocno zmitologizowal. Owa mitologizacja, paradoksalnie, zblizyla jego wlasna wersje wydarzen do tego, co pierwotnie bylo propagandowa linia jego przeciwnikow. Widac to wyraznie, jesli siegniemy po zrodla.

W istocie w roku 1990 Kaczynski, naklaniajacy Walese do "przyspieszenia", nie byl wcale takim nawiedzonym dekomunizatorem, jakiego z punktu zrobila z niego "Wyborcza". Pomysly usuwania partyjnych wojtow czy soltysow to zwykla bzdura. Rozbic komunistow mozna bylo wowczas tylko w jeden sposob – i to tak naprawde zaproponowal Kaczynski. Nalezalo uzyc jednych komunistow przeciwko innym. Bardzo jasno wylozyl te wizje Kaczynski w udzielonym wowczas wywiadzie: komunisci to tacy ludzie, ze jesli sie nimi mocno potrzasnie, to beda jeden na drugiego donosic, beda sie scigac do lask nowych wladcow. Jesli tylko ostro wezmie sie za tych najwazniejszych, to reszta zacznie sie bac i wewnetrzna lojalnosc tego srodowiska zostanie zlamana.

Kaczynski mowil o dekomunizacji jako o koniecznym symbolu; koniecznym takze dlatego, ze trzeba bylo jakos rozladowac frustracje spoleczenstwa, aby nie zagrozila ona reformom. W "Tygodniku Solidarnosc" uzyl okreslenia "rekompensata moralna". Mysl, zeby ludziom tracacym chleb dac przynajmniej igrzyska, zostala oczywiscie przez etosowych moralistow pryncypialnie potepiona. Tylko ze kiedy potem, tak jak Kaczynski prorokowal, pozbawiony chleba lud rzeczywiscie sie wsciekl i z zemsty zaglosowal "na komucha" (jak prosto ujal sens wyborow roku 1993 znajomy chlop), to ci sami moralisci tez nie zdobyli sie na nic poza pryncypialnym potepieniem niedojrzalego do reform narodu. Znowu dotykamy tu problemu, czym sie rozni polityka od kawiarnianego gledzenia.

Slowem, w kwestii tego, co zrobic z komunistami, koncepcje obu stron "wojny na gorze" nie byly wcale az tak diametralnie rozbiezne, jak sie twierdzi. Obie strony zdawaly sobie sprawe, ze nie znikna oni z dnia na dzien i ze w wielu waznych dla panstwa obszarach dlugo jeszcze nie bedzie kim zastapic kadry odziedziczonej przez wolna Polske po peerelu. Roznica polegala na tym, ze grupa Geremka chciala oprzec sie na juz istniejacej po tamtej stronie hierarchii i udzielic jej wsparcia przeciwko ewentualnemu buntowi wsrod jej wlasnych, postkomuszych podwladnych – spodziewajac sie, ze bunt taki moze miec tylko charakter reakcji komunistycznego "betonu". Co istotne, srodowisko, ktore z woli Walesy kierowalo wowczas OKP, w ogole nie obawialo sie, ze komunisci moga sie dzieki jego protekcji wzmocnic do stopnia, ktory by grozil ich usamodzielnieniem albo wydostaniem sie spod dominacji hard-KOR-u. Geremek, Michnik czy Kuron znali przeciez po imieniu zdecydowana wiekszosc tych, ktorzy usiedli po przeciwnej stronie Okraglego Stolu, brali za dobra monete ich pochlebstwa oraz wyrazy podziwu i uwazali za rzecz oczywista, ze oni, moralni zwyciezcy historycznej konfrontacji, beda zawsze mieli w tym towarzystwie posluch.

Nie znali natomiast kompletnie owych dolow, ktorych mozliwym buntem straszyl ich Jaruzelski i Kiszczak.

Bylo to oczywiscie zaslepienie, moze i zrozumiale u ludzi, ktorzy przez cale wlasciwie zycie dzialali w waskich gremiach, w kregu kilku osob, opierajac sie na osobistych znajomosciach. Kaczynski, moze wlasnie dzieki temu, ze nie zapraszano go na imieniny Kuronia, ze nie obracal sie stale w towarzyskim kregu opozycjonistow, otwartym na ni to opozycyjnych, ni to

prorzadowych artystow i dzialaczy, a nawet na "rokujacych" partyjnych, widzial sytuacje lepiej, stawial dobre diagnozy i wskazywal wlasciwa droge postepowania.

I tyle tylko mogl zrobic – miec racje. Dla wieloletniego zastepcy Walesy i dla jego brata musialo byc oczywiste, ze przywodca Solidarnosci ma swoje wlasne plany i ambicje i ze wszelkie "przyspieszenia" oraz ludzi o nich mowiacych traktuje czysto instrumentalnie. Znalazlszy sie nieoczekiwanie w konflikcie z grupa Geremka, potrzebowal kogos – i znalazl Kaczynskich. Dopoki jego poparcie trwalo, trzeba bylo wykorzystac je do zbudowania wlasnej politycznej sily. Ale wlasnie budowe przez Kaczynskiego wlasnej politycznej sily, slusznie postrzeganej jako obliczona na uniezaleznienie sie od jego patronatu, uwazal Walesa za wypowiedzenie mu wojny. Nie po to ledwie uniknal marginalizacji szykowanej mu przez jedna grupe doradcow, zeby pozwolic na to samo drugiej. Wiedzial zreszta doskonale, co tak naprawde mial na mysli Kaczynski, kiedy domagal sie, aby Walese wybral prezydentem kontraktowy Sejm – ktos zyczliwy na pewno doniosl mu, ze uzywal argumentu: w ciagu dwoch lat ludzie zobacza, jaki Walesa jest naprawde, i kiedy przyjdzie do wyborow, bedziemy go mieli z glowy. Oczywiscie, Walesa nie dopuszczal takiej mysli, ze on kiedykolwiek w Polsce przegra wybory, ale sam fakt, ze Kaczynski cos podobnego zakladal, nie sklanial, by mu ufac.

Natychmiast po wygranych wyborach Walesa zaczyna wiec Kaczynskiego przycinac. Po pierwsze, uwala proponowanego przez niego premiera, Olszewskiego, i to w sposob przebiegly – stawiajac jako warunek nominacji oddanie calej wladzy nad gospodarka w rece Balcerowicza, co z jednej strony jest w oczywisty sposob dla Olszewskiego nie do przyjecia, a z drugiej stanowi sygnal gotowosci zblizenia wyslany do swiezo powstalej Unii Demokratycznej. Potem zas, w podobny sposob jak wczesniej Kaczynskiego, wyciaga z politycznego zaplecza grupke gdanskich liberalow, czyniac z niej rzad w istocie swej marionetkowy – zdany na niego tym bardziej, ze w kontraktowym Sejmie postepuje w tym czasie dekompozycja OKP, a Bogiem a prawda wszystkiego. Kaczynski niby jest szefem Kancelarii, lecz w istocie jego wplyw jest coraz mniejszy. Nie moze jednak tego przyznac, bo ujawnienie faktu, ze nie jest juz czlowiekiem Walesy, a zwlaszcza wejscie z prezydentem w otwarty konflikt powaznie zaszkodziloby staraniom o stworzenie silnej partii, a bez silnej partii prezes PC nie ma co marzyc o zrealizowaniu swoich planow.

Tu ciekawostka – po wygranych wyborach prezydenckich Kaczynski nie dzwoni do Walesy z gratulacjami ani nie sklada mu ich w zaden inny sposob. W wypadku kogo innego pewnie nie byloby to wazne, ale przy ogolnie znanym stopniu nadecia Walesy taki gest musi zostac przez niego odebrany jako wymowienie posluszenstwa czy jednoznaczna zapowiedz – od tej chwili, Wodzu, zamierzam robic swoja, a nie twoja polityke. Tym bardziej ze tuz przed druga tura obaj panowie powaznie sie posprzeczali o ocene sytuacji i dalsza droge ("to byla jedna z dwu sytuacji, kiedy pozwolil sobie na wybuch wobec mnie", wspomina Kaczynski w Leym Czerwcowym). Sadze, ze Kaczynski wystarczajaco znal Walese, by wiedziec, ze to drobne zaniechanie zostanie zauwazone i wziete pod uwage. Czy Kaczynskiego ponioslo poczucie triumfu? ("Uznalem, ze jest OK. Wygralem! Mozna powiedziec, ze dopiero wtedy wzialem sobie urlop" – tlumaczy Kaczynski swe postepowanie w tym samym wywiadzie, opisujac swa reakcje na powierzenie przez Walese misji tworzenia nowego rzadu Olszewskiemu; mowa tu oczywiscie o grudniu 1990, kiedy owo wskazanie Olszewskiego wydaje sie ze strony Walesy zwykla gra na czas i przygotowaniem gruntu dla wykreowania Kieleckiego). Czy tez moze ow brak gratulacji i nastepujace po nim "ciche dni" z Walesa pokazuja, iz znowu doszla u Kaczynskiego do glosu ta zakapiorska i w sumie samobojcza dla polityka cecha charakteru, ktora kilkanascie lat wczesniej kazala mu sie pchac na krzeslo Kuronia?

Nie chce robic tu wykladu z najnowszej historii – po raz kolejny odsylam do Antoniego Dudka, ktory wszystkie te fakty opisal w Pierwszych latach III Rzeczpospolitej. Chodzi mi tylko o zwrocenie uwagi, ze dzialania Kaczynskiego w tym okresie, kluczowym dla zrozumienia wszystkiego, co dzialo sie pozniej, sprawiaja wrazenie jakiejs beznadziejnej szarpaniny. Trudno zreszta nie zauwazyc, ze kazdy jego sukces staje sie poczatkiem nowych problemow. Kaczynski robi Mazowieckiego premierem, wbrew Familii Geremka, Kuronia i Michnika, po czym Mazowiecki wiaze sie wlasnie z owa Familia i traktuje Kaczynskiego jako swego wroga numer jeden. Kaczynski, znowu wbrew nim, robi Walese prezydentem i potem przez wiele lat jest jego najbardziej zajadlym oponentem i zarazem czlowiekiem najostrzej przez Belweder zwalczanym, nie tylko metodami legalnymi. Kaczynski wreszcie, wbrew Unii i Walesie, robi premierem Olszewskiego i wkrotce potem Olszewski robi mu w partii rozlam, wyprowadzajac kilkudziesieciu poslow, i zaklada wlasna partie, z ktora probuje zdominowac prawa strone sceny politycznej i po prostu z niej

Kaczynskiego usunac, wzglednie go sobie podporzadkowac. Ta trzecia sytuacja moze sie wydac Panstwu mniej dramatyczna niz dwie poprzednie. W istocie jest odwrotnie – Olszewski jest w roku 1993 dla Kaczynskiego znacznie wiekszym zagrozeniem niz Unia, Walesa i postkomunisci razem wzieci, bo tamci nie sa w stanie odebrac mu zwolennikow. Olszewski glosi zas dokladnie te same hasla – ze Polska zostala zawlaszczona przez komunistyczny uklad, a ustrojowa transformacja sluzy nomenklaturze zamiast prostym ludziom i tak dalej – dodajac do nich rodzaca sie od razu i pielegnowana w nastepnych latach legende pierwszego uczciwego premiera, ktory probowal zagrozic wszechpoteznemu Ukladowi i zostal przezen pokonany podstepnym nocnym atakiem oraz zdrada. Kaczynski wiec nie ma z nim jak walczyc, nie moze ani zaprzeczyc jego haslom, bo to jego wlasne hasla, ani zaatakowac bylego premiera personalnie, na przyklad za nielojalnosc czy nieudolnosc – bo tego ludzie przychodzacy pod Belweder palic kukle "Bolka" po prostu by nie zrozumieli i najprawdopodobniej nie wybaczyli. Gdyby mecenas Olszewski byl nieco lepszym politykiem, prawdopodobnie byloby juz wtedy po PC i jego przewodniczacym. Ale i tak musial sie Kaczynski niezle nagimnastykowac, przed elektoratem prezentujac sie jako najbardziej gorliwy zwolennik "zjednoczenia prawicy", a po cichu kombinujac i motajac przeciwko teoretycznym partnerom tego zjednoczenia rozne intrygi.

Faktem jest natomiast, ze trzecie starcie – o przywodztwo na prawicy – udowadnia przegrana Kaczynskiego w dwoch poprzednich. Tu juz nie walczy Kaczynski, jak w latach 1989-92 o ksztalt panstwa, lecz o przetrwanie na scenie politycznej.

Z drugiej strony – trudno mi sobie wyobrazic, co moglby Kaczynski zrobic innego. Nie podejmowac sie misji tworzenia koalicji z ZSL i SD, pozostawic sprawy w rekach Geremka? Nie tworzyc PC, nie stanac po stronie Walesy w "wojnie na gorze" i pozwolic Familii na wygrana, na zablokowanie powstawania w Polsce systemu partyjnego, a potem na wspolne z postkomuna rzady w ramach "ruchu" opartego na "etosie solidarnosci"? Zrezygnowac z rozbudowywania wlasnej sily politycznej i podporzadkowac sie Walesie po listopadzie 1990, jak to zrobil Bielecki ze swoja ekipa? Nie walczyc o dominacje na prawicy, poddac sie jakiemus "Konwentowi Swietej Katarzyny" i liczyc, ze cos z tego wyniknie?

Nawet gdyby zalozyc, ze Kaczynskiemu zalezalo wylacznie na wladzy dla samej wladzy, to kazdy z tych wariantow bylby

nonsensem. W grupie, ktora nazywam tutaj hard-KOR-em, nie bylo mozliwe, aby facet spod sciany nagle stawal sie wazniejszy od tych przy stole, czy nawet zaczynal opracowywac polityczne strategie wraz z nimi, jak rowny. Dla kogos niezapraszanego na imieniny Kuronia, uwazanego za czesc aparatu transmitujacego dzialania korowskiej centrali na prowincje, jedyna perspektywa bylo wieczne pozostawanie w tle – przyjrzyjmy sie na przyklad karierze Andrzeja Celinskiego, ktory Kuronia nie podsiadal, przeciwnie, zachowywal sie w sposob diametralnie odmienny od Kaczynskiego, a tez koniec koncow, chcac realizowac swe ambicje, zmuszony byl do odejscia.

A jesli na dodatek taki gosc spod sciany mial rzeczywiscie racje, to tym gorzej dla niego. Jest prosty psychologiczny mechanizm, ktory sprawia, ze jesli cos zaburza nam porzadek swiata – miesza skrypty poznawcze, mowiac psychologicznym zargonem – to reagujemy agresja. Na mocy tego mechanizmu odrzucenie Kaczynskiego przez hard-KOR bylo mu pisane i nastapiloby takze wtedy, gdyby grzecznie odsunal sie od stolu, oddal krzeslo Kuroniowi i czule starl pylek z jego przewieszonej juz przez porecz skorzanej marynarki.

Tworzyc, dzielic, oddzielac – manewrowac!

Jest rzecza ciekawa i pouczajaca ogladac opisany w poprzednim rozdziale, ciagnacy sie do dzis spor nie z perspektywy roku 2007 i przegranej IV Rzeczpospolitej, ale poprzez swiadectwa tego okresu. Z perspektywy dzisiejszego Kaczynskiego jego swieta wojna z Geremkowa Familia to spor czlowieka, ktory mial dziadka w AK, z ludzmi, ktorzy mieli dziadkow w KPP. To spor tradycji niepodleglosciowej z tradycja komunistycznego rewizjonizmu, wychowankow niepodleglosciowej katechizacji z wychowankami druzyn walterowskich, tych, dla ktorych walka z komuna zaczynala sie od malowania na murach "Katyn pamietamy", z tymi, ktorych pchnal do niej list Kuronia i Modzelewskiego, gdzie wyrzucali Gomulce, ze sprzeniewierza sie Marksowi, pozwalajac na istnienie w Polsce prywatnego rolnictwa i kosciola katolickiego. Podzial jasny, czytelny, prosty – tylko ze w roku 1990 sam Kaczynski przedstawial ten spor calkiem inaczej.

Pozwole sobie na dluzszy cytat z wywiadu rzeki Odwrotna strona medalu udzielonego Teresie Bochwic. W przeciwienstwie do przywolywanej wczesniej rozmowy z Toranska, ktorej

Kaczynski, jak dzis twierdzi, nie autoryzowal (autorka temu zaprzecza) i ktora uwaza za zmanipulowana, ten wywiad na pewno byl przez niego zaaprobowany. Zreszta ksiazka zawierajaca go pojawia sie w roku 1991 przed wyborami parlamentarnymi i jak sam tytul wskazuje, zawiera wykladnie owczesnego prezesa PC, co dzialo sie przez dwa poprzednie lata.

Oto jak wyjasnia Kaczynski, dlaczego pomysl przeksztalcenia Komitetow Obywatelskich w ruch – czy partie polityczna – pod przewodnictwem srodowiska "komandosow" byl zlym pomyslem i nalezalo mu sie przeciwstawic, rozbijajac rzekomy monolit Solidarnosci na nurty centroprawicowy i lewicowy (prawicowy, jesli za wykladnie prawicowosci uznac odwolanie do tradycji endeckiej, juz pod koniec 1989 wyodrebnil sie sam w postaci ZChN, ale mimo akcesu zgloszonego do tej partii przez trzech poslow OKP, mozna to bylo uznac za sprawe niedotyczaca Solidarnosci, tak jak oficjalna rejestracje KPN czy UPR):

"Bylo to wynikiem przekonania – zeby uzyc takiego militarnego porownania, ze wojne o reformy w Polsce mozna wygrac za pomoca metod wojny pozycyjnej. Zajmujemy pewne pozycje i bronimy ich… Wszystkie elity sa zjednoczone [w obronie planu Balcerowicza – przyp. RAZ] i delegitymizuja wszystkie dzialania przeciwko reformie… i to rzeczywiscie utrudniloby ludziom podejmowanie strajkow albo sprzeciwow, nawet gdyby byla wielka pauperyzacja spoleczenstwa. Z drugiej strony, poniewaz sa zjednoczone, poniewaz ida za zmianami, to zaden rodzacy sie sprzeciw nie moze przekroczyc granic ruchawki, bo zeby je przekroczyc, musialby sie zorganizowac i wyartykulowac, a do tego potrzebne sa elity, sami tzw. zwykli ludzie nie sa przewaznie w stanie tego zrobic.

Ale to nie jest prawda, ze jesli odsunelo sie od wladzy elity komunistyczne, to juz zostaly tylko opozycyjne. Chocby Solidarnosc'80… moglaby wziac w zagle ten wiatr niezadowolenia. Niedawno byl strajk Wolnych Zwiazkow Zawodowych Anny Walentynowicz w Stoczni Gdanskiej; to jest przyklad, ze mozna sie zorganizowac nie tylko poza elitami i Solidarnoscia, ale nawet poza Solidarnoscia'80, na jeszcze radykalniejszej plaszczyznie.

Nieporozumienie polegalo na przeswiadczeniu, ze nowa wladza, stosujac te metode, utrzymywalaby spokoj. Moze rzeczywiscie byloby tak przez jakis czas, tylko ze pod tym spokojem kumulowaloby sie napiecie, ktore pozniej musialoby sie

rozladowac. Ta czesc spoleczenstwa, dla ktorej wazna jest tradycja solidarnosciowa… poszlaby do Solidarnosci'80 lub czegos w tym rodzaju. Obojetna wobec tradycji solidarnosciowej czesc spoleczenstwa przechwycilby OPZZ. Powstalby uklad, w ktorym z jednej strony sa elity broniace reformy, na ktorej na razie wszyscy traca, a z drugiej ci, ktorzy organizuja sie przeciwko nim. I wszystko dosc predko rozlecialoby sie w proszek".

I teraz:

"Jezeli trzymac sie porownania militarnego: tej wojny za pomoca metod pozycyjnych nie wygra sie. To jest wylacznie wojna manewrowa – trzeba raz tak, raz tak. Tworzyc, dzielic, oddzielac, manewrowac. Jesli sie nie bedzie manewrowalo, sprawa jest beznadziejna i to zarowno w gospodarce, jak i w polityce. W gospodarce mozliwy manewr jest zreszta o wiele mniejszy. Najwazniejsza jest wiec polityka – tutaj trzeba wylapywac te wiatry; tak postepowac, zeby wiejac, nie wylamywaly jednoczesnie masztow i nie zatapialy okretow".

Przyznam, ze jest to jeden z tych fragmentow wypowiedzi Kaczynskiego, ktore czytalem wielokrotnie – do czego i Panstwa zachecam.

Pozwolmy prezesowi spointowac sytuacje z marca, kwietnia 1990: "Musza istniec sily zdolne absorbowac niezadowolenie, ale mimo wszystko sklonne do reform. Jesli sie zaprzec, ze my tu razem, ze sztandarem Solidarnosci na czele, najwyzsze autorytety moralne, a z tylu, w jakims Elblagu czy Radomsku tez te miejscowe autorytety, wszyscy razem – po prostu doprowadziloby to do momentu, w ktorym wszystko to zostaloby zmiecione przez bunt spoleczny. Do wladzy i ogromnych wplywow dorwaliby sie ludzie nawet na granicy niespelna rozumu, ale dostatecznie radykalni. Ten plan byl grozny, byl wrecz zgubny".

W taki sposob Kaczynski bronil sie przed stawianym mu w tym czasie – czy raczej od tego czasu, bo po dostosowaniu do nowego kontekstu jest to wciaz koronny argument w antypisowskim dyskursie – zarzutem, ze rozbil i podzielil wielki ruch Solidarnosci. Cisnie sie az kilka komentarzy.

Przede wszystkim – trudno odmowic Kaczynskiemu racji. Cytat co prawda pochodzi z ksiazki wydanej juz po szoku, jakim byl

wyborczy wynik Tyminskiego, ale po pierwsze, nie ma powodu watpic, ze ten sposob myslenia prezentowal Kaczynski juz wczesniej, po drugie, jego owczesni polityczni rywale nawet z popularnosci Tyminskiego wyciagneli tylko ten wniosek, ze Polacy nie dorosli do demokracji i zyje wsrod nich "homo sovieticus".

Oczywiscie, jest tu i charakterystyczny blad – wspolne wowczas calemu obozowi postsolidarnosciowemu przekonanie, ze komunisci pokonani sa jesli nie na zawsze, to co najmniej na pokolenie, i ze ten, kto wygra w wewnetrznym sporze tego srodowiska, zagwarantowane bedzie mial rzady na dlugie lata. Mysl, ze juz za dwa lata postkomunisci wroca do wladzy jako zwyciezcy wyborow, obca byla wtedy nawet samym postkomunistom. Nie podnosi tez Kaczynski w powyzszym fragmencie niebezpieczenstwa, iz – natura prozni nie znosi – takim depozytariuszem "gniewu ludu" predzej niz osoba "na granicy niespelna rozumu" stac sie moze ktos przygotowany przez znajace sie na roznych socjotechnikach sluzby. Wobec Tyminskiego istnialy takie podejrzenia, ktorych koniec koncow nie zweryfikowano, poniewaz jego popularnosc niemal natychmiast zgasla, ale ciekawe jest, ze peruwianska firma tego dziwnego biznesmena z czwartego wymiaru do dzis sie utrzymuje – w kazdym razie jeszcze do niedawna sie utrzymywala – z dostaw sprzetu dla polskiego wojska; nie zadnej tam wyrafinowanej techniki, ale zarobic sie daje (moze to znak, ze jest jakas wdziecznosc na tym swiecie). Bez najmniejszych watpliwosci natomiast produktem takiej socjotechnicznej operacji byl Lepper. Jego bezkarnosc, bezustanna obecnosc w mediach i licencja na bluzganie "onym" ze swiecznika do zludzenia przypomina polityczna kariere Zyrinowskiego. Twierdze, a wobec licznych przeslanek wrecz uwazam za oczywiste, ze Lepper mial byc sposobem SLD na utrzymanie sie przy wladzy po pierwszej kadencji Millera; tak jak Zyrinowski, przeznaczony byl do kanalizowania frustracji elektoratu roszczeniowego oraz jego glosow, i tak jak Zyrinowski Jelcyna, tak Lepper do czasow afery Rywina w kazdej istotnej sprawie wspieral swymi glosami Millera.

Dalej – ten cytat przypomina nam zupelnie dzis zapomniane pole sporu, ktore wowczas bylo tak naprawde polem glownym. Przez kilkanascie lat narosla legenda "wojny na gorze" – najpierw michnikowszczyzna urobila Kaczynskiemu wizerunek publiczny narodowego katolika i antykomunistycznego radykala z nozem w zebach, a potem on sam wizerunek ten kupil, bo w chwili gdy stanal przed nowym wyzwaniem, stal sie dla niego bardzo

wygodny.

"Nalezalo przystapic do radykalnych dzialan… Zdelegalizowac PZPR i opanowac aparat przymusu, aresztowac szefow bezpieki i partii, oplombowac archiwa KC, MSW i MON. Natychmiast trzeba bylo zatrzymac proces uwlaszczania nomenklatury i przystapic do systematycznej rewindykacji zagrabionego majatku" – mowil Kaczynski. Tylko ze mowil to kilka lat pozniej, juz po "nocnej zmianie", w czasie palenia kukiel "Bolka". W zrodlach z czasow "wojny na gorze" nie znajduje podobnych postulatow – jest tam, owszem, mianowanie solidarnosciowych ministrow resortow silowych, odebranie komunistom panstwowych mediow i panstwowych bankow, do ktorych zarzadow w drugiej polowie ostatniej dekady przesiadl sie kwiat kierownictwa PZPR i MSW i ktore arbitralnie podejmujac decyzje o udzielaniu badz odmawianiu kredytow (bez jakiejkolwiek odpowiedzialnosci za ich ewentualne nieodzyskanie w przyszlosci), sprawialy, ze mechanizmy wolnorynkowe, na ktore tak liczyl Balcerowicz i jego wspolpracownicy, zadzialaly w III RP mocno wybiorczo i zupelnie inaczej niz w teoretycznym modelu. Ale jakiego uzywal tu Kaczynski argumentu? Zwrocmy uwage: "Majac za plecami nierozbity komunistyczny uklad, zaden solidarnosciowy rzad nie bedzie tu w stanie dlugo rzadzic".

No i wreszcie – ktoz nie odniosl wrazenia, ze cytowany wyzej dlugi wywod prezesa PC to najczystszej wody polityczny cynizm? Ludzie, wyborcy, sprawiaja w tej optyce wrazenie jakichs laboratoryjnych szczurow, na ktore polityk patrzy zimnym okiem naukowca dozujacego im bodzce i pozywki. Reformy sa dobre, jedyne, ale musza bolec – jak na razie Kaczynski daleki jest od potepienia dla "pewnego pana, ktory uchodzi za madrego, ale zawsze sie mylil", jak powie o Balcerowiczu w roku 2006. W innym miejscu tego samego wywiadu tak wyjasnia roznice pomiedzy PC a ZChN: "PC jest ugrupowaniem jednoznacznie opowiadajacym sie za budowa kapitalizmu w Polsce, podczas gdy ZChN ma pod tym wzgledem poglady wielce romantyczne. Widzimy, ze w Polsce nie da sie zbudowac kapitalizmu wlasnymi silami i ze wprawdzie trudno popierac praktyki wyprzedawania naszego przemyslu kapitalowi zachodniemu, ale nie mozna calkiem odrzucac pieniedzy tego kapitalu. Te rozne tezy, ze mamy miliardy dolarow w ponczochach, ze wystarczy je uruchomic – traktujemy wlasnie jako romantyzm gospodarczy".

Slowem, podziela Kaczynski powszechne wowczas w jego obozie przekonanie, ze przyjeta droga reform jest sluszna i nie ma

dla niej alternatywy, ale zarazem, ze nie ma szans zdobycia dla niej akceptacji ludzi. Wiec trzeba ich jakos oczarowac, wyslizgac… Geremek ze swoimi chca to zrobic, przytlaczajac "zwyklego czlowieka" mentorstwem jednoglosnego choru najwyzszych Autorytetow. A Kaczynski stwierdza, ze to chybiony pomysl, ze trzeba inaczej – manewrowaniem. Jesli rozczarowanie i zlosc narosna w spoleczenstwie za bardzo, to sie przeformuje wladze, zmieni partie albo ludzi… I – aby do wiosny. Podobne myslenie da sie zaobserwowac pozniej, w czasie kadencji prezydenckiej u Walesy (kto sie od kogo uczyl?), nawet nieukrywajacego, ze kolejni premierzy to dla niego "zderzaki", ktore co jakis czas przyjdzie dla uspokojenia gawiedzi pokazowo odrzucac. I podobnie mysleli przed laty komunisci, od czasu do czasu, gdy cisnienie spoleczne zaczynalo juz wybijac sworznie w czerwonej maszynerii, urzadzajac polaczona ze zmiana kierownictwa "odnowe", ktora miala udreczonemu narodowi dac nadzieje, ze skonczyly sie wypaczenia, ze teraz juz bedzie dobrze – i tym samym na jakis czas go spacyfikowac.

Prosze nie traktowac powyzszego akapitu jako pryncypialnej krytyki Kaczynskiego. Tak po prostu patrza na nas politycy, nawet ci, ktorzy do wladzy szli droga charyzmatycznego trybuna ludowego na fali wiecowego entuzjazmu. Coz dopiero politycy gabinetowi, a takim zawsze byl Kaczynski. Oczywiscie, jesli ktos chce, moze wierzyc, gdy mu polityk wmawia, ze jest "jednym z nas". Z mojej wiedzy na ten temat wynika, ze istniejemy dla nich jako slupki w badaniach opinii publicznej. I nie widze sensu, zeby sie o to sierdzic – nie jedyny to zawod narzucajacy taka cyniczna, odczlowieczajaca perspektywe. Osobiscie nawet wole leczyc sie u lekarza, ktory zamiast emanowac empatia, widzi we mnie tylko medyczny przypadek.

Chodzi mi o cos innego – o to, ze roznica pomiedzy Kaczynskim a jego przeciwnikami nie byla jeszcze w tym czasie roznica generalnej wizji; z jednej strony jakas kontynuacja Polski przedwojennej, oczywiscie unowoczesnionej, a z drugiej – jakas realizacja socjalistycznej utopii, oczywiscie w sosie europejskim. Owszem, gdzies tam w dalekim tle, gdyby przyszlo do dyskusji na ten temat, taka roznica zapewne by sie ujawnila. Ale w tamtym momencie os sporu stanowilo pytanie, jak przeprowadzic reformy: dawkowac Polsce demokracje ostroznie, godzac sie z pozostawieniem znacznych wplywow komunistom, co zdaniem Kaczynskiego grozilo oligarchizacja kraju na wzor latynoski, czy tez demokratyzowac ostro i szybko, niweczac blokujacy modernizacje uklad postkomunistyczny, a wraz z nim wzgledna

stabilnosc, co zdaniem Familii grozilo dojsciem do znaczenia albo wrecz wladzy elementu nacjonalistycznego, endeckiego, i w perspektywie jakas forma faszyzmu. To przeciez spor o taktyke, nie o strategie.

Tak naprawde roznica generalna polegala na tym, ze Kaczynski po prostu okazal sie politykiem. Jako jedyny w swoim obozie. "Zalezalo mi na tym, zeby cala operacja przejscia od komunizmu przez te straszliwa reforme gospodarcza udala sie. A oni proponowali rozwiazanie typowo salonowe. Pomysly ludzi, ktorzy rzeczywiscie wierza, ze pelnia jakas misje, maja jakis niepodwazalny autorytet itd. To sa manie intelektualistow, a nie zadna realna wiedza polityczna i spoleczna".

Doswiadczenie odrzucenia przez liderow srodowiska KOR, a za nimi przez cale to srodowisko, trzeba wiec koniecznie wzbogacic o jeszcze jeden bardzo istotny odcien. Rzecz nie tylko w tym, ze Kaczynski zostal odrzucony niesprawiedliwie, bo salon kierowal sie swoimi hierarchiami godnymi stada pawianow; rzecz w tym, ze zostal odrzucony, poniewaz mial racje. Bo on jeden byl madry, a oni – glupi. Sprawdzmy, w jaki sposob mowi o tej sytuacji Kaczynski w swoich wywiadach: oni "wtedy zupelnie oszaleli", "dostali amoku", "zyli w stanie silnej rozkoszy" i "kompletnie stracili kontakt z rzeczywistoscia", kierowali sie "mrzonkami", "rojeniami", "zachowywali sie, jakby dzieciom nagle odebrac ulubione zabawki", "nie chcieli przyjac do wiadomosci, ze rzeczywistosc jest, jaka jest"… Wystarczy. Problem polega na tym, ze to wszystko prawda. Kaczynski znalazl sie w sytuacji czlowieka, ktory przestrzega kapitana plynacej wprost na skaly lajby, zdziera gardlo, a w koncu probuje mu wyrwac kolo sterowe – bezskutecznie. Ale gdy potem statek rzeczywiscie laduje na skalach, kapitan i cala jego swita, zamiast przynajmniej przyznac "cholera, mial pan racje", zacinaja sie w tym wiekszej jeszcze nienawisci do niego, krzyczac, ze to wlasnie jego halasy i zamieszanie, jakie spowodowal u steru, byly przyczyna katastrofy.

Nie jest latwo z politykami, ktorzy przywykli do mysli, ze maja racje, tylko ludzie, z ktorymi maja do czynienia, okazuja sie durniami. Znowu przychodzi mi na mysl Balcerowicz, ktory przez tyle lat mial do czynienia z ekonomicznym matolectwem "wybrancow narodu", ze zaczal ich wszystkich razem wzietych traktowac jak niedouczonych studentow, ktorym zaraz powstawia dwojki i odesle na repete.

Bo katastrofa srodowiska, ktore w roku 1990 rzadzilo "okapem", zabieralo sie do tworzenia wielkiej partii "Solidarnosc" i przy jej pomocy przymierzalo sie do "co najmniej dwunastu lat" samodzielnych rzadow nad Polska (ach, taka ciekawostka – wtedy, dopoki perspektywa stworzenia takiej nowej monopartii wydawala sie realna, srodowisko to, ustami Bronislawa Geremka, domagalo sie wyborow wedlug ordynacji wiekszosciowej w okregach jednomandatowych; pamieta jeszcze o tym ktokolwiek?) – owoz, srodowisko to krotko po triumfalnym zepchnieciu Kaczynskiego w swej propagandzie w szeregi oszolomow, jakobinow, antysemitow, pogrobowcow faszyzmu i w ogole wszelkiego nieodpowiedzialnego elementu zaczelo ponosic kleski jedna za druga.

Po pierwsze – wbrew fanfaronadzie michnikowszczyzny, gloszacej jeszcze w czerwcu 1990, ze "sondaze nie pozostawiaja cienia watpliwosci: nie ma juz pytania, kto wygra, jest tylko pytanie, o ile procent wiecej glosow dostanie premier Mazowiecki", pierwszy niekomunistyczny premier przegrywa sromotnie wybory prezydenckie. Zgodny chor Autorytetow i dziewiecdziesiat procent dziennikarzy nie zdolalo mu zapewnic zwyciestwa nie tylko nad Walesa, ale nawet nad groteskowym przybyszem z Peru, plotacym o czwartym wymiarze i rece, ktora byla swoja, choc nie wlasna, czy jakos tak. Potem Walesa rozgrywa je sprytnie, poslugujac sie gdanskimi liberalami i Balcerowiczem, tych zas Unii Demokratycznej (w ktora wtopil sie wczesniejszy ROAD) krytykowac nijak. Potem w pierwszych wyborach parlamentarnych UD zdobywa 13,48 procent glosow – niby to pierwsze miejsce, o wlos przed SLD, ale w porownaniu do jej apetytow i sondazy, do ostatniej chwili obiecujacych partii Mazowieckiego miedzy dwadziescia a trzydziesci procent glosow, klapa. A jeszcze potem okazuje sie, ze w parlamencie mozna rozdzielic miejsca w prezydium i stworzyc rzad – jaki, to inna sprawa, ale jednak przez jakis czas funkcjonujacy – zupelnie bez pytania Geremka czy Kuronia o zgode i bez podzialkowania sie z najwiekszym klubem parlamentarnym. I tak bedzie dalej, az do tej bardzo symbolicznej chwili, gdy mlodziezowka Unii (wowczas juz Wolnosci) na pokazywanej we wszystkich telewizjach konwencji wrecza Bronislawowi Geremkowi pare nart. Ze niby – skacz nam wysoko, jak Adam Malysz. Tylko ze czy to pod jakims natchnieniem, czy ze zwyklej niewiedzy co do narciarskiego hardleru, "wujek Bronek" (jak jest wtedy w ramach ocieplania wizerunku nazywany) dostaje narty nie do skoku, tylko do zjazdu.

Ktory faktycznie wkrotce potem nastepuje. Definitywnie.

W Michnikowszczyznie napisalem, ze Jaroslaw Kaczynski w gronie prawicowcow (w takim sensie, jak nazwa ta byla uzywana w latach dziewiecdziesiatych – nie bawmy sie chwilowo w seminarium naukowe i ustalanie, co to takiego prawica) znalazl sie przypadkowo, ze do tego miejsca tak naprawde nie pasuje, jego naturalnym miejscem bylo bowiem srodowisko UD, i to, ze owo srodowisko, zamiast uczynic Kaczynskiego jednym z liderow, z przyczyn czysto towarzyskich wypchnelo go i usilowalo zniszczyc, bylo moze najwiekszym z popelnionych przez nie glupstw. Oczywiscie, nie sposob tego sprawdzic, ale gotow bym sie zalozyc o kazda kwote, ze gdyby tak nie postapilo, byloby jeszcze dlugo najbardziej wplywowym salonem politycznym w Polsce.

Jaroslaw Kaczynski, wowczas premier, wykorzystal krotki moment, kiedy sie spotkalismy (na jubileuszu czterdziestolecia kabaretu "Pod Egida" Pietrzaka), zeby ofuknac mnie, odnioslem wrazenie, ze bardzo gniewnie, za gloszenie podobnych herezji. Coz, niech czytelnik, ktory zapoznal sie z cytowanymi wyzej wypowiedziami, sam ocenia.

Przydatny nam tu bedzie jeszcze jeden cytacik. Oto jak w roku 1993 relacjonuje Kaczynski rozmowe z Antonim Macierewiczem: "Posluchaj, mowil mi, ty sobie wymysliles partie nowoczesna, w typie zachodnim, wolna od tego calego historycznego bagazu z antysemityzmem na czele, i ja sie z toba generalnie zgadzam, ale ty nie rozumiesz tego spoleczenstwa. Ono zylo przez piecdziesiat lat w stanie zamrozonym i jest jak z Sienkiewicza, i ZChN jest wlasnie tym, czego ono potrzebuje". Tak wedle relacji mial powiedziec mu Macierewicz, co Kaczynski komentuje nastepujaco: "Moze on wiedzial, ze ze mna trzeba tak rozmawiac, bo przeciez gdyby mi zaczal opowiadac jakies bajki endeckie, tobym go wysmial".

Znowu warto ten cytat przeczytac kilka razy i wmyslec sie w niego. Zwlaszcza w to "moze wiedzial, ze ze mna trzeba tak rozmawiac". To, ze Kaczynski wie, ze z roznymi ludzmi trzeba rozmawiac roznie, to rzecz oczywista. Ale rodza sie ciekawe pytania. Czy kiedy Kaczynski przekonywal, ze trzeba manewrowac, lapac w zagle i obracac na pozytek reformom wiatr spolecznego niezadowolenia, zeby nie zlapal go i nie skorzystal na nim ktos odpowiedzialny – czy mowil to, co myslal, czy po prostu wiedzial, ze jesli chce ze srodowiskiem Familii sie porozumiec i choc odrobine pogodzic, musi do nich mowic w taki sposob, bo gdyby zaczal im opowiadac jakies bajki o Polsce i

Armii Krajowej, to go wysmieja? Czy tez odwrotnie, mowil tak, jak uwazal, ze w danym momencie mowic trzeba, kiedy te wlasnie bajki opowiadal kilka lat pozniej, juz jako przywodca polskiej prawicy?

Osobiscie sadze, ze w obu wypadkach Kaczynski byl rownie szczery albo, jak kto woli, rownie nieszczery. Dlatego wlasnie pisalem wczesniej, ze widze w nim niezwykle polaczenie idealizmu i cynizmu. No dobrze, jesli kogos razi ten cynizm, niech bedzie – pragmatyzmu. Ale jak sie nad tym zastanowic, jezeli polityk chce dobrze sluzyc idei, w ktora wierzy, to musi podchodzic do niej z pewnym dystansem i byc gotow na liczne kompromisy, inaczej po prostu zostanie ze swa racja w kacie i bedzie mogl sie pocieszac, ze co prawda nic nie zdzialal, ale i nie splamil sie zadnym ustepstwem.

Dlaczego sugeruje, ze ten dlugi, zacytowany wyzej wywod wyjasniajacy, dlaczego w polowie 1990 trzeba bylo zalozyc Porozumienie Centrum – i tym samym, jak to nazwali jego przeciwnicy, "rozbic Solidarnosc", choc w istocie nalezaloby mowic raczej o "zerwaniu z fikcja jednosci" w tymze ruchu – w istocie skierowany byl do politycznych przeciwnikow? Otoz ksiazka wywiad Odwrotna strona medalu to czesc kampanii wyborczej Porozumienia Obywatelskiego Centrum (PC + niedobitki Komitetow Obywatelskich) do pierwszego parlamentu wolnej Polski, a w owym parlamencie Kaczynski szuka wyraznie z Unia Demokratyczna porozumienia.

To wlasnie wydaje mi sie przyczyna konfliktu z kolejnym wykreowanym przez Kaczynskiego politykiem – Janem Olszewskim. Olszewski nie rozumial, ze trzeba manewrowac. Okazal sie czlowiekiem prostolinijnym i uczciwym, a przez to kompletnie nienadajacym sie do polityki. W krytycznym momencie, gdy wazylo sie jego odwolanie i lustracja, wierzyl, ze gdy przemowi do sejmu, spyta dramatycznie, czyja ma byc Polska, i przypomni poslom, ze spoczywa na nich odpowiedzialnosc za losy wolnej Polski, to ci z tylnych szeregow zaglosuja przeciwko swoim skompromitowanym lista Macierewicza partyjnym liderom; godzine przed glosowaniem, gdy bylo juz oczywiste, ze polegl, mial powiedziec: "Daje temu rzadowi piecdziesiat procent szans". Trzeba wiecej?

A przy tym kompletnym braku talentu do politycznej intrygi, przy przyslowiowej wrecz decyzjofobii, zapewne wzmocnionej nawykami adwokata, ktory przez cale zycie wprawial sie w sztuce

dzielenia wlosa na czworo i zasiewania watpliwosci (mowilo sie, ze "Olsz" nie tylko sam jest wiecznie niezdecydowany, ale wytwarza jakies tajemnicze pole sprawiajace, ze w promieniu kilkudziesieciu metrow wokol niego nie moze zapasc zadna decyzja), wydaje sie Olszewski nosicielem tych samych cech, ktore przed chwila, wspolnie z Jaroslawem Kaczynskim, krytykowalem u Geremkowo-Kuroniowej Familii. Podobnie jak tamci, wydawal sie rozumiec polityke jako dziedzine, w ktorej licza sie slowa i autorytet tych, ktorzy je wypowiadaja, a nie gra interesow. Slowa o uleganiu "maniom intelektualistow" i zastepowaniu mrzonkami "realnej wiedzy politycznej" moglyby sie rownie dobrze odnosic do niego.

Czy Kaczynski, w tym czasie sklocony juz i z UD, i z Walesa, i z coraz wieksza irytacja traktowany przez przywodcow roznych partii prawicowych, nie zdawal sobie sprawy z charakterologicznych wad Olszewskiego? To wiecej niz watpliwe. Po prostu skalkulowal, ze jest to kandydatura stosunkowo najbardziej mozliwa do "przepchniecia" przez Belweder i straszliwie rozdrobniony parlament. Olszewski, jako obronca w procesach politycznych, doradca Solidarnosci i wziety adwokat, niebioracy dotad udzialu w biezacej polityce, nikomu nie zdolal sie narazic i do czasu "listy Macierewicza" traktowany byl z rewerencja nawet przez autorytety "Gazety Wyborczej". Jest tu rzecz, ktora wydaje mi sie charakterystyczna dla Kaczynskiego – najprawdopodobniej w ogole nie zastanawial sie on (posrednio zreszta przyznaje sie do tego w roznych wypowiedziach), jakim Olszewski bedzie premierem – bo musialby na takie pytanie odpowiedziec samemu sobie, ze fatalnym. Kierowal sie po prostu ocena, na ile mozliwe jest zrobienie z niego premiera. Podobnie jak z Walesa – tu tez nie bylo dla Kaczynskiego wazne, czy Walesa nadaje sie na prezydenta, skoro z politycznej kalkulacji wynikalo, ze tylko on moze nim zostac. Niby daje sie w obu wypadkach jego punkt widzenia obronic, ale to skrzywienie na punkcie taktyki, metoda – na razie zalatwmy, co mozna zalatwic, a potem sie zobaczy, co z tego wyniknie, da sie zauwazyc we wszystkich dzialaniach pozniejszego zalozyciela PiS.

Prawde mowiac, sprawa rzadu Olszewskiego to temat na osobny tekst. Po roku 2005 Kaczynscy zupelnie swiadomie odwolali sie do legendy, jaka mecenas wokol siebie zbudowal, i uhonorowali go funkcja doradcy prezydenta, a potem nawet przewodniczacego komisji likwidacyjnej WSI. Legenda ta glosi, iz rzad Olszewskiego smialo podniosl reke na postkomunistyczny Uklad, zwlaszcza poprzez probe lustracji – i zostal pokonany

przez spisek przeciwnikow, niecnie, noca, przy czym do rangi glownego symbolu "nocnej zmiany" urosla nocna narada w sejmowym gabinecie Walesy, z jego "wy nie wiecie, jak oni daleko zaszli, ja ich nie moge jutro wpuscic do gabinetow!". Bardzo ladnie skleila sie w pewnym momencie ta legenda z obietnica "moralnej rewolucji" i budowy nowej, lepszej, IV Rzeczpospolitej, jako jej prefiguracja.

Coz, zapisy ze wspomnianej narady – robione na wewnetrzny uzytek Belwederu, a wiec nieprzeznaczone do pokazywania komukolwiek kiedykolwiek – rzeczywiscie mocno kompromituja jej uczestnikow i budza odruch moralnego sprzeciwu. Zapadlo mi w pamiec, jak mowil to w telewizyjnym wywiadzie Kazik Staszewski, ktory zreszta poswiecil "nocnej zmianie" swietna piosenke Panie Waldku, pan sie nie boi – jesli mial czlowiek jakies zludzenia co do tych naszych "mezow stanu", to kiedy widzi ich na wykradzionym z Belwederu filmiku, dzielacych sobie Polske, jakby to byla pizza, to go po prostu krew zalewa i tyle. Zwlaszcza ze, dodam od siebie, to dzielenie pizzy odbywa sie w wielkim strachu i w przemoznej checi ochrony wlasnej, z przeproszeniem, odwrotnej strony. Szczegolnie ze strony Walesy.

Skoro jestem przy tym – ksiazka analizujaca zachowane w IPN materialy dotyczace Tajnego Wspolpracownika o pseudonimie "Bolek", dzialajacego w Stoczni Gdanskiej od grudnia 1970 roku, wyrejestrowanego w roku 1974, ale jeszcze przez jakis czas po tym odbywajacego tajne spotkania z funkcjonariuszami SB, w chwili gdy pisze te slowa, jest juz gotowa, choc czy i kiedy sie ukaze, Bog jeden raczy wiedziec. Mimo zniszczenia znacznej czesci oryginalnych dokumentow, dokonanego za czasow Walesy, to, co historycy odnalezli, wystarcza, zeby wyrobic sobie w tej kwestii zdanie. Wystarcza nawet tyle, ile zawarlo sie w najglosniejszym "polkowniku" III RP – filmie Grzegorza Brauna Plusy dodatnie, plusy ujemne, ktorego nie odwazyla sie dotad wyemitowac zadna telewizja. Osobiscie, na podstawie tej fragmentarycznej wiedzy, ktora mam, nabralem pelnego przekonania, ze nie ma juz pytania, kim byl TW "Bolek". Jest tylko pytanie, jak to powiedziec ludziom i kto sie odwazy to zrobic. Jest tez oczywiscie pytanie, czy sprawa "Bolka" byla w jakis sposob wykorzystywana po roku 1980, a zwlaszcza po roku 1989, czy byly juz wowczas agent nie byl przejmowany przez sluzby wojskowe, czy nie wykorzystywano wiedzy o nim, na przyklad do szantazu. Byc moze historii nie trzeba bedzie pisac od nowa, ale nie obejdzie sie bez powaznej erraty do niej. Licze sie z tym, niemniej pozostawiam w swoich ksiazkach wszystko tak, jak jest – nie sa

to przeciez demaskatorskie reportaze sledcze ani tym bardziej podreczniki, lecz proba dojscia do prawdy poprzez analize zachowan i wypowiedzi osob publicznych. Opisuje, co, i mysle na glos nad tym, dlaczego. Trupy wydobyte z szafy moga nam pomoc zrozumiec "dlaczego", ale "co" pozostaje bez zmian. Powtorze raz jeszcze, ze bardziej zalezy mi na tym, zeby sklonic czytelnika do samodzielnych przemyslen niz do przyjecia w calej rozciaglosci moich.

Ale wracajac do legendy "premiera, ktory sie agentom nie klanial", to, jak to zwykle bywa z legendami, nie calkiem odpowiada ona faktom. Najbardziej spektakularny sukces rzadu Olszewskiego – proba lustracji, stanowiaca bezposrednia przyczyne jego odwolania krotko po polnocy 4 czerwca 1992 roku, w gruncie rzeczy nie byl w ogole zasluga premiera. Owszem, Olszewski, jak to potem opowiadal, juz od samego poczatku swej misji uznal uporanie sie z problemem agentury i pozostalych po poprzednim ustroju kartotek za jeden z priorytetow swego gabinetu. Tylko ze nic z tego w praktyce nie wynikalo. Podobnych priorytetow wyznaczyl Olszewski wiecej i na wyznaczeniu sie skonczylo. Zespol utworzony w MSW przez Antoniego Macierewicza posprawdzal, co mogl sprawdzic, ulozyl liste o trzy nazwiska krotsza od wczesniejszej, ale przeznaczonej tylko do uzytku wewnetrznego listy Milczanowskiego, w dwoch co najmniej wypadkach sie pomylil (jedna pomylka, dotyczaca senatora NSZZ "Solidarnosc", wyjasniona zostala od razu, druga – przypisanie materialow z akt innej osoby Stefanowi Niesiolowskiemu – historycy IPN rozwiklali i opisali dopiero niedawno) i prawdopodobnie cala ta praca nie zdalaby sie na nic. Gdzies okolo kwietnia zaczelo byc jasne, iz rzad jest "na dobiegu", w maju odwolanie stalo sie juz pewne jak amen w pacierzu, stosowne wnioski znalazly sie u marszalka sejmu i wygladalo na to, ze cala lista Macierewicza, wowczas oczywiscie tak nie nazywana, pozostanie w sejfach. Tak by sie stalo – gdyby posel Korwin-Mikke nie zglosil byl z glupia frant projektu uchwaly zobowiazujacej ministra spraw wewnetrznych do przedstawienia sejmowi informacji, kto z obecnych poslow, senatorow, czlonkow rzadu, wojewodow i urzednikow nizszych szczebli figuruje w zasobach archiwalnych resortu jako byly wspolpracownik sluzb.

Opisana wyzej okolicznosc zrodzila liczne domysly, przez niektorych powtarzane wrecz jako pewnik, ze to Macierewicz, nie mogac patrzec na bezradnosc niezdolnego do jakiegokolwiek stanowczego ruchu szefa, zainspirowal Korwina do zlozenia projektu. Macierewicz, o ile mi wiadomo, skromnie nigdy temu nie

zaprzeczyl ani nie potwierdzil. Zaprzeczal natomiast wielokrotnie Korwin, i ja osobiscie mu wierze.

Wedlug jego wersji wydarzen kropla przepelniajaca kielich bylo wysuniete przez Krzysztofa Wyszkowskiego oskarzenie, iz agentem SB byl owczesny szef MSZ, Krzysztof Skubiszewski. Korwin mial wowczas dojsc do wniosku, ze takie oskarzenia moga latac w powietrzu miesiacami, bez zadnej mozliwosci ich weryfikacji, i trzeba cos wreszcie ze sprawa zrobic. Okazja nadeszla, gdy w sejmie goscil premier Izraela. Poniewaz wizyta byla czysto kurtuazyjna, wiekszosc poslow dyskretnie wziela sobie wolne; przypadkiem zrobili tak glownie ci, o ktorych partiach wiadomo bylo z gory, ze beda przeciwko. Korwin policzyl, napisal szybko projekt uchwaly, poprosil o glos – i tak uchwala przeszla. Przy stu siedemdziesieciu obecnych, ale w wypadku uchwaly nie ma zadnego niezbednego minimum.

Wierze w wersje Korwina z kilku powodow. Od najmniej waznego – po pierwsze, jest to bodaj jedyny z naszych politykow, ktorego znam dosc dobrze, rzeklbym nawet, ze jak zly szelag, i po prostu mi to wszystko do niego pasuje. Kiedy Korwin byl poslem, jego ulubiona zabawe stanowilo pojawianie sie na roznych komisjach i za pomoca zadawania logicznych pytan, proceduralnych watpliwosci oraz przebiegle wymyslanych pulapek paralizowanie ich pracy w taki sposob, aby potem "wielce czcigodni" koledzy poslowie jak najdluzej nie mogli z materia procedowania dojsc do ladu. Ilekroc mu sie cos takiego udalo, Korwin po prostu kwitl i bez trudu moge sobie wyobrazic, jak musiala go hecowac perspektywa odpalenia takiego oberkapiszona jak uchwala lustracyjna.

Po drugie – koronnym dowodem spisku mial byc fakt, iz dzien wczesniej jeden z poslow UD widzial Korwina konferujacego poufnie z bliskim wspolpracownikiem Macierewicza. Przypadkiem wiem, ze rozmowa ta dotyczyla kwestii zwiazanych z wydawanym wtedy przez Korwina tygodnikiem "Najwyzszy Czas", bo jego rozmowca zwiazany byl nie tylko z MSW, ale takze z komisja likwidacyjna RSW Prasa-Ksiazka-Ruch.

No i po trzecie, najwazniejsze – w projekcie zgloszonym przez Korwina nie bylo mowy o prezydencie RP (dopisano go glosami wiekszosci w dyskusji). Korwin, uwazany przez wielu za wariata, mial jednak wiecej politycznego rozumu, niz mu sie przypisuje, i doskonale wiedzial, ze objecie proba lustracji Walesy skonczyc sie musi tak, ze prezydent stanie na glowie i nie cofnie sie przed

niczym, aby sprawe uwalic. Gdyby natomiast pisal te uchwale Macierewicz, prezydent bylby w niej od poczatku.

Rozwodze sie nad ta kwestia, zeby nie bylo watpliwosci – uchwala lustracyjna i cala wynikla z niej "nocna zmiana" byly dla rzadu Olszewskiego prawdziwym darem niebios, ale darem w najmniejszym stopniu przez ten rzad niezapracowanym. Gdyby nie cala panika i histeria zwiazana z wyciagnieciem teczek, gabinet zostalby odwolany moze dwa, moze trzy dni pozniej jako trwale mniejszosciowy i przez to chronicznie niezdolny do funkcjonowania. Za dnia. I nie byloby zadnej legendy – pozostalaby po nim tylko trudna do zakwestionowania opinia kompletnej nieudolnosci i niezbornosci podejmowanych dzialan.

Znowu musze sie przyznac – absolutnie nie jestem w stanie zrozumiec postepowania Olszewskiego. Przez te kilka miesiecy powinien byl sie na cos zdecydowac. Gabinet byl od poczatku mniejszosciowy i od poczatku kontestowany przez Walese; premier niepotrzebnie zaognil jeszcze sytuacje, podczas wyglaszania expose nie witajac przysluchujacego mu sie ze swej lozy prezydenta. Twierdzil potem, ze byla to zwykla pomylka, ale polityk takich pomylek popelniac nie powinien. Rzad, przez wiele tygodni klecony wczesniej przez Kaczynskiego z malych prawicowych partyjek, powolany zostal wylacznie dzieki laskawemu poparciu PSL, ktore jednak popierac go wcale nie zamierzalo. Podbilo tylko stawke i zreszta wkrotce mialo mu sie to oplacic. W takiej sytuacji wydaje sie oczywiste, ze pierwsza troska premiera powinno byc poszerzenie koalicji rzadowej i uzyskanie w parlamencie wiekszosci.

Kaczynski mial przygotowany plan, prawdopodobnie liczyl sie tez, ze tak wlasnie trzeba bedzie to rozegrac, jeszcze przed wyborami. Teraz, skoro rzad juz powstal, a Olszewski jest premierem, trzeba wlaczyc do koalicji Unie Demokratyczna. Tak jest, tych wlasnie ludzi, ktorzy przez ostatnie dwa lata jezdzili propagandowo po prawicy jak po przyslowiowej burej suce, oskarzajac ja o faszyzm, czarnosecinstwo i chec "podpalenia Polski" – a juz po nieszczesnym Kaczorze i jego bracie najbardziej.

Czy to mialo jakakolwiek szanse powodzenia? Pewnosci oczywiscie nigdy juz miec nie bedziemy, ale argumenty Kaczynskiego wygladaly przytomnie. Unia byla jednak troszke zdetonowana kolejnymi kleskami i wybita z dotychczasowej buty, a tym samym bardziej sklonna do ustepstw. Kaczynski

kalkulowal, ze zadowoli apetyt Unii dwoma kluczowymi ministerstwami – spraw zagranicznych i finansow. Plus oczywiscie paru wojewodow, jakichs dyrektorow, wplyw na media publiczne, no i funkcje w prezydium sejmu, z ktorego wczesniej Kaczynski UD wykosil (zreszta dzieki wejsciu do zmontowanej przez niego jednoznacznie antyudeckiej koalicji owczesnego Kongresu Liberalno-Demokratycznego, na czele z Donaldem Tuskiem; z dzisiejszego punktu widzenia zabawna okolicznosc, pokazujaca, ze na tamtym etapie gra mogla sie jeszcze rozwinac w zupelnie innych kierunkach). Oczywiscie, MSZ i Finanse to rzeczywiscie resorty kluczowe, a TVP – potega. Ale Kaczynski mial tu argument nieodparty: przeciez Olszewski i tak ani tych resortow, ani mediow nie kontroluje i w istniejacym ukladzie kontrolowac nie jest w stanie. I Skubiszewski, i Olechowski poczuwaja sie raczej do lojalnosci wobec Walesy niz wobec premiera. Wiec z punktu widzenia polityka kalkulacja jest prosta: miec czesc wladzy, bez MSZ i Finansow, albo nie miec zadnej wladzy.

Ale Olszewski sie zaparl. Bylo oczywiste, ze kandydatem UD na resort finansow moze byc tylko Balcerowicz, a on, stary pepeesowiec, wielokrotnie publicznie twierdzil, ze liberalna polityka Balcerowicza jest nie do przyjecia. Nie mogl wiec sie na Balcerowicza zgodzic, bo stracilby twarz, a to nie miescilo sie w wyznawanych przez niego wartosciach. Wszystko, co Kaczynski zdolal wskorac, to ze Olszewski zaczal z Unia rozmowy o poszerzeniu koalicji. Dzisiaj nie ma watpliwosci, ze nie mial najmniejszego zamiaru sie zgodzic i rozmowy sluzyly tylko przewleczeniu sprawy, w czym akurat Olsz byl mistrzem. Choc, przyznajmy, majac za partnera Mazowieckiego, nie trzeba bylo wielkiego kunsztu.

Skoro odrzucal Olszewski taktyke zaproponowana przez swego partyjnego szefa (Olszewski byl wowczas poslem z listy POC), to wydaje sie oczywiste, ze powinien zdecydowac sie na inny wariant. Mial ich dwa, wlasciwie dwa i pol. Pierwszym byla KPN. Konfederacja miala w owczesnym sejmie spory klub, ciut wiekszy od PSL, i stawiala jeden tylko warunek: ministerstwo obrony narodowej dla swojego przewodniczacego, Leszka Moczulskiego. Ten wariant premier takze stanowczo odrzucil. Pozniej udzielal dwoch roznych wyjasnien – ze wiedzial, iz Moczulski figuruje w zasobach archiwalnych MSW, i przeciez nie mogl powierzyc kluczowego resortu agentowi; oraz, w wariancie mniej konfrontacyjnym, ze wiedzial, iz Moczulski nie ma kwalifikacji na to stanowisko, i przeciez nie mogl oddac wojska w rece

ignoranta. (O tyle zabawny argument, ze akurat z MON, ktory dosc przypadkowo dostal sie Janowi Parysowi, bo Walesa nic o nim nie wiedzial – a kilkunastu innych kandydatow wczesniej Olszewskiemu skreslil – byla w tym rzadzie niezla komedia i minister wiekszosc swego urzedowania spedzil decyzja premiera na przymusowym urlopie; mniejsza).

Wariant drugi – dopuscic do rzadu PSL. Na to Olszewski takze sie nie chcial zgodzic, bo jakkolwiek patrzec, to byli jednak postkomunisci. Co innego, ze glosowali za wotum zaufania, a co innego wpuscic ich do rzadu. Mozna oczywiscie bylo udac, ze sie bierze za dobra monete kosmetyczny retusz, jakiego dokonal aparat dawnego ZSL, wchlaniajac maly solidarnosciowy PSL-Odrodzenie i na krotko czyniac swym szefem, przed Pawlakiem, Romana Bartoszcze, slawnego jako brat zamordowanego przez "nieznanych sprawcow" dzialacza antykomunistycznego podziemia – oglosic, ze to juz zupelnie inna partia, nie peerelowska, ale mikolajczykowska, i tak dalej. Na to jednak Olszewski byl zbyt uczciwy.

Wariantem trzecim, ktory co prawda nie przekladal sie bezposrednio na dodatkowe glosy w sejmie i senacie, ale znacznie zwiekszal szanse przetrwania (dlatego przed chwila nazwalem go "polowa" wariantu), bylo przeprosic sie z prezydentem. Trudno orzec, jaka byla na to szansa – dosc, ze Olszewski nie wykonal rowniez w tym kierunku zadnego ruchu. Jesli wierzyc temu, co prywatnie mowili jego wspolpracownicy, to jako czlowiek starej daty uwazal po prostu, ze skoro jest starszy, to Walesa powinien wykonac pierwszy krok w kierunku porozumienia, a nie odwrotnie.

Moze uznaja Panstwo, ze jestem tu wobec Olszewskiego zbyt ironiczny. Staram sie nie byc. Ale coz, jeden fakt, ktory mowi wszystko o Janie Olszewskim i o tym, ze jego obecnosc w polityce byla kompletnym nieporozumieniem: jego nieobecnosc w programie wyborczym w czasie kampanii prezydenckiej w roku 1995. Programy te, prezentujace kandydatow – Olszewski byl jedynym, ktory nie skorzystal z zaproszenia – ogladalo kilka milionow wyborcow. Ale na ten akurat dzien Olszewski umowione mial wczesniej spotkanie z kombatantami (Ilu ich moglo byc? Dwudziestu? Stu?) w ktoryms tam z miast. Obiecal im, ze przyjedzie. Czekali na niego. Nie mogl przeciez ludzi, ktorym obiecal, zawiesc!

Tak wiec czas plynal, rzad wpadal na kolejne rafy, konflikty

narastaly, a Olszewski nie robil nic. Probuje sobie wyobrazic, co musial czuc w tym czasie Kaczynski. W pewnym stopniu sytuacja przypominala te sprzed roku – znowu Kaczynski mial racje i znowu wszystkie jego starania rozbijaly sie o tepy opor czlowieka, ktory po prostu odmawial przyjecia do wiadomosci, jaka jest sytuacja i na czym polega polityka. W pewnym stopniu podobne to bylo takze do sytuacji z Walesa, juz po tym, jak zostal on prezydentem. To znaczy do sytuacji, gdy Walesa nie mogl nie zrobic Kaczynskiego szefem swej kancelarii ("Gdyby mnie wtedy porzucil, to odtad kazdy polityk w Polsce mowilby sobie:›Nie ma sensu wiazac sie z Walesa‹", wyjasnial to sam Kaczynski), a z drugiej strony Kaczynski nie mogl publicznie sie przyznac, ze jest szefem kancelarii malowanym i ze Walesa kompletnie odcial go od wszystkich waznych decyzji, z przyczyn juz wyzej wymienionych. Od Olszewskiego, podobnie, nie mogl sie odciac Kaczynski, skoro go wypromowal, nie mogl przyznac, ze nie ma na jego postepowanie najmniejszego wplywu, bo narazilby sie na smiesznosc i lekcewazenie, a na to zaden polityk pozwolic sobie nie moze. Musial wiec zacisnac zeby i brnac razem z wykreowanym przez siebie premierem coraz glebiej.

Zeby zamknac te kwestie – jesli rzad Olszewskiego moze cos symbolizowac, to nie tyle niezlomnosc w walce z ciemnymi silami oplatajacymi RP, co nieudolnosc i bezradnosc prawicowej polityki. Sam Kaczynski w wywiadzie dla Toranskiej mowi mniej wiecej to samo, co pisalem wyzej, tylko innymi slowami: przeciwnicy zrobili Olszewskiemu wielki prezent, obalajac go w taki sposob. Gdyby Walesie i innym nie puscily nerwy, gdyby odczekali dzien, dwa i zalatwili sprawe w zwyklym trybie, nie byloby nawet legendy. Ale Walesa naprawde byl przekonany, ze skoro "olszewicy" uruchomili lustracje i zaatakowali go, to znaczy, ze maja cos przyszykowane, ze nastepnego dnia rusza do akcji, ze po prostu zrobia zamach stanu. Kazdy sadzi podlug siebie; dzis wiadomo, ze jego lek przed "wpuszczeniem ich jutro do gabinetow" okazal sie bezpodstawny. Mecenas nie byl zdecydowany siegac po radykalne rozwiazania, nawet jesli jego podwladni rzeczywiscie o takowych mysleli (osobiscie watpie, a generala Wejnera, ktorego wspominki sa jak na razie jedynym dowodem wyznawcow takiej tezy, uwazam, w swietle innych jego wypowiedzi i zyciowej drogi, za osobe malo wiarygodna). Jedyna bronia, na jaka Olszewski liczyl, byl jego osobisty autorytet i slowa.

Niedlugo po tych wydarzeniach Kaczynski – wyraznie wazac slowa, aby nie uniemozliwic definitywnie porozumienia – powie o

Olszewskim: "Jego kadencja wykazala niejedna slabosc, szczegolnie jego otoczenia [stary bajer – jesli chcemy byc delikatni, sugerujemy politykowi, ze to nie on, ale jego zle otoczenie ponosi wine; choc kazdy wie, ze "jaki pan, taki kram" – przyp. RAZ]… Niepokoi mnie u Olszewskiego nierealistyczna wizja spoleczenstwa. Nie mozna kierowac sie w polityce mitami, nawet gdy jest to piekny mit Polski bohaterskiej. Zwykly czlowiek jest zdeterminowany przez codziennosc, trzeba tak grac, by spoleczenstwo do siebie przekonac". A kilka zdan wczesniej: "Nalezy unikac odwolywania sie do jezyka, ktory raczej odpycha od spoleczenstwa, a nie przyciaga. Nie ma juz›ulanskiej Polski‹, to zaledwie cecha pewnych pokolen. Polska jest spoleczenstwem postkomunistycznym, chlopskim, zastrachanym i biernym". Nie wiem, czy w cytowanym fragmencie brzmi to wystarczajaco jasno, szerszy kontekst, w ktorym slowa te padaja, nie pozostawia watpliwosci – ow jezyk, ktory odpycha wyborcow, zamiast ich przyciagac, to jezyk nadmiernie radykalny, zbyt agresywny i nazbyt przeciazony patriotycznym frazesem. Nie umiem powstrzymac sie od uwagi, ze gdyby ktos Kaczynskiemu dal do przeczytania jego wlasne slowa pietnascie lat pozniej, ten moze wzialby je sobie do serca i uniknal najwiekszej katastrofy w swej politycznej karierze; bo przestrog innych albo juz zupelnie wtedy nie sluchal, albo, co bardziej prawdopodobne, doprowadzil do takiej sytuacji, ze w jego otoczeniu nie pozostal juz nikt, kto mialby odwage ich udzielic.

Dla skonfrontowania mitu "nocnej zmiany" jako prefiguracji IV Rzeczpospolitej z faktami niezbedna jest nam jeszcze jedna informacja. Bezposrednio po obaleniu Olszewskiego Kaczynski wcale jeszcze nie rzuca sie obwieszczac Polakom, ze Walesa to agent "Bolek" i ze rzadzi nami postkomunistyczna mafia i jej kolaboranci. Jeszcze przez kilka tygodni Porozumienie Centrum prowadzi rozmowy w sprawie uczestnictwa w kolejnym postsolidarnosciowym rzadzie, teraz juz tworzonym nie wokol prawicy, a wokol koalicji UD, KLD i grupy biznesmenow, ktorzy do sejmu dostali sie "na malpe" jako "partia przyjaciol piwa".

Ale od momentu ujawnienia listy Macierewicza skutecznosc Kaczynskiego jako negocjatora, we wczesniejszych miesiacach oslawiona, konczy sie jak nozem ucial. PC w zasadzie dogaduje sie co do swego udzialu w rzadzie wyciagnietej z tylnych law UD i w istocie pozbawionej specjalnych talentow Hanny Suchockiej i kiedy sprawa ma byc finalizowana, Suchocka nagle oznajmia, ze ona tych ustalen nie akceptuje i Adama Glapinskiego ministrem nie uczyni. Czy rzeczywiscie miala Suchocka we wlasnym rzadzie

az tyle do powiedzenia – nie zakladalbym sie, ktos raczej obliczyl, ze przy cichej zyczliwosci SLD Kaczor nie jest nowemu ukladowi potrzebny i mozna, ku zadowoleniu wszystkich uczestnikow dilu, pozbyc sie go z namiotu. Ktokolwiek zreszta to zrobil, policzyl kiepsko – rzad Suchockiej, jak pamietamy, po dziewieciu miesiacach ciezkiego konania w nieustannym klinczu pomiedzy tworzacymi go dziewiecioma partyjkami upada ostatecznie jednym glosem wskutek nieobecnosci na glosowaniu ministra sprawiedliwosci, ktory zatrzasnal sie byl w sejmowym kiblu. Symbol zupelnie fantastyczny, lepszy niz wszelkie mozliwe komentarze.

Tak czy owak, Kaczynski laduje w sytuacji oplakanej.

Z jednej strony – istnieje zgoda, by, mowiac jezykiem obecnym, "dorznac pecetowska watahe". Jan Rokita, jako szef URM u Suchockiej, uzasadnia to glosnym podzieleniem opozycji na "konstruktywna" (czyli SLD) i "antypanstwowa" (czyli prawicowa). A z dzialalnoscia antypanstwowa nie ma zartow. Do akcji ruszaja wiec prokuratorzy. Po raz pierwszy w III RP odbywa sie "telewizyjne" aresztowanie w swietle reflektorow i kamer – zaszczyt prekursorstwa przypada Wojciechowi Dobrzynskiemu, w chwili wyprowadzania na oczach calej Polski z domu w gaciach i kajdankach, dyrektorowi Biura Parlamentarnego PC, wczesniej zajmujacemu sie w ministerstwie gospodarki rozdzialem koncesji na handel paliwami (o oburzeniu, jakie wywolalo ich wprowadzanie, i bardzo chetnym potem przejeciu przez "oburzonych" tego wygodnego narzedzia sprawowania wladzy juz pisalem). W krotkim czasie po Dobrzynskim w aresztach laduje kilkunastu innych bylych urzednikow panstwowych, zwiazanych z poprzednim rzadem, glownie z PC. Wtedy to debiutuje z sukcesem w praktyce prokuratorskiej RP, to znaczy debiutuje w sprawach "politycznych" tak zwany areszt wydobywczy. Czyli: sadzamy goscia i przedluzamy mu sankcje tak dlugo, az wydobedziemy z niego przyznanie sie do czegos, co post factum aresztowanie uzasadni. A jesli juz nic sie wydobyc nie da, to zwalniamy go po cichu, ostrzegajac, ze jesli bedzie rozrabial czy domagal sie jakichs odszkodowan, to popamieta. Z czasem prawie wszyscy aresztowani – z jednym wyjatkiem – korzystaja z tej laski i niepostrzezenie opuszczaja areszty sledcze. Zadnemu nie postawiono w koncu konkretnych zarzutow. Wspomniany wyjatek to Jakub Krawczyk, byly wiceminister budownictwa, widac bardziej od innych uparty, ktory doczekal sie sadowego stwierdzenia bezprawnosci aresztowania, a nawet wywalczyl za czas spedzony bezzasadnie w areszcie

skromne odszkodowanie.

W kazdym razie dzialacze PC aresztowani sa glosno, z pompa, kazdy taki przypadek jest szczegolowo relacjonowany i szeroko komentowany. Trzeba dodac, ze wspolne obalenie Olszewskiego stanowi podstawe do rozejmu, a potem zakonczenia rozpoczetej w 1990 roku wojny pomiedzy Familia a Walesa. Ma to swoj wymiar polityczny – jest nim sankcjonujaca zasady tego rozejmu "mala konstytucja", zostawiajaca Walesie (bardziej wlasnie Walesie niz prezydentowi, bo, jak to w traktatach rozejmowych, pozostawiono tu wiele celowych niejasnosci) wolna reke w "resortach silowych" oraz swoj wymiar medialny. Mowiac obrazowo, od tego czasu wypowiedzi Walesy cytowane w "Gazecie Wyborczej" przestaja byc kompromitujacym, doslownie spisanym z tasmy belkotem, tak jak to bylo od mniej wiecej kwietnia 1990 – znowu, jak przed ta data, sa logiczne, sensowne, slowem: starannie zredagowane. Udeckie i postkomunistyczne media (innych wtedy praktycznie nie ma) odkrecaja stopniowo wizerunek Walesy i byly "przyspieszacz z siekiera", cham zbuntowany i posmiewisko z niezliczonych zartow ("Bendem prezydentem", "O take Polskie walczylem" – kto jeszcze pamieta te koszulki, w ktorych nawet Giedroyc trzasnal sobie pamiatkowa fotke?), stopniowo wraca do roli wielkiego meza stanu, autorytetu i omalze skarbu narodowego, za jaki robi w tych mediach obecnie. Wspomniane media, ma sie rozumiec, poswiecajac wiele miejsca aresztowaniom, zupelnie nie dostrzegaja pozniejszych zwolnien, propagandowy smrod wokol PC gestnieje wiec z kazdym miesiacem. Wiekszosc dzialaczy przepuszczonych wtedy przez areszty ma pozniej pretensje do Kaczynskiego, ze w zaden sposob ich nie bronil, ze wolal ich poswiecic, niz narazic na dodatkowa szkode i oskarzenia o patronowanie aferom swoj i tak intensywnie niszczony wizerunek publiczny. Sam Dobrzynski po wyjsciu na wolnosc zmontuje kolejny rozlam w PC i wyprowadzi z niego kolejna, w tym momencie bodaj czy nie dwudziesta ktoras partie prawicowa, pod zabawna nazwa "PC – inicjatywa integracyjna"; jak wszystkie rozlamy na prawicy, takze i ten motywowany bedzie checia przysluzenia sie jej zjednoczeniu.

Ale wybiegam do przodu; rownolegle do prokuratorow ruszaja do boju tajne sluzby. Piotr Niemczyk, kolega Rokity z ruchu "Wolnosc i Pokoj" (to ciekawe, ze pacyfisci okazali sie w III RP kuznia udeckich kadr dla UOP – oprocz Niemczyka wywodzi sie stamtad rowniez wslawiony sprawa Anny Jaruckiej Konstanty Miodowicz) pisze glosna "instrukcje 0015/92", kierujaca funkcjonariuszy UOP do inwigilacji i zwalczania opozycyjnych

partii politycznych (wlasnie gdy pisze te slowa, ow niezlomny obronca demokracji zostal przez Donalda Tuska mianowany czlonkiem Rady Konsultacyjnej przy Centralnym Osrodku Szkolenia ABW). Akcja kieruje pulkownik Lesiak, rutynowany ubek, swego czasu "opiekun" z ramienia tej instytucji Jacka Kuronia, a wiec sila rzeczy listonosz, ktory przenosil jego propozycje historycznego kompromisu do Kiszczaka. Wciaz znamy tylko drobny ulamek dokumentacji z jego oslawionej szafy, ale i z tego wiadomo, ze zespol, ktory Lesiak utworzyl, zajmuje sie zbieraniem "hakow" dotyczacych zrodel zarobkow wzietych na celownik dzialaczy, ich ewentualnych powiazan, upodoban seksualnych, romansow i tak dalej. Pozyskiwana jest tez agentura sluzaca sklocaniu opozycyjnych liderow i organizowaniu rozlamow. Rzeczywiscie, na prawicy panuje w tym czasie istna orgia klotni i rozlamow, choc znajac nieco sprawy z autopsji, nie umialbym z reka na sercu przypisac tego w calosci, ani nawet w wiekszej czesci, Lesiakowej agenturze. Po prostu kazdy chce byc jedynie slusznym wodzem – Olszewski musi miec wlasna partie i zaklada ja, Macierewicz musi miec wlasna partie, Parys, byly minister obrony, tez zaklada wlasna partie, do tego istnieja przeciez od dawna KPN, ZChN, PC, chadecka partyjka Pawla Laczkowskiego, Partia Konserwatywna Halla, ktora szybko rozpada sie na dwie mikropartie (druga pod wodza Ujazdowskiego), istnieje oczywiscie Unia Polityki Realnej i stale rosnaca liczba rozmaitych kanap.

Mowiac krotko, zespol pulkownika Lesiaka zajmuje sie dokladnie tym samym, co w latach osiemdziesiatych – wtedy nazywalo sie to "dezintegracja" opozycji. I podobnie jak wtedy oprocz tych dzialan pojawiaja sie takze "nieznani sprawcy", ktorzy podpalaja mieszkania i samochody albo podcinaja w nich hamulce, wlamuja sie, dzwonia z pogrozkami i tak dalej. Nie ma oczywiscie zadnych procesowych dowodow, ktore by wskazywaly, ze owe tajemnicze zdarzenia maja cos wspolnego z kimkolwiek. Kto wie, moze by sie one znalazly, gdyby szafa Lesiaka zostala otwarta, czego sie wszyscy, mowiac szczerze, ja takze, za rzadow Kaczynskiego spodziewali. Niestety, nie zostala. Trudno zrozumiec dlaczego. Pozostaja jedynie spekulacje. "Wtajemniczeni", ktorzy kreca sie na styku kazdej wladzy z dziennikarzami, i nigdy nie wiadomo, czy sa naprawde wtajemniczonymi, mitomanami, czy prowokatorami delegowanymi do manipulowania mediami w zamian za obietnice przecieku i wielkiego niusa, powtarzali w roku 2006 albo ze nie wszystkie afery, ktorych opis sie w tej szafie znalazl, okazaly sie

rownie dete jak sprawa "Telegrafu" czy Fundacji Prasowej Solidarnosci, albo ze sa tam informacje nazbyt naruszajace prywatnosc osob ze swiecznika wladzy tego okresu badz osob im bliskich… Wszystko to spekulacje, ale, niestety, na spekulacje jestesmy w tej sprawie skazani. Wielka szkoda, bo ujawnienie calosci tych materialow bardzo by nam pomoglo zrozumiec, co sie tak naprawde w latach "transformacji ustrojowej" dzialo.

Wiec to jest jedna strona sytuacji, w ktorej znajduje sie odsuniety od wplywow byly szef prezydenckiej kancelarii, czlowiek, ktory wykreowal dwoch premierow, prezydenta, marszalka sejmu i jeszcze paru pomniejszych dygnitarzy. Druga strona…

Druga strone opisze anegdota z innych, wspolczesnych nam czasow. Jeden z moich przyjaciol, zagorzaly antykomunista i prawicowiec, swego czasu dzialacz podziemia, z tych, ktorzy nie doczekali sie potem holdow, bo dzialali w podziemiu nieslusznym, wybral sie wraz z doroslym synem protestowac przeciwko ingresowi bylego TW, arcybiskupa Wielgusa. Do ingresu, jak Panstwo zapewne pamietaja, nie doszlo, bo w ostatniej chwili, najprawdopodobniej po interwencji prezydenta Kaczynskiego, powstrzymal go papiez Benedykt XVI – ale w warszawskiej katedrze tlumnie stawily sie "moherowe" bojowki ojca Rydzyka, ktore powyzsza wiadomosc wprawila w istny szal i histerie. Wscieklosc te wyladowywali radiomaryjcy wlasnie na ludziach w rodzaju mojego znajomego, stojacych pod katedra z transparentami "Wielgi wstyd", plujac na nich, ublizajac od Zydow i masonow, okladajac parasolkami i piesciami. Po kolejnej porcji takich wyrazow dezaprobaty syn poklepal mojego kolege po ramieniu i powiedzial: "Zdajesz sobie sprawe, tato, ze to jest NASZ ELEKTORAT?".

Otoz wypchniecie pomiedzy rozdrobnione partyjki prawicy, tak mi sie wydaje, musialo byc dla Kaczynskiego doswiadczeniem podobnym. Jego "manewrowanie" mialo wygladac zupelnie inaczej – nie przypadkiem nazwal swa partie "Porozumieniem Centrum", a nie "Porozumieniem Prawicy". Manewruje sie najlepiej, chyba nie trzeba tego tlumaczyc, bedac posrodku – z lewej majac Familie, z prawej ZChN. Przez caly czas Kaczynski staral sie taka wlasnie srodkowa pozycje zachowac, tworzac wygodne dla niego kryteria podzialu sceny politycznej – dlatego na przyklad dosc szybko wyciszyl prokapitalistyczna rynkowa retoryke hasel o "przyspieszeniu", ktora zanadto upodobniala go do srodowiska "Wyborczej", narzucajac jako przedmiot sporu

kwestie pozostawania komunistow w zyciu publicznym, co ustawialo to srodowisko, jako sojusznika i obronce postkomunistow, wyraznie na lewo od niego.

Ale po upadku Olszewskiego mogl sobie powiedziec tylko "sila zlego na jednego" i rozpoczac walke na nowym polu, gdzie trzeba bylo odebrac rywalom serca wyborcow podatnych na krzyki, ze Balcerowicz zniszczyl Polske, prywatyzacja to zlodziejstwo, kapitalizm – wyzysk i tak dalej. W masie centroprawicowego drobiazgu trwala zajadla licytacja, kto jest bardziej zdecydowanym wrogiem "nowej Targowicy", lepszym patriota i wiekszym przyjacielem ludu. W tej licytacji Kaczynskiemu niezrecznie bylo uczestniczyc – jako czlowiekowi, ktory bronil kiedys reform i nigdy nie zdobyl sie (oddajmy mu te zasluge) na podjecie idiotycznej retoryki o "zniszczeniu i wyprzedaniu" Polski. Idiotycznej, bo, rzecz niby oczywista, ale przerastajaca pojmowanie tuzow owczesnej prawicy, skoro znekanym Polakom mowilo sie, ze Solidarnosc ich okradla, to sie ich namawialo, zeby glosowali nie na jakichs tam postsolidarnosciowych neptkow, ktorych jednego od drugiego nie odrozniali, tylko "na komucha". Przemawialo przeciwko Kaczynskiemu i to, ze jego brat byl w Magdalence i dlugo pozostawal zastepca Walesy w Solidarnosci, i to, ze PC gotowe bylo wejsc do rzadu Suchockiej. Gdyby Olszewski nie byl taka… Gdyby nie byl taki, jaki byl, to pewnie by w tym momencie zdolal wyjac Kaczynskiemu nie tylko polowe poslow, ale cala w ogole partie. Czy raczej to, co z niej zostalo, poniewaz wielu dzialaczy nie zamierzalo wtedy klasc glow pod lokomotywe, idac za Kaczorem na wojne jednoczesnie przeciwko Walesie, udecji i komunie, o prawicowym drobiazgu nie wspominajac. W tej czesci jest na przyklad pozniejszy wspolpracownik Lecha Kaczynskiego w warszawskim ratuszu i Belwederze oraz prezes TVP, Andrzej Urbanski, ktory przenosi sie do liberalow – ale jemu akurat zostanie to za czas jakis wybaczone.

Teraz to juz nie sa manewry, ale "plywanie rozpaczliwcem". Niemniej Kaczynski ma tez w swoim reku atuty i najmniejszym z nich jest martyrologia, choc rozgrywa te karte, prowadzac swych zwolennikow na Belweder – pod paly policji, bo resorty silowe pod Walesa zachowuja sie jak za starych, dobrych lat rozpedzania "rozwydrzonych wyrostkow"; ale trudno mu w tej kwestii przelicytowac Olszewskiego.

Chcialbym, sam majac serce po prawej stronie i pamietajac te czasy z wlasnej gornej, chmurnej i naiwnej mlodosci, spuscic juz

na caly ten centroprawicowy cyrk zaslone milczenia i jednym zdaniem przewinac historie az do afery Rywina, jak Proust ze swoim "a potem minelo czterdziesci lat". To, co wtedy wyrabiali politycy prawicowi, zadnemu z nich nie przynosi chwaly, a nielicznym tylko nie przynioslo wstydu. Do tych nielicznych zaliczam Korwina, ktory wraz z calym UPR zaznaczal zawsze, ze nic go z ta banda narodowych socjalistow nie laczy (co prawda wszyscy wowczas byli "jedynymi prawdziwymi prawicowcami") i trzymal sie od wszelkich ich "konwentow swietej Katarzyny" z dala. A takze Kaczynskiego. Podczas najwiekszego rozpetania emocji, najbardziej histerycznej licytacji w populistycznych okrzykach i wzajemnych oskarzeniach o zdrade zachowal powsciagliwosc. Oczywiscie, powtarzajac swoje rozpoznanie o rzadzacym Polska postkomunistycznym Ukladzie, o tym, w jaki sposob komunisci zapewnili sobie uprzywilejowana pozycje, formulowal je teraz znacznie mocniej, lecz w granicach rozsadku. Pozwolil sobie nawet na uwage – w przywolywanym juz Lewym Czerwcowym – ze "prawica wreszcie musi sie nauczyc odrozniac ludzi zaangazowanych od oczywistych wariatow".

Powiedzmy sobie szczerze – nie nauczyla sie.

W starym kawale partyzanci bija sie z Niemcami, bija, az przychodzi lesniczy i wywala wszystkich z lasu. Mniej wiecej tak samo skonczyla sie historia "integracji polskiej prawicy", przy czym role lesniczego odegrali pospolu zwiazek zawodowy "Solidarnosc" oraz wyborcy. A scislej, ta czesc wyborcow – gdzies jedna czwarta – ktora identyfikowala sie z haslami patriotycznymi, antykomunistycznymi i tradycyjna moralnoscia. Wyborcy ci przez caly czas trwania na prawicy kompromitujacych ja bojow oczekiwali jakiegos silnego, zdolnego wejsc do sejmu i reprezentowac ich ruchu politycznego, spelniajacego te trzy warunki. Nie bardzo rozumieli, o co w ogole zra sie ci wszyscy kieszonkowi wodzowie i dlaczego nie potrafia ze soba wspolpracowac, dlaczego poszli do wyborow w takim rozproszeniu, ze do sejmu nie dostal sie nikt z prawicy, poza – jesli mozna ich do niej zaliczyc – kilkoma kapeenowcami i Walesowskimi pieczeniarzami z efemerycznego BBWR; sprawilo to, ze jedna czwarta wyborcow nie miala w tym sejmie swoich politykow, a byl to sejm, ktory poza innymi konfiturami rozdzielil koncesje dla prywatnych stacji radiowych i telewizyjnych oraz definitywnie przyklepal uklad w mediach panstwowych, co wszystko do dzis ma ogromne konsekwencje (to znaczy, oczywiscie, podzielila "krajowa rada tego i owego", jak ja nazywaja zartownisie z "Wprost", ale wybrana wlasnie w tej

kadencji, nie wdawajmy sie w szczegoly). Oczekiwanie bylo tak silne, ze przez nastepne lata wszyscy owi kieszonkowi wodzowie centroprawicy zajeci byli zreszta, tu przypomne krotko, co pisalem wczesniej, intensywnym pozorowaniem integracji. Wieksze partie tworzyly wiec jakies kolejne przymierza i koalicje, calkowicie picowane, ktorych dzialalnosc ograniczala sie do wspolnych wystepow liderow na wiecach i pisania szumnych oswiadczen, mniejsze probowaly sie wieszac u klamek biskupow i komisji zwiazkowych, wszedzie traktowane, hm, chlodno. Wszystkie te pozorne koalicje porozpadaly sie jak zdmuchnieta gora lisci, kiedy przyszedl czas prawdy, czyli wyborow prezydenckich – i okazalo sie nagle, ze narod, wybierajac wiekszoscia glosow prezydentem Kwasniewskiego, przy okazji – w siedmiu procentach konkretnie – wskazal jako zjednoczyciela prawicy Jana Olszewskiego, ktory profilem, zyciorysem i opinia polityka moze i niezbyt zdolnego, ale bez watpienia na wskros uczciwego, stosunkowo najlepiej pasowal do wyobrazen o prezydencie. "Pan Jan" jednak znowu skaszanil, bo kiedy po wyborach i zalozeniu Ruchu Odbudowy Polski slupki zaczely mu rosnac jak szalone, uznal bitwe za wygrana i biezace kierowanie skupianiem wokol siebie centroprawicy powierzyl Macierewiczowi. A moze Macierewicz sam je sobie powierzyl, a Olszewski tylko nie zaprotestowal. W kazdym razie oferta zjednoczeniowa, jaka w imieniu bylego premiera zlozyl reszcie prawicy jego byly minister spraw wewnetrznych, dala sie streścic w slowach: wszyscy poszli won! I wszyscy poszli won, z placzem i juz bez stawiania zadnych warunkow, pod komende Solidarnosci. A Solidarnosc byla wprawdzie cieniem samej siebie sprzed lat, ale na mocy ustawy zagwarantowane miala srodki na utrzymanie swych struktur, podczas gdy calej partyjnej biedoty nie stac bylo na porzadny powielacz. W ten sposob powstala Akcja Wyborcza Solidarnosc, ktora szybko odciagnela prawicowy elektorat od ROP, tak ze gdy przyszlo do wyborow, ugrupowanie Olszewskiego, przez krotka chwila uwazane za juz, juz obejmujace w Polsce niepodzielna wladze, ostatecznie wprowadzilo do parlamentu dwoch poslow. Jednym byl sam Olszewski, drugim – pamietaja Panstwo? – Jaroslaw Kaczynski.

Kaczynski wystartowal z listy ROP z dobrego miejsca, udzielonego mu jako wyraz wdziecznosci za dawne czasy przez mecenasa (niezbadane sa sciezki…), choc jego wlasna partia, PC, czy raczej to, co z niej do tego czasu zostalo, weszla w sklad AWS.

No dobrze, udalo nam sie wiec zwiezle przewinac wydarzenia

do roku 1997 i tu sie na chwile zatrzymajmy. Bo przeciez nie pisze tego wszystkiego, by opisac dzieje III RP (trzeba by to zrobic znacznie staranniej), ale zeby zglebic, co i w jaki sposob ukształtowało Jaroslawa Kaczynskiego i jak te doswiadczenia wplynely na ksztalt "rewolucji moralnej", do ktorej przystapi w roku 2005.

Sadze, ze ten wlasnie okres – od upadku Olszewskiego do roku 1997, gdy znalazl sie na dnie politycznego upadku, pozostawił na przyszlym prezesie PiS trwały i w skutkach fatalny slad. Tak zwykle jest z przegrana, a przegrana byla tu niewatpliwa. Dzieki sukcesowi Kwasniewskiego w 1995 i przejeciu pelni wladzy przez postkomunistow PC uniknelo wprawdzie kompletnej rozwalki, bo przestalo na tym komukolwiek zalezec – prokuratorzy sie odwalili, nieznani sprawcy zajeli ludzmi stojacymi na drodze mafii paliwowej i podobnych jej gremiow, szafe Lesiaka zamknieto na klucz. Ale wojna na wszystkich frontach, w ktora sie Kaczynski uplatal, skonczyla sie tak, ze po prostu ugrzazl w niej jak w bagnie.

Jakie wnioski z tego wyciagnal? Mozna go oczywiscie spytac, ale dopoki polityk nie odszedl definitywnie na emeryture, nie ma co liczyc z jego strony na szczere wyznania. Moge sie tylko domyslac.

Po pierwsze, musial sie prezes konajacego w awuesowskiej miagwaninie PC jeszcze mocniej utwierdzic w przekonaniu, ze nie ma polityki bez kasy. Po drugie, sadze, ze ten okres dopelnil traumatycznych doswiadczen z okresu "wojny na gorze" i rzadu Olszewskiego, ostatecznie wyrabiajac w Kaczynskim nawyk polegania tylko na samym sobie. Jego krytycy wiele mowia o niezdolnosci Kaczora do wspolpracy z kimkolwiek, ale powiedzmy sobie szczerze, skad mialaby sie u niego taka zdolnosc pojawic? Ani w kregach postkorowskich, ani w wypadku Olszewskiego, ani pozniej w calym tym cyrku "integracji prawicy" nie mial Kaczynski zadnego partnera do wspolpracy – stale mial do czynienia z ludzmi, ktorzy wyzywali sie w gledzeniu i holdowali jakims bajkom, a to ze narod bedzie sluchal "autorytetow", a to ze o niczym innym nie marzy, tylko zeby zrobic nastepne powstanie, a juz co najmniej "Nowy Sierpien"…

Gdzies w tym momencie musi sie krystalizowac w Kaczynskim przekonanie, ze jesli kiedykolwiek wroci do politycznej gry, a zwlaszcza do wladzy, to powinien sie w niej opierac na ludziach poslusznie wykonujacych polecenia, pracowitych, oddanych i w

miare moznosci pozbawionych wlasnej inicjatywy i pomyslow. W ogole wydaje sie, ze wlasnie pod wplywem doswiadczen lat dziewiecdziesiatych Kaczynski popada w gleboka, hm… Nazwijmy to ladnie "utrate zludzen" co do ludzi, choc, jak pisalem, jest to w ogole choroba zawodowa politykow. Kazdy poza "oczywistymi wariatami" jest do rozegrania, kazdy jest do kupienia, nie ma sie co silic na szukanie uczciwych – trzeba szukac poslusznych.

Innymi slowy – odnosze takie wrazenie i mozna to udowodnic analiza jego wypowiedzi z roznych okresow – Kaczynski pod wplywem doswiadczen lat dziewiecdziesiatych staje sie coraz bardziej niesklonny do rewidowania swoich pogladow i wycofywania sie z nich. Jesli siega mysla w przeszlosc i rozwaza swoje kleski, za kazdym razem dochodzi do wniosku, ze bledow nie popelnial – "nie bylo innych mozliwosci" to czesta odpowiedz w jego wywiadach – zabraklo mu tylko mozliwosci, nazwijmy to, realizacyjnych. Na tym sie trzeba skupic. Od stwierdzenia, ze sie nie popelnilo w konkretnej sytuacji bledow, bardzo blisko zas do przekonania, ze sie w ogole nigdy bledow nie popelnia…

Musi tez, bo to oczywiste, miescic sie we wnioskach Kaczynskiego stwierdzenie, ze idealy idealami, ale trzeba miec podstawy do rzadzenia, trzeba miec parlamentarna wiekszosc. Przeciez gdyby Olszewski ja mial, a miec mogl, zamiast nadymac sie wlasna niezlomnoscia, cala historia potoczylaby sie inaczej.

Jest rok 1997, Jaroslaw Kaczynski jest poslem niezaleznym, co znaczy, ze ma zapewnione podstawy materialnego bytu oraz pieniadze na biuro – ale nie ma zadnego wplywu na rzeczywistosc. Brat (zapomnielismy o tym w swoim czasie wspomniec) przestal juz byc prezesem NIK, ktorym zostal wybrany w ostatnich dniach sily PC, w roku 1992; od dwoch lat zajmuje sie praca na uczelni, zupelnie zerwawszy z polityka. Jaroslaw tez powaznie rozwaza, czy nie zrobic tego samego – ciekawe, jak potoczylaby sie wtedy historia polityczna III RP. Tylko ze on nie bardzo ma sie dokad wycofac; nigdy przeciez, wyjawszy zatrudnienie na uczelni w bardzo mlodych latach, nie zajmowal sie niczym innym niz polityka. Zostal przy nim Ludwik Dorn oraz, niczym wierny Soroka, kierowca, popularny wsrod dziennikarzy "pan Tadzio". I to praktycznie wszystko.

Jaroslaw Kaczynski zamanewrowal sie do kata. Nic nie moze, nic od niego nie zalezy. Siedzi w opustoszalym biurze przy ulicy Pulawskiej w Warszawie i zastanawia sie nad zakonczeniem

politycznej kariery. W nienapisanym scenariuszu do nienakreconego filmu jest ta scena kontrapunktem dla sceny z krzeslem Kuronia – Kaczynski odstawiony kompletnie na boczny tor, trawiacy przegrana, niemogacy wiedziec, ze karta jeszcze sie odwroci. Fakt, ze ten okres odstawienia w jego wypadku bedzie znacznie krotszy niz u wspomnianego wczesniej niefortunnego premiera i naczelnego wodza na emigracji. Ale nie pozostaje bez sladu.

Zrobmy tutaj przerwe i dla odmiany utnijmy sobie rozdzial zupelnie o czym innym.

Inteligencja zastepcza

Cos Panstwu zacytuje. Na razie bez podania zrodla:

–Po drugiej wojnie swiatowej zaczela sie w Polsce formowac zupelnie nowa warstwa spoleczna, ni to srednia, ni inteligencka.

–Inteligencja pracujaca.

–Ta, pozal sie Boze, w porownaniu z dawna, przedwojenna, jest cwierc-srednia i cwierc-inteligencka. Jakis ersatz, cos zastepczego, co mialo zapelnic oproznione pola po dawnych przedsiebiorcach, kupcach, fabrykantach, bankierach oraz po dawnych inteligentach, nauczycielach, lekarzach, adwokatach, clerkach rozmaitych szczebli. Zastapic zas nie mogla, bo tamta formowala sie przez wieki, a te ksztaltowano w oderwaniu od korzeni i tradycji, na zasadzie wyciagania ludzi z nizszych warstw spolecznych.

–Bo "nie matura, lecz chec szczera…"

–I wychowywano w warunkach systemu komunistycznego, gospodarki panstwowej, scentralizowanej, nakazowo-rozdzielczej.

Ten brutalnie szczery opis grupy spolecznej, ktora uchodzi u nas za elite, nie zostal sformulowany przez zadnego "prawicowego oszoloma" ani "kaczyste". Nie powiedziala tego zadna z tych osob, ktorych zacytowanie jest dla pisarczyka z "Gazety Wyborczej" wystarczajacym powodem, aby na uzytek czytelnikow tego organu, wsluchanych w jego wyroki z ta sama ufnoscia, jaka w Rodzinie Radia Maryja otacza sie wskazania wspolpracownikow Ojca Dyrektora, opatrzyc recenzowany tekst etykieta "tego czytac nie warto, i nawet wiecej, nie wypada". W

takim wypadku zreszta bym nie cytowal. Czytelnik, z ktorym Czas wrzeszczacych staruszkow nie jest pierwszym naszym spotkaniem, zauwazyl juz zapewne, ze piszac o warszawsko-krakowskim establishmencie, przebiegle unikam cytowania jego zdeklarowanych wrogow. Swiadectwa przyjaciol bywaja bardziej neglizujace.

Powyzszy fragment pochodzi ze wspomnianej juz w poprzednim rozdziale, wydanej w roku 1994 ksiazki Teresy Toranskiej My – tym razem z rozmowy z Wiktorem Kulerskim, zasluzonym dzialaczem opozycji demokratycznej, wiceministrem edukacji w rzadzie Tadeusza Mazowieckiego i wspolzalozycielem Unii Demokratycznej, a potem dzialaczem organizacji pozarzadowych. Nie spotkalem sie nigdy z proba zdyskredytowania Kulerskiego jako kaczysty, oszoloma, frustrata, chorego z nienawisci etc. Nic podobnego nie spotkalo rowniez Teresy Toranskiej ani tej konkretnej ksiazki. Przeciwnie, autorka byla na jedynie slusznych lamach wielokrotnie chwalona, a inne fragmenty cytowanej tu rozmowy z Kulerskim – poswieconej glownie krytyce prob wywierania przez hierarchow koscielnych wplywu na wladze po roku 1989 – przywolywane bywaly przez opiniotworcze czynniki warszawsko-krakowskiego salonu.

Moge wiec chyba uznac, ze mamy do czynienia z dzielem posiadajacym salonowe nihil obstat – i zgodzic sie z opinia Wiktora Kulerskiego w calej rozciaglosci. Zreszta co tu mowic, nie jest to bynajmniej opinia oryginalna ani odosobniona. Mozna ja znalezc w opracowaniach socjologow i w tekstach publicystycznych. W pierwszym wypadku musi jednak byc ukryta w gaszczu niezrozumialych dla laika slow, a w drugim jakos zrecznie oslodzona. Inaczej moglaby narazic autora na podejrzenie o "antyinteligenckie kompleksy", a antyinteligenckie kompleksy to jedno z tych oskarzen, na podstawie ktorego natychmiast usuwa sie oskarzonego z salonu.

Na szczescie sa tez autorzy, nad ktorymi polski salon nie ma zadnej wladzy. Owa warstwe cwierc-srednia i cwierc-inteligencka opisal dosc dokladnie Aleksander Solzenicyn. Nie jest ona przeciez w koncu zadna polska specyfika. We wszystkich krajach ogarnietych komunistyczna pozoga jednym z pierwszych celow nowej wladzy bylo wyniszczenie dotychczasowej elity. Mordowano ksiezy, nauczycieli, prawnikow, fabrykantow, urzednikow panstwowych. Niedobitki usuwano z uniwersytetow pod zarzutem "reakcyjnosci", a ich potomkow wyniszczano w kopalniach uranu i stroj-batalionach. Represje te po

Chruszczowowskiej odwilzy zelzaly, ale na przyklad w Polsce, gdzie zreszta komunistom bylo znacznie latwiej niz w innych demoludach, bo ogromna czesc eksterminacyjnej roboty wykonali za nich Niemcy, jeszcze w latach szescdziesiatych potomkowie arystokratycznych rodzin mieli administracyjny zakaz osiedlania sie w miastach.

Zeby jednak socjalistyczne panstwo moglo funkcjonowac, musialo wytepiona elite zastapic jakas nowa. Wyrok nie mial wiec charakteru bezwzglednego; z kregow dawnej inteligencji wyciagano uwiedzionych komunizmem kolaborantow. Wielu inteligentow juz przed wojna dalo sobie zaszczepic milosc do lewicy i przeradzajace sie w fatalizm przekonanie, ze mimo wszelkich – cisnelo sie dodac "nieuniknionych" – bledow i wypaczen tylko socjalizm daje ludzkosci nadzieje na lepsza przyszlosc. Wielu takze zachorowalo juz wtedy na tak silna endekofobie, ze skoro czerwony obiecal im ostateczne pognebienie "ciemnogrodu", gotowi byli zamknac oczy i na Katyn, i na meczenstwo Armii Krajowej, i na wszystko w ogole. Wielu wreszcie, zdajac sobie sprawe z rozmiarow kleski i poniesionych strat, gotowych bylo pracowac na rzecz ocalenia bodaj resztek narodowej substancji, chocby pod rzadami samego diabla (zreszta takie to wlasnie byly rzady). Komunisci ich tolerowali, dopoki musieli, ale uruchomili wiele mechanizmow obliczonych na to, aby i tych niedobitkow prawdziwej inteligencji oraz ich rodziny stopniowo deprawowac – co sie czesto udawalo, zwlaszcza po Pazdzierniku i kolejnych "pieredyszkach", pozwalajacych rozgrzeszac sie nadzieja, ze rezim z czasem przywdzieje jakas ludzka maske. Nieprzejednanych zas spychano na margines, gdzie musieli sie cieszyc, ze w ogole pozwolono im zyc. Walka o dusze polskiej inteligencji trwala dlugo i zasluguje na osobna ksiazke, ale w kraju poddanym policyjnej przemocy wynik jej byl z gory przesadzony – jesli nie na czele narodu, to na jego wierzchu, niczym w Mickiewiczowskiej lawie, znalezc sie musieli specjalnie w tym celu wyhodowani ludzie "nowi".

Aleksander Solzenicyn nazwal tych "nowych", te, mowiac Kulerskim, warstwe cwierc-srednia i cwiercinteligencka, jaka wychowal realny socjalizm, mianem "obrazowanszczina". Do jego diagnozy i terminu odwolal sie Ludwik Dorn, wowczas pelniacy funkcje ministra spraw wewnetrznych i administracji. W rozmowie z "Rzeczpospolita" spolszczyl solzenicynowskie slowo – niezbyt fortunnie – na "wyksztalciuchy".

Nie wierze, zeby Panstwo tego slowa nie slyszeli. Stalo sie

jednym z ulubionych propagandowych wytrychow ostatnich dwoch lat i slowem bodaj najczesciej sie powtarzajacym we wrzasku naszych tytulowych staruszkow.

Medialny oddzwiek tego wywiadu przerosl wszelkie spodziewanie. Ale przypomnijmy, ze byl on udzielany juz w czasie najostrzejszej propagandowej walki, juz po tym, jak Jaroslaw Kaczynski wypowiedzial swoje slawne slowa o "lze-elicie", ktora opanowala polskie zycie intelektualne, i po tym, jak wypomnial redaktorom "Gazety Wyborczej" rodzinne korzenie w Komunistycznej Partii Polski; po tym rowniez, jak rzady PiS ogloszone zostaly zagrozeniem dla demokracji i kompromitacja Polski na arenie miedzynarodowej, a wiekszosc autorytetow moralnych, aktorek z popularnych seriali i gwiazd estrady zdazyla juz udzielic prasie wyznan tego rodzaju, ze w kraju zrobilo sie "duszno", ze gdy widza za soba swiatla obcego samochodu, boja sie, czy to nie naslane przez wladze bojowki, i ze kladac sie wieczorem do lozka, nie maja pewnosci, czy nie zbudzi ich rano walenie do drzwi tajnej policji. (Panstwo sadza, ze cos tworze? Alez nie, to doslowne cytaty. Po prostu Panstwa pamiec jest litosciwa i nie przechowuje roznych durnot, ktore wygadywali wtedy podnieceni toczona walka z "rezimem" intelektualisci i celebryci). Okreslenie "wyksztalciuchy" natychmiast wiec zostalo w owej walce uzyte w sposob, ktorego ani Ludwik Dorn, ani autorka wywiadu (w ogole dotyczacego innych spraw), ani tym bardziej Solzenicyn nie przewidzieli.

Otoz przez "Gazete Wyborcza", "Polityke", TVN i basujace im media drukowane oraz elektroniczne slowo to natychmiast zostalo propagandowo "odkrecone". I ide o zaklad, ze wiekszosc z Panstwa uslyszala je po raz pierwszy wlasnie w owym odkreconym znaczeniu, nic nie wiedzac o zadnym Solzenicynie i o "obrazowanszczinie". W propagandzie warszawki i krakowka "wyksztalciuch" nabral znaczenia analogicznego do amerykanskiego okreslenia "jajoglowy" (albo bolszewickiej "inteligenszcziny") – uczyniono zen synonim slowa "inteligent", okreslenie czlowieka wyksztalconego, madrego, obelzywe, ale w gruncie rzeczy stanowiace powod do martyrologicznej dumy, bo pokazujace, z jaka wrogoscia, wedle zasady sapere aude!, borykac sie musi ktos taki ze strony ciemnoty.

Niekiedy swiadomie nakrecana propaganda tak doskonale trafia w ludzka potrzebe poslugiwania sie w mowie i mysleniu utartymi stereotypami, ze odkrecic potem jej skutki jest trudniej, niz przebic glowa mur. Niemal caly swiat nazywa neofaszystow

"skrajna prawica", choc, jako zywo, zarowno faszyzm wloski, jak i hitleryzm stanowily schizmatyckie odlamy ruchu socjalistycznego. Ustroj stworzony przez Hitlera nazywal sie narodowym socjalizmem, jego partia, Narodowo-Socjalistyczna Robotnicza Partia Niemiec, swiecila 1 maja, uzywala tej samej symboliki, czerwonych sztandarow, i w ogole uwazala sie za jedynie sluszna realizacje socjalistycznej doktryny (tak bylo zreszta w calym tym ruchu – bolszewik, mienszewik, eserowiec, socjaldemokrata, rewizjonista czy inna czerwona swolocz nienawidzili sie miedzy soba i tepili z ta sama sekciarska zajadloscia, z jaka przed wiekami chrzescijanie gotowi byli sobie platac Iby o to, czy Duch Swiety pochodzi od Ojca i Syna, czy od Ojca przez Syna). Wystarczy przeczytac Mein Kampf, by stwierdzic, ze wbrew calej lewicowej propagandzie Adolf Hitler byl caly, kosc z kosci i krew z krwi, tworem socjalistycznej utopii; nawet jego obsesyjny antysemityzm i przekonanie, ze pewne rasy trzeba dla dobra ludzkosci wytepic, podobnie jak reakcyjne klasy spoleczne, nie byly niczym oryginalnym, bo te same mysli znajdziemy i u Marksa, i u innych ojcow zalozycieli ruchu (jesli oczywiscie zechce nam sie poszukac, gdyz popularne biografie i opracowania, pisane przez wyznawcow, wstydliwie pomijaja pewne watki tych wiekopomnych przemyslen). Ide zreszta o kolejny zaklad, ze dlatego wlasnie Mein Kampf jest od lat ksiazka najsurowiej zakazana, a wydawca, ktory osmielil sie opublikowac ja po polsku, musial co predzej wycofywac naklad z hurtowni, placic kary i przepraszac. Bynajmniej nie dlatego, zeby lektura rojen mlodego Adolfa mogla kogos zarazic nazizmem, ale dlatego wlasnie, ze moze otworzyc oczy, czym nazizm naprawde byl i skad sie wzial.

Wezmy przyklad inny, swiezszy i na pewno budzacy mniejsze emocje – co zrobily media ze slowem "ekolog". Samo slowo z charakterystyczna koncowka "-log", pochodzaca od greckiego logos, sugeruje, ze chodzi o naukowca. I rzeczywiscie, w scislym znaczeniu ekolog to naukowiec. Na uniwersytetach i politechnikach sa wydzialy ekologii, ten, kto taki wydzial skonczy i uzyska odpowiedni dyplom, zasluguje na miano ekologa. Dokladnie tak samo jak to jest z filologiem, biologiem czy geologiem.

Ale w medialnej nowomowie ekolog to dzialacz tak zwanych organizacji ekologicznych. Moze byc kompletnym dyletantem w dziedzinie ekologii (i z reguly jest), moze byc agresywnym durniem, laczacym skrajna ignorancje z doktrynerskim przekonaniem, iz jako nosicielowi jedynie slusznej, swietej

prawdy wolno mu wszystko (i z reguly jest), a media, nie osmielajac sie narazac wyznawcom nowej, modnej akurat religii, nigdy nie nazwa go dzialaczem, aktywista, "zielonym", a juz tym bardziej zwyklym swirem, tylko ekologiem wlasnie. To nic, ze przeciez mianowanie "ekologami" jakichs nawiedzonych, co poprzypinali sie do drzew nad Rospuda, ma tyle samo sensu, co gdyby zadymiarzy, ktorzy w jakims Davos albo na innym szczycie panstw rozwinietych rzucaja kamieniami w policje, nazywac ekonomistami. Tak sie przyjelo i chocbys zdarl gardlo, nie poradzisz – cymbal z wytatuowanymi na lysym lbie runami SS to skrajna prawica, zielony to ekolog. A wyksztalciuch to tyle samo, co czlowiek wyksztalcony i z tego wlasnie powodu, ze jest wyksztalcony, przez niektorych nielubiany. Wystarczylo pare tygodni, zeby uksztaltowac taki, przepraszam za filologiczne wyrazenie, uzus tego slowa, i nawet publicysci "Dziennika", nazywanego przez pracownikow "Gazety Wyborczej" pogardliwie "der Dziennikiem", powtarzaja to za nia bezmyslnie. "Jestem wrogiem PiS, wyksztalciuchem od wielu pokolen", przedstawia sie w liscie do ulubionej redakcji (ktora te prezentacje z luboscia drukuje) czytelnik "Wyborczej". Ksenofanesa prezentuje ta sama gazeta jako "wyksztalciucha sprzed 2500 lat", Normana Mailera jako "amerykanskiego wyksztalciucha", w Katyniu, przypomina najbezczelniej, mordowano "owczesnych wyksztalciuchow", i tak dalej.

Coz, glowa muru nie przebije. Po prostu bede staral sie tego slowa nie uzywac, chyba ze w cytatach, a kazdego, kto przyswoil je sobie w przytoczonym powyzej propagandowym znaczeniu, uwazam za osobe w najlepszym razie bezmyslna.

Jesli jakis stereotyp okazuje sie tak chwytliwy i tak niemozliwy do zwalczenia, nie mozna tego wytlumaczyc jedynie sprawnoscia i wplywem mediow, ktore go wrzucily do obiegu. Trzeba przyznac, ze stereotyp ten trafil w oczekiwania, ze wielu ludziom dobrze przypasowal do sposobu myslenia, okazal sie dla nich poreczny i wygodny.

I tak jest. Jeszcze dwa lata temu, piszac o michnikowszczyznie, zmuszony bylem dokonywac leksykalnych wygibasow, ilekroc chcialem jakos okreslic ludzi, do ktorych adresowala ona swoj przekaz i wsrod ktorych najliczniej zdobywala wyznawcow. Slowa "obrazowanszczina", przyznaje, wtedy jeszcze nie znalem, bo w rosyjskim jestem niegramotny. Cytowalem wiec ironicznie uzywane przez michnikowszczyzne samoidentyfikacje – "ludzie rozumni", "ludzie na pewnym poziomie" i temu podobne. Ale to

nie byly poreczne nazwy dla tej grupy. W mowie michnikowszczyzny takiej nazwy wowczas nie bylo, wystrzegala sie ona jak ognia pojecia, w ktorym daloby sie zamknac jej zwolennikow, z prostej przyczyny, o ktorej zreszta pisalem: ambicja michnikowszczyzny bylo przewodzic nie jakiejs grupie, ale po prostu wszystkim. Nie chciala byc elita lewicy, prawicy czy centrum, chciala byc ponad nimi, jako najwyzszy wzor dobrego smaku, intelektualnego wyrafinowania i wrazliwosci etycznej. Nie zamierzala byc strona w debacie publicznej, lecz jej kwintesencja, chciala ja cala ogarniac, zamykac w sobie i dokonywac jej syntezy – przy okazji odcinajac i skazujac na niebyt tresci, ktore zdaniem michnikowszczyzny w debacie owej pojawiac sie nie powinny. Jakiekolwiek okreslenie sie pomniejszaloby ja we wlasnych oczach.

Po wyborczym zwyciestwie PiS i PO (dlugo trwalo, zanim ta druga partia, ktora wszak ukatrupila swego czasu "wujka Bronka" i jego Unie, zyskala najpierw wybaczenie, a potem aprobate Salonu – przy czym i jedno, i drugie nie byloby mozliwe bez przerazenia kolejnymi sukcesami Kaczynskiego), trudno juz bylo zachowac te iluzje. Demokraci, w ktorych michnikowszczyzna zainwestowala najwiecej, i SLD, ktory sklonna byla z pewnymi drobnymi zastrzezeniami akceptowac jako sile sojusznicza, odeslani zostali przez wyborcow na margines; PD nawet zgola w niebyt. Definitywnie skonczyla sie dla michnikowszczyzny faza ekspansji, zaczal sie okres oblezenia – a w oblezeniu samoidentyfikacja jest potrzebna, i to najlepiej taka, ktora podkresla, ze jest sie atakowanym. Poczatkowo sluzylo do niej uzyte przez Jaroslawa Kaczynskiego w jednym z wystapien sejmowych okreslenie "lze-elita" – i gdyby nie Dorn, zapewne to wlasnie to okreslenie po wrzuceniu do google'a owocowaloby dzis kaskada niezliczonych zastosowan. Ale "wyksztalciuchy" podpasowaly lepiej.

Poza wszystkimi innymi wzgledami poreczne to slowo ma jeszcze jeden plus: uodparnia obrazowanszczine na wszelka krytyke. Wyksztalciucha nie mozna krytykowac, bo zostal on juz skrytykowany, nawet wrecz zniewazony przez cierpiacych na antyinteligenckie kompleksy populistow z PiS. Kazdy, kto chcialby w tej sytuacji dopatrywac sie jakichkolwiek ulomnosci polskiej inteligencji, niejako automatycznie zalicza sie do tychze populistow, a wiec automatycznie wszelkie jego zarzuty zostaja uniewaznione.

Wspominalem juz o pompatycznej "mowie pogrzebowej dla IV

RP", ktora zaraz po wyborczym zwyciestwie Tuska opublikowal w swojej gazecie Michnik, i o jej kluczowej tezie – Polska ma lepsza inteligencje, niz na nia zasluzyla. Wlasciwie jest to, jesli pominac stylistyczne ozdobniki i charakterystyczne dla autora obsesje, jedyna zawartosc tego tekstu: wy, moi sluchacze, inteligenci polscy, jestescie wspaniali. Obroniliscie demokracje, milujecie wolnosc, stanowicie ostoje wszelkich wartosci… i temu podobne. Przedziwny panegiryk na czesc inteligencji, przywodzacy na mysl przemowe generala, ktory po wygranej bitwie dziekuje swym zolnierzom i wynosi pod niebiosa, nie bojac sie przesady, ich zalety.

Coz, mozna powiedziec – moment byl szczegolny, Michnik rzeczywiscie mogl sie poczuc takim generalem, ktory bitwe wygral (choc jesli sie poczul, to nieslusznie). I to wygral w ostatniej chwili, przeciez jeszcze na miesiac przed wyborami panowala w jego obozie glucha rozpacz i bezsilne przekonanie, ze populisci znowu skazani sa na sukces. Ale wspomniany tekst nie jest jedynym, w ktorym ze wszech sil kadzi on polskiemu inteligentowi. Jest wrecz przeciwnie – subtelne dowartosciowywanie inteligenta, oczywiscie, przy jednoczesnym utozsamianiu go z wyznawca pogladow gloszonych przez michnikowszczyzne, jest stalym watkiem publicystyki Michnika i jego gazety.

Zdarzalo mi sie w tej gazecie czytywac utyskiwania na rozmaite grupy spolecznej na ich demoralizacje, zle nawyki – ale na inteligencje bodaj nigdy. Rozpoznania tego rodzaju, jakich dopuscil sie Solzenicyn, zadne uwagi o klasie cwierc-sredniej i cwierc-inteligenckiej nie mialy na lamy "Wyborczej" wstepu, a jesli gdzies przemknely, to po krawedzi szpalt.

Byl, owszem, jeden moment, gdy "Wyborcza" stala sie miejscem publicystycznej dyskusji o polskiej inteligencji, dyskusji, w ktorej padaly tezy, iz ta grupa spoleczna przezywa kryzys. Ale mylilby sie, kto by sadzil, ze chocby jako tezy do dyskusji pojawily sie tu rozpoznania bliskie Solzenicynowskim. Dyskusja ta byla reakcja na podwojne wyborcze zwyciestwo Kaczynskich – PiS w wyborach parlamentarnych i Lecha w prezydenckich – oraz na ich przedluzajace sie utrzymywanie u wladzy i generalnie sprowadzala sie do utyskiwan, ze inteligenci za malo angazuja sie w obrone zagrozonej demokracji, czyli w zwalczanie Kaczynskich. "Inteligencjo, badz!" – nawolywala z lamow "Wyborczej" zasluzona dla michnikowszczyzny pani profesor, bynajmniej nie zachecajac do zastanawiania sie, jaka

inteligencja ma byc, poza tym, ze aktywna w dzialalnosci politycznej i zaangazowana po jedynie slusznej stronie. Wszystkim bioracym udzial w dyskusji wydawalo sie oczywiste, ze sytuacja nie wymaga bynajmniej przemyslenia, jakiegokolwiek wysilku intelektualnego, a tylko i wylacznie aktywnosci: piszcie listy protestacyjne, organizujcie sie, uswiadamiajcie wszystkim, ze demokracja jest zagrozona i trzeba walczyc w jej obronie, tak jak kiedys (bardziej w utworzonym post factum micie niz w rzeczywistosci) powszechnie okazywala inteligencja swa "niezgode, odmowe i upor" komunizmowi. Marsz, marsz, marsz!

Sprawialo to zreszta wrazenie prob reanimowania trupa. Warstwa, ktora przywyklismy nazywac inteligencja, mowiac powaznie, jest swoistym wybrykiem historii. Kraje, ktorych rozwoj poszedl naturalna droga, w ogole takiego pojecia i takiej grupy spolecznej nie znaja – u nich bylo mieszczanstwo, a z mieszczanstwa stopniowo wyewoluowala owa "klasa srednia", ktorej nasza demokracja dopiero z utesknieniem wyglada. Inteligencja zas byla swoista spoleczna proteza, wytworzona tam, gdzie nie odbyla sie we wlasciwym czasie rewolucja przemyslowa, a wiec takze nie doszlo do zmian spolecznych, jakie pociagnela ona za soba na zachodzie Europy (no i znowu wrocilismy do tej historycznej fatalnosci, jaka byl brak w polskiej historii wieku XIX!) – w przytloczonej carskim samodzierzawiem Rosji i zaabsorbowanej bez reszty walka o utrzymanie narodowej odrebnosci Polsce. I to raczej w jej zaborze rosyjskim, po czesci takze w niedorozwinietej cywilizacyjnie Galicji, bo juz w Wielkim Ksiestwie Poznanskim Polacy zmuszeni byli, szybko nadrabiajac historyczne zacofanie, tworzyc swoja klase srednia (co zreszta swietnie opowiedziano w serialu Najdluzsza wojna nowoczesnej Europy).

Analogicznie do procesu opisanego przed chwila w peerelu, kiedy to komunisci musieli sie godzic na istnienie pewnej nie do konca przez nich kontrolowanej elity, gdyz byla ona niezbedna do funkcjonowania panstwa – tak samodzierzawie, postawione przed wyzwaniem technologicznego wyscigu z Zachodem, musialo sie zgodzic na powstanie grupy spolecznej kumulujacej i przekazujacej niezbedna do tego wiedze. Fatalnosc sprawy polegala na tym, ze bedac w istocie niezbedna, zarazem ze swej natury musiala sie ta grupa stac smiertelnym wrogiem samodzierzawia. Im bardziej ja z tej przyczyny samodzierzawie ograniczalo, tym bardziej byla ona swiadoma swej misji i tym wiecej nabierala destrukcyjnej mocy, az koniec koncow, gdy kleski wojenne skruszyly podstawy panstwa carow, inteligenci

zdolali w ciagu kilku zaledwie miesiecy rewolucji rozlozyc je do reszty, przygotowujac rowny grunt pod wielki zbrodniczy eksperyment bolszewizmu – ktory w szybkim czasie zrobil z inteligencja porzadek, niszczac jej wolnosciowy etos i stopniowo zastepujac "wyksztalcencami" (bo tak, a nie po dornowsku, nalezaloby zdaniem rusycystow tlumaczyc Solzenicynowski termin).

Losy inteligencji polskiej toczyly sie podobnie do losow inteligencji rosyjskiej, niekiedy rownolegle, niekiedy nieco inaczej. Przede wszystkim wobec niedorozwoju miast w dawnej Rzeczpospolitej byla inteligencja polska w jeszcze wiekszym stopniu niz rosyjska inkarnacja warstwy szlacheckiej, ziemianskiej, dziedziczac wszystkie jej cechy. I takie, jak najglebsze przekonanie, ze wlasciwie przezyte zycie wymaga poswiecenia sie wartosciom wyzszym – Ojczyznie, Wolnosci, Honorowi, ze wyzsza pozycja spoleczna naklada obowiazek, Misje. I te szkodliwe albo smieszne, jak szlachecka pogarda dla uczciwej pracy, handlu, "dorobkiewiczostwa" czy "kombinowania", sklonnosci do warcholstwa i pieniactwa i do, jakkolwiek przykro to brzmi, bezmyslnego porywania sie z motyka na slonce w przekonaniu, ze duch moze zwyciezyc materie, a sluszna sprawa predzej czy pozniej musi wygrac. Z tym zestawem cech inteligencja od samego swego zarania, od filomatow i filaretow, byla szczegolnie aktywna w polskich dazeniach wolnosciowych, a po katastrofie powstania 1863, ktore definitywnie zlamalo sile ziemianstwa, stala sie ich glownym motorem. Wlasnie owe dazenia, ustawiczne pytanie, jaka droga dojsc do wolnej Polski, i popowstancza odpowiedz udzielona na nie przez warszawski pozytywizm ostatecznie wplynely na ukształtowanie sie tradycyjnego inteligenckiego etosu. Nie rozwodzac sie nad tym, co dobrze zostalo opisane gdzie indziej, szlachecka "niepokornosc" zostala w nim wzbogacona swiadomoscia koniecznosci cywilizacyjnej modernizacji (co, niestety, z czasem popchnelo wielu ku fascynacji socjalizmem) – misje wyjscia "w pole" zastapila misja pojscia "w lud", nakaz poswiecenia sie budzeniu narodowej swiadomosci, wydobywania mas z ciemnoty i zabobonu, krzewienia nowoczesnosci. Co istotne, nakaz ten w tradycyjnym inteligenckim etosie jest nakazem pokory Nie znajdziecie u Zeromskiego ani jednej frazy, w ktorej by jego bohaterowie dawali upust swemu poczuciu wyzszosci nad ciemnota, z ktora przyszlo im sie borykac.

Wydobywam te wlasnie pokore, bo trzeba zauwazyc, iz do

czasow nam wspolczesnych ow etos polskiej inteligencji – ktora, historycznie biorac, znalazla swoj koniec w Palmirach i Katyniu – dotrwal w potworkowatej, karykaturalnej formie, wysuwajacej na plan pierwszy wlasnie bezbrzezne poczucie wyzszosci nad ludzmi "niewyksztalconymi i z mniejszych osrodkow", nad utytlanym w gnoju ciemnym chlopem, nad leniwym robolem i pazernym na forint prywaciarzem. Misja wydobycia narodu z ciemnoty zamienila sie stopniowo w prawo do pouczania owej ciemnoty, przekonania, ze my, inteligenci, zawsze wiemy lepiej, co jest dla niej dobre – i w poczucie bezwzglednej wyzszosci. Im bardziej miejsce inteligenta prawdziwego, z tradycji, z etosu i z poczucia sluzby ojczyznie zajmowal ten nowy, "inteligent pracujacy" z peerelowskiego awansu, ze sloma w butach – tym tej wyzszosci i pychy bylo wiecej. Az stala sie bodaj czy nie glownym elementem identyfikacji "wyksztalciucha". Takze i to przyczynilo sie do kariery tego wymyslonego przez Dorna slowa – zwracajac uwage obrazowanszcziny na to, ze nie jest przez motloch lubiana, zarazem ugruntowuje mile dla niej przekonanie, ze przynaleznosc do elity nierozlacznie wiaze sie z wzajemna pogarda pomiedzy tymi, ktorzy po prostu sa lepsi, a tymi, ktorzy im tego zazdroszcza.

Jest w tym cos z klimatu uchwyconego przez Wyspianskiego – "zlota wor wysypie ludziskom przed slipie, postawie se panski dwor". Paradoksalnie: masowy "awans spoleczny", ktory wedle komunistycznej idei mial elity poprzez nasycenie ich dziecmi robotnikow i chlopow zblizyc do ludu, w efekcie przyniosl skutek odwrotny, poglebil dzielaca je przepasc. Choc jesli spojrzec na to od strony psychologii, rzecz wydaje sie oczywista. Dla potomka dawnej szlachty, gdy pochylal sie nad losem ludu, roznica pomiedzy nim a kmieciem byla raczej powodem do wyrzutow sumienia niz do puszenia sie. Inteligentowi z tej formacji bylo wstyd, ze przypadl mu tylko na mocy urodzenia, bez zadnej osobistej zaslugi, los lepszy – ze on otrzymal szanse, a ci z "ludu" nie (bo powszechna byla wtedy wiara, ze kazdy, gdyby mial w odpowiednim czasie dostep do szkol, moglby sie stac medrcem; trzeba bylo dopiero XX wieku i upowszechnienia edukacji, by udowodnic, ze oprocz bariery mozliwosci istnieje jeszcze bariera aspiracji). Wlasnie dlatego uwazal, ze ludowi nalezy sie z jego strony szczegolne poswiecenie.

Inteligent z awansu patrzy na to zupelnie inaczej: ja sie wyksztalcilem i dorobilem, a oni nie, choc przeciez tez mogli. No wiec, rzecz oczywista, ja jestem lepszy, a oni gorsi. Im szersza czyni przepasc dzielaca elite od plebsu, tym mu z tym lepiej – bo

tym lepiej swiadczy o nim, ze zdolal ja przeskoczyc. A kto nie zdolal, sam sobie winien.

To jedna z przyczyn, dla ktorych wyobrazenie obrazowanszcziny o swej spolecznej roli jest diametralnie sprzeczne z tym, jakie mieli inteligenci od Zeromskiego. Tam doktor Judym, jeszcze jedno polskie wcielenie Prometeusza, poswiecajacy sie w imie przyszlego zbratania rownych sobie i rownie cywilizowanych Polakow w wolnej kiedys tam wreszcie ojczyznie; tu zas pokrzykujacy na prostaczkow bufon, wymachujacy swymi dyplomami niczym pan dziedzic pejczem i niekryjacy irytacji, gdy "chamstwo zbuntowane" smie kwestionowac prawo inteligenta do pouczania go.

Jedna z wielu przyczyn. Trudno mi ocenic – bez mozliwosci wykonania solidnych badan i naukowej analizy – jak wiele w tym poczuciu wyzszosci naturalnego instynktu, a jak wiele skutecznego dzialania propagandy.

Poczucie wyzszosci plynie wprost z poczucia obcosci, a to poczucie obcosci, wzajemne zreszta, jest gleboko zakorzenione (jak to ujal kiedys Czeslaw Bielecki – kazdy, kto przyzna sie do jakiejkolwiek formy wspolczucia z narodem, zostanie w Polsce predzej czy pozniej uznany za chama, a kazdy, kto ma niepodrobiona mature, za "zyda"). O niektorych sprawach pisalem w Michnikowszczyznie: o tym na przyklad, ze poczucie udreczenia przez chamow, ich rozpanoszenia, bylo jednym z glownych rysow psychologicznego portretu inteligenta w "kraju robotnikow i chlopow", jakim oficjalnie byl peerel; wystarczy przypomniec sobie najbardziej popularne z owych czasow komedie czy przeslawny Dudkowy skecz o bezczelnym hydrauliku.

Skoro przy kabarecie jestesmy, to krotka kabaretowa dygresja (w koncu wystepowalo sie te piec lat u Pietrzaka): jak wie kazdy, czym dla kabaretu powojennego ow skecz Dudka, tym dla przedwojennego, tez zreszta przez Dudka spopularyzowany, "Sek". Oczywiscie kazdy, kto sie tym zainteresowal, wie, ze przedwojenny polski kabaret stal przede wszystkim szmoncesem, ze Lutbaum, Rosenkrantz czy inny Szpingelaber, zydlaczacy smiesznie i krecacy rozne piramidalne geszefty, byli glownymi bohaterami skeczy, piosenek i monologow. Mechanizm byl prosty – ten kabaret robili glownie Polacy zydowskiego pochodzenia. Hemar, Tuwim, Slonimski – zasymilowani do szpiku kosci,

obeznani w polskiej literaturze i w polszczyznie jak malo kto. A na widowni zasiadali licznie podobnie jak oni, kompletnie spolonizowani inteligenci o tych samych korzeniach. I to wlasnie oni smiali sie wraz z autorami do rozpuku z Zydow chalaciarzy, jakby upewniajac tym smiechem siebie samych, ze z tamtym swiatem nic juz ich nie laczy. Powojenne kpiny z chama wydaja mi sie realizowac podobny mechanizm; to trzeba dodac do podanego wyzej "poczucia osaczenia" chamstwem.

Poczucie obcosci nie moglo byc obce zwlaszcza formacji umyslowej, ktora na wspolczesna polska inteligencje i na etos opozycji wywarla wplyw ogromny, nieproporcjonalny do swej liczebnosci – mysle o srodowisku "komandosow", wychowankach "druzyn walterowskich" Kuronia. I byla to obcosc plynaca z wielu przyczyn, wzajemnie sie umacniajacych. Obcosc dzieci prominentnych komunistow wsrod ludzi, ktorzy czerwonych generalnie uznawali za bande naslanych z Moskwy okupantow; obcosc dzieci rzadzacej elity, wychowywanych w przekonaniu, ze sa kadra wielkiej rewolucji, predysponowana do kierowania wielka historyczna przemiana, wsrod ofiar tejze przemiany bynajmniej sobie takich przywodcow nie zyczacych (piekne jest to okreslenie z zeznan Mencwela: ludzie, ktorzy nigdy w zyciu nie musieli pracowac i nie odrozniliby mlotka od hebla, godzinami dyskutujacy o problemach klasy robotniczej); obcosc Zydow, zlaicyzowanych wprawdzie, ale niekatolikow, w narodzie, ktory stereotypem "zydokomuny" ratowal swoje sponiewierane ego – bo lzej bylo mu wierzyc, ze zostal zniewolony rekami obcych, zarowno pochodzeniem, jak wiara, niz rekami rodzimych kolaborantow. Wreszcie obcosc konspiratorow wsrod ludzi, ktorzy, jak to ludzie, chca jakos zyc i widzac, ze kogos goni policja, instynktownie, w obawie o siebie i swa rodzine, zatrzaskuja przed nim drzwi.

To sa wazkie uwarunkowania i jak sie nad nimi zastanowic, trudno sie dziwic, ze Michnik i wiekszosc jego przyjaciol skonczyli z kompletnym swirem na punkcie zagrozenia polskim nacjonalizmem, tak jakby nic straszniejszego niz endecja nigdy na tym swiecie nie istnialo.

Ale – i to wydaje mi sie bardzo wazne, prosze posluchac – tutejsza, polska sytuacja, ktora moze sie Panstwu wydawac szczegolna, wcale szczegolna nie jest. Przeciwnie, realizuje sie u nas prawidlowosc, ktora mozna zaobserwowac we wszystkich krajach znajdujacych sie w podobnej sytuacji.

Znow musze wrocic do odkrycia, ktore leglo u podstaw Polactwa – wszystkie nasze problemy, wszystkie nieszczescia, z ktorymi nie mozemy sobie dac rady, maja konkretne, dajace sie racjonalnie wytlumaczyc przyczyny. To nie zadne "fata", zadna klatwa ani, zwlaszcza, nie efekt jakiejs naszej szczegolnej nieudacznosci, jakiegos popapranego "charakteru narodowego". Na niczym mi nie zalezy tak, jak na tym, zebysmy w koncu przestali sobie wmawiac, ze jestesmy pod jakimkolwiek wzgledem wyjatkowi. Stale, niestety, mamy do tego sklonnosc – ktora dzis – gdy patrzac na nasza oplakana kondycje, trudno nam uwierzyc w wyjatkowosc w sensie pozytywnym – sklania do bezsensownego samobiczowania, do przypisywania sobie samym jakiejs szczegolnej glupoty, kompletnego pokrecenia i nieudacznictwa.

W istocie jedyne, co mamy wyjatkowego, szczegolnego i niepowtarzalnego, to nasza historia. Ale kazdy narod ma wyjatkowa, szczegolna i niepowtarzalna historie – wiec nie ma sie nad tym co rozwodzic. Choc oczywiscie bywaja narody majace historie podobne – wtedy z reguly maja tez podobne problemy. Podobne problemy, jak juz pisalem wielokrotnie, maja kraje, ktore byly poddane obcej okupacji i kolonizacji.

Przepasc pomiedzy spoleczna elita a, jak by to nazwac – niech bedzie: prostym ludem, ich wzajemna nieufnosc i wrogosc, tak wyraznie dzis zauwazalna w Polsce, to wlasnie jeden z tych problemow. Rzecz w tym, ze elity w kraju postkolonialnym maja charakter – uzyjmy takiego okreslenia – kompradorski. Siegam po portugalskie slowo "komprador", bo brzmi ono mniej obelzywie niz swojski "kolaborant". Ale w sumie chodzi o to samo. Grzechem pierworodnym elit kraju postkolonialnego, grzechem, ktory dlugo nie jest im przez prosty lud wybaczany, jest to, ze nie udowodnily one praw do swej szczegolnej pozycji. Otrzymaly ja w prezencie od okupanta, w zamian za wyswiadczone mu przyslugi. Sukces w takim kraju nie zalezal od spelnienia warunkow powszechnie akceptowanych; nie zalezal od pracowitosci, przedsiebiorczosci, talentow, w kazdym razie nie tak byl postrzegany. Zalezal – takie przynajmniej panuje przekonanie – od wyslugiwania sie kolonizatorom. Kolonizatorzy odeszli, ich miejscowi kolaboranci pozostali i nawet jesli jest rzecza oczywista, ze nie sposob sie bez nich obyc, bo ktos musi zaludniac urzedy, szkoly, kancelarie prawne etc. i innej elity po prostu sie nie ma – gniew pozostaje na dlugo i sprawia, ze kazdy, kto chce elitami potrzasnac, kazdy potencjalny dyktator, dokonujacy zamachu stanu w imieniu ludu, moze bardziej niz w normalnym kraju liczyc jesli nie na poparcie, to w kazdym razie na

brak sprzeciwu.

Z drugiej strony – jesli kolonizatorzy swa wyzszosc nad miejscowa ludnoscia uwazali za cos oczywistego, niewartego zastanowienia, to pogarda, jaka dla wlasnego narodu potrafi zywic kompradorska elita, czesto przeradza sie w prawdziwa namietnosc. Nikt nie gardzi "czarnuchami" bardziej niz Murzyn, ktory dosluzyl sie w kolonialnej armii stopnia sierzanta. Bialy sie od tego nie stal, ale juz oderwal sie od swoich wystarczajaco, by poczuc sie kims nieskonczenie lepszym od nich. A fakt, ze ci wcale nie chca tej wyzszosci uznac, przeciwnie, okazuja mu, jako zdrajcy, znacznie wieksza niechec niz samym kolonizatorom, doprowadza go do furii i prowokuje symetrycznie skierowana niechec do motlochu, ktory w przeciwienstwie do niego ani troche sie nie ucywilizowal.

Ilekroc czytalem liczne w ostatnich dwoch latach elaboraty, plodzone przez wzietych dziennikarzy i okadzanych profesorow, tlumaczace popularnosc Kaczynskich tym, ze "odwolali sie oni do najnizszych instynktow", ze bazuja na "antyinteligenckich kompleksach" i antyelitarnych "fobiach", ze po prostu sa rownie okropni jak ten paskudny, ciemny narod – mialem przed oczami takiego wlasnie kolonialnego sierzanta z afrykanskich reportazy.

Szczegolna cecha elity kompradorskiej jest jej glebokie przekonanie, ze jedyna droga do cywilizacji jest przejecie wszelkich wartosci i rozwiazan z metropolii – nawet wtedy, jesli juz dawno wycofala sie ona z bezposredniej kolonizacji. Najglebiej obca jest jej mysl, ze kazdy narod moze potrzebowac swojej, specyficznej modernizacji. Ze w ich wlasnej, miejscowej tradycji to i owo moze byc warte zachowania. To zrozumiale – ze komprador wszystkiemu, co swojskie, odmawia jakiejkolwiek wartosci, ze stara sie byc bardziej bialy od bialych, zachlystuje sie w zachwycie kazda plynaca z metropolii nowinka; a juz jesli ktos stamtad laskawie go dostrzeze i pochwali, po prostu nie posiada sie ze szczescia.

Z reka na sercu niech ocenia Panstwo sami – czyz polska obrazowanszczina nie zachowuje sie bardzo podobnie? Jedyna lokalna specyfika moze byc tu fakt, ze jej uczucia nie skupiaja sie na tej akurat metropolii, ktorej prowincja bylismy przez grubo ponad pol wieku. Ale to zrozumiale. Polacy zawsze traktowali Ruskich jak ciemnych barbarzyncow, moze i niepokonanych przez swa mase, ale bezbrzeznie prymitywnych, smiesznych nawet. Rzecz charakterystyczna, ze mimo rozmiarow

eksterminacji, jakiej z ich rak doznalismy, nie ma w polskim stosunku do Rosjan tego strachu przed nimi, ktory tak wyraznie widac u Niemcow czy Szwedow. Byc moze to przejaw naszej szczegolnej niefrasobliwosci, zatracajacej o glupkowatosc, ktora wyrobilismy w sobie przez pare pokolen jako niezbedna reakcje obronna, pozwalajaca istniec i nie zwariowac w sytuacjach beznadziejnych.

Polskie elity znalazly sobie ochoczo inna podleglosc – i tu znowu prawidlowosc ogolniejsza splata sie ze specyfika kraju, w ktorym niegdys, przed wiekami, sarmacka nienawisc do wszelkich obcych nowinek i megalomanskie przeswiadczenie, ize sie stworzylo ustroj pod kazdym wzgledem najdoskonalszy na swiecie, zaowocowala rownie skrajna proba modernizacji poprzez calkowite odrzucenie wszystkiego, co rodzime, na rzecz cudzoziemszczyzny. Co Francuz wymysli, to Polak polubi – mawialo sie wtedy. Dziwnym zrzadzeniem historii, sposob myslenia obecnych polskich salonow wrocil w tamte koleiny – widac to chocby po tym, jak potezna role odgrywa w naszych mediach i w politycznym marketingu argument, ze "tak uwaza Zachod". Byle bubek, jesli tylko jest Niemcem albo Francuzem i swoje oczekiwania wobec Polski spisze w tamtejszej gazecie, cytowany jest tu jak nosiciel prawdy objawionej. To zreszta pozwolilo nakrecic jedna z glownych sprezyn propagandowych czasu wrzeszczacych staruszkow. Obraz Polski w zachodnich mediach tworzony jest glownie przez ich tutejszych korespondentow, a ci obracaja sie niemal wylacznie w kregu warszawsko-krakowskiego salonu i patrza na wydarzenia jego oczami, wiec artykuly, ktore pisza, wygladaly jeden w drugi jak wstepniaki z "Wyborczej"; i natychmiast wracaly tutaj w licznych cytatach jako dowod obiektywnej slusznosci najbardziej nieprzejednanych krytykow "populizmu". No, bo skoro Europa z nami, ktoz przeciwko nam…

Swiadomosc, ze uwaza tak wlasnie, a nie inaczej, jak Europa, daje obrazowanszczinie poczucie sily. Owszem, wydawac sie moze, ze jestesmy w mniejszosci, ze trwamy w oblezeniu przez sily ciemnoty. Ale nie jestesmy sami, przeciwnie – miejscowa holota, chce czy nie, bedzie sie musiala zmienic. Unia Europejska nauczy ja tolerancji, nowoczesnosci, wyleczy z zasciankowych kompleksow. Nie chca parad gejow i lesbijek? Beda musieli chciec! Nie chca aborcji, ustawodawstwa "antydyskryminacyjnego" i innych europejskich nowinek? Nie maja wyjscia. Jest tylko jedna droga do nowoczesnosci, wyznaczaja ja dyrektywy unijne, i predzej czy pozniej wszyscy

mieszkancy "tego kraju" beda musieli nia podazyc, tak jak juz dzis podazaja jej elity.

Mocno obecny byl, jako sie rzeklo, we wrzasku ostatnich dwoch lat watek, ze Kaczynscy "kompromituja nas przed swiatem". Dajmy na to – siegnijmy po jeden z wielu przykladow – zdarzylo sie Kaczynskiemu powiedziec publicznie, ze chcialby wrocic na forum europejskim do dyskusji nad stosowaniem kary smierci. Wybieram ten akurat przypadek, bo szczegolnie jaskrawo pokazuje on kompradorska mentalnosc naszej elity, jej niezdolnosc do pojecia, jak w ogole mozna watpic w madrosc plynaca z metropolii, a tym bardziej sie jej przeciwstawiac. Przywrocenia kary smierci domaga sie od lat w kazdym sondazu zdecydowana wiekszosc Polakow; dla ludzi, ktorzy demokracje wypisali sobie na najwyzej wzniesionych sztandarach, powinien to byc jakis argument. Ale tez kara smierci, to znaczy likwidowanie kary smierci, stala sie unijna obsesja. Trudno wlasciwie znalezc racjonalny powod tego stanu rzeczy; prawdopodobnie zadecydowalo, ze jest to zasadnicza roznica pomiedzy Unia a Stanami Zjednoczonymi, w ktorych kare smierci, w poczatkach lat siedemdziesiatych praktycznie zlikwidowana, z roku na rok wykonuje sie coraz czesciej. Co wiecej, wielu tamtejszych prawnikow glosi calkowicie wyklety w Europie poglad, iz jeden wykonany wyrok smierci ratuje zycie od kilkunastu do kilkudziesieciu (roznie to obliczaja) niewinnych osob, ktore inaczej padlyby ofiara morderstw; a dyskusja dawno juz nie dotyczy tam tego, czy mordercow zabijac, bo to oczywiste, ale tego, czy na przyklad powinno sie dopuszczac do udzialu w egzekucji mordercy czlonkow rodziny ofiary.

Sprawa, gdyby nie szlo tu o ludzkie zycie, bylaby w sumie smieszna. Europejski establishment, generalnie lewicowy, nie chce sie wyrzec poczucia wyzszosci wobec USA, kraju zdecydowanie konserwatywnego i tkwiacego w "dzikim kapitalizmie". Niegdys to poczucie wyzszosci probowano opierac na sukcesach europejskiego modelu "panstwa opiekunczego". Niczym propagandysci peerelu, intelektualne elity Francji czy Niemiec podkreslaly przy kazdej okazji, ze w Europie kazdy ma zapewnione godne zycie, podczas gdy w USA biedacy umieraja na ulicy (Bogiem a prawda, to wlasnie arcysocjalna Francja bije kazdej zimy swiatowy rekord zamarznietych na smierc kloszardow, a Niemcy plasuja sie w tej konkurencji tuz za nia; ale nie mieszajmy faktow z wierzeniami), tudziez wyrazaly przekonanie, ze USA nie beda mialy innego wyjscia, niz podazyc droga wyznaczona przez Europe. Tak bylo gdzies do konca lat

siedemdziesiatych, potem nagle wszystko poszlo inaczej: Amerykanie wybrali sobie na prezydenta prawdziwego potwora w osobie Ronalda Reagana, do dzis znienawidzonego na salonach i porownywanego do Hitlera, przewaznie na korzysc tego ostatniego. Reagan za jednym zamachem zakwestionowal wszystkie dogmaty postepu. Zwiazek Radziecki, zamiast wierzyc w jego "konwergencje" i stopniowe zblizenie z demokracjami zachodnimi, uznal za "imperium zla", ktore nalezy zniszczyc, i faktycznie, przyczynil sie decydujaco do jego zniszczenia. Wolny rynek uznal za system lepszy i bardziej sprawiedliwy od socjalizmu, i faktycznie, odbudowal powszechna wiare swych rodakow w american way of life. A co do bandytow, to nie ukrywal, ze zamiast glaskac ich po glowkach i wspolczuc, ze cos strasznego musialo ich sprowadzic na zla droge – trzeba ich po prostu karac. Do szubienicy wlacznie.

Wszystko to bylo i pozostaje nie do przyjecia dla intelektualistow z obu stron oceanu; coz zrobic, kiedy ustrojowa niedoskonalosc USA sprawila, ze to nie elity wybieraja prezydenta najwiekszego swiatowego mocarstwa, ale zwykli, prosci Amerykanie z midwestu ("jesuslandu", jak to pogardliwie okreslaja zwolennicy postepu) – konserwatywni, pobozni i zupelnie pozbawieni "humanitarnej wrazliwosci".

Doprawdy swiat ani Polska nie zrozumialy chyba jeszcze, jak wielkiej rewolucji dokonal Reagan i jego nastepcy – ale to temat na inna ksiazke. Dosc, ze pod rzadami tego wolnorynkowca i jego "Chicago boys" Ameryka wyszla z dlugoletniej recesji, podczas gdy Europa wbrew teorii, zapowiadajacej cos wrecz przeciwnego, ugrzezla. Dystans technologiczny pomiedzy USA a Unia Europejska od lat sie powieksza i juz wiele lat temu nikt powazny nie probowal twierdzic, ze model gospodarczy "panstwa opiekunczego" sprawdza sie lepiej niz "dziki kapitalizm" (przeciwnie – przyjmujac "strategie lizbonska", Europa przyznala, ze musi Ameryke gonic; inna sprawa, ze cala ta strategia istnieje tylko na papierze). Od tej chwili pozostala establishmentowi europejskiemu jedynie wyzszosc moralna, zasadzajaca sie na tym, ze w Europie barbarzynska kara smierci od dawna nie jest juz wykonywana. Zaniechanie jej wykonywania stalo sie glownym warunkiem utrzymywania z Unia dobrych stosunkow – Europa zaczela wymuszac to na kazdym panstwie, ktore tego pragnie. No, prawie kazdym; zaden Chirac czy inny Schroeder nie odwazyl sie zasugerowac zaprzestania egzekucji Chinom. Chinczycy sa bardzo drazliwi, kiedy sie usiluje naklonic ich do czegokolwiek, i maja za duzo kasy, zeby najbardziej humanitarny rzad europejski

wazyl sie zglaszac jakiekolwiek zastrzezenia co do stanu praw czlowieka w tym kraju. Ale Polsce Europa oczywiscie nie przepusci.

Nie spieram sie co do tego, ze jesli Europa na punkcie zakazywania kary smierci dostala kompletnego fijola, to nalezalo jej ustapic. Zapewne oplaca sie poswiecic zycie ilus tam obywateli rocznie (bo zgadzam sie z amerykanskimi obliczeniami, ze jeden przykladnie powieszony bandzior to co najmniej kilkanascie morderstw mniej), zeby zachowac z Unia prawidlowe stosunki. Ale to nie znaczy, ze trzeba sie wyrzekac wlasnego rozumu. Fakt, ze jakis tam euromedrek wymyslil sobie, iz abolicjonizm jest miara cywilizacyjnego rozwoju, nie powinien bynajmniej oznaczac, ze nie wolno nam juz w ogole sie nad tym zastanawiac.

Ale mentalnosc kompradorska takiej wlasnie oczywistej mysli nie dopuszcza. Nie ma co kombinowac, wszystko juz zostalo wymyslone – tam, w metropolii. Trzeba tylko zaimplementowac cudze wynalazki u naszych czarnuchow i wszystko bedzie dobrze, zbieleja.

Nie musze dodawac, ze przyjecie takiej perspektywy skutkuje kompletna degradacja intelektualna, ktora w naszej debacie publicznej ostatnich lat widac bardzo wyraznie. Wylalem sporo zolci na michnikowszczyzne, ale policzmy jej na plus to, ze w chwili gdy pretendowala do rzadu dusz w Polsce, miala przynajmniej jakas wlasna wizje ustrojowa (ze glupia – to inna sprawa), chciala tworzyc "cos nowego", wlasnego, niebedacego prostym przeniesieniem na polski grunt wzorcow zachodnich, ale jakims ich wzbogaceniem i "krokiem naprzod". Odkad z fazy ekspansji przeszla w stan oblezenia, wyzbyla sie takich rojen i – wiem, ze w moich ustach zabrzmi to smiesznie, ale co mam zrobic, skoro tak sie to wlasnie nazywa – przeszla stopniowo na pozycje nieprzejednanie reakcyjne.

Mowiac mniej madrze, cala ideologia "rzeczpospolitej samorzadnej", nie wspominajac juz o "trzeciej drodze", ustapila miejsca zacieklej obronie praktyki III Rzeczpospolitej, ze wszystkimi jej patologiami, jako wlasciwej drogi prowadzacej nas do Europy. Drogi, z ktorej schodzic nie wolno – a skoro zostalismy z niej przez populistow sprowadzeni, to trzeba na nia wrocic.

I tu kompradorski kompleks, kazacy zawsze szukac centrali

gdzie indziej, zbiegl sie idealnie z potrzebami polskiego inteligenta, od zawsze sklonnego do umyslowej gnusnosci – nie mowiac juz o obrazowanszczinie, polinteligencji, ktora do powaznej dyskusji nad przyszloscia Rzeczpospolitej, nad mozliwymi alternatywami ustrojowymi i sposobami polaczenia wartosciowej czesci narodowej tradycji z nowoczesnoscia przewaznie po prostu ordynarnie nie ma kwalifikacji.

Robmy, co Europa kaze, a bedzie dobrze. "Im widnieje".

***

Reakcyjnosc plus, prosze wybaczyc te krotka dygresje, ale jest ona potrzebna, by unaocznic postepujace wapnienie michnikowszczyzny, "kult jednostki". Nigdy nie odmawialem Adamowi Michnikowi jego zaslug. Ale gdy z roku na rok zaslugi owe olbrzymieja, gdy czytam w peanach jego rozentuzjazmowanych panegirystow, ze Michnik wywarl przemozny wplyw na ksztalt wydarzen marcowych w roku 1968, w ktorych nie mogl brac udzialu, bo przesiedzial je w areszcie, gdy czytam, ze to on zalozyl KOR, ktory powstal akurat wtedy, gdy Michnik przebywal za granica (niektorzy posuwaja sie jeszcze do stwierdzenia, ze obok niego i Kuronia zakladal go takze Geremek – ktory w ogole do KOR nigdy nie nalezal), ze odegral wielka role w posierpniowym "karnawale solidarnosci" – kiedy to nie napisal zadnego waznego artykulu, bo Mazowiecki nie zyczyl go sobie w "Tygodniku Solidarnosc", nie wywieral na nic wplywu, bo byl doradca kompletnie zmarginalizowanego przez Walese Andrzeja Gwiazdy, w ogole zaznaczyl sie jedynie przypadkowa obecnoscia i udaremnieniem niedoszlego linczu w Otwocku – mam nieodparte skojarzenie ze starym kawalem o wnuczku, ktory sluchajac o wojennych przewagach seniora, pyta w koncu: "Dziadziusiu, a po co tam byli ci wszyscy inni zolnierze?". Michnik wszystkiego sam dokonal, wszystkim kierowal, jemu zawdzieczamy wolnosc, demokracje i w ogole wszystko, co nas zywi, poi i dostarcza rozrywki. Po prostu – sloneczko nasze. Tak wlasnie, bezmyslnym i zajadlym kultem jednostki, objawia sie zwykle zbiorowe skretynienie.

***

W porzadku, mozna do woli nabijac sie z peerelowskich polinteligentow ze sloma w butach – ale przeciez ludziom, ktorzy w III RP siegneli po rzad dusz i ktorzy zechcieli swymi nazwiskami firmowac Salon michnikowszczyzny, nie sposob odmowic intelektualnej klasy. Geremek, Kuron, Michnik, ich swita to na pewno nie polinteligenci. Coz dopiero mowic o Miloszu, Kolakowskim czy Turowiczu!

Trudno nie spytac – ale czyz ci wszyscy ludzie nie wiedzieli, w jak nedznej kondycji intelektualnej i moralnej znajduje sie popeerelowska "inteligencja pracujaca"? Czy nikomu, poza jednym Kulerskim, nie byla dana laska spostrzezenia, ze wyhodowana w peerelu "inteligencja pracujaca" to w porownaniu z ta dawna, przedwojenna inteligencja jakis zalosny, "cwierc-inteligencki" ersatz? Czy nigdy nie naszla ich chec, aby owej niedouczonej pseudointeligencji wygarnac w oczy prawde, powiedziec, ze tak sie ma do prawdziwej inteligencji, jak izba wytrzezwien do Izby Lordow, ze powinna sie wziac ostro do roboty, ksztalcic, a przynajmniej wyzbyc sie tego nieznosnego przekonania o wlasnej wyzszosci i doskonalosci?!

No coz, prosilem poprzednio, zeby sobie Panstwo sprobowali wyobrazic przywodce partyjnego, ktory zdobywa w partii popularnosc, obiecujac jej dzialaczom, ze po wygranej uderzy ostro w ich zywotne interesy. Teraz moglbym poprosic, zeby sobie Panstwo wyobrazili, jak srodowisko pretendujace do zdobycia rzadu dusz nad polska inteligencja osiaga swoj cel, ostro i bezkompromisowo wytykajac jej wady i winy…

***

W roku 1976 Piotr Wierzbicki wydal w podziemiu esej Gnidzi Parnas. Byl to ostry pamflet na pewien powszechnie wowczas wystepujacy, przynajmniej zdaniem autora (ale wydaje sie, ze bylo to zdanie uzasadnione), typ inteligenta, zwlaszcza tworcy. Takiego, ktory dobrze wie, czym jest komunizm, jaka jest natura rzadzacego peerelem rezimu, dobrze rozumie, iz zyje w kraju okupowanym, posrod morza krzywd, nieprawosci i niesprawiedliwosci. Bez dlugich dyskusji zgodzi sie z kazdym opozycjonista, chetnie ponarzeka, opowie polityczny kawal, a jesli nic go to nie bedzie kosztowac, udrapuje sie w szate przeciwnika "wladzy ludowej". Ale nie widzi potrzeby angazowania sie w jakikolwiek opor, nie pozwoli sie wciagnac w zadne listy protestacyjne, samoksztalcenia, interwencje. Bedzie stosowal roznego rodzaju argumentacje, zeby to zrobic, nie narazajac sie na utrate szacunku dla samego siebie – powie, ze nie wolno narazac na dalsze straty narodowej substancji, ze ta jakas tam "glupia i nieprzemyslana demonstracja" pociagnie za soba represje, ktore zaszkodza calej kulturze, ze "oni wyszukaja przyczyny, by uniwersytety zniesc" – ale tak naprawde chodzi tylko o to, ze cwaniak zdolal sie w tym wszystkim urzadzic na tyle wygodnie, na ile sie dalo, i nie zamierza tej wygody ryzykowac. Wierzbicki nazwal takiego typa, w slad za Szpotanskim, gnida.

Tekst w srodowiskach opozycyjnych wywolal wielkie poruszenie i zainteresowanie. Polemizowal z Wierzbickim, tekstem Gnidy i anioly, Adam Michnik, a argumentacja, jakiej uzyl, jest tak charakterystyczna, ze dla niej wlasnie pisze tu o calej tej zamierzchlej sprawie. Zarazem jest to argumentacja, ktora czytelnika niestudiujacego podobnie zamierzchlych spraw moze zdumiec. Wbrew bowiem wizerunkowi, jaki wypracowal sobie w III RP, Michnik nie wystepuje tu jako moralista. Przeciwnie, te postawe zajmuje w sporze wlasnie Wierzbicki – zlo jest zlem, swinstwo swinstwem, widzimy zlo i swinstwo, to musimy je nazwac po imieniu i potepic. Michnik natomiast przeciwstawia mu sie jako, par excellence, polityk. Wcale nie twierdzi, ze Wierzbicki nie napisal prawdy, nie probuje gnid wybielac, usprawiedliwiac. Jego argumentacja idzie w innym zupelnie kierunku: my, ludzie opozycji demokratycznej, nie powinnismy sobie tych gnid zrazac, bo beda nam one potrzebne. Gnidy czy nie, stanowia spoleczna elite, sa dla prostych ludzi autorytetami i kiedy w odpowiedniej chwili, gdy nie bedzie to juz zwiazane z takim ryzykiem, opowiedza sie za nami, bedzie to mialo swoje znaczenie.

Po wielu latach sam Piotr Wierzbicki, wyleczony przez czas z

mlodzienczej zapalczywosci, nazwie te argumentacje "krystaliczna". Wszystko zalezy, oczywiscie, jakie zastosowac kryteria. Jesli mowimy o tym, co sluszne, co piekne i szlachetne, to oczywiscie racje mial Wierzbicki. Ale jesli o politycznej skutecznosci… Coz, pisalem juz o tym przy okazji moralistyki towarzyszacej uprawianej, przeciez wlasnie glownie pod wplywem Michnika, w naszych mediach.

Mowie, wrocmy do tego watku, ze byc moze to kogos dziwi, iz w roli polityka wystapil w tej parze wlasnie Michnik. Nie zaden prawicowy oszolom, tylko Slawomir Sierakowski napisal kilkakrotnie, ze wlasnie Adam Michnik byl najskuteczniejszym polskim politykiem po roku 1989 – bo zdolal okreslic pole debaty publicznej i jezyk, w jakim sie ona toczyla. Podobne zdanie wygloszone przeze mnie czy Cezarego Michalskiego pociagneloby za soba dziesiatki lizusowskich szyderstw o naszych "obsesjach na punkcie Michnika", ale Sierakowskiego, nadziei lewicy, nikt traktowac takimi kpinkami sie nie osmieli. Nie przestano go nawet zapraszac na lamy "Gazety Wyborczej", choc faktycznie w innych wypadkach michnikowszczyzna reaguje bardzo ostro, wrecz histerycznie. Redaktor Michnik nie zyczy sobie uchodzic za polityka. Troche go rozumiem, bo, oczywiscie, stwierdzenie tego faktu sciaga uwage na kompletna kleske jego politycznych zamierzen (bo co do tej skutecznosci akurat zupelnie sie z Sierakowskim nie zgadzam; innymi kryteriami niz narzucenie problematyki i jezyka bym ja mierzyl). Ale fakty sa przeciez oczywiste: Michnik nie jest, jak probuje sie go dzisiaj przedstawiac, intelektualista, ktory kierujac sie potrzeba chwili, wszedl w polityke, ale gdy tylko mogl, niczym Cyncynat wrocil do swych ulubionych rozwazan o jakobinach i termidorianach. Michnik jest z krwi i kosci "zwierzeciem politycznym", czlowiekiem o jak najbardziej politycznych zamierzeniach i ambicjach odegrania historycznej roli i przeprowadzenia Wielkiej Zmiany – politykiem, ktory z roznych przyczyn, szerzej przeze mnie omawianych w innej ksiazce, za najskuteczniejsze do realizacji swych celow uznal narzedzia typowe dla intelektualisty, autorytetu moralnego. Czego ubocznym i najgorszym skutkiem bylo wspominane juz calkowite zinstrumentalizowanie kryteriow etyki i moralnosci, skompromitowanie ich w politycznych pogrywkach III RP, co nie moglo sie nie odbic na kondycji moralnej tych, ktorzy sie michnikowszczyzna zachlysneli.

"Wariackie papiery, i obsesja czysta, mialo byc o jezach", dzwieczy mi w uszach piosenka Kelusa, a nie znowu o Michniku. Ale coz poradzic, bez chocby krociutkiego omowienia roli, jaka on

w uformowaniu "etosu wyksztalciucha" odegral, niewiele da sie ze sprawy zrozumiec.

Po opublikowaniu Michnikowszczyzny sporo ludzi, ktorzy w roznych momentach blizej lub dalej z, jak go najczesciej nazywaja, "Adamem" wspolpracowali, odczulo potrzebe porozmawiania ze mna, podzielenia sie swoimi obserwacjami, doswiadczeniami i anegdotami na jego temat. Gdyby interesowalo mnie napisanie nieautoryzowanej biografii redaktora naczelnego "Wyborczej" (autoryzowana nie ma szansy powstac, choc ja kilkakrotnie zapowiadano, bo, jak sie domyslam, przy kazdej zmianie politycznej sytuacji trzeba by ja mniej lub bardziej "upgrade'owac"), mialbym niezly material. Ale to mnie naprawde nie interesuje. Interesuje mnie Polska, jej ustrojowa przemiana, a Michnik tylko o tyle, o ile sie na tej przemianie odcisnela jego reka. Kazdy polityk, jak pisalem we wstepie, ma swoja charakterystyczna metode, swoj styl dzialania, niepowtarzalny jak charakter pisma. I na niemalze sto procent – wiedzac, jak gral w mlodosci, mozna byc pewnym, ze dokladnie w taki sposob grac bedzie jako czlowiek dojrzaly. Wiktor Suworow pieknie to pokazuje na przykladzie rozgrywki Stalina z Hitlerem, przywolujac sposob, w jaki mlody towarzysz Dzugaszwili poprowadzil brawurowy napad na bank w Tyflisie, a biografowie Churchilla porownuja niemal identyczne zagrywki "starego Winnie" z czasow pierwszej i drugiej wojny swiatowej.

Polityczna metoda Michnika polegala na, powiedzialbym, oczarowywaniu ludzi. Jak na urodzonego polityka przystalo, blyskawicznie ocenia on – ten jest mi potrzebny, ten sie przyda, ten nic nie znaczy, a tego trzeba skasowac. Jesli ktos moze mu sie przydac, oferuje mu miejsce w swoim orszaku. Jesli uwaza, ze danej osoby potrzebuje, czesto chwyta za bron, ktora rzeczywiscie z przecietnym czlowiekiem pozwala zrobic wiele – pochlebstwo. Nawet nie siegajac po wspomniane wyzej opowiesci, moglbym tu przytoczyc publicznie przez ludzi zdecydowanie godnych zaufania opowiedziane przypadki rozmaitych tego rodzaju zalotow, wlacznie z tak grubymi, jak padanie przed kims na kolana i glosne zachwyty – jestes wielki, wspanialy, to, co zrobiles/napisales, jest po prostu krysztalowe!

Czy bedzie cos dziwnego w stwierdzeniu, ze takie same zasady, jak w wypadku oczarowywania jednostek, obowiazuja przy oczarowywaniu calych potrzebnych realizacji politycznych wizji Michnika grup?

Caly jego pomysl na polityke, wiecej, na metapolityke, zasadzal sie na uzyskaniu dominujacego wplywu na inteligencje. To z niej postanowil Michnik uczynic taran, ktory zburzy polskie uprzedzenia, zmiazdzy w zarodku odradzajace sie "demony nacjonalizmu", ogluszy i obezwladni na czas niezbedny "polskiego koltuna". Postanowil ja nauczyc przemawiac jednym glosem, jedynie slusznym, pod dyktando wskazanych przez siebie i swoje srodowisko autorytetow. W zasadzie uzylem niewlasciwego slowa – nie chodzi o to, ze Michnik ot tak sobie cos postanowil. On i cale jego srodowisko dzialali, zwlaszcza na przelomie dwoch ostatnich dekad ubieglego wieku, w poczuciu najwyzszej koniecznosci i smiertelnego zagrozenia, w przekonaniu, ze jesli ich misterny plan sie nie powiedzie, Polske czeka cywilizacyjne zalamanie, mowiac najkrocej – faszyzm.

Czy w takiej sytuacji mogla michnikowszczyzna klasie cwierc-sredniej i cwierc-inteligenckiej rzucic w oczy, ze tak naprawde jest obrazowanszczina, zdegenerowana "inteligencja zastepcza", karykatura tej dawnej, prawdziwej? Czy mogla brac sie za oddzielanie ziarna od plew, przeciwstawianie jednostek prawdziwie tworczych, niezaleznych, wnoszacych do odzyskiwanej debaty publicznej powiew intelektualnej przewrotnosci, od generalnie slabo kontaktujacej "inteligencji pracujacej", calego tego peerelowskiego awansu, co ze wsi juz wyszedl, ale do miasta jeszcze dojsc nie zdolal? Nie mogla, to przeciez oczywiste. Musiala, wrecz przeciwnie, utwierdzac peerelowska inteligencje zastepcza w jej znakomitym samopoczuciu, w przekonaniu, ze jest wszystkim, co najlepsze w "tym kraju", i ma misje ucywilizowania go. Pod przewodem, oczywiscie, najswiatlejszych ze swiatlych – intelektualistow i autorytetow moralnych.

Polityka jak polityka, nie dlatego zbankrutowala, zeby Michnik wybral zla metode, tylko dlatego, ze po prostu kompletnie rozminal sie z rzeczywistoscia, biorac za realnosc swoje urazy i rojenia. Pozwole sobie przywolac jedna tylko z uslyszanych opowiesci – Roberta Tekielego, w czasach peerelu tworcy i szefa podziemnego "Brulionu", pisma obrazoburczego, prowokujacego, mocno anarchizujacego i szargajacego swietosci, a zarazem bodaj najbardziej wsrod mlodej elity owych czasow popularnego, mowiac zargonem dzisiejszych mediow – "kultowego". Tekieli, juz w glorii redaktora "Brulionu", przyjety zostal przez Michnika pod koniec lat osiemdziesiatych i uslyszal od niego poglady, dzis powszechnie z Michnikiem kojarzone, ale wowczas w ustach legendarnego bohatera opozycji antykomunistycznej

zdumiewajace. Komuna juz zdycha, komuna juz nie jest zadnym zagrozeniem, predzej czy pozniej bedzie musiala skapitulowac, klarowal mu Michnik – prawdziwym zagrozeniem jest ten endecki, katolicki ciemnogrod, jesli komune diabli wezma, to wszystkie te przedwojenne nacjonalistyczne demony wyskocza jak dzinn z butelki i zaczna sie tu robic straszne rzeczy. Tekieli, zbuntowany anarchista, mogl sie wydawac wymarzonym adresatem takich uwag, ale ku zaskoczeniu Michnika wysmial go, mowiac, ze chyba w ogole nie ma kontaktu z rzeczywistoscia, ze nic nie wie o tym, jacy w Polsce ludzie naprawde sa, co mowia i co mysla. Wtedy bohater opozycji zapowiedzial mu: zniszcze cie, juz cie nie ma, juz jestes skonczony! I rzeczywiscie, od tej rozmowy pieniadze i pomoc techniczna dla "Brulionu", plynaca dotad roznymi kanalami z Zachodu, skonczyly sie jak nozem ucial. Koniec koncow pismo nie upadlo tylko dzieki komitetowi pomocy dla polskiej opozycji z Danii – w szesnastu innych, u ktorych Tekieli staral sie o pomoc, srodowisko Michnika okazalo sie miec na rozdzial wysylanej do kraju pomocy wplyw decydujacy.

Prosze mi nie insynuowac, jak to ma michnikowszczyzna we zwyczaju, ze sie tymi faktami jakos szczegolnie ekscytuje, ze sie oburzam. Nie – polityka to jest polityka, takze polityka podziemna. Grupa skupiona wokol Jacka Kuronia, grupa dawnych "komandosow", byla dobrze zorganizowana, po wojskowemu karna, wiedziala, czego chciala, i jeszcze lepiej wiedziala, czego nie chciala. Potrafila zabiegac o to, aby zawsze byc grupa decydujaca o kierunku dzialan, znajdujaca sie w centrum uwagi "Wolnej Europy" i mediow zachodnich. Gdyby nie zajmowala tego centralnego miejsca ona, zajmowalby je ktos inny. Naprawde, tak jak smieszy mnie stosowanie do krytyki kryteriow w rodzaju "szlachetne-podle" czy "piekne-odrazajace", tak nie mam najmniejszych sklonnosci do obrazania sie na politycznego lidera za to, ze w tym czy tamtym okazal sie skuteczny.

Nie o to chodzi – chodzi o to, co z tej polityki wynika. Z przekonania, ze Polsce zagraza endecja, jakobinizm i faszystowska dyktatura i trzeba holubic przetracona komune jako sojusznikow w walce z tym zagrozeniem, wynikly same rzeczy zle. Nie z tego czynie michnikowszczyznie zarzut, ze gietkoscia, umiejetnie dobrana mieszanka lansu i pochlebstwa, podlizania sie i postraszenia zdobyla rzad dusz nad obrazowanszczina, ale z tego, do czego ten rzad dusz wykorzystala.

Otoz wykorzystala go, powtorzmy to znowu, do ochrony takiej sciezki transformacji ustrojowej, ktora wlasnie polozyla

podwaliny pod Rzeczpospolita Samoobronna i zwichnela cala przemiane w kierunku fasadowej demokracji i fasadowego kapitalizmu na wzor krajow Ameryki Lacinskiej. Oczywiscie, nie to bylo jej zamiarem – hard-KOR, jako sie rzeklo, w przekonaniu wyzszej koniecznosci zamierzal uchronic polska transformacje przed tym, co zdaniem tego srodowiska stanowilo dla niej najwieksze zagrozenie.

Jak by to ujac najkrocej? Sprobuje na uzytek tego rozdzialu ugryzc sprawe z nieco innej strony niz w poprzednich. Po roku 1989 nie bylo u nas tak naprawde sporu o to, co jest dla Polski i jej przyszlosci najwazniejsze. Roznie to nazywano, najczesciej slowem "reformy", ale po obu stronach Okraglego Stolu panowala zgoda, ze ta rzecza najwazniejsza jest Modernizacja. Dogonienie Zachodu, od ktorego wskutek historycznych nieszczesc zostalismy na wiele dziesiatkow lat odcieci. W tym pojeciu miescila sie przebudowa ekonomiczna, w kierunku wolnorynkowego kapitalizmu, oraz przebudowa spoleczna, w kierunku systemu liberalno-demokratycznego.

Spor dotyczyl tego, ktory z elementow modernizacji jest dla jej powodzenia wazniejszy. Czy uruchomienie mechanizmow ekonomicznych poskutkuje zmianami spolecznymi, przede wszystkim wyksztalceniem klasy sredniej i upowszechnieniem wlasnosci, ktore w naturalny sposob przeksztalcaja poddanych partyjnej nomenklatury w spoleczenstwo obywatelskie – czy przeciwnie, nie da sie stworzyc gospodarki wolnorynkowej bez odtworzenia zdrowej tkanki spolecznej poprzez reprywatyzacje, powszechna prywatyzacje (czy, jak wola niektorzy, powszechne uwlaszczenie) i likwidacje przywilejow, jakimi "realny socjalizm" odroznil "rownych od rowniejszych"?

W tym sporze te srodowiska, ktore uwazaly Okragly Stol za swoj wspolny sukces (i ktore beda potem az do roku 2005 dominowac w polskiej polityce i decydowac o jej kierunku), staly na stanowisku, ze wazniejsza jest makroekonomia. "Po pierwsze gospodarka" – reformy, przygotowane pod okiem amerykanskiego doradcy przez cieszacego sie poparciem miedzynarodowych instytucji finansowych absolwenta fullbrightowskiego stypendium, Leszka Balcerowicza, pociagna za soba takze zmiany spoleczne. Kiedy zarobki wzrosna i upowszechni sie dobrobyt, mechanizmy wolnorynkowe stworza klase srednia, na ktorej oprze sie nowoczesna, dobrze funkcjonujaca demokracja.

A co moze temu przeszkodzic? Juz to Panstwo wiedza: jakobinizm, ktory jest prosta droga do wybuchu polskiego nacjonalizmu, co z kolei jest prosta droga do zalamania wszystkich reform, i tych rynkowych, i tych demokratycznych, a nastepnie do faszystowskiej badz wyznaniowej dyktatury i calkowitego cywilizacyjnego regresu. Srodowisko pozniejszego ROAD i Unii Demokratycznej stworzylo i bez zastrzezen uczynilo podstawa swych dzialan swoista "teorie domina". Teorie, na mocy ktorej przedstawiony wyzej ciag zdarzen byl nieunikniony, jesli tylko nie uda sie zapobiec jego uruchomieniu (cytaty, w ktorych glowny ideolog tego srodowiska wylozyl te teorie otwarcie, zamiescilem wraz z dokladnymi adresami w Michnikowszczyznie; nie bede sie powtarzal i zmuszal Panstwa do placenia drugi raz za to samo). Na mocy owej teorii wszelkie "wichrzenie" (a wichrzeniem byla dla tego srodowiska nawet proba stworzenia normalnego dla demokracji, wzorowanego na zachodnim systemu partyjnego), czy to wichrzenie polityczne, majace swe zrodlo w rozliczeniach zbrodni komunistycznych, dekomunizacji i lustracji, czy tez "roszczeniowe", obliczone na korygowanie spolecznych niesprawiedliwosci sciezki reform, ktora "przyjaciolom przyjaciol" dawala fortuny, a mase prostych obywateli wydziedziczala z dorobku calego zycia, musialo nieuchronnie – powtorzmy, nieuchronnie – doprowadzic do zalamania reform i odejscia zarowno od wolnorynkowego, jak i demokratycznego kursu wyznaczonego przy Okraglym Stole.

Co z tego logicznie wynikalo – ze podniesiono do rangi racji stanu, wiecej, do rangi racji historycznej, utrzymanie spoleczenstwa w stanie uspienia. Tak po prostu, jak usypia sie pacjenta poddawanego skomplikowanej operacji. Podano wiec Polakom narkoze – czy raczej "zadano" nam ja, bo bardziej to przypominalo dawny obyczaj gluszenia chorego pala niz subtelne metody znieczulania, uzywane wspolczesnie. A role owej paly odegrala – wracamy do tego – jednomyslnosc odpowiednio "autorytetow", wsparta potega propagandowa realizujacej nadwislanska odmiane "politycznej poprawnosci". Inteligencji, elicie wyznaczalo to role stroza pilnujacego, zeby ciemny polski lud przypadkiem nie zrobil czegos glupiego, nie wyrzadzil sobie, a przy okazji calej Europie, krzywdy. Kazdy spontaniczny, niekontrolowany przez elity odruch aktywnosci spolecznej mogl doprowadzic do katastrofy, kazdy spotykal sie z podejrzliwoscia i jesli nie mozna go bylo wlaczyc w odgornie zaplanowana transformacje – represja.

Jak racja stanu, to racja stanu – cel uswieca srodki.

Okraglostolowy establishment szybko rozgrzeszyl sie z lamania zasad przyzwoitosci, gwalcac debate publiczna i zatracajac umiar w demonizowaniu rzeczywistych, a nawet tylko potencjalnych przeciwnikow jedynie slusznej sciezki Wielkiej Przemiany, jako faszystow, "ludzi niegodnych podania reki", antysemitow, populistow etc.

To sie oczywiscie ladnie nazywa – reformy, ochrona imponderabiliow i tak dalej. Ale mowiac prosciej, tym, co ochroniono, byly przede wszystkim interesy nomenklatury i jej powiazania, mozolnie nizane w parafeudalnym systemie "podwieszen" w partii, aparacie panstwowym i sluzbach przez dlugie lata peerelu.

Czy mysle, zapytaja Panstwo, o owym wspominanym juz wielokrotnie Ukladzie, ktory tyle miejsca zajal w politycznej teorii i praktyce Kaczynskiego? Tak i nie. Tak, bo mniej wiecej cos takiego mial on na mysli, formulujac teze, ze zagrozeniem dla budowy w Polsce rzeczywistej demokracji i wolnego rynku nie sa jakies endeckie demony, tylko pozostawienie w swietym spokoju nieruszonych peerelowskich ukladow. Teze te popieral w swoich wystapieniach licznymi przykladami wysysania przez ludzi nomenklatury i sluzb pieniedzy z panstwa i z obywateli, glownie poprzez wymuszone i calkowicie zbedne posrednictwo, ale tez poprzez rozne lewe operacje bankowe. Nie – bo slowo Uklad oznacza cos w miare jednolitego, jakas strukture powiazan majaca swoje centra decyzyjne. Taki uklad, mozna sadzic, komunisci rzeczywiscie probowali w Polsce zbudowac. Ustawa uwlaszczeniowa przygotowana dla rzadu Rakowskiego, o ktorej (pisze o tym w Michnikowszczyznie) opowiadal mi Ryszard Bugaj, niewprowadzona w zycie wskutek zmiany sytuacji politycznej, blizniaczo przypominala rozwiazania zastosowane niedlugo potem w Rosji. Mozna obejrzec, jako modelowy przyklad, jakie dala tam skutki – na gorze car, pod nim calkowicie mu posluszni oligarchowie, pod kazdym z nich z kolei pomniejsi, piramidka az do samego dolu, a kto sie probuje wylamac, konczy jak Bieriezowski czy Chodorkowski. Tak mialo byc i u nas, ale plan wzial w leb, zamiast planu byla wielka improwizacja, ktora sie oczywiscie w znacznym stopniu powiodla – ale zamiast zwartej struktury dala cos innego. Mniej lub bardziej chaotyczna narosl, paralizujaca w niektorych miejscach aparat panstwa, w innych nierozerwalnie sie z nim zrastajaca, przenikajaca jednoczesnie struktury wladzy i mafijnego podziemia.

Zdecydowanie nie nazywalbym tego Ukladem. Raczej

nowotworem.

Tym bardziej rozproszonym, ze, pozostanmy jeszcze na chwile przy medycznym porownaniu, w zaatakowanym organizmie dzialaja jednak pewne mechanizmy odpornosciowe. Ulomnie, bo ulomnie, ale w przeciwienstwie do Rosji i Chin funkcjonuje tu demokracja i nastepuje pewna wymiana elit. To nie likwiduje mozliwosci sporych nawet naduzyc, ale uniemozliwia wykorzystywanie do nich panstwa na taka skale jak na Wschodzie. Wiele zmienia otwarcie na kapital zagraniczny – w znacznym stopniu eliminuje ono mechanizmy, ktore Jadwiga Staniszkis nazwala "kapitalizmem politycznym". Po szczegoly odsylam do jej ksiazek – tu przywolam jeden tylko fakt. Otoz w ciagu kilku lat, do polowy lat dziewiecdziesiatych, oslawieni "fachowcy" peerelowscy, pousadzani w spolkach powstalych z wyprowadzenia ta czy inna droga panstwowej kasy – znikaja. Wykanczaja ich jednego po drugim zachodni inwestorzy, rynkowa konkurencja, ich firmy zostaja albo zrzucone z rynku, albo przejmowane sa przez miedzynarodowe koncerny. Komunisci, snujac swoje plany zamiany uprzywilejowania politycznego na uprzywilejowanie ekonomiczne, tego problemu nie przewidzieli. Nie przygotowali sie ani na globalizacje, ani nawet na integracje europejska. Dopoki trwalo radosne rozkradanie panstwa, dopoki liczyli sie kolesie w banku, w ministerstwie, w PZU i tak dalej, dopoty radzili sobie jak ryby w wodzie, bez trudu owijajac sobie wokol palca kompletnie niejarzacych, o co w tym wszystkim chodzi, leszczy z bylej Solidarnosci. Ale w starciu z prawdziwym rynkiem – padali jak nie przymierzajac Sekula. Naturalnym odruchem zwracali sie ku panstwu, ale panstwo coraz mniej moglo, standardy europejskie krepowaly coraz bardziej mozliwosci krecenia lodow, a z kolei interesy coraz szerzej wchodzacego do Polski kapitalu zagranicznego sprawialy, ze patronujace temu kapitalowi rzady po prostu wymuszaly na kolejnych rzadach Polski pewna czesc tego, czego sami obywatele, wskutek ulomnosci rodzacej sie w bolach demokracji, wymusic na swoim panstwie nie mogli.

Bardzo ten proces upraszczam i wulgaryzuje, dobre opisanie go wymaga lepszych niz moje piora i glowy – ale chodzi mi tylko o zasygnalizowanie, co sie mniej wiecej dzialo po roku 1993, pod rzadami postkomunistow, potem niezbornej koalicji AWS-UW i potem znowu postkomunistow. I jaki mialo na to wplyw stopniowe wchlanianie Polski przez struktury zachodnie, ukoronowane oficjalnym wejsciem do Unii Europejskiej i przyjeciem kilkuset kilogramow ustaw dostosowujacych nasze prawo do jej

wymogow – ustaw, ktore parlament przeglosowywal hurtem, nawet ich nie czytajac, bo zaden posel ani senator fizycznie nie bylby zdolny przyswoic takiej masy informacji w tak krotkim czasie, jaki mu na to dano.

Bynajmniej nie twierdze, ze nasze wejscie do europejskiego biurotworu oczyscilo Polske z mafii i dranstwa. Bynajmniej. Ale wyznaczylo ono inne zupelnie ramy, w ktorych dranstwo moglo realizowac swe dranskie tropizmy, i zakreslilo mu inne horyzonty. Polska musiala zaczac spelniac pewne, uzyjmy tego okreslenia, warunki brzegowe. Co sie dzieje wewnatrz zakreslonych granic, w to oczywiscie nikt nie zaingeruje, tu sie moga klebic sitwy, koterie, mafie, tu sie moga realizowac wszelkie grupowe interesy i mechanizmy Polski Samoobronnej. Ale jesli nowotwor usiluje siegnac pewnych zastrzezonych obszarow – ciach, sprawa zostaje zalatwiona jednym cieciem.

Te wszystkie zmiany umykaja uwadze Jaroslawa Kaczynskiego, ktory w tym czasie grzeznie w beznadziejnej walce o zdominowanie prawicy, by w koncu polec wraz z przeciwnikami tej bijatyki (jak te przyslowiowe jelenie, ktore splecione w walce rogami zdychaja pospolu, bo juz nie sa w stanie sie rozplatac), a potem trawi gorycz swej przegranej i porazki. Pozostaje on wierny swym diagnozom z poczatkow ustrojowej transformacji. Dlaczegoz niby mialby je zmieniac, skoro sie nie mylil?

Wrocimy do tego. Na razie, zeby dokonczyc watek obrazowanszcziny i tych, ktorzy sprawuja nad nia rzad dusz, zauwazmy, ze nie tylko Kaczynski zamyka sie w swoich diagnozach z poczatku lat dziewiecdziesiatych i nie zauwaza, iz przez kilkanascie lat transformacji cos sie jednak w III RP zmienia. Identycznie jest z jego przeciwnikami.

Jak sie wielokrotnie powiedzialo: w ich przekonaniu zdobycie wladzy przez kogokolwiek spoza kregu osob namaszczonych i zaaprobowanych przez Familie musi nieuchronnie zagrozic polskiej demokracji. Wiec kiedy w wyborach 2005 roku osiemdziesiat procent glosujacych oddaje glosy na partie spoza establishmentu, obiecujace radykalne zerwanie z dotychczasowa polityka i radykalna zmiane – michnikowszczyzna zaczyna szalec: demokracja w zagrozeniu! Im mocniej Kaczynski sadowi sie przy wladzy, im bardziej odcina od wplywu srodowisk, ktore przywykly do mysli, ze wplywy naleza im sie jak chlopu ziemia, tym silniejsza jest histeria.

Jesli Panstwo naczytali sie w ostatnich latach za duzo gazet i zanadto nasluchali sie mediow elektronicznych, to, co teraz powiem, moze sie Panstwu wyda herezja, ale – demokracja nie byla w Polsce zagrozona. Ani przez moment. Kaczynski nie wprowadzal totalitaryzmu, Lepper i Giertych, cokolwiek o nich sadzic (ja nie sadze dobrze), mieli nie mniejsze prawo wejsc do rzadu niz Jaskiernia czy Sobotka, rozmaite decyzje tworzonych przez PiS rzadow mozna uznac za chybione, ale w zadnym wypadku nie stanowily one "faszyzacji" kraju, nie oznaczaly rozpanoszenia tajnych sluzb ani lamania praw obywatelskich. To wszystko byly histeryczne urojenia srodowiska, ktore tak przywiazalo sie do swoich fobii, ze zastosowalo Twainowska zasade – jesli fakty mowia cos innego, tym gorzej dla faktow. Skoro sie cala swa, moim zdaniem nader watpliwa, dzialalnosc uzasadnialo przekonaniem, ze tak trzeba, bo jesli my zostaniemy odsunieci od wladzy, to przyjda faszysci – to w chwili gdy sie zostalo odsunietym, jedyna metoda zachowania twarzy bylo uparte podtrzymywanie tezy, ze faszyzm wlasnie nastapil. Wbrew wszelkim faktom.

W ten sposob wpadlismy jako panstwo w polityczna paranoje. Z jednej strony – wladza tkwiaca uparcie w diagnozach, ktore byly sluszne, ale pietnascie lat wczesniej, dogrywajaca zamierzchla "wojne na gorze" i scigajaca przeciwnika od dawna juz na polu bitwy nieobecnego. Z drugiej opozycja – nie polityczna, bo prawdziwa opozycja wobec PiS nie byly partie, ale "Agora" i ITI – broniaca nas przed zagrozeniami, ktorych nie bylo. A rzeczywistosc w tym czasie – sobie. Podczas gdy na gorze odrealnieni protagonisci dogrywaja swoje spory sprzed lat, na dole sitwy, lobbies, mafie, koterie, bandy i gangi, nie niepokojone, robia swoje.

Im wiecej wrzasku, tym mniej sensu. Wszystko to byloby do rozpuku smieszne, gdyby nie szlo w tym o nasze skory.

Te wlasnie paranoje nazywam Czasem Wrzeszczacych Staruszkow.

Kto kogo?

Wbrew potocznemu stereotypowi tworca IV Rzeczpospolitej nie jest bynajmniej Jaroslaw Kaczynski. Jest nim Donald Tusk.

Oczywiscie, zeby cokolwiek o tym sensownego moc

powiedziec, trzeba najpierw wyjasnic, co wlasciwie rozumiemy pod pojeciem "IV RP" – ktore w ostatnich latach omlocono ze wszystkich stron, bodaj jeszcze bardziej niz "wyksztalciucha". Czwarta Rzeczpospolita to przeciez cos, co nigdy nie zaistnialo, to byt wylacznie postulowany. Gdyby, powiedzmy, zmieniono w Polsce konstytucje na wzor amerykanski, w taki sposob, ze prezydent wybierany w wyborach powszechnych stalby sie zarazem szefem rzadu, z prawem dowolnego powolywania i odwolywania ministrow, za to bez prawa zglaszania jakichkolwiek projektow legislacyjnych, bo z kolei wladze ustawodawcza zastrzezono by tylko do parlamentu (ech, pomarzyc…) – w takiej sytuacji zmiana numeru porzadkowego przy nazwie panstwa bylaby zasadna. Tak jak we Francji, ktora oficjalnie uzywa dzis nazwy V Republika; rzeczywiscie, miedzy nia a republika IV, czy z kolei miedzy IV a III, istnialy zauwazalne historyczne roznice. Ale w Polsce po roku 2005 nic przelomowego sie nie stalo.

Zmienili sie – owszem – ministrowie, wojewodowie, szefowie panstwowych mediow i spolek skarbu panstwa, a wszedzie, gdzie zmieniali sie szefowie, ruszala personalna karuzela na nizszych stanowiskach. Tak bylo po kazdych wyborach, rowniez tych w roku 2007, ktore PiS przegralo, wiec o takich roszadach w ogole nie ma co mowic. Uchwalono nowa ustawe o "publicznych" mediach, ale nowelizacja ograniczyla sie do zmniejszenia liczebnosci Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji do pieciu osob i nie sposob zaprzeczyc powszechnej opinii, ze byla tylko pretekstem umozliwiajacym stworzonej do tego celu doraznie (znacznie pozniej dopiero sformalizowanej) wiekszosci sejmowej PiS-Samoobrona-LPR przerwanie ustawowych kadencji i wymiane calego skladu Rady. Rozwiazano jedna ze sluzb specjalnych, Wojskowe Sluzby Informacyjne, i powolano na jej miejsce dwie inne, wywiad i kontrwywiad wojskowy. Utworzono tez jeszcze jedna sluzbe, czyli Centralne Biuro Antykorupcyjne. I na tym w zasadzie sie skonczylo. No bo to, ze jakis posel bedacy wspolwlascicielem sieci malych sklepow zalatwil sobie ustawe uderzajaca w wielkopowierzchniowa konkurencje albo ze jakis psu na buty potrzebny urzad wymienil w nazwie "prawa kobiet" na "prawa rodziny", trudno doprawdy uznac za ustrojowe zmiany. Zreszta nikt nawet nie probowal twierdzic, ze obietnica zbudowania IV RP zostala juz spelniona; na partyjnych konwencjach PiS w kampanii wyborczej roku 2007 sam Jaroslaw Kaczynski skladal z mownicy obietnice, ze wbrew wszystkiemu "Czwarta Rzeczpospolita powstanie!".

Nie mozna wiec traktowac tego okreslenia inaczej niz jako

publicystyczny greps. I jesli chocby pobieznie tylko zanalizowac jego funkcjonowanie w mediach, to widac, ze bodaj zaden z obracajacych nim autorow nie probuje zgadywac, co mieli na mysli Pawel Spiewak, Rafal Matyja czy Jan Rokita, mowiac o potrzebie zerwania z panstwem utworzonym przy Okraglym Stole i budowy panstwa nowego, dla podkreslenia tej roznicy nazywanego przez nich wlasnie Czwarta Rzeczpospolita. Nikt nie probuje zgadywac, co skladajac obietnice jej zbudowania, mial na mysli Kaczynski. "Czwarta Rzeczpospolita" oznacza w prasomowie po prostu panstwo polskie pod rzadami koalicji parlamentarnej PiS-Samoobrona-LPR oraz prezydenta Lecha Kaczynskiego; i przewaznie jest to okreslenie ironiczne, ktorego przesmiewczy ladunek polega na podswiadomym nakierowywaniu uwagi odbiorcy na rozziew pomiedzy obietnica "rewolucji moralnej", panstwa oczyszczonego z patologii, ukladow i nieprawidlowosci – a praktyka rzadow pod ramie z Lepperem i Giertychem.

No wiec jesli IV RP rozumiec po prostu jako panstwo polskie w okresie od wrzesnia 2005 do wrzesnia 2007, a za najistotniejsze, determinujace ksztalt tego panstwa wydarzenie uznamy, ze wbrew wielokrotnie skladanym obietnicom PiS i PO nie utworzyly wspolnie rzadu, tylko ustawily sie w opozycji do siebie, oraz ze do koalicji rzadowej weszly ostatecznie partie uwazane za radykalny i niebezpieczny margines naszej polityki – to stawiam taka wlasnie teze, jak powyzej. Wbrew potocznemu mniemaniu nie Kaczynski, ale Tusk o tym zadecydowal. Kaczynski jedynie pogodzil sie z jego decyzja; zreszta nie bardzo mogl sie nie pogodzic.

Tak, zdaje sobie sprawe, ze to teza dyskusyjna. Ale nie rzucam jej ot tak, spod duzego palca. Troche czasu nad ta ksiazka pracowalem, wczesniej, zanim jeszcze przyszlo mi do glowy ja pisac, sporo czasu i sil trawilem na biezaco na probach odkrycia mechanizmu sprawiajacego, ze tak, a nie inaczej sie sytuacja rozwija. I jesli mi Panstwo nie ufacie – do czego Was zachecam – to wykonajcie te prace sami. Jestescie Panstwo w tej samej sytuacji, co, z calym naleznym szacunkiem dla mistrzyni gatunku, czytelnicy Agaty Christie, wiecie, to znaczy mozecie sie dowiedziec, jesli zechce sie Panstwu poszukac, tyle samo, co i ja. Jestem z zelazna konsekwencja wierny swojej zasadzie niebrania w tym, co pisze, pod uwage zadnych "przeciekow", zadnej tajnej wiedzy, zadnych opowiesci "dobrze poinformowanych kregow zblizonych do", ktore to kregi czesto rzeczywiscie przekazuja dziennikarzom informacje prawdziwe, ale poniewaz zawsze robia

to dla jakichs swoich celow, selekcjonuja je wedlug jakiegos klucza. A czesto tez dla tychze celow dezinformuja.

Na pytanie: "Dlaczego nie powstala koalicja PO-PiS?" szukali odpowiedzi wszyscy publicysci przez dlugie miesiace. Taka postsolidarnosciowa koalicja mialaby wiekszosc konstytucyjna, moglaby wiec dokonac w Polsce rzeczywistych zmian. Programowo – chocby nie wiem jak Kaczynski i Tusk krzyczeli, ze jest odwrotnie – nie bylo miedzy ich partiami i nawet teraz nadal nie ma zadnych zasadniczych roznic. Przeciwnie, programy te, tak jak sie rysowaly przed wyborami 2005 roku, wydawaly sie komplementarne. Mozna bylo mowic sobie: Platforma niech sie zajmie uzdrawianiem gospodarki, jej odbiurokratyzowaniem i uwalnianiem wedle gloszonych przez siebie liberalnych recept – a PiS niech sie wezmie za zaostrzenie prawa i rozbijanie korupcyjnych ukladow.

Ta komplementarnosc istniala nie tylko w programach; obie partie byly w innych sferach wiarygodne. Tam, gdzie Platforma prezentowala sie najlepiej, czyli w gospodarce, Prawo i Sprawiedliwosc nie mialo ani dobrych pomyslow, ani wiarygodnych kandydatow. Tam z kolei, gdzie PO wygladala slabo – bo swieza slawe Jana Rokity jako najsprawniejszego sledczego sejmowej komisji do spraw Rywina rownowazyla obecnosc w ugrupowaniu ludzi dawnego Kongresu Liberalno-Demokratycznego, postrzeganego jako partia aferzystow, oraz ugruntowujace te slawe niedawne rzady Pawla Piskorskiego w Warszawie – za Jaroslawem Kaczynskim stala konsekwencja w gloszeniu od kilkunastu lat, mimo ich krancowej niepopularnosci w pewnych momentach, diagnoz, ktorych trafnosc zostala w koncowce rzadow Millera spektakularnie potwierdzona.

Mozna by dodac do tego rowniez sprawy mniej dla wyborcow przy podejmowaniu decyzji istotne, ale zauwazalne. Platforma wydawala sie lepiej przygotowana do prowadzenia polityki zagranicznej, nie ulegalo watpliwosci juz wtedy, ze jako partia rzadzaca bedzie lepiej odbierana w Europie niz pozbawione (o czym juz pisalem) znaczacych zagranicznych kontaktow, podejrzliwie podchodzace do Zachodu i z kolei samo przez Zachod traktowane podejrzliwie ugrupowanie Kaczynskich. Prawo i Sprawiedliwosc z kolei zyskalo sporo sympatii odmiennym od dotychczas obowiazujacego podejsciem do naszej historii, ktorej symbolem stalo sie wybudowane w stolicy za rzadow Lecha Kaczynskiego Muzeum Powstania Warszawskiego. Bo przeciez wczesniej przez kilkanascie lat z trudnym do

zrozumienia uporem kolejne ekipy w ratuszu wrecz sabotowaly starania o godne upamietnienie tego wydarzenia, niemozliwa byla nie tylko budowa muzeum, ale nawet to, zeby pierwszego sierpnia o 17.00 dla uczczenia "godziny W" zawyly syreny i wstrzymany zostal na minute ruch uliczny; ludzie Piskorskiego oznajmili starajacym sie o to weteranom, ze takie zamieszanie w zyciu miasta jest calkowicie nie do przyjecia. A juz szczytem wszystkiego bylo rozgonienie w jedna z rocznic weteranow, ktorzy chcieli, jak co roku, zawiesic powstancza flage na historycznym gmachu PAST-y, ktory w 1944 krwawo zdobywali. Poniewaz gmach ten zostal wlasnie sprzedany zagranicznemu bankowi, odpedzili weteranow ochroniarze, ktorych szef pokazywal potem dziennikarzom regulamin stanowiacy, iz "zawieszenie wszelkiego rodzaju banerow reklamowych" wymaga zgody dyrekcji. Oczywiscie, za te zenujaca afere nie odpowiadaly wladze, ale moglo do niej dojsc tylko w tej szczegolnej atmosferze wzgardy dla wlasnej historii, przeciwko ktorej wlasnie Kaczynscy mieli odwage ostro wystapic.

I jesli ktos wierzy, ze bylo w owej wzgardzie cos zachodniego, to powiem, ze przypadkiem bylem w Paryzu w rocznice tamtejszego powstania. Inscenizacje, ceremonie i pochody sparalizowaly kompletnie ruch w calym centrum i trwaly ze dwa razy dluzej niz prawdziwe powstanie w 1944. A bynajmniej nie byla to rocznica okragla.

Wracajac do POPiS-u – zapewne zwroci ktos uwage, iz w ostatnich tygodniach kampanii wyborczej 2005 obie partie zwrocily sie przeciwko sobie, w czym przodowalo PiS, straszac, ze jesli Platforma zrealizuje swa obietnice reformy podatkowej, to biedni zbiednieja, a bogaci sie nachapia (by po wyborach uczynic autorke tej liberalnej reformy, Zyte Gilowska, swoja glowna specjalistka od gospodarki). To prawda, ale wyborcy gotowi byli machnac reka na ciosy, ktore obie partie miedzy soba wymienily. W koncu mamy te demokracje od kilkunastu lat i wyborcy nauczyli sie juz, ze nie ma polityki bez teatru. Zreszta jeszcze w kilka tygodni po owych wyborach widzieli oni, jak desygnowany przez PiS na premiera Kazimierz Marcinkiewicz, wystepujac na konferencjach prasowych z Rokita, demonstrowali absolutna pewnosc, ze "na sto procent" rzad PO-PiS zostanie utworzony, i zapewniali, ze przedluzajace sie negocjacje dotycza tylko kwestii technicznych. I jeszcze dlugo, dlugo potem, na kilka tygodni przed wyborami roku 2007, po tym wszystkim, co sie przez ten czas zdarzylo, badania opinii publicznej wykazywaly, ze taka koalicje wciaz uznalaby za najlepsza dla kraju ponad polowa

Polakow!

Nic dziwnego, ze wobec takiej liczebnosci "sierot po POPiS-ie" kazdy z antagonistow, zupelnie jak za czasow nieszczesnej "integracji prawicy", wlozyl sporo wysilku w przekonanie opinii publicznej, ze on ze wszech sil pragnal wspolnego rzadu, tylko tamten drugi wszystko udaremnil. Sprawia to, ze ich zeznania dotyczace tego okresu sa do dzis krancowo sprzeczne i trudno sie w nich nie pogubic.

Kaczynski wielokrotnie podawal w wywiadach dwie przyczyny, dla ktorych rozmowy o wspolnym rzadzie zalamaly sie. Pierwsza mialo byc domaganie sie przez politykow PO "gwarancji bezpieczenstwa", to znaczy tego, ze beda wylaczeni z wszelkich sledztw i dzialan antykorupcyjnych. Rymuje sie to ze stwierdzeniem Rokity, rzuconym juz w czasie, gdy negocjacje sie zalamywaly, ze nie moze byc tak, by decyzje, do kogo wyslac o czwartej rano funkcjonariuszy z nakazem aresztowania, podejmowali wylacznie politycy PiS.

Odkladajac na bok – jako przynalezne do sfery oskarzen nieweryfikowalnych, czyli po prostu insynuacji – slowa o "gwarancjach bezpieczenstwa", mozemy na pewno stwierdzic, iz koscia niezgody stala sie wladza nad aparatem przymusu. Wydaje sie, ze kompromis, na jaki gotow byl Kaczynski, mial miec inny charakter, niz to sie w dotychczasowym obyczaju utarlo. Utarl sie obyczaj taki, ze partie koalicyjne niejako przeplataja sie we wszystkich resortach, wedle zasady – tam, gdzie my desygnujemy ministra, tam wiceminister jest od was, i odwrotnie. Umozliwia to wzajemne patrzenie sobie na rece. Kaczynski natomiast chcial calkowitego podzialu domen – bierzcie sobie skarb, MSZ, gospodarke, nas to w ogole nie interesuje, ale policja, sluzby i prokuratura maja byc wylacznie w moich rekach.

Platforma z kolei twierdzi, ze PiS od poczatku nastawilo sie na wspolrzadzenie z Lepperem i Giertychem, a rozmowy z PO tylko pozorowalo, mnozac zaporowe warunki. Posrednim, ale mocnym dowodem przeciwko tej tezie wydaje mi sie fakt, ze kiedy okazalo sie, iz PiS musi tworzyc rzad samodzielnie, Kaczynski najwyrazniej nie mial kandydatow do kierowania resortami, bylo nie bylo, kluczowymi. W MSZ pozostawil Stefana Mellera, ktorego traktowal jako cialo obce w swym gabinecie (swym to znaczy – pisowskim, premierem zostanie Kaczynski dopiero pozniej), co okazal niedwuznacznie, oglaszajac po zastapieniu go Anna Fotyga: "Odzyskalismy MSZ". W ministerstwie skarbu zgodzil sie

pierwotnie na Andrzeja Mikosza, do ktorego szybko "stracil zaufanie", uznawszy go za czlowieka "powiazanego z rynkami finansowymi". Jako oficjalny powod usuniecia ministra podano pozyczke udzielona niegdys przez jego zone matce znanego gracza gieldowego – co nie bylo zadna tajemnica i sam Mikosz mowil o swych zwiazkach z owym graczem, takze o pozyczce, pare miesiecy wczesniej w wywiadzie dla "Forbesa"; wiec w oczywisty sposob byl to tylko pretekst. Albo tez dowod, iz zgadzajac sie na Mikosza, Kaczynski chyba nie bardzo wiedzial, kto to w ogole jest. Rowniez pierwsza minister finansow (a czyz jest wazniejszy resort?), Teresa Lubinska, nie przetrwala na stanowisku dlugo i w chwili, gdy je obejmowala, zdawala sie bardzo zaskoczona ta propozycja.

Mowiac krotko – w ministerstwach kojarzonych przed wyborami raczej z PO szef zwycieskiej partii improwizowal, niekiedy improwizacja ta przypominala wrecz lapanke. Nie wskazuje to, by liczyl sie wczesniej, iz bedzie je obsadzal. W sluzbach i aparacie przymusu bylo inaczej, tam PiS od razu mialo kandydatow i praktycznie ich nie zmienialo.

Drugim podawanym przez Kaczynskiego powodem upadku idei wspolnego rzadu mialo byc dazenie PO do zachowania hegemonii w koalicji, mimo ze wybory wygralo wyraznie PiS. Kaczynski twierdzi, iz politycy Platformy powiedzieli mu to wprost: owszem, wygraliscie, ale rzadzic i tak musimy my.

Czy platformersi rzeczywiscie mogli mu tak powiedziec? Wierze w kazdym razie bez zastrzezen, ze mogli tak uwazac. Platforma dziedziczy w znacznym stopniu kompleks wyzszosci typowy dla politykow nieboszczki Unii Wolnosci, z ktorej wszak sie wywodzila, a ktory tamci z kolei przeniesli wprost z czasow staran hard-KOR-u o stworzenie wielkiej monopartii "etosu Solidarnosci". Nie jest jej obce to samo przekonanie o swej lepszosci, predestynacji dla wladzy i ze wszyscy ludzie o niezbednych do tego kwalifikacjach profesjonalnych i moralnych sa "u nas". A poza naszym srodowiskiem sa glownie oszolomy, w najlepszym wypadku wasko specjalizowani technokraci, wymagajacy naszego nadzoru. Mowiac po prostu, mial prawo Kaczynski wyczuc w PO slady tej samej mentalnosci, z ktora wojowal juz podczas batalii o "mala koalicje" z ZSL i SD oraz o rzad Mazowieckiego zamiast "wielkiej koalicji" z PZPR i rzadu Geremka, a potem podczas walk o prezydenture dla Walesy… A Bogiem a prawda, jeszcze wczesniej, gdy bronil sie przed odebraniem mu krzesla przez Kuronia.

Przewinalem w powyzszych wywodach czasy rzadow AWS, a potem czterolecie Millera i Belki, gdyz ten okres stopniowego odzyskiwania przez Kaczynskich sil jest dla dramaturgii naszej historii mniej wazny; ale jesli ktos zada sobie trud przesledzenia go, zauwazy na pewno, iz Prawo i Sprawiedliwosc traktowane jest w owczesnym dyskursie publicznym zdecydowanie inaczej niz lewica i PO; raczej jako cos blizszego Samoobronie. Jako partia populistyczna, moze nieco bardziej odpowiedzialna niz lepperowcy, no i w koncu jednak postsolidarnosciowa. Ale jednak – prawicowa. A wszelka prawicowosc w dominujacym dyskursie medialnym III RP jest z zasady podejrzana, prawicowosc z zasady grozi pogromami, rozpetaniem nienawisci i rownia pochyla w strone nacjonalistycznej dyktatury. Tak zwane kregi opiniotworcze od biedy mogly pogodzic sie z jakims wplywem "tego" na rzad, ale wylacznie pod kuratela "ludzi rozumnych". W zadnym wypadku nie jako glownej sily rzadzacej, niekontrolowanej przez nikogo. To znaczy mozna oczywiscie przypominac, ze kazda wladza kontrolowana jest przez wyborcow, ale przeciez gdyby kregi opiniotworcze naprawde wierzyly w zdolnosc spoleczenstwa do skutecznego sprawowania takiej kontroli (bo deklaracje to jedno, a rzeczywiste przekonania – co innego), nie byloby "wojny na gorze".

Dotykamy tu sprawy szalenie waznej, byc moze podstawowego uwarunkowania, o ktore rozbila sie proba naprawy Polski i stworzenia nowego, lepszego panstwa, wolnego od okraglostolowych patologii, w ktora wierzylo w 2005 roku kilka milionow Polakow glosujacych na obiecana koalicje PO-PiS. O ile dla tych ludzi, prostych wyborcow, wydarzenia pierwszej polowy lat dziewiecdziesiatych byly przeszloscia, zamknieta juz historia – to dla obu stron, ktore mialy obietnice IV RP spelnic, pozostawaly one wciaz zywe i istotne. A dodatkowo wyostrzone kultywowana latami mitologia.

Dla Kaczynskiego Tusk to byl ten Tusk, ktory wtedy gdy on wspieral pierwszy i jedyny rzad probujacy ukrocic wladze postkomunistycznego Ukladu, siedzial na nocnej naradzie u Walesy i pomogl sie Ukladowi obronic. A Rokita to byl ten Rokita, ktory jako szef Urzedu Rady Ministrow u Suchockiej co najmniej akceptowal nielegalne operacje Lesiaka i innych Walesowskich ubekow przeciwko "opozycji antypanstwowej". Z kolei dla Tuska i jego otoczenia Kaczynski to byl wciaz ten nawiedzony dekomunizator, zagrazajacy polskiej demokracji, niszczacy wszystko w imie swych obsesji, jakiego przez cale lata

"demaskowali" intensywnie i ktorym straszyli moralisci z mediow. Obie ukladajace sie strony nie wierzyly sobie nawzajem ani odrobine. Kaczynski zakladal, ze ma przed soba gangsterow, ktorzy przede wszystkim chca stworzyc sytuacje umozliwiajaca im sparalizowanie reformatorskich i antykorupcyjnych poczynan powstajacego rzadu, a w dogodnej chwili – zniszczenie go. Tusk zakladal, ze ma do czynienia z paranoikiem opetanym zadza wladzy, ktory wykorzysta kazde ustepstwo do zaszkodzenia koalicjantowi, a wylacznosci na dysponowanie panstwowym aparatem przymusu domaga sie po to, aby w odpowiedniej dla siebie chwili pod byle pretekstem wsadzic koalicjantow do wiezienia, zniszczyc demokratyczne instytucje i oglosic sie, pod haslem sanacji panstwa, dyktatorem.

Mowiac nieco madrzej, obaj politycy, a za nimi ich wspolpracownicy i podwladni, przez caly czas poruszali sie w innych logikach. Kaczynski poruszal sie w tej samej co na przelomie lat osiemdziesiatych i dziewiecdziesiatych logice rewolucji. Bo dla niego rewolucja Solidarnosci wciaz trwala (a mysle, ze i teraz, gdy pisze te slowa, i teraz, gdy Panstwo je czytaja, wciaz trwa) i domagala sie dokonczenia. Dokonczenie jej, poprzez ostateczne rozbicie tego, co Kaczynski nazwal postkomunistycznym Ukladem, a wiec struktur, ktore sprawily, iz III Rzeczpospolita bardziej przypomina panstwa latynoskie niz anglosaskie, bylo czyms wiecej niz politycznym planem – bylo moralnym zobowiazaniem. Wielkim Celem. Czyms w rodzaju krucjaty.

Tusk nie nalezy do politykow, ktorzy kieruja sie podobnymi motywacjami; choc roznica wieku miedzy protagonistami nie jest duza, lider PO wydaje sie juz przedstawicielem innego pokolenia, polityka bardziej jest dla niego gra i droga kariery niz, jak dla formacji pokoleniowej, z ktorej wywodza sie Kaczynski i Michnik, Wielkim Zobowiazaniem Wobec Historii. Ale z roznych wzgledow przyjal on logike stworzona u zarania III RP przez michnikowszczyzne, plynaca z podstawowego zalozenia: nie ma demokracji dla wrogow demokracji. Nie tworzyl jej, nie wiem, na ile szczerze ja podzielal – w kazdym razie poslugiwal sie nia do usprawiedliwienia swojego postepowania; wiem, ze brzmi to niejasno, wyjasnie sprawe za chwile. Wedle tej logiki do prawomocnego sprawowania wladzy nie wystarczy zdobyc w wyborach wiekszosci glosow albo stworzyc koalicji dysponujacej w parlamencie wiekszoscia mandatow. Trzeba jeszcze miec do rzadzenia tytul moralny, swoisty dopuszczajacy certyfikat, dajacy gwarancje, ze sie nie wprowadzi kraju na prawicowa rownie

pochyla, wiodaca nieuchronnie ku faszystowskiej dyktaturze. W imie tej logiki rzad Olszewskiego traktowany byl w dyskursie publicznym lat dziewiecdziesiatych nie jako po prostu zly rzad, chocby najgorszy, ale z tej samej bajki co inne – ale jako, jak to ujal Jacek Kuron, "koszmarny sen". Zly rzad, zla koalicja parlamentarna moga sie zdarzyc. Sily – "demony", by uzyc jednego z ulubionych slow michnikowszczyzny – w jej przekonaniu ozywiajace prawice, ktorej liderem ostatecznie stal sie Kaczynski, musza byc trzymane pod nieustanna straza, uspione, zamkniete. W zadnym wypadku nie wolno dopuscic, by wymknely sie spod kontroli (jak to sie omal nie stalo "noca dlugich teczek", w chwili "koszmarnego snu"), i nawet jesli jakims kaprysem doszly do wladzy, to taka wladza jest wladza nieprawomocna, nieliczaca sie, niezaslugujaca ani na szacunek, ani na posluszenstwo.

Kultywowanie takich przekonan oczywiscie wyklucza porozumienie, nie tylko pomiedzy zwasnionymi liderami. Takze pomiedzy stronnictwami, a w szerszym planie – pomiedzy grupami spolecznymi. W najszerszym zas – jesli ten sposob rozumowania sie upowszechnia, a wlasnie jego upowszechnienie bylo podstawowa cecha dwoch ostatnich lat polskiego zycia publicznego, zamieniajac je w czas wrzeszczacych staruszkow, bardzo utrudnia funkcjonowanie demokracji, jesli nie uniemozliwia jej w ogole. Debata publiczna, w ktorej kazda ze stron uwaza sie za jedynego reprezentanta slusznej sprawy, a przeciwnikow za zagrozenie dla wartosci i moralnego ladu, nie jest zadna debata publiczna, tylko pelna krzyku malpiarnia.

Wroce do tego jeszcze; na razie skonczmy sprawe niedoszlej koalicji, podczas ktorej negocjowania potencjalni koalicjanci nie tylko, ze nie ufali sobie w najmniejszym stopniu, ale wrecz odmawiali sobie nawzajem prawa do wplywu na kluczowe dla panstwa dziedziny.

Mam w pamieci zachowanie jednego z waznych wowczas liderow Platformy wkrotce po ogloszeniu wyniku wyborow prezydenckich. Na zapleczu studia TVN24, gdzie mijali sie zaproszeni komentatorzy i politycy, ktos zagadnal o resorty, ktorych Platforma bedzie sie domagac dla siebie – na co zagadniety z wyrazna pasja oznajmil: zadnej koalicji nie bedzie, mowy nie ma! Jak tak ludzie zaglosowali, to niech teraz maja, niech nimi rzadzi Kaczynski z Lepperem! Zobaczymy, co powiedza za pare miesiecy!

Oczywiscie, wypowiedz jednego polityka, bardzo przezywajacego wowczas emocje chwili (jesli Panstwo juz nie pamietaja, to przypomne, ze liderzy PO do ostatniego momentu prezentowali sie na bilbordach jako "premier z Krakowa" i "prezydent Tusk"; przegrana byla szokiem, po ktorym wiekszosc platformersow, od tych najwazniejszych poczawszy, zachowywala sie przez czas dlugi, jakby ich obito dragiem). Ale tez nie smialbym Panstwu zawracac ta historyjka glowy, gdybym nie byl pewien, ze to, co wtedy uslyszalem, odzwierciedlalo poglady panujace w otoczeniu Donalda Tuska. Jak rowniez – jego poglad. Ostatecznie upewnila mnie co do tego rozmowa z Kazimierzem Marcinkiewiczem na promocji jego ksiazki Kulisy wladzy; zreszta to, co mowil, jest tez wyraznie napisane w ksiazce. Donald Tusk natychmiast po wyborach – zanim jeszcze nastapilo jakiekolwiek zblizenie Kaczynskiego z Lepperem – podjal strategiczna decyzje o wpuszczeniu PiS we wspolne rzady z Samoobrona i LPR. Poniewaz logika parlamentarnych rachunkow nie pozostawiala Kaczynskiemu zadnego pola manewru – jesli nie z Platforma, to z nimi. Teoretycznie pozostawaly jeszcze dwie mozliwosci – rzad mniejszosciowy, skazany na kazdorazowe zebranie o poparcie u opozycji, co byloby oczywistym samobojstwem, oraz nowe wybory, ktorych nie mozna bylo w tym momencie oglosic, bo oznaczaloby to kompromitacje calej klasy politycznej; a gdy juz je oglosic bylo mozna i Kaczynski to zaproponowal (po rozpadzie "paktu stabilizacyjnego"), to Tusk sie nie zgodzil, rozumujac, ze im dluzej Kaczynski bedzie sie miotal, tym pewniejsze i wieksze bedzie pozniej zwyciestwo Platformy.

Marcinkiewicz nie mial zadnego powodu, by w chwili wydania swojej ksiazki wspierac wersje Kaczynskiego, z ktorym byl juz wtedy mocno poklocony. Przeciwnie, gdyby mial koloryzowac, rozsadek nakazywalby raczej dowalac bylemu szefowi i podlizywac sie zwycieskiemu Tuskowi. Na dodatek podaje Marcinkiewicz sensownie brzmiace argumenty, z ktorych glownym jest ten, ze gdyby Tusk traktowal negocjacje z PiS powaznie, to na pewno wydelegowalby do nich kogos, do kogo mial zaufanie. Pozostawienie ich calkowicie w reku Rokity oznaczalo jasno, ze nic z nich nie ma wyniknac. Niedoszly "premier z Krakowa" po wyborach 2005 juz tylko wydawal sie bowiem postacia w partii znaczaca. Lista kandydatow do sejmu ulozona zostala tak, ze Rokita w przypadku konfliktu z Tuskiem praktycznie nie mogl w klubie PO liczyc na nikogo poza siedmioma, dziewiecioma osobami. Po Plazynskim, Olechowskim

i Gilowskiej Tusk pozbywal sie zrecznie kolejnego konkurenta – scislej, juz sie go wtedy pozbyl, choc nawet sam eksterminowany mogl jeszcze nie zdawac sobie z tego sprawy, biorac swa czesta obecnosc w mediach za dowod znaczenia.

W potocznym mniemaniu to Kaczynski uchodzi za "eksterminatora", wymagajacego od wspolpracownikow calkowitego podporzadkowania i bezwzglednie pozbywajacego sie odmawiajacych tego, a Tusk za polityka chetnego do wspolpracy z kazdym i uszanowania wszelkich roznic. Ktos, nie jestem w stanie przypomniec sobie w tej chwili kto, napisal obrazowo, ze jesli porownywac obu liderow do ojcow chrzestnych mafii (prosze wybaczyc, ale do politykow takie porownanie pasuje), to Kaczynski bedzie tym, ktory lubi, zeby o zleconych przez niego egzekucjach wszyscy wiedzieli i drzeli ze strachu. A Tusk tym, ktory z powodzeniem stara sie uchodzic za zwyklego, krysztalowo czystego biznesmena, nic doprawdy niemajacego wspolnego z tym, ze jego przeciwnikom przydarzaja sie jakies nieszczesliwe wypadki i a to sie ktory utopi w wannie, a to wypadnie z okna albo zaciuka go nieznany sprawca w ciemnym zaulku. On, pytany, wznosi tylko jasne oczy ku niebu i rozklada rece w gescie niewinnosci.

Nie chcialbym brnac zbyt gleboko w polityczna technologie, ale warto tu zauwazyc, ze – jak wszystko, co opisuje w tym rozdziale – wykoszenie przez Tuska Rokity moga Panstwo oceniac, zaleznie od przyjetego zalozenia podstawowego, pozytywnie lub negatywnie. Dlatego wlasnie nie cenie sobie moralistyki towarzyszacej, ktora feruje wyroki bardzo latwo, ale tez bardzo latwo je potem zmienia. Byc moze skasowanie Rokity wynikalo wylacznie z zadzy wladzy, checi ugruntowania swego przemoznego wplywu na partie – a byc moze z przekonania, ze majac w partii wieksza grupe zwolennikow, Rokita przyjalby od Kaczynskiego oferte premierostwa w zamian za dokonanie w PO rozlamu i utworzenia w ten sposob sejmowej wiekszosci. Kaczynski podobno taka oferte byl gotow zlozyc juz w roku 2005; otwarcie zlozyl ja przed wyborami 2007, zreszta z czesta u siebie niekonsekwencja, bo bylo to niedlugo po tym, jak na okolicznosc szafy Lesiaka nazwal tegoz samego Rokite "zbrodniarzem", ktory za swoj udzial w nielegalnych operacjach tajnych sluzb przeciwko politykom opozycji powinien gnic w wiezieniu.

Czy majac rzeczywiscie wystarczajaco wielu stronnikow, aby po polaczeniu z PiS stworzyc w parlamencie rzadowa wiekszosc, Rokita by takie premierostwo przyjal – to juz czyste spekulacje.

Rokita, jak juz pisalem, jest politykiem nietypowym. Jesli chodzi o kwestie merytoryczne, uwazam, ze bylby najlepszym premierem sposrod wszystkich, ktorzy w ostatnich latach byli wymieniani jako kandydaci na to stanowisko; przygotowywal sie do jego sprawowania rzetelnie i dlugo. Ale zarazem jest kompletnie pozbawiony cech, ktore sa niezbedne, aby w ogole miec podstawy o fotel premiera sie ubiegac. Wydaje sie fizycznie niezdolny do zabiegania o ludzi, wiazania ich ze soba wzajemnymi przyslugami, tworzenia wlasnej koterii, bez czego w polityce, zwlaszcza naszej, ani rusz. Podobnie jak u Kaczynskiego, naturalnym odruchem Rokity, gdy styka sie z kims zupelnie obcym i do niczego mu w danej chwili niepotrzebnym, jest podejrzliwosc – i to, by raczej go do siebie zrazic, niz na wszelki wypadek pozyskac. Panuje opinia, ze nigdy nie okazal wdziecznosci ludziom, ktorzy na niego pracowali, a latwosc, z jaka pozwolil Grzegorzowi Schetynie (nawiazujac do przykladu z ojcami chrzestnymi, temu, ktory zwykle dla Tuska owe nieszczesliwe wypadki organizowal) wykosic swych stronnikow z list wyborczych, zupelnie ich nie broniac, byl na pewno dla szeregowych platformersow sygnalem, iz z Rokita trzymac nie warto.

Dla jakiejkolwiek przyczyny Tusk postanowil Rokite "wypinkowac" (okreslenie wprowadzil do politycznego zargonu bodajze Wieslaw Walendziak; sam niedlugo potem "wypinkowany" z PiS przez Kaczynskiego, choc nie wdajac sie w szczegoly, niejako na wlasne zyczenie), przyznam, ze jednego nie rozumiem. Skasowac rywala to w polityce normalne, ale Rokita zostal takze przez Tuska publicznie upokorzony – przez wiele miesiecy przewodniczacy obiecywal mu funkcje szefa klubu parlamentarnego PO, jednoczesnie demonstracyjnie utrzymujac wakat, az w koncu wybrano tym szefem Bogdana Zdrojewskiego. Mysle, ze nie szlo tu wcale o robienie Rokicie na zlosc, nie byla to kwestia personalnego konfliktu – akurat na Rokicie skrupila sie bolesnie polityczna wolta, jaka Tusk z cala partia poczul sie w pewnym momencie zmuszony wykonac.

Tak czy owak, konczac te dygresje – Donald Tusk obrachowal sobie we wrzesniu 2005, ze wchodzenie w koalicje rzadowa z partia Jaroslawa Kaczynskiego w sytuacji, gdy w Belwederze zasiada Lech Kaczynski, a wiec bedac skazanym na odgrywanie w tej koalicji roli elementu slabszego, mu sie nie oplaca. I tu zostawmy juz sprawe roznych logik, jakimi kierowali sie protagonisci, a spojrzmy na polityczna ukladanke w taki sposob,

jak patrzyl na nia profesjonalista. Bo bez wzgledu na to, czy Tusk po michnikowsku wierzyl, iz Kaczynski u wladzy sprowadzi na Polske nacjonalistyczna katastrofe, i czy istotnie zalezalo mu na tym, aby ochronic jak najwiecej z "ustrojowego dorobku" III RP, Tusk niewatpliwie jest w polityce doswiadczonym zawodowcem. I jako taki uznal, ze o ile byc moze daloby sie rzadzic z Kaczynskimi, wystepujac wobec nich z pozycji sily, to z Kaczynskimi zwyciezcami rzadzic sie po prostu nie oplaca. Ze wchodzenie z nimi w koalicje mniej mu sie oplaca niz niewchodzenie. Bo skoro wejdzie, bedzie musial tanczyc tak, jak mu koalicjanci zagraja. Przedsmak tego dawaly przeciez juz pierwsze rozgrywki Kaczynskiego w parlamencie – widac bylo, ze Kaczynski zamierza szachowac koalicyjnego partnera mozliwoscia dogadania sie w roznych konkretnych sprawach z Lepperem i Giertychem, a jednoczesnie szantazowac go propagandowo, jesli sprobowalby dla ratowania sie rozegrac cokolwiek wspolnie z lewica. Cholernie niewygodna sytuacja. Tymczasem jesli do koalicji z Kaczynskim nie wejdzie, to wpusci go w Leppera i Giertycha jak w bagno i pozostanie mu tylko poczekac, az wyborcy odesla cala trojke na zielona trawke.

Slady rozsiane po rozmaitych wypowiedziach wskazuja, ze sadzil wtedy, iz nie bedzie musial czekac dlugo. Po utworzeniu rzadu mniejszosciowego, przy jednoczesnym wyraznym zblizeniu z Samoobrona i LPR w kwestii rozdzialu funkcji parlamentarnych (tu Kaczynski wycial przy pomocy Giertycha i Leppera ludzi Tuska z prezydiow sejmu i senatu identycznie, jak w 1991 przy pomocy miedzy innymi Tuska wycial z nich Mazowieckiego i Geremka), w Platformie panowalo przekonanie, ze – prosze wybaczyc, iz uzyje teraz jezyka, jakim zwykli sie poslugiwac nasi mezowie stanu, ale cytuje – "Kaczor sie na tym wypierdoli najdalej w pol roku". W Prawie i Sprawiedliwosci w tym samym czasie panowalo rownie silne przekonanie – znowu prosze o wybaczenie, z tych samych co poprzednio przyczyn – "najdalej za pol roku przyjda nas po dupie calowac, zebysmy tylko dopuscili ich do zloba".

To znaczy – Tusk zalozyl, ze kiedy Kaczynski wpusci Leppera do rzadu, a jak sie rzeklo, w tej sytuacji musial wpuscic, jego elektorat tego nie wytrzyma i masowo sie od niego odwroci, a nie bedzie sie mial odwrocic do kogo innego niz PO. I w ten sposob w nastepnym rozdaniu Tusk zgarnie cala POPiS-owa pule, ktora w 2005 sie podzielila. Kaczynski natomiast, przyjmujac te gre, zakladal, ze Platforma, pelna ludzi, ktorzy zapisywali sie do niej jako do partii wladzy, partii "premiera z Krakowa" i "prezydenta

Tuska", nie wytrzyma dlugo w opozycji i stopniowo rozmaici dezerterzy zaczna mniejszymi, a potem coraz wiekszymi grupami przechodzic na strone zwycieskiego PiS; wystarczy obiecac im troche stolkow. A to uniezalezni PiS od przykrej koniecznosci ukladania sie z Lepperem i Giertychem.

Tak czy owak – wiedzac to, co wiemy dzisiaj, nie mozemy miec watpliwosci, ze jesli nawet koalicja PO-PiS byla mozliwa, to na pewno nie byla mozliwa koalicja Kaczynski-Tusk. Panstwo sie moze bulwersuja, kiedy prezentuje im taki darwinistyczny wizerunek polityki polegajacej na wzajemnym wykanczaniu sie "samcow alfa", dazacych do przywodztwa. No coz, darwinizm moze jest nieestetyczny, ale generalnie sprawdza sie. My, spoleczenstwo czy tez narod, jak kto woli, potrzebujemy polityki jako mechanizmu wylaniajacego osobnikow nadajacych sie do rzadzenia, bo ktos to robic musi. Nie maja byc sympatyczni; maja byc pozyteczni. I w zdrowych demokracjach ten mechanizm generalnie spelnia swe zadanie. Bywa jednak, ze w maszynie cos sie zacina – i w starciu 2005 roku tak sie wlasnie stalo. Obaj rywale okazali sie za silni, zeby dac sie zniszczyc, i za slabi, zeby zniszczyc rywala. Gdyby Tusk i Kaczynski byli rybami ze slawnego obrazu Breughla i jeden moglby po prostu pozrec drugiego, a potem przejac jego poslow, pewnie by to bylo dla Polski korzystniejsze od ponad dwuletniego zwarcia na wzor – by uzyc kolejnego zoologicznego porownania, czestego zreszta – splecionych porozem jeleni.

A moze nie. Nie ma co gdybac – ulozylo sie, jak sie ulozylo, "klamka zapadla, drzwi sie zamkly", jak zwykl mawiac jeden z nauczycieli w mojej szkole (renomowanym warszawskim liceum; taka to byla ta "bezplatna oswiata", za ktora rozna komunistyczna skleroza kaze mi odczuwac wdziecznosc dla peerelu). Nie ma sensu relacjonowac szczegolowo wydarzen. Platforma usilowala zmusic PiS do zlozenia deklaracji, ze "nigdy sie nie zwiaze z Samoobrona", co bylo zgodne z normami estetycznymi ustanowionymi przez moralistyke towarzyszaca, ale przelozone na polityke oznaczalo mniej wiecej tyle samo, co zadanie, aby Kaczynski obcial sobie glowe i podal ja Tuskowi na tacy. PiS z kolei usilowalo wymusic na Tusku objecie funkcji marszalka sejmu, co wydawac sie moglo wielkodusznym ofiarowaniem mu "trzeciej funkcji w panstwie", lecz w istocie stanowilo probe wpuszczenia go w pulapke, probe zreszta nazbyt toporna, zeby Tusk sie w niej nie polapal.

Jakis rok pozniej, wciaz nie wiedzac, na kogo zlozyc w

wiekszym stopniu wine za fiasko obiecanej koalicji, ktora miala zmienic Polske na lepsze – ale wiedzac juz dobrze, ze z tej zmiany nic nie bedzie – porownywalem postepowanie Kaczynskiego do proby sforsowania lasu boczna sciezka. To znaczy: byla droga, na ktora z jakiegos powodu Kaczynski postanowil nie wchodzic (teraz sadze, ze Tusk postawil na niej szlaban, a Kaczynski nawet nie probowal go uchylic). Znalazl boczna drozke, polna, i uszedl kawalek, ale ta droga sie skonczyla. Wtedy znalazl sciezke; uszedl kawalek i sciezka tez sie skonczyla. Znalazl przecinke i kiedy przecinka takze sie skonczyla, mial przed soba juz tylko bagno. Ale zabrnal za daleko, zeby zawracac – zaczal wiec skakac z kepy na kepe. Raz sie poslizgnal i wpadl po kolano (pisalem to po owym kilkudniowym zerwaniu koalicji, w trakcie ktorego poslanka Beger objawila sie jako gwiazda ukrytej kamery), jednak, choc uwalany, brnal dalej… Prorokowalem wowczas, ze nie dobrnie do celu, predzej czy pozniej po ktoryms skoku noga mu sie powinie i zostanie pochloniety przez trzesawisko. Teraz musze dodac, ze byl niezwykle blisko i utonal praktycznie tuz-tuz, o krok od zwyciestwa; przynajmniej od zwyciestwa w wyborach. Bo, powtorze, jeszcze na kilkanascie dni przed wyborami wydawalo sie, ze PiS uda sie dokladnie powtorzyc sukces sprzed dwoch lat. Zniechecona wiekszosc spoleczenstwa pozostanie w domach, a mniejszosc, zmobilizowana telewizyjnymi reklamowkami, coz tam, ze demagogicznymi, grunt, ze mocnymi w przekazie, raz jeszcze powierzy PiS misje rozprawienia sie z "onymi". Publicysci "Gazety Wyborczej" i "Polityki" juz cwiczyli sie w pisaniu nekrologow (prosze poczytac ich analizy polityczne z polowy wrzesnia 2007) pelnych duszoczypatielnych jeremiad i rwania szat nad polskim koltunem, z ktorym Kaczynski ma tak doskonaly kontakt. No bo rzeczywiscie, dlaczego mialo sie nie powtorzyc to, co w historii III RP powtarzalo sie regularnie w kazdych wyborach? Zawsze dotad wygrywal ten, kto zebral glosy niezadowolonych przeciwko zadowolonym, glosy prowincji przeciwko glosom wielkich miast i glosy emerytow przeciwko glosom mlodziezy. Dopiero pazdziernik 2007 radykalnie te prawidlowosc odwrocil.

Dlaczego, pytacie Panstwo? No coz, nie trzymam sie tu zadnych chronologii i skacze od jednej dygresji do drugiej, ale przeciez nie az tak, zeby juz teraz wyjasniac to, co logika nakazuje uczynic pointa tego rozdzialu i podprowadzic od przeslanek do narzucajacego sie nieodparcie wniosku. Ale moge od razu powiedziec, co na to nie mialo wplywu. Da nam to bowiem okazje, aby obalic dwa mity, dwa najczesciej powtarzane wyjasnienia

fenomenu ostatnich wyborow – to, w ktore wierzy Jaroslaw Kaczynski, i to, w ktore wierzy michnikowszczyzna.

A zatem: wyborcza kleska PiS nie nastapila dlatego, ze media byly calkowicie po stronie przeciwnikow IV RP i ze uprawiana przez nie propaganda tak Polakom namacila w glowach, iz to, co w rzeczywistosci bylo sukcesem, uznali oni za porazki, czarne wydalo im sie bialym, biale czarnym, a czerwone sympatycznym. Jaroslaw Kaczynski mediow nie zna, nie rozumie i stad nie tylko odczuwa wobec nich instynktowna niechec, ale tez sklonny jest im przypisywac jakas magiczna omalze moc. Gdyby mial w tym racje, to w demokracji nie przegrywalby nikt, kto ma media w reku, ani nie wygrywalby nikt, kto je ma przeciwko sobie.

A tymczasem nie bylo w dziejach demokracji polityka, ktory bylby bardziej znienawidzony przez dziennikarzy niz najwiekszy obok Lincolna prezydent w dziejach USA, Ronald Reagan. Nieustajacy seans nienawisci, jaki urzadzaly mu "wiodace" telewizje i gazety, nie daje sie porownac z niczym, "czarny pijar" robiony przez kilkanascie lat Kaczynskiemu to naprawde w porownaniu z tym pikus. Mimo to Reagan nie tylko dwukrotnie wygral wysoko wybory, ale gdy juz nie mogl kandydowac, zwyciezyl, wylacznie dzieki temu, ze byl u Reagana wiceprezydentem, George Bush senior, mimo iz byl politykiem nieporownywalnie mniejszego formatu, w rzeczy samej – miernym. Wscieklizna "liberalnych", w amerykanskim sensie tego slowa, mediow dala tylko tyle, ze po pierwsze, przyniosla gigantyczny sukces telewizji Fox, demonstracyjnie nielewicowej (dzis jest ona najchetniej ogladana stacja informacyjna w USA), a po drugie, poglebila bardzo podzial i poczucie obcosci pomiedzy wiekszoscia prostych Amerykanow a tamtejszymi uniwersyteckimi i artystycznymi elitami.

Politycy prawicowi z reguly nie sa przez media traktowani z sympatia; potwornosci wypisywala prasa francuska o Sarkozym, brytyjska o Thatcher, a wloska o Berlusconim. Ten ostatni, jako magnat telewizyjny, mial czym odpowiadac – ale z kolei, gdy wyborcy poczuli sie jego rzadami rozczarowani, cala jego telewizyjna potega nie uchronila go przed przegrana. Rowniez w Polsce klaka robiona lewicy przez telewizje Kwiatkowskiego albo Unii Demokratycznej przez telewizje Drawicza nie na wiele sie zdala, gdy stracily one sympatie wyborcow. Ukuto wrecz twierdzenie, ze w Polsce partia, ktora kladzie lape na mediach panstwowych, przegrywa wybory, i rzeczywistosc istotnie zasade te potwierdza (co nie zmienia faktu, ze i tak kazda partia, ktora

wygrywa wybory, w pierwszej kolejnosci stara sie polozyc lape na mediach panstwowych). Zreszta na koniec, jak juz sie rzeklo – i jest to do sprawdzenia chocby w kolejnych sondazach opinii publicznej – przez caly okres rzadow Kaczynskich kanonada mediow warszawki nie tylko nie dawala zadnego rezultatu, ale mozna bylo wrecz odniesc wrazenie, ze tak jak wczesniej z Lepperem – im bardziej Kaczora media loja, tym bardziej mu rosnie poparcie.

A teraz rozprawmy sie z mitem drugim: wyborcza kleska PiS nie nastapila dlatego, ze Polacy uznali, iz Kaczynski zagraza demokracji, ani dlatego, ze mieli dosc "dzielenia ludzi", "szczucia", "dusznej atmosfery", "wszechobecnych podsluchow" etc. Jednym z argumentow jest ten sam, ktorego uzylem w punkcie poprzednim – gdyby istotnie takie byly motywacje decydujacej grupy wyborcow, to notowania PiS zaczelyby spadac znacznie wczesniej, po tym jak dochodzilo do wydarzen uwiarygodniajacych takie oskarzenia.

Wystarczy zreszta spojrzec w badania. Zdecydowana wiekszosc Polakow – rowniez w grupie wiekowej, ktora ostatecznie zadecydowala w wyborach 2007 roku o pchnieciu Polski na ten, a nie inny tor – podpisuje sie pod rozmaitymi antydemokratycznymi herezjami, w rodzaju "czasem wladza silnego czlowieka sprawdza sie lepiej niz demokracja" albo "niekiedy oplaca sie ograniczyc prawa obywatelskie dla przywrocenia porzadku". Nie bawiac sie w szczegolowe omowienie, wynika z nich, ze prosty Polak w podejsciu do demokracji zachowuje znacznie wiecej zdrowego rozsadku niz duza czesc elit, sklonna czynic z demokratycznych procedur fetysz. Oczywiscie, jest w tym i niebezpieczenstwo, ale nie ma sensu w tej chwili zglebiac tej kwestii – dla nas wazne jest, ze oskarzenie kogos o lamanie zasad demokracji, nawet dobrze uargumentowane, niekoniecznie musi go w oczach polskich wyborcow dyskredytowac. Zwlaszcza jesli uznaja oni, ze za te cene polityk ow oferuje im wieksza skutecznosc.

W ogole we wplywie mediow na spoleczne nastroje mozna zauwazyc mechanizm analogiczny do czesto przywolywanego w podrecznikach ekonomii zdarzenia z pewnego afrykanskiego kraju. Owoz po odejsciu kolonizatorow nowy rzad zawladnal tam miedzy innymi mennica i zaczal bez umiaru drukowac w niej pieniadze na pokrycie swych rozlicznych wydatkow. Spowodowalo to, rzecz jasna, hiperinflacje i w krotkim czasie lokalna waluta stracila jakakolwiek wartosc. Wowczas miejscowa ludnosc przerzucila sie calkowicie w rozliczeniach miedzy soba

na franki, funty i dolary, natomiast waluty swego panstwa uzywac zaczela wylacznie do jednego celu – placila w niej podatki. Innymi slowy, drukowany przez rzad bezwartosciowy papier wracal do niego. Podobienstwo do mechanizmu medialnego jest takie, ze zmasowana propaganda najbardziej zauwazalny efekt daje w sondazach. Jesli przez dlugi czas trabimy, ze ktos jest brzydki, a potem zrobimy sondaz, kto jest brzydki, to prawdopodobnie uzyskamy odpowiedz, ze zdaniem wiekszosci obywateli brzydki jest ten, o kim tak mowilismy. Ale jesli ludzie z jakiegos powodu beda chcieli na kogos zaglosowac, to zaglosuja, nawet uwazajac, ze jest brzydki. I odwrotnie, nawet jesli wyniki sondazu pokaza nam, iz przekonalismy spoleczenstwo, iz ktos jest ladny, to wcale nie oznacza, ze spoleczenstwo go poprze. Przypadek klasyczny to Jacek Kuron, ktory dostal glosy dziesieciu procent wyborcow, choc i wczesniej, i potem przez wiele lat przodowal w rankingach najbardziej lubianych politykow z poparciem w granicach siedemdziesieciu procent.

Czesto powtarzam takie amerykanskie powiedzonko (Amerykanie maja naprawde mnostwo fantastycznych powiedzonek, zwiezle, a czasem nawet dosadnie ujmujacych rozne warte zapamietania prawdy), ze polityk, ktory narzeka na media, przypomina zeglarza narzekajacego na wiatr. Nikt nie wmowi czlowiekowi niezadowolonemu, ze jest zadowolony (gdyby bylo to mozliwe, Gierek nigdy by nie zostal odsuniety od wladzy), i nikt nie wmowi zadowolonemu, ze jest niezadowolony. Co najwyzej, zaslyszana w telewizji czy przeczytana w gazecie fraza moze niezadowolonemu pomoc we wtornej racjonalizacji przyczyn jego niezadowolenia. Ale jesli polityk twierdzi: wszystko robilem dobrze, tylko mialem zla prase i dlatego ludzie moich staran nie docenili, jest to raczej samousprawiedliwienie niz rzeczywiste wyjasnienie porazki.

Zreszta akurat jesli chodzi o Jaroslawa Kaczynskiego, to przez wiekszosc czasu ogromna niechec okazywana mu przez medialny swiatek zdawala mu sie raczej pomagac, niz szkodzic. Jest to mechanizm bardzo latwy do wyjasnienia. Jak juz pisalem, w III RP bardzo silny pozostal odruch postrzegania wladzy jako struktury obcej, nieprzyjaznej – wedle zakodowanego gleboko podzialu "my i oni". Ale "oni" to w tym podziale nie tylko wladza, to takze ogolnie rozumiany establishment, jacys bogacze, jacys miastowi i rozni madrale, w skrajnych wypadkach – wszyscy, ktorzy chodza w garniturach. Kaczynski doswiadczyl tego na wlasnej skorze – jest to zreszta przesmieszna anegdota, opowiedziana w jednym z jego wywiadow – gdy za czasow Suchockiej udal sie w teren

buntowac narod i ku swemu zdumieniu zbluzgany zostal przez przybyla na spotkanie ludnosc miasteczka jako przedstawiciel wladzy. Gdy usilowal wytlumaczyc, ze sie goraco ze wszystkimi ich pretensjami do rzadu zgadza, ale on nie rzadzi, tylko wlasnie jest w opozycji, uslyszal – jak to nie ty rzadzisz, kiedy cie ciagle w telewizji pokazuja?!

Gdy kilkanascie lat potem Kaczynski rzeczywiscie rzadzil, na wielka czesc wyborcow zadzialal mechanizm odwrotny – owszem, jest premierem, ale skoro "oni" tak w niego wala jak w beben, to widocznie on nadal jest "nasz". Uchronilo to Kaczynskiego przed "zuzyciem wladza", ktorego ofiara padaly wszystkie formacje rzadzace wczesniej, i moim zdaniem wlasnie temu zawdziecza PiS, ze w roku 2007, po dwoch latach sprawowania wladzy, uzyskalo o prawie dwa miliony glosow wiecej niz poprzednio.

***

Ale skoro przy tym jestesmy, nie mozna nie pokusic sie tu o wymierzenie naszym mediom sprawiedliwosci; sformulowanie "walenie jak w beben" nalezaloby zastapic jakims mocniejszym. Pamiec zaciera kanty, a ja nie mam ani zamilowania archiwisty, zeby ciulac w domu teczki wypelnione wycinkami z gazet, ani wystarczajacej dozy zajadlosci w duszy, zeby gromadzic plody ludzkiej zlosliwosci, jadu i nienawisci. Bo w tym punkcie – a moze jeszcze wczesniej, gdy tylko poruszylem watek moralistyki towarzyszacej – powinienem przedstawic Panstwu antologie cytatow dowodzacych, ze gros mediow w opisie rzeczywistosci polskiej po roku 2005 przekroczylo wszelkie granice dopuszczalnego dziennikarskiego zaangazowania po jednej ze stron, a wiele autorytetow, ludzi nauki i kultury, nie wspominajac juz o prostych celebrytach, bredzilo w bojowym amoku tak potwornie, ze ze wstydu nie powinni juz nigdy wiecej pokazywac sie publicznie. Cokolwiek Kaczynski zrobil, dobrego czy zlego, nie mialo to najmniejszego znaczenia. Od pierwszej chwili mial przeciwko sobie propagandowa Orkiestre, chwytajaca sie kazdego, chocby najbardziej naciaganego pretekstu, by sypnac pompatycznymi oskarzeniami o zagrozeniu dla wolnosci, dla demokracji, o realizowaniu wzorcow Gomulki i Putina, panstwie Orwella, a nawet stalinizmie XXI wieku. Oczywiscie, w tym morzu obelg zdarzaly sie stwierdzenia celne i krytyki rzeczywiscie

uzasadnione – lecz po pierwsze, tonely one w histerycznych okrzykach, po drugie, nawet wskazujac rzeczywiste bledy czy nawet niegodziwosci Kaczynskich, ich krytycy formulowali swe tezy z taka przesada, ze czlowieka starajacego sie zachowac minimalny chocby dystans do rzeczywistosci po prostu to smieszylo.

A ze przecietny Polak ma wbudowany w dusze mechanizm przekory, sluchajac tego wrzasku, duza czesc spoleczenstwa myslala sobie – jesli tak, to ja bede za Kaczorem. I sondazowe slupki nie chcialy zjechac w dol, ku zgrozie i tym wiekszej histerii Salonu, ktory pograzal sie wskutek tego w jeszcze wiekszej frustracji i "przywalal" jeszcze bardziej – i sytuacja sie zapetlala.

Oczywiscie, nie byla to pierwsza taka medialna histeria. Ow mechanizm samonakrecajacej sie wlasna przeciwskutecznoscia histerii sfrustrowanego Salonu po raz pierwszy uruchomil u samego zarania III RP Stan Tyminski, a niedlugo przed rzadami PiS umiejetnie posluzyl sie nim Lepper (czy raczej ci, ktorzy go wykreowali). Szczytow wariactwa siegnela propaganda Salonu podczas "wojny na gorze", gdy nie wystarczalo mowic, ze Walesa nie nadaje sie na prezydenta – trzeba go bylo przedstawiac jako prymitywnego chama i zadnego dyktatorskiej wladzy megalomana. Byly w tym elementy rzeczywistosci, ale generalnie trudno bylo nie czuc powaznego absmaku w zestawieniu z tym, jak ci sami salonowi politycy i intelektualisci jeszcze do wczoraj sie Walesie, uosobieniu Ludu, w najobrzydliwszy sposob podlizywali (jest taka zielona ksiazeczka zatytulowana po prostu Lech Walesa, pod redakcja Bronislawa Geremka; bialy kruk, bo intelektualisci, ktorych wypowiedzi i eseje sie na to dzielo zlozyly, pewnie je po latach wykradali z bibliotek, tak jak wielu naszych literatow wykradalo swe socrealistyczne debiuty – ale gdyby gdzies Panstwo ja dorwali, serdecznie polecam, ubaw po pachy). Co wiecej, jak sie mialo wkrotce okazac, po wspolnym zalatwieniu sie z Olszewskim zaczeli mu kadzic w tym samym stylu ponownie.

Moze znowu wylazi ze mnie prywatny uraz; jak wspominalem, wchodzilem w publiczna dzialalnosc i bardzo emocjonalnie opowiedzialem sie wtedy – jak wiekszosc spoleczenstwa – za Walesa, niewiele o sprawie wiedzac, po prostu przez odraze, jaka wzbudzila we mnie ta udecka warszawka, z jednej strony zakochana w sobie do nieprzytomnosci, z drugiej niekryjaca tkwiacej w niej pokladow pogardy dla "chamstwa". Ale po "wojnie na gorze" byly przeciez kolejne histerie. Kto jeszcze pamieta, ze

umieszczenie w ustawie o mediach sformulowania "wartosci chrzescijanskie" mialo spowodowac w Polsce przywrocenie cenzury? Ze protestowali przeciwko temu wielcy artysci, slaly listy zagraniczne autorytety, a publicysci bili na alarm? Kto pamieta, ze konkordat zmienic mial III RP w panstwo wyznaniowe, niczym sie wlasciwie nierozniace od poddanego wladzy ajatollahow Iranu?

Zawsze, przyznam, zastanawia mnie, dlaczego nikt nie potrafi zglupiec do tego stopnia, co intelektualista. Przychodzi mi do glowy tylko jedno wytlumaczenie: czlowiek normalny ma z reguly jakas konkretna prace, ludzie, z ktorymi sie spotyka, takze maja jakas konkretna prace, i to, co do niego dociera, odruchowo przymierza on do rzeczywistosci. Bo zna rzeczywistosc i ma do czego medialny przekaz przymierzyc. Intelektualista natomiast porusza sie wylacznie wsrod slow, a ze slowami mozna zrobic wszystko. Dla niego jedyna istniejaca rzeczywistoscia jest to, co przeczyta w gazecie i zobaczy w telewizji. Jesli nie znajdzie powodu, aby wyrobic sobie do tego jakis dystans, jesli zaniecha ostroznosci i nie zbuduje jakiegos mechanizmu obronnego – to po prostu nie moze nie zglupiec.

Mediami bowiem rzadzi konkurencja, a konkurencja oznacza, ze trzeba byc bardziej. W kazdej dziedzinie – nawet takiej, jak, z przeproszeniem, dopieprzanie Kaczorom. Jesli tamci wczoraj napisali cos, to my musimy napisac cos jeszcze mocniejszego, tak zeby czytelnik wydal z siebie okrzyk zgrozy i zadrzal. Juz po kilku dniach informacja, ze Kaczor zrobil cos zle, nie jest zadna informacja. Trzeba napisac, ze to, co zrobil, to KATASTROFA, ZAGLADA, KLESKA i W Ogole.

Jest to ogolny algorytm dzialania mediow, sprawdzajacy sie takze i na drugim krancu polityczno-medialnej areny, gdzie media torunskiego koncernu oglaszaja co tydzien koniec swiata, co trzeci dzien nowa Targowice, a co drugi, ze, najdrozsi, szykuje sie straszliwy atak na Radio Maryja i trzeba jeszcze mocniej zewrzec szeregi, jeszcze mocniej sie postarac, zdobyc sie na jeszcze wieksza ofiarnosc, uwaga, podajemy numer konta. Skoro wspomnialem zaprzeszle histerie nad rzekomym panstwem wyznaniowym, to musze przypomniec, ze czytalo sie wtedy nie tylko, ze Polska rzadzona jest przez Kosciol (co ja pisze – przez "czarnych"), ale takze, iz ludzie majacy odwage (ach, ilez trzeba bylo do tego odwagi!) przeciwstawiac sie "czarnemu terrorowi" sa przesladowani, szykanowani i REPRESJONOWANI!

Przepraszam za nadmiar wielkich liter, ale staram sie oddac ladunek emocjonalny, ktory naprawde w tych jeremiadach tkwil.

Rozziew pomiedzy tym gledzeniem a rzeczywistoscia byl krancowy. Nie tylko nikt nie byl w Polsce przesladowany za deklarowanie ateizmu albo krytykowanie Kosciola, ale – wrecz przeciwnie – stanowilo to szybka i latwa droge do kariery. Urban na wykpiwaniu religii i duchownych zbil majatek, podobnie jak jakis niedoszly ksiadz, ktory sprzedal pare milionow egzemplarzy demaskatorskiej ksiazki o tym, ze ksieza prywatnie zajmuja sie tylko piciem i chedozeniem wszystkiego, co sie nawinie. Olga Lipinska dzieki podsmiewaniu sie z "Pana B." na dlugie kilka lat ocalila swoj wiednacy z braku pomyslow kabarecik przed zrzuceniem z anteny. Antyklerykalizm byl w modzie, przysparzal slawy i kasy, a politykom – glosow. Stad na przyklad (kto o tym dzis pamieta?) ostentacyjnym antyklerykalem byl wtedy takze Donald Tusk. Dopiero przed wyborami 2005 okazal sie nagle czlowiekiem wierzacym i nawet zalegalizowal swoj od lat tylko cywilny zwiazek. (Powiadal Henryk IV, ze "Paryz wart mszy", czemuz Belweder nie mialby byc wart slubu koscielnego? Zreszta nie byla to najwieksza przemiana w politycznej karierze Tuska i tej akurat bym sie nie czepial, kazdy moze sie z czasem nawrocic. Znacznie wieksza wolte przeszedl Tusk wraz z calym srodowiskiem "gdanskich liberalow" u zarania nowego ladu, kiedy to dotychczasowi zajadli krytycy planu Balcerowicza i uwlaszczenia nomenklatury, postulujacy oczyszczenie z niej w trybie pilnym gospodarki, a zwlaszcza bankowosci, po wyciagnieciu Bieleckiego na premiera doslownie jednego dnia zmienili sie w piewcow jedynej mozliwej i bezalternatywnej sciezki ustrojowej transformacji).

O tych rzekomych cierpieniach antyklerykalow sadzilem naiwnie, ze to zupelnie cyniczna propaganda, dopoki nie zaczalem przy roznych okazjach spotykac naszych wybitnych publicystow i tytanow intelektu. I to dopiero przezylem szok – bo oni naprawde, najglebiej wierzyli, ze sa represjonowani. I nie dawali sobie tej wiary odebrac, zanadto byli z niej dumni – na probe wytlumaczenia reagowali natychmiastowa agresja.

Oczywiscie, tylko do pewnego momentu, gdyz potem konkordat wszedl w zycie i nagle sie okazalo, ze nic z tego, co zapowiadano, sie nie stalo i ze w zasadzie to ten konkordat jest OK (moze dlatego, ze tak byl obwiescil Aleksander Kwasniewski; a skoro on tak obwiescil, to nawet Barbara Labuda co predzej sie z konkordatem przeprosila). I to jest w intelektualistach jeszcze

bardziej fascynujace: nie tylko potrafia na pstrykniecie ludzi, ktorzy dyryguja nastrojami Salonu, wpasc w krancowa histerie, w amok, krzyczec, protestowac, rwac szaty. Ale tez potrafia na nastepne pstrykniecie zapomniec calkowicie o sprawie i o tym, ze w niej w jakikolwiek sposob brali udzial.

A za nimi, oczywiscie, jak za pania matka, powtarza kazdy gest i kazde slowo pare setek tysiecy cwierc-sredniej i cwierc-inteligenckiej obrazowanszcziny.

Ale wracajmy do naszych Kaczorow (ze tak sobie pozwole zblizyc stare powiedzonko do tematu rozdzialu). Histeria, jaka powitala michnikowszczyzna i srodowiska pozostajace pod jej urokiem podwojne zwyciestwo wyborcze PiS, byla do przewidzenia. O ile bowiem mozna sie zastanawiac, na ile logika "zagrozenia dla demokracji" wplywala na Tuska, na ile kierowal sie on przekonaniem, ze z Kaczynskim wspolrzadzic sie nie da, a na ile rachuba, ze po "wpuszczeniu" przeciwnikow w Leppera zgarnie cala pule – to w wypadku michnikowszczyzny watpliwosci nie ma zadnej. Michnikowszczyzna od pietnastu lat glosila, ze dopuszczenie do wladzy "antypanstwowej" prawicy oznaczac bedzie odejscie od demokracji i wolnego rynku, a krotkotrwale rzady Jana Olszewskiego uznala za potwierdzenie swojej tezy w calej rozciaglosci. Rzecz charakterystyczna – mozna sie spierac o sensownosc uchwaly lustracyjnej, nieprzewidujacej zadnej procedury odwolawczej, i o intencje Macierewicza, ale akurat w gospodarce rzad Olszewskiego okazal sie nieoczekiwanie sprawnym administratorem; zmniejszyl gigantyczny deficyt budzetowy odziedziczony po Bieleckim, zredukowal nieco biurokracje i jej absurdy, polozyl prawne podstawy pod zdrowy kredyt hipoteczny, a tym samym budownictwo mieszkaniowe; w kazdym razie na pewno nie zrobil nic, co by mozna uznac za odejscie od wolnego rynku. Mimo to "Wyborcza" i jej akolici wbrew faktom oglosili Olszewskiego zagrozeniem nie tylko dla stabilnosci politycznej, lecz wlasnie dla gospodarki – na podstawie jednego, jedynego, powtarzanego do mdlosci argumentu: Olszewski wprowadzil koncesje na handel paliwami. Zanim Korwin wniosl o przyjecie uchwaly lustracyjnej, to wlasnie owe koncesje byly powodem zlozenia przez UD, KLD i cwaniaczkow od piwa wniosku o odwolanie rzadu – i chociaz jak juz Panstwo wiedza, UD i KLD, objawszy wladze, nawet o zniesieniu koncesji nie pomyslaly, bo takie umocnienie mechanizmow politycznego klientyzmu bardzo im odpowiadalo, to ukuty w propagandzie obraz "fatalnego rzadu, usilujacego przywrocic peerelowskie reczne sterowanie gospodarka"

pozostal. "Gazeta Wyborcza", ktorej tezy powtarzaly wiernie niemal wszystkie inne gazety i media elektroniczne, a nie polemizowal z nimi nikt, poza kilkoma niskonakladowymi bieda-pisemkami prawicy, miala w owym czasie wielka moc wytwarzania wirtualnej rzeczywistosci, ktora dla paromilionowej obrazowanszcziny natychmiast stawala sie rzeczywistoscia jedyna. Czesc z tej sily "Gazeta" zdolala doniesc do wspolczesnosci i wciaz istnieje w Polsce grupa ludzi, ktora patrzy na swiat oczami Michnika i porusza sie wedlug poustawianych przez niego drogowskazow. Roznie mozna ja szacowac; zyczliwy michnikowszczyznie Aleksander Smolar podczas zorganizowanej w marcu 2007 przez "Rzeczpospolita" debaty "inteligent czy wyksztalciuch" mowil o dwoch, trzech milionach. Ja wymyslilem sobie wlasna metode oszacowania – po obejrzeniu dwoch pierwszych odcinkow niezwykle reklamowanego w "Wyborczej" serialu Ekipa, ktory byl idealna emanacja czegos, co mozna by nazwac "udeckim rozumem", powiedzialem sobie, ze ogladalnosc ostatniego odcinka wyznaczac bedzie, ile osob tak naprawde identyfikuje sie w Polsce z michnikowszczyzna. Wyszlo, ze prawie milion – sporo, zwazywszy ze nie jest ten milion rownomiernie rozsiany po calej Polsce, lecz skupia sie w branzach, sitwach i koteriach szczegolnie dla funkcjonowania panstwa waznych. Ow zatem milion czy trzy, jesli racje ma Smolar, a nie ja, postawila sobie michnikowszczyzna za cel zmobilizowac przeciwko Kaczynskim, tak samo jak swego czasu ze wszech sil mobilizowala polska inteligencje do przeciwstawienia sie lustracji, Olszewskiemu i "panstwu wyznaniowemu". I z tego samego powodu.

Prosze Panstwa, uwaga, znowu jestesmy w tym punkcie naszej opowiesci, w ktorym powiedziec musze cos, co wydaje mi sie bardzo wazne. Bardzo wazne. Prosze o chwile zyczliwego skupienia, abym mogl to w sposob zrozumialy wyartykulowac – co nie bedzie latwe, jako ze wszyscy w mniejszym lub wiekszym stopniu zatruci zostalismy przez propagandowa wojne, toczona zajadle przez ostatnie kilka lat, wojne, w ktorej kazdy zmuszany byl na rozne sposoby do zapisania sie do obozu antykaczynskiego albo prokaczynskiego. Otoz nie w tym problem, ze taki podzial wytworzono, i nie w tym, ze dysponenci wplywowych mediow postanowili, po raz kolejny zreszta, intensywnie wlaczyc je w propagande polityczna i uzyc wszystkich posiadanych mozliwosci, aby doprowadzic do obalenia niepodobajacych im sie rzadow. Problem w tym, ze emocjonalny podzial oparty zostal o kryteria slabo sie majace do

rzeczywistosci. Ze w ten sposob medialna Orkiestra imienia (bo grajaca wciaz z jego partytury, ale juz nie pod jego batuta) Adama Michnika wykreowala linie podzialu nijak majaca sie do tego, co rzeczywiscie dla Polski i dla Polakow wazne.

I z tej przyczyny znowu znalezlismy sie w jakims matriksie ("michtriksie"?), w rzeczywistosci wirtualnej, w ktorej trudno dostrzec prawdziwe przyczyny naszych problemow, poniewaz wszystko uznano za niewazne, poza jednym pytaniem: jestes za Kaczynskim czy przeciwko?

Zeby na takie pytanie odpowiedziec, ja bym musial najpierw wiedziec, co to znaczy byc za Kaczynskim albo przeciwko niemu. Otoz wykladnia, jakiej trzyma sie przez caly czas Orkiestra, jest taka: byc za Kaczynskim, czyli byc za IV RP, to znaczy byc za lamaniem regul demokracji, za nienawiscia w dyskursie publicznym, dzieleniem ludzi i innymi patologiami; to byc za odchodzeniem od Europy w strone nacjonalistycznego zascianka, za nietolerancja, antysemityzmem i przeciwko wolnemu rynkowi.

Natomiast byc przeciwko Kaczynskiemu, to znaczy bronic osiagniec III RP, panstwa, ktore jest naszym wspolnym historycznym sukcesem, ktore zbliza nas i wlacza do Europy, ktore wiedzie nas ku demokracji, tolerancji, katolicyzmowi otwartemu i wszystkiemu, co dobre.

Ten podzial chetnie podchwycony zostal przez Kaczynskiego i jego zwolennikow. Znowu sie powtorzyla sytuacja z poczatku lat dziewiecdziesiatych, kiedy to michnikowszczyzna wymyslila dla Kaczynskiego, chcacego byc wtedy umiarkowanym centrysta, gebe zajadlego antykomunistycznego radykala – a on te gebe wzial za swoja i oddala mu ona znaczne uslugi.

Kaczynski wiec podchwycil zaproponowany podzial; oczywiscie z odwroceniem znakow wartosci. Byc za IV RP, a przeciwko Trzeciej to w tej interpretacji byc przeciwko panstwu gangsterskiemu, oligarchicznemu, ktore bylo bekartem Okraglego Stolu, ktore sprowadzilo na nas eurozagrozenie wykupem polskiej ziemi i spedaleniem polskich dziatek, ktore niszczylo wartosci, patriotyzm, religie, Kosciol i polskosc, usilujac wtloczyc nas w europejska "cywilizacje smierci". No i dla Kaczynskich, zwlaszcza dla Lecha, rzecz na pewno nie najmniej wazna, byc przeciwko III RP to byc przeciwko panstwu niesprawiedliwosci spolecznej, w ktorym bogacze (to, ze glownie z komunistycznymi rodowodami, tym bardziej te niesprawiedliwosc wyjaskrawia) popijaja

szampana i zra kawior, a prostym ludziom liberalowie odbieraja zasilki, ktore im sie wszak naleza jak psu buda.

Bardzo wygodna dla obu stron linia podzialu. Chocby plodzone przez salonowych medrkow filipiki przeciwko Kaczynskiemu byly w jawny sposob idiotyczne, ten, kto osmieli sie je wykpic albo nawet najuprzejmiej polemizowac, jest wrogiem demokracji, slugusem rezimu i po prostu swinia. Tak, tak, ja nie przesadzam, moi mili Panstwo. Prosze sobie wziac do reki ten numer "Gazety Wyborczej", w ktorej redakcja swietuje hucznie rocznice Marca 1968 – a konkretnie wywiad, ktory przeprowadza z Michnikiem Jacek Zakowski, mianujac go tam Konradem Wallenrodem i w ogole podlizujac sie w sposob dla czlowieka spoza tej koterii niesmaczny. Posrod rozmaitych pompatycznych stwierdzen rzuca tam guru Salonu mysl bedaca wlasciwie kwintesencja jego tekstow i calej inspirowanej przez niego maszyny propagandowej z ostatnich dwoch lat: Gomulka podzielil Polska inteligencje tak samo, jak ostatnio podzielil ja Kaczynski. Po Marcu 1968 mozna bylo byc albo przeciwko rezimowi, albo byc swinia.

Jak dowodzi przypomniana w poprzednim rozdziale polemika Michnika z Wierzbickim, dzisiejszy redaktor naczelny "Gazety Wyborczej" w peerelu bynajmniej taki radykalny nie byl i jesli nawet inteligentow nieposwiecajacych sie walce z rezimem uwazal za swinie, to nie mowil im tego w oczy, przeciwnie, czarowal i staral sie pozyskiwac do swoich celow. Ale dajmy juz spokoj zamierzchlym sprawom, chodzi o rok 2007 i o postawienie sprawy: nie to, ze, jak w panstwie demokratycznym, mamy rozne partie aspirujace do wladzy, mamy rozne wiekszosci, tworzace sie przy urnach wyborczych, w parlamencie, i mamy procedury, ktore reguluja ucieranie miedzy tymi wiekszosciami kompromisow, no i, przede wszystkim, mamy jedna podstawowa demokratyczna zasade: ze wszyscy, bez wzgledu na to, czy akurat znajdujemy sie w wiekszosci czy w mniejszosci, akceptujemy osiagniety rezultat.

Michnik nawet w autoryzowanym przez siebie wywiadzie we wlasnej gazecie nie potrafi ukryc, ze streszczony powyzej sposob myslenia jest mu najglebiej obcy. Jest ta strona, po ktorej jest on, i tu jest slusznosc, moralnosc oraz samo dobro – i sa tamci, rezim i jego pacholkowie, swinie po prostu. Nie ma moralnej roznicy pomiedzy oddaniem w demokratycznych wyborach glosu na PiS albo sympatyzowaniem z wylonionym przez procedury demokratyczne rzadem czy tylko z jakims jego konkretnym posunieciem – a wyslugiwaniem sie komunistycznemu rezimowi, opartemu na okupacyjnej sile armii sowieckiej i wieloletnim

gwalceniu najbardziej podstawowych ludzkich praw. Jedno i drugie oznacza opowiedzenie sie po stronie nieprzyjaciol Adama Michnika, a wiec nie ma sie co wdawac w szczegoly. Tak mowi, bo tak mysli, osobnik, ktorego wykreowano klakierskimi metodami na Wielkiego Demokrate, a ktory po prostu cale zycie byl rewolucjonista, stawiajacym swe wewnetrzne przekonanie ponad wszelkie inne racje tego swiata, takze te uczciwe – i trudno wymagac, zeby sie nagle na starosc zmienil.

Jeden z kilku konwencjonalnych argumentow, uzywanych przez klake Michnika w takich sytuacjach – to znaczy w chwili, gdy ich guru odsloni sie z czyms, czego naprawde nie sposob jest obronic – to dowodzenie, ze Michnik w koncu nie jest przeciez nikim waznym i co tam sobie brzdaka, to jego prywatne poglady. Zazwyczaj zreszta ubrane w forme szyderstwa, ze, ha, ha, ci prawicowi wariaci robia z Michnika jakiegos zlowrogiego demiurga, ze niby Michnik wszystkim rzadzi, juz widza tego Michnika w kazdej szklance wody – tu zwykle salonowy medrzec pokazuje dyskretnie kolko na czole, a obrazowanszczina wybucha smiechem i bije dlugie, niemilknace oklaski.

No coz, wszystkim moze nie, ale "Gazeta Wyborcza" Michnik rzadzi od roku 1989 i choc niedawno, w okragla rocznice jej powstania, usilowano go dyskretnie przekonac do przejscia na zasluzona emeryture, odmowil. A z kolei "Wyborcza" rzadzi umyslami swych umiejetnie uwiedzionych czytelnikow, a w ostatnich latach to wlasnie ona, wespol z kilkoma innymi mediami, stanowila prawdziwa i najbardziej nieprzejednana opozycje przeciwko Kaczynskiemu – wcale nie Tusk i nie jego Platforma, ktora najpierw przez pewien czas nie mogla dojsc do siebie po wyborczej klesce, potem rozgrywala sie w niej walka o wladze i nowe poukladanie sie ze soba frakcji, potem jeszcze przez czas jakis nie mogla sie zdecydowac co do strategii: czy byc super-PiS-em i oprzec swoj przekaz na hasle "Kaczynscy schrzanili IV RP, my ja zbudujemy lepiej", czy taktownie zapomniec o wszystkim, co sie samemu mowilo w kampanii 2005 roku, a nawet za czym sie razem z PiS zdazylo juz w tej kadencji zaglosowac, i stac sie anty-PiS-em, negujac totalnie nie tylko to, co w praktyce wyszlo z hasla IV RP, ale i wszystko, co sie w tym hasle miescilo. Ale o tych rozterkach PO – za chwile.

Pozostawiam do Panstwa uznania, czy przywolane powyzej postawienie przez Michnika znaku moralnej rownosci pomiedzy zwalczaniem/popieraniem PiS a zwalczaniem/popieraniem peerelu bylo lapnieciem, zapedzeniem sie w polemicznym ferworze, czy

zasada, ktora "Wyborcza" i cala jej Orkiestra konsekwentnie sie kierowaly w swych propagandowych bojach z IV Rzeczpospolita. Osobiscie twardo upieram sie, ze mamy do czynienia z tym drugim wypadkiem.

Kto wiec w jakiejkolwiek sprawie nawet nie to, ze popieral PiS, ale nie potepial go w sposob wystarczajaco jednoznaczny – ustawiany byl przez propagande Orkiestry pod pregierzem, jako, najdelikatniej mowiac, istota niemoralna. Jesli rzecz dotyczyla osoby publicznej, natychmiast pojawialo sie oskarzenie o sprzedajnosc, jesli masy prostych wyborcow – stereotyp ciemnego tlumu dyszacego nienawiscia do Zydow, gejow i ludzi dzieki swej pracowitosci oraz przedsiebiorczosci lepiej sytuowanych. "Wybory wygrala wprawdzie Platforma, ale i tak trzydziesci procent obywateli poparlo PiS… To bardzo wiele mowi o naszej mentalnosci, bo oznacza, ze lubimy, gdy ludzie zycza sobie zle, krzywdza sie nawzajem i klamia" – oznajmil swiatu Marek Edelman juz w roku 2007, kiedy to wynik wyborow, oznaczajacy odsuniecie PiS od wladzy, powinien juz nawet najglosniej wrzeszczacym histerykom z Salonu pozwolic sie troche uspokoic. Inny Autorytet wtorowal mu zas radosna ulga, ze wynik wyborow "oznacza wyzwolenie spod wladzy obsesji i absurdu, agresji, destrukcji, niezbornosci, nieudolnosci, niekompetencji, msciwosci, sianego przez wladze strachu, pogardy dla innych…". Co wypisywano i wygadywano przed tymi wyborami, kiedy "wyzwolenie" nie wydawalo sie wcale pewne, a nawet w pewnym momencie gleboko watpliwe – az wstyd cytowac.

A z drugiej strony prawem symetrii – kto w jakiejkolwiek sprawie wchodzil z Kaczynskim w spor, oglaszany byl przez niego czescia Ukladu, osobnikiem powiazanym kapitalowo z oligarchami (albo z kapitalem niemieckim – ten argument doszedl z czasem) lub agenturalnie z komunistycznymi sluzbami specjalnymi.

Poza wszystkim zwroce Panstwa uwage na jedna istotna okolicznosc, ktora o tym zadecydowala. Jako sie wielokrotnie juz rzeklo, wbrew stereotypowi protagonistami nie byli w tym boju Kaczynski i Tusk. Tuska zostawmy na razie na boku, zajmujacego sie ratowaniem jednosci swej partii, a potem szukaniem sposobu na zwycieskie znalezienie sie w nowej sytuacji politycznej, co mu sie zreszta w koncu uda. Glownymi protagonistami tej wojny, tymi, ktorzy wybrali pole bitwy, wytyczyli front i okreslili jezyk sporu, sa Kaczynski i Michnik, a jesli ktos uwaza, ze przeceniam

tu role Michnika – rzeczywiscie, z roznych wzgledow nieporownywalnie mniejsza, niz odgrywal on w "wojnie na gorze" – to trafniej moze powiedziec bedzie: Kaczynski i michnikowszczyzna. To nie jest walka pomiedzy PiS a Platforma Obywatelska, jak sklonny bylby sadzic Czytelnik patrzacy z perspektywy roku 2007; to nie jest walka miedzy Kaczynskim a Tuskiem, choc wzajemna nienawisc miedzy obydwoma panami narasta stopniowo, w rytmie kolejnych zwarc, po ktorych raz jeden, raz drugi nie moga wybaczyc przeciwnikowi, ze go okpil i wysiudal. To jest walka pomiedzy Kaczynskim a tym samym Salonem, hard-KOR-em, Familia (teraz Kaczynski rzuca nowe okreslenie: lze-elita), ktora wykonczyla go i zmarginalizowala na poczatku ustrojowej transformacji. To jest kontynuacja owej nieszczesnej "wojny na gorze", ktora okazala sie tak brzemienna w skutki dla calej historii wolnej Polski, a nawet, mozna siegnac jeszcze glebiej – to jest dalszy ciag walki Kaczynskiego o to, by utrzymac sie na krzesle przy stole, nie dac sie z niego zrzucic wieszajacemu juz swa marynarke na oparciu Kuroniowi. Dla obu stron tej walki czas sie zatrzymal. Minelo pietnascie lat, Polska weszla do NATO i UE, lista stu najbogatszych Polakow, ukladana przez "Wprost", juz kilkakrotnie zdazyla sie calkowicie zmienic i okupujacy dawniej pierwsze miejsca ludzie w rodzaju Przywieczerskiego czy Sekuly sa juz, poza kilkoma wyjatkami, od dawna passe – ale to wszystko schodzi na plan dalszy. Obie strony tkwia twardo w swoich rozpoznaniach sprzed kilkunastu lat. Kaczynski chce rozbijac postkomunistyczny, oligarchiczny Uklad, laczacy sluzby specjalne, biznes i politykow z rzadzacego Polska od lat pietnastu udecko-postkomunistycznego establishmentu, w ktory, dzieki wielkiej sile korumpowania wlaczani sa – tak tlumaczy sie w tej diagnozie interludiom AWS – rowniez ci politycy, ktorzy choc de nomine prawicowi i wykreowani przez mechanizmy demokratycznej nie maja wystarczajacej determinacji do poznania rzeczywistych mechanizmow rzadzacych krajem i do walki z nimi.

A jego przeciwnicy wciaz chca Polske obronic przed zagrozeniem ze strony populistow i jakobinow, przed widmem szubienic dla komunistow i tych, ktorzy nie dosc gorliwi byli w wieszaniu komunistow, i przed bolszewicka nienawiscia do bogatszych, zagrazajaca podstawom ustroju gospodarczego.

To zakrzepniecie w diagnozach sprzed lat kilkunastu przeklada sie na rownie skostniale srodki zaradcze – one rowniez pozostaja bez zmian, takie same, jakie obie strony proponowaly w pierwszych latach ustrojowego przelomu. Z ta jedyna roznica, ze

teraz to Kaczynski jest gora i on swe medykamenty jest w stanie aplikowac, podczas gdy Salon moze sie tylko domagac i postulowac.

O tym, jakimi metodami postanowil Kaczynski rozprawic sie z Ukladem, napisze wiecej za chwile. Natomiast co do jego przeciwnikow, to prosze zobaczyc – sposobem na oddalenie od Polski zagrozenia ze strony demonow jakobinizmu, bolszewizmu i endecji miala byc realizacja idei rzuconej przez Adama Michnika jeszcze w roku 1989 – wowczas ubranej w slowa "specyficzna polska synteza orientacji dawniej sobie wrogich", czyli polaczenie sil "reformatorskiego skrzydla" PZPR z "reformatorska" czescia antypeerelowskiej opozycji.

Tak jak Kaczynski przez wszystkie te lata pielegnowal w umysle wizje Ukladu, jakim dostrzegl go w pierwszych miesiacach funkcjonowania Planu Balcerowicza, tak Michnik przez wszystkie te lata usilowal skleic swoj wymarzony wielki oboz reform, utrzymujac intensywne kontakty towarzyskie z liderami postkomunistycznej lewicy, piszac wspolne artykuly z Cimoszewiczem i regularnie dekretujac koniec historycznego sporu za cene uznania Kiszczaka czlowiekiem honoru. No i wreszcie gdy strach, a raczej gdy "kaczyzm" zajrzal w oczy, udalo sie – SLD, wyodrebnione z niego jako nieudana proba reformy SdPL Borowskiego oraz Partia Demokratyczna, w ktora przeistoczyla sie Unia Wolnosci, zawiazaly koalicje. To ta wlasnie koalicja, bynajmniej nie PO, miala stac sie partia obrazowanszcziny i to ona miala triumfalnie odepchnac od wladzy Kaczynskich, konczac kolejny "koszmarny sen" i przywracajac Trzeciej RP normalnosc. PiS-owski rezim obalic mialy wypowiadane zgodnym chorem opinie Autorytetow, wywiady Geremka i Mazowieckiego dla zagranicznych mediow i imprezy takie, jak wspolny wystep Aleksandra Kwasniewskiego z Lechem Walesa w Auditorum Maximum Uniwersytetu Warszawskiego.

Oczywiscie, w roku 2005 nie mozna bylo przewidziec, ze Aleksander Kwasniewski, szybujacy w rankingu zaufania do politykow o trzydziesci procent ponad Lechem Kaczynskim, o Jaroslawie nawet nie wspominajac, osmieszy sie kolejnymi publicznymi wystapieniami w stanie wskazujacym na spozycie, a bardziej jeszcze glupawym zapieraniem sie i nieudolnymi kretactwami o chorobie z Filipin (przecietny Polak moze naprawde wielu roznych rzeczy nie wiedziec, ale akurat to, jak wyglada czlowiek nawalony, wie doskonale i az takiej ciemnoty wcisnac sobie nie da), redukujac poparcie dla lewicy do jej najbardziej

zelaznego, by nie rzec wrecz betonowego elektoratu. Ani tego, ze wszyscy razem wzieci kandydaci partii majacej w swych szeregach tyle tak wielkich Autorytetow i popieranej przez jeszcze wiecej jeszcze wiekszych Autorytetow przysporza LiD-owi lacznie w calym kraju 44 tysiecy glosow (slownie: czterdziesci cztery tysiace). Ale ze jest to, jak celnie zauwazyli wesolkowie z "Wprost", sojusz inwalidy z trupem i jesli ktokolwiek zdola odebrac elektorat Kaczynskiemu, to na pewno nie ta powtorka z Rywinlandu – to widzial kazdy, oczywiscie z wyjatkiem ludzi kompletnie zaczadzonych dymem kadzidel, ktorymi michnikowszczyzna od lat egzorcyzmuje endeckie demony…

No dobrze, zgodze sie, ze z tymi kadzidlami to juz nieco zbyt przyciezka metafora, wiec, jak by to ujal nasz wspomniany przed chwila srebrnousty byly – "nie ide ta droga". Wracam do tej kluczowej dla calej naszej rozmowy sprawy, iz cala propagandowa wojna, ktora tu nazywam czasem wrzeszczacych staruszkow, oparta zostala na falszywej wizji polskich problemow. Ten falsz nie zmienil, bo nie mogl zmienic biegu wypadkow, ale sprawil, ze komentatorzy i intelektualisci, nawet ci skadinad madrzy, nie sa w stanie zrozumiec ich sensu, poruszaja sie wsrod widm i fantomow, odwoluja do pojec, ktore albo juz sie zdezaktualizowaly, albo w ogole nigdy nie opisywaly rzeczywistosci trafnie. Polityczny i intelektualny spor o Polske odkleja sie przez to od rzeczywistosci, staje teatrem absurdu, istniejacym dla samego siebie i waskiej grupy zainteresowanych nim kibicow szalikowcow. A to sciaga na nas bardzo powazne niebezpieczenstwo – jakie, napisze pozniej, kiedy juz wyjasnimy do konca, co naprawde sie stalo, a co sie, niestety, nie stalo pod rzadami premiera i prezydenta Kaczynskich.

Polsce nie zagrazal zaden totalitaryzm, zadne panstwo Orwellowskie ani trybunaly rewolucyjne – to, ze PiS wykazywalo sie lekcewazeniem dla wielu procedur czy zasad panstwa prawa, zwlaszcza tych, ktore latwo uznac za niepotrzebnie utrudniajace wladzy czynienie dobra biurokratyczne duperele, jest faktem, ale ani to w III RP jakas szokujaca nowosc, ani zagrozenie dla bytu panstwa. A ze Kaczynski w ktoryms momencie swej kariery – sadze, ze juz dosc dawno – uznal, iz gdy ma sie do zrealizowania tak wielki Cel, jaki on sobie postawil, i gdy sie odpowiada za swoj narod przed historia, to czasem trzeba siegac po srodki moralnie watpliwe, wrecz upodobnia go do jego przeciwnikow. Ale to nie znaczy, ze najwazniejsza dla Polski jest dzis obrona zagrozonej demokracji, bo tak po prostu nie jest.

Nie jest tez najwiekszym problemem Polski Uklad, i to bez wzgledu, czy rozumiemy go jako jakis jednolity, rzadzacy z ukrycia gang, majacy swojego szefa i swoich egzekutorow, pociagajacych zza kulis sznurki politycznych marionetek, czy jako, mowiac jezykiem profesora Zybertowicza, sojusz antyrozwojowych grup interesu, czy jako ogolne umafijnienie polskiego panstwa. To znaczy nawet w tych odniesieniach, gdzie mowiac o Ukladzie, mowimy o rzeczywistej, istniejacej patologii panstwa polskiego, najwiekszym problemem pozostaje nie tyle sama patologia, co cala konstrukcja panstwa, ktora po czesci jest jej skutkiem, ale po czesci – zaproszeniem do niej, umozliwieniem jej funkcjonowania i rozkwitu.

Najwiekszymi problemami Polski sa sprawy, nad ktorymi rozwodzilem sie w pierwszych rozdzialach tej ksiazki – co zapewne, przyznajcie teraz, bardzo Panstwa zdziwilo, a moze wrecz zirytowalo. Bo biorac do reki te ksiazke (mam nadzieje, ze kupiona? Nie lubie, kiedy moje ksiazki sa pozyczane, bo to moja krwawica, a nikt nie lubi, gdy ktos korzysta z jego pracy i wykreca sie od zaplacenia), spodziewaliscie sie Panstwo zapewne zdecydowanej obrony Kaczynskiego przed michnikowszczyzna, demaskowania moralnosci Kalego, ktora zwykly przejawiac antyprawicowe salony, niekonsekwencji ich oskarzen i podwojnej miary dla swoich i dla nieswoich, notorycznie stosowanej w ich propagandzie; a tu autor, zamiast wywiazac sie z tych prostych powinnosci, przez dziesiatki stron marudzi o jakims kisielu, o sitwach i o zasadzie uznaniowosci w podejmowaniu przez administracje publiczna decyzji waznych dla zycia obywateli.

Ale nie przypadkiem tak wlasnie zrobilem. Bo polskim problemem jest modernizacja. Napiszmy wielkimi literami: MODERNIZACJA. Przecietny obywatel tak tego nie nazywa, ale czuje, o co chodzi. On chce zyc w panstwie, ktore bardziej bedzie przypominalo panstwa zachodnie, a mniej wschodnie. W panstwie, ktore nie bedzie mu rzucalo klod pod nogi, w ktorym nie bedzie zmuszany do ukladania sie na kazdym kroku z jakimis gangami, do tolerowania pasozytujacych na nim sitw. A to jest wlasnie modernizacja. I im bardziej Polak mlody, tym bardziej sobie jej zyczy; bo ci "okuci w powiciu", uksztaltowani przez peerel albo przez pierwsze lata niepodleglosci, zlosliwie, ale nie bezpodstawnie nazywane czasem peerelem-bis, maja gleboko wdrukowane, ze inaczej byc nie moze, ze na uklady nie ma rady, kto nie odpali, ten nie wystartuje, i jak sie da, to sie zalatwi. Ale coraz wiecej ludzi z tego fatalizmu sie wylamuje, nie chce sie godzic, ze "zawsze tak bylo i zawsze tak jest". Oni chca

awansowac, chca sie dorabiac, chca realizowac marzenia; jesli nie moga w Polsce, to szukaja szczescia poza nia, ale ta droga wiedzie do sukcesu tylko w stosunkowo nielicznych wypadkach.

Wiec prawdziwie wazny konflikt polskiej polityki, plynie z tego nieodparty wniosek, to nie konflikt pomiedzy demokracja i dyktatura, nie konflikt pomiedzy starym ukladem a odnowicielami (ciekawe, czemu omal nie napisalem – a nowym ukladem), ale konflikt pomiedzy tym, co sluzy modernizacji, i tym, co ja hamuje. Takie proponuje spojrzenie na wydarzenia ostatnich lat. I niech Panstwo zauwaza, jesli spojrzymy na nie w ten wlasnie sposob, wyrywajac sie debilnemu zadaniu opowiedzenia sie po jednej ze stron "wojny na gorze", nagle sie okaze, ze sprawy nabieraja glebi i sensu.

Pycha i upokorzenie

Pomowilismy o sprawie najwazniejszej i za moment do niej wrocimy, ale na chwile jeszcze pomowmy o tych mniej waznych, po prostu niezbednych dla dopelnienia dramaturgii tekstu. Nie sposob bowiem uczciwie opisac dwoch lat rzadow Kaczynskiego, nie wspominajac, jaka role odegraly w tym czasie w Polsce media. Bo, jak juz napisalem, to wlasnie w mediach, a nie w parlamencie, mialo PiS najbardziej nieprzejednana opozycje.

I nie mialo to, nie dajmy sie oszukiwac, nic wspolnego z ulubionym przez dyrygentow antyrzadowej Orkiestry "patrzeniem na rece kazdej wladzy". Znacznie wiecej prawdy jest w dowcipie, ukutym po wyborach 2007, o tym, jak to Piotr Walter zbiera po wyborach swoich "walterowrow" i oznajmia im: przyznaje, troche bylismy ostatnio nieobiektywni, trzeba to jakos wyrownac. Przez dwa ostatnie lata bez przerwy krytykowalismy wladze, to od teraz dla rownowagi bedziemy krytykowac tylko opozycje.

Zart oczywiscie rownie dobrze jak TVN moglby dotyczyc paru innych wiodacych mediow. Na mapie ich zaangazowania mozna latwo wskazac grupe, ktora nazywam tu Orkiestra – media, ktore, jako sie rzeklo, po prostu postawily sobie za cel obalenie Kaczynskich, tak jak swego czasu "Gazeta Wyborcza", wlasciwie tego nie kryjac, postawila sobie za cel propagandowe zniszczenie prawicy i rzadu Olszewskiego. Zreszta kampania przeciwko Kaczynskim w jakims sensie byla przedluzeniem tamtej kampanii przeciwko "frustratom" i "spoconym facetom w pogoni za wladza". Wciaz chodzilo w niej o zdyskredytowanie tych samych

idei – badania i rozliczania komunistycznej przeszlosci, doszukiwania sie nieformalnych powiazan, mechanizmow mafijnych i oligarchicznych za demokratyczna fasada III RP oraz negowania bezalternatywnosci przyjetego modelu ustrojowej i gospodarczej transformacji. Wciaz, nawet wyrazniej niz przed laty, chodzilo tez o obrone Okraglego Stolu i tej mitologii, ktora kazala widziec w nim nie, jak w rzeczywistosci, sposob komunistow na miekkie ladowanie w warunkach generalnego zalamania ustroju i utraty poparcia zbrojnego Sowietow – ale "wspolny sukces Polakow przychodzacych z roznych stron historycznego podzialu". Ten sukces rozciagnieto teraz na cala III Rzeczpospolita, broniac jej zajadle przed tymi, ktorzy chcieliby w niej widziec tylko gnijacy, skorumpowany Rywinland. Byla to poniekad wojna w obronie honoru owej III RP, w ktorej podkreslano, ze mimo pewnych niedociagniec panstwo to odnioslo takie a takie sukcesy, i apelowano, by czytelnicy, widzowie i sluchacze "nie dali sobie odebrac dumy", jaka slusznie z owych osiagniec czerpia.

Jak sie uwazniej przyjrzec, propaganda michnikowszczyzny z lat 2005-2007 jest podobna do tej, jaka uprawial SLD w latach dziewiecdziesiatych, na kazdym kroku podkreslajac, ze PRL byla panstwem polskim, jedynym, jakie moglo wtedy istniec, ze legitymizowaly ja jaltanskie decyzje zachodnich mocarstw i ze pokolenia, ktore odbudowaly Polske z powojennych zniszczen, a potem budowaly huty i fabryki, nie powinny sobie pozwolic "odebrac dumy" ze swych zyciorysow. W Polsce Ludowej mlodzi ludzie sie kochali, rodzily sie dzieci, powstawaly wybitne dziela sztuki i tak dalej – nie mozna wiec krytykowac wszystkiego w czambul. Choc, oczywiscie, przyznawala lewica ogolnikowo, istnialy pewne niedociagniecia. W pewnych okresach propaganda ta ulegala wiekszemu rozbezczelnieniu i wtedy czerwoni sklonni byli wrecz twierdzic, ze PRL byla krajem "bezprzykladnego rozwoju cywilizacyjnego", krajem wcale nie gorszym niz powojenna Francja czy Niemcy i tylko "czarny pijar" sprawia, ze nie wszyscy dzis sa sklonni to przyznac.

Teraz, po roku 2005, w "Polityce", w "Wyborczej", o "Przegladzie" nie wspominajac, podobnie ogolnikowo zaczelo sie mowic o pewnych niedociagnieciach III RP, a z czasem pojawilo sie stwierdzenie, ze wlasciwie wszystko szlo dobrze, ze nie bylo zadnych wielkich patologii, a takie sprawy jak afera Rywina czy Starachowicka zostaly niepotrzebnie rozdete ponad swe rzeczywiste znaczenie. Tu byl jednak pewien problem, bo jesli ktos je rozdymal, to wlasnie medialni liderzy opinii, ktorzy teraz

wystepowali w obronie III RP. Jedni przechodzili nad tym do porzadku dziennego, inni skladali samokrytyki. Niekiedy naprawde zenujace – w pamieci zapisal mi sie wywiad Teresy Toranskiej dla "Przegladu", w ktorym autorka demaskujacych peerelowska elite ksiazek pokajala sie, ze nie chciala wierzyc, gdy jej rozmowcy, pezetpeerowscy decydenci, ostrzegali, iz Solidarnosc otwiera droge najgorszym, klerykalno-nacjonalistycznym zywiolom. A teraz rzady PiS dowodza, ze to oni, starzy partyjniacy, mieli racje, a nie my, ktorzysmy swym buntem i zwlaszcza przesadna krytyka postkomunizmu moscili droge Kaczynskim i Rydzykom.

W jakims wiec sensie propagandowa aktywnosc Orkiestry byla prosta kontynuacja – co logiczne, mowimy wszak o ogolnej kontynuacji tej nieszczesnej "wojny na gorze" sprzed osiemnastu lat. Ten sam byl cel ataku, ten sam adresat – ogolnie rozumiana inteligencja, w tym zwlaszcza aspirujaca do uchodzenia za takowa obrazowanszczina, te same oskarzenia. Byly i roznice. Dwie. O drugiej bedzie potem.

Pierwsza – to stopniowe slabniecie pozycji "Gazety Wyborczej" na rzecz mediow elektronicznych. Oczywiscie, to proces trudny do zmierzenia czy opisania, bo przeciez publicystyka tych ostatnich opiera sie w znacznym stopniu na prasie. To dziennikarze "Wyborczej" czy "Polityki" pojawiali sie najczesciej w Radiu Zet, RMF, Tok FM czy TVN24, by wyglaszac tam zarliwe tyrady; a i bez tego dziennikarze radiowi czy telewizyjni zwykle czerpia inspiracje z mediow tradycyjnych. Warto jednak zwrocic uwage na rzecz, moim zdaniem, symboliczna. W ostatnim tygodniu przed wyborami 2007 uaktywnil sie, mozna nawet rzec, powrocil z dlugotrwalej wewnetrznej emigracji Adam Michnik, publikujac w swej gazecie cykl artykulow wzywajacych do glosowania przeciwko PiS. Warto do tych artykulow zajrzec, bo zbieraja one w kupe wlasciwie caly antypisowski dyskurs z dwoch lat – ale wlasnie, tylko go zbieraja. Nie znalazlem tam ani jednej mysli, ani jednej frazy, ktora nie bylaby juz wczesniej wielokrotnie powtorzona w niezliczonych filipikach. Michnik nie jest juz tym, ktory wyznacza kierunek ataku – jest tylko tym, ktory dopisuje sie ze swym nazwiskiem i autorytetem do zespolu pogladow uformowanych bez jego bezposredniego udzialu. Szukalem potem kogokolwiek, kto napisalby gdzies, ze te plomienne artykuly, rzucone na szale w ostatnich dniach zacietej przedwyborczej walki, w jakikolwiek sposob wplynely na ostateczny wynik wyborow. Choc mozna by takiemu stwierdzeniu przyznac pewien pozor prawdopodobienstwa, jako ze faktycznie,

kampania rozstrzygnela sie dopiero w jej ostatnim momencie – nie zdobyl sie na postawienie takiej tezy nikt, nawet w gronie najbardziej oddanych klakierow redaktora naczelnego "Wyborczej".

Jak juz pisalem w poprzednim rozdziale, caly ten antypisowski dyskurs, ktory kipial w tak zwanych wiodacych mediach przez dwa lata, a jego glowne argumenty zostaly ostatecznie zebrane miedzy innymi we wspomnianych artykulach Michnika, uwarunkowany byl zakleszczeniem sie michnikowszczyzny w tej samej od roku 1990 diagnozie: jesli Polska zejdzie z drogi reform, to stopniowo, jak po rowni pochylej, stoczy sie w bagno populizmu i przestanie byc panstwem demokratycznym oraz wolnorynkowym. Przeciez, powtorzmy raz jeszcze, bo trzeba, przez pietnascie lat glosila te wizje michnikowszczyzna jako prawde objawiona, straszac zalamaniem transformacji, jesli wladza wymknie sie spod kontroli elit, ktore ustanowily porzadek III RP przy Okraglym Stole; zagrozeniem tym usprawiedliwiano rozne mniejsze lub wieksze wystepki przeciwko demokracji i przeciwko swobodzie dyskursu publicznego. Wladza swoistej oligarchii, kilkudziesieciu kolesiow, ktorzy w prywatnych kontaktach ustalaja miedzy soba zasadnicze sprawy, jak bedzie brzmiec dany przepis, kto dostanie koncesje, kto wygra przetarg i co dostanie w zamian – podczas gdy oficjalne, poddane, przynajmniej formalnie, demokratycznej kontroli instytucje panstwa sluza jedynie do przyklepywania zawieranych na zapleczu "dili" – jawila sie jako cena, ktora trzeba zaplacic za to, by uniknac zagrozenia najwiekszego.

Spoleczenstwo nie do konca poddawalo sie zadawanej mu przez autorytety narkozie, buntowalo sie, miotalo od sciany do sciany, ale ku komukolwiek skierowalo swe nadzieje, wychodzilo na jedno. Czy to SLD, czy Solidarnosc, czy Walesa, czy Kwasniewski, czy znowu SLD – cokolwiek wrzucil narod do urny, za kazdym razem wyskakiwaly z niej te same "reformy" na styl latynoski i ten sam spoleczny uklad, odbierany jako jawnie niesprawiedliwy. Wykreowanie wedle sprawdzonych w Rosji wzorcow miejscowego Zyrinowskiego, czyli Leppera, dowodzi, iz tak mialo byc dalej – i byloby, gdyby Michnik nie kopnal nagle w stolik, ujawniajac afere Rywina.

Wedle przyjetej u zarania – chyba zreszta w wielkim stopniu instynktownie – koncepcji owa narkoza miala byc potrzebna jedynie przez jakis czas. Trzeba bylo ochronic polskie reformy w kluczowym momencie, gdy panuje zamieszanie, gdy liczne grupy

spoleczne bardzo traca. Potem reformy mialy sie juz obronic same. Nie wyszlo to tak, okres przejsciowy okazal sie rozciagac w nieskonczonosc. Co prawda poziom zycia istotnie zaczal sie podnosic, choc znacznie pozniej i wolniej, niz pierwotnie zakladano – ale narastaly patologie, wynikajace z braku jakiejkolwiek kontroli nad aparatem panstwowym.

Mozna bylo to przewidziec, lecz nikt nie przewidzial: jesli ktos ukradl bezkarnie i bez trudu milion, to co robi w nastepnym ruchu? Panstwo wiedza, bo juz to raz napisalem, ale powtarzam sie celowo, bo zamierzam teraz spelnic dana dwa rozdzialy temu obietnice i wrocic do wyjasnienia kwestii Ukladu. A zatem: ktos, kto ukradl milion, probuje ukrasc nastepne dziesiec i w tym celu wiekszosc tego pierwszego miliona przeznacza na korumpowanie roznych osob i srodowisk, ktore sa mu do realizacji planu kradziezy potrzebne. Jak to mowil pewien szemrany biznesmen do Chandlerowskiego detektywa Marlowe'a: zarabiam wielki szmal, ktory jest mi potrzebny, zeby smarowac roznych waznych facetow, ktorych musze smarowac, zeby moc zarobic jeszcze wiekszy szmal, ktory musze miec, zeby moc smarowac jeszcze wazniejszych facetow, ktorych musze posmarowac, zeby zarobic jeszcze wiekszy szmal… I tak dalej. Tak wlasnie wygladaly wielkie biznesowe kariery III RP.

Aparat przebudowywanego panstwa byl slaby, wiec tym, ktorzy mieli w portfolio najlepsze znajomosci i dorobili sie najwiekszej kasy, udawalo sie nie tylko korumpowac poszczegolnych jego funkcjonariuszy, ale wrecz wplywac na ksztalt ustawodawstwa i administracji publicznej. Jesli trafial sie czlowiek trudny do wspolpracy albo nazbyt przejety swymi obowiazkami – mozna bylo sie go pozbyc, wykorzystujac ogolna urzednicza inercje. W skrajnych wypadkach konczyl ktos taki jak sp. Michal Falzmann lub prezes Waldemar Panko. Zabezpieczenia systemowe – prokuratury, aparat scigania – w takich warunkach zawodzily.

Musze tu znowu wejsc w dygresje, ale wazna, bo bez tego nie zrozumiemy, co sie dzialo przez te ostatnie kilkanascie lat. Znowu przywolam przyklad z literatury – Krolow przeklętych Maurice'a Druona. To co prawda ksiazka o sredniowieczu, lecz wydaje mi sie, ze pewne mechanizmy wladzy wcale sie od sredniowiecza nie zmienily. Otoz w tej historycznej opowiesci pokazuje Druon, jak zajadly spor dwojga arystokratow o hrabstwo Artois znaczaco zmienil cala historie, doprowadzajac do wybuchu Wojny Stuletniej. Co bynajmniej nie lezalo w zainteresowaniach zadnej

ze stron. Obie siegaly po falszerstwa, mordy polityczne, montowanie stronnictw, w koncu nawet po krolobojstwo, i wszystko to mialo wazkie konsekwencje, ale byly to konsekwencje niejako uboczne. Zamordowano kanclerza, bo chcial wydac niekorzystne dla jednej arystokratki prawo, potern krola, bo gotow byl rozstrzygnac sprawy na korzysc jej rywala; a przy okazji zaplatano stosunki dynastyczne calej Europy, sprawy papiestwa, sukcesji i wszystko to zmienilo bieg dziejow.

Otoz tu widzialbym zasadniczy blad Jaroslawa Kaczynskiego, ktory wszelkie patologie III RP niejako odruchowo ukladal w logiczny ciag nastepstw, niewatpliwie podporzadkowany jakims jasno zamierzonym celom. Pelna zgoda co do jego diagnozy III RP – "istnieje fasada panstwa demokratycznego i panstwa prawnego, ale za nia dziala zupelnie pozaprawny mechanizm sterowania panstwem", jak to powtarzal w licznych wywiadach. Jednak zalozenie, iz ow mechanizm to jakas zwarta, zdyscyplinowana organizacja, majaca okreslona strukture i cele na miare panstwa, jest tylko jednym z mozliwych. Rownie dobrze mozna przyjac, ze, dajmy na to, general Papala zginal albo ze Leszek Miller (wielokrotnie sugerowal, ze nie byl to wypadek) mial zginac w katastrofie helikoptera wcale nie dlatego, ze ktos poprzez eliminacje szefa policji i premiera chcial posterowac losami panstwa polskiego. Rownie dobrze jakiejs mafii moglo chodzic o bezpieczne wyrwanie z budzetu swoich dwoch czy trzech miliardow, a akurat ci faceci staneli temu na drodze; nic wiecej mafii nie obchodzilo.

Po doswiadczeniach i przemysleniach ostatnich dwoch lat sadze, ze wariant drugi jest duzo bardziej prawdopodobny. Chocby dlatego, ze – przypomne – pierwotny scenariusz ustrojowej transformacji, przygotowany w latach osiemdziesiatych przez ludzi Jaruzelskiego, zalamal sie w chwili miazdzacej przegranej PZPR w kontraktowych wyborach. Potem byla juz tylko improwizacja, momentami dosc rozpaczliwa, zwazywszy ze aparat peerelu doslownie sie rozpadal. Improwizacja, ktora mogla ocalic jakas czesc pierwotnego planu, ale na pewno nie jego calosc; nawet jesli przyjac, ze taki plan zakladal tworzenie jakiegos ukrytego osrodka wladzy, co tez nie wydaje sie pewne. Wracajmy jednak do glownego toku naszej rozmowy – aparat panstwa nie spelnial swych funkcji. Nie spelnialy tez funkcji kontrolnej media. Jacek Leski opisywal, jak rozpoczynajac prace w "Gazecie Wyborczej", wykonal kawal dziennikarstwa sledczego, opisujac szwindle pewnego lubelskiego biznesmena. Dumny oddal tekst do redakcji i zebral

tak zwany "opeer": czy ty chcesz, zeby czytelnikom gazety transformacja gospodarcza i wolny rynek kojarzyly sie z kradziezami i zlodziejstwem?! To szkodliwy dla Polski stereotyp i nam nie wolno go podobnymi publikacjami umacniac. Ow biznesmen doczekac sie mial zreszta potem wywiadu, w ktorym prezentowal sie jako wschodzaca gwiazda rodzimej przedsiebiorczosci. Wiele lat pozniej dziennikarz, ktory w przeciwienstwie do Leskiego w "Wyborczej" wytrwal, przyzna polgebkiem: "Cenzurowalismy sie, bo nie chcielismy szkodzic reformom, okazuje sie, ze taka postawa byla bledem". Coz, taka postawa determinowala zachowania medialnego establishmentu jeszcze dlugo, co doskonale symbolizuje owe pol roku, kiedy to Michnik wszystkim opowiada o posiadanej tasmie, caly medialny salon wie, ze oto, okazuje sie, w Polsce handluje sie ustawami – i nic, nikt tego nie podejmuje, a gdy Janina Paradowska w wywiadzie z prezydentem Kwasniewskim zadaje o te sprawe pytanie, to po telefonie Michnika poslusznie je z gotowego juz wywiadu wykresla.

Owszem, Polska sie dorabiala, rosl PKB, spadala inflacja, przybywalo inwestycji – ale patologie narastaly rowniez. Az wreszcie – fasada runela. Zreszta w duzym stopniu za sprawa Michnika. To jego niewatpliwa zasluga, cokolwiek postepowaniem szefa "Gazety Wyborczej" kierowalo… Wielu politykow lewicy twierdzilo potem, ze cala sprawa wygladala inaczej, niz sie sadzi. Oskarzali Michnika o to, ze swiadomie sprowokowal Rywina do przyjscia, by go nagrac i tasme te potem jakos rozegrac, ale poza samym Rywinem nikt nigdy tej wersji nie chcial przedstawic pod wlasnym nazwiskiem. Wiec nie uwzglednialem tych glosow i w zasadzie nadal ich nie uwzgledniam… Tylko ze w roku 2008 w wywiadzie dla "Krytyki Politycznej" Aleksander Kwasniewski nieoczekiwanie oznajmil: "Do dzisiaj nikt naprawde nie wie, na czym ta afera tak naprawde polegala" – dodajac tajemniczo, ze wynikla ona z "bledu" Michnika, ktory "nigdy sie nie przyznal, ze uwaza te cala historie za nieszczescie". Fakt, wywiad, jak sie wczytac, sprawia wrazenie udzielanego troszke w stanie filipinskiej choroby, ale Kwasniewski wydaje sie, jako byly prezydent, czlowiekiem, ktorego slow nie nalezy lekcewazyc. Byla przeciez sejmowa komisja, byl sad, a tu nagle – nikt nie wie, o co naprawde chodzilo? Wiec skoro Kwasniewski to wie, niech wyjasni i niech powie, o co chodzilo z tym nieszczesciem Michnika NAPRAWDE i jaki to jego blad ma na mysli byly prezydent. Apelowalem do kolegow dziennikarzy o zadanie Kwasniewskiemu tych pytan – niektorzy mieli wiele okazji, by to

zrobic, ale z nich nie skorzystali.

Moze kiedys sie dowiemy, co sprawilo, ze po kilkunastu latach narastania patologii fasada na chwile pekla i spoleczenstwo, dotad albo tylko intuicyjnie przeczuwajace, ze cos tu jest nie tak, albo wrecz ululane radosna wizja budowy kapitalizmu, upowszechniana w jednoglosnych w tej kwestii wiodacych mediach, zobaczylo nagle zgnilizne – panstwo rzadzone nie przez obieralnych poslow i senatorow, prezydenta i premiera, lecz przez manipulujace nimi wszystkimi sitwy zblatowanych ze soba kolesiow.

A zobaczywszy – postanowilo takie panstwo odrzucic i zazadalo zmian. Zasadniczych zmian.

Niech Panstwo zobacza, co sie wtedy, w roku 2005, stalo: to wlasnie, czego michnikowszczyzna bala sie przez ostatnie pietnascie lat, czego rozpaczliwie chciala uniknac, za cene przyzwolenia na wszelkie lajdactwa. Spoleczenstwo wypowiedzialo okraglostolowy lad, odmowilo dalszego tolerowania tego stanu rzeczy i dalszego przyjmowania narkozy.

I co z tego wyniklo? Miedzy innymi dostalismy niezbity dowod, ze ow lek, ktory przez cale lata kierowal poczynaniami Salonu, byl bezpodstawny. Bo jak wyrazila sie owa odmowa? Jakobinizmem? Poparciem dla jakiegos polskiego Mussoliniego czy Hitlera, odrzuceniem demokracji, paleniem stosow? Zadaniem zbudowania obozow koncentracyjnych dla wszystkich bogatych, jako potencjalnych aferzystow i spekulantow? Nic podobnego. Wyrazila sie w sposob godny najbardziej dojrzalych zachodnich spoleczenstw, choc po Polakach, po tym wszystkim, co ich spotkalo, naprawde trudno sie bylo takiej dojrzalosci spodziewac i trudno bylo jej wymagac. Rewolucja dokonala sie w ramach demokratycznych procedur, przy urnach, i polegala na odrzuceniu dotychczasowego establishmentu politycznego na rzecz partii obiecujacych radykalna zmiane. Rzecz jasna, inna byla wtedy obietnica Samoobrony, a inne PiS i Platformy; jeszcze inne nadzieje wiazali ze swymi faworytami wyborcy LPR. Ale jesli te glosy zsumowac, okazuje sie, ze przeciwko III RP w jej dotychczasowym ksztalcie i przeciwko jej dotychczasowym elitom zaglosowalo osiemdziesiat procent wyborcow.

Jesli z czegos w III RP mialbym byc dumny, to nie, jak kaze mi michnikowszczyzna, z "bezkrwawosci" ustrojowej przemiany, bo trzeba byc ostatnim naiwnym idiota, by nie rozumiec, ze gdyby

Jaruzelski z Kiszczakiem i cala ta banda zbirow mieli jeszcze w roku 1989 dosc sily, zeby sobie pozwolic na rozlew polskiej krwi, to reka by im nie drgnela, tak samo jak nie drgnela osiem lat wczesniej. Jesli z czegos mam byc dumny, to ze powszechne odrzucenie tego kulawego panstwa wyrazilo sie w taki wlasnie sposob.

Co z tym potem Kaczynski i Tusk zrobili – bo na Leppera i Giertycha machnijmy reka, nikt powazny nie spodziewal sie po nich niczego dobrego – to juz inna sprawa.

A zatem – faktycznie, Polacy dotychczasowa sciezke przemian odrzucili i nie spowodowalo to zadnych wieszczonych przez michnikowszczyzne nieszczesc. Co w tej sytuacji mogli zrobic ci wszyscy kaprale i sierzanci Michnika, rozsiani po licznych mediach? Zwlaszcza ci z pierwszej linii frontu, ktorych nazywam tu liderami opinii – ludzie o pozycji Paradowskiej, Pacewicza, Zakowskiego, Lisa, Olejnik czy Milewicz?

Mieli dwie mozliwosci. Pierwsza – przyznac, ze sie przez pietnascie lat mylili, i robic to, co nalezy do dziennikarzy, to znaczy analizowac sytuacje, starajac sie o dystans i bezstronnosc, i uczciwie ja objasniac spoleczenstwu.

Druga – odmowic przyjecia do wiadomosci faktow, uodpornic sie na rzeczywistosc i zamknac w swiecie wirtualnym. Wybrali to drugie, bo przyznac, iz sie przez pietnascie lat tkwilo w bledzie, nie jest latwo. Znacznie latwiej uznac – za Markiem Twainem powtorze – ze jesli fakty mowia co innego, niz powinny, to tym gorzej dla faktow.

Platforma, jako sie rzeklo, nie byla z poczatku wobec PiS "betonowa opozycja". Napisalem, ze Tusk tuz po przegranych wyborach prezydenckich powzial decyzje brzemienna w skutki, iz nie bedzie koalicji PO-PiS. Ale wcale nie uwazal wowczas – tak sadze – ze w nastepnych wyborach, aby je wygrac, bedzie wystepowal jako anty-PiS. Mysle, ze wtedy, i jeszcze bardzo dlugo, zakladal inny rozwoj wypadkow: PiS, wchodzac w koalicje z "brudna wycieraczka postkomunistow", jak jeszcze niedlugo przed wyborami 2005 nazywal Samoobrone Kaczynski, straci wiarygodnosc w oczach wyborcow domagajacych sie generalnej zmiany, zostanie uznany przez nich za zdrajce idei IV Rzeczpospolitej i wtedy Platforma wystapi pod haslem "to my zbudujemy prawdziwa IV RP", to znaczy: "to my rozpedzimy uklady, rozbijemy mafie, zlikwidujemy peerelowskie zaszlosci i

zbudujemy nowe panstwo".

I Tusk myslal jak polityk. Osiemdziesiat procent glosowalo za IV RP, przeciwko Trzeciej, a nastepne wybory mialy byc niebawem, zbyt szybko, by spoleczne nastroje sie zmienily. Dlatego Tusk, choc na smierc z Kaczynskim poklocony, kazal swej partii glosowac za powolaniem Centralnego Biura Antykorupcyjnego, za ustawa lustracyjna i za rozwiazaniem Wojskowych Sluzb Informacyjnych. I dlatego tak dlugo trzymal Rokite w pustym polu, obiecujac mu szefostwo klubu parlamentarnego, ale nie dajac. Dorznal go dopiero w momencie, gdy byl juz pewien, ze wariant opisany wyzej jest nieaktualny, ze grac trzeba zupelnie w co innego, a w tej nowej, innej grze Rokita okazal sie juz tylko obciazeniem. Tymczasem osrodek opiniotworczy, ktory nazywam michnikowszczyzna, nie myslal o sprawie podlug regul polityki – kierowal sie swoja, objasniana juz logika. Skoro przez lat pietnascie glosil, ze dopuszczenie do wladzy kogokolwiek spoza kregu politykow akceptowanych przez Salon to koniec demokracji w Polsce – to gdy teraz faktycznie doszedl do wladzy, konsekwentnie musial uznac, ze faktycznie, demokracje w Polsce diabli wzieli. Ruszyl wiec od pierwszych dni do miazdzacej ofensywy przeciwko Kaczorom. A przy okazji tej ofensywy nie raz i nie dwa dostawalo sie Tuskowi, wlasnie za to, ze jest nie dosc antykaczystowski, ze mieczak, zadna z niego opozycja, nie broni zagrozonej demokracji jak nalezy.

Byc moze czesc z Panstwa byla kiedys w wojsku. Byc moze ktos mial nieprzyjemnosc stac sie tam tak zwanym podpadziocha. A jesli nawet nie, pewnie czytali Panstwo ktoras z wojskowych powiesci w rodzaju Stad do wiecznosci Jonesa, opisujacych los takowego. Jesli nie, prosze tam zajrzec albo spytac kogos, kto doswiadczyl "obrobki", bo znowu potrzebuje pogladowego przykladu.

Owoz upierdliwy oficer czy kapral, ktory postawi sobie za cel gnoic zolnierza, zawsze znajdzie pretekst, by sie przyczepic. Kazdy jest dobry. Szeregowy, macie za luzno zapiety pas. Szeregowemu oczy wychodza z orbit, bo pas ma scisniety juz bardziej niz ktokolwiek inny w kompanii, ale jak kapral mowi, to mowi – trzy korytarze z lbem nizej lamperii, ruchy, ruchy! Szeregowy, wy myslicie, ze to jest wyczyszczona latryna? Miska klozetowa lsni jak supernowa, ale kapral swoje wie. No, a jesli juz rzeczywiscie u podpadziochy cos nie tak, chocby to byl drobiazg, zle zlozony koc, urwany guzik albo rozpieta kieszen, to takie samo przewinienie, ktore u innych nawet by nie zostalo

zauwazone, urasta do rangi zbrodni.

Oczywiscie, Orkiestra nie miala mozliwosci Kaczynskiego "czolgac", ale stopien obiektywizmu, jaki mu okazywala, byl podobny. Nic nowego; przypomnijmy retoryczne pytania, jakie zadaje Kaczynski w cytowanej tu juz ksiazce Teresy Bochwic Odwrotna strona medalu z roku 1991: co by sie dzialo w mediach, gdyby jako redaktor naczelny "Tygodnika Solidarnosc" znalazl on prywatnego inwestora i tak jak Michnik, korzystajac z ogolnego zametu okresu przejsciowego, uczynil pismo Solidarnosci wlasnoscia prywatnej spolki, gwarantujacej mu w statucie dozywotnie szefowanie? Co by pisano i mowiono, gdyby ktorykolwiek minister z PC odchodzil z resortu ze swoja fundacja, zalozona za budzetowe pieniadze – jak Kuron czy Cywinska? A co sie dzialo, kiedy zrobil on dokladnie to samo, co konkurenci, i uwlaszczyl partie na panstwowym majatku za pomoca Fundacji Prasowej Solidarnosci? W zdominowanych przez michnikowszczyzne mediach od zawsze istniala zasada, ze prawicy wolno mniej, a juz jesli jakis jej lider akurat odnosil sukcesy – to jemu jeszcze mniej. Lech Kaczynski, calujac kobiete w reke, za wysoko podniosl jej dlon; skandal miedzynarodowy, coz za burak, osmieszyl nas przed calym swiatem! U Jaroslawa podczas innej wizyty czujna kamera wypatrzyla niedoczyszczone buty – to samo, tylko jeszcze glosniej! Ale kiedy w czasie pierwszej wizyty premiera Tuska w Niemczech kamery przylapaly go, jak podczas rozmowy z kanclerz Merkel zuje gume, arbitrzy od dobrych manier juz sie jakos nie odezwali.

Jestem w luksusowej sytuacji, bo pisze te ksiazke juz po odsunieciu PiS od wladzy, wiecej, po ponad stu dniach rzadow Tuska, wiec latwo moge porownywac to, co dzialo sie wtedy, z tym, co ci sami ludzie robia teraz. Z tych porownan moge czerpac pelnymi garsciami przyklady takiego wlasnie kapralskiego przy… no, nie ma potrzeby mowic po wojskowemu, przyczepiania sie doslownie o wszystko. Byloby ich, mowiac serio, dosyc na cala ksiazke.

Mysle, ze jesli ktos z pewnego dystansu przyjrzy sie pisaninie gazet z tych dwoch lat (to, co wygadywano w eterze, jest ulotne, szkoda, bo tam bylo najweselej), przyzna racje mojemu okresleniu "malpi rozum". Kaczory obrywaly codziennie i za wszystko. Glownie za blizniactwo i niski wzrost (tak nawiasem, Kaczynscy sa dokladnie o jeden centymetr nizsi od Kwasniewskiego, z ktorego wzrostu nigdy zaden koncesjonowany wesolek nie odwazyl sie podsmiewac), za brak konta w banku i

korzystanie z konta mamy (Tusk jakis czasem potem przyznal, ze tez korzysta z konta zony, wlasnego nie zalozyl – ale to juz nie bylo smieszne), za urode zony jednego i brak zony drugiego… W tej kwestii padlo nawet tak swiete tabu politycznej poprawnosci jak "tolerancja" i Kazimierz Kutz w szczycie przedwyborczej histerii zdemaskowal drukiem, na lamach "Gazety Wyborczej", Jaroslawa Kaczynskiego i Zbigniewa Ziobro jako pare homoseksualnych kochankow. Nie wierza Panstwo? Prosze sprawdzic.

Histeria siegnela szczytu. Przez dwa lata media, sprawujace rzad dusz nad "obrazowanszczina", dawaly przyzwolenie na wszystko. Nawet na skonczone chamstwo, jesli tylko wymierzone przeciwko "rezimowi", zyskiwalo poklask intelektualnych salonow. Pewien profesor na oswiadczeniu lustracyjnym napisal "pocalujcie mnie w dupe!" – brawo, wspaniale, ale im powiedzial! Inny profesor, uzasadniajac swa odmowe zlozenia oswiadczenia lustracyjnego w liscie do redakcji (!), uzyl argumentu: "Nie bede lizal dupy Kaczorom". Tez brawo. Redaktor Wojciech Mazowiecki w dyskusji na antenie radia Tok FM nazwal Kaczynskiego "skonczonym balwanem". Zachwyt, Mazowiecki przebil samego siebie – bo wczesniej, gdy Kaczynski wytknal czolowym postaciom "Gazety Wyborczej" zaslugi ich przodkow dla narzucenia Polsce komunizmu, pisal tylko, ze "puscil smrodliwego baka". Akurat, trzeba przyznac, kto jak kto, ale Wojciech Mazowiecki mial prawo wystepowac przeciwko przypisywaniu nadmiernej roli dziedzicznosci: cokolwiek powiedziec o roli odegranej przez pierwszego solidarnosciowego premiera w ustrojowej transformacji, zapisal sie on w pamieci jako czlowiek duzej madrosci i kultury osobistej – redaktor Mazowiecki sam jest wiec dowodem, jak daleko moze upasc jablko od jabloni.

Na tychze falach radia Tok FM nadzieja mlodej lewicy Slawomir Sierakowski nie bawil sie w dlugie dyskusje o lustracji, tylko wypalil krotko, ze ma ja w dupie. Wiele miesiecy pozniej prezenterka telewizji TVN Magda Molek wyznala w wywiadzie dla "Przegladu", ze bardzo jej sie podobalo, iz tak wlasnie powiedzial. I ze w ogole bardzo ja ucieszylo, iz IV Rzeczpospolita przegrala, bo ona jest mloda i chce "po prostu isc naprzod, a nie patrzec, jak otwiera sie kolejne archiwa". Przywoluje tu nieszczesne dziewczatko z TVN znowu w ramach dygresji, nie zeby sie pastwic, tylko jako przyklad stanu umyslu, ktory pod wplywem propagandy Orkiestry stal sie bardzo modny. Po prostu wypadalo dzielic sie z mediami pelnymi podobnych glebi refleksjami, zeby

publika nie miala watpliwosci, iz obcuje z czlowiekiem rozumnym i na poziomie.

Z Lepperem, jak pisalem na poczatku, bylo roznie – zasadniczo cham (mlodziezowka Partii Demokratycznej manifestowala przeciwko jego wejsciu do rzadu, wymachujac burakami) i szwarccharakter, ale dwukrotnie, gdy rysowala sie mozliwosc stworzenia "rzadu ocalenia narodowego", czyli "wszyscy przeciwko Kaczorom", potrafil sie na chwile okazac politykiem kompetentnym i fajnym facetem. Roman Giertych, jako uosobienie endeckich demonow, mial znacznie bardziej przechlapane i prawie nic, nawet wywiad, w ktorym oznajmil

"Wyborczej", ze nie przyjalby do LPR Dmowskiego z jego antysemickimi fobiami (fujara dziennikarz nie spytal, czyby przyjal w takim razie swego dziadka, Jedrzeja), nie bylo w stanie zdjac z niego tego odium. Pisze "prawie", bo i Giertych przez krotka chwile obdarzony zostal przychylnoscia Salonu – juz podczas agonii rzadow Kaczynskiego, kiedy to lansowal na premiera "rzadu ocalenia narodowego" Janusza Kaczmarka i gdy udalo mu sie w sejmowym przemowieniu zgasic Jacka Kurskiego. Ale generalnie obecnosc w rzadzie Leppera i Giertycha nalezala do glownych punktow antypisowskiego dyskursu; ma sie rozumiec, ze i wobec nich im ktos bardziej staral sie dorownac poziomem elektoratowi Samoobrony, tym bardziej Salon byl uradowany, jak owi hrabiowie, ministrowie i pulkownicy z Kariery Nikodema Dyzmy, gdy ich ulubieniec powiedzial publicznie "gowno". Aktor Daniel Olbrychski zdobyl wielkie oklaski deklaracja, ze moze Lepperowi "dac w morde" (co jednak trzeba Olbrychskiemu oddac, na tle innych rozhisteryzowanych staruszkow wykazal sie spora oryginalnoscia; podczas gdy wiekszosc z nich leciala z donosami na rzadzacych Polska "faszystow" do mediow zachodnich, Olbrychski pryncypialnie skrytykowal antydemokratyczne zachowania Kaczynskich w wywiadzie dla gazety rosyjskiej. Do dzis poprawia mi to humor, ilekroc sobie pomysle, jaka odraza musiala przejac Ruskich mysl, ze w Polszy wladza na ten przyklad podnosi reke na wolnosc prywatnych mediow. I to w jak perfidny sposob: wypominajac redaktorom gazety przodkow w partii kompartii!). Zbiorowym bohaterem mediow stala sie tez "spontaniczna mlodziez", urzadzajac kolejne "spontaniczne manifestacje" pod ministerstwem edukacji narodowej – zapowiadane wczesniej z dokladnym podaniem miejsca i godziny zbiorki przez obiektywnie informujace o nich gazety – pod prostym i zrozumialym nawet dla profesora haslem "Giertych won!". Rzecz zreszta zabawna –

pierwsza z owych demonstracji oburzona mlodziez zorganizowala az tak spontanicznie, ze wyznaczyla jej termin, zanim jeszcze ktokolwiek zaproponowal Giertychowi posade w MEN. Tyle ze miala to byc demonstracja przeciwko nauczaniu religii w szkole, bo tego akurat domagala sie oddolna uczniowska inicjatywa; ale oczywiscie bardziej medialna "antygiertychowskosc" spadla inicjatywie jak z nieba. Jesli mimo to nie podoba sie Panstwu, ze biore cala te spontanicznosc w cudzyslow, to dodam, ze przywodca spontanicznej mlodziezy okazal sie niejaki Filip Ilkowski, od wielu lat weteran wszelkich mozliwych "nowych lewic". Zapewne dlatego, ze inny dyzurny przywodca spontanicznie buntujacej sie mlodziezy, Piotr Ikonowicz, siedzial akurat za cos tam w areszcie.

W Radiu Zet poranna rozmowe z Giertychem prezenter tej stacji skwitowal zjadliwym komentarzem, zakonczonym okrzykiem: "Roman, przestan pieprzyc". Co prawda w tym wypadku szef stacji poczul sie w obowiazku zdawkowo wicepremiera przeprosic (ale zeby juz chama zdjac z anteny, to nie – bez przesady, to znowu nie az taka zbrodnia, jak, powiedzmy, poinformowanie sluchaczy, ze sie zostalo pozwanym przez Adama Michnika). "Wyborcza" w tonie patetycznym opisala potem bohaterskiego studenta, ktory na znak poparcia dla owego radiowca wypisal jego slawne slowa na transparencie i wywiesil na scianie akademika. Opisala tez martyrologie trzech mlodych nauczycieli z Podkarpacia, ktorym kuratorium zakazalo – totalitaryzm czysty – wykorzystania szkolnych pomieszczen do urzadzenia rockowego koncertu pod haslem "Giertych won!", zmuszajac ich do wynajecia sali na miescie. Przesladowani nauczyciele przyznali w rozmowie z "Gazeta", ze pierwotnie koncert chcieli nazwac "Dosc gier tych!", ale uznali, ze z takim czlowiekiem jak minister edukacji nie ma sie co patyczkowac. W jakims sensie slusznie, pierwotne haslo dla takich ludzi, jakich tej klasy kadra nauczycielska moze wychowac, na pewno bylo zbyt inteligentne.

Zeby skonczyc juz z tym wersalem, wspomnijmy jeszcze o literacie Pilchu, ktory ujawnienie przez "Newsweek" informacji o kontaktach zmarlego niewiele wczesniej Ryszarda Kapuscinskiego ze sluzbami peerelu nazwal wzniosle "pierdzeniem do swiezo wykopanego grobu". Ta fraza tak rozanielila redaktora Pacewicza z "Wyborczej", ze z namaszczeniem powolal sie na slowa Autorytetu w programie u Tomasza Lisa, wywolujac u gospodarza pelne szacunku i zadumy nad slowami wieszcza skinienie glowa.

Tutaj powiem – jaka inteligencja, takie autorytety, i na tym przerwe, choc przykladami takimi moglbym wypelnic caly rozdzial; tylko naprawde szkoda mi miejsca i palcow. A przeciez trzeba by wspomniec jeszcze o razacych przykladach lamania zasad dziennikarskiej etyki. Chocby o redaktorze z dziennika telewizyjnego, ktory po mianowaniu na ministra skarbu Wojciecha Jasinskiego zrobil z nim wywiad o starej znajomosci nowego ministra z Kaczynskim. "W studenckich czasach chodzilismy razem na piwo", przyznal Jasinski. "Na dziewczynki tez?" – dopytuje dziennikarz. "Na dziewczynki to nie, bo ja juz wtedy bylem zonaty". Dzielny funkcjonariusz frontu walki z kaczyzmem uchlastal zrecznie ostatnie zdanie i voila! – powstal greps chodzacy przez wiele dni po mediach. A co; senator Kutz ze swoimi "demaskacjami" nie wyskoczyl przeciez jak Filip z konopi, przybil tylko pointe do watku, ktory mniej lub bardziej aluzyjnie przewijal sie w czarnym pijarze Kaczynskiego od bardzo dawna, odkad to nasza narodowa duma, Lech Walesa, oznajmil u Moniki Olejnik, na wszelki wypadek powtarzajac to dwukrotnie, ze gotow jest zaprosic do siebie "Lecha Kaczynskiego z zona i Jaroslawa Kaczynskiego z mezem".

Wszystko bylo dozwolone, nic nie znajdowalo potepienia – chamstwo, oczywiste falsze, manipulacje. Podczas protestu pielegniarek jedna z nich zaslabla i trzeba bylo zabrac ja do karetki. Choc nie mialo to nic wspolnego z jakakolwiek przemoca, programy informacyjne, a nastepnego dnia gazety ubieraly obrazek karetki na tle szpaleru policjantow w takie zbitki frazeologiczne, aby odbiorca odniosl nieodparte wrazenie, ze pielegniarke pogotowie zabralo wskutek pobicia. Bylo to czescia ogolnej histerii, jaka otoczono wtedy protestujacy pod kancelaria premiera personel medyczny. Pamietaja Panstwo jeszcze? Zepchniecie blokujacych ulice demonstrantek na chodnik ogloszone zostalo "brutalna pacyfikacja". A potem, gdy pielegniarki roztasowaly sie na trawnikach pod URM, czujne kamery po calych dniach pokazywaly, jak ze wszystkich stron ciagna ku nim z wyrazami solidarnosci autorytety, politycy, gwiazdy. Pani eksprezydentowa Kwasniewska przyniosla do "bialego miasteczka" ciasto, a pani Ewa Kopacz z Platformy – wyrazy goracej solidarnosci i bezwarunkowego poparcia dla ich zadan.

Niestety, "biale miasteczko", budzace zachwyt, opiewane i zasypywane wyrazami poparcia, nie spelnilo pokladanych w nim nadziei. Podobnie jak wspomniane wczesniej miasteczko namiotowe pod sejmem stawiane po ujawnieniu tasm Begerowej

(ilekroc przypomne sobie okreslenie "tasmy prawdy", jakimi nazwal je TVN24, zeby mnie bola – ale wlasnie ta mieszanka groteski i glupiego patosu byla dla calej tej propagandy bardzo charakterystyczna) nie stalo sie zarzewiem rewolucji.

Warto tu zauwazyc, ze stopien histerii byl taki, iz bez problemu udzielil sie takze stronie przeciwnej. Stad jedna z najbardziej groteskowych afer ostatnich lat, mielona potem przez media miesiacami – kwestia zagluszania pielegniarkom, ktore wdarly sie do kancelarii Kaczynskiego i nie chcialy stamtad wyjsc, telefonow komorkowych. Rzecz jest w sumie do dzis niejasna, bo ludzie Kaczynskiego zalosnie potem szli w zaparte, ale z tego, co da sie z calego ich krecenia wyrozumiec, ktos – byc moze sam premier, byc moze Gosiewski – rzucil takie haslo, ze obecnosc w kancelarii osob postronnych zagraza tajemnicom panstwowym. I to wystarczylo: nizsi ranga podwladni przytargali skads zagluszarke, aby uniemozliwic pielegniarkom uzywanie telefonow komorkowych. Przy okazji zagluszono telefony, nie tylko komorkowe, w calym URM, kompletnie dezorganizujac jego prace na kilka dni. A pielegniarki i tak sie porozumiewaly ze swiatem, jak chcialy, bo bez przerwy siedzieli u nich jacys dziennikarze. (Co ciekawe, w grupie tak gorliwie pragnacych sie wowczas przysluzyc szefom lizusow znajdujemy, jesli wierzyc pogloskom, tych wlasnie ludzi, ktorzy potem pojawia sie w sprawie przecieku niweczacego sledztwo dotyczace "afery gruntowej"; cos mowi to, jak wkupywali sie w laski Kaczynskiego).

"Czy te pielegniarki przezyly?" – miala potem zapytac zagraniczna znajoma jednego z blogerow salonu24, i wierze, ze ktos mogl faktycznie odniesc wrazenie, iz pielegniarki spotkalo nie wiem jakie przesladowanie. Bo tak to przedstawiano. Ogarniete malpim rozumem media kompletnie sie wtedy oderwaly od rzeczywistosci. Kazde naciagniecie przez PiS prawa okrzykiwane bylo jego podeptaniem, kazda zmiana ustawy – niechby i dyskusyjna – zamachem na wolnosc i demokracje. Dyplomatyczne niezrecznosci urastaly do rangi aktow wykluczajacych nas ze wspolnoty cywilizowanych panstw, a kazda watpliwa nominacja personalna dawala asumpt do oglaszania jesli nie konca swiata, to konca Polski na pewno.

Nie wierza Panstwo? Prosze odswiezyc pamiec w bibliotece. Albo ot, wstukac w wyszukiwarke slowo "szatani" – skoro juz jestesmy przy pielegniarkach, to wlasnie na okolicznosc ich protestow Kaczynski uzyl w przemowieniu cytatu z Choralu Kornela Ujejskiego "inni szatani byli tu czynni". Oczywiscie, elity

intelektualne naszego kraju w znakomitej wiekszosci nie poznaly cytatu z wiersza umieszczonego w podreczniku do II klasy szkoly sredniej i skadinad zapisanego bardzo mocno w naszej tradycji (radio Londyn rozpoczynalo nim audycje dla Powstania Warszawskiego). Prosze wiec wstukac sobie to slowo do Internetu i policzyc, ile cytat ten wywolal niusow, komentarzy i dywagacji, z grubsza realizujacych jeden schemat: Kaczynski wierzy w szatana, Kaczynski twierdzi, ze przeciwko jego rzadowi dzialaja moce piekielne, i tak dalej. Niusow oraz komentarzy, dodajmy, ze smakiem powtarzanych i kolportowanych przez media zachodnie. Mozna zrozumiec, ze nasze elity intelektualne w zyciu o Ujejskim i jego wierszu nie slyszaly, bo ow wiersz to czesc gleboko im obcej tradycji patriotyczno-romantycznej; gdyby premier zacytowal cos z pism Marksa albo Rozy Luksemburg, stopien zrozumienia bylby nieporownanie wiekszy. Ale ta gorliwosc w alarmowaniu swiata, ze Polska rzadzi wariat, ktory wierzy w diabla i widzi w demonstracjach przeciwko sobie szatanskie spiski, dobitnie pokazywala, ze postawa wiekszosci dziennikarzy i wiekszosci inteligenckich elit nie jest postawa "sprzeciwu" ani tym bardziej "krytycyzmu" wobec wladzy – tylko postawa zlosliwego debila, ktory, wlasnie jak przywolywany w przykladzie kapral, przywali sie z zupacka tepota absolutnie do wszystkiego. Co do pielegniarek, juz pierwsze miesiace po zwyciestwie wyborczym Donalda Tuska dopisaly do legendy "bialego miasteczka" lepsza pointe, nizbym to zdolal wymyslic nawet w ataku najbardziej zjadliwego humoru. Oczywiscie, jak chyba nie trzeba wyjasniac, pani Kopacz, gdy juz zostala w rzadzie Donalda Tuska ministrem zdrowia, na smierc zapomniala o swym niegdys goracym poparciu dla zadan pielegniarek. Te zas, podobnie jak i lekarze, zaczely znowu domagac sie tego samego, czego domagaly sie od rzadu PiS. "Lecz tymczasem na miescie inne byly juz trescie": "Gazeta Wyborcza" pouczala protestujacych, ze podwyzki bez pokrycia zezre inflacja, wiec w ogole nie ma sensu sie ich domagac (slowo w slowo tego samego argumentu uzywala peerelowska propaganda podczas strajkow Solidarnosci), a gdy wybuchl strajk lekarzy w Tomaszowie i nowy premier, po raz pierwszy wyraznie zirytowany, zapytal na konferencji retorycznie, czy lekarze naprawde sa az tak ubodzy, gazeta – ta sama gazeta, ktora jak po burej suce jezdzila po Ludwiku Dornie za "pokaz, lekarzu, co masz w garazu" – wsparla Tuska, wyliczajac nazajutrz na pierwszej stronie, ze strajkujacy lekarze z Tomaszowa maja pensje dwa razy wieksze niz niestrajkujacy z Warszawy. Przy czym optycznie wybila "Gazeta" informacje, ze lekarze z Tomaszowa zarabiaja tak wiele w szpitalu

zadluzonym, a warszawscy, z ulicy Plockiej, w niezadluzonym. Na zdrowy rozum zadluzenie firmy nie ma nic do wartosci pracy jej pracownikow – ale wazny byl sygnal do podswiadomosci czytelnika: "Sami zadluzyli szpital, biorac za wysokie pensje, a teraz rozrabiaja i narazaja przy tym zycie pacjentow!". Gdy wiec w tak zmienionej atmosferze pani Dorota Gardias, ta sama, ktora tak bohatersko okupowala gabinet Kaczynskiemu, ponowila zadania, w zmienionej wynikiem wyborow atmosferze glownym tematem w wiodacych mediach staly sie… kpiny z jej pelisy. Ze za droga – prosze, czy pielegniarki naprawde sa tak ubogie, skoro ich przywodczyni nosi futro za iles tam, nie pamietam juz, tysiecy zlotych? W tygodniku "Polityka" zamieszczono zdjecie wczorajszej ikony, antykaczynskiej Ibarruri, w owej pelisie, z dowcipnym podpisem: "Place pielegniarek ledwie wystarczaja na ubranie, a za co mamy zyc?".

Dlugo patrzylem na to zdjecie w zadumie, jak diametralnie w ciagu kilku miesiecy moze sie zmienic caly system wartosci. Ale, jak juz pisalem, mam te przewage nad innymi, ze do opisywania Czasu Wrzeszczacych Staruszkow usiadlem po pewnym czasie i to, co wyrabialo sie wtedy, moge skonfrontowac z wydarzeniami powyborczymi. Pozwala to miedzy innymi zauwazyc, jak fala nienawisci wobec Kaczynskiego przeszla gladko w mediach Orkiestry w fale lizusostwa wobec Tuska – lizusostwa tak bezprzykladnego, jakiego nie widzialem od czasow Gierka, bo nawet za Jaruzela propagandysci pewnych rzeczy juz wmawiac nie probowali. U Kaczora wszystko bylo zle – teraz wszystko jest dobre. Ci sami, ktorzy oglaszali co drugi dzien prognozy gospodarczej katastrofy, nagle oslepli na kolejne podwyzki cen, na gwaltowny wzrost inflacji, na ponowny, po dlugotrwalym spadku, wzrost bezrobocia. Kryzys na gieldzie, ktory miliony ciulaczy pozbawil w ciagu kilku miesiecy jednej piatej ich oszczednosci, za poprzednika na pewno nie zostalby przemilczany; teraz nie okazal sie godzien zadnej bodaj prasowej czolowki. Ci sami, ktorzy tak zajadle kibicowali pielegniarkom, nagle oslepli, gdy zaczeli sie burzyc nie tylko lekarze i pielegniarki, ale i celnicy, kolejarze, urzednicy skarbowi, policjanci, kto zyw. A gdy juz trudno bylo tego nie widziec, znalezli wyjasnienie: strajkuja, bo – trzymajcie sie Panstwo – tak bardzo im sie poprawilo. Tak jest, teze te wygloszono zupelnie na powaznie w kilku powaznych mediach, na czele z TVN-owskim serwisem "Fakty". Ludzie strajkuja nie wtedy, gdy im naprawde zle, ale wtedy, gdy zaczyna sie poprawiac, dowodzili pokazywani w materiale medrcy. A wiec prosta sprawa, im wiecej strajkow,

tym bardziej oznacza to, ze ludziom za nowej wladzy zyje sie coraz lepiej.

Czegos takiego, przyznaje, nawet za Gierka nie wymyslono.

Premier Tusk jedzie do Niemiec, stawia tam DOKLADNIE te same zadania, ktore stawial jego poprzednik, i tak samo jak on w odpowiedzi widzi przyslowiowa fige z makiem – a Orkiestra rozplywa sie ze szczescia, jak pieknie sie nasz premier usmiechal i jak sie nim, w przeciwienstwie do poprzedniego, niemiecka prasa zachwyca. Premier Tusk jedzie do USA – i ci sami, ktorzy przez dwa lata zdzierali gardla, ze Kaczynscy niszcza nasza pozycje w Europie niepotrzebna "tromtadracja" i "potrzasaniem szabelka", i ktorzy suchej nitki nie zostawiali na ich hasle "nie bedziemy rozmawiac z Europa na kolanach", teraz nie moga sie naslodzic zachwytem, ze Tusk potrafil z Bushem rozmawiac tak twardo, ze mu sie nie klanial, rabal prosto w oczy, jakie Polska ma interesy i postulaty (dwa tygodnie pozniej, kiedy przeciekly do mediow szczegoly rozmow, okazalo sie, ze cala ta twardosc byla blefem i warunki instalacji "tarczy rakietowej" stawiane przez rzad Tuska nie roznia sie zasadniczo od stawianych przez jego poprzednika). A radio RMF FM puszcza w dziennikach sonde uliczna, pytajac przechodniow, jak bardzo cieszy ich sukces Tuska w Ameryce. Lizusostwo az scieka po lamach "Wyborczej", "Polityki" (ktora przed wyborami wywalila okladke z wielkim napisem "Tusku, musisz!" – nic dziwnego, ze teraz ona musi), z anten radiowych. Widac to w codziennym doborze slownictwa: gdy Ziobro czy Kaczynski kogos oskarzal, wspomniane media informowaly, ze "dokonal medialnej egzekucji", w najlepszym wypadku, ze "bezpodstawnie pomowil". Gdy oskarza Cwiakalski – to "ujawnia nieprawidlowosci". Kiedy Kaczynski czyms sie chcial pochwalic, to "uprawial propagande". Tusk po prostu "przedstawia osiagniecia rzadu". I tak dalej.

Lizusostwo Orkiestry wobec Tuska wyraza sie tez w skwapliwym podchwytywaniu oskarzen, ktore mialy pognebic Kaczynskiego definitywnie, a w istocie pokazaly, jak nikle byly podstawy stawianych mu zarzutow budowania panstwa autorytarnego czy zgola policyjnego. O meritum pierwszych miesiecy rzadow Tuska trudno bylo mediom warszawki i krakowka cokolwiek pochwalnego powiedziec, choc sie bardzo staraly, bo po prostu nic konkretnego rzad nie zrobil – pozostalo zachwalanie "stylu" i zachwycanie sie, ze "atmosfera zrobila sie lepsza" ("Zycie stalo sie lepsze, towarzysze, zycie stalo sie weselsze!" – skad cytat, kto pamieta?). Tym gorliwiej rzucaly sie

na kazdy skrawek niusa o rozliczeniach z poprzednikami. Najpierw mialo to byc rozwalenie z trzaskiem CBA. Wiele i cieplo mowiono o raporcie Julii Pitery, ktory sumowac mial naduzycia przez te instytucje wladzy i jej przestepstwa, zbrodnie nawet; mowiono oczywiscie do momentu, gdy okazalo sie, ze Tusk raportu nie chce ujawniac, uznawszy najwyrazniej, ze nic tam powaznego nie ma. A juz zupelnie sprawa ucichla, gdy Tusk oznajmil, ze pozostawia Mariusza Kaminskiego na stanowisku, malo tego, zdobyl sie pod jego adresem na wiele pochwal. Byc moze po prostu uczciwie uznal, zapoznawszy sie z faktami, ze CBA znakomicie spelnia swe powolanie. A byc moze (zreszta jedno drugiego nie wyklucza) wyciagnal wnioski z faktow, ze w ciagu tylko trzech pierwszych miesiecy wspolrzadow musial odwolac az pieciu peeselowskich wiceministrow "ze wzgledow osobistych", zmienic trzech pelniacych obowiazki szefow sluzb specjalnych i swiecic oczami po ujawnieniu starych, bardzo brzydko pachnacych interesow wiceprezesa koalicyjnej partii. Ciekawe, czy jesli teraz CBA wykryje jakas ciekawa sprawe u Pawlaka, Orkiestra odwazy sie uzyc tych samych co jesienia 2007 fraz o paranoi, jaka jest posylanie tajnych agentow za wlasnym koalicjantem.

Zapomniawszy tedy usluznie i skwapliwie o CBA, rzucili sie z kolei antypisowscy dziennikarze do rozdmuchiwania doniesien do prokuratury zlozonych przez platformerska prezydent Warszawy, Hanne GronkiewiczWaltz. Pierwsze dotyczylo zamierzchlej sprawy przekazania przez Porozumienie Centrum lokalu powiazanej z ta partia personalnie Fundacji Prasowej Solidarnosci. Orkiestra taktownie przemilczala, iz znacznie pozniej, w roku 2006, koalicjanci pani Gronkiewicz-Waltz z PSL kupili od miasta stolecznego Warszawy bez przetargu swa partyjna siedzibe za osiemnascie milionow zlotych, by po trzech zaledwie tygodniach sprzedac ja firmie deweloperskiej za siedemdziesiat dwa miliony; oczywiscie tu niczego wartego zawiadamiania prokuratury pani prezydent nie zauwazyla. Co do zawiadomienia o PC i FPS, prokuratura po kilku tygodniach poinformowala, ze nie znajduje powodow do wszczecia postepowania, co juz "przelamujacym niusem" sie nie stalo. Drugie doniesienie pani prezydent Warszawy dotyczylo faktu, iz jej poprzednik wydawal pieniadze miasta na przyjmowanie oficjalnych gosci w eleganckich restauracjach – zamiast, jak zapewne powinien byl uczynic, w fast foodach.

Potem przebojem dnia stal sie zniszczony laptop bylego ministra Ziobry. Minister Cwiakalski rozwodzil sie dlugo, jak to

Ziobro prawdopodobnie rozbil swoj komputer mlotkiem, a jeden z prokuratorow prowadzacych sprawe Barbary Blidy utopil laptopa w wannie. I znowu zabraklo elementarnego krytycyzmu. Jesli nawet przyjac, ze Ziobro jest idiota – bo tylko idiota moglby probowac usunac kompromitujace dane z twardego dysku, walac w komputer mlotkiem – to kazde dziecko wie, ze w ten sposob niczego sie z dysku nie usunie, a wiec wszystko to, co rzekomo Ziobro chcial ukryc, zachowalo sie. Nikt nie zapytal jednak, dlaczego Cwiakalski z namaszczeniem prezentuje ulamana klapke, zamiast przedstawic, co naprawde na dysku bylo. Dopiero po miesiacu rzeczony laptop wrocil, na okolicznosc kolejnej sensacji, iz udalo sie w nim znalezc scenariusze Patrycji Koteckiej. Tym samym armia sledczych odkryla cos, o czym wiedzial kazdy czytelnik tabloidow – ale, znowu, nie zadano jakos pytania, ktory konkretnie artykul konstytucji lamie byly minister, bedac z protegowana przez siebie pracownica panstwowych mediow na tyle blisko, iz uzywaja wspolnego laptopa. Albo nawet, jesli przyjac wersje dla Ziobry i Koteckiej najbardziej niekorzystna, iz wplywa na redagowane przez nia programy.

Jak na razie – a szczesliwie mija juz czwarty miesiac rzadow nowej sejmowej wiekszosci – nie zdolano wykazac, ze to Jaroslaw Kaczynski albo ktos z jego otoczenia kazal zamordowac Barbare Blide. To, jak rozgrywano te sprawe, budzi szczegolne obrzydzenie i bardzo przypomina histeryczna propagande, jaka postkomunisci rozpetali po smierci malzenstwa Jaroszewiczow, uzywajac takich fraz, jakby zamordowala ich Solidarnosc. Barbara Blida byla w depresji, bez watpienia wykazano sie podczas jej zatrzymania brakiem profesjonalizmu, ale ow brak profesjonalizmu polegal na tym, ze nie rzucono jej od razu na ziemie i nie skuto kajdankami, tylko z glupia uprzejmoscia pozwolono isc samej do lazienki. Mozna oczywiscie sie zastanawiac, czy zatrzymanie bylo zasadne, czy nie wystarczyloby wezwac bylej minister na przesluchanie; skoro jednak Blida byla gotowa umknac przed sledztwem w smierc, to otrzymawszy wezwanie, moglaby to zrobic jeszcze latwiej. Teza, jakoby samobojstwem chciala zaprotestowac przeciwko bezprawnemu zatrzymaniu, jest wyjatkowo glupia. Czlowiek niewinnie oskarzony nie strzela do siebie na znak protestu; stara sie swa niewinnosc obronic, wyjasnic nieporozumienie, odzyskac dobre imie i odegrac sie na przesladowcach. A wie, ze strzelajac do siebie, sprawilby wrazenie, iz do wszystkiego sie przyznaje. Samobojstwo moze przyjsc do glowy raczej komus, kto wie, ze skoro po niego przyszli, to znaczy, ze wszystko sie wydalo i juz

sie z tego nie wykreci, albo komus, kto z jakichs innych powodow jest w glebokiej depresji i wlasciwie juz sie na ten krok zdecydowal, a co sobie kto pomysli o jego winie badz niewinnosci, jest mu wszystko jedno. Tak czy owak, bylo to samobojstwo, a nie zbrodnia polityczna, i kwestionowanie tej granicy dowodzi skrajnie zlej woli.

Jak na razie niewiele tez wyniklo z sejmowej komisji sledczej, ktora ma przedstawic mechanizmy "panstwa policyjnego" PiS. Przypuszczam, ze wszystko, co przedstawi (dziennikarze maja swa wiedze operacyjna), to naruszenia rozmaitych procedur. Co prawda niektorzy politycy juz zdazyli zagrozic Ziobrze kara trzech lat wiezienia za wynoszenie laptopa z tajemnicami panstwowymi poza swoje biuro (jesli rzeczywiscie prawo tego zakazuje pod tak absurdalnie wysoka sankcja karna, to rzecz nadaje sie raczej dla "komisji Palikota" – tej, ktora ma likwidowac idiotyczne przepisy – niz dla sadu; po co ministrowi komputer przenosny, jesli nie wolno mu go zabierac z biurka?), a Kaczynskiemu szescioma latami za domniemane zagluszanie telefonow pielegniarkom. Ale na opinii publicznej takie zbrodnie raczej nie robia porazajacego wrazenia. A wtajemniczeni wiedza, ze podobny brak szacunku dla procedur obciaza wszystkie poprzednie ekipy; to oczywiscie nie rozgrzesza Kaczynskich, ale, znaj proporcja, mocium panie – sprawy godne dyscyplinarki to jeszcze nie "securitate" ani "stalinizm XXI wieku". Tym bardziej nic nie wycisnie sie z zamierzchlych spraw "Telegrafu" i wspomnianej juz Fundacji Prasowej, z ktorych juz wielokrotnie probowano zrobic sprawe, za kazdym razem bezskutecznie.

Z kazdym miesiacem rzekome zbrodnie przeciwko demokracji rozwiewaja sie niczym dym, jak niegdys okrzyczane zagrozenia konkordatu i "panstwa katolickich ajatollahow". Ale skoro juz o tych komisjach wspomnialem, to warto zwrocic uwage na krzyczacy przyklad "kalizmu", ktory w warunkach swietej wojny Kaczora z Donaldem do cna przezarl nasza publiczna debate. Przypomnijmy, ze sejm poprzedni powolal komisje sledcza, ktora miala znalezc nieprawidlowosci w sektorze bankowym, od roku 1989 poczawszy. Moze dzis juz nikt o tym nie pamieta, bo jedynym sukcesem komisji okazalo sie ostatecznie ustalenie, ze Ewa Balcerowicz jest zona Leszka Balcerowicza; ale gdy komisje powolywano, PO oponowala, iz zgodnie z prawem sejmowa komisja sledcza moze powstac tylko do zbadania konkretnej sprawy. Ten argument podzielil zreszta Trybunal Konstytucyjny. Mimo to w obecnym parlamencie PO powolala komisje dokladnie powielajaca tamten blad, majaca po prostu zlapac PiS na

czymkolwiek. A PiS, promujace wczesniej badanie spraw bankowych sprzed lat pietnastu, podnioslo argument, ze komisje sejmowe powinny powstawac tylko dla patrzenia na rece obecnej wladzy – a nie do grzebania w przeszlosci.

****

Na szczegolna uwage zasluguje watek, o ktorym wspomnialem przy okazji "innych szatanow" – watek wyplakiwania sie na Kaczynskich Europie. Zachodnie media byly do tego o tyle lepszym miejscem, ze mozna im bylo sprzedac kazda brednie, bo wiedza i dziennikarzy, i czytelnikow o naszym kraju jest znikoma. Niemal natychmiast wiec ludzie w Polsce niecieszacy sie juz prawie zadnym poparciem, ale majacy za dawne czyny wyrobiona slawe na Zachodzie, zaczeli skarzyc sie w wywiadach dla zachodnioeuropejskich gazet, ze w Polsce zagrozona jest demokracja, ze Kaczynski dazy do autorytaryzmu, ze lamie sie prawa mniejszosci seksualnych (rzecz zabawna – w pierwszej w ogole fali alarmujacych doniesien powtarzano jako przyklad nietolerancji Kaczynskich zakaz parady homoseksualistow w Poznaniu, wydany przez prezydenta miasta z PO, a potwierdzony przez wojewode z SLD; dopiero potem Lech Kaczynski dostarczyl tym atakom legitymizacji, zakazujac takiej samej parady w Warszawie). Zachodni czytelnik nie rozumial szczegolnej mowy, jaka poslugiwala sie Orkiestra. Nie wiedzial, ze w mowie tej na przyklad "ataki na wolnosc prasy" to wdawanie sie z nia w rozmaite pyskowki, w rodzaju tej wspomnianej juz o przodkach w KPP; ze "poslugiwanie sie emocjami nacjonalistycznymi" to Muzeum Powstania Warszawskiego i przypominanie o stratach, jakie poniosla Polska w czasie II wojny swiatowej; ze "proby ograniczania suwerennosci sadow, a nawet Trybunalu Konstytucyjnego" to slowna krytyka rozmaitych wyrokow oraz stwierdzenie, ze "sedziowie Trybunalu Konstytucyjnego nie sa nieomylni". I ze owe "tendencje autorytarne" to – chyba najsmieszniejszy, a zarazem bodaj glowny punkt antypisowskiego dyskursu – "kwestionowanie autorytetow". Jesli tego nie powiedzialem dotad wystarczajaco wyraznie, to mowie teraz – oskarzanie Kaczynskiego o autorytarne ciagoty li tylko na tej podstawie, ze co i raz on albo ktorys z przybocznych chlapnal cos ozorem, nawet jesli rzeczywiscie bylo to cos, czego powazny polityk zdecydowanie mowic nie powinien, sa funta klakow warte.

Gdyby ktos naprawde probowal tlumaczyc Zachodowi, o co chodzi w takim na przyklad "kwestionowaniu autorytetow" i dlaczegoz to "kwestionowanie autorytetow" zagraza demokracji – nie dalby rady. Ludziom Zachodu obce sa pewne zludzenia, ktore u nas latami hodowaly sobie inteligenckie elity na wlasny uzytek. Na przyklad zludzenia co do roli intelektualistow. To, co, dajmy na to, ma Wislawa Szymborska do powiedzenia na temat integracji europejskiej, jest mniej wiecej tyle samo warte, co opinia Anny Fotygi na temat poezji – i tyle.

Trudno by tez przetlumaczyc na jakikolwiek zachodni jezyk polityczny zarzut, iz Kaczynski "podzielil spoleczenstwo". Spoleczenstwo, co jest oczywiste dla kazdego, kto chwile sie zastanowi, jest podzielone zawsze, wedlug dziesiatek mozliwych kryteriow. Dzieli sie na biednych i bogatych, na zadowolonych i niezadowolonych, na miastowych i wiesniakow, robotnikow, przedsiebiorcow, rolnikow, na wierzacych i ateistow, zwolennikow wojny w Iraku i jej przeciwnikow… Polityka zawsze polega na tym, zeby odczytac, ktore podzialy sa bardziej istotne, a ktore mniej, ktore rodza realne antagonizmy, a nastepnie na tym, aby dobrze okreslic swoja "grupe targetowa" i wygrac wyznaczajace ja podzialy na swoja korzysc. Zarzut "dzielenia spoleczenstwa" jest czescia przemadrzalego, salonowego belkotu, jest tak idiotyczny, ze doprawdy trudno nan powaznie odpowiadac.

Ale tego wszystkiego zachodni dziennikarze nie wiedzieli, a wielu z nich zapewne, nawet gdyby ktos chcial im wytlumaczyc, nie byloby zainteresowanych. Jesli koledzy z Polski stale mowili im, ze demokracja jest zagrozona, ze boimy sie autorytaryzmu, ze narastaja przesladowania, i jesli te wypowiedzi uwiarygodniali swoimi nazwiskami tacy ludzie, jak Walesa, Geremek czy Bartoszewski, to bezkrytycznie tego niusa powtarzali. A to, oczywiscie, natychmiast podchwytywaly media Orkiestry jako dowod – widzicie, Zachod jest zaniepokojony o nasza demokracje! – innego koronnego punktu antypisowskiego dyskursu, a mianowicie, ze rzady PiS "kompromituja nas za granica".

Trzeba powiedziec, ze wyjatkowo wredna i obludna role odegraly tu media niemieckie, krytykujac Polske zwlaszcza w dwoch kwestiach – ustawy lustracyjnej oraz tak zwanej polityki historycznej.

Niemcy przeprowadzili u siebie lustracje niemal natychmiast po

zmianie ustroju. Nie do pomyslenia jest, aby zachowal tam prace dziennikarz albo naukowiec, ktory wspolpracowal ze Stasi (wlasnie w chwili, gdy robie korekty, w marcu 2008 renomowana tamtejsza gazeta z punktu wylala na pysk dwoch dziennikarzy, gdy tylko okazalo sie, ze w archiwach Stasi znaleziono na nich jakies papiery; prosze sobie wyobrazic, jakie chory obroncow znalazloby natychmiast tych dwoch, gdyby rzecz miala miejsce u nas). Niemcy wydali grube pieniadze na zabezpieczenie archiwow komunistycznej bezpieki, ich uporzadkowanie i odtworzenie. Szczegolnie kosztowne i pracochlonne jest odtwarzanie tego, co Stasi w ostatnich dniach swego istnienia niszczyla i co RFN przejela po zjednoczeniu w postaci szesnastu ton przemielonych w niszczarkach strzepkow pozostalych po czterdziestu trzech milionach – jak sie szacuje – roznych dokumentow. Podczas gdy w Polsce autorytety moralne chorem przekonywaly, ze nie ma co sie grzebac w "ubeckim szambie", ze trzeba isc naprzod, a nie zajmowac sie zamknieta przeszloscia, i tak dalej, Niemcy z wlasciwa sobie systematycznoscia zaczeli owe strzepy sklejac z powrotem – najwieksze puzzle wspolczesnego swiata! I nie pojawil sie zaden zakichany medrek, zaden polityk, ktory kwestionowalby sens wydania na to rok w rok kolejnych milionow euro (trzydziesci milionow dla przykladu pochlonal tylko specjalny program komputerowy majacy te prace ulatwic).

Panstwo niemieckie traktuje priorytetowo budowe muzeum wypedzonych, upamietnianie swoich cywilnych ofiar II wojny swiatowej, niemiecka telewizja publiczna produkuje jeden po drugim filmy historyczne propagujace nowa niemiecka wersje historii – slowem, na to wszystko, co u nas nazywa sie "polityka historyczna", wydaja Niemcy kupe kasy i poswiecaja bardzo wiele staran. I tez zaden tamtejszy uniwersytecki czy gazetowy medrek tego nie kwestionuje.

A jednoczesnie niemieckie media udzielily bardzo zdecydowanego poparcia polskim wrogom lustracji i "grzebania sie w przeszlosci" (mysle sobie uporczywie – czy nie dlatego panstwo niemieckie gotowe jest inwestowac w odtwarzanie archiwow Stasi, ze znalezione tam ewentualnie papiery na czlonkow politycznych elit kraju osciennego moga taka inwestycje uczynic z nawiazka oplacalna?), w calej rozciaglosci popierajac teze, ze przeszlosc nie ma znaczenia, a lustracja to niemoralny obled, polowanie na czarownice i upokarzanie ludzi.

Ja wiem, ze obluda obluda, lecz wyraza sie w tym madrosc. Madrosc starozytnego chinskiego stratega Sun Cy, ktory

nakazywal tepic idiotow i szkodnikow u siebie, ale zdecydowanie popierac ich u sasiadow. Nie mam pretensji do Niemcow i w ogole zachodnich mediow, lecz do ludzi, ktorzy uznajac, ze jedyny ich polityczny atut to poparcie zagraniczne, nie zawahali sie po te bron siegnac. Przeciwko Kaczynskim, ale przeciez jednoczesnie przeciwko, prosze wybaczyc, ze w tej ksiazce, kipiacej cynizmem (taka jest polityka, wiec jak o niej pisac inaczej?), pozwole sobie na tak wzniosla fraze – przeciwko wlasnej ojczyznie.

Tym bardziej ze nie byl to bunt w imie idei. Zadnych podobienstw do czasow, gdy polska opozycja odwolywala sie do Zachodu z informacjami o lamaniu w peerelu praw czlowieka, bo i takie paralele usilowala demagogicznie wykreowac i rozegrac Orkiestra. Nie szlo tu o zagrozona demokracje, bo, Bogu dzieki, to, ze polityk powie cos agresywnego albo nawet glupiego – a niemal caly antypisowski dyskurs zasadzal sie na takich "zagrozeniach" czy "atakach", ze Kaczynski czy jego wspolpracownicy na kogos nakrzyczeli – to jeszcze w zadnym stopniu demokracji nie zagraza; smiem twierdzic, ze gdyby tyle wystarczylo, to nigdzie na swiecie demokracja dlugo by sie nie ostala. Nie szlo tu takze o zaden moralny sprzeciw. Szlo o polityke, o interesy wlasnej sitwy, a w pewnych kwestiach – po prostu o ratowanie wlasnej dupy.

Jestem gleboko przekonany, ze takie wlasnie byly prawdziwe motywacje liderow tak zywiolowego protestu przeciwko ustawie lustracyjnej. W argument, jakoby zlozenie oswiadczenia lustracyjnego kogokolwiek upokarzalo, nie wierze za grosz. Cokolwiek sadzic o ustawie lustracyjnej wysmazonej ostatecznie przez PiS – o tej katastrofie w innym miejscu – i o nonsensie, jakim bylo rozciagniecie wymogu skladania oswiadczen na co najmniej kilkaset tysiecy obywateli, to nie widze nic obrazliwego w zapytaniu kogos, czy nie wspolpracowal z SB.

Pisalem o lustracji tak wiele w Michnikowszczyznie, ze tu nie chce juz w ten temat zbyt gleboko wchodzic. Srodowisko dziennikarskie oraz srodowiska uniwersyteckie byly w peerelu bardzo gleboko spenetrowane. Wbrew legendzie, uporczywie umacnianej przez michnikowszczyzne, szantaz stosowano przy tych werbunkach niezwykle rzadko. Kapowanie na kolegow, na wspolpracownikow bylo znakomita pomoca, ulatwieniem awansu, wyjazdu, pomoca w zdobyciu pozytywnej recenzji, stypendium. Na kapowaniu robilo sie kariery – a kazda taka kariera okupiona byla krzywda tych, ktorych na podstawie donosow kapusia pozbawiano szans, wyrzucano z pracy, wieziono, przesladowano.

Naprawde nie widze powodow, aby swinia, ktora w taki sposob, po trupach, wspiela sie do slawy, pieniedzy i zaszczytow, musiala w wolnej Polsce miec gwarancje, ze jej nikczemnosc nigdy nie zostanie ujawniona i nie przeszkodzi jej w spokojnym konsumowaniu zdobyczy.

Symboliczna postacia wydaje mi sie katowicki rektor Iwanek, jeden z najglosniej wrzeszczacych przeciwko "upokarzaniu ludzi" i wzywajacych do obywatelskiego nieposluszenstwa, ktory, jak pokazaly wkrotce archiwa, jest posiadaczem zyciorysu, jaki miec moze tylko ostatnia kanalia. To, ze taki czlowiek i zapewne wielu jemu podobnych (powoli to wychodzi na swiatlo dzienne) zachowywalo sie w taki wlasnie sposob, nie dziwi. Dziwic moze tylko to, ze zyskali oni sobie niemal jednoglosne poparcie swoich srodowisk. Dziennikarze czy naukowcy, ktorzy opowiedzieli sie za lustracja, stanowili w swoich branzach zdecydowana mniejszosc, poddawana w wiekszosci wypadkow intensywnemu ostracyzmowi. Dosc przypomniec zachowanie senatu Uniwersytetu Gdanskiego, ktory gdy dwoch tamtejszych liderow "obywatelskiego nieposluszenstwa" zostalo zdemaskowanych przez "Wprost" jako byli Tajni Wspolpracownicy, udzielil im zywiolowego poparcia stosunkiem glosow dziewiecdziesiat dziewiec do jednego. A przeciez nie byl to przypadek odosobniony – ilekroc zdemaskowany zostanie jakis kapus, jak chocby ten, ktory latami donosil na czlonkow "Piwnicy pod Baranami", slawny aktor, ksiadz, naukowiec, natychmiast znajduje sie potezne grono autorytetow zwierajacych wokol niego szeregi i wystepujacych w obronie – juz nie pod haslem "nie wierzymy, ze kapowal", bo wymowa dokumentow jest z reguly miazdzaca, ale wlasnie pod zupelnie juz bezwstydnie gloszonym: moze i kapowal, ale co z tego, nam to wcale nie przeszkadza!

Trudno to nazwac inaczej niz moralna zapascia polskich elit. I to, ze ustawa lustracyjna byla, jak juz napisalem, katastrofa, i ze niezwykle pomogla tej zapasci, takze poprzez wepchniecie do jednego wora z prawdziwymi kanaliami wielu ludzi, ktorych wina byla znikoma albo zgola zadna, nie zmienia tego, co owa antylustracyjna histeria powiedziala nam o jej przywodcach.

Na czele z tymi, ktorzy w alarmowaniu Europy przeciwko polskiej probie lustracji zasluzyli sie najbardziej. O Lechu Walesie juz pisalem, sprawa jest tylko kwestia czasu. Uwazam, ze rowniez w wypadku Bronislawa Geremka, ktory bardzo sie w walce z lustracja wykazal i ktory taktownie milczal, gdy jego kolega w europarlamencie Cohn-Benedit alarmowal z trybuny, ze w Polsce

odradza sie faszyzm, deklarowane moralne oburzenie nie bylo motywacja prawdziwa. Uzyty przez Geremka argument, ze skladal oswiadczenie lustracyjne juz wielokrotnie i nie potrzebuje tego robic z uwagi na zmiane ustawy, jest bowiem falszywy – a medialna Orkiestra usilnie falsz ten stara sie zatachlowac.

Owoz nowa ustawa definiuje wspolprace ze sluzbami PRL inaczej. W swietle poprzedniej mozna bylo, jak Marian Jurczyk, podpisac zobowiazanie do wspolpracy, pisac odreczne raporty, przyjmowac za to i kwitowac pieniadze, a mimo to zostac od zarzutu bycia Tajnym Wspolpracownikiem uwolnionym; w nowej zapisy umozliwiajace tak horrendalne rozstrzygniecia juz sie nie znalazly. Nowa definicja powoduje zas, ze to, co w swietle ustawy poprzedniej mozna bylo uznac za nieistotne, teraz takze podlega wyjasnieniu. Na przyklad wspolpraca w formie tak zwanego Kontaktu Sluzbowego czy Kontaktu Operacyjnego. Bardzo slusznie zreszta, bo ci ludzie, zwlaszcza kategoria pierwsza – glownie funkcjonariusze partyjni, ktorych teoretycznie nie wolno bylo werbowac na Tajnych Wspolpracownikow, ale ktorzy tez obowiazek donoszenia mieli niejako z urzedu – czesto wyrzadzali szkody duzo wieksze i dopuszczali sie zdrad znacznie bardziej podlych niz ci, ktorzy figurowali w ewidencji jako "tajni" i podpisywali zobowiazania do wspolpracy.

Niech pan Geremek, jesli chce, podaje mnie do sadu. Ale wiem przeciez, choc jest to wiedza w III RP gorliwie zamilczana, ze w latach szescdziesiatych byl on sekretarzem organizacji partyjnej w stacji naukowej Polskiej Akademii Nauk w Paryzu. Stacji szczegolnie waznej, bo wywiad peerelu uzywal jej jako "przykrywki" w dzialaniach wymierzonych przeciwko paryskiej "Kulturze" i calemu srodowisku skupionemu wokol Jerzego Giedroycia. Na takim stanowisku mlody Geremek musial byc, chcial czy nie chcial, traktowany jako Kontakt Sluzbowy i odbywac rozmowy z zainteresowanymi roznymi sprawami – a przede wszystkim, nazwijmy to, prowadzeniem sie pracownikow stacji i stypendystow – funkcjonariuszami resortu. Byc moze ich splawial, a byc moze nawet dumnie odmawial, choc to ostatnie pociagneloby zapewne za soba sluzbowe konsekwencje; no i wydaje sie malo prawdopodobne, zwazywszy ze wedlug znanych relacji Geremek, zanim pod wplywem wydarzen Marca 1968 roku doznal laski nawrocenia i zaczal odkupywac swe winy, byl "wscieklym komunista", niecofajacym sie przed rzucaniem na ludzi oskarzen, ktore w owym czasie lamaly zyciorysy i kariery.

Nie mam danych, by oskarzac Geremka, ze bylo w tych

rozmowach cos, czego naprawde musi sie wstydzic – wie to on, kiedys dowiedza sie wszyscy, bo choc daleko mniejszym niz u Niemcow nakladem sil i srodkow, to i w Polsce papiery sa stopniowo porzadkowane, a sposob, w jaki peerelowskie sluzby je archiwizowaly, praktycznie uniemozliwia ich ostateczne i pelne zniszczenie. Ale Bronislaw Geremek odegral w ustrojowej transformacji niezwykle istotna role, porownywalna tylko z Walesa i Kuroniem, a na pewno wieksza od Michnika. Przez pewien czas mial wielka wladze decydowania o biegu ustrojowej przemiany. Potem byl naszym ministrem spraw zagranicznych, negocjujacym niezwykle wazne dla panstwa uklady miedzynarodowe. Jako dziennikarz mam prawo pytac, skoro ukrywa czesc swego zyciorysu, czy nie ma w nim epizodow, ktore mogl ktos wykorzystywac do wywierania na jego decyzje nieformalnego wplywu. A jako obywatel RP mam prawo otrzymac odpowiedz.

A tak po prostu jako ja, mam prawo i obowiazek wyrazic niesmak najglebszy uzywaniem moralistycznej argumentacji dla wlasnych, jak sie wydaje, bardzo niskich interesow. Fakt, ze oswiadczenia lustracyjnego nie zlozyl Geremek nie tylko za Kaczynskich, ale takze i wtedy, gdy nalezalo to zrobic powtornie, za rzadow PO, juz po tym, jak Trybunal Konstytucyjny wybil lustracji niemal wszystkie zeby – poza tym jednym, dotyczacym europarlametarzystow – jednoznacznie pokazuje, ze motywy podane publicznie za pierwszym razem byly falszywe.

Kiedy argument o "upokarzaniu ludzi" wymogiem "tlumaczenia sie", czy aby nie wspolpracowali ze sluzbami peerelu, rozpanoszyl sie w mediach ponad wszelkie pojecie, zadalem tym moralnie oburzonym jedno proste pytanie. Nigdy nikt nie udzielil mi na nie satysfakcjonujacej odpowiedzi, wiec niniejszym je powtorze:

Niemal wszyscy przywodcy i heroldowie "obywatelskiego nieposluszenstwa" przeciwko ustawie lustracyjnej, szermujacy argumentem o "upokarzaniu", wyjezdzali do USA. Ja tez wyjezdzalem, stad wiem, ze aby otrzymac amerykanska wize, trzeba wypelnic formularz zawierajacy miedzy innymi tego rodzaju pytania, jak "czy kiedykolwiek uprawiales prostytucje – czy zamierzasz uprawiac prostytucje na terenie USA – czy handlowales narkotykami i zamierzasz to robic na terenie USA – czy jestes narkomanem/nosicielem wirusa HIV/czlonkiem partii komunistycznej?" (szczegolnie podobalo mi sie to ostatnie okienko, przewidujace jedno tak/nie na trzy zadane zbiorczo

pytania). Wszyscy oni jakos nie poczuli sie tymi pytaniami upokorzeni, wypelnili kwestionariusz, skoro wizy otrzymali. Wiec dlaczego szanownych panow profesorow nie upokarzalo skladanie deklaracji, ze nie byli nigdy i nie zamierzaja byc prostytutkami – a "upokarza" ich pytanie o ewentualne kontakty z SB?

Czy nie dlatego, ze o prostytucje pytal wujek Sam, ktory placil stypendia w dolarach – natomiast o kontakty ze sluzbami peerelu osmielila sie spytac wlasna, zlotowkowa ojczyzna?

***

Skoro wspomnialo sie o Marcu 1968 – znowu musze sobie pozwolic na dygresje, zwiazana jednak mocno z mysla przewodnia tego rozdzialu. Bo kolejnym istotnym punktem tego, co nazwalem "antypisowskim dyskursem", jest odmawianie sensu wszelkiej, tak bliskiej sercom Kaczorow, "polityce historycznej". Tymczasem srodowisko, ktore lansuje te teze najglosniej, wage polityki historycznej docenialo od zawsze, czego dowodem chocby przywolywana juz instrukcja z roku 1990, w ktorej pierwszy "solidarnosciowy" prezes Radiokomitetu, Andrzej Drawicz, pouczal podwladnych, jak maja potraktowac rocznice wprowadzenia stanu wojennego. No a teraz wlasnie, gdy pisalem w mozole kolejne rozdzialy Czasu wrzeszczacych staruszkow, to samo srodowisko na okolicznosc trzydziestej rocznicy Marca dalo prawdziwy popis juz nie tyle polityki – ale wrecz "pijani historycznego".

Pijaru bardzo szczegolnego i charakterystycznego. Bo jesli powaznie traktowac to, co media warszawki przy tej okazji nawypisywaly i naopowiadaly, to trzeba by dojsc do wniosku, ze Marzec jest rocznica, ktorej Polacy powinni sie bardzo wstydzic.

A przeciez to kompletna nieprawda! Marzec 1968 – to byl pierwszy spontaniczny zryw przeciwko peerelowskiej wladzy, bedacy dzielem pokolenia, mowiac Mickiewiczem, "okutego w powiciu", czyli urodzonego juz w tym sowieckim protektoracie i od malenkosci poddanego indoktrynacji. Oczywiscie ci, ktorzy odegrali role zapalnika tego zrywu, maja prawo do dumy, ale przeciez oni sami nie zdawali sobie wtedy sprawy ani nie

spodziewali sie, ze ich salonowe spory z glownym nurtem pezetpeerowskiej dogmatyki doprowadza do takiego wybuchu. W strajkach, w ulicznych manifestacjach w calej Polsce braly udzial dziesiatki tysiecy osob; wbrew legendzie nie tylko ani nie glownie studentow. Tych, wedle historykow, bylo wsrod uczestnikow okolo jednej czwartej. Do nierownej walki staneli licznie mlodzi robotnicy, uczniowie. Byli bici, wsadzani na lata do ciezkich wiezien, bardzo wielu zaplacilo zdrowiem, zlamanym zyciem, zakazem pracy, bieda. A oto w rocznicowej kampanii okazalo sie nagle, ze to wszystko bylo niewazne. "Bez watpienia glownymi ofiarami Marca byli zmuszani do emigracji obywatele narodowosci lub pochodzenia zydowskiego", stwierdzil publicysta "Polityki", wedle obowiazujacej wykladni. To nieprawda. Byli oczywiscie ofiarami, ale powiedzmy sobie szczerze: wyjechac do Nowego Jorku czy nawet Jerozolimy i miec otwarta droge kariery w wolnym kraju, nawet jesli trzeba bylo te kariere zaczynac zupelnie od zera, od noszenia skrzynek – to jednak byl los mniej ciezki niz poltora roku w Strzelcach Opolskich, a potem dlugo jeszcze wilczy bilet w zawodzie i szlaban na porzadna prace. Do tego stopnia, ze wielu Polakow uwazalo wowczas tych wyjezdzajacych – mimo calego szczucia, jakiego padli ofiara – za farciarzy.

"Przez Polske przetaczala sie fala nienawisci do Zydow" – oznajmil inny medrek z tej samej parafii. Znowu nieprawda. Ta fala przetaczala sie nie przez Polske, tylko przez komitety partyjne i organa propagandowe. Gensek kazal – i jego funkcjonariusze zaczeli pluc na "syjonistow" ile wlezie. A potem gensek kazal przestac, i z dnia na dzien zamilkli, przez cale lata nie ukazal sie w peerelu ani jeden antysemicki kawalek. Rownie madrze byloby mowic, ze w latach czterdziestych przetaczaly sie przez Polske fale nienawisci do AK-owcow, do ksiezy, kulakow, amerykanskich imperialistow etc. Bzdura! Po trzykroc bzdura! To byl partyjny cyrk, za ktory Polacy odpowiadaja w tym samym stopniu, co za Franza Kutschere. Ze znajdowali sie tacy, co zacierali rece, kiedy wladza brala sie za "zydkow"? A nawet im pomagali i czerpali z tego profity? Pewnie, ze sie znajdowali. Gdzie niby takich nie ma? Ale kto zada sobie trud zapoznania sie z opublikowanymi przez historykow analizami nastrojow i raportami bezpieki z tamtego czasu, zobaczy, jak alarmuje ona przelozonych, ze narod, choc nie bylo to bezpieczne, wznosi toasty za zydowskie triumfy nad Arabami, bo wszyscy przeciez wiedzieli, ze per procura Izrael loi w ich osobach Ruskich. Poprosza Panstwo dziadka, to moze jeszcze zaspiewa jaka owczesna piosenke o Dajanie.

Wiec – po to tylko ta dygresja – wypraszam sobie, zeby mi ktos sie dzisiaj kazal wstydzic za Gomulke. Niech sie za niego wstydzi ten, kto sie brata z jego slugusem Jaruzelskim, jeszcze przed Marcem wiernie czyszczacym z "elementow syjonistycznych" tak zwane ludowe wojsko.

***

No i tak wrocilismy do Gomulki – czyli do kolejnego punktu w elementarzu wroga "kaczyzmu". Jaroslaw Kaczynski przypomina Gomulke, bo tez nie lubi inteligentow, a nie lubi inteligentow, poniewaz odczuwa wobec nich "kompleksy", tak wlasnie, jak to "kompleksy" odczuwac mial byly gensek… Nie chcialo mi sie juz z tymi bzdurami polemizowac, ale przypadkiem otworzyli mi sie w ktoryms momencie w reku Piekni dwudziestoletni Hlaski, akurat na fragmencie, w ktorym autor Petli rozprawial sie z tym stereotypem "zakompleksionego" Gomulki.

Gomulka, pisze Hlasko, nie mial wobec intelektualistow zadnego kompleksu. Gomulka po prostu pamietal, ze kiedy on, Gomulka, przywieziony tu zostal przez Sowietow na zarzadce – to wszyscy ci intelektualisci gieli sie przed nim w pas i pisali o nim ody. A kiedy potem zostal aresztowany i oskarzony o "odchylenie prawicowo-nacjonalistyczne", to ci sami intelektualisci pluli nan i pisali pelne pasji paszkwile. A kiedy potem znowu, po 1956, stanal na czele – to oni sie znowu gieli w pas i pisali ody. Mowiac krotko, twierdzi Hlasko, ze stosunek Gomulki do wszystkich tych medrkow wynikal nie z zadnych kompleksow, bo nie widzial on, czego by mial tym ludziom zazdroscic – ale z najglebszej pogardy, z przekonania, ze sa to zwykle sprzedajne szmaty.

Jesli Hlasko ma racje, to byc moze porownanie do Gomulki ma wiecej sensu, niz bylem sklonny sadzic. Salon, oczywiscie, nigdy na czesc Kaczynskiego od nie pisal. Ale zwazywszy na jego przedstawiony w jednym z poprzednich rozdzialow polityczny zyciorys, jego stosunek do tegoz Salonu na pewno nie wynika z zadnych kompleksow ani zazdrosci. Co do pogardy zas, to tu bym sie powaznie zastanowil.

***

Napisalem, ze pomiedzy kampania propagandowa przeciwko Olszewskiemu a ta o lat kilkanascie pozniejsza, przeciwko Kaczynskim, byly dwie istotne roznice. Czas teraz, na koniec, napisac o tej drugiej.

Otoz tym razem znaczacym elementem tej kampanii byl atak na czesc srodowiska dziennikarskiego. Zgodnie z korporacyjna logika, rzadzaca calym naszym zyciem publicznym – na tych, ktorzy sie wylamali z Orkiestry i nie chcieli sluchac jej dyrygentow. W latach dziewiecdziesiatych nie mialo to miejsca, bo po prostu nie istnialy media, ktore by sie powazyly wchodzic w istotny, dotyczacy spraw waznych spor z michnikowszczyzna. W roku 2005 rynek medialny rozwinal sie na tyle, ze sie juz takie znalazly.

I poza Kaczynskimi, PiS, Samoobrona i LPR celem propagandystow Orkiestry staly sie takze one. Nie byl to spor – bylo to opluwanie. Dziennikarz, ktory podziela przekonanie, iz demokracja w III RP ma charakter fasadowy, a wiele istotnych decyzji zapada gdzies na zapleczu, w sposob typowy dla urzadzen oligarchicznych, ktory uwaza umafijnienie polskiego zycia publicznego za realny problem, za to za wydumane uwazal zagrozenia dla demokracji wynikajace z "dzielenia ludzi" i "kwestionowania autorytetow" – taki dziennikarz obrzucany byl przez gwiazdorow Orkiestry obelgami i insynuacjami, ze sie "sprzedal" i ze sie "wysluguje rezimowi".

Zarzuty nie tylko chamskie, ale i glupie, zwazywszy, ze tacy ludzie jak Semka, Zaremba, Karnowski, Wildstein czy Sakiewicz, ze o sobie nie wspomne, glosili to, co glosza praktycznie od zawsze. Takze wtedy, gdy to uniemozliwialo nie tylko kariere, ale nawet prace za porzadne pieniadze i zamykalo w getcie niskonakladowych pisemek. Mozna chyba powiedziec, ze byla to jednak pewna proba charakteru, ktorej ludzie o gietkosci Lisa czy Ziomeckiego, na szczescie dla siebie, nigdy przechodzic nie musieli.

Z podobnym bezczelnym brakiem szacunku dla rzeczywistosci, jaki ujawnil sie – o czym pisalem – w czasach histerii antyklerykalnej, zaczeli sie na dodatek liderzy jedynie slusznej opinii kreowac na oblezonych, przesladowanych,

represjonowanych zgola. Najpierw bodaj Jacek Zakowski, a potem inni bzdurzyc zaczeli o calkowitym jakoby zawlaszczeniu mediow publicznych i prywatnych (!) przez PiS, o morzu "prorzadowej propagandy", ktorej niczym malutka wysepka opieraja sie jeszcze "jedyni sprawiedliwi". Bagatela – "Wyborcza", najbardziej wplywowy dziennik opinii, "Polityka", lider na rynku tygodnikow, RMF FM i "radio bzdet", oligopol na rynku radiowym (jakim szwindlem stworzony – pisalem w poprzednich ksiazkach), do tego jeszcze TVN24, Fakty TVN, wplywowy program publicystyczny Polsatu, no i na deser "Szklo kontaktowe", bo "fajnie tak z wieczora posmiac sie z Kaczora"… i utwierdzic sie w codziennym poczuciu wyzszosci nad moherowa ciemnota. Sympatie polskiej obrazowanszcziny przeciez sie nie zmieniaja, a jest ona wystarczajaco liczna, zeby zapewnic sukces mediom zaspokajajacym jej duchowe potrzeby, i pewnie dlugo jeszcze tak bedzie.

Glowny kierunek tego ataku poszedl na media panstwowe. Bylo to oczywiscie ulatwione faktem, iz PiS, wespol z koalicjantami, wzielo je z wieksza jeszcze bezceremonialnoscia niz ktorykolwiek z poprzednikow i ze doszlo tam do wielu nominacji kontrowersyjnych, a nawet paru takich, ktorych nie sposob nie nazwac kompromitujacymi. A jednak jesli PiS chcialo stworzyc z mediow panstwowych jakas prorzadowa "przeciwwage" dla Orkiestry, to mu sie to w najmniejszym stopniu nie udalo. Mysle, ze wlasnie dlatego, iz po stronie, ktora michnikowszczyzna nazywa szyderczo "rezimowa" czy pisowska, trudno znalezc dziennikarza z krwi i kosci, ktory bylby zainteresowany robieniem partyjnej propagandy czy "antyorkiestry". To kwestia tej proby charakteru, o ktorej pisalem przed chwila i ktora byly dla nas lata dziewiecdziesiate, lata calkowitej dominacji w mediach tego, co Michnik w prywatnych rozmowach nazywal z rozbrajajaca szczeroscia "moja sitwa" (bo zaprawde myli sie Michnik, twierdzac dzis, ze to dopiero stosunek do Kaczynskiego podzielil polska inteligencje na obroncow demokracji i na swinie; antykomunisci, zwolennicy lustracji i przeciwnicy salonu swiniami byli dla jego wyznawcow od zawsze).

Wildstein nigdy nie ukrywal swoich konserwatywnych i antykomunistycznych pogladow, ale nazywanie go "partyjnym prezesem TVP" jest po prostu nonsensem. Gdyby takim naprawde byl, nie zostalby z TVP przez Kaczynskiego usuniety – a prywatnie powiem, ze Wildstein w ogole nie jest do jakiejkolwiek partyjnosci fizycznie zdolny, z racji swego zakapiorskiego charakteru. Nie jest w tym zakapiorstwie wsrod

"prawicowych" dziennikarzy jedyny. Z drugiej strony, o czym kiedys juz pisalem, prezes Prawa i Sprawiedliwosci owych "prawicowych dziennikarzy" bynajmniej nigdy nie lubil i nie popieral, przeciwnie – w czasie gdy toczyl walke o zdominowanie prawicy, czyli przez wiekszosc lat dziewiecdziesiatych, byli oni dla niego wiekszymi wrogami niz Michnik czy Urban, bo co tamci pisali, na elektorat tradycjonalistyczny nie mialo wplywu – a wlasnie dziennikarze nazywani prawicowymi wplyw taki mieli i mogli go uzyc dla poparcia konkurentow PC czy potem PiS. Wbrew stereotypowi nie bylo tu wiec zadnej politycznosci, tylko wynikajaca z politycznej rachuby zasada – albo cie musze calkowicie podporzadkowac, albo zniszczyc.

Dlatego wlasnie, uzyskawszy wladze, a juz zwlaszcza po nieudanym eksperymencie z Wildsteinem (kiedy Kaczynski mianowal nieprzewidywalnego prezesa, zachowujac pakiet kontrolny, czyli "swoja" szefowa programu pierwszego, byc moze w nadziei, ze jesli tamten poczuje, ile szmalu daje "wyczucie politycznych realiow", to zrobi sie zgodniejszy), PiS musialo stawiac w panstwowych mediach albo na urzednikow, albo na ludzi bez niezbednego dziennikarskiego doswiadczenia. W efekcie media te bywaly w istocie stronnicze, ale w sposob tak glupi, ze az rozczulajacy.

Na czym bowiem polegal przechyl, dajmy na to, TVP na strone PiS? Na lamaniu ramowki po to, by puscic konferencje prasowa szefa CBA albo prokuratora Engelkinga, a w czasie wyborow, co ku dzikiej radosci Orkiestry wylapali obserwatorzy OBWE, na otwartym zachwalaniu rzadu w czasie kampanii wyborczej w programach informacyjnych. To nie jest specjalnie skuteczne w propagandzie politycznej – a czasem okazuje sie wrecz przeciwskuteczne. Wydaje sie oczywiste, ze jesli trzy miliony ludzi czeka na kolejny odcinek ulubionego serialu albo na mecz i nagle zamiast tego pokazuje im sie Kaczora gledzacego pol godziny na konwencji wyborczej PiS w Kaczych Dolach Gornych, to te trzy miliony bynajmniej nie nabieraja checi, by na Kaczora zaglosowac, raczej przeciwnie; wyskakuje im taka zyla, ze nawet jesli wczesniej gotowi byli na niego zaglosowac, to teraz juz na pewno nie. Na miejscu premiera kogos, kto do tego dopuscil, uznalbym za sabotazyste ze wszystkimi tego konsekwencjami. Ale politycy takich rzeczy nie pojmuja, przekonani, ze ktokolwiek poslucha ich wywodow, chocby pod przymusem, nawroci sie natychmiast – i takich wlasnie zachowan od swych nominatow w panstwowych mediach wymagaja.

Krotko po upadku Kaczynskich wielkie naglosnienie w mediach Orkiestry zdobyl facet, ktory poklociwszy sie z nominowana przez Kaczynskiego wiceszefowa telewizyjnego pionu informacyjnego, Patrycja Korecka, oglosil sensacje, iz ta namawiala go do przygotowywania stronniczych, godzacych w PO materialow i ze naklaniala do tego mlodych dziennikarzy, kuszac ich dodatkowymi pieniedzmi (taki byl wtedy nastroj – z rowna odwaga zaraz po upadku Ziobry grupa prokuratorow poskarzyla sie, ze zmuszano ich do politycznej dyspozycyjnosci; kilka miesiecy potem ledwie zauwazona przeszla wiadomosc, ze podczas wewnetrznego sledztwa osmiu sie z oskarzen wycofalo, a dziewiaty kompletnie zaplatal w zeznaniach). Nie bede tu twierdzic, ze Kotecka nadawala sie na swoje stanowisko ani ze zachowywala sie na nim bezstronnie, ale ta opowiesc, podchwycona w roznych miejscach, szczerze mnie ubawila. Jesli "Pati Koti" rzeczywiscie musiala swoich podwladnych "prosic" i obiecywac im pieniadze, to raczej miazdzacy dowod, iz PiS do samego konca nie mialo nad panstwowymi mediami zadnej wladzy i jedyne, co moglo, to zrzucic tam pewna liczbe swoich spadochroniarzy i stworzyc kilka programow. Bywalem z TVP na tyle blisko, by widziec, jak rzadzili nia Robert Kwiatkowski ze Slawomirem Zielinskim. Oni naprawde nikomu nie musieli mowic, jak ma wygladac antenowy material – nie zeby przyniosl podwyzke, ale zeby osoba nie wyleciala i nie zostala zastapiona bardziej domyslna. I kiedy potem w czasie dochodzen po Rywinie obaj twierdzili – ja przeciez nigdy nikomu nie wydawalem zadnych polecen! – mowili prawde. Oni nie musieli wydawac polecen. Na tym wlasnie polegalo upartyjnienie TVP w czasach Kwasniewskiego i Millera, zgodnie z zasada Lenina, ze w panstwie policyjnym policja stanie sie niepotrzebna.

Propaganda Orkiestry nie byla wiec rownowazona zadna anty-Orkiestra. Podam przyklad: krotko po przejeciu wladzy przez PO zastepca szefa CBA doznal wylewu. Fakt ten przemknal przez serwisy praktycznie niezauwazony. Owoz gdyby po stronie przeciwnej do Suboticow i Pieczynskich siedzial ktos o podobnych do nich zapatrywaniach na role mediow w walce o demokracje, to z tego wylewu zrobilby story porownywalna z wyrezyserowanym placzem poslanki Sawickiej i rownie jak ten placz skuteczna. Mlody czlowiek, ktory oddal zycie Polsce, ktory chcial walczyc z korupcja, poswiecil wszystko – i nie wytrzymal tej nagonki, jaka przeciwko niemu i jego instytucji rozpetano, nie wytrzymal opluwania. Zginal zaszczuty przez obroncow oligarchii bogaczy i ubekow. Naprawde, mozna by z tego zrobic

propagandowy kawalek porownywalny z najlepszymi dokonaniami Orkiestry (a podobnych przykladow podalbym, gdyby mi sie chcialo, mnostwo). Tak samo jak mozna by histerie oskarzen o spowodowanie smierci Barbary Blidy przykryc, przypominajac samobojstwo czlowieka wyrzuconego z wlasnego domu (pamietam taka sprawe) na mocy ustawy przywracajacej eksmisje za nieplacenie czynszu, ustawy, ktora jako minister promowala – slusznie zreszta – wlasnie Blida. Jak mozna by wypominac prezesowi Zwiazku Nauczycielstwa Polskiego dziewieciotysieczna pensje oraz sluzbowy samochod wtedy, gdy wiodl swoj zwiazek do walki z Giertychem (Orkiestra zrobila to dopiero pod koniec 2007, gdy ZNP zaczelo bruzdzic Tuskowi) – i w ogole jak mozna by na kazda propagandowa manipulacje Orkiestry znajdowac kontrmanipulacje.

Tylko ze od czasu kiedy Jacek Kurski wybral polityke, nie ma w srodowisku dziennikarskim nikogo, kto bylby tym zainteresowany. Wszyscy manipulatorzy znalezli sie po stronie michnikowszczyzny.

Prawdziwy podzial wygladal inaczej: z jednej strony byli ludzie zaangazowani z roznych wzgledow, niekiedy niskich, niekiedy ideowych, niekiedy zas ze zwyklego owczego pedu, w propagande przeciwko wladzy – z drugiej zas starajacy sie zachowac pewien dystans i wobec partii rzadzacych, i opozycyjnych, trzymac sie swych przekonan, ale odmawiajacy spiewania w chorze. Nie wierzycie Panstwo? Prosze, poczytajcie, co na biezaco pisali dziennikarze zwani obelzywie "rezimowymi" o kolejnych posunieciach Kaczynskiego. Trudno znalezc tam cien tego lizusowskiego zachwytu, jaki w chwili gdy pisze te slowa, wzbudza kazda wypowiedz Tuska.

Co moze najzabawniejsze, to ze na lidera polowania na "dziennikarzy rezimowych" wykreowal sie zrecznie Tomasz Lis. Byla to ciekawa przemiana, bo wczesniej budowal on swa popularnosc raczej na gloszeniu tez na tyle ogladzonych i banalnych, ze mogl sie pod nimi podpisac prawie kazdy. Teraz nagle stal sie czolowym "demaskatorem", rozdajac na prawo i lewo ciosy, oskarzajac o "sprzedajnosc" nawet takich ludzi jak Krzysztof Gottesman (ktory ryzykowal praca w podziemnej prasie w czasach, kiedy Lis przyslowiowa koszule w zebach nosil) i z wdziekiem damskiego boksera wykpiwajac w Tok FM sposob mowienia Joanny Lichockiej.

Sadzilem, ze Lisowi zamarzylo sie odziedziczyc schede po

Michniku i jego nagla przemiana w dziennikarskiego inkwizytora sluzyc miala pozyskaniu srodowiska, ktore o tym dziedzictwie bedzie decydowac. Czy takiego marzenia nie bylo, nie wiem, ale ostatecznie wypadki potoczyly sie jeszcze smieszniej. Najpierw Lis wykreowal sie na jednego z najbardziej bezkompromisowych obroncow "dziennikarskiej niezaleznosci" przed Kaczynskim; potem na ofiare przesladowan Kaczynskiego, sugerujac, iz odebranie mu przez szefa Polsatu kierowania programem informacyjnym tej stacji wynikalo wlasnie z "naciskow" rzadu (jak dla mnie, wersja podana przez Solorza, o racjonalizacji kosztow, byla bardziej przekonujaca – tylko idiota, a idiota pan Solorz-Zak-Podgorski-itd. na pewno nie jest, skoro juz trzymal wsciekle antypisowskiego Lisa na antenie przez caly czas, kiedy PiS bylo potezne, usunalby go nagle akurat wtedy, gdy pozycja Kaczynskiego wlasnie zaczela sie chwiac?); na konto tych przesladowan Lis nawet zahaczyl nagrode "dziennikarza roku" od bez reszty michnikoidalnego pisma branzowego "Press". W ten sposob wysoko podbil cene, za ktora ostatecznie nabyl go, aby sie uwiarygodnic, mianowany przez Kaczynskiego szefem TVP po Wildsteinie Andrzej Urbanski. Jesli wierzyc "Dziennikowi" – do stu szescdziesieciu tysiecy zlotych miesiecznie. Zarowno Urbanski, jak i Lis sumie tej zaprzeczyli, ale poniewaz nie podjeli prob zmuszenia "Dziennika" do sprostowania falszywej informacji na drodze prawnej i poniewaz wszyscy w srodowisku wiedza, od kogo ta informacja wyciekla, to ja jednak wierze. Sto szescdziesiat tysiecy, nie liczac oczywiscie wynagrodzenia dla zony Lisa, ktorej gwiazdorski kontrakt z TVP byl, jak sie zdaje, w pakiecie.

Szczerze podziwiam. Mowia, ze Tomasz Lis ma zamiar przejsc z dziennikarstwa do polityki. Moim zdaniem, ma ku temu niezbedne predyspozycje.

****

No dobrze, mowicie Panstwo – wystarczy juz, rozumiemy, ze chcesz, Autorze, wesprzec tu twierdzenia Jaroslawa Kaczynskiego, ze przegral wybory dlatego, iz mial przeciwko sobie media?

Alez skad. Nic podobnego nie powiedzialem. Przegral wybory z

innej zupelnie przyczyny, a to wszystko, o czym tu pisalem, niewiele mu zaszkodzilo. Nawet przez dlugi czas pomagalo. Najbardziej uprzedzony do Kaczynskich czytelnik przyzna przeciez, ze kiedy sie widzi, jak stronniczo i nieuczciwie byl premier przez media faulowany, to raczej budzi to odruch solidarnosci i sympatii wobec niego.

Tego rodzaju propaganda, jaka mial przeciwko sobie Kaczynski, malo kogo, jak sadze, byla w stanie przekonac do zmiany politycznych sympatii. Dzialala przede wszystkim na tych, ktorzy i tak juz byli przeciwko PiS. Sprawiala, ze zwykla chec glosowania przeciw rzadzacej partii zamieniala sie w pelna pasji namietnosc, w nienawisc do niej. W roznym oczywiscie stopniu, zaleznie od podatnosci na media. Przecietny czlowiek, ktory kupuje "Wyborcza" dla ktoregos z jej dodatkow i programu kin, zerkal na tytuly, dowiadywal sie z nich, ze Kaczynski-jest-straszny, a w takiej koalicji jeszcze-straszniejszy, i albo sie z tym beznamietnie zgadzal, albo wzruszal ramionami.

Ale ideowy "wyksztalciuch", zaczynajacy dzien od swej ulubionej gazety niczym od zerkniecia na duchowy kompas i od poranka w radiu Tok FM, a potem wlaczajacy calodobowa telewizje informacyjna i szczerze to wszystko przezywajacy – mial pelne prawo po prostu zglupiec. Codziennie dowiadywal sie w ten sposob, ze dzieje sie cos strasznego. Ze nas kompromituja. Ze kraj zalewa nienawisc, faszyzm. Ze straszne CBA wrabia niewinnych ludzi w korupcje, podsluchuje i aresztuje o piatej nad ranem. Ze caly swiat sie z nas smieje, ze za chwile zostaniemy karnie wyrzuceni z Unii Europejskiej, ze wszyscy ludzie "na pewnym poziomie" protestuja… Kto uwaza, ze koloryzuje, niech po prostu idzie sobie do biblioteki i tak dzien po dniu przejrzy czolowki gazet. Codziennie cos nowego, fakt, ze po kilku dniach kazda sprawa znika, ale na jej miejsce wchodzi kilka nowych.

Jesli ktos sie tym przejmuje, jesli nie ma dla wirtualnego swiata mediow jakiejs przeciwwagi w rzeczywistosci, to z czasem musi popasc w stan histerii – zapominac o elementarnych zasadach, zrywac znajomosci ze starymi przyjaciolmi, bluzgajac im od "pisowskich szmat", i tak dalej. Poniewaz do grona osob zanurzonych calkowicie w medialnym matriksie naleza przede wszystkim sami dziennikarze, wiec to oni szczegolnie nakrecali sie wlasna propaganda i zyli coraz bardziej w poczuciu, ze cos strasznego sie dzieje, cos potwornego, co – dokladnie trudno by tak znienacka powiedziec, bo kazdego dnia nowe straszliwe doniesienia wypieraly z pamieci poprzednie, ale w kazdym razie

warto zrobic absolutnie wszystko, byle tylko sie temu przeciwstawic.

A do tego jeszcze kazdego dnia poglebiala frustracje swiadomosc, ze sondazowe notowania PiS mimo wszystkich ich staran ani w zab nie chca spasc, ze opozycja polityczna nie jest w stanie Kaczynskiemu zagrozic, ze LiD nie ma zadnego pomyslu na powrot do popularnosci, a PO "to wlasciwie to samo co PiS" i na dodatek nieudacznicy, ktorzy zamiast bronic zagrozonej demokracji, pomagaja Kaczorowi rozwiazac WSI i powolac CBA.

Te targajace dziennikarzami, intelektualistami i zasluchana w ich slowa obrazowanszczina histeryczne konwulsje prosta droga prowadzily do chamskich porykow o calowaniu w dupe "skonczonego balwana Kaczynskiego", do bluzgania na wlasny kraj w zagranicznych gazetach i do stwierdzenia profesora Bartoszewskiego, ze zwolennicy "politycznych dewiantow" Kaczynskich to po prostu "bydlo". Zaroilo sie w ostatnich latach od kieszonkowych Trazeaszy, zrywajacych demonstracyjnie znajomosci, trzaskajacych drzwiami, odmawiajacych podania reki albo wystepu w tym samym programie telewizyjnym i upajajacych sie przy tym swoja "niezgoda, odmowa i uporem". Blazenada ta, w jaka dalo sie wciagnac, niestety, takze pare osob majacych wielkie i niekwestionowane zaslugi, nie bylaby moze warta szczegolnej uwagi, gdyby nie jeden jej aspekt – atak na nagrody majace upamietniac warte takiego upamietnienia osoby. Broniac swego monopolu na tworzenie intelektualnych hierarchii, Salon nie wahal sie rozpetywac szeptanych kampanii majacych zmusic uczestnikow takich przedsiewziec do demonstracyjnych dymisji – pod kara zaliczenia do "bydla" vel "swin". Zniszczono nagrode Kisiela, bo Salonowi przestal sie podobac tygodnik "Wprost" (faktu, ze to wlasnie Kisiel osobiscie, swiadomie wybral na swoja trybune wlasnie to pismo, opuszczajac "Tygodnik Powszechny" i trzaskajac przy tym drzwiami, samozwanczy obroncy jego czci nie wzieli pod uwage – wiedzieli wszak lepiej, co Kisiel powinien byl zrobic, gdyby zyl). Z podobnej przyczyny – z uwagi na patronat nieulegajacej obsesjom Salonu "Rzeczpospolitej" – zajadly wrog "politycznych dewiantow" usilowal sklonic do dymisji czlonkow kapituly nagrody imienia Jerzego Giedroycia, a gdy ci wykazali sie niezwykla asertywnoscia, namawial do odrzucenia tejze nagrody laureata. Andrzej Wajda zas odmowil przyjecia nagrody przyznawanej przez "Tygodnik Powszechny", albowiem tenze "Tygodnik" – scislej, jego nowy wlasciciel – zatrudnil Elzbiete Isakiewicz, niegdys wicenaczelna "Gazety Polskiej". Z tej samej przyczyny rzucilo dymisjami grono

zwiazanych z pismem czcigodnych gerontow – co szczegolnie charakterystyczne, domagajac sie od Isakiewicz, aby "w jakis sposob" odciela sie od swej przeszlosci i przeprosila za nia. Szkoda wielka, ze Autorytety nie zechcialy nazwac tego "jakiegos sposobu" po imieniu – zlozeniem samokrytyki. Bo przynajmniej mielibysmy wszyscy jasny znak, gdzie ksztaltowalo sie ich pojecie o debacie publicznej, tolerancji i otwartosci.

To wszystko oczywiscie bylo zalosne, ale dla wyniku wyborow nieistotne. Obrazowanszczina i tak by glosowala przeciwko PiS, a poza nia wplyw Orkiestry nie byl juz tak przemozny.

Co nie znaczy, ze "betonowa", czy tez, jak to okresla Ludwik Dorn (i on mial swa chwile sympatii ze strony moralistow towarzyszacych – gdy zlozyl dymisje z funkcji szefa MSWiA, nagle sie okazalo, jaki to swietny polityk, fachowy minister i sympatyczny facet) – "mlotkowa" opozycja mediow warszawki i krakowka nie dala zadnych efektow. Owszem, dala, i dlatego trzeba bylo poswiecic jej ten rozdzial.

Po pierwsze – wywarla istotny wplyw na Donalda Tuska, sklaniajac go do ostatecznego podjecia decyzji o diametralnej zmianie strategii, z wystepowania w roli lepszego od Kaczynskiego budowniczego IV RP na rzecz przyjecia roli skuteczniejszego od Kwasniewskiego jej burzyciela. A to zadecydowalo w roku 2007 o dalszym biegu wypadkow w naszym kraju.

Po drugie – totalnie i, jak sadze, na dlugie lata zdeprawowala debate publiczna. Nasycila ja chamstwem, mentalnoscia "jak Kali komu zabrac krowy", przyzwoleniem na absolutnie wszystko, jesli tylko ma to posluzyc "naszej" sprawie. Zepsuto jeszcze bardziej jezyk mediow, zniszczono ich etos i zaufanie do dziennikarzy, ktorzy w wielkiej czesci przestali nawet udawac bezstronnosc i zaangazowali sie, nierzadko histerycznie, w polityczna kampanie.

Po trzecie, albo moze po drugie i pol – w pewnym sensie zdeprawowala takze Kaczynskiego i jego rzady. Po prezesie PiS krytyka zawsze splywala jak woda po… powiem: po naoliwionych kaloszach, zeby nie wyszlo na prymitywna aluzje do nazwiska. Ale ten zmasowany atak, ktorego byl celem, uodpornil go calkowicie na jakiekolwiek argumenty. Ktokolwiek, chocby w szczegolach, kwestionowal jego zdanie, tym samym zaliczal sie do – jak to oznajmil po wyborczej przegranej – szerokiego frontu

przeciwnikow IV Rzeczpospolitej, od mordercy ksiedza Popieluszki Grzegorza Piotrowskiego po Adama Michnika.

Czwarta Rzeczpospolita, trzecie przewerbowanie, druga klapa

Czytam: "Rzad PiS zostal obalony, bo naruszyl zbyt wiele poteznych interesow". Co to za gadanie? Alpinista odpadl od sciany, bo byla za stroma. Kierowca wpadl do rowu, bo zakret byl za ostry. Lyzwiarka figurowa klapnela na tylek, bo lod byl za sliski, a biznesmen wtopil kase, bo transakcja, w ktora sie wdal, przerosla jego mozliwosci umyslowe. Pewnie, mozna sie tak pocieszac, czarowac, krygowac – to nawet jest dobrze przyjmowane w kraju, gdzie ludzie lubuja sie w celebrowaniu klesk i gdzie media poswiecily piec razy wiecej miejsca temu, ze Andrzej Wajda nie dostal Oskara, niz temu, ze dostal go lodzki "Semafor". Ale to naprawde nie jest powazne.

PiS przegralo, bo po prostu spieprzylo sprawe. Po kompletnej klesce poniesionej w latach dziewiecdziesiatych dostali Lech i Jaroslaw Kaczynscy druga szanse nie dlatego, ze tak sie wylosowalo, a dlatego, ze miliony Polakow zobaczyly w nich ludzi zdolnych spelnic ich oczekiwania. A Kaczynscy tych oczekiwan, generalnie, nie spelnili. Gdyby spelnili albo gdyby przynajmniej potrafili nieco wieksza grupe wyborcow przekonac, ze sa na dobrej drodze do ich spelnienia, rzadziliby dalej, ku jeszcze wiekszej frustracji inteligenckich i pseudointeligenckich salonow.

PiS przegralo, poniewaz dwa lata jego rzadow byly ciagla obietnica bez spelnienia. Najpierw zamiast obiecywanej koalicji PO-PiS otrzymali Polacy rzad mniejszosciowy Kazimierza Marcinkiewicza; prawde mowiac, byl to prezent, ktory niechcacy sprawil im na odchodne Aleksander Kwasniewski, rozdzielajac bez jakiejkolwiek przyczyny merytorycznej wybory parlamentarne od prezydenckich. Orkiestra nie osmielila sie go zreszta za to skrytykowac (jeszcze jeden z niezliczonych przykladow jej "kalizmu"), choc oznaczalo to wydatkowanie kilkudziesieciu milionow publicznych zlotych wylacznie na poprawe politycznej sytuacji SLD. Kombinacja byla przejrzysta – po wyborach, gdy okaze sie, ze rzad przejmuje prawica, kandydat postkomunistow i sprzymierzone z nim media beda miec dwa tygodnie na przekonanie Polakow, ze nie jest dobrze, gdy wszystkie urzedy w panstwie sprawuja politycy "z tej samej opcji", ze musi byc zachowana rownowaga i tak dalej. Oczywiscie, podejmujac te decyzje, Kwasniewski nie wiedzial, ze kandydata postkomunistow

w ogole w tych wyborach nie bedzie, bo speka… Nie, nie, bynajmniej nie z powodu oskarzen Anny Jaruckiej – znowu dotknelismy pewnego medialnego zafalszowania. Wlodzimierz Cimoszewicz wycofal sie, bo nie potrafil sie wytlumaczyc z transakcji gieldowych zawieranych przez bliskie mu osoby w sposob nasuwajacy podejrzenia, ze jako premier dzielil sie z nimi nielegalnie swa wiedza przekladajaca sie na znaczace ruchy cen akcji. W kazdym razie rozdzielenie to po zwyciestwie PiS dzialalo przeciwko Lechowi Kaczynskiemu; dlatego wlasnie Jaroslaw musial obiecac, ze nigdy nie bedzie premierem, i wystawic polityka z tylnego szeregu. Ktory nieoczekiwanie okazal sie wyborcom niezwykle podobac. Przy innym liderze wzmocniloby to jego pozycje, bo stalby sie dla partii cenny, ale dla Kaczynskiego stal sie w ten sposob zagrozeniem i musial za to zaplacic.

Potem byl "pakt stabilizacyjny", czyli cos jakby koalicja, ale jednak nie koalicja, tylko zobowiazanie Samoobrony i LPR, ze beda rzad Kaczynskiego popierac. Az w koncu powstala koalicja i rzad pod osobistym przewodnictwem Jaroslawa Kaczynskiego. I to byl pewien punkt dojscia – Kaczynski zostal premierem rzadu majacego wiekszosc w obu izbach parlamentu, prezydentem byl jego brat. Mial wladze, jakiej nie skupil w swym reku zaden polityk przed nim, poza zmiana konstytucji mogl wszystko. Kiedy polityk ma tak wielka wladze, a ludzie, ktorzy mu ja powierzyli, wciaz nie czuja sie usatysfakcjonowani, coraz trudniej wytlumaczyc im, dlaczego nie udalo sie jeszcze spelnic obietnic, i utrzymac ich w wierze, ze juz niebawem zostanie to zrobione.

Sporo tu juz pisalem o koalicji z Samoobrona i LPR; koalicji, przed ktora Kaczynski sie bronil, ale na ktora byl skazany. Sondaze pokazywaly, ze twardy elektorat PiS, ten, dla ktorego Kaczynski pozostawal ostatnia nadzieja na lustracje i oczyszczenie panstwa, rozumial te koniecznosc i dosc dlugo byl dla Kaczynskiego wyrozumialy. Ale fakty sa faktami – tak jak rozbrat z PO byl koncem marzen o IV RP, bo nie powstala jedyna mozliwa w tym sejmie koalicja mogaca zmienic konstytucje, tak zwiazek z Samoobrona oznaczal koniec "moralnej rewolucji". Nikt, kto blizej zetknal sie z Lepperem i jego ludzmi, nie mogl miec watpliwosci, ze lider Samoobrony jest osobnikiem calkowicie amoralnym, gotowym na wszystko, aby dorwac sie do zaszczytow, pieniedzy i wladzy – i ze partia, ktora zbudowal, z jego wyboru opiera sie na ludziach takich samych jak on. W momencie gdy partia ta wchodzila do wladzy, nie ulegalo watpliwosci, ze musi sie zaczac dojenie panstwa, rozdawanie

synekur kolesiom, plaga kompletnie na niczym sie nieznajacych krewnych i znajomych na kierowniczych stanowiskach, slowem, wszystko to, co obrzydzilo wyborcom III Rzeczpospolita, tylko w jeszcze gorszym wydaniu, bo postkomunisci przynajmniej radzili sobie jako tako z nozem i widelcem. No i mogli do pewnego momentu liczyc na taryfe ulgowa w mediach, podczas gdy kazdy przewal lepperowcow byl natychmiast ujawniany i szedl oczywiscie na konto Kaczynskiego.

Kaczynski to wiedzial, i nawet nie za bardzo ukrywal, ze Lepperem szczerze gardzi. Zartowalem sobie wtedy, ze Kaczor wprawdzie zrobil przewodniczacego Samoobrony wicepremierem, ale dla ograniczenia obciachu zakazal mu wchodzenia do URM glownym wejsciem. Lepper zreszta byl bez watpienia wystarczajaco cwany, by wiedziec, ze przy pierwszej okazji koalicjant spusci go bez cienia litosci. Ale nie bal sie – latwosc, z jaka mobilizowal swymi okrzykami te kilkanascie procent najbardziej roszczeniowego elektoratu, zapewne wprawila go w przekonanie, ze wie, jak z ludzmi rozmawiac, i zawsze sobie poradzi.

Jakie mial Kaczynski plany co do koalicjantow? Giertycha zapewne widzial w przyszlosci gdzies przy PiS, moze jako lidera jakiejs endeckiej frakcji. Wprawdzie Kaczynscy endecji nie lubia rownie jak michnikowszczyzna (tyle ze nie maja na jej punkcie obsesji), ale dopoki istnieje pewien elektorat dla niej, dopoty gotowi sa takiej frakcji patronowac. Zwlaszcza ze Giertych raczej nie probowal opowiadac Kaczynskiemu jakichs "bajek endeckich", ktore tamten by wysmial – znajac go, mowil konkretnie i w sposob do prezesa PiS przemawiajacy. Poza tym Kaczynski musial uznac, ze Giertych innego wyboru nie ma (bo faktycznie, nie mial). Ojciec Rydzyk bedzie trzymal z tym, kto moze mu zalatwic port w Toruniu, geotermie czy eurodotacje dla szkoly, czyli wlasnie z Kaczynskim – a bez wsparcia Radia Maryja, malo, bedac przez nie atakowana, LPR nie miala najmniejszych szans na samodzielne przekroczenie progu wyborczego; jedynym atutem Giertycha byla zbudowana przez niego struktura oparta na Wszechpolakach, ale to atut frakcyjny wlasnie, a nie wyborczy.

Ciekawe, ze mimo to Giertych, majacy wsrod dziennikarzy urobiona opinie cynika, w koncu popelnil oczywiste samobojstwo – zamiast przyjac oferte Kaczynskiego i w zamian za oferowane mu okruchy z panskiego stolu siedziec cicho, opowiedzial sie w "aferze gruntowej" po stronie Leppera (ktory, jak bylo do przewidzenia, stwierdziwszy, ze LiS, wspolna formacja Ligi i

Samoobrony, nic mu nie daje, szybko Giertycha wystawil do wiatru), a potem zabrnal w slepy zaulek, usilujac wykreowac Janusza Kaczmarka, ktorego wiarygodnosc zostala wlasnie ostatecznie pograzona, na premiera i, co jeszcze smieszniejsze, na jakiegos wielkiego a przesladowanego obronce Polski. Ktokolwiek ogladal, jak w zbudowanym na trawniku po pielegniarkach kolejnym miasteczku namiotowym wraz z Filipkiem wreczal Kaczmarkowi bukiet bialo-czerwonych roz, po czym wszyscy razem odspiewali hymn, ten juz nigdy i w zadnych okolicznosciach nie uzna bylego szefa LPR za czlowieka powaznego.

Dlaczego poszedl w taka glupawke polityk jeszcze mlody, ktory wczesniej wykazal sie duza sprawnoscia w manewrowaniu i wykanczaniu konkurentow (by przypomniec, jak zostal jedynym niekwestionowanym przywodca Ligi Polskich Rodzin, ktorym nikt go nigdy nie wybieral, i gdzie formalnie przewodniczacym byl malo komu znany Marek Kotlinowski, a pozycja Giertycha teoretycznie nie roznila sie od pozycji Macierewicza, Janowskiego czy Wrzodaka) – zamiast pogodzic sie z Kaczynskim i przeczekac? Widze tylko jedno wyjasnienie: uznal, ze z Kaczynskim nie da sie znalezc zadnego modus vivendi. Ze jesli ostatecznie nie zdolal z nim wytrwac nawet Ludwik Dorn, to tym bardziej nie uda sie to nikomu innemu.

Biorac na poklad Leppera, Kaczynski nie mogl nie wiedziec, iz w ten sposob spektakularnie traci cnote, kompromituje haslo "moralnej rewolucji" i jasno daje milionom ludzi sygnal: polityczna skutecznosc jest wazniejsza od moralnosci. Ze po prostu zadaje ludzkiemu poczuciu przyzwoitosci taki sam cios, jak Michnik przyznajacy tytul "czlowieka honoru" osobnikowi odpowiedzialnemu za wszystkie zbrodnie peerelowskiej bezpieki lat osiemdziesiatych.

Na co liczyl, poswiecajac swoj wizerunek Ostatniego Sprawiedliwego? Oczywiscie i tu, i wczesniej, i pozniej w tym rozdziale skazany jestem na domniemania, ale mamy chyba wystarczajaco wiele materialu, aby moc sobie na nie pozwalac. Po pierwsze zakladal, ze sobie z "przystawkami", jak szybko zaczeto nazywac LPR i Samoobrone, poradzi. W gruncie rzeczy zawarl z nimi koalicje tak, aby jej w miare mozliwosci nie bylo. Koalicyjne ustalenia, listy jakichs priorytetowych wspolnych projektow ustaw, ktore, jak sie potem okazalo, nie istnialy nawet w zarysie, byly tylko zwyklym picem. Liczyl sie podzial stanowisk, a te podzielil Kaczynski tak, aby Lepper i Giertych nie dostali

niczego waznego. Szef Prawa i Sprawiedliwosci wyznaczyl im obszary, na ktorych mogli czerpac profity z posiadanej czastki wladzy – lecz o wpuszczeniu ich do MON, MSW czy prokuratur mowy nie bylo i byc nie moglo. A gdzie nawet mowa byla, tam PiS gralo na czas, odwlekalo uzgodnione mianowania, gdy zas juz mianowalo, to nagle okazywalo sie, ze cichcem zmienilo wewnetrzne regulaminy czy przepisy resortowe i owo stanowisko, podarowane koalicjantom, stalo sie czysto symboliczne albo w kazdym razie "wyjeto" spod niego istotne kompetencje i przekazano urzednikom mianowanym przez PiS. Powodowalo to oczywiscie straszny zamet w dotknietej takimi rozgrywkami instytucji, zwlaszcza w bedacej i bez tego istna stajnia Augiasza TVP, ale Kaczynski, czy raczej pod jego kierunkiem zaufani wspolpracownicy grali sobie z Giertychem i Lepperem w taka ciuciubabke zapamietale, doprowadzajac ich oczywiscie stopniowo do szalu.

Kaczynski nie dopuszczal podzielenia sie z Samoobrona i LPR rzeczywista wladza; co najwyzej jej "konfiturami". Jesli nie wierzyl w uczciwe intencje Tuska, to tym bardziej nie mogl uwierzyc w elementarna uczciwosc i zdolnosc do ponoszenia odpowiedzialnosci za panstwo facetow, z ktorych jeden w oczywisty sposob wykreowany zostal przez sluzby (i Kaczynski pewnie nie przyjalby zakladu na pieniadze, czy tylko przez krajowe), a drugi wielokrotnie demonstrowal neoendecka "priwislanskosc" i uleglosc wobec bratniego "slowianskiego imperium" ze stolica w Moskwie.

Koalicja PiS-Samoobrona-LPR nie byla wiec zwiazkiem opartym ani na rownosci, ani na zaufaniu i liderzy mniejszych partii, jesli nawet z poczatku liczyli, iz stana sie pelnoprawnymi czlonkami tego ukladu, musieli w koncu stracic w to wiare. Nie mogl zatem ten twor istniec dlugo. Ale tez Kaczynski wcale nie zakladal, ze bedzie go dlugo potrzebowal. Zakladal, zreszta trafnie, ze Lepper u wladzy zacznie szybko tracic w oczach swojego elektoratu wiarygodnosc. Mozna wrecz odniesc wrazenie, ze celowo pozwalal wyniesionemu wysoko ponad swe umyslowe zdolnosci wiejskiemu cwaniakowi na upajanie sie bizantyjskim trybem zycia, otaczanie gdanskimi meblami i palmami, podrozowanie w konwoju szesciu wielkich czarnych limuzyn i obnoszenie ubran, za cene kazdego z ktorych cale Bartoszyce utrzymalyby sie przez miesiac; jesli nie popychal go do tego, to na pewno sie cieszyl. Zakladal tez, ze LPR bez poparcia ojca Rydzyka skazane jest na uwiad, cokolwiek zrobi. Slowem, gral na czas, wiedzac, ze tak czy owak, Leppera i Giertycha skasuje, albo w nastepnych wyborach,

przejmujac ich elektorat, albo nawet jeszcze wczesniej, wyciagajac z koalicyjnych klubow poslow obietnica przyjecia na swoje listy, a wiec umozliwienia reelekcji.

Liczyl tez chyba, jak juz napisalem, na rozlam w wyposzczonej odsunieciem od wladzy PO; nie musialby byc duzy, wystarczyloby kilkanascie osob, wtedy mozna by zagrac z PSL, niemajacym w pojedynke dosc ludzi do stworzenia rzadowej wiekszosci. To tez wymagalo zyskania na czasie.

No i przede wszystkim – sadze, ze Jaroslaw Kaczynski przekonany byl bardzo mocno, iz kazdy miesiac przybliza go do jakiegos przekonujacego, jednoznacznego rozbicia Ukladu, do wydarzenia, ktore wszem wobec pokaze, iz – znowu – wszyscy sie mylili, a on jeden mial racje, i tym samym, niejako wstecz, wszystkie jego posuniecia zyskaja usprawiedliwienie i legitymizacje. Nawet o tych najbardziej watpliwych bedzie mogl powiedziec: tak trzeba bylo, zeby koniec koncow Polske uratowac.

Jesli pamietaja Panstwo konferencje prasowa, na ktorej prokurator Engelking prezentowal uporzadkowane logicznie podsluchy z rozmow Kaczmarka, Kornatowskiego, Netzla i tajemniczego "znajomego od srub w samochodzie, odkreconych" – to tak mniej wiecej wyobrazac sobie musial te upragniona chwile Kaczynski. Tylko ze w rolach glownych obsadzal nie jakichs tam neptkow, jakas ferajne na poziomie umyslowym prowincjonalnych gangsterow, a juz zwlaszcza taka, ktora sam dopuscil do krecenia lodow – ale ludzi z samej czolowki postkomunizmu, a byc moze rowniez udecji i dawnego Belwederu. Ten Uklad, ktory mial zostac rozbity, to mial byc Uklad, ktoremu rozkazy wydaje nie "Gruby Rychu", ale ktos w rodzaju Kwasniewskiego czy Millera, minimum Ungier z Wachowskim.

Z roznych przeslanek czerpie pewnosc, ze Kaczynski istnienia takich powiazan byl pewien i odkrycie ich uwazal za pewne, za po prostu kwestie czasu. I dlatego staral sie ten czas zyskac, placac koalicja z ludzmi, ktorych absolutnie nie traktowal jako powaznych partnerow (ale tez nie litujmy sie nad nimi za bardzo: kazdy traktowany jest tak, jak na to pozwala – dla Leppera te garnitury i szesc limuzyn, a dla Giertycha mozliwosc wywalenia Gombrowicza z lektur szkolnych widac byly takiego pozwolenia warte). Zdemaskowanie Ukladu bylo dla przyszlosci jego rzadow sprawa absolutnie kluczowa i karta, na ktora wszystko postawil.

Zwracam uwage: nie daje sie to pogodzic z wysuwanym przez niektorych oskarzeniem, iz Kaczynski gadal o tym Ukladzie cynicznie, mamil nim wyborcow, wiedzac doskonale, ze zadnego Ukladu nie ma. Gdyby tak bylo rzeczywiscie, nie gralby w podobny sposob.

Jest jedna z charakterystycznych cech Kaczynskiego sklonnosc do publicznych wypowiedzi tego rodzaju jak ta zawarta w cytowanym juz wywiadzie Toranskiej: "Dziewczyno, gdybys ty znala ten caly repertuar nazwisk, jaki tam [w archiwach MSW – przyp. RAZ] jest!". Toranska: "Znam te ujawnione". Kaczynski: "Eee, to smiechu warte, gdybys znala tak, jak ja! W rzeczywistosci ta lista jest nieporownanie dluzsza. Ja ci jej nie podam, bo po prostu nie moge, ale gdybys znala caly ten repertuar, to dopiero bys zobaczyla, co sie tutaj dzieje i dlaczego tak sie dzieje (…) Jak sie czyta te materialy, to ma sie zupelnie zmieniony obraz historii".

Takich zapewnien – gdybyscie wiedzieli to, co ja, gdybym wam mogl powiedziec o tych wszystkich porazajacych faktach, ktore poznalem z racji swego dostepu do tajemnic panstwowych, to w ogole byscie o nic nie pytali – przy roznych okazjach zlozyl Kaczynski wiele i nigdy sie z nich nie tlumaczyl. Ale cytuje te akurat rozmowe, bo dotyczy ona "listy Macierewicza", o ktorej w niecale szesnascie lat po jej ogloszeniu prawie wszystko juz wiemy. Wiemy, ze poza ludzmi na niej umieszczonymi (w kilku wypadkach na podstawie materialow niedajacych podstaw do nazwania ich agentami, a w dwoch omylkowo) istnialy cztery wypadki watpliwe – obecne na wczesniejszej, sporzadzonej do celow gabinetowych "liscie Milczanowskiego". Jednym z nich byl Bronislaw Geremek; jego nazwisko pojawilo sie wylacznie w ewidencji komputerowej, co ostatecznie Macierewicz uznal za zbyt slaba przeslanke i przyszlego lidera Unii Wolnosci na swojej liscie nie umiescil. Trzy pozostale nazwiska, o ile mi wiadomo, nie nalezaly do nikogo po roku 1989 znaczacego. Teoretycznie Kaczynski mogl miec na mysli jeszcze TW "Bolka", kojarzonego juz wtedy z Walesa. Powiedzmy, ze w czasie rozmowy z Toranska myslal o tych dwoch osobach, rzeczywiscie wplywowych – ale tylko dwoch. Jakkolwiek patrzec, dwa nazwiska nie stanowia jeszcze listy "nieporownanie dluzszej" od tej utworzonej przez Macierewicza (ciekawostka, o ktorej zapomnialem wspomniec w poprzednich rozdzialach: zdanie wczesniej mowi Kaczynski, ze do ujawniania agentow ma "stosunek ambiwalentny"; niezbyt to pasuje do wizerunku oszalalego lustratora).

Jak to rozumiec? Czy Kaczynski ma zwyczaj po prostu cynicznie klamac o rzekomych porazajacych faktach, ktore zna i ktore legitymizuja wszystkie jego dzialania, ale ktorych nie moze zdradzic z uwagi na tajemnice panstwowa? Mysle, ze gdyby klamal, robilby to zreczniej. Przypuszczam raczej, ze istnienie owych porazajacych faktow uwaza za rzecz pewna i determinuje to jego dzialania. Uklad to w moim przekonaniu nie jest dla Kaczynskiego propagandowe uproszczenie na uzytek wyborcow mechanizmu zakulisowego wywierania na panstwo skutecznych naciskow przez oligarchiczne grupy skryte za fasada demokratycznego panstwa – ale byt realny.

Panstwo zapytaja – no dobrze, a czy ten Uklad istnieje rzeczywiscie?

Mnie Panstwo pytaja? Odpowiem – to kwestia wiary. Nie zmienilem zdania ani na jote, odkad pisalem w Polactwie, ze to, co Kaczynski nazywa Ukladem, przypomina tak zwana "ciemna materie" w kosmosie; cos, czego posiadane instrumentarium astronomiczne nie pozwala w zaden sposob zobaczyc ani zmierzyc, ale co musi istniec, i astronomowie nie maja zadnej watpliwosci, mierzac rozmaite odchylenia w ruchu cial niebieskich przez to "cos" powodowane. Wiec co do tego, ze w panstwie polskim od samego jego zarania istnieje taka "ciemna materia", moge mowic jako o fakcie i udowadniac to niewyjasnionymi, acz jednoznacznymi w swej wymowie koincydencjami pomiedzy roznego rodzaju patologicznymi zjawiskami a zmianami w ustawach czy postepowaniem ludzi z roznych szczebli wladzy. Ale jak sobie kto te ciemna strone III RP wyobraza – tego juz nie ma jak zweryfikowac, dopoki nie poznamy dokumentow, ktorych dzis nie znamy, i nie przeprowadzimy sledztw, ktorych dotad nie przeprowadzono – za Kaczynskiego takze. Moze, jak to stwierdzil w wywiadzie prasowym Marcinkiewicz, "cala Polska jest pelna ukladow", ale nie ma zadnego jednego nadukladu, kierujacego nimi na podobienstwo domniemanej mafijnej "kopuly", ktory chcial odkryc Kaczynski. A moze Kaczynski ma racje? Kto chce w to wierzyc, ten znajdzie argumenty. Chocby ten, iz bezsporne udowodnienie, w sposob procesowy, przestepczych powiazan jest przy zachowaniu zasad panstwa prawa tak trudne, iz prawie niemozliwe. Kazdy w Chicago wiedzial, ze Alfred Capone jest szefem zbrojnego gangu, organizatorem przestepstw na wielka skale i ze to on zlecil "masakre w dniu sw. Walentego". Zaden historyk nigdy tego nie zakwestionowal. A jednak Capone skazac sie udalo tylko za oszustwa podatkowe. Zaden historyk nie watpi

tez, ze niejaki "Szczesciarz" Luciano, pierwszy i na dlugie lata jedyny boss "syndykatu zbrodni", ktorego skazano za zbrodnie mafii, a nie za podatki czy inne duperele, w istocie usiadl za te akurat zbrodnie, z ktora nie mial nic wspolnego. I ze prokurator Tomas Dewey, ktory doprowadzil do skazania, wiedzial o tym doskonale. Ale tez wiedzial, ze przestepstw, za ktore naprawde odpowiada, nie bedzie mu potrafil udowodnic; zastawil wiec procesowa pulapke, wykorzystujac fakt, ze na okolicznosc tego, czego nie zrobil, mafioso nie zapewnil sobie mocnego alibi. Dzialo sie to w kraju bedacym wzorem demokracji, kraju generalnie zdrowym, w ktorym mafia mogla zapewne wiele, ale bez porownania mniej niz w Polsce.

Czy Kaczynski albo Ziobro interesowali sie biografia Deweya? Albo Eliota Nessa, tego od "nieprzekupnych" (a nie zadnych, niech to diabli, "niedotykalnych", jak to pisza ludzie niedouczeni), ktory doprowadzil do skazania Ala Capone? Zdziwilbym sie, gdyby okazalo sie, ze nie i ze nie czerpali z tych postaci natchnienia. A przeciez mozna z tego historycznego przykladu wyciagnac diametralnie odmienna nauke od tej, ktora z pozoru sie narzuca. USA ostatecznie poradzily sobie z mafia jako spoleczna patologia (choc ogromnej wiekszosci jej konkretnych zbrodni ukarac nie zdolaly) bynajmniej nie dzieki takim oddanym idei czynienia sprawiedliwosci blednym rycerzom, jak Dewey czy Ness. Ci narobili tylko dymu; zadecydowal fakt, ze panstwo amerykanskie wytworzylo na tyle silne demokratyczne struktury i na tyle zdrowa spoleczna tkanke, ze na dluzsza mete oparly sie one korupcji i zastraszeniu. Gdyby nie to, gdyby panstwo polnocnoamerykanskie przypominalo Meksyk czy Kolumbie, watpliwe, czy jakikolwiek bledny rycerz zdolalby je uratowac od zawlaszczenia przez mafie, ktora – zdaniem czesci historykow – potrafila sobie szantazem i przekupstwem podporzadkowywac nawet ludzi tak wplywowych jak oslawiony szef FBI Hoover.

Oczywiscie, domyslam sie, co by mi na to odpowiedzial Jaroslaw Kaczynski: ze to sie udalo tylko dzieki scentralizowaniu panstwa i zwiekszeniu kompetencji organow federalnych w stosunku do stanowych, bo z tymi ostatnimi, jak dowiodl chocby przyklad Capone, mafia radzila sobie gladko. Uwazam to za argument, iz wiele lokalnych ukladow nie moze byc rozbitych miejscowymi silami i panstwo potrzebuje takich sluzb jak CBA czy CBS (czego akurat nigdy nie kwestionowalem) – czy jednak rozstrzygajacy co do przyjetego przez Kaczynskiego sposobu walki z Ukladem, zostawiam Panstwu do uznania.

Jesli wierza Panstwo, ze Kaczynski mial racje (a w gruncie rzeczy od tego zalezy ocena calosci jego rzadow), to moga Panstwo uzyc innego jeszcze argumentu, ktorego zreszta uzywa, mniej lub bardziej otwarcie, sam Kaczynski. Praktycznie we wszystkich sledztwach, po ktorych byly premier oczekiwal, jak mial to okreslic podczas jednej z narad, "mocnego wyjscia na Uklad" – Stella Maris, afery weglowej, paliwowej, Coloseum, szwajcarskich kont politykow lewicy, Mazura etc. – w ten czy inny sposob odegral role decydujaca Janusz Kaczmarek. Nic dziwnego zreszta, bo byl dla Kaczynskich ich zaufanym czlowiekiem. Trudno to orzec bez dokladnego zbadania spraw, przewaznie wielce skomplikowanych – ale na pewno mial on mozliwosc umiejetnego ukrecania kolejnym sprawom lba, kierowania sledztw na falszywe tory, chachmecenia w papierach. Czy z niej korzystal? Kaczmarek jest bez watpienia cynicznym karierowiczem, czlowiekiem, ktoremu slowo "uczciwosc" jest gleboko obce i ktory ma wielka umiejetnosc "wkradania sie w laski" przelozonych. Ale czy tez jest – byl – "kretem" Ukladu, majacym za zadanie na jak najdluzej sparalizowac wysilki Kaczynskiego?

Ludwik Dorn, ktorego nielaska u Kaczynskich i usuniecie ze stanowiska szefa MSWiA byly, jak sie zdaje, wlasnie wynikiem jednej z intryg przeprowadzonych przez Kaczmarka, ujal to w wywiadzie tak, ze bardziej jednoznacznie nie mozna. Powiedzial, ze gdy rozpatruje to z perspektywy czasu i wie to, czego sie dowiedzial pozniej, nabiera przekonania, iz Kaczmarek byl do swojej dzialalnosci "profesjonalnie przygotowany". To znaczy, ze musial przejsc treningi manipulacji psychologicznej, takie, jakie organizuje sie dla szpiegow, i co najwazniejsze – ze postepowal, jakby zawczasu ktos przedstawil mu profesjonalne "profile psychologiczne" ludzi, z ktorymi mial do czynienia. Tak doskonale wiedzial, jak z kim rozmawiac, komu co mowic i jak na kogo wplywac, ze, zdaniem Dorna, nie moglo to byc tylko skutkiem wrodzonej intuicji, ale przygotowania przez zawodowych psychologow.

Fakty czy paranoja? Nie wiem. Psychologow, "profilerow", obmyslajacych sposoby radzenia sobie z konkretnymi osobami, sklaniania ich do odpowiednich decyzji, dostosowywania do ich osobistych cech strategii negocjacyjnych etc, uzywa sie od dawna szeroko w policji, sluzbach, biznesie, dyplomacji – uzycie ich w taki sposob przez jakas nieformalna grupe interesu nie przekracza granic prawdopodobienstwa. Ale fakt, ze cos miesci sie w prawdopodobienstwie, to jeszcze nie dowod.

Sam Kaczynski wypowiada sie na ten temat znacznie ogledniej, niz mozna by sie spodziewac. Mozna zrozumiec dlaczego – nawet jesli podziela dzis przekonanie, ze Kaczmarek odegral taka wlasnie role, to nikt nie rozprawialby zbyt chetnie o tym, ze tak sie dal podejsc. Tym bardziej ze zasadnicza role w tym podejsciu odegral jego brat, z ktorym – co dalo sie wielokrotnie zauwazyc – laczy bylego premiera zrozumiala wiez emocjonalna i ktorego na pewno nie chce stawiac w zlym swietle.

***

Jaroslaw Kaczynski ma prawo narzekac na wiekszosc dziennikarzy – byli stronniczy, przekrecali jego intencje, falszowali konteksty i tak dalej. Zgodnie ze swoja zasada nie bede wiec siegal po zadne materialy z prasy zajadle wrogiej prawicy w ogole, a Kaczynskiemu w szczegolnosci.

Oto wywiad udzielony przez – wowczas jeszcze – premiera RP "Niezaleznej Gazecie Polskiej". Wywiad zapewne autoryzowany, a w kazdym razie przeprowadzony przez Tomasza Sakiewicza oraz Katarzyne Hejke, dwoje dziennikarzy, ktorych doprawdy nie sposob posadzic o chec jakiegokolwiek deprecjonowania Kaczynskiego. Rozmowa toczy sie tuz po ogloszeniu przyspieszonych wyborow, niedlugo po aferze w ministerstwie rolnictwa, aresztowaniu bylego ministra spraw wewnetrznych Janusza Kaczmarka i konferencji prokuratora Engelkinga, wiec oczywiscie pierwszy fragment rozmowy musial byc poswiecony wlasnie Kaczmarkowi, skad sie wzial i dlaczego zrobil u boku braci Kaczynskich tak wspaniala kariere.

"Pamietam – mowi Jaroslaw Kaczynski o okresie rzadow Millera – ze gdy dzwonilem do brata, kiedy on byl u siebie w Sopocie, to zazwyczaj slyszalem od niego, iz Janusz Kaczmarek albo wlasnie jest, albo u niego byl. Relacje przybraly z czasem charakter towarzyski, bo dom dzisiejszego prezydenta odwiedzala rowniez zona pana Janusza Kaczmarka. Gdy wygralismy wybory, byl wiec niejako naturalnym kandydatem na prokuratora krajowego".

Jaroslaw Kaczynski "szczery do bolu" (taki byl tytul wywiadu), nawet nie ukrywa zatem, jaki byl klucz doboru ekipy, z ktora mial zamiar zniszczyc Uklad. Facet bywal czesto u jego brata, co

wiecej, bywala tam takze jego zona – wiec okazal sie "naturalnym kandydatem" na jeden z najwyzszych urzedow panstwowych. Najbardziej zjadliwe i nienawistne "demaskacje" salonowych dziennikarzy nie sa w stanie postawic przywodcy obiecywanej "moralnej rewolucji" w gorszym swietle. Bo Kaczynskiemu do glowy nawet nie przychodzi, ze mozna by na przyklad wziac po wygranych wyborach wyniki prac roznych prokuratur i porownac – tu sa wyniki takie, tu takie, a tu, o, patrzcie, tu wszystko dziala lepiej niz gdzie indziej, zadnych smrodow, same sukcesy; ten tu facet musi byc dobry, oto jest nasz naturalny kandydat do awansu!

W normalnym kraju bylby to narzucajacy sie sposob postepowania z instytucja, ktora chcemy usprawnic, oczyscic z nalecialosci personalnych i odmlodzic – bo przeciez to chyba wlasnie chcieli zrobic Kaczynscy z prokuratura. Tak sugerowalby kazdy menadzer.

Ale co tam marzyc o tern – powtorze raz jeszcze westchnienie starego subiekta Rzeckiego. Bo inna sprawa, ze w Polsce, niestety, Kaczynski ma prawo nie widziec w swych wyjasnieniach co do Kaczmarka niczego zlego. Wiadomo, ze tak sie buduje wszystkie ekipy polityczne, od niepamietnych czasow – liczy sie tylko, kto jest czyj, kto pod kim "wisi", kto ma kogo w notesiku. To oczywiscie nie jest usprawiedliwienie, Kaczynski nie obiecywal, ze bedzie taki jak wszystkie poprzednie ekipy, obiecywal, wrecz przeciwnie, zasadnicza zmiane. Tymczasem roznica pomiedzy nim a poprzednikami polegala tylko na tym, a byla to roznica dla spolecznego odbioru jego rzadow znaczaca, iz lawka kadrowa Kaczynskiego byla o wiele krotsza niz Millera, Balcerowicza czy nawet Krzaklewskiego. W najlepszych wypadkach na waznych stanowiskach panstwowych ladowali rutynowani urzednicy sprawdzeni w NIK i warszawskim ratuszu, jak Elzbieta Kruk, czy ludzie, powiedzmy, obiecujacy, tacy jak Slawomir Skrzypek – sadowieni jednak czesto, jak ten ostatni, zdecydowanie powyzej swoich mozliwosci. Ale nie brak bylo sytuacji po prostu zenujacych, z ktorych najbardziej znane wiaza sie z telewizja – mysle oczywiscie o znienawidzonej przez wszystkich podwladnych szefowej TVP1, ktora mimo znikomego doswiadczenia w zawodzie zdecydowane i najzupelniej bezkrytyczne poparcie prezesa PiS zawdzieczala znajomosci z matka braci Kaczynskich; mozna domniemywac, znajac jej przedziwna kariere, ze w tym wlasnie celu zawartej. Ale takze o przedstawicielce PiS w radzie nadzorczej, ktora nawet nie probowala udawac, ze ma jakiekolwiek kwalifikacje poza ta, ze ze

wspomniana juz pania Kaczynska robila kiedys wspolnie konfitury.

Nie trzeba chyba udowadniac, iz glownym kryterium polityki kadrowej Kaczynskich stanowilo ich osobiste zaufanie. To juz samo w sobie wrozylo kleske, bo o ile Jaroslaw Kaczynski nigdy nie mial szczesliwej reki do doboru wspolpracownikow, to jego brat pod tym wzgledem okazal sie calkowita katastrofa. Nie wiem, przyznam szczerze, czym to tlumaczyc; Lech Kaczynski, o ktorym w ogole mam do napisania dziwnie malo, wydaje mi sie czlowiekiem w jakis sposob podobnym do mecenasa Olszewskiego – w tym sensie, iz jest typem "porzadnego czlowieka", ktorego trudno nie szanowac za osobiste przymioty i ktorego kazdy bardzo by chcial miec posrod swych znajomych, ale ktory do wielkiej polityki nie nadaje sie w najmniejszym stopniu. Zorganizowany, uczciwy, skromny i jakby "wycofany", doskonale sprawdzal sie jako wiceprzewodniczacy Solidarnosci przy Walesie, odwalajac cala czarna robote za brylujacego przewodniczacego, a takze jako szef wymagajacej uzdolnien raczej urzedniczych niz politycznych Najwyzszej Izby Kontroli. Nawet jeszcze na stanowisku ministra sprawiedliwosci w rzadzie Buzka, choc mam wrazenie, ze tak naprawde sprawowal je wspolnie z bratem. Wydaje sie natomiast pozbawiony jakiejkolwiek przebojowosci, rzutkosci, tego wewnetrznego napedu, bez ktorego po prostu nie mozna byc liderem – i brat nie jest w stanie tego braku zastapic. Rozni go natomiast od Olszewskiego to, ze o ile tamten staral sie unikac podejmowania jakichkolwiek decyzji i kazda odwlekal tak dlugo, az rozwoj wypadkow zwalnial go z koniecznosci jej podejmowania, to Lech Kaczynski decyzje podejmuje nawet dosc szybko, tylko ze wedlug kryteriow zupelnie irracjonalnych, kierujac sie swym poczuciem przyzwoitosci, lojalnoscia i innymi emocjonalnymi porywami – a nastepnie przy raz podjetej decyzji upiera sie ze wszystkich sil. W sprawach personalnych wydaje sie z tym swoim staroswieckim przywiazaniem do wlasnych wyobrazen o ludziach – prosze zauwazyc chocby, jak wielka wage przywiazuje do komunikatu: zrywam z tym a tym stosunki towarzyskie – naiwny i latwy do okpienia jak dziecko. Gdyby inzynieria genetyczna byla juz wystarczajaco rozwinieta, nalezaloby prezydenta sklonowac, tak aby kazdy, kto podejmuje wazne decyzje personalne, mogl go nosic w kieszonce. I gdyby od czasu do czasu z tej kieszonki dobieglo: o, ten czlowiek mi sie podoba i budzi moje zaufanie, od razu byloby wiadomo, ze mamy do czynienia co najmniej z osoba kompletnie niekompetentna, a prawdopodobnie z lobuzem

wartym natychmiastowego aresztowania.

Dobrze, zarty na bok, mowimy o sprawie zupelnie niewesolej. Problem polega bowiem nie tyle nawet na ograniczonych zasobach personalnych PiS, co na sposobie korzystania z nich. Gdy ukazala sie ksiazka Andrzeja Anusza Prywatna historia PC, przed przystapieniem do lektury przekartkowalem ja, ogladajac fotografie. Niby wiedzialem i bez tego – ale dopiero nad tymi fotografiami uderzylo mnie, jak wielu ludzi przewinelo sie przy Kaczynskim, jak wielu wspoltworzylo PC, a potem PiS – i gdzies zniknelo. Czesc pewnie w naturalny sposob dala sobie spokoj, z racji zdrowia czy wieku, czesc zniechecila sie do polityki, wielu personalnie do Kaczynskiego, czesci wreszcie on sam uznal w ktoryms momencie za stosowne sie pozbyc, a niektorych jeszcze przy tym wykonczyc, jak wspomnianego Anusza. Zabrzmi to naiwnie, ale wsrod tych, ktorzy sie rozczarowywali albo Kaczynski sam ich poodpychal, wiecej bylo ludzi, ktorych bym nazwal ideowymi, od takich, ktorych uznalbym za interesownych.

O Andrzeju Urbanskim, ktory w 1992 roku odszedl wraz z piecioma innymi poslami PC do KLD, mowil wtedy Kaczynski: "Powodowal sie, jak sadze, bardzo prozaicznymi przyczynami: jezeli ten rzad upadnie, to po nim, byc moze przez dluzszy czas, nie bedzie rzadzic juz nasz uklad, tylko rzadzic bedzie inny uklad, wiec trzeba szybko znalezc sie w tym innym ukladzie". Nie wiem, czy Kaczynski mial co do Urbanskiego racje; wazne jest, ze wszystko wskazuje, iz nie zmienil pozniej zdania o jego, nazwijmy to, imponderabiliach. Mimo to po swym nieoczekiwanym politycznym zmartwychwstaniu Kaczynscy bez wielkiego bolu z Urbanskim sie pogodzili, powierzajac mu kluczowa funkcje w warszawskim ratuszu, potem w kancelarii prezydenta RP, a na koniec w TVP. Mimo to – czy moze wlasnie dlatego?

W zarzadzie TVP znalazl sie takze Slawomir Siwek, o ktorym rowniez przy roznych okazjach wyrywaly sie Kaczynskiemu opinie malo pochlebne. W jednym z wywiadow, pytany, dlaczego wpuscil kogos takiego do telewizji, bynajmniej nie probowal upierac sie, ze to fachowy, swietny facet, tylko stwierdzil, ze Siwek "mial poparcie biskupow", a wlasnie ktos z dobrymi ukladami w episkopacie byl tam potrzebny. (To, swoja droga, paradne: nie sposob przeciez znalezc jakiejkolwiek ustawy, ktora by dawala choc cien podstawy do wywierania przez biskupow jakiegokolwiek wplywu na obsade stanowisk w instytucjach publicznych).

Mozna powiedziec o polityce personalnej Kaczynskiego nie tylko, ze lekcewazyl on kwalifikacje fachowe, za glowne kryterium przyjmujac zaufanie i ocene lojalnosci – w wypadku resortu skarbu, szczegolnie istotnego ze wzgledu na swa "aferogennosc" (policzmy tylko, ilu ministrow wymienilo w tym resorcie podczas swych rzadow SLD), postawieniu na wspomnianego juz kolege ze studiow, Jasinskiego, nie przeszkodzila nawet jego przeszlosc w aparacie PZPR, choc, wydawaloby sie, dla partii gloszacej to, co glosilo PiS, powinna byc ona nie do strawienia. Dobitnym tego przykladem bylo nominowanie prowincjonalnego adwokaciny Jaromira Netzla na szefa najwiekszej polskiej grupy ubezpieczeniowej; a nawet juz nie tyle samo mianowanie, co uzasadnienie. Gdy bowiem dziennikarze meczyli Kaczynskiego uporczywym powtarzaniem, ze facet sie na tym po prostu nie zna, ten zirytowany odburknal: "Niestety, wszyscy, ktorzy sie znaja, naleza do Ukladu".

Wtedy oczywiscie nie bylo jeszcze wiadomo, ze Netzel tez do Ukladu nalezy, i to jeszcze jak.

Eseldowski minister skarbu, przypadkowo tez noszacy nazwisko Kaczmarek, gdy mianowal szefem rownie poteznej grupy, tyle ze energetycznej, rownie niemajacego na takie stanowisko zadnych kwalifikacji Stanislawa Dobrzanskiego z PSL, zaslynal wyjasnieniem: "Staszek chcial sie sprawdzic w biznesie". W porownaniu tych dwoch zdan widac i podobienstwo, i roznice pomiedzy Kaczynskim a jego przeciwnikami z lewicy. Pod wzgledem intencji obsadzanie stanowisk "swoimi" po to, by wspolnie ciagnac z tego korzysci, od obsadzania ich "swoimi" po to, by miec pewnosc, ze dany obszar zycia publicznego wyrwany zostal spod kontroli mafii, rozni sie zasadniczo. Ale w skutkach dla panstwa roznicy praktycznie nie ma.

Netzel jest przykladem o tyle dobrym, ze od samego poczatku wiadomo bylo, iz jego problemem jest nie tylko brak kwalifikacji fachowych, ale tez, nazwijmy to, moralnych. Ciagnely sie za nim jakies podejrzane transakcje, niewyjasnione zwiazki z gangsterska firma, jakies pieniadze, ktore z niej tajemniczo wyparowaly… Andrzej Mikosz musial odejsc ze stanowiska ministra skarbu, bo Kaczynski dopatrzyl sie u niego "zwiazkow z rynkami finansowymi" (co mialo chyba stanowic zawoalowane oskarzenie, iz siedzi w kieszeni u jakichs oligarchow) – ale zwiazki Netzla mu nie przeszkadzaly. I nie byl to jedyny taki wypadek wsrod ludzi, ktorzy wzbudzili zaufanie prezesa PiS. Szczytem wszystkiego bylo promowanie coraz wyzej, az do

stanowiska szefa policji, Konrada Kornatowskiego, czlowieka wymienionego w "raporcie Rokity" posrod prokuratorow, ktorzy tuszowali komunistyczne zbrodnie (konkretnie – wedle ustalen sejmowej komisji ds. zbadania dzialalnosci MSW, o ktorej sporo pisalem w Michnikowszczyznie, byl on jednym z ludzi zacierajacych tropy i falszujacych sledztwo w sprawie smierci Tadeusza Wadolowskiego, wedle wszelkiego prawdopodobienstwa zakatowanego na posterunku MO w Gdyni). Gdy sprawa wyszla na jaw, jedni ze wspolpracownikow Kaczynskiego zapewniali, iz zarzuty Rokity zostaly sprawdzone i uznane za niesluszne, inni wyraznie dawali po sobie poznac, iz o udziale Kornatowskiego w jednej ze zbrodni stanu wojennego w ogole nikt nie wiedzial (i raczej wierzylbym w te druga opcje); sam Kaczynski zas udawal, ze sprawy nie ma, dopoki mu Kornatowski nie podpadl z innego powodu.

Byc moze pamietaja Panstwo jeszcze wspomniana juz konferencje prasowa, na ktorej po aresztowaniu Kaczmarka prokuratura przedstawiala zapisy rozmow telefonicznych pomiedzy nim, Netzlem i Kornatowskim oraz osobnikiem, ktorego tozsamosci nie ujawniono (byc moze do dzis nie udalo sie jej ustalic). Jesli Panstwo zapomnieli – to zle. To byl kawalek Polski prawdziwej, jak rzadko daje sie zobaczyc. Polski, w ktorej szef policji, minister spraw wewnetrznych oraz szef wielkiej panstwowej grupy finansowej, ludzie o mentalnosci i poziomie umyslowym dresiarzy, tocza ze soba prymitywne dialogi na poziomie namawiajacych sie na skucie komus mordy prowincjonalnych gangsterow. Co do mnie, powiedzmy, ze moglbym zapomniec, jak trzej tak wysoko ustawieni panowie nawzajem sie ostrzegaja przed sledztwami sluzb panstwowych, ustalaja wspolnie falszywe zeznania i wzajemnie sobie dawane alibi, a zwlaszcza wspolnie kombinuja, jak ochronic swego "glownego platnika". Ale nie do zapomnienia, doslownie – by uzyc slowa tak lubianego przez Kaczynskiego – porazajacy jest dla mnie ten fragment, gdy do Kornatowskiego dzwoni ow osobnik, ktorego tozsamosci nie podano. Najpierw przedstawia sie – "dzwoni panski znajomy od srub w samochodzie, odkreconych", a gdy Kornatowski (szef policji!) daje znac, ze kojarzy, wysyla go do zony "grubego Rycha", by ja ratowal przed spodziewanym pojawieniem sie agentow CBA.

Zbyt wiele napisalem w poprzednich ksiazkach o nieznanych sprawcach i ich ofiarach w peerelu i w III RP, zebym sie nie domyslal, o jakie to odkrecone sruby w tej rozmowie chodzilo. I kiedy czytam kolejne prasowe enuncjacje, ze za przyczyna

jakichs prawniczych kruczkow ferajna Kaczmarka zaczyna chodzic w glorii ofiar "sadowych naduzyc", bo, dajmy na to, ujawniono publicznie ich prywatne adresy, za co zadaja stutysiecznych odszkodowan – to przyslowiowy noz otwiera mi sie w kieszeni. Mam nadzieje, ze Panstwu tez.

Ale nie sposob nie zapytac – a kto te ferajne wyniosl tak wysoko?

Wielu zwolennikow Kaczynskiego usilowalo niemal do ostatniej chwili ocalic w sobie wiare, ze pojawianie sie w panstwie obiecanej "moralnej rewolucji", w budowanej przez PiS IV Rzeczpospolitej, na kluczowych stanowiskach tego rodzaju typow to jakis horrendalny wypadek przy pracy, ze Kaczynski nie mogl o ich przeszlosci wiedziec. Kaczmarek podobno zatail w ankiecie personalnej swa przynaleznosc do PZPR. No coz, przywiazywanie do tego wielkiej wagi wydaje mi sie malo powazne, zreszta – nie dotyczylo to jednego Kaczmarka, jednego Kornatowskiego. Byl przeciez i szef CBS, ktory na kilka tygodni "zawieruszyl" list gonczy za Stoklosa, umozliwiajac mu ucieczke z kraju, byl zwiniety potem przez CBA minister sportu…

Nie, nie byli to ludzie, ktorych przeszlosc i, pozostane przy takim okresleniu, kwalifikacje moralne nie bylyby Kaczynskiemu nieznane. Skoro na takich wlasnie ludzi stawial – wbrew calej uzywanej od lat retoryce – to znaczy, ze chcial na nich stawiac.

Jest takie powiedzenie, ktore legenda przypisuje prezydentowi Nixonowi: "Owszem, to sukinsyn, ale to nasz sukinsyn" (mial tak powiedziec o pewnym dyktatorze, gdy wspolpracownicy, powolujac sie na opinie publiczna, namawiali do jego zdecydowanego potepienia). Te slowa moglby o swoich Netzlach i Kaczmarkach rownie dobrze powiedziec i prezes PiS. Z drobna poprawka: "Ale OD TERAZ to bedzie nasz sukinsyn".

Przypadek smutny nie tylko dlatego, ze Kaczynski przekroczyl w ten sposob kolejna bariere w stosowaniu zasady "cel uswieca srodki", ale takze dlatego, iz okazal sie kompletnie niezdolny do wyciagniecia oczywistych wnioskow z porazek swoich przeciwnikow z lat dziewiecdziesiatych. (A nawet wlasnych, by przypomniec oslawionego prokuratora Kapuste; gdy po przesluchaniach komisji sledczej ds. Rywina dziennikarz zapytal Kaczynskiego, jak jego brat mogl promowac kogos takiego, ten odrzekl bezradnie: "Wtedy on nas sluchal").

W poczatkach III RP zarowno Unia Demokratyczna, jak i Walesa ulegli pokusie opierania sie na ludziach, ktorzy gorliwie sluzyli komunistom. Nie na ideowcach – takiemu nigdy nie wiadomo, co odbije, kiedy sie znarowi i jakich przysporzy problemow. A czerwoni sa przyuczeni do posluchu, nie kwestionuja polecen, nie zadaja pytan, na dodatek sa doskonale przeszkoleni w prawieniu przelozonemu komplementow i utwierdzaniu go w poczuciu nieomylnosci – a ten rodzaj ego, jaki popycha czlowieka do polityki, jest na to lasy jak dziecko na cukierki. No i czerwoni maja jeszcze jeden, najwiekszy bodaj plus: sa na nich haki. A te haki daja politykowi, ktory sie chce na tego gatunku ludziach oprzec, poczucie wladzy i bezpieczenstwa. Czlowiek, na ktorego haka nie ma, jest nieobliczalny, a ten z hakiem musi byc posluszny, no bo inaczej hak zostanie uzyty.

Owszem, nikt nie zaprzeczy, w normalnych warunkach lepiej by bylo stawiac na ludzi uczciwych. Ale kiedy w Polsce bylo normalnie? Wiecznie toczy sie "ostra walka polityczna", wiecznie jej protagonisci zyja w poczuciu wielkiej misji albo wielkiego zagrozenia i nie maja czasu na wahania czy skrupuly. A do wcielania w zycie wielkich wizji albo likwidacji wielkich zagrozen Ferajna wydaje sie kadra wrecz idealna.

Udecja zupelnie swiadomie na takich wlasnie ludziach oparla sie w panstwowych mediach – Polsce grozil wszak wybuch nienawisci, scenariusz Gruzji albo Iranu, odpowiednia propaganda byla zbyt odpowiedzialna sprawa, aby zrezygnowac z najlepszych dostepnych fachowcow. Walesa rownie swiadomie oparl sie na ludziach komunistycznych sluzb specjalnych, wchodzac w role ojca chrzestnego, bezblednie wyczuwszy swym instynktem, ze tu wlasnie, a nie w formalnych tytulach i ustawowych kompetencjach jest prawdziwe narzedzie do sprawowania wladzy.

Ale przeciez – efekty tych pomyslow znane sa od dawna. Zarowno w telewizji, jak i w specsluzbach, hold zlozony nowym ojcom chrzestnym przez postkomunistow byl tylko pozorem, gra na czas. Gdy sytuacja polityczna zmienila sie, wracali oni do swoich prawdziwych hierarchii i podleglosci. Jak to sie stalo, ze Jaroslaw Kaczynski, znajac te doswiadczenia, powtorzyl blad poprzednikow?

Na poczatku lat dziewiecdziesiatych prezes PC klarowal czlonkom swej partii calkiem otwarcie – zreszta w ogledniej szych slowach powtarzal ten poglad takze w wywiadach: aby rozbic

postkomunistyczne uklady, trzeba wygrac jednych komunistow przeciwko drugim. Trzeba czesci z nich obiecac ochrone, amnestie w zamian za pomoc w zniszczeniu pozostalych. Ja ich znam, to tego typu ludzie, ze gdy tak zrobimy, gdy zlamiemy solidarnosc miedzy nimi, beda sie wykanczac nawzajem, donosic na siebie na wyscigi. Niby – nic nowego, tak samo przeciez walczono z mafia we Wloszech czy USA: wyciagajac z niej "pentitich", skruszonych.

Jesli Kaczynski dopuszczal poslugiwanie sie takimi ludzmi na poczatku lat dziewiecdziesiatych, to doswiadczenia nastepnej dekady na pewno utwierdzily go w tym przekonaniu. Pisalem juz o fali przesladowan PC, jako "opozycji antypanstwowej", za czasow Walesy. Nie dziwi mnie w najmniejszym stopniu wyznanie Kaczynskiego, ze zwyciestwo Kwasniewskiego przywital radoscia i otworzyl dla jego uczczenia wino – bo rzeczywiscie, gdyby nie zmiana w Belwederze, uparte starania prokuratur i sluzb pewnie dalyby wreszcie skutek.

Teraz Kaczynski potrzebowal osiagnac ten skutek sam. Oczywiscie, w odroznieniu od swych przeciwnikow – w dobrym celu. Wiedzial przeciez, jak silna jest lojalnosc spajajaca korupcyjno-mafijne uklady; chocby po Rywinie, ktory wolal pojsc siedziec, niz bodaj slowem zdradzic swych mocodawcow i wspolnikow. Wiedzial tez, ze w takich ukladach pieniadze nie kraza w walizkach, jak to sie moze wydawac ludziom prostym, ze nikt nikomu nie kwituje przyjetych lapowek i zlapanie kogos za reke graniczy z niemozliwoscia. Tu zapada decyzja, tam jakies pieniadze ida do jakiejs fundacji, ktora zupelnie legalnie zleca to czy tamto jakiejs spolce; pracuja nad tym dobrzy ksiegowi i cwani menadzerowie. I zeby rozwiklac te sieci, trzeba prokuratorow dysponujacych roznymi kwalifikacjami. Takze umiejetnoscia "dociskania" zatrzymanych, stosowania "wydobywczych aresztow" i ogolnie rozumianej "pracy" z podejrzanymi.

Dla osiagniecia wielkiego Dobra trzeba czasem pogodzic sie z malym zlem; zeby obronic prawo, trzeba je czasem troche nagiac albo i naruszyc; tak, jak sadze, widzial swa sytuacje prezes PiS, gdy po wielu latach wyrzeczen i klesk otrzymal wreszcie szanse zrealizowania swej historycznej misji. Spodziewal sie, ze jedna, druga, piata plotka poddana prokuratorskiej represji "peknie" i sypnie nazwiskami oraz faktami, pozwalajac wreszcie dobrac sie po nitce do klebka do szefow postkomunistycznej formacji. A czasu na to bylo malo; ten czas musial Kaczynski ciagle zdobywac, okupujac to swieceniem oczami za lupienie agend

rolniczych czy ministerstwa pracy przez Leppera, za wyglupy Giertycha z lekturami czy teletubisiami. Mial w takiej sytuacji trzymac sie kurczowo zasad, czyli co – wypierdzielic polowe, dajmy na to, prokuratorow i rozpoczac weryfikacje reszty? Oznaczaloby to opoznienie sledztw o co najmniej rok.

Z drugiej strony, skoro zmuszony byl pracowac tymi sami fachowcami, ktorzy swego czasu na zamowienie innej wladzy montowali lipne dochodzenia przeciwko dzialaczom PC (uzywam tej frazy jako pewnej przenosni, ale gdyby tak pogrzebac w teczkach personalnych, to nie dam dwoch zlotych) – to pojawialo sie natychmiast pytanie o posluch i lojalnosc. Jak zapewnic sobie podporzadkowanie takich ludzi, co do ktorych moralnosci nie zywi sie wiekszych zludzen? Nie wystarczy mianowac ich przelozonym jakiegos harcerza, bo go przeciez wykoluja bez trudu.

Wydaje mi sie, ze takie mniej wiecej rozumowanie doprowadzilo przywodce "moralnej rewolucji" do przekonania, ze trzeba sie opierac na przewerbowanych sukinsynach, najlepiej takich, na ktorych ma sie "haki" i "trzymania". Dlaczego nie odwiodly go od tego przekonania dwa poprzednie przewerbowania, to udeckie i to Walesowskie? Moze dlatego, ze nie bardzo widzial alternatywe. A moze dlatego, ze wierzyl, iz utrzyma sie przy wladzy znacznie dluzej, a nawet ja stopniowo umocni. Pokazcie mi zreszta polityka, ktory dopuszcza mysl, ze kiedys powinie mu sie noga.

"Jest taki mit, ze bracia Kaczynscy sa podejrzliwi. Szkoda, ze akurat w tym przypadku to nieprawda" – podsumowal Kaczynski we wspomnianym wywiadzie dla "Niezaleznej Gazety Polskiej" sprawe Kaczmarka, dajac wyrazny sygnal, ze nic z niej nie zrozumial. Ze jedyny wniosek, jaki wyciagnal – to ze okazal sie jeszcze zanadto ufny. Nie przyszlo mu do glowy, ze blad nie tkwil w osobie Kaczmarka; blad tkwil w zalozeniu. Jesli lider nie tworzy systemu selekcji i awansow (odnosze wrazenie, ze to wlasnie probowal zrobic Marcinkiewicz – i dlatego zostal usuniety, za to, ze promowal ludzi, ktorych prezes w ogole nie znal), jesli nie opiera doboru kadr na konkursach, efektach, na konkurencji, ale wylacznie na zaufaniu swoim, brata i mamy, to predzej czy pozniej wyladuje w otoczeniu dworu zlozonego z lizusow, scigajacych sie do jego lask, intrygujacych i dla swoich celow na kazdym kroku wprowadzajacych szefa w blad. Nie byloby na swiecie Kaczmarka – zawod sprawilby ktos inny, moze na nieco innej zasadzie, ale w sposob rownie niweczacy wielkie zamierzenia prezesa. Bo nowoczesnym panstwem nie sa w stanie

rzadzic dworacy. Nowoczesnym panstwem nie sa w stanie rzadzic nawet fachowi urzednicy, ktorych PiS mialo kilku, moze kilkunastu. Nowoczesne panstwo potrzebuje politycznych menadzerow. A takich Kaczynski nie tylko nie byl w stanie pozyskiwac, ale wrecz ich od siebie odpychal – odosobnione przyklady, w rodzaju pani Gesickiej, mozna policzyc doslownie na palcach jednej reki – bo w logice, ktora sie posluguje, zarzadzanie typu menadzerskiego po prostu sie nie miesci. Nie miesci sie w tej logice w ogole nic innego niz kryterium osobistej znajomosci i zaufania. Nie trzeba siegac po albumy ze zdjeciami z czasow PC; wystarczy przypomniec sobie, kto byl u boku Kaczynskich w poczatkach zakladania PiS. Miescili sie wtedy w partii Marek Jurek i Marcinkiewicz, Ujazdowski i Zalewski, Sikorski i Borusewicz, Mezydlo i Polaczek. Osoby bardzo rozne, bo, rzecz oczywista, partia, ktora chce byc masowa, musi miec ludzi roznych, aby poprzez nich odwolywac sie do roznych grup i roznych rodzajow wrazliwosci. Im bardziej zroznicowana oferta – tym wieksza szansa na jednoczesne objecie wiekszej ilosci, jak to ujmuja marketingowcy, "grup targetowych".

Tymczasem wszyscy wyzej wymienieni stopniowo z Prawa i Sprawiedliwosci znikaja – w koncu popada w nielaske nawet "trzeci blizniak" Dorn. Ich miejsca zajmuja dzialacze sprawiajacy wrazenie sklonowanych. Kuchcinski, Gosiewski, Putra, Suski, Brudzinski, Karski – typ ludzki, ktory, jak to pisal Waligorski: "na jednym patencie cale zycie jedzie / wszyscy wiedza, ze facet prochu nie wymysli / ale ze w razie czego rowniez nie zawiedzie". Taki wlasnie typ ludzki prezes Kaczynski kocha: od wymyslania prochu jest w partii on. Niczym powiesciowy pan Kmicic, ktory najbardziej lubil ludzi prostych, bo kazdy rozkaz "bez szemrania" wypelniali.

Nie chce w niczym obrazac Gosiewskiego czy innych politykow, ktorych w miare sprawowania wladzy wysuwal Kaczynski na kluczowe miejsca w partii – ale chyba nikt nie zaprzeczy, ze posrod przymiotow, ktorymi ich Pan, w roznym zreszta stopniu, przyozdobil, brakuje charyzmy i blyskotliwosci. Firma nie moze odnosic sukcesow, majac wylacznie sumiennych referentow i ksiegowych. Musi miec jeszcze choc kilku kierownikow dzialow. Rzecz w tym, ze taki kierownik dzialu musi od czasu do czasu umiec sie postawic prezesowi, uprzec przy swoim zdaniu, powiedziec w oczy: myli sie pan.

Jest wiele personalnych posuniec Kaczynskiego, zarowno w obsadzie stanowisk panstwowych, jak i w samej partii, ktorych

zrozumiec po prostu nie sposob. Dlaczego na przyklad nieoczekiwanie zdymisjonowal wojewode mazowieckiego Tomasza Kozinskiego, wobec ktorego nie bylo zadnych zarzutow ani zastrzezen, czlonka Prawa i Sprawiedliwosci, ktory nigdy sie nie wykazal wobec swej partii zadna nielojalnoscia, i jeszcze na dodatek zdecydowal o tej dymisji, wchodzac "przez reke", bez konsultacji, w kompetencje owczesnego szefa MSWiA Dorna, co prawdopodobnie bylo jedna z ostatnich kropli przepelniajacych kielich – zeby mianowac czlowieka katastrofe, ktorego odwolac trzeba bylo z wielkim wstydem po dwoch tygodniach, bo dal sie krotko wczesniej zlapac na jezdzie po pijaku rowerem, a gdy mu to wytknieto, zabrnal w tak glupie kretactwa, ze szybko stal sie posmiewiskiem wszystkich mediow? Zlosliwi twierdza, ze dlatego, iz Kozinski jest czlowiekiem wysokim i przystojnym, a jego nastepca postura przypominal prezesa; nie cytowalbym zlosliwosci, gdyby nie fakt, iz o racjonalne wyjasnienie tego posuniecia naprawde trudno. Takich dziwacznych decyzji podejmowal Kaczynski wiele – tego nagle faworyzowal, tamtego odsuwal, innego przesuwal, a gdy probowano cos wyjasniac, oznajmial nieznoszacym sprzeciwu tonem: podjalem juz decyzje!

Od pewnego momentu Prawo i Sprawiedliwosc przestalo rokowac nadzieje jako partia. Ludzie z dolu, ktorzy czyms rzeczywistym sie wykazali, byli blokowani, odsuwani, przegrywali w lokalnych strukturach – a to oznacza takze lokalne listy wyborcze – z tymi, ktorych faworyzowala "gora", czy przez znajomosci, czy z racji pokrewienstwa, czy umiejetnosci podlizania sie komu trzeba. Podobnie jak w SLD po przeksztalceniu go przez Millera w jednolita partie, partia zatracila wszelka spontanicznosc, stala sie piramidka, z "baronami" majacymi przystep do prezesa i ich wasalami, transmitujacymi decyzje "gory" w teren.

Wroce do czegos, co pisalem na samym poczatku tej ksiazki. Otoz jedna z "chorob zawodowych" polityka jest cos, co sami politycy nazywaja "utrata zludzen co do ludzi". I tych ludzi, o ktorych glosy zabiega, i tych, z ktorymi pracuje. Tych pierwszych, bo doswiadczenie pokazuje, ze jako zbiorowosc wyborcy przejawiaja nieskonczona glupote. Na prawde reaguja zloscia i tupaniem, na klamstwa – wybuchami nadziei i uwielbienia. A jesli jeszcze klamstwo okrasi sie komplementami, chocby na mile jadacymi oszustwem, to zachwyt wrecz nie ma granic. Nie wiem, czy Jacek Kurski rzeczywiscie uzyl frazy "ciemny lud to kupi" – ale wiem, ze tak politycy mysla. Jak moga myslec inaczej? Gdyby nie klamali, nie stosowali chamskiej demagogii, tylko probowali z

wyborcami uczciwie rozmawiac, nie pozostalaby po nich mokra plama. Ludzie sa, jacy sa – kiedy w supermarkecie jakies badziewie zupelnie sie nie chce sprzedawac, pisze sie na nim "Promocja! 50% taniej!", podnosi cene o polowe – i schodzi. W polityce podobnie.

A co do tych, z ktorymi sie pracuje – no coz, im wiecej polityk moze, tym gorszy element ludzki zaczyna sie wokol niego klebic i zalatwiac swoje interesy. Im dluzej to trwa, tym silniejsze przekonanie, ze wszyscy ludzie sa wlasnie tacy, do kupienia, trzeba jedynie skalkulowac cene. Z czasem przyzwyczajenie do takiego traktowania ludzi staje sie na tyle silne, ze czlowiek ideowy, nieprzekupny, wzbudza niepokoj – a ten w co gra, o co mu chodzi, co kombinuje? Bo ze czlowiek moze nie grac w nic, to juz po jakims czasie przestaje polityk w ogole brac pod uwage. Jak w tym kawale o producentach sera, ktorzy stopniowo proponujac coraz wyzsza lapowke, usilowali namowic papieza, zeby zamiast "chleba naszego powszedniego" kazal wiernym modlic sie "sera naszego powszedniego daj nam Panie"; a gdy mimo wielokrotnego podniesienia kwoty papiez odmawia, pytaja sami siebie ze zdumieniem: "Ci piekarze to chyba zglupieli, ze mu zaplacili jeszcze wiecej!".

Uwazam, ze te choroby nie ominely Jaroslawa Kaczynskiego i dalo sie to zauwazyc szczegolnie w koncowce jego rzadow oraz po przegranych wyborach. Kaczynski coraz bardziej promowal ludzi, za ktorymi jednoczesnie z punktu posylal kontrolerow, aby nakryc ich na szwindlach. I o ktorych jednoczesnie wyrazal sie bez cienia szacunku, niekiedy wrecz jakby dajac do zrozumienia: z takimi ludzmi musze pracowac, widzicie? A zarazem wydawal sie nie rozumiec, ze skoro sam wprowadzil takie zasady gry, skoro uruchomil wokol siebie licytacje lizusostwa i bezwolnego posluszenstwa, to na lepszych ludzi liczyc nie moze.

To tez ciekawy watek. W srodowisku dziennikarskim chodzila kiedys opowiesc o tym, jak prezes PC – byla pierwsza polowa lat dziewiecdziesiatych – prowadzil rozmowy o ewentualnej wspolnej liscie wyborczej z ZChN. Prowadzil je tak, iz bezustannie wypominal ZChN-owcom, ze dali ciala w rzadzie Suchockiej, ze sa marna banda karierowiczow, a poza tym jako partia praktycznie w terenie nie istnieja. Obserwujacy to dziennikarze sadzili oczywiscie, ze to jakas przemyslna strategia, ze Kaczynski po prostu od samego poczatku nie chcial porozumienia. On sam tymczasem, pytany, dlaczego mowil partnerom takie rzeczy, skoro jednak wspolna lista byla w obopolnym interesie (z jej

braku ostatecznie nie wszedl do sejmu z prawicy nikt), odpowiedzial z przekonaniem: no bo przeciez to prawda!

Moja hipoteza jest taka, ze latwosc wytykania ludziom ich gorszych stron, wiecej nawet, obrazania ich, z czasem coraz bardziej hurtowo, tak fatalna u polityka, bierze sie u Kaczynskiego z potrzeby psychologicznej kompensacji. Z jednej strony – jest, jak sadze, czlowiekiem naprawde ideowym. Gdyby polityka nie byla dla niego historyczna misja, gdyby chodzilo mu tylko o wladze dla wladzy i dla jej profitow, moglby je wielokrotnie osiagnac, po prostu traktujac wlasne diagnozy nieco mniej powaznie. Z drugiej – tkwi w polityce od tak dawna i zabrnal w tyle zgnilych kompromisow, ze nie moze to w czlowieku uczciwym nie budzic wyrzutow sumienia. I zwyczaj takiego "walenia prawdy w oczy" w jakis sposob pozwala Kaczynskiemu nad owymi wyrzutami sumienia zapanowac. Uzywam cie, Lepperze, bo jestem politykiem, ale poniewaz jestem tez uczciwym czlowiekiem, to ani mysle udawac, ze nie wiem, co o tobie i tej metowni, ktora za soba ciagniesz, uwazac. Gram na waszych, wyborcy, niskich instynktach, bo dobrze wiem, ze inaczej bym waszych glosow nie zdobyl, ale nie upadlem tak nisko, zeby robic do tego dobre miny i udawac, ze nie wiem, jacy naprawde jestescie.

Obronca Kaczynskiego na pewno siegnie po argument: gdyby Kaczynski rzeczywiscie byl tak cyniczny, nie oddalby wladzy z powodu "afery gruntowej". Kazalby zostawic Leppera w spokoju i rzadzilby dalej. Prawda?

Hm, chyba niekoniecznie. Rownie dobrze mozna uznac, ze Kaczynski przelicytowal. Powiedzmy, uznal nie tyle, ze "zasady zobowiazuja", co ze trzeba sie Leppera w koncu pozbyc, skoro jest okazja, i ze jest to do zrobienia, bo kiedy sie go odstrzeli – to jego ludzie beda musieli przejsc do PiS i sluchac albo straca wszystko, immunitety, ktorych tak bardzo potrzebuja, diety, biura, ryczalty, poselskie kredyty i wszystkie inne apanaze.

Pytanie, ktore chyba warto zadac: dlaczego tak sie nie stalo? Przeciez, na zdrowy rozum, poslowie Samoobrony rzeczywiscie powinni podporzadkowac sie Kaczynskiemu; zyskaliby na tym. Czyzby rzeczywiscie okazali sie ludzmi ideowymi?

Mysle, ze rachuby Kaczynskiego – jesli trafnie je odczytuje – zniweczyl on sam. Owszem, poslowie Samoobrony mogliby do niego przejsc, ale wtedy, gdyby stworzyl im jakis pozor, ze

postepuja godziwie. Tymczasem Kaczynski zachowywal sie wobec nich jak Radziwill "Panie Kochanku" rozdajacy w Pamiatkach Soplicy dary szlachcicom ze slowami "nasci, kpie! – darujec, durniu! – bierz, baranie!". Tylko ze panowie bracia w tej scenie przelykali upokorzenie i chetnie dary przyjmowali, a poslowie Samoobrony i LPR poza kilkoma, co nie wystarczylo, z oferty pozostania w Sejmie przez nastepne dwa lata za cene demonstracyjnego upokorzenia nie skorzystali.

Czy nie przesadzam? Moze. Ale prosze siegnac po wywiad, ktorego Jaroslaw Kaczynski udzielil "Rzeczpospolitej" – nietraktujacej go przeciez tak, jak Orkiestra – tuz po wyborczej klesce. Najpierw prezes PiS potepia spodziewane ze strony Platformy proby wyciagania poslow z jego partii, by w ten sposob stworzyc wiekszosc rzadowa (koalicja z PSL nie byla jeszcze wtedy przesadzona), i zapowiada, ze nic z tego nie bedzie, bo "nikt w PiS nie okaze sie na tyle pozbawiony honoru, zeby przejsc do obozu zwyciezcy". A kilka akapitow dalej bez cienia zazenowania przyznaje Kaczynski, ze taki dokladnie byl jego scenariusz pozytywny: nie liczyl, bo to byloby kompletnym brakiem realizmu, na wynik dajacy szanse samodzielnych rzadow. Natomiast liczyl na zwyciestwo nad Platforma na tyle wyrazne, aby przegrany po raz kolejny Donald Tusk zostal we wlasnej partii odsuniety od steru i aby czesc poslow dala sie skaptowac do poparcia rzadu PiS; w tym celu, jak sie zdaje, Kaczynski gotow byl powierzyc premierostwo Rokicie.

Czyli, mowiac krotko, w drugiej kadencji Kaczynski zamierzal rzadzic rekami "zbrodniarza", w oparciu o sejmowa wiekszosc zbudowana z ludzi pozbawionych honoru. "Jasnie pana wlasne slowo".

Napisalem wczesniej – przy metaforze o rzadach PiS jako o forsowaniu bagien najpierw sciezka, potem przecinka, a w koncu skakaniem po kepach – ze Kaczynski utonal tuz przy brzegu, otarlszy sie o zwyciestwo. Zwyciestwo wyborcze rzeczywiscie bylo mozliwe. Gdyby Platforma nie znalazla w ostatnich tygodniach wlasciwego tonu kampanii i gdyby nie "filipinskie wirusy", ktore pomogly jej odebrac glosy LiD-u, frekwencja moglaby byc o dziesiec procent nizsza, a kolejnosc jak w sondazach z konca wrzesnia 2007 – najpierw PiS, PO wyraznie mniej, za to LiD pod dwudziestke. Zwracam uwage, ze ten LiD w pewnym momencie wyraznie uznany zostal przez Kaczynskiego za klucz do zwyciestwa nad Tuskiem. Prezes PiS oszacowal trafnie, ze nie wyjdzie poza elektorat, ktory sobie wyznaczyl –

mowil, ze liczyl na piec milionow glosow (mniej wiecej zsumowane glosy PiS, LPR i Samoobrony z poprzednich wyborow), i tyle rzeczywiscie dostal. Gra szla o to, by reszta odpowiednio sie podzielila. Dlatego w trakcie kampanii wyraznie staral sie premier skierowac glosy swych zajadlych wrogow ku lewicy, przy kazdej okazji podkreslajac, ze to SLD i Kwasniewski sa jego prawdziwymi przeciwnikami, a Tusk to tylko "pomagier", byle kto, lawirant bez zdecydowanych pogladow.

Czy dlatego tez wlasnie sledztwa, ktore mogly mocno lewice skompromitowac – na przyklad w sprawie szwajcarskich kont czy Laboratorium Frakcjonowania Osocza – niepostrzezenie zaczely sie przed wyborami rozmywac i wyhamowywac? Tu mozna jedynie snuc domniemania. Ale tak czy owak, trudno nie stwierdzic, ze polityczna gra znowu wszystko zdominowala. Owszem, w przyszlosci oczyscimy Polske z postkomunistycznego Ukladu, ale zeby moc to zrobic, na razie trzeba sie zwiazac nieformalnym porozumieniem wlasnie z postkomunistami, aby pozbyc sie konkurenta do elektoratu centroprawicowego. Jednoczesnie niszczac tego konkurenta oskarzeniem, ze dla odebrania wladzy PiS gotowe jest wejsc z postkomunistami w sojusz.

Co skadinad nie bylo nieprawda.

Trudno pozostac dlugo politykiem i nie nabrac pogardy dla ludzi. Jesli nie wczesniej, to w roku 2005 Kaczynski ostatecznie sie przekonal, ze aby wygrac, trzeba zagrac na chama, pojsc po bandzie, nie bac sie demagogii i walic z grubej rury. Kaczynski rzadko przejmowal cos od innych; w tym wypadku, jak sie zdaje, dal sie przekonac swym spin-doktorom, Kaminskiemu i Bielanowi, i pozniej tego nie zalowal. Co prawda to, co mieli oni do doradzenia, miescilo sie w ogolnej ewolucji politycznej Kaczynskiego, ktory z latami coraz bardziej przesuwal sie w strone populizmu i coraz latwiej siegal po socjalna demagogie. W poczatku lat dziewiecdziesiatych domagal sie przyspieszenia prywatyzacji, a potem nigdy nie wdal sie w licytacje z centroprawicowym drobiazgiem, kto glosniej bedzie atakowac Balcerowicza za "zniszczenie Polski" i opowiadac o socjalnym raju. W roku 2005 juz tych skrupulow nie mial. Kampania ze znikajacymi pluszakami i pustoszejaca lodowka, wymierzona w obiecywana przez PO reforme podatkowa, byla demagogiczna i glupia – ale okazala sie skuteczna. Kaczynski powiedzialby pewnie, ze po prostu liczyla sie ze spolecznymi realiami. A spoleczne realia byly takie, ze od zawsze wygrywal ten, kto

uzywal socjalnej demagogii, kto prezentowal sie jako obronca biednych przed bogatymi, odwolywal do elektoratu starszego wiekiem, wzdychajacego do peerelowskiego bezpieczenstwa socjalnego i mieszkajacego na prowincji. Bo zawsze w dziejach III RP to ten elektorat decydowal.

W roku 2007 PiS urzadzilo powtorke z rozrywki. Znow bylo wyznaczenie podzialu na "zwyklych ludzi" i "salon", w ktorym szemrani biznesmeni zwracaja sie do siebie per "mordo ty moja" (cytat z filmu Barei Co mi zrobisz, jak mnie zlapiesz – jakos nikt tego nie zauwazyl, wiec informuje). Znow znaleziono straszaka na biedote i emerytow – tym razem zamiast podatku liniowego byla to prywatyzacja szpitali. W bijacym rekordy demagogii, ale emocjonalnie bardzo mocnym spocie pogotowie odmawia udzielenia pomocy umierajacemu czlowiekowi, bo nie ma on karty kredytowej – pointe stanowi wyplaszczajacy sie do rownej linii wykres EKG. Kto chce, niech wierzy, ze tylko zupelnym przypadkiem akurat w szczycie tej kampanii CBA powrocilo do ujawnionej juz kilka tygodni wczesniej (wowczas bez wielkiego rezonansu) sprawy poslanki Sawickiej, oglaszajac tasmy z podsluchow, na ktorych zapowiadala ona, ze "biznes na sluzbie zdrowia bedzie robiony". Tu zreszta po raz pierwszy w dziejach takich starc trafila kosa na kamien, bo spin-doktorzy PO zareagowali zagrywka jeszcze bardziej chamska i prymitywna, ale przez to wlasnie jeszcze bardziej skuteczna – rzeczona Sawicka na wyrezyserowanej konferencji prasowej rozplakala sie, blagajac ministra (chodzilo chyba o Mariusza Kaminskiego), zeby jej nie zabijal, a potem zemdlala. Orkiestra oczywiscie natychmiast oglosila Sawicka ofiara "przestepstw" CBA; pare miesiecy potem, juz po wyborach, prokuratura stwierdzila, ze zadnych przestepstw nie bylo, dzialania CBA wobec poslanki PO byly calkowicie zgodne z prawem, ale oczywiscie nie mialo to juz wowczas wielkiego znaczenia.

Potem, gdy okazalo sie, ze piec milionow glosow nie wystarczylo do zwyciestwa, na pisowskich spin-doktorach skupilo sie cale rozgoryczenie, zlosc i frustracja partii, ktorej czlonkowie, zupelnie tak samo jak dwa lata wczesniej "premier z Krakowa" i "prezydent Tusk", dlugo nie byli w stanie zrozumiec, co sie wlasciwie stalo. Zarzucano Kaminskiemu i Bielanowi, ze zle sformulowali przeslanie propagandowe, ze za duzo pieniedzy wydali na spoty telewizyjne, a za malo dali regionom… Oczywiscie, mozna powiedziec, ze okazali sie tymi przyslowiowymi generalami, ktorzy wiedzieli doskonale, jak wygrac poprzednia wojne. Powtorzyli dokladnie to, co dalo

sukces dwa lata wczesniej, ale tym razem okazalo sie, ze to juz do sukcesu nie wystarczylo. Polska sie zmienila. Latwo zarzucac szefom kampanii, ze tego nie zauwazyli i nie uwzglednili. Tylko nic nie wskazuje, ze ci, ktorzy potem ich krytykowali, byli zdolni te zmiane zauwazyc. A jesli nawet, to zeby byli zdolni zwrocic na nia uwage swojemu prezesowi. Do czasu przyspieszonych wyborow Jaroslaw Kaczynski zdolal calkowicie oczyscic swe otoczenie z ludzi potrafiacych powiedziec mu cokolwiek wiecej niz: alez pan wspaniale powiedzial, panie prezesie! Alez pan dobrze im przywalil! Brawo!

I to byla – jak by to ujal Saddam Husajn – Matka Wszystkich Jego Klesk.

***

Ja zapewne nie jestem reprezentatywny dla elektoratu. Dlatego na takich ludzi jak ja zaden polityk specjalnie nie zwaza, bo dla nich istnieja tylko grupy zauwazalne w sondazach ("macie racje, ale nie bede was popieral, bo jest was za malo" – powiedzial kiedys, szczerze do bolu, prezes PC dzialaczom stowarzyszenia okradzionych przez PRL wlascicieli; a dziesiec lat pozniej, gdy sprawe reprywatyzacji podniosl Tusk, posunal sie do demagogicznych zdan o tym, ze zwrot ukradzionego obywatelom mienia oznacza, iz "dzieci biedakow beda placic dzieciom bogaczy"; zwrot jakby zywcem wziety od przedstawiciela komunistycznego betonu, nieslawnego senatora Jarzebowskiego, ktory przeciwko reprywatyzacji uzywal argumentu "nie bedziemy oddawac folwarkow jasnie panom"). Ja naleze do tych, ktorzy w Kaczynskim widzieli polityka nie zadnej tam prawicy, bo co to za prawicowiec, ktory wygaduje tyle socjalnych bredni, tylko obozu antypeerelowskiego. Skoro juz POPiS nie powstal, nie liczylem, ze Kaczynski da Polsce wolnosc gospodarcza, ze poskromi biurokracje i rozmaite lobbies, w tym zwiazki zawodowe. Ale sadzilem, ze pewne rzeczy zrobi. Ze bedzie konsekwentnie dzialal na rzecz calkowitego odsuniecia pogrobowcow PZPR od wplywu na panstwo i ze otworzy wszystkie szafy Lesiaka oraz archiwa IPN.

Co do PZPR – juz o tym pisalem. Szafa Lesiaka, jak wszyscy wiedza, jak byla zamknieta, tak pozostala – poznalismy drobna

czesc dokumentow. Natomiast lustracje, o ktora starala sie grupa mlodych poslow PiS, Kaczynscy, po raz drugi w tym rozdziale uzyje tego slowa, spieprzyli kompletnie.

Jest tylko jeden sposob na uporanie sie z dziedzictwem komunizmu: otworzyc kartoteki. Tak samo jak zrobili to Niemcy. Pozwolic swobodnie badac papiery naukowcom, dziennikarzom, ale takze zagladac do nich pracodawcom, jesli ktorys bedzie mial watpliwosci, czy jego podwladny nie byl aby kapusiem. W Niemczech, kraju, przypomne, nalezacym do UE od dawna i bez watpienia cywilizowanym, to sie sprawdzilo. Sprawdzilo sie tez w Czechach i na Wegrzech. Dokladnie to samo chcieli zrobic mlodzi poslowie PiS; charakterystyczne, ze nie liderzy partii, ci okazali sie miec do sprawy stosunek, jak to ujal Kaczynski w cytowanej juz rozmowie, ambiwalentny. Otworzyc i juz – kto bedzie musial odejsc z zycia publicznego, odejdzie, kto podpisal, ale wielkich swinstw nie robil, pokaze swe akta i odda sie pod osad, i nie bedzie juz mozliwosci grania papierami, szantazowania, robienia przeciekow.

Wspolnymi silami PiS i PO przyjeto ustawe. Dobra. A potem wzieli sie za nia senatorzy z panem prezydentem i zaczela sie masakra.

Pewien czcigodny senator, ktoremu za mlodu zdarzalo sie – o czym wiedziala nie tylko esbecja, ale i pol Warszawy – uprawiac seks z osobami plci przeciwnej i ktory teraz z niewiadomych przyczyn strasznie sie tego wstydzi, zaczal na wszystkich mozliwych forach krzyczec, ze tak nie moze byc, zeby kazdy mogl sobie w ubeckich kartotekach poczytac o jego milosciach. Niestety, koledzy z senatu w wiekszosci podzielili to zdanie. Wychodzac im naprzeciw, Lech Kaczynski zaproponowal wiec generalna zmiane w ustawie: zamiast otwarcia archiwow system stosowany przy lustrowaniu kandydatow na wysokie urzedy panstwowe, to znaczy kazdy sklada oswiadczenie, a jesli zlozy nieprawdziwe, czekaja go za to sankcje karne.

Tylko ze taki system swietnie sie sprawdza, kiedy do zlustrowania jest kilkaset osob ubiegajacych sie o pozycje spoleczna, przy ktorej prywatnosc jest w naturalny sposob ograniczona. A poprawiacze ustawy – chyba nawet nie zdajac sobie z tego sprawy – objeli obowiazkiem skladania oswiadczen kilkaset tysiecy osob. Samo w sobie bylo to daniem do reki rozmaitym lwankom i innym liderom antylustracyjnego lobby poteznej broni. Co jednak najwazniejsze, jak potwierdzi kazdy

pracownik IPN, podpis podpisowi, a wspolpraca wspolpracy rowne nie byly. Owszem, w czasach peerelu zwerbowano liczna rzesze agentow. Ale jeszcze wieksza byla rzesza tych, ktorzy w ten czy inny sposob probowali sie wykrecic, a nie mieli tyle odwagi, bo, powiedzmy sobie szczerze, malo kto mial, by powiedziec ubekowi wprost: bujaj sie. Z kolei ubecy chetnie wciagali ofiare, na zasadzie – niech pan tylko podpisze zobowiazanie, ze nikomu pan o tej rozmowie nie powie, zeby potem miec juz na goscia haka, bo cos podpisal. Wielu ludzi, starajac sie o paszport, o stypendium – szczegolnie wazne w naukach scislych – podpisywalo "instrukcje wyjazdowe" czy zobowiazania, ze nie beda sie zadawac z obcymi wywiadami. Nie byly to zbrodnie i gdyby szlo o otwarcie archiwow, ludzie tacy nie mieliby sie czego wstydzic. Ale przyjety model oswiadczenia lustracyjnego wszystkich zrownywal. Oswiadczenie kogos, kto podpisal "instrukcje wyjazdowa", nie roznilo sie od oswiadczenia zadeklarowanej szui, pograzajacej kolegow w zamian za pieniadze i awanse. A zanim ktokolwiek zweryfikuje bez mala milion oswiadczen i zaswiadczy o prawdzie…

Znam ludzi, ktorzy podejrzewaja prezydenta i jego brata o makiaweliczny plan uwalenia lustracji rekami Trybunalu Konstytucyjnego. Obaj, jako prawnicy, nie mogli przeciez nie wiedziec, ze prezydenckie poprawki nie maja szans sie przed nim utrzymac. Wedle tej makiawelicznej interpretacji szlo o to, by zyskac propagandowy argument przeciwko Trybunalowi (ktory faktycznie nie umial w tej sprawie zachowac naleznej bezstronnosci – prosze sobie przypomniec ten pospiech, z jakim za wszelka cene staral sie wydac wyrok przed dniem wejscia w zycie ustawy), a zarazem by do lustracji powszechnej nie dopuscic. Nie potrafie tylko zrozumiec, dlaczego Kaczynscy jej nie chcieli. Ale ze nie chcieli, to dzisiaj juz rzecz oczywista.

****

Sygnalem alarmowym, ze Kaczynscy zaczynaja gonic w pietke, byl szczyt w Brukseli i sposob negocjowania traktatu lizbonskiego. Najpierw przez czas dlugi upierali sie Kaczynscy przy pierwiastkowym sposobie liczenia glosow. Byl to pomysl trudny do przeforsowania z uwagi na inercje panujaca w Europie – skoro zostal juz wczesniej na okolicznosc eurokonstytucji

osiagniety konsensus co do glosowania "podwojna wiekszoscia", a tyle pozostalo spraw nierozstrzygnietych, lepiej juz do rozmowy na temat sposobu wazenia glosow nie wracajmy, krzyknela jednym glosem cala europejska dyplomacja. Ale istnialy silne i godziwe argumenty, ze "pierwiastek" to pomysl dobry nie tylko dla Polski, ale takze dla calej Europy. Co wazne, co do upierania sie przy "pierwiastku" istniala parlamentarna zgoda z Platforma.

Do samego szczytu polscy negocjatorzy – Marek Cichocki i Ewa Osniecka-Tamecka – cieszyli sie wiec zdecydowanym wsparciem wladz, a nasza propaganda pelna byla bunczucznych zapowiedzi, ze predzej uwalimy caly traktat, niz zgodzimy sie w kluczowej dla nas sprawie na ustepstwo. Mniej wiecej taka sama odpowiedz uzyskal nowo wybrany prezydent Francji Nicolas Sarkozy, gdy kilka tygodni przed szczytem zaproponowal podczas wizyty Polsce, ze za rezygnacje z "pierwiastka" i zgode na wydluzenie czasu funkcjonowania tak zwanego "mechanizmu z Joaniny", czyli prawa blokowania wspolnych decyzji przez kraje majace lacznie dziewietnascie procent unijnej ludnosci (Polska musialby wiec dobrac sie na przyklad z Hiszpania) Francja zobowiaze sie do stalych konsultacji z Polska w sprawach dotyczacych polityki wschodniej.

Jesli, jak potem twierdzili Kaczynscy, pierwiastek byl tylko blefem i nie zamierzali sie przy nim upierac – to trzeba bylo wziac to, co Sarkozy wowczas zaoferowal. Nie wzieto. Lech Kaczynski pojechal na szczyt razem z wykreowana przez siebie minister spraw zagranicznych Anna Fotyga – osoba bez doswiadczenia i, niestety, rownie jak on nieorientujaca sie w zawilosciach unijnych procedur i praw. I na tym szczycie nagle, w nocy, stalo sie cos niepojetego. Dotychczasowi negocjatorzy, ktorzy ponoc na ten moment zdolali do pierwiastka namowic juz siedemdziesiat procent panstw, zostali nagle odsunieci od rozmow – ba, nie zostali nawet przez jego ochrone wpuszczeni do pokoju, gdzie przebywal prezydent! – ten zas, wraz z Fotyga, konsultujac sie telefonicznie z bratem, zgodzil sie na "Joanine". O polsko-francuskich konsultacjach juz mowy nie bylo.

Co juz bylo szczytem wszystkiego, przyjechawszy do kraju, Lech Kaczynski otrabil wielki sukces, a Jaroslaw nakrzyczal na opozycje i na dziennikarzy, ze kwestionowanie tego sukcesu to "skonczona podlosc". Wowczas to przewodniczacy sejmowej komisji spraw zagranicznych Pawel Zalewski pozwolil sobie publicznie zadac pytanie, na czym ten sukces polega, skoro zgodzilismy sie na mniej, niz nam oferowano wczesniej. Za kare

zostal usuniety z partii, a Lech Kaczynski oznajmil w telewizji, ze zrywa z nim stosunki towarzyskie. Wydaje mi sie, ze prezydent obrazil sie nie tyle za siebie, co za pania Fotyge; jak pokazal wielokrotnie, na wszelka krytyke jej osoby (a trudno bylej minister nie krytykowac) jest on bardzo wyczulony i sklonny do reakcji trudnych do wytlumaczenia.

Co naprawde stalo sie w Brukseli, trudno orzec. Najbardziej prawdopodobna jest wersja wydarzen, zgodnie z ktora dyplomaci jednego z panstw z jednej strony zdolali nastraszyc Fotyge, iz szczyt zaraz sie przez glupi upor Cichockiego i Osnieckiej zalamie i cale odium spadnie na Polske; z drugiej zas ktorys z prezydentow po przyjacielsku ostrzegl Kaczynskich, ze "pierwiastek" to zreczna intryga Platformy majaca na celu skompromitowanie ich w Europie. Wyjasnialoby to, dlaczego prezydent nagle odsunal dotychczasowych negocjatorow, nie chcac nawet z nimi rozmawiac, i zgodzil sie na "Joanine", ktora uznal za jakis wielki sukces – gdy w istocie jest to guzik wart zapis spoza tak zwanego prawa pierwotnego Unii, a wiec latwy do zmiany. W kilku wypowiedziach po szczycie i prezydent, i Fotyga twierdzili potem, ze "uzyskali ustne zapewnienie", iz do sprawy wroci sie na nastepnym szczycie, gdzie Polska bedzie jeszcze mogla cos wynegocjowac. Oczywiscie, ustne zapewnienie nie bylo nic warte, bo mandat negocjacyjny kolejnego szczytu zostal juz wczesniej scisle okreslony, nie przewidywal powrotu do dyskusji o sposobie glosowania i nawet gdyby ktos chcial, zmienic tego nie bylo mozna. Jesli znajac pewne cechy charakteru braci i ich sposob myslenia, mogl ich rozegrac Kaczmarek – to nie jest nieprawdopodobne, ze tak samo, wykorzystujac ich obawy i slaba wiedze o sprawach miedzynarodowych, okpili polskiego prezydenta i jego brata unijni partnerzy. Jakkolwiek to zrobiono – fakt faktem, ze w Brukseli Kaczynski zachowal sie absurdalnie i ze w koncu wyszlismy tam na durniow, ktorzy upieraja sie, ze nie oddadza ani guzika, a potem na pierwsze zmarszczenie brwi oddaja posluszne cale gacie. Dodatkowo osmieszylismy sie jako obludnicy, ktorzy upierajac sie przy "pierwiastku", twierdzili, ze walcza o lepszy system dla calej Europy, a potem latwo przyznali, ze to byl tylko blef, poniewaz chodzilo wylacznie o nasz partykularny interes.

Dla Polski moze nie byla to jakas historyczna kleska – traktat jest, jaki jest, jak na cos, co stanowi konsensus dwudziestu siedmiu panstw, i tak niezly, a dla Polski raczej korzystny; choc gdyby udalo sie namowic Europe do "pierwiastka", byloby lepiej.

Dla Kaczynskich natomiast byla to klapa kompletna (gdybyz przynajmniej nie probowali potem wmowic, ze odniesli wielki sukces!), z czego chyba po jakims czasie zdali sobie w koncu sprawe. Dowodza tego ich histeryczne reakcje na wszelka krytyke tego "wielkiego sukcesu", a zwlaszcza trudna do racjonalnego wytlumaczenia awantura, jaka wywolalo PiS, juz po utracie wladzy, podczas ratyfikacji, domagajac sie nagle jakichs bezsensownych w swietle prawa ustaw zakazujacych na przyszlosc zmian w traktacie.

***

Na trzy tygodnie przed wyborami czolowi komentatorzy Orkiestry pisali – prosze sprawdzic, kto nie wierzy – ze, niestety, zwyciestwo Kaczynskich jest nieuniknione. Bo po pierwsze, Kaczynski znalazl klucz do dusz (nie uzywali tego slowa, ale o to chodzilo) polskiego motlochu. Bo cokolwiek napisza, powiedza, oglosza w swych mediach ludzie madrzy i na poziomie, to nie ma najmniejszego znaczenia dla wiochy i biedoty, ktora PiS popiera, poniewaz nienawidzi ludzi wyksztalconych, bogatych, miastowych, i PiS do tej nienawisci umie sie odwolac. A poza tym – powtarzali medrkowie – Kaczynski, niestety, wygra, poniewaz odkryl on, ze nie nalezy robic kampanii wyborczych adresowanych do wszystkich, bo chciec sie podobac wszystkim to znaczy nie podobac sie nikomu; Kaczynski nastawil sie na swoj elektorat, ten niezadowolony, pokrzywdzony podczas transformacji ustrojowej, klerykalny, nietolerancyjny etc, i ten elektorat mu do zwyciestwa wystarczy.

A PiS sprawialo wrazenie, jakby z tych wlasnie tekstow czerpalo natchnienie, jak wygrac. Ciekawe; gdyby wybory odbyly sie trzy tygodnie wczesniej…

Napisalem: PiS utonelo tuz przy brzegu, o wlos od zwyciestwa w wyborach. Ale – trzeba sie zastanowic – czy zwyciestwo wyborcze byloby rzeczywiscie zwyciestwem, czy tylko przedluzeniem tej szarpaniny, jaka okazaly sie koniec koncow dwa lata rzadow PiS? Czy ludzie, ktorzy zajeliby miejsca Kaczmarka, Netzla, Kornatowskiego i Marca rzeczywiscie byliby lepsi od poprzednikow? Czy wiekszosc sejmowa budowana na rozlamach okazalaby sie trwala? Czy poprawilaby sie polityka

zagraniczna? Czy znaleziono by i rozbito Uklad?

Nie musze, szczesliwie, odpowiadac na te pytania. Cytowani przed chwila medrkowie nie mieli racji. Nie mieli jej tez spin-doktorzy PiS. Nie wchodzi sie dwa razy do tej samej rzeki.

Paradoksalnie przegrana PiS wynikla w jakis sposob z tego, co mu sie akurat podczas dwoch lat rzadzenia udalo. Polacy generalnie – dowodza tego badania socjologiczne – poczuli sie znacznie lepiej. Po pierwsze, poprawil sie ich status materialny. Przeciwnicy PiS powiedza, ze dzieki czlonkostwu w Unii; ale to czlonkostwo zostalo dobrze wykorzystane, zadne wieszczone przez Orkiestre gospodarcze katastrofy nie mialy miejsca. A czlowiek jest tak skonstruowany, ze kiedy jest mu zle, to wini za to rzad, a kiedy jest mu dobrze, to jest dumny, ze sam na swa lepsza dole zapracowal, i nie poczuwa sie do wdziecznosci wobec kogokolwiek, a wobec rzadu zwlaszcza. Po drugie, zmniejszylo sie poczucie wszechobecnosci korupcji ("urzednicy zaczeli sie bac zadac lapowek" – czesto slyszalem to zdanie) i wzroslo poczucie bezpieczenstwa; jednego i drugiego dowodza badania, takze miedzynarodowe badania porownawcze. A skoro tak, to kampania wyborcza odwolujaca sie do niezadowolenia biednych i ich niecheci wobec bogatych, eksploatujaca obietnice walki z korupcja oraz wizerunek partii "pogromcow przestepcow" nie byla juz nawet w swym "targecie" tak nosna, jak dwa lata wczesniej.

Natomiast mobilizujac elektoraty Leppera i Giertycha, jeszcze skutecznie zmobilizowala ona – przeciwko PiS – ludzi, ktorych glownym problemem nie jest to, ze jacys nieuczciwi biznesmeni mowia do siebie "mordo ty moja", ale poblokowanie drog awansu. Ludzi, ktorzy chca sie dorabiac, chca sie urzadzac, budowac domy, zapelniac je elektronicznymi gadzetami, ktorzy chca do swiata, do Europy. Ci ludzie zobaczyli w Kaczynskich politykow, dla ktorych wszelki sukces jest podejrzany, a zycie na poziomie ciut lepszym od przecietnego to wrecz zbrodnia. Zobaczyli w nich wiec zagrozenie dla swoich marzen i zaczeli ich zywiolowo nienawidzic. Zwolennicy PiS powiedza, ze pod wplywem wrogich Kaczynskim mediow. Ja wielokrotnie staralem sie w tej ksiazce tlumaczyc, ze gdyby Kaczynscy sami nie dali do takich obaw podstaw, to najbardziej malpia zlosliwosc mediow nie zdolalaby wykrzesac niecheci do nich z niczego.

W pazdzierniku 2007 stalo sie cos bezprecedensowego – po raz pierwszy w III RP wielkie miasta przeglosowaly prowincje

(frekwencja w Warszawie byla dwukrotnie wieksza niz na scianie wschodniej), zadowoleni sfrustrowanych, a mlodzi starych.

Cos takiego prorokowalem w epilogu Michnikowszczyzny, odwolujac sie do historycznego porownania z Noca Listopadowa. Tylko sadzilem, ze bedzie to wygladac zupelnie inaczej, ze partia modernizacji, ktora zbierze owoce z ozywienia mlodej Polski, bedzie raczej PiS niz PO. Ozywienie nastapilo: do urn poszly trzy miliony mlodych ludzi, ktorzy wczesniej nigdy nie glosowali, co podnioslo frekwencje do rekordowego u nas poziomu piecdziesieciu procent. Ale dwie trzecie z tych ludzi poszlo do urn po to, zeby zaglosowac przeciwko Kaczynskim.

Zadecydowaly o tym dwie przyczyny. Pierwsza – PiS, objawszy wladze, przestalo byc partia dajaca nadzieje na modernizacje. Z polowania na Uklad nie wyniklo nic, a to, co wyszlo – dajmy na to, aresztowanie lekarza lapowkarza albo ujawnienie podsluchow Kaczmarka – zostalo zniweczone absurdalna przesada stwierdzen, ze "ten pan juz nikogo nie zabije" albo "znajda sie dowody takze na liderow PO". Przesada oczywiscie nieprzypadkowa, Zbigniew Ziobro, bodaj najpojetniejszy w PiS nasladowca Kaczynskiego, swiadomie chcial sie kreowac w "targecie" partii na wyraziciela Gniewu Ludu; tylko ze, na mocy wyzej opisanych mechanizmow, targetu juz to az tak nie bralo, natomiast poza nim wzbudzalo krancowa irytacje.

Z ministerstwa finansow wyprowadzono skorumpowanych urzednikow, ale nie podjeto zadnych dzialan systemowych. Nie sprobowano nawet ograniczac urzedniczej samowoli i uznaniowosci, reformowac. Zamiast tego dano ludziom nieudana lustracje, mundurki szkolne i wojne o symbole.

Nie twierdze, ze rzady PiS byly jakas katastrofa. Im dalej od nich, tym bardziej widac, ze nie – jeden po drugim rozdete przez Orkiestre zarzuty okazuja sie, delikatnie mowiac, grubo przesadzone i slabo uargumentowane. W jednych sprawach bylo lepiej, w drugich gorzej, ale wyborca nie dostrzega szczegolow. PiS dla tej grupy wyborcow, ktora byla dla wyniku decydujaca – grupy domagajacej sie, raz jeszcze powtorze, modernizacji – okazalo sie partia niemajaca do zaoferowania niczego dobrego, a z wielu powodow irytujaca.

Po drugie – po przebyciu dlugiej drogi udalo sie w role partii modernizacji wejsc Platformie. W ostatniej chwili. Jak wspominalem, najpierw dlugo wahala sie ona, czy byc super-PiS-

em, czy anty-PiS-em. W koncu zdecydowala sie na anty-PiS, po czesci dlatego, ze dobrze ja to ustawialo w zdominowanych przez Orkiestre mediach, po czesci, ze z czasem oczywiste sie stalo, iz PiS, "pozerajac przystawki", dosuwa sie do skraju sceny politycznej, rozczarowujac do siebie elektorat centrowy.

Ale bycie anty-PiS-em nie bylo sposobem na sukces. Donald Tusk w pore zdal sobie z tego sprawe i stanowczo odmowil udzialu w snutych przez Salon fantasmagoriach rzadu "wszyscy na Kaczorow", razem z komuna z jednej, a LPR i Samoobrona z drugiej strony. Slusznie, bo gdyby ten faworyzowany przez Orkiestre scenariusz zostal zrealizowany, PO skompromitowalaby sie szybko, rozliczenia poprzez sejmowe komisje, po ktorych tyle sobie Salon obiecywal, wypadlyby rownie blado, jak obecne polowania ministra Cwiakalskiego na mordercow laptopow, a PiS, zyskawszy potwierdzenie swych oskarzen, ze wszyscy inni to jedna sitwa, pardon, jeden Uklad, w nastepnym rozdaniu zapewne wrociloby w chwale i zwiekszonej sile.

Tusk przyswoil lekcje, ktora wynikala z politycznego zmartwychwstania Kaczynskich po rzadach AWS. Lekcje, iz polska scena polityczna kieruje sie zasada mniejszego zla. PiS nie dlatego w koncu skupilo glosy rozstrzelone wczesniej pomiedzy roznymi partiami prawicowymi, ze najlepiej spelnialo marzenia tradycjonalistow i antykomunistow, ale dlatego, ze koniec koncow nie mieli oni nikogo, kto by ich mogl reprezentowac. Ze strony Tuska rachuba byla prosta – wieksza liczbe glosow zdobedzie, jesli dla bardzo roznych srodowisk, od rozczarowanych zwolennikow IV RP po wscieklych antyklerykalow i michnikoidow, bedzie mniejszym zlem niz Kaczynski, niz gdyby ktoremus z tych srodowisk staral sie szczegolnie przypodobac.

Ale same – raz uzyje tego ukochanego przez Orkiestre okreslenia – "wyksztalciuchy" zwyciestwa by Platformie nie daly. A anty-PiS, czarno-biale bilbordy z obelgami pod adresem partii Kaczynskich i histeryczne "Tusku, musisz!" Orkiestry nie zmobilizowalyby tych dodatkowych dwoch milionow mlodych ludzi, ktorzy ostatecznie poszli do urn odsunac od wladzy PiS. Do tego, by do owych urn poszli – i zeby zaglosowali wlasnie na Platforme, nie na bardziej w swej antyprawicowosci wiarygodny LiD – nie wystarczylo, ze nie lubili Kaczynskiego. Musieli jeszcze uwierzyc, ze jego konkurent ma do zaoferowania to, czego oni chca. A czego chcieli? Juz mowilem.

Przelomem kampanii stala sie, wbrew czestym opiniom, nie telewizyjna debata, ktora tylko podtrzymala rodzaca sie tendencje – ale wczesniejsza o pare dni wizyta Tuska w Irlandii. Nie dlatego, zeby te kilkanascie, moze kilkadziesiat tysiecy glosow emigrantow cokolwiek zmienialo, ale dlatego, ze mowiac do nich, zwrocil sie Tusk do ich pozostalych w kraju rodzin, i do tych, ktorzy jeszcze nie wyjechali, i do tych, ktorzy woleliby nie wyjezdzac. Zwrocil sie do nich z przeslaniem zmodyfikowanym w stosunku do tego, ktore glosil wczesniej – nie tylko ze straszeniem panstwem Kaczynskich, ale tez, wreszcie, z obietnica, na ktora czekali – z obietnica, raz jeszcze powtorze to kluczowe slowo, MODERNIZACJI. Lepszej Polski. Polski bez tego cholernego kisielu, ktory skleja rece i nogi i zmienia codzienne zycie w ciagle uzeranie sie i mordege. Polski takiej jak Zachod, niekoniecznie ten prawdziwy, ale ten, jaki sobie wyobrazamy.

Czy ta obietnica byla prawdziwa, wiarygodna? Spytajcie mnie za rok. Byla w tym momencie jedyna, wiec PO wziela promodernizacyjny elektorat jak szufla. Tusk wyczul cos, co Kaczynski przeslepil, skupiajac sie na dogrywaniu "wojny na gorze" i tropieniu Ukladu. Choc – troche bede bronil tego swojego chybionego proroctwa z Michnikowszczyzny – w 2005 roku naprawde to on mial w reku wiecej atutow, mial wiecej danych, zeby zbudowac partie Modernizacji. PiS akcentowalo potrzebe walki z korporacjami, PiS wydawalo sie rozumiec, na czym polega Rzeczpospolita Samoobronna i wydawalo sie zdecydowanie mocno przeciwko jej mechanizmom wystapic.

Czy moglo rzeczywiscie te role odegrac? Gdyby Kaczynski byl innym czlowiekiem, nie tak zamknietym w swoich od lat powtarzanych i przez to zdezaktualizowanych diagnozach, nie tak przyzwyczajonym, ze zawsze ma racje, a wszyscy inni sie myla, zdolnym myslec w kategoriach menadzera, a nie wylacznie rewolucjonisty… Prozne gdybanie. Gdyby nie byl taki, jaki jest, nie przetrwalby klesk lat dziewiecdziesiatych i nie odbudowalby pozycji politycznej po upadku AWS. Niestety; cechy, ktore pozwolily mu na przetrwanie klesk, uniemozliwily wykorzystanie sukcesu.

Zwlekalem z napisaniem tej ksiazki, bo nie mialem pewnosci, czy wybory 2007 – mimo tej ich niezwyklosci, o ktorej wyzej pisalem – rzeczywiscie cos koncza, rzeczywiscie stanowia moment przelomowy. Te kilka miesiecy, ktore od nich minelo, pokazuja, ze sa one koncem kariery politycznej Jaroslawa Kaczynskiego. Z trzydziestu kilku procent glosow zdobytych w

wyborach, po wszystkich publicznych dasach, zadaniach przeprosin, napasciach na dziennikarzy "niemieckich" mediow, internautow i wszystkich innych okrzykach, w szybkim czasie pozostalo ponizej dwudziestu, a ewolucja partii poszla w strone LPR-bis. Co najwazniejsze, te kilka miesiecy pokazalo, ze Kaczynski nie jest sklonny grac w cokolwiek innego, niz gral przez cala polityczna kariere. A to jest gra, ktora nic mu juz przyniesc nie moze.

****

Michnikowszczyzna u swego zarania byla projektem modernizacyjnym. Potem stala sie juz tylko czystym reakcjonizmem, uporczywa obrona Okraglego Stolu, III Rzeczpospolitej i stanu wojennego. Obrona, ktora niebawem straci wszelki sens, bo te kwestie nie beda juz przez nikogo atakowane, beda po prostu poza dyskursem publicznym, jak sa poza nim spory miedzy Pilsudskim i Dmowskim. Srodowisko, ktore budowal Michnik, kreujac i obalajac autorytety, jednych czarujac, a drugich rugujac z debaty publicznej, i ktore mialo byc elita elit, cywilizujaca stopniowo polskiego tubylca, znalazlo sobie w ostatnich dwoch latach nowa role. A mianowicie – stalo sie jeszcze jedna z wielu sitw skladajacych sie na panstwo polskie w jego obecnym stanie. Sitwa, nazwijmy to, "autorytetow" – wciaz jeszcze wplywowa, ale niemajaca juz historycznych roszczen, a tylko srodowiskowe interesy, na czele z niedopuszczaniem do jakichkolwiek rozliczen z przeszloscia i konserwowaniem strupieszalych hierarchii w szkolnictwie wyzszym, nauce, swiecie artystycznym. To jedna ze zmian wyznaczajacych koniec czegos, co sie zaczelo awantura o kontrole nad Komitetami Obywatelskimi.

Wydawalo sie, ze w powstala w ten sposob pustke zdola wejsc jakas nowa elita, ktora miala szanse powstac wokol PiS. Ale Kaczynski nie zdolal zaproponowac zadnego innego konserwatywnego czy, jakkolwiek to rozumiec, prawicowego modelu modernizacji; pozostal przy swojej historycznej misji, z ktora rozpoczynal "wojne na gorze". Az ostatecznie jego projekt spotkal los podobny – z pomyslu na unowoczesnienie Polski stal sie on upartym trwaniem przy ksztaltach wykreslonych cala epoke temu. Wybory roku 2007, a zwlaszcza upadek

Kaczynskiego i PiS zaraz po nich, potwierdzily, ze dogrywanie "wojny na gorze" nie jest juz tym, co Polakow pasjonuje.

Mysle, ze wraz z zejsciem ze sceny publicznej Michnika i Kaczynskiego (a w tym samym czasie, wraz z rozpadem LiD-u, Geremka, niemajacego juz zadnej listy, z ktorej moglby kandydowac) konczy sie epoka – epoka wielkich projektow przeprowadzanych prawem i lewem, wedle zasady "cel uswieca", w poczuciu dziejowej koniecznosci i historycznych przymusow. Oba te projekty, i progresistowski Michnika, i sanacyjny Kaczynskiego, ostatecznie sie juz skichaly i stracily moc inspirowania. "Geby za lud krzyczace" faktycznie, jak to prorokowal wieszcz, w koncu lud znudzily. Czas wrzeszczacych staruszkow dobiegl konca. Zaczyna sie czas usmiechnietych, przymilnych i wygladzonych az do oblosci politycznych zigolakow, niestarajacych sie nikogo wyprowadzac na barykady.

Tusk, choc nie tak znowu wiele mlodszy od Kaczynskiego i Michnika, jak stara sie to przedstawic jego pijar, juz do tej samej co oni formacji nosicieli wielkich wizji nie nalezy. Nie nalezy do tego typu politykow, ktorzy zamierzaja zmieniac rzeczywistosc, by odpowiadala ich wizji – ale do tych, ktorzy dostosowuja gloszone przez siebie wizje do rzeczywistosci, postrzeganej za pomoca sondazowych slupkow. I trafia z tym w swoj czas, bo po wszystkich sporach III RP spoleczenstwo, dorabiajace sie wreszcie i biorace kredyty, w zdecydowanej wiekszosci wydaje sie miec powyzej uszu wielkich slow i historycznych obietnic. Niech tylko polityk sprawnie administruje, upodabnia Polske do marzenia o Zachodzie, a bedzie nagrodzony popularnoscia i reelekcja.

To oczywiscie ze strony elektoratu marzenie naiwne. Bo Rzeczpospolita Samoobronna, panstwo przezarte przez sitwy, uklady i koterie, istnieje nadal. I wladza nastawiajaca sie na robienie drobnych kroczkow nie bedzie w stanie mu zaszkodzic. Gorzej – pierwsze miesiace rzadow Tuska zdaja sie wskazywac, ze stawiajac ponad wszystko swoj wizerunek publiczny, sondaze i swiety spokoj, jest on bardziej niz ktokolwiek przed nim sklonny ulegac sitwom i korporacjom, oddawac im pole. Wtedy mala stabilizacja szybko okaze sie uluda, kisiel zgestnieje, a naprawa panstwa, do ktorej w ostatnich dwoch latach stracono najlepsza sposobnosc, okaze sie zadaniem jeszcze trudniejszym. To jest to wielkie niebezpieczenstwo zwiazane z rzadami Platformy, o jakim wspominalem paredziesiat stron temu. Czy Tusk zdola go uniknac?

Nie jestem przekonany, czy zdaje sobie sprawe z tego, ze powinien.

Ale poczekajmy. Kazdy polityk ma swoja wlasna, specyficzna, sobie przeznaczona i samemu pieczolowicie hodowana dla siebie kleske.

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2009-12-01

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/